Dariusz Frączek

OSTATNI OSZOŁOM

Na przyszłość zastanawiaj się nie tylko nad tym,
czy prawdą jest, co mówisz,
ale czy ten, do kogo mówisz,
wytrzyma prawdę.
Dobry przyjmie upomnienia z radością,
lecz im kto gorszy,
tym gorzej znosi pouczenia.

Seneka

Dąbrowa Górnicza, 2006

Od autora

Moje dotychczasowe doświadczenie uczy, że jednostki uczestniczące w procesie politycznym obrazowo można podzielić na trzy grupy: miernot, złodziei i oszołomów.

Miernotami są ci, którzy nie rozumieją zachodzących procesów, ich działania są przypadkowe i niekonsekwentne. W działaniu nie kierują się żadną strategią ani programem. Ich jedyną determinantą jest trwanie jak najdłużej na lukratywnej posadzie, celem zaspokojenia swojego ego. Najczęściej do władzy dochodzą po plecach innych lub w drodze przypadku. Od złodziei odróżnia ich fakt, że nie wykorzystują piastowanej funkcji dla osiągnięcia dodatkowych merkantylnych korzyści. Zadawalają się wyłącznie konsumpcją ambicjonalnych profitów.

Złodzieje to ci, którzy rozumieją zachodzące procesy. Ich działaniami również nie kieruje przemyślana strategia ani program, gdyż jego realizacja wiąże się z ustawiczną walką. Jego wdrażanie stwarza potencjalne zagrożenie ze strony tych sił, których interesy mogliby naruszyć. Kieruje nimi zarówno ego jak i konformizm. Pustkę wokół siebie zapełniają wykorzystywaniem sprawowanej funkcji dla zdobycia jak największych wpływów w dziedzinie prestiżowo – materialnej. Cechuje ich obłuda, cynizm i merkantylizm. Na ogół do władzy dochodzą po plecach innych lub własną pracą.

Oszołomami z kolei są ci, którzy rozumieją zachodzące procesy i mechanizmy. Ich działaniami kieruje przemyślany program i dobrana do jego realizacji strategia. W imię wyznawanych zasad gotowi są podjąć walkę z każdym, kto stanie na drodze realizacji ich wizji. Kieruje nimi ego, ale bez konformizmu. Merkantylizm i korzyści partykularne nie są dla nich istotne. Na ogół do władzy dochodzą własną pracą.

W Dąbrowie Górniczej na przestrzeni ostatniej dekady ujawniło się tylko trzech oszołomów: Andrzej Rozpłochowski, Daniel Podrzycki i ja – Dariusz Frączek.

Andrzej Rozpłochowski nie wytrzymał i w 1987 wyemigrował do USA, by zostać kierowcą pogotowia ratunkowego w Kalifornii. Politycznie przegrany.

Daniel Podrzycki już na starcie w dorosłe życie, skompromitował się w 1983. Konsekwencją powyższego, była jego działalność w nieistotnych, marginalnych strukturach, rodem z politycznego folkloru. W 2005 zginął w wypadku samochodowym.

Z tej kategorii na placu boju pozostaje tylko moja osoba. Jeszcze nie skompromitowana i nie przegrana.

Wszystkie postacie i wydarzenia przedstawione w niniejszej publikacji są autentyczne i wydarzyły się naprawdę. Starałem się w miarę wiernie oddać zarówno tło zachodzących wydarzeń, jak i postawy osób w nich uczestniczące. Wiem, że wiele osób będzie z tej publikacji niezadowolonych. Chcąc zatuszować własną małostkowość i niechlubny udział w minionej rzeczywistości, będą twierdziły, że jest to stek bzdur i urojeń. Będą twierdzić, że są to kłamstwa, przeinaczenia i produkty mojej wyobraźni.

Proszę się tym nie sugerować tylko konsekwentnie odpowiadać. Jeżeli zostałeś bezpodstawnie pomówiony – wystąp na drogę sądową.

Procesów się nie obawiam, ponieważ wszystkie przedstawione wydarzenia podparte są nazwiskami osób, które wówczas w nich uczestniczyły i zawsze mogą zaświadczyć o ich przebiegu.

Sądzę, że niniejsza pozycja pozwoli czytelnikowi zrozumieć, choćby po części to, co w ciągu ostatniego ćwierćwiecza wydarzyło się tuż za drzwiami jego mieszkania. Przedstawione procesy i wydarzenia nie przeminęły. Ich skutki są odczuwalne do dnia dzisiejszego pod postacią nieliczenia się z jakimikolwiek normami moralnymi czy politycznymi.

Wyrażam zgodę na cytowanie lub przedruki całych fragmentów, bez jakiegokolwiek ograniczenia. Stawiam tylko warunek. Tło i wymowa przedstawionych faktów muszą zostać zachowane w takiej formie, w jakiej je przedstawiłem.

Powyższą pozycję wydałem własnym sumptem, z prywatnie zaoszczędzonych pieniędzy. Nie kupiłem samochodu ani lepszego mieszkania, lecz postanowiłem czytelnikowi przekazać posiadaną wiedzę.
Wszak jestem oszołomem.

Dariusz Frączek

Rozdział I
NARODZINY KONTESTACJI

Moja przygoda z polityką rozpoczęła się latem 1979. Będąc jeszcze chłopcem pasjonowałem się literaturą historyczną. Od historii do polityki już bliska droga. Wystarczy tylko prawa i mechanizmy czasów przeszłych przełożyć na realia teraźniejszości.

Do komunizmu zraziłem się dość wcześnie. Bezpośrednią tego przyczyną były środki nacisku, jakie nasza inteligencja (nauczyciele) wywierali na mnie i moich rówieśników, próbując stworzyć z nas choćby pozory socjalistycznej młodzieży. Pod koniec lat siedemdziesiątych socjalizmu było tyle, że robił się niestrawny. Obecny był praktycznie wszędzie.

W owym okresie proces uprawiania różnych propagandowych misteriów osiągnął swoje apogeum. Składały się na to szkolne apele, przymusowe spędy, pierwszomajowe pochody. Wszystko z wielką pompą i rozmachem, z duchem czasu.

Ponieważ komunistyczni przywódcy różnego szczebla potrzebowali publiczności, przeważnie nas – młodzież szkolną – wykorzystywano do roli statystów. Z tamtego okresu szczególnie utkwiły mi w pamięci dwa wydarzenia...

Pierwsze, to pochód pierwszomajowy w roku 1979. Tysiące ludzi skoncentrowanych w centrum miasta oczekiwało kilka godzin, by później przejść pod trybuną, na której kilkudziesięciu lokalnych kacyków w rozradowaniu machało rękami. Zainstalowane głośniki rozbrzmiewały „rewolucyjną pieśnią". Skandowano hasła na rzecz „Przewodniej Siły Narodu".

Nie byłoby w tym może nic odrażającego, gdyby nie środki nacisku, jakie zostały użyte, abym znalazł się w tym tłumie. Nauczyciele straszyli nas obniżeniem stopni ze sprawowania i bliżej nieokreślonymi konsekwencjami natury dyscyplinarnej. To wszystko powodowało we mnie zarzewie moralnego buntu.

Drugie wydarzenie miało miejsce latem tego samego roku. Był to wielki spęd kilkunastu tysięcy młodych ludzi niemal z całego Zagłębia pod nieistniejącym już dziś pomnikiem „Czynu Rewolucyjnego" w Sosnowcu. W słonecznej spiekocie oczekiwaliśmy kilka godzin, trenując z propagandystą wznoszenie okrzyku „Młodzież – Partia!". Po kilku godzinach w otoczeniu swojej świty przybył towarzysz Zdzisław Grudzień. Coś mówił, coś skandowano...

Później przejście pod trybuną w centrum miasta. Właśnie wtedy, uczestnicząc w tej błazenadzie, zrozumiałem, że każdy normalny człowiek musi się w takiej sytuacji zbuntować. W sposób ostateczny podjąłem decyzję, że już nigdy więcej bez względu na konsekwencje, nie będę brał udziału w tego rodzaju obrzędach.

Oczywiście wówczas jeszcze nie w pełni zdawałem sobie sprawę, że część tych nauczycieli, którzy mnie terroryzowali, była podobnie jak ja zastraszona przez dyrektora, ten z kolei przez lokalny komitet partii.

Mój pierwszy młodzieńczy bunt nie miał jeszcze wtedy charakteru politycznego, a raczej moralno – etyczny. Wszedłem w okres emigracji wewnętrznej, przechodząc na pozycje jednostki kontestującej. A czasy to były trudne. Wszyscy wokół byli zarażeni chorobą propagandy, bądź przytłamszeni systemem. Jedynym człowiekiem, z którym mogłem wówczas prowadzić dyskusje na temat otaczającej rzeczywistości, był mój kolega ze szkolnej ławy – Marek Kordiaczyński. Na skutek wspólnych rozmów i lektur nasze poglądy zaczęły się zbiegać. Bardzo zbliżyliśmy się w owym okresie. Jedyne, co nas różniło to światopogląd. Marek był jednostką wierzącą, ja już wówczas dryfowałem na pozycje raczej laickie.

Pamiętam długie nasze spory na temat religii, filozofii, historii. Ani on nigdy nie przekonał mnie do swoich racji, ani ja jego do swoich. Kiedy nasi rówieśnicy biegali za panienkami, my – jak przystało na dysydentów – funkcjonowaliśmy w sztucznie wytworzonym świecie. Bardzo dużo wtedy czytałem. Pasjonowały mnie powstania i rewolucje. Moim idolem był wówczas Maurycy Mochnacki. I chyba mamy ze sobą coś wspólnego: żarliwą duszę i życiowego pecha.

Nie wiem, jak potoczyłyby się moje dalsze losy, gdyby nie pamiętne lato 1980. Były wakacje. Ponieważ pochodziłem z rodziny ubogiej, wakacje przeważnie spędzałem w domu w Dąbrowie Górniczej. W sierpniu zaczęły dochodzić pierwsze sygnały, że coś drgnęło na Wybrzeżu. W głównym wydaniu dziennika telewizyjnego, pokazano w końcu migawkę informującą, że w kraju brakuje pomarańczy. Później wymarły port i stojące nieruchomo żurawie. Spiker twierdził, iż nie są one dostarczane do sklepów, ponieważ od kilku dni dokerzy odmawiają ich rozładunku. Wtedy po raz pierwszy zacząłem słuchać rozgłośni Radia Wolna Europa.

Po kilku dniach byłem już absolutnie pewien, że przyszło mi żyć w czasach, które kiedyś będą nazywane przełomem historycznym.

Rozdział II
REWOLUCJI ROZDZIAŁ PIERWSZY

Świat wokół mnie zaczął się zmieniać. Na ulicach, w tramwajach – ludzie dotychczas zastraszeni – zaczęli z wolna dyskutować, odreagowując ówczesne tematy tabu. Przeważnie przyjmowało to formę psioczenia na władzę. W większości znanych mi domów, masowo słuchano Wolnej Europy. Dotychczasowy strach pryskał.

W środkach masowego przekazu trwał ustawiczny pojedynek. Ośrodek rządowy prowadził permanentną batalię z rozgłośniami zachodnimi. Strzelano wichrzycielami, siłami antysocjalistycznymi, wyliczano, jakie to straty dla gospodarki narodowej przynosi każdy dzień przestoju w pracy. Słowo „strajk" nie mogło propagandystom długo przejść przez gardło. Po pewnym okresie wyczekiwania władza przyjęła w końcu oficjalną doktrynę propagandową. W myśl jej linii pojawił się dobry, ciężko pracujący robotnik oszukiwany i manipulowany przez opłacane z zachodu elementy antysocjalistyczne.

Ciekawostką jest to, że dla komunistycznych propagandystów określenie „element antysocjalistyczny" miało wyłącznie znaczenie pejoratywne. Wśród społeczeństwa z kolei, z wyjątkiem tych 20 procent ze spranymi mózgami, było dokładnie odwrotnie. Doszło do tego, że zaczęto na masową skalę robić pieniądze na odznakach i koszulkach z powyższym napisem. Prawdziwą furorę robiły dwa magiczne słowa: Gdańsk i Stocznia. One otwierały większość drzwi, budziły podziw i zaufanie.

Partia komunistyczna z dnia na dzień ulegała rozpadowi. O strajku w Hucie Katowice dowiedziałem się już po fakcie. Podpisano porozumienie. Powstawała „Solidarność". Każda rewolucja ma podobne symptomy. Jednym z nich jest wielki entuzjazm mas i wiara w stworzenie doskonalszej rzeczywistości. Ja też padłem ofiarą tych idei. Mając 17 lat, zacząłem wierzyć w lepszą przyszłość. I chyba do tej pory jeszcze nie uległem skutecznemu wyleczeniu.

Życie uległo gwałtownemu przyspieszeniu. Dużo dyskusji, tym razem w znacznie szerszym gronie. Dużo nowych, nieznanych dotąd treści. Mimo zainteresowań historycznych okres PRL-u ze względu na wszechobecną cenzurę był dla mnie białą plamą. Wprost połykałem wypływające na powierzchnię nowe fakty: Pakt Ribbentrop – Mołotow, Katyń, Burza na Wschodzie, Jałta, Doktryna Breżniewa.

W tym czasie znacznie pogłębiłem swą wiedzę dotyczącą współczesności i pod wpływem wydarzeń zacząłem przechodzić z pozycji kontestatora na rubież aktywisty. W szkole też zachodziły zmiany. Nauczyciele, którzy nas niegdyś straszyli konsekwencjami za niesubordynację, zaczęli paradować w odznakach Solidarności. Nie było już spędów ani masówek. Można było zrobić patriotyczną akademię z okazji 11 Listopada i w kontekście pozytywnym przedstawić osobę Józefa Piłsudskiego.

Aktywną działalność polityczną rozpocząłem dopiero od września 1981. Wówczas do mojej klasy przybył nowy uczeń – Władysław Uthke. Od niego dowiedziałem się, że w II Liceum im. Stefana Żeromskiego powstaje organizacja młodzieżowa o orientacji niekomunistycznej. Wraz z Markiem Kordiaczyńskim postanowiliśmy podjąć kontakt. Tak trafiłem do Związku Młodzieży Demokratycznej. Przewodniczącym był mój rówieśnik – Daniel Podrzycki – bardzo bystry i operatywny. Od razu znaleźliśmy wspólny język. Sytuacja wyglądała następująco...

W 1981 Stronnictwo Demokratyczne, chcąc nieco odmłodzić swoje szeregi postanowiło powołać własną organizację młodzieżową pod nazwą Związek Młodzieży Demokratycznej. Na jej czele postawiono jakiegoś aparatczyka, którego nazwiska już nie pamiętam. Później w oparciu o strukturę i lokale SD zaczęto tworzyć oddziały w terenie. Podrzycki był sekretarzem Zarządu Wojewódzkiego w Katowicach. Natychmiast doszliśmy do porozumienia. Nasz zamysł był prosty...

Pod przykryciem ZMD na bazie młodzieży szkół średnich mieliśmy tworzyć w Dąbrowie Górniczej organizację młodzieżową o orientacji niekomunistycznej. Wiązało się to z otrzymaniem niezbędnego zaplecza technicznego w postaci lokalu, telefonu czy maszyny do pisania, dzięki czemu moglibyśmy skutecznie prowadzić działalność w terenie. Przypominam, że był to okres komunizmu. Lokalu, telefonu czy środków poligraficznych nie kupowało się wówczas na rynku. Można je było tylko i wyłącznie otrzymać od władzy lub z zagranicy. Dlatego pewne przełożenie polityczne na oficjalny czynnik było niezbędne. Ustaliliśmy ponadto, że zorganizowana młodzież będzie izolowana od SD, któremu nie dowierzaliśmy, będziemy prowadzili suwerenną politykę we współpracy z Solidarnością. Naszym celem było bowiem działanie na rzecz demokratycznych wyborów i likwidacji monopolu politycznego partii komunistycznej, a nie bycie satelitą satelity Moskwy.

Z dużą aktywnością rzuciłem się w wir działania. To już nie było czytanie książek. To praktyczna konsumpcja teoretycznych treści.

Wraz z Markiem Kordiaczyńskim prowadziliśmy na terenie Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych akcję informacyjno – propagandową, której celem był werbunek chętnych. Jak duży był entuzjazm, niech świadczy fakt, że prawie natychmiast mieliśmy czterdziestu członków. Nadmienić należy, iż dyrekcja do naszej aktywności podchodziła raczej sceptycznie, dając do zrozumienia, że tego rodzaju praktyki nie są przez nią mile widziane. Większość nauczycieli zachowywała daleko posuniętą rezerwę, choć trafiały się i odruchy sympatii.

Zaraz na początku pojawił się kryzys. Nasza wychowawczyni – Ewa Klemińska, prawdopodobnie za namową dyrektorki Zenony Pilarek, wpadła w histerię. Kategorycznie zażądała od nas skończenia z polityką na terenie szkoły. W odpowiedzi przypomnieliśmy podpisaną przez rząd PRL Kartę Praw

Człowieka i Obywatela. Stwierdziliśmy, że konstytucja i prawo gwarantują nam swobodę działania i będziemy z niej korzystać. Kiedy zorientowała się, że tą drogą niczego nie wskóra, postanowiła zmienić taktykę. Zaapelowała do klasy, by ta w sposób kategoryczny zdystansowała się od naszych praktyk. Gdy i to nie przyniosło pożądanego efektu, przeszła w lekki szloch twierdząc, że skoro nie ma wśród swoich wychowanków autorytetu, poważnie rozpatruje możliwość rezygnacji z dalszego prowadzenia naszej klasy. Ten ruch był bardzo groźny. Nadmienić należy, że byliśmy w czwartej klasie technikum. Tak młodzież, jak i rodzice byli już zżyci z wychowawcą. Część uczniów miała przecież problemy z nauką, a wychowawca, na ile mógł i chciał, pomagał w ich rozwiązaniu. Dlatego problem był poważny. Klasa zaczęła się dzielić na dwa obozy. Mieliśmy pełną świadomość, że jeżeli tę batalię przegramy, to wszystkie dotychczasowe zamierzenia pójdą w rozsypkę. Dlatego należało wygrać i to w sposób jednoznaczny.

Muszę przyznać, że szkolni koledzy zachowali się w sposób niezwykle przytomny. Ponieważ w klasie ze względu na pata nie mogliśmy rozwikłać problemu, postanowiliśmy przenieść zmagania na nieco inną płaszczyznę, a mianowicie na zebranie z rodzicami. Klemińska ten wariant przyjęła będąc przekonana, że rodzice zawsze staną po stronie nauczyciela. Nie doceniła jednak znamion rewolucyjności czasów. My ze swej strony na powyższe zebranie delegowaliśmy trzy osoby raczej politycznie neutralne. Wśród nich byli między innymi: Krzysztof Kaźmierczyk i Janusz Kulawik. Ja i Kordiaczyński jako zdeklarowani ekstremiści, nie chcąc zaogniać sytuacji, pozostaliśmy w domu. Na zebraniu większość rodziców opowiedziała się po naszej stronie. Stwierdzono, że młodzież jest już pełnoletnia i ma pełne prawo działać w organizacjach, nawet niekomunistycznych, jeżeli funkcjonują one w oparciu o istniejące prawodawstwo. Generalnie, większość rodziców stanęła po naszej stronie kontra nauczycielowi. Przykład w owych czasach bez precedensu.

Oczywiście kilka piesków, których w żadnej zbiorowości nie brakuje, było przeciw, ale to już nie mogło zmienić biegu wydarzeń. Byliśmy górą. Klemińska musiała skapitulować. Nadmienić muszę, że pani ta była wówczas członkinią Solidarności.

Świadomie przedstawiłem ten pozornie błahy incydent. Nigdy bowiem nie brakowało i nie będzie brakować ludzi, którzy dla zamanifestowania przełożonym swojej dyspozycyjności, ze strachu czy też głupoty gotowi będą do niespotykanej wręcz nadgorliwości, nawet jeżeli wyczerpuje ona znamiona błazenady.

Chcąc istnieć, musieliśmy wygrać. Gdyby padła nasza klasa – merytorycznie i jakościowo najlepsza, reszta musiałaby się rozpaść. A losy wielu ludzi potoczyłyby się zupełnie innym torem. Po tym incydencie nie otrzymywaliśmy już żadnych informacji, aby któryś z nauczycieli, jawnie występował przeciwko. W Śląskich Technicznych Zakładach Naukowych sytuacja była opanowana, jednak w innych szkołach bywało różnie.

W Budowlance, przyzakładowej szkole „Budostalu-4” miał miejsce w tamtejszym internacie strajk okupacyjny. Bezpośrednią przyczyną było niewłaściwe traktowanie uczniów przez dotychczasowego dyrektora. Pisemne monity do Kuratorium Oświaty ze względu na powiązania personalne nie przynosiły żadnego efektu. Domagano się zmiany dyrektora. Moralnym przywódcą młodzieży był tamtejszy lekarz – Aleksander Polak.

Jako przedstawiciel organizacji często wśród nich bywałem. Podczas strajku miałem prawo poruszania się po całym terenie internatu, jak również możliwość rozmów z dowolnie wybranymi uczestnikami. Wówczas poznałem późniejszych przyjaciół – Zbigniewa Ciołka, Andrzeja Furmaniaka i innych. Jako ZMD postanowiliśmy im pomóc na tyle, na ile było to w naszej mocy. Wydrukowaliśmy nieco ulotek i rozrzucili po okolicznych szkołach. Później ruszyła akcja petycyjna dąbrowskiej młodzieży popierająca kolegów z Budowlanki. Przez szkolny radiowęzeł podawaliśmy komunikaty o sytuacji strajkowej i przyczynach protestu.

Oczywiście w różnych szkołach w zależności od jakości działaczy bywało różnie. Najlepiej szło u nas w Śląskich. Byłem dumny – wychodziliśmy na czoło.

Z psychologicznego punktu widzenia element poparcia miał bardzo istotne znaczenie, ponieważ dodawał otuchy osobom napływowym, niezakorzenionym na tym terenie. Utwierdzał, że nie są sami.

W przypadku przedłużania się konfliktu planowaliśmy wiec. Skończyło się jednak tylko na zbieraniu podpisów, ponieważ po kilku dniach protestu przedstawiciele Kuratorium i Komitetu Strajkowego zawarli porozumienie. Dyrektor został usunięty, a drakońskie obyczaje panujące w internacie zliberalizowane.

Sukces Budowlanki był bardzo istotnym elementem. Unaoczniał okolicznym dyrektorom i nazbyt gorliwym nauczycielom, że zorganizowana młodzież jest w stanie wysadzić ich z piastowanego stanowiska. A ponieważ nie jest to ludek stosunkowo odważny, więc wyciągnął wnioski prawidłowe. Nie należy być nadgorliwym, a w służalczości nie wychodzić przed orkiestrę. To był prawdziwy przełom. Przez dyrekcję zaczęliśmy być traktowani jak równoprawni partnerzy.

Któregoś dnia zostałem z Kordiaczyńskim poproszony do gabinetu naszego dyrektora – Stanisława Koziorowskiego. Chciał nas poznać i zorientować się, czego się może po nas spodziewać. Dyskutowaliśmy na temat praw ucznia, relacji uczeń – nauczyciel, samorządu szkolnego. Jego podejście było stosunkowo rzeczowe i nawet niezbyt ortodoksyjne. Zasadniczą rozbieżność odnotowaliśmy przy prawie korzystania ze szkolnego radiowęzła. Nasz postulat został przez niego przyjęty, jednak domagał się prawa do cenzurowania przekazywanych przez nas treści. Na to z kolei my nie mogliśmy przystać. Wszak wolność słowa i walka z cenzurą były fundamentalnymi postulatami opozycji.

Przestrzegał nas przed nieprzemyślanymi krokami. Stwierdził, że sam będąc studentem uczestniczył w wydarzeniach marcowych 1968 i nie chciałby, aby ten sam scenariusz obecnie się powtórzył. Wszak sytuacja musi ulec przesileniu, gdyż stan dwuwładzy w państwie nie może trwać wiecznie. Przyjęliśmy jego tezy, podkreślając zarazem, że być może teraz po tamtych doświadczeniach rozwiązanie będzie czysto polityczne. Wszak płomień rewolucji ogarnął cały kraj i wszystkie warstwy społeczne.

Odniosłem wrażenie, że dyrektor, choć zachowuje się oficjalnie, to jednak z nami sympatyzuje. W każdym razie nie stwierdziłem u niego tego błazeńskiego zacietrzewienia, które było widoczne u innych naszych adwersarzy. Umówiliśmy się na kolejne spotkanie za kilka tygodni, celem ostatecznego rozstrzygnięcia tych kwestii, w których odnotowaliśmy rozbieżności.

W tym samym czasie, pewną aktywność na forum szkoły zaczęła przejawiać – Janina Zapart przedstawicielka twardego, ortodoksyjnego betonu partyjnego. Oficjalnie pełniła funkcję opiekunki szkolnego ZSMP. Trzeba tutaj nadmienić, iż powstanie naszej organizacji, skutecznie wyeliminowało jej dotychczasowych członków i zablokowało dopływ nowych. Pani Zapart próbowała agitacji, jednak bez większego powodzenia. Była opiekunką organizacji, która de facto nie istniała. W świetle powyższego, źródła swych niepowodzeń upatrywała w naszych osobach, a szczególnie w mojej. Czasami jej zachowanie przybierało formę groteski, gdy przy każdej nadarzającej się okazji starała się wykazać swoją wyższość nade mną. Ponieważ jednak w tych przedmiotach, których ona uczyła, byłem stosunkowo mocny, zabawa była przednia. Cała klasa momentami nieźle się bawiła. Jedno wszak było oczywiste, pałała do mnie nieskrywaną wprost nienawiścią.

Mieliśmy już kontakty w większości szkół średnich. Teraz należało szerzej wyjść w miasto, aby zaistnieć jako samodzielny podmiot. Została więc przeprowadzona akcja ulotkowa. Muszę przyznać, że jej rozmach był zbyt ograniczony, a efekty rewelacji nie przyniosły. Organizacja jednak się rozrastała, a rzesza sympatyków była znaczna. Bezpośrednie kontakty już nie wystarczały. Należało utworzyć organ prasowy.

Ustaliliśmy, że ja skompletuję zespół redakcyjny, natomiast Podrzycki wejdzie w kontakt z Solidarnością w celu umożliwienia nam druku. Pismo miało nazywać się „Filomata” i być adresowane do młodego pokolenia, ze szczególnym uwzględnieniem młodzieży szkolnej i studenckiej. Bardzo szybko jednak okazało się, że stosunkowo proste i dość oczywiste zagadnienia, gdy wejdą w fazę realizacji, napotykają na niespodziewane wręcz trudności. Tak było też i w tym przypadku. Kierownictwo Solidarności w Dąbrowie Górniczej to wówczas było praktycznie dwóch panów: Jacek Kilian (przewodniczący związku w Hucie Katowice) i Andrzej Rozpłochowski (członek Komisji Krajowej). Trzeba nadmienić, że ze względów ambicjonalnych, panowie ci nie pałali do siebie sympatią. Według relacji Podrzyckiego – Kilian nie chciał nawet

słyszeć o organizacji młodzieżowej na terenie jego zakładu, twierdząc, że nie będzie się rozmieniał na drobne. Dla nas z kolei była to kwestia priorytetowa, gdyż za rok miały się odbyć wybory do Terenowych Rad Narodowych i chcieliśmy w nich wystąpić jako samodzielny podmiot polityczny w sojuszu z Solidarnością. Dlatego zależało nam na pozyskaniu nowych członków spoza młodzieży szkolnej, którzy mogliby się znaleźć na listach wyborczych. Stąd pilna potrzeba wejścia w środowisko robotnicze.

Do pomocy i kurateli nad nami podszedł również bardzo sceptycznie. Zaszeregował nas do orbity wpływów SD, a zatem satelity komunistów. Możliwości współpracy w każdym razie nie widział. Nie przyjmował również do wiadomości argumentacji, że oparcie o SD jest chwilowe i w dodatku niezbędne, ponieważ zapewnia nam w początkowym etapie prawną płaszczyznę działania. A ta z kolei jest niezbędna, by móc skutecznie funkcjonować na terenie szkół.

Wszystko wskazywało na fakt, że Kilian nie potrafił myśleć w kategoriach politycznej elastyczności czy rewolucyjnego ducha. Swoją funkcję zawdzięczał, nie tyle predyspozycjom intelektualnym czy cechom charakteru, co dyplomowi wyższej uczelni. W robotniczym związku zawsze była to nobilitująca rzadkość.

Natomiast Rozpłochowski podszedł do zagadnienia odmiennie. Z całkowitym zrozumieniem przyjął nasze argumenty, stwierdzając, że inicjatywa jest cenna. Zadeklarował daleko posuniętą pomoc tak organizacyjną jak i poligraficzną. W świetle powyższego przygotowałem pierwszy numer. Zgodnie z ustaleniami Kordiaczyński udał się do huty, celem finalizacji druku. Wtedy z kolei okazało się, że tam o naszych ustaleniach nic nie jest wiadome. Rozpłochowski przebywał chwilowo w szpitalu, lecząc cukrzycę.

Jacek Cieślicki (szef „Wolnego Związkowca") stwierdził, że bez zgody Kiliana, a tej nie ma, nie może puścić do druku naszego materiału. Od razu stało się oczywistym, że w łonie hutniczej Solidarności między obu przywódcami toczy się jakaś podskórna rozgrywka.

Chcąc ratować sytuację, Podrzycki odwiedził Rozpłochowskiego w szpitalu. Ten podtrzymał wcześniejszą deklarację, przeprosił za incydent i obiecał, że jak tylko wyjdzie, natychmiast rozwiąże problem. Na razie natomiast przeprowadzi telefoniczną rozmowę z Kilianem.

Fakt był bezsporny, obaj panowie byli poważnymi antagonistami. Andrzej Rozpłochowski, przywódca strajku z 1980, przewodniczący późniejszego MKZ Katowice, przegrywa wybory na przewodniczącego Zarządu Regionu Śląsko – Dąbrowskiego z Leszkiem Waliszewskim. Później próbuje rywalizacji z Kilianem o fotel przewodniczącego w Hucie Katowice. Prawdopodobnie by wygrał, jednak na drodze stanęła mu procedura. Nie został zgłoszony w odpowiednim terminie. Ostatecznie zostaje ulokowany w Komisji Krajowej. W ogólnym obrachunku prestiżowo stoi wyżej od Kiliana. Ale czy faktycznie?

Jacek Kilian z kolei będąc przewodniczącym w zakładzie, przy braku

koneksji w centrali, postanawia prowadzić politykę izolowania struktury zakładowej od reszty świata. Wymownym tego przykładem może być fakt potraktowania naszej organizacji.

Rozpłochowski odwrotnie, mając oparcie w Regionie i Komisji Krajowej, chce iść szeroko, otwarty na wszelkie inicjatywy.

Moim zdaniem Rozpłochowski przejawiał znacznie lepsze predyspozycje przywódcze niż Kilian. Z całą pewnością potrafił patrzeć szerzej na otaczającą rzeczywistość i miał mentalność rewolucjonisty, a nie klasycznego karierowicza.

W ostatecznym rozrachunku materiał idzie do druku, jednak nigdy nie będzie mu dane ujrzeć światła dziennego. Otrzymuję wiadomość, że mam się udać do huty na spotkanie. W konsekwencji interwencji Rozpłochowskiego – Kilian odblokowuje wcześniejszą negatywną decyzję. Ma być zebranie Komisji Zakładowej poszerzonej o przewodniczących wydziałowych. Przed tym gremium mamy zaprezentować swoją organizację. Idziemy we trzech: Podrzycki, Kordiaczyński i ja.

Zebranie odbywa się w sali konferencyjnej budynku Głównego Mechanika. Sala szczelnie wypełniona, przewodniczy Kilian. Świadomie wchodzimy pod koniec, aby im nie przeszkadzać. Mają swoje sprawy do omówienia. Mówią o strajku, który prawdopodobnie rozpocznie się zaraz po niedzieli. Sytuacja w kraju jest napięta. Nadchodzą informacje o mobilizacji sił policyjnych. Wszyscy mają świadomość, że konfrontacja z władzą jest nieunikniona. Rząd domaga się od sejmu specjalnych pełnomocnictw w celu możliwości wprowadzenia stanu wyjątkowego. Na zakończenie otrzymujemy głos. W naszym imieniu wypowiada się Podrzycki. Informuje zebranych, że istnieje taka organizacja jak Związek Młodzieży Demokratycznej, krótko rysuje nasze cele. Oferta jest skierowana do najmłodszych członków Solidarności. Krótka wymiana uwag, zebranie zostaje zamknięte. Dyskutujemy jeszcze z kilkoma osobami, między innymi Alkiem Polakiem.

Ogólnie jesteśmy zadowoleni. Po kilkumiesięcznych przepychankach nareszcie lody puściły. Teraz mamy możliwość działania w oparciu o największą strukturę związkową w regionie. Teren Huty Katowice opuszczamy w dobrych nastrojach. Jesteśmy przekonani, że dopiero teraz w pełni rozwiniemy skrzydła. W poniedziałek mam dostarczyć do druku, przygotowany od dawna materiał. Jest południe, piątek 11 grudnia 1981.

Rozdział III
OKRES BURZY I NAPORU

13 grudnia obudziła mnie matka, było kilka minut po szóstej rano. Z włączonego radia dolatywał głos Wojciecha Jaruzelskiego informujący o ukonstytuowaniu się WRON i wprowadzeniu dekretu o stanie wojennym. Więc się zaczęło...

Od kilku tygodni oczekiwaliśmy na konfrontację i wreszcie nadeszła. Dziwne, ale ogarnęła mnie jakaś wewnętrzna ulga. Byłem przekonany, że jest to koniec komunizmu w naszym kraju. Przejrzałem ulotki i wszystkie dokumenty. Pozbierałem deklaracje członkowskie i zapiski z danymi adresowymi. Postanowiłem je zamelinować na jakiś czas u kolegi, mieszkającego w tym samym bloku. Wyraził zgodę.

Po wyczyszczeniu mieszkania wyszedłem na mały rekonesans w miasto. Mroźny poranek, żadnych widocznych zmian. Z dużego kościoła w centrum miasta wychodzą ludzie. Twarze posępne, żadnych rozmów. Pierwsze kroki postanowiłem skierować w kierunku Huty Katowice. Tramwajem dojechałem pod główną bramę. Jest kilka minut po dziesiątej. Przed bramą tłum ludzi. Wjazd zatarasowany dwiema cysternami. Na czerwonym płótnie duży napis: „STRAJK OKUPACYJNY! PRACOWNIK WCHODZĄCY NA TEREN ZAKŁADU PRZYSTĘPUJE DO STRAJKU. NIEZDECYDOWANI DO DOMU!”. Na budynku Głównego Mechanika: „STRAJK DO ZWYCIĘSTWA!”

Przez bramę wychodzi kilku ludzi z klejem i drabiną. Na wiatach przystankowych rozklejają hasła wymierzone w Jaruzelskiego i ZSRR. To podnosi wśród zgromadzonych temperaturę. Wszędzie kłębią się zdezorientowani pracownicy. Jedni przyłączają się do strajku, inni wracają do tramwaju. Przy barierkach straże z biało – czerwonymi opaskami, skrupulatnie sprawdzają przepustki wchodzącym. Dyskusje... Przed jedynym telefonem ogromna kolejka. Strażą kieruje młody mężczyzna w brązowym kożuchu. Zachowuje się spokojnie. Jest pewny sensu swojej misji. Dowiaduję się, że w nocy były aresztowania. Strajk rozpoczęła nocna zmiana, teraz trwa jeszcze odprawa rannej. Atmosfera wyczekiwania i podniecenia. Wszyscy wiedzą, że tym razem to już nie jest zabawa i coś musi się wydarzyć. I cisza, wielka cisza mimo kilkuset zgromadzonych osób.

Postanawiam zorientować się, jak wygląda sytuacja gdzie indziej. Jadę pod Hutę Dzierżyńskiego. Cisza i spokój. Pod kopalnią też nic się nie dzieje. Wszystko wskazuje na to, że pracują normalnie. Jeszcze nie wpadam w panikę. Przecież jest niedziela. Strajk Generalny rozpocznie się prawdopodobnie dopiero od poniedziałku. Na ulicach spokój, nie stwierdzam obecności milicji. Tylko w rejonie Komendy Miejskiej zielono od mundurów polowych. Prawdopodobnie przeprowadzają mobilizację.

Po obiedzie wpadam do Podrzyckiego. Odbywamy pierwszą naradę

konspiracyjną. Informuję go, że wyczyściłem mieszkanie i czekam na dalszy bieg wypadków. Podobnie jak ja jest bezradny, aczkolwiek podniecony. Nie sądził, że się odważą. Obaj czujemy, że chwila jest wyjątkowa, że zaważy na naszym dalszym życiu. Umawiamy się na następny dzień, aby zorientować się w sytuacji. W zależności od niej podejmiemy dalsze kroki. Skoro nas do tej pory nie aresztowali, to już najprawdopodobniej tego nie uczynią. Jesteśmy za mali. Teraz polują na tych z Solidarności. Do chłopaków z Budowlanki nie mam po co jechać. Generał zafundował nam ferie. Wszyscy prawdopodobnie wyjechali w rodzinne strony. Tak mija pierwszy dzień stanu wojennego.

Następnego dnia w poniedziałek około południa zgodnie z umową udajemy się do Huty Katowice. Idziemy na piechotę, ponieważ komunikacja kursuje już tylko do Gołonoga. Blokują strajkującą hutę od dopływu ludności z miasta. Główną bramę osiągamy około 13.00. Przedstawiamy się szefowi straży strajkowej. Rozpłochowski i Kilian aresztowani. Chcemy rozmawiać z kimś z Komitetu Strajkowego. Dyżurny gdzieś dzwoni. Po chwili odpowiada, że jest zgoda, ale wejść może tylko jeden. Idzie Podrzycki jako wyższy rangą. Ja zostaję na dyżurce. W pomieszczeniu panuje grobowa cisza. Szef, brodacz w kufajce ciągle gdzieś dzwoni lub odbiera telefony. Wyczuwam wiszące w powietrzu napięcie. W pewnym momencie oznajmia, że w Ząbkowicach jest wojsko i prawdopodobnie niedługo złożą nam wizytę. Wszyscy w oczekiwaniu patrzymy na drogę. A tam cisza i spokój. Palę papierosa za papierosem jak wszyscy pozostali. Ci, co stoją na zewnątrz, ze względu na siarczysty mróz zmieniają się dość często.

Po czterdziestu minutach wraca Podrzycki. Rozmawiał z Antonim Kusznierem – szefem Komitetu Strajkowego. Strajkuje kilka tysięcy ludzi. Organizacja dobra, nastroje też. Czołówka związkowa aresztowana. Mają informacje o strajkach w hutach Lenina i Bieruta oraz kilku kopalniach. Próbują montować komitety strajkowe w innych okolicznych zakładach. Mają werbalne deklaracje, jednak do tej pory jeszcze nikt nie dołączył. Studenci z NZS-u pracują jako łącznicy. Wychodzi strajkowe wydanie gazetki. Dla nas Kusznier nie widzi specjalnej roli. Jeżeli chcemy, możemy wziąć trochę bibuły i kolportować na mieście. Możemy się kontaktować, bo jakby się sytuacja zmieniła to może być jakaś robota. O tym, że za chwilę może być wojsko też słyszał w Komitecie Strajkowym. Zastanawiamy się, co robić. Jeżeli zostaniemy, nie będzie tutaj z nas żadnego pożytku. Tylko tyle, że pooddychamy wolnym powietrzem. Na mieście jednak jesteśmy bardziej przydatni. Bierzemy bibułę, tyle ile mieści się za pazuchą, i postanawiamy wracać.

Na wysokości drogi ząbkowickiej grupki milicjantów stoją pod przęsłami wiaduktu. Cóż to mostu pilnują? Przystajemy na chwilę. Do naszych uszu stopniowo dochodzi skowyt potężnych silników spalinowych. Po chwili sytuacja się wyjaśnia. Od Ząbkowic nadjeżdża kolumna pancerna. Czołgi ze

skowytem skręcają i biorą kurs na hutę. Z przeciwnego kierunku od strony Katowic nadciągają budy z ZOMO, jadą i jadą... W rejonie wiaduktu podobnie jak czołgi skręcają i biorą kurs na bramę główną huty.

Gromadzi nas się grupka gapiów. Z zapartym tchem obserwujemy ten niecodzienny widok. Pierwszy raz w życiu widzimy czołgi na ulicach. Ogarnia nas uczucie wściekłości wymieszanej z bezsilnością. Tam, skąd wracamy, musi teraz być piekło. A więc stało się. Armia wystąpiła przeciwko własnej, bezbronnej ludności. Obaj jesteśmy bladzi. Gdybyśmy zostali pół godziny dłużej... Teraz trzeba uważać, żeby nie wpaść z bibułą. Im głębiej wchodzimy w miasto, tym więcej patroli. Wyrywkowo legitymują przechodniów, sprawdzają torby.

Następnego dnia znowu pod hutę. Wojsko i milicja zdjęły blokadę. Dowiadujemy się, że aresztowali i spałowali trochę ludzi, zwłaszcza tych, co obstawiali bramę. Nowość. U stojących na bramie widoczne objawy paniki, chociaż zgodnie twierdzą, że będą strajkować do końca. Są czujni i nerwowi. Nagle z wolna przejeżdża policyjny gazik. Momentalnie podnosi się wrzawa. Ze strony strajkujących padają wyzwiska i gwizdy. Odczuwalna zmiana nastrojów w stosunku do dnia wczorajszego. Zanikła dotychczasowa pewność siebie. Do tej pory żaden z deklarujących poparcie zakładów nie przyłączył się do akcji strajkowej. Wyczuwa się narastającą świadomość, że ten strajk już nie jest o zwycięstwo, a raczej o honor. Ponownie bierzemy bibułę, uściski dłoni i z powrotem. Kolportujemy po znajomych.

W tamte zimowe dni jeszcze kilkakrotnie bywałem pod hutą, pooddychać wolnym powietrzem, uścisnąć ręce tym, którzy trwali, chociaż już przeczuwali, że nie będą zwycięzcami. Milicja i wojsko z różnym natężeniem zakładały i zdejmowały blokady dróg dojazdowych. Widocznie nie posiadali tak dużych sił, by móc je trwale zablokować.

Opisuję te trzy pierwsze dni, ponieważ w mojej ocenie to one zadecydowały o dalszym losie naszego kraju na przeciąg całej dekady. Jestem przekonany, że gdyby doszło do Strajku Generalnego, Jaruzelski musiałby cofnąć swój dekret tak szybko, jak go wprowadził. Solidarność jednak okazała się kolosem na glinianych nogach. Wówczas jeszcze nie wiedziałem o armii szpicli w jej szeregach. O tysiącach karierowiczów, którzy wypłynęli na fali rewolucji tylko po to, by zaspokoić trywialne ego. Kiedy przyszło do chwili próby, po prostu stchórzyli. Co innego gardłować na wiecach, wrzeszczeć na komunę, a co innego ryzykować gumową pałkę lub kilka lat więzienia. Zawalili działacze drugiego rzutu. Byli zbyt mali, by sprostać wyzwaniom czasów. Z wolna zacząłem uświadamiać sobie, że przyszłość należy do młodego, mojego pokolenia. Komuniści odblokowali nam drogę, terroryzując starszych. Teraz nadchodzi nasz czas!

Kraj, prócz pojedynczych wysp takich jak Huta Katowice nie stanął.

Później było już tylko trwanie i powolna agonia. Te dni i wydarzenia z nimi związane głęboko wbiły się w moją psychikę i na resztę życia wywarły piętno nie do zatarcia.

Dzień przed wigilią nastąpiła pacyfikacja zakładu. Resztki strajkujących zostały wywiezione podstawionymi autobusami. Rozpoczęły się represje. Przedsiębiorstwem na długi okres zawładnęła Służba Bezpieczeństwa, wspomagana armią donosicieli. Zwolniono prawie 2 tysiące osób (w większości przyjezdnych). W żadnym zakładzie w kraju skala represji nie była aż tak głęboka. Jednych zwalniano, innych awansowano na wakujące stanowiska. Ostatni bastion wolności w promieniu kilkudziesięciu kilometrów padł.

Jeszcze tej zimy zebraliśmy się w mieszkaniu Podrzyckiego, by przedyskutować położenie i zastanowić się co dalej czynić. Sytuacja była trudna. Praktycznie poza entuzjazmem i dobrymi chęciami niczym nie dysponowaliśmy. Jedyny pozytyw to fakt, że nie zostaliśmy aresztowani. Stąd wyciągnąłem wniosek, że SB nic o nas nie wie. W ferworze dziejowej burzy byliśmy zbyt mali, by mogli się nami interesować. Na tworzące się zręby podziemia też nie posiadaliśmy istotnych kontaktów.

Związek Młodzieży Demokratycznej jak inne niekomunistyczne organizacje został dekretem zawieszony, a następnie zdelegalizowany. Pozostawała grupa kilkudziesięciu osób, w tym kilkunastu dość aktywnych i problem – co dalej począć. Obaj mieliśmy świadomość historycznej chwili jaka się przed nami otworzyła. Komuniści wyeliminowali całą polityczną nadbudowę, jaka dotychczas wznosiła się nad nami, otwierając szerokie perspektywy. Do stanu wojennego mogliśmy funkcjonować wyłącznie na niwie młodzieżowej, obecnie wszystko stało otworem. Dotychczasowi ludzie Solidarności, jak przystało na „grzecznych chłopczyków", siedzieli cichutko jak myszy pod miotłą. W konfrontacji ambicji ze strachem, górę brał ten ostatni. Niedawni wiecowi krzykacze, zdeklarowani antykomuniści na naszych oczach przeradzali się w potulne baranki. Postanowiliśmy skorzystać z okazji i rzucić wyzwanie losowi. Byliśmy młodzi, a przywilejem młodości jest mierzyć wysoko. Trzeba wejść w wytworzoną przez historię próżnię i zagrać, i to do słuchu. Jest chyba bezspornym, że w tamtym okresie byliśmy najliczniejszą i najbardziej ideową strukturą opozycyjną, będącą poza kontrolą SB w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. To dodawało nam skrzydeł.

Życie zawsze jednak potrafi rzucać kłody pod nogi. Tak było i tym razem. Nie mogliśmy obaj osiągnąć porozumienia, co do strategii dalszego działania. Podrzycki uważał, że należy przejść do podziemia i organizować struktury do walki metodami terroru politycznego. Prawdopodobnie kiedyś za dużo się naczytał książek o Rosji carskiej. Ja z kolei też zakładałem przejście do podziemia, lecz walka miała przebiegać wyłącznie metodami politycznymi, zgodnie ze wskazaniem Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej Solidarności.

Argumentacja Podrzyckiego była następująca. Jeżeli władza dla obrony stanu posiadania sięga po rozwiązania siłowe, to jedyną skuteczną formą odpowiedzi opozycji może być wyłącznie terror indywidualny wymierzony w prominentnych przedstawicieli tejże władzy. Przeciętny aparatczyk partyjny jest konformistą, a nie człowiekiem idei. Jeżeli jego zdrowie i mienie będzie zagrożone, to stopniowo zacznie się dystansować od jawnego wspierania reżimu, co z biegiem czasu doprowadzi do załamania się całego systemu.

Mój punkt widzenia był diametralnie odmienny. Uważałem, że stosując terror, opozycja straci autorytet i zaufanie społeczne. Ponadto nieprzygotowane i niezorganizowane grupy nie są w stanie wytrzymać konfrontacji z wyszkolonym i dobrze wyposażonym aparatem przymusu funkcjonującym w ramach państwa totalitarnego. Terror w konfrontacji z władzą odbierze opozycji przewagę moralną. Kilkakrotne spotkania poświęcone wypracowaniu jednolitej strategii spaliły na panewce. Rozbieżność stanowisk i ich sztywna obrona przez dwóch głównych ideologów, spowodowały narastający między nami rozdźwięk, który z czasem zaczął się przeradzać w antagonizm, by w końcu stać się otwartym polem konfliktu. Nagle zrozumiałem, że mój kolega i partner polityczny jest jednostką niezrównoważoną psychicznie. Do tej pory jakoś sobie tego nie uświadamiałem. Po kolejnym spotkaniu byłem już absolutnie pewny, że nie są to fantazje wyniesione z lektur, lecz mam do czynienia z regularnym psychopatą. I to psychopatą niebezpiecznym.

Podrzycki jak na swój wiek był jednostką nietuzinkową. Posiadał zmysł polityczny i rozbudzony ponad przeciętną system ambicjonalny przy równoczesnym braku skrupułów. Był doskonałym mówcą i retorem, biły z niego elokwencja, oczytanie i pozorna logika. Bez zmrużenia oka potrafił posługiwać się kłamstwem, blefem i demagogią. Wiedział, jak podejść do ludzi młodych, by im zaimponować. A zapotrzebowanie na bohaterów zaczęło wówczas występować.

Ze zgrozą uświadomiłem sobie, że jest w posiadaniu kilkudziesięciu deklaracji członkowskich ze Śląskich, z zaznaczonymi jednostkami o największych predyspozycjach ideowych, które to adnotacje sam kiedyś poczyniłem. Sytuacja zaczęła wyglądać niebezpiecznie. Zrozumiałem, że nie mogę dopuścić, by zawładnął umysłami tych ludzi. Odbyłem kilka rozmów z osobami, których deklaracje posiadał, starając się przeciągnąć ich na swoją stronę. Efekt był różny. Trzeba przyznać, że był doskonałym demagogiem, wiedział jak imponować. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że część z nich oszukał, innych sterroryzował. Tak oto, dla kilkunastu młodych ludzi, z wolna narastał prolog ludzkiego dramatu, który miał się za rok sfinalizować. Udało mu się pozyskać dwie stosunkowo aktywne jednostki: Bogusława Ziętka i Macieja Maciąga. Moje rozmowy z nimi spaliły na panewce. Mimo początkowych wahań postanowili działać z nim, nie ze mną. Pozytywnie z kolei zachowali się chłopcy z Budowlanki. Przeszli na moje pozycje. W tym wyścigu werbunkowym zaczęła się rysować pewna prawidłowość. Starsi przechodzili do

mnie, młodsi do niego.

Kordiaczyński stwierdził, że dla zachowania pozorów będzie oscylował wokół Podrzyckiego, by mieć baczenie, aby nie zrobił jakichś głupstw. Niestety nie był o wszystkim informowany albo kłamał, ponieważ sytuacja w pewnym momencie wymknęła się spod jakiejkolwiek racjonalnej kontroli.

Aleksander Polak po wyjściu z internowania przeżywał rozterki duchowe. Mimo kilkakrotnych prób nie udało mi się go zwerbować. Twierdził, że jako osoba w pełni dojrzała nie czuje się na siłach, żeby brać odpowiedzialność za los ludzi młodych. Czynnie nigdy do mnie nie przystąpił.

Mój konflikt z Podrzyckim narastał. Zorientował się, że prowadzę rozmowy z ludźmi, przedstawiając go w roli diabła wcielonego, co jeszcze zaogniło sytuację. Któregoś dnia, kiedy zaczął mnie straszyć Pogorią i betonowymi skarpetkami, doszło między nami do szamotaniny. Po tym incydencie wszelkie stosunki między nami zostały zerwane. Mimo, iż byliśmy zdeklarowanymi antagonistami, między którymi jakiekolwiek współdziałanie stało się niemożliwe, to jednak obaj poruszaliśmy się w zbliżonym środowisku, które gdzieś na stykach wzajemnie się przenikało, dlatego w naszym obopólnym interesie leżało zawarcie jakiegoś modus operandi. Któregoś dnia z jego inicjatywy doszło do spotkania w restauracji „Parkowa". W obawie przed jego ludźmi wziąłem ze sobą Zbyszka Ciołka i Bogusława Spurgiasza w charakterze obstawy. To podziałało. Mimo, że miał w pobliżu paru swoich zachowywał się grzecznie, nawet z pewnymi elementami etykiety dyplomatycznej. Stwierdziłem w sposób kategoryczny, że nie chcę go znać i lepiej żebyśmy się już nigdy w życiu nie spotkali. Jedyne, co ustaliliśmy, to kruche porozumienie, że każdy robi swoje i nie przeszkadza drugiemu. I muszę przyznać, że chyba po raz ostatni w życiu dotrzymał słowa. Taki stan utrzymał się aż do 1988, kiedy to nasze drogi ponownie się skrzyżowały.

Latem 1982 poznałem Juliusza Łukę, pracownika Budostalu-4. Twierdził, że posiada kontakt na Lublin, skąd pochodzi, i jest w stanie zorganizować nieco sprzętu poligraficznego wraz z papierem. Dodał, że sam jest gotów zaangażować się w działalność polityczną. Ja dorzuciłem, że mam kilku pewnych ludzi. Nić porozumienia zawiązaliśmy błyskawicznie. Aż podskoczyłem z radości. Tego właśnie potrzebowałem. Nareszcie będzie można skończyć ze słowami i przejść do czynów. Zaklęte koło niemocy zostanie przerwane. Kilka dni po tej rozmowie; Julek wraz ze Zbyszkiem Ciołkiem pojechali do Lublina po zadeklarowany sprzęt.

Rewelacja to nie była. Metalowa ramka, ołowiane czcionki do składu ręcznego, wałki, farba drukarska i trochę papieru. To wystarczyło, by ruszyć z edycją pierwszej ulotki. Był to druk propagandowy mający dodać społeczeństwu otuchy i zamanifestować, że mimo represji stanu wojennego Solidarność żyje i to nawet na tak skomunizowanym jak nasz terenie. Nakład wynosił jakieś 500

egzemplarzy. Znikomą część chłopcy wzięli do kolportażu własnymi kanałami. Ze względu na występujące ryzyko zasadniczej dystrybucji podjąłem się osobiście. Dla większego bezpieczeństwa postanowiłem, że będę to czynił w pojedynkę. Dzieliłem nakład na 50-egzemplarzowe paczki tak ułożone, aby przy rzucie mogły się swobodnie rozlecieć. Wieczorową porą w rejonie przystanków tramwajowych i autobusowych systematycznie je rozrzucałem. Kiedy nadjeżdżał tramwaj ludzie bardzo szybko je podnosili. Idealnie do tego celu nadawały się przejścia podziemne. Zawsze dbałem, aby mieć przy sobie wyłącznie jedną paczkę. Przed rzutem nie mogłem być zatrzymany, gdyż nie było powodu, a po byłem już czysty. Wracałem do domu po następną paczkę i pół godziny później rzucałem już w zupełnie innym miejscu. I tak do wyczerpania nakładu. W sumie wydrukowaliśmy około pięciu edycji ulotek w nakładach 800-1000 egzemplarzy każda. Nakład nie był imponujący, ale poważnie nas limitował brak papieru oraz manufakturowy system pracy. Druk polegał na złożeniu tekstu z metalowych czcionek w stalowej ramce. Na tak przygotowaną matrycę nakładało się specjalnym wałkiem warstwę farby drukarskiej. Na to należało położyć kartkę papieru, przykryć płytką filcową i przejechać ciężkim wałkiem dla docisku. I tak każdą stronę oddzielnie. Wszystkie ulotki były w treści zgodne z oświadczeniami Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej Solidarności, które były nam znane za pośrednictwem Radia Wolna Europa.

Teraz po latach z pewnym rozrzewnieniem wspominam tamten okres. Wieczorne godziny, zastraszeni ludzie i ja samotnie krążący ulicami z ulotkami za pazuchą, szukając stosownego momentu do rzutu. Właśnie wtedy czułem się naprawdę wolny. Wierzyłem w swoją misję i byłem przekonany jak każdy rewolucjonista, że te wyrzeczenia nie pójdą na marne. Dawało mi to poczucie własnej wartości. W tym okresie napisałem kilka swoich najlepszych wierszy.

Rozdział IV
POD KOMITET

13 października 1982 o godzinie 17.00 w prebazylice przy ulicy Czerwonych Sztandarów miała się odbyć uroczysta Msza za Ojczyznę w intencji wszystkich osób represjonowanych przez władzę komunistyczną. Chodziły głosy o planowanej po nabożeństwie manifestacji. Postanowiliśmy pójść w siedem osób.

Już przed kościołem zaobserwowałem nienormalną sytuację. Mimo lekko mżącego jesiennego deszczu w różnych punktach, przeważnie po dwóch stali nieznani mężczyźni. Nie wiem dlaczego, ale wyczuwało się esbeka. Od czasu do czasu przemykała jakaś milicyjna nyska, z wolna hamując na wysokości świątyni.

Kazanie było jakieś nijakie, księdzu głos drżał, tak jak i ręce. Chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział co i jak, by nie narazić się zbytnio na ewentualne szykany.

Pierwszy raz uczestniczyłem w nabożeństwie w gronie, w którym całkowicie dominowali mężczyźni. Kobiety można było policzyć na palcach jednej ręki. Dużo jakichś brodatych twarzy, ludek niezbyt religijny. Większość nie wiedziała, w którym momencie należy klękać, w którym wstawać. Oczywistym stawało się, że nie posługa religijna była głównym powodem, dla którego się tutaj zebrali. Na zakończenie z kilkuset męskich piersi gruchnęła pieśń „Boże coś Polskę" i ręce powędrowały w górę na kształt litery „V". Temperatura się podniosła.

Pamiętam, że ze wzruszenia świeczki stanęły mi w oczach. Nareszcie na tym kawałku kościelnej ziemi jestem wśród swoich mimo agentów, którymi nafaszerowany był tłum. Nas jest więcej i to oni ukrywają się przed nami. Jakaś taka wewnętrzna satysfakcja.

Po nabożeństwie ci, którzy przyszli wyłącznie się pomodlić, udali się do domów. Na placu przed kościołem zostało nas jakieś 300 osób. Oczekiwaliśmy na to, co miało się wydarzyć. Kilkakrotnie ponawiane próby wznoszenia antyreżimowych okrzyków nie wypalały. Dopiero przejeżdżająca powoli milicyjna nyska rozbudziła emocje. Ktoś zaintonował:

- Uwolnić Lecha!

Złapało. Chwilę później z kilkuset gardeł hasło to grzmiało, odbijając się echem wśród okolicznych domów. Tłum najwyraźniej się rozbudzał. Rozległy się brawa. Co chwila intonowano nowe okrzyki:

- Solidarność! Solidarność!

- Chcemy Lecha, nie Wojciecha!

Tłum był już rozbudzony. Wtedy zza kościoła wyszło dwóch trzymających się pod ręce mężczyzn.

- Co, tak stoicie! Pod Komitet!

- Pod Komitet! - zaintonował tłum.

Ze śpiewem „Jeszcze Polska nie zginęła” ruszyliśmy w ślad za nimi. W oknach okolicznych domów pojawiły się liczne twarze gapiów.

- Chodźcie z nami! – krzyczeliśmy do nich.

Niektórzy dołączali, inni na znak aprobaty przyjaźnie machali rękami. Na wysokości przejścia dla pieszych w rejonie Szkoły Podstawowej Nr 7 przeszliśmy na drugą stronę ulicy, udając się w rejon ścisłego centrum. Podczas przechodzenia przez jezdnię na kilka minut zablokowaliśmy ruch kołowy. Ludzie z zatrzymanych autobusów spoglądali ciekawie, niektórzy machali rękami. Liczyliśmy, że po sforsowaniu centrum nasze szeregi znacznie się wzmocnią. Faktem jest, że ludzi przybywało. Początkowe bariery nieśmiałości zostały przełamane. Tłum w pełni rozbudzony, rytmicznie i z entuzjazmem skandował rymowane hasła. W oświetlonym śródmieściu przywitały nas rozstawione milicyjne pojazdy i tłumek ludzi zbity pod wiatą przystanku autobusowego vis a vis Domu Towarowego „Centrum”. Na widok milicji pochód się zatrzymał. Nastąpiły chwile nerwowego wyczekiwania.

- Gestapo! Gestapo! – krzyczeliśmy z całych gardeł.

- Nie rozchodzić się! Oni się rozstąpią! – wrzasnął jakiś mężczyzna.

- Na tory tramwajowe! Tam są kamienie! – rzucił inny.

Krótką chwilę staliśmy naprzeciw siebie, lustrując się wzrokiem. W końcu, niepewnym krokiem, skandując: „Solidarność! Solidarność!”, nieśmiało ruszyliśmy przed siebie. Uszliśmy tylko jakieś dziesięć kroków. Kiedy czoło pochodu zaczęło zlewać się z ludźmi z przystanku, z rozstawionych nysek w pełnym biegu zaczęli wyskakiwać zomowcy z bojowymi ponad półmetrowymi pałami. Rozpętało się piekło. W czasie, gdy pierwsze szeregi demonstrantów starły się z nacierającymi milicjantami, wmieszani w tłum cywilni agenci zaczęli podkładać nogi i wyłapywać pojedyncze osoby. Ciągnęli je w kierunku jezdni, gdzie byli wrzucani do podjeżdżających bud. Atak zaskoczył nas swą szybkością i brutalnością. Starcie nie trwało nawet kilkunastu sekund. Zwarty tłum błyskawicznie się załamał. Szeregi ogarnęła panika, dając asumpt do chaotycznej ucieczki. W powstałym zamieszaniu pogubiłem się z przyjaciółmi. Obok mnie był tylko Zbyszek Ciołek i chłopak, którego nazwiska nie pamiętam, mówiliśmy na niego Paznokieć. Wraz z innymi rzuciliśmy się do niesławnej ucieczki, kierując się w stronę tonących w mroku zarośli Parku Centrum. Kiedy przebijaliśmy się przez park, do naszych uszu co chwila dochodziły odgłosy walk toczonych w alejkach. Przemykaliśmy zaciemnionymi krzakami, starając się nie wychodzić na oświetlone alejki, po których jak po autostradzie kursowały milicyjne nyski. Łapano i bito napotkane osoby. Bito zarówno uciekających demonstrantów, jak też przypadkowo napotkanych przechodniów.

Na płycie boiska sportowego Zespołu Szkół Mechanicznych Nr II znienacka zaatakowało nas trzech mężczyzn po cywilnemu. Z okrzykiem:

- Łap skurwysyna! – rzucili się w naszym kierunku.

W mgnieniu oka ulegliśmy rozproszeniu. Z mrocznego parku w pełnym biegu wyskoczyłem na oświetloną ulicę Czerwonych Sztandarów. Po prawej

stronie zobaczyłem grupę milicjantów stojących naprzeciwko tłumku osób zgromadzonych na schodach budynku szkolnego. To wieczorówka skończyła zajęcia i nie mogła opuścić budynku, gdyż drogę blokowała milicja. Nad nimi unosił się dymek z petardy wystrzelonej z przejeżdżającego pojazdu. Gwałtownie skręciłem w lewo. Naprzeciw mnie biegło kilku mundurowych. Odruchowo wskoczyłem do klatki schodowej najbliższego bloku. Znałem go dobrze. Moje mieszkanie było trzysta metrów dalej. Klatka schodowa miała przejście na wylot, na park. Znowu w parku... Przycupnąłem między załomem muru a kontenerem na śmieci. Zrozumiałem, że nie dotrę do domu. Czułem, że serce wali mi jak młot i mam poważne problemy z uregulowaniem oddechu. A więc tak czuje się tropiona zwierzyna...

Słyszałem nerwowe kroki na klatce schodowej, którą przed chwilą przebiegłem. Chwilę się pokręcili, padły jakieś słowa, których nie mogłem zrozumieć. Najwyraźniej mnie szukali. Odczekałem kilka minut, aż odgłosy ustały. Przypomniałem sobie, że w tym budynku w sąsiedniej klatce mieszka mój kolega ze szkolnej ławy – Zbigniew Kolera. Chyłkiem, przebiłem się do jego mieszkania, gdzie udzielono mi azylu.

Pozostali dwaj koledzy, przeskoczyli oba pasma ulicy i tory tramwajowe, by opłotkami, omijając krążących cywilnych łapaczy przemknąć w kierunku Redenu, gdzie było stosunkowo spokojnie. Znacznie gorzej los obszedł się z pozostałymi. Bogusław Spurgiasz, jeszcze w śródmieściu został pojmany przez dwóch cywili i wraz z innymi wrzucony do milicyjnej budy. Odwieziono ich na Komendę Milicji, gdzie jeszcze dodatkowo byli bici przez różnych cywilów i obrzucani epitetami typu „reganowskie skurwysyny". Sądząc po słownictwie byli to agenci Służby Bezpieczeństwa. Koledzy noc spędzili w areszcie, by następnego dnia stanąć w trybie doraźnym przed kolegium do spraw wykroczeń. Jeden z nich, pracownik KWK Zawadzki, dzielnie walczył z cywilami przy wejściu do hotelu robotniczego Huty Dzierżyński. Zakrwawionego władowano go do budy. Był jeszcze bity na komendzie. Przesiedział 48 godzin. Rozpatrywano możliwość wniesienia przeciwko niemu aktu oskarżenia za czynny opór wobec władzy. Bronił się stwierdzeniem, że został napadnięty przez bandytów. Skąd mógł wiedzieć, że są to funkcjonariusze milicji, wszak mundurów nie nosili. W końcu prokurator odstąpił od wcześniejszego zamiaru. Skończyło się na kolegium i prewencyjnym biciu na komendzie. Ogółem na siedmioosobową naszą grupę, trzech zostało schwytanych. Dwóch było robotnikami, natomiast Spurgiasz – uczniem. Zachodziła poważna obawa, że za udział w manifestacji może zostać relegowany ze szkoły.

W obu piątych klasach technikum została przeprowadzona zbiórka pieniędzy na kolegium dla Bogusława. Był to piękny przykład solidarności wśród młodzieży. W zasadzie nikt nie odmówił. Do relegowania ze szkoły też nie doszło, w czym duża zasługa ówczesnego dyrektora – Stanisława Koziorowskiego. Należał do kategorii oświeconych komunistów, o ile w ogóle nim był. W przeciwieństwie do innych miał ludzkie odruchy. Po rozmowie z

Bogusiem, w trakcie której ten potwierdził swój dobrowolny udział w manifestacji, postanowił go nie relegować. Tym bardziej ten fakt jest godny odnotowania.

Taki przebieg miał nasz pierwszy kontakt z osławionymi siłami porządkowymi PRL. Muszę przyznać, że ich brutalność i bezwzględność wywarły na mnie duże wrażenie i w jeszcze większym stopniu spotęgowały nienawiść do systemu. Dało mi to kolejny impuls, żeby dołożyć wszelkich starań by trwał on jak najkrócej.

Rozdział V
GRA NERWÓW

Po otrząśnięciu się z wydarzeń październikowej manifestacji powróciliśmy do normalnego druku i dystrybucji. Julek Łuka wpadł w gniew za naszą ułańską fantazję. Twierdził, że pójście do kościoła i udział w manifestacji było głupim przykładem szczeniackiej samowoli. Człowiek, który zajmuje się konspiracją, nie powinien w tym brać udziału, ponieważ zwiększa to możliwość wpadki. W ten sposób jeden z nas jest niepotrzebnie notowany. Nadmienić należy, że bezpośrednio w procesie druku zaangażowane były cztery osoby: Julek Łuka, Zbyszek Ciołek, Bogdan Spurgiasz i ja. Trudno było, nie przyznać mu racji.

Stopniowo zacząłem sobie uświadamiać, że dalszy druk ulotek wyłącznie dla samego faktu podtrzymywania społecznego oporu traci sens. Należało przejść do roboty bardziej dojrzałej politycznie i tworzyć zręby organizacji. Właściwie to one same już się tworzyły. Wokół nas oscylowała grupa kilkunastu osób o różnym stopniu wtajemniczenia i zaangażowania. Jedni dostarczali papier wykradany z biur, inni informację, jeszcze inni pomagali w kolportażu. Trzeba tutaj nadmienić, zwłaszcza młodemu czytelnikowi, iż funkcjonowaliśmy w warunkach realnego socjalizmu. W owym okresie żadnych z potrzebnych nam akcesoriów nie można było dostać na rynku. Zwykły papier maszynowy czy kserograficzny mogły kupować wyłącznie instytucje. Farba drukarska była poza zasięgiem zwykłego śmiertelnika. Wszystko musiało być wykradane, gdyż nie istniała żadna inna możliwość zdobycia potrzebnych nam akcesoriów. Zdawałem sobie sprawę, że należy to wszystko uporządkować i tak się przegrupować, by można było miękko przejść do działalności stricte politycznej. Główną jego formą miało być wydawanie lokalnego pisma politycznego, kolportowanego poprzez znajomych, pozostawianego w miejscach publicznych, takich jak kościoły, przystanki, skrzynki pocztowe. Do tego celu potrzebna jednak była duża ilość małej czcionki wraz ze znakami interpunkcyjnymi, a także sprawna sieć kolporterów. Julek deklarował, że w Lublinie mała czcionka, jakiej potrzebujemy już się szykuje. Należało przede wszystkim budować kanały informacyjne i szykować środowiskowych kolporterów. Nie było to zadanie proste zważywszy na problemy kadrowe. O ile ludzi do funkcji pomocniczych (niekaralnych) nie brakowało, o tyle występował chroniczny ich brak do roboty zasadniczej (karalnej). Chodziło tu przede wszystkim o ludzi sprawdzonych, pewnych, obdarzonych twardą konstrukcją psychiczną, gdyż tylko tacy mogli temu wyzwaniu podołać. Zacząłem szukać kontaktów z innymi strukturami. Z pomocą Marka Kordiaczyńskiego podjąłem rozmowy w Gliwicach z Eugeniuszem Kondraciukiem. Chcąc podnieść swoją rangę w ewentualnych negocjacjach musiałem uczynić coś spektakularnego. Tak zrodził się pomysł zorganizowania manifestacji. Manifestacji w miarę spokojnej, by obeszło się bez

takich zajść jak w październiku. Najlepszym momentem wydawało się państwowe wówczas święto 1 Maja. W tym dniu siły porządkowe ze względu na komunistyczne pochody musiały być rozproszone po wszystkich miastach, by ochraniać oficjalne przemarsze. Dlatego ich koncentracja wydawała się wykluczona. Po drugie, użycie ZOMO w centrum miasta w obecności tysięcy komunistycznych popleczników byłoby ze względów politycznych niewskazane. Moim zdaniem należało skorzystać z okazji i zebrać kilka tysięcy ludzi w wyznaczonym miejscu o oznaczonej porze. Jako pretekst postanowiłem wykorzystać tradycję organizowania przez Kościół corocznej mszy w intencji ludzi pracy o godzinie 9.00. Należało tylko wydrukować odpowiednią ilość ulotek i na czas je rozkolportować. Taka akcja byłaby doskonałym sprawdzianem naszej organizacji i możliwości.

Swój plan przedstawiłem kolegom i uzyskałem ich akceptację. Ze względów bezpieczeństwa w treści przygotowywanej ulotki nie było żadnej wzmianki o planowanej manifestacji, a wyłącznie agitacja i prośba o przybycie na mszę. Było dla nas oczywiste, że kiedy w momencie rozpoczęcia oficjalnego pochodu tuż po przemówieniu Jaruzelskiego ok. 10.30 komuniści i ich poplecznicy będą musieli starym zwyczajem przejść koło kościoła, wywoła to wśród zgromadzonych przez nas ludzi (msza kończyłaby się o 10.00) odpowiednią atmosferę do kontrmanifestacji. Postanowiliśmy wykorzystać cały posiadany przez nas zapas papieru i wydrukować 5 000 ulotek. Według moich przewidywań w takiej sytuacji rola milicji ograniczałaby się wyłącznie do rozdzielenia dwóch konkurencyjnych zgromadzeń i niedopuszczeniu do bijatyk między ich uczestnikami. Tak było w całym kraju w maju 1982 i taki sam scenariusz zakładałem na rok 1983. Prace nad drukiem ulotki rozpoczęliśmy już w marcu. Ogółem wydrukowaliśmy 3 500 sztuk. Był to największy z dotychczasowych nakładów.

Na przełomie marca i kwietnia 1983 zaczęły się wokół nas rozgrywać zgoła przedziwne wydarzenia. Pewnego dnia wpadł do mnie Zbyszek Ciołek z informacją, że w hotelu robotniczym Budostalu-4, gdzie mieszkał Julek i gdzie przechowywaliśmy sprzęt drukarski miała miejsce rewizja. Ponoć w pobliżu okradziono jakiś sklep odzieżowy i milicja rutynowo postanowiła przejrzeć pobliski hotel. Według naszych informacji pokoje przeglądane były bardzo pobieżnie. Było to tym bardziej dziwne, że zdaniem portierki w przeszukiwaniu oprócz mundurowego milicjanta uczestniczył facet po cywilnemu. Sprawa ta od początku wydawała mi się podejrzana. Na wszelki wypadek założyłem, że SB zaczyna wokół nas zaciskać pętlę. Julek twierdził, że nic nie było ruszane, sprzęt był w miarę dobrze ukryty w neseserze. Ze względów bezpieczeństwa wymogłem na nim ewakuację drukarni. Przerzuciliśmy ją w dwa różne miejsca. Ta część, która była niezbędna do dalszego druku ulotki pierwszomajowej, powędrowała do mieszkania Bogusława Spurgiasza mieszkającego wówczas w

Sikorce. Tam planowaliśmy kontynuację pracy. Natomiast część pozostałą, zbędną przy tej operacji przerzuciłem do Wojkowic Kościelnych do mieszkania szkolnego kolegi – Krzysztofa Kaźmierczyka. Rodzice jego dysponowali obszernym prywatnym domem. Krzysiek, człowiek małomówny, raczej skryty nie był zaangażowany w naszą działalność, dlatego był poza wszelkimi podejrzeniami. To był właściwy człowiek i idealne miejsce na „melinę".

W tym samym okresie wpadł Podrzycki. W szkole rozpoczęły się aresztowania jego ludzi. Łącznie zatrzymano 11 osób, z czego 9 osadzono w areszcie tymczasowym. Jak się później dowiedziałem, z jego polecenia za odmowę wykonania jakiegoś polecenia został pobity jeden z chłopców. Chodziło o śledzenie listonosza w celu dokonania ewentualnego napadu rabunkowego. Zastraszony i zdesperowany chłopiec powiadomił rodziców, ci z kolei milicję. Chłopak opowiedział wszystko, co wiedział o organizacji. To wystarczyło, by rozpocząć aresztowania. Taki był koniec jednostki psychopatycznej i tych, którzy ze względu na brak doświadczenia, na ogół omyłkowo związali z nią swój los. Rozpoczęła się dla nich prawdziwa gehenna. Organizacja Podrzyckiego nosiła charakter polityczno – bandycki, stąd wynikało odpowiednie traktowanie jej członków przez funkcjonariuszy bezpieczeństwa. Byli traktowani jak na bandytów przystało. Sądzę, że rozumny czytelnik wie, co kryje się pod tak lapidarnymi określeniami. Niektórych z nich nawet mi trochę żal. W większości byli to przecież młodzi, ideowi chłopcy, chcący politycznie przeciwdziałać zdegenerowanej władzy. Przypadkiem, przez nieuwagę związali się z psychopatą, który z pomocą paru byczków z premedytacją ich terroryzował, zmuszając do czynów, których nie akceptowali i nie uznawali. I to właściwie była ich jedyna wina.

Wydarzenie to, stawiało nas w niekorzystnej sytuacji, ponieważ w trakcie śledztwa ze względu na naszą wcześniejszą znajomość mogli namierzyć mnie. Atmosfera ulegała zagęszczeniu. Obawy szybko się potwierdziły. Na trzeci dzień po ich aresztowaniu zostałem wezwany na Komendę Milicji, celem złożenia wyjaśnień, w jakich okolicznościach go poznałem.

Nie chcąc rezygnować z zaplanowanego scenariusza, postanowiliśmy nie poddawać się panice, szybko zakończyć druk ulotki i na dobre zamelinować drukarnię, aż do ostatecznego wyklarowania sytuacji. Drukowaliśmy teraz w mieszkaniu Spurgiasza. Już wtedy odnosiłem wrażenie, że jestem okresowo śledzony. Uważałem jednak, że SB nie uderzy, dopóki nie będzie miała pewności, że trafi w dziesiątkę, zabezpieczając odpowiedni materiał dowodowy. Boguś też coś przeczuwał. Domagał się ewakuacji sprzętu ze swojego mieszkania.

W szkole cały czas urzędowali esbecy. Wertowali dokumenty, prowadzili wywiad wśród nauczycieli. Wraz z kilkoma innymi uczniami zostałem

ponownie wezwany na komendę w celu wyjaśnienia, w jakich okolicznościach wszedłem w posiadanie fałszywego zwolnienia lekarskiego, które złożyłem jak dziesiątki innych uczniów. Zwolnieniami tymi handlował Podrzycki, dorabiając do działalności politycznej. Po złożeniu stosownych wyjaśnień zaprowadzono mnie do jakiegoś oficera, który bacznie mnie zlustrował.

- Hm, to ty jesteś tym Frączkiem...?! Będziemy musieli sobie znacznie więcej naopowiadać. Ale to już przy innej okazji. Tymczasem jesteś wolny...

Po tej zagadkowej rozmowie miałem już pełnię świadomości, że coś wiedzą. Nie mogłem tylko wiedzieć ile. Na wszelki wypadek postanowiłem działać szybko. Ponieważ ulotka została już wydrukowana w 3 500 egzemplarzach, postanowiliśmy przerwać jej dalszy druk, zamelinować sprzęt i wyczyścić mieszkania.

Jakież było moje zdziwienie, gdy Julek zamiast przystać na moje rozwiązanie, stanowczo zaczął domagać się zwrotu sprzętu drukarskiego. Nie skutkowały żadne argumenty ani słowna perswazja. Obawiał się, co zresztą na wstępie podkreślił, iż chcę metodą faktów dokonanych przejąć całkowitą kontrolę nad działalnością naszej grupy, spychając jego do roli ślepego wykonawcy. Ponieważ był z nas najstarszy, ambicja nie pozwalała mu realnie ocenić panującej sytuacji. Muszę z całkowitą konsekwencją podkreślić, iż jego podejrzenia nie miały żadnego uzasadnienia i były jedynie produktem wyobraźni. Kilka bezcennych w tej sytuacji dni zostało straconych na wzajemne wyjaśnienia. Tłumaczyłem, że jest niedobrze, że pętla wokół nas się zaciska, że hotel to fatalne miejsce na przechowywanie tak trefnego towaru, że mam gotową bezpieczną melinę. Nic nie docierało do jego zacietrzewionej mózgownicy. Powiedział mi, że złapał kontakt na jakiegoś faceta, który posiada dojścia do RKW w Katowicach i prawdopodobnie przez niego był sterowany. Już po obaleniu komuny poznałem nazwisko tajnego informatora SB, ulokowanego wokół nas, i to on prawdopodobnie wciskał mu ciemnotę, by odebrał ode mnie sprzęt, który przy aresztowaniu mógłby zostać zarekwirowany, służąc za corpus de licti. Trzeba nadmienić, że nasze aresztowanie bez dowodów nie miało najmniejszego sensu. Dopóki sprzęt znajdował się w moim posiadaniu, praktycznie był poza zasięgiem SB. Ale o tym dowiedziałem się wiele lat później. Wówczas nie mogłem za nic zrozumieć, skąd w głowie Julka wzięły się chorobliwe podejrzenia w tak dotychczas harmonijnej naszej współpracy. Wspólnie ze Zbyszkiem Ciołkiem doszliśmy do wniosku, że chyba nerwy mu puszczają. Nic do niego nie docierało. Dla świętego spokoju, zrezygnowany postanowiłem dokonać aktu przekazania.

Poddałem się tak łatwo dlatego, że zbliżał się termin obrony mojej pracy dyplomowej i chciałem mieć kilka dni na naukę. Po zdaniu egzaminów postanowiłem poświęcić się przygotowaniom do planowanej manifestacji. W związku z powyższym razem ze Zbyszkiem pojechałem do Sikorki. Spakowaliśmy drukarnię i zamiast na melinę do Kaźmierczyka jak nakazywała

logika, pojechaliśmy do Łuki dopełnić aktu przekazania. Ponieważ nie zastaliśmy go w mieszkaniu, sprzęt chwilowo zdeponowaliśmy u Zbyszka. Wieczorem miał go przekazać Julkowi. Druga jego część, cały czas była jeszcze zdeponowana w Wojkowicach Kościelnych. Została Julkowi przekazana dopiero kilka miesięcy później, już po naszym wyjściu z aresztu. Gdyby nie jego ośli upór, nigdy z braku dowodów nie bylibyśmy postawieni w stan oskarżenia. A nasza przygoda z SB skończyłaby się co najwyżej 48-godzinnym zatrzymaniem.

Po dokonaniu absurdalnej w takiej sytuacji operacji, postanowiłem przygotować ludzi do kolportażu. Było to największe z dotychczasowych przedsięwzięć. Miało w nim uczestniczyć łącznie kilkanaście osób. Zdawałem sobie sprawę, iż od momentu pojawienia się ulotek na ulicach, SB połapie się, że chodzi o manifestację. Zrobią wszystko, by ją udaremnić i nasza drobna gra w kotka i myszkę zostanie przez nich natychmiast przerwana. Dlatego ze względów bezpieczeństwa ulotki musiały być rozrzucone w jednym dniu o ściśle określonej porze. Później miasto będzie naszpikowane agentami, co znacznie zwiększy skalę ryzyka. Czas trwania akcji nie dłuższy niż 30 minut.

Odbyłem serię spotkań z kolporterami, między innymi Janem Borkowskim, bratem emigranta do USA, Andrzejem Furmaniakiem i innymi, których nazwisk już nie pamiętam (w większości nie mieszkają już na tym terenie). Każdego informowałem o założeniach akcji i wręczałem plik ulotek, których ze względu na zaciskającą się pętlę musiałem jak najszybciej się pozbyć. Planowany termin akcji – 27 kwietnia, godzina 15.00 – 15.30. W krytycznym dniu, strategiczne punkty miasta miały zostać zarzucone naszą bibułą. Miałem pełną świadomość, iż po tej akcji nasza gra z SB zostanie przerwana i nawet bez wystarczających dowodów, na chybił trafił dokonają uderzenia. Nie wiedziałem tylko, o ilu osobach oprócz mnie wiedzą. Ponieważ nic u mnie nie znajdą, po 48 godzinach będę wolny w sam raz na 1 Maja. Dzień przed akcją miała się odbyć odprawa i ostateczne ustalenie szczegółów. Do tego jednak nie doszło, ponieważ SB była szybsza niż przypuszczałem.

Tuż po obronie pracy dyplomowej, w sobotę 23 kwietnia w godzinach przedpołudniowych złożył mi wizytę Janusz Kulawik, szkolny kolega mieszkający w internacie. Przysłała go wychowawczyni – Ewa Klemińska z powiadomieniem, bym koniecznie w poniedziałek 25 kwietnia stawił się w szkole na godzinę 9.00, gdyż wyniknęła jakaś bardzo ważna sprawa. Nie sprecyzowała jaka, chociaż prawdopodobnie bardzo dobrze wiedziała.

W niedzielę 24 kwietnia w godzinach południowych na ulicy, w sposób wyjątkowo bezczelny zrobiono mi zdjęcie. Fotografujący nawet się z tym nie krył. Rozumiałem, że gra wchodzi w okres przesilenia. W pierwszym odruchu chciałem nawet pobiec do Julka i jeszcze raz go nacisnąć, by oddał sprzęt na melinę i dokładnie wyczyścił mieszkanie. Jednak po chwili namysłu, na samo wspomnienie poprzednich nieudanych perswazji i jego zacietrzewienia

zarzuciłem ten pomysł. Doszedłem do wniosku, że skoro jest dorosły, powinien bardzo dobrze zdawać sobie sprawę z tego, co się wokół nas wyczynia. Zresztą deklarował mi, że mieszkanie dokładnie wyczyści. Po wizycie w szkole w godzinach popołudniowych miałem w planie spotkanie z ludźmi, celem ostatecznego dogrania kolportażu na 27 kwietnia. Gra nerwów nadal trwała. Rozpoczynało się odliczanie...

Rozdział VI
PO TAMTEJ STRONIE

Nieświadom tragedii, zgodnie z zaleceniem udałem się do szkoły. Nie przekroczyłem nawet drzwi wejściowych, kiedy zatrzymała mnie dyrektorka – Zenona Pilarek. Poinformowała, że mam się natychmiast udać na Komendę Milicji, gdyż od samego rana telefony się za mną urywają. Zbladłem... Zaczęło do mnie docierać, że sytuacja jest naprawdę poważna. W ostatnim okresie byłem dwukrotnie przesłuchiwany w sprawie Podrzyckiego. To, co mogłem wyjaśnić, zostało wyjaśnione i nie miałem już nic więcej do dodania. Przesłuchujący mnie dobrze o tym wiedział. Zacząłem podejrzewać, że tym razem moje wezwanie nie może mieć związku z Podrzyckim. Do tego to zdjęcie zrobione w dniu wczorajszym i sugestia jakiegoś oficera sprzed dwóch tygodni, że w przyszłości będę musiał jeszcze wiele wyjaśnić...

Podczas krótkiej, kilkuset metrowej drogi moją wyobraźnią targały myśli nawzajem ze sobą sprzeczne. Może już wiedzą o mojej działalności? Jeżeli tak, to ile? Dlaczego taka dziwna forma wezwania? Przez szkołę?! To się wszystko kupy nie trzyma. Ostatecznie przyjąłem założenie, że i tym razem chodzi o jakiś nieznaczący epizod do wyjaśnienia. Dość, że na chwiejnych co prawda nogach, ale w pełni dobrowolnie zdecydowałem się wejść do paszczy lwa.

Przesłuchujący mnie mężczyzna już na samym wstępie rozwiał wszelkie dotychczasowe wątpliwości i nadzieje.

- Twoje położenie nie jest najszczęśliwsze... Być może jednak da się coś dla ciebie zrobić, jeżeli złożysz wyczerpujące wyjaśnienia na temat tych oto ulotek!

Tu położył na biurku dobrze mi znane druki. Ze zgrozą spostrzegłem, że oprócz starych naszych ulotek posiada również egzemplarz tej ostatniej, pierwszomajowej. Ulotka ta dopiero za dwa dni miała się znaleźć w oficjalnym kolportażu. W lot pojąłem, co się wydarzyło. Część kolporterów nie wytrzymując nerwowo, rozpoczęła dystrybucję jeszcze przed wyznaczonym terminem. Tajny informator, w którego ręce wpadła jedna z nich, dostarczył bezpiece egzemplarz, przynajmniej w piątek. W lot zorientowali się, że tym razem chodzi o manifestację i natychmiast w trybie pilnym, zwrócili się do dyrekcji szkoły. Ta z kolei przysłała po mnie ucznia. Perfidia tej operacji polegała na fakcie, iż zarówno Zenona Pilarek, jak i Ewa Klemińska nie poinformowały posłańca, że i tym razem chodzi o Służbę Bezpieczeństwa. Obie panie pedagog odegrały klasyczną rolę nagonki wystawiającej tropioną zwierzynę na strzał myśliwego. Obie były pośredniczkami w powyższej łapance. Gdyby Klemińska – wysyłając po mnie ucznia – poinformowała, że chce ze mną rozmawiać bezpieka, sytuacja wyglądałaby zgoła odmiennie. Podejrzewając podstęp, wyczyściłbym mieszkanie i uprzedził kolegów. Ci, postąpiliby analogicznie i kleszcze łapaczy zamknęłyby próżnię. Co najwyżej

mogliby nas zatrzymać na 48 godzin. Ale tego nie uczyniła. Postąpiła dokładnie według otrzymanych instrukcji. Tak straciłem bezcenne dwa dni, niezbędne dla zatarcia śladów. W efekcie powyższego podstępu, nie do końca świadom niebezpieczeństwa 25 kwietnia 1983 około godziny 9.00 dobrowolnie stawiłem się w Komendzie Milicji. Moje założenia, iż do 27 – oficjalnej daty kolportażu – nie zostanę ruszony, pękły jak mydlana bańka.

Po kilku wstępnych pytaniach zrozumiałem, że przeciwnik nie dysponuje precyzyjną wiedzą, aczkolwiek jest absolutnie przekonany, że mam z przedłożonymi drukami ścisły związek. Nie wiedząc na ile obszerna jest wiedza drugiej strony, postanowiłem zagrać na czas. Spytałem, w jakim charakterze jestem przesłuchiwany.

- Świadka! – padła odpowiedź.

- Świadka, ale w czyjej sprawie?

Tu zapanowała nerwowa cisza.

- Więc jaki jest mój status, świadek czy oskarżony?

- Właściwie to oskarżony... – padła odpowiedź.

- Wobec powyższego pragnę skorzystać z przysługującego mi prawa do odmowy składania wyjaśnień.

- Jeżeli odmówisz, będziemy musieli zamknąć cię do aresztu!

- To już wasza sprawa!

Gdzieś wyszedł, prawdopodobnie do przełożonego. Po chwili wrócił.

- Idziesz pod klucz!

W piwnicy przy przyjęciu do aresztu problemy. Facet nie posiadał jakiegoś dokumentu. Strażnik się wahał. W końcu oficer wyjaśnił, że sprawa jest wyjątkowa i zaraz dopełni wszelkich formalności. Tak, pierwszy raz w życiu trafiłem do aresztu na Komendzie Milicji przy ulicy Czerwonych Sztandarów. Kiedy zostałem sam w dwuosobowej celi, starałem się zebrać wszystkie myśli i przeprowadzić gruntowną analizę położenia. W mojej ówczesnej ocenie wcale nie wyglądało ono beznadziejnie. Gwałtowną reakcję bezpieki tłumaczyłem przedwczesnym przeciekiem ulotki pierwszomajowej. Metoda wezwania mnie poprzez szkołę, zaskoczenie przesłuchującego odmową składania wyjaśnień, pozostawienie mnie samego w pokoju przez pięć minut celem konsultacji z przełożonym oraz niedopełnienie formalności przy przyjęciu do aresztu jednoznacznie wskazywały, że pierwotnie moje zatrzymanie nie było planowane. Zadawane mi pytania wskazywały, że przeciwnik nie jest zbyt głęboko zorientowany w szczegółach naszej działalności. Miałem nadzieję, że wszyscy mamy czyste mieszkania. Co do nas trzech byłem pewny, natomiast Łuka miał zgodnie z wcześniejszymi deklaracjami wynieść sprzęt do jakiegoś znajomego, który ponoć miał kontakty z RKW. W świetle powyższego postanowiłem konsekwentnie odmawiać zeznań i czekać, czy po 48 godzinach prokurator będzie miał wystarczającą podstawę do wydania nakazu

aresztowania. Jeżeli nie, wyjdę na wolność. Wieczorem, kiedy wystawiałem buty na korytarz, zauważyłem dwie cele dalej charakterystyczne adidasy Zbyszka Ciołka. Więc jednak jest nas tutaj więcej... Noc minęła spokojnie.

Następnego dnia rano zostałem zaprowadzony na drugie piętro, gdzie oczekiwał mnie młody, może trzydziestoletni mężczyzna.

- Nazywam się Tadeusz Kaszuba, mam stopień podporucznika Służby Bezpieczeństwa. Jestem oficerem śledczym i mam polecenie prowadzić waszą sprawę.

Ze zgrozą, na sąsiednim stole zauważyłem chaotycznie rozrzucone nasze czcionki, ramkę do ich składu, wałki do przenoszenia farby. Po prostu zdębiałem. W ułamku sekundy wszystkie moje nadzieje z dnia wczorajszego prysły jak bańka mydlana. Mają dowody. Mimo tego oczywistego faktu dalej konsekwentnie trzymałem się linii odmowy zeznań. Po chwili Kaszuba podsunął mi protokół z przesłuchania mojego kolegi, własnoręcznie przez niego podpisany. Podpis ten, bardzo dobrze znałem i mogłem stwierdzić jego autentyczność.

- Jak widzisz inni już zeznają... Jeżeli chcesz, możesz dalej odmawiać. Mamy wystarczającą ilość dowodów. Pościągamy odciski palców i udowodnimy twój udział w procesie druku, ale wówczas o okolicznościach łagodzących na procesie możesz zapomnieć. A to oznacza, że nie będzie wyroku w zawieszeniu, lecz do odsiadki. Twoi koledzy, o czym mogłeś się naocznie przekonać, już to zrozumieli...

Zapaliłem papierosa. Walczyłem sam ze sobą. Rozumiałem, że położenie jest praktycznie beznadziejne. Nadzieje na wyjście z powodu braku dowodów są już nieaktualne. Widział to – nie przeszkadzał. Poczęstował kawą. Zacząłem zeznawać.

Tak po okresie życia na obrotach, rozpoczął się dla mnie monotonny żywot aresztanta. Po 48 godzinach wiceprokurator – Kazimierz Trepka miał już tak obszerny materiał dowodowy, że zdecydował się bez większego wahania na wystawienie nakazu aresztowania dla całej czwórki. Przyznałem się do zarzucanych czynów, jednak zdecydowanie odrzucałem ich interpretację prawną. Twierdziłem, że nie złamałem żadnego artykułu kodeksu karnego, z którego jestem oskarżony. Wolność druku, zrzeszania się, pochodów i manifestacji gwarantuje mi konstytucja. To nie ja, tylko państwo łamie zawarte w niej zapisy, nie zezwalając na ich praktyczną realizację. O tym, że będąc uczniem szkoły średniej potrafiłem interpretować przepisy lepiej od prokuratora, przekonała mnie wydana 10 lat później decyzja Sądu Najwyższego, całkowicie nas uniewinniająca i przyjmująca moją interpretację. Kazimierz Trepka był młodym człowiekiem, na swój sposób miłym, co absolutnie nie przeszkadzało mu, by zarzucić nam przestępstwa z wszystkich możliwych paragrafów KK, które choćby pozornie mogły mieć z naszą działalnością związek. Odnosiłem

wrażenie, że jest zadowolony z naszej sprawy. Może pozwalała mu się oderwać od codziennych złodziei, a może liczył, że sprawa polityczna będzie trampoliną na drodze do jego kariery zawodowej. Ostatecznie procesy polityczne na naszym terenie były raczej rzadkością. Wiedziałem już, że muszę się przygotować na dłuższy pobyt. Psychicznie nastawiłem się na dwuletni wyrok skazujący. Tak sądziłem po lekturze ostatnich notatek prasowych z procesów tego typu.

Muszę stwierdzić, że zachowanie mundurowych milicjantów w stosunku do mojej osoby było bardzo zróżnicowane. Jedni w sposób niekiedy dość wulgarny starali się okazać swoją wrogość – inni wyrozumienie, a nawet odruchy sympatii. Trzeba jednak przyznać, że tych lepszych było znacznie mniej.

Bardzo nieprzyjemnie z kolei obchodzono się z moją matką. Przychodziła na komendę, starając się dowiedzieć, o co jestem oskarżony. Nikt z nią nie chciał rozmawiać, nikt nie chciał udzielić żadnych wyjaśnień. Totalny przejaw ubeckiego chamstwa. W końcu udało jej się w prokuraturze dotrzeć do Trepki, który podjął ją w dość wyszukany sposób i złożył stosowne wyjaśnienia. Raz miałem nieprzyjemny incydent z esbekiem – Ireneuszem Bukowskim, zatrudnionym później w charakterze nauczyciela w Zespole Szkół Technicznych Nr II w Dąbrowie Górniczej. W trakcie przesłuchiwania mnie przez Kaszubę, wpadł nagle do pokoju i bez najmniejszego powodu, obrzucając mnie wulgarnymi epitetami od bandytów i skurwysynów, chciał mnie uderzyć w twarz. Zasłoniłem się. W tym momencie Kaszuba stanął w mojej obronie.

- Towarzyszu kapitanie, to nie on! On nie jest z tej bandy!

Po nerwowym wyjściu Bukowskiego przeprosił mnie za incydent. Po wyrazie jego twarzy zrozumiałem, że był to rzeczywisty wypadek, a nie pozorowana gra w „głupiego Jasia". Metoda ta polega na tym, że jeden z przesłuchujących gra rolę dobrego wujka, drugi wyjątkowo brutalną kanalię. To, że Bukowski zweryfikowany negatywnie w 1989 był kilka lat nauczycielem, zawdzięczać należy choremu systemowi edukacji i faktowi, że dyrektor tej placówki nigdy nie był bity po gębie przez żadnego esbeka. A szkoda...

W międzyczasie zaprowadzono mnie do fotografa. Od tego momentu zrozumiałem, dlaczego wszyscy na zdjęciach policyjnych wychodzą na potencjalnych bandytów. Po czterodniowym pobycie w zamknięciu bez podstawowej higieny, z przetłuszczonymi włosami, kilkudniowym zarostem biorą człowieka i fotografują w słynnych trzech pozach. Bandycki efekt murowany.

Po kilku dniach pobytu w milicyjnym areszcie postanowiono przewieźć nas do Aresztu Śledczego w Katowicach przy ulicy Mikołowskiej. Zaszło wtedy pewne wydarzenie, które warte jest odnotowania. Umundurowany milicjant z konwoju (jego nazwiska niestety nie znam) wyciągnął kajdanki, by zgodnie z

procedurą skuć mi ręce. Poprosiłem go, by tego nie czynił, gdyż nie chcę być skuty jak bandyta. Wszak nim nie jestem.

- A jaką mam gwarancję, że nie będziesz uciekał?

- Słowo honoru działacza opozycji demokratycznej! – padła moja odpowiedź.

Zawahał się chwilę, po czym puścił mnie wolno w kierunku oczekującej kilka metrów dalej nyski. Szedłem bez kajdanek wbrew regulaminowi, ponieważ dałem słowo honoru. Moi koledzy Zbyszek i Boguś, z którymi mnie transportowano byli skuci.

Przytaczam ten fakt, by czytelnik zrozumiał, że nawet w tamtych czasach wśród części milicjantów też istniało takie pojęcie jak honor. Przecież, gdybym podjął próbę ucieczki, konwojent za niedopełnienie obowiązków poniósłby poważne konsekwencje służbowe. A jednak zaryzykował, by chociaż w ten sposób uszanować przeciwnika. A może z nami sympatyzował? Nigdy już tego się nie dowiem. Uważam, że należy mu się podziękowanie.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z placu na tyłach komendy, przez chwilę mignęła mi zrozpaczona twarz matki, która krążyła wokół budynku. Zdobyła skądś informację, że dzisiaj będą nas wywozić.

Podczas tej podróży wczesnym rankiem stanęły mi przed oczami strofy mojego ostatniego wiersza napisanego kilka dni temu, kiedy już przeczuwałem, że moje aresztowanie jest tylko kwestią czasu.

W Katowicach nowe przejścia. Po proceduralnych czynnościach związanych z przyjęciem – pobraniem odzieży więziennej, odcisków palców stajemy przed oficerem dyżurnym w stopniu porucznika, którego nazywano „grubym”. Nazwiska tego pana niestety nie znam. Po zapoznaniu się z artykułami, z jakich nas oskarżono, obrzucił nas stekiem niewybrednych wyzwisk. Skurwysyny, gówniarzeria – to były podstawowe określenia z repertuaru, jakim na dzień dobry nas uraczył. Kryminalnych w ogóle się nie czepiał. W pewnym momencie podszedł do mnie.

- Popatrz, jak ty wyglądasz?! Jakbyś wyszedł z Oświęcimia, chudzielcu. I ty skurwysynu chciałeś obalić ustrój!

W pewnym momencie jego wzrok padł na Zbyszka, który miał trochę dłuższe włosy, zaczesane do góry.

- A ten co ma taką grzywę? Natychmiast go ostrzyc!

- Dzisiaj nie ma fryzjera... – rzucił strażnik.

Jeszcze raz podejrzanie nas zlustrował, upokorzył obelżywymi epitetami i rozprowadzono nas do różnych cel. Trafiliśmy do elitarnego pawilonu „D”, w którym w owym okresie przebywali przede wszystkim ci, których sprawy prowadziła służba bezpieczeństwa – polityczni albo komunistyczni aferzyści. Na przestępcę pospolitego trafiało się tam rzadko. Tu z kolei wśród strażników konsternacja. Mają problemy z naszym rozmieszczeniem. Okazuje się, że całe piętro zajmują już ludzie od Podrzyckiego. Instrukcje śledcze mówią, że nikt z

nich nie może kontaktować się z nikim z nas. Zachodzi podejrzenie, że nasza działalność, przynajmniej w niektórych punktach, mogła mieć cechy wspólne. W takim przypadku wzajemne relacje znacznie utrudniłyby prowadzenie śledztwa.

- Niedługo wy z Dąbrowy zapełnicie cały kryminał... – narzekają skonsternowani strażnicy.

W końcu trafiam do trzyosobowej celi. Jest tam już dwóch osadzonych w wieku dojrzałym. Jeden, rodem z Jarosławia, prowadził przez pięć lat firmę nigdzie nie zarejestrowaną i nie płacił podatków. Odsiadywał wyrok pięciu lat w więzieniu w Raciborzu. Według jego relacji przeniesiono go do śledczego, gdyż jest przesłuchiwany jako świadek w sprawie o szpiegostwo. Prawdopodobnie kapuś. Drugi to podpułkownik straży pożarnej z Zakładów Mechanicznych Poręba koło Zawiercia oskarżony o łapownictwo. Piętro wyżej siedzi jego żona za malwersacje finansowe. Nazwisk nie będę podawał, gdyż nie uchodzi kompromitować towarzyszy niedoli. Atmosfera jest dobra, stosunki koleżeńskie. Śpimy, spacerujemy, czytamy książki i gazety. Dużo dyskutujemy, przeważnie o polityce. W soboty generalne porządki. Mniej więcej raz na trzy tygodnie odwiedza mnie śledczy Kaszuba celem wyjaśnienia takiego lub innego zagadnienia. Śledztwo toczy się normalnym rutynowym trybem. Za namową jednego ze współwięźniów piszę pismo do prokuratora o udzielenie mi przepustki, bym mógł złożyć egzamin maturalny. Nie otrzymuję żadnej odpowiedzi. Po dwóch miesiącach, kiedy złożył mi wizytę przy okazji zakończenia śledztwa i wniesienia do sądu aktu oskarżenia wyjaśnił, że nie udzielił pisemnej odpowiedzi, ponieważ moja petycja dotarła do niego już po rozpoczęciu egzaminów. Gdyby dostał je wcześniej, rozpatrzyłby pozytywnie. Całą winę zrzuca na służbę więzienną, która jego zdaniem przetrzymała dokument. Do dzisiaj nie wiem, jak było naprawdę. Ale szczerze to mu raczej z oczu nie patrzyło.

Początkiem maja w kilku lokalnych gazetach ukazały się o nas wzmianki. Artykuły były utrzymane w tonie ironizującym. Wyśmiewano nasz młody wiek oraz zamiar walki z systemem komunistycznym. Wspominano, że chcieliśmy zorganizować w Dąbrowie Górniczej pierwszomajową manifestację, uwypuklając fakt, że się nie odbyła. Miało to być dowodem, że byliśmy niepoprawnymi marzycielami, których lud nie posłuchał. Zapomniano tylko o jednym istotnym szczególe. Mianowicie Służba Bezpieczeństwa dokonała naszego aresztowania jeszcze przed planowanym kolportażem ulotek, co w rezultacie spowodowało, że nasze przesłanie nie dotarło do adresatów. I właśnie ten element był główną przyczyną jej fiaska. Jak mogli przyjść ludzie, skoro o niczym nie wiedzieli? Skoro byliśmy niepoprawnymi młodzieńcami, to kim byli ci, którzy nas więzili? Dlaczego tracono czas i środki, by nas wytropić? Artykuły w tendencyjnym tonie ukazały się w „Dzienniku Zachodnim”, „Wieczorze” i „Wiadomościach Zagłębia”. Ciekawostką jest fakt, że żaden z

tych dyspozycyjnych pismaków nie miał odwagi podpisać się pod nimi. Cóż, nawet kanalia swój rozum ma.

Podczas, gdy przebywałem w areszcie, matka dwoiła się i troiła, by załatwić adwokata. A wówczas nie była to wcale sprawa prosta. Przeciętny adwokat w tamtym okresie takiej problematyki się nie imał. Wolał złodziei, na których mógł zarobić i co ważniejsze – nie podpaść władzy. Matka słyszała, że w najbliższej okolicy, przy jakimś kościele jest punkt pomocy represjonowanym. Właśnie w tym punkcie ludziom związanym z opozycją udzielana jest pomoc prawna i materialna. Wyszła z logicznego założenia, że taką informację zdobędzie w pierwszym lepszym kościele. To jednak, z czym się zetknęła przechodzi ludzkie pojęcie. Udała do kościoła Najświętszej Marii Panny w centrum miasta. Młody ksiądz, który ją przyjął stwierdził, że nie jest upoważniony do udzielania takich informacji. Odesłał ją do proboszcza, który akurat był bardzo zajęty i mógł jej poświęcić chwilę czasu, ale dopiero w godzinach popołudniowych. Wzięła więc z pracy przepustkę, gdyż akurat po południu wypadała jej dniówka i udała się do proboszcza. Ten z kolei stwierdził, że jej takiej informacji nie udzieli, ponieważ jej nie zna. Zrozpaczona matka, mająca syna w więzieniu prosi księdza tylko i wyłącznie o adres punktu pomocy represjonowanym, gdyż inaczej nie jest w stanie załatwić adwokata. Ksiądz nie daje się jednak przebłagać. Stwierdza, że nie ma pewności, czy ona nie jest osobą podstawioną i informacji nie udziela. Jego zachowanie, biorąc pod uwagę fakt, że jest osobą duchowną jest absurdalne. Czym się kieruje? Przecież o punkcie na sosnowieckim Sielcu wiedziało całe SB i wszyscy tajni informatorzy w okolicy. Nawet, gdyby matka była agentką, co zresztą i tak wykluczał zrozpaczony wygląd jej twarzy, to podając ten adres i tak nie naruszał żadnego z paragrafów obowiązującego prawa. Jego zachowanie w takiej sytuacji jest dowodem wymieszania tchórzostwa z głupotą. No cóż, nie każdy ksiądz był Jerzym Popiełuszką. Po wyjściu z aresztu, kiedy dowiedziałem się o całym zajściu, udałem się do kościoła. Akurat proboszcz prowadził mszę i w głoszonym kazaniu strasznie pouczał wiernych, co do konieczności przestrzegania wartości duchowych i dawania świadectwa prawdzie. Wyjątkowy hipokryta.

Tymczasem dopomógł przypadek. Z aresztu wysłałem list, w którym prosiłem matkę o zwrot mojemu nauczycielowi – Markowi Wierzcholskiemu dwóch książek technicznych, które swego czasu od niego pożyczyłem do pisania pracy dyplomowej. W tym okresie Wierzcholski nie był już nauczycielem, pracował w „Damelu" jako konstruktor. Oddając książki podzieliła się z nim swoim problemem. Ten odesłał ją do nauczycielki – Anny Stobińskiej, która jego zdaniem powinna być w stanie udzielić pomocy. Ta z kolei skontaktowała ją z ojcem swojego ucznia – Krzysztofa Iwanowskiego. Dzięki niemu matka dotarła do katowickiego zespołu adwokackiego przy ulicy Stawowej do mecenas Teresy Kurcjusz-Hoffman, która bez wynagrodzenia

finansowego podjęła się obrony mojej osoby. Dotarła również do punktu charytatywnego mieszczącego się przy kościele na Sielcu w Sosnowcu.

Świadomie dość szczegółowo pozwoliłem sobie opisać pozornie tylko błahe epizody. Dzisiaj większość ludzi zapomniała, jak wyglądała rzeczywistość tamtych czasów. Wydaje im się, że jak dzisiaj zawsze istniała tak daleko posunięta wolność wraz ze swobodą psioczenia na władzę. Prawda jest nieco odmienna. Księża byli zastraszeni, ludzie zdezorientowani i bojaźliwi, adwokaci spanikowani. Otrzymanie, zdawałoby się najprostszej informacji było trudniejsze niż dzisiaj zdobycie tajemnicy państwowej. Jest to okrutne, ale niestety prawdziwe.

Pod koniec czerwca śledztwo zostało zakończone. Przybył prokurator. Odprowadzono mnie do specjalnego pomieszczenia w celu zapoznania się z aktami sprawy. Po raz pierwszy mogłem się zorientować w całym zgromadzonym materiale dowodowym. Poznałem zeznania współoskarżonych, świadków, analizy zgromadzonych dowodów rzeczowych, protokołów z rewizji w naszych mieszkaniach. Przy czytaniu naszych opinii zdębiałem. O ile wszyscy pozostali mieli opinie w miarę pozytywne, o tyle moja zakrawała na skandal. Widniało w niej, że byłem uczniem niezdyscyplinowanym, niesubordynowanym, sprawiałem ustawiczne problemy wychowawcze. Przeprowadzono ze mną kilka rozmów profilaktyczno – wychowawczych jednak bezskutecznie. Ogółem chuligan nie z tej ziemi. Dokument był oznakowany pieczątką szkoły i własnoręcznymi podpisami: Ewy Klemińskiej (wychowawczyni) i Zenony Pilarek (dyrektorki). Notatka była tak bulwersująca, że nawet prokurator był nieco zaskoczony. Twierdził, że jest to ich wyłączna inicjatywa. Żadne naciski na szkołę w mojej sprawie nie były wywierane. Inni wystawiający, albo udzielali opinii pozytywnych, albo odwalali typową sztampę, ale zawsze z odchyleniem w kierunku pozytywnym. Tak na przykład postąpiła – Olga Łonak, wychowawczyni Spurgiasza. Tylko w moim przypadku widoczne było znaczne odstępstwo od tej reguły. Oznaczało to, że wystawiająca dokument osoba albo darzyła mnie znaczną nienawiścią, albo za pomocą tej opinii chciała zamanifestować przełożonym swoją gorliwość i polityczną dyspozycyjność w stosunku do wroga klasowego. Jedno jest pewne; opinia była tendencyjna, znacznie odbiegająca od rzeczywistości, nakierowana na przedstawienie mojej osoby w świetle negatywnym. Nie ukrywam, że po jej lekturze wpadłem w irytację. Po dopełnieniu proceduralnych formalności powróciłem do celi, by oczekiwać na nadchodzący proces sądowy. Kilka dni później otrzymałem urzędowe powiadomienie o przesłaniu przez prokuraturę aktu oskarżenia oraz materiałów śledczych do sądu. Proces miał się odbyć we wrześniu w Sądzie Rejonowym w Dąbrowie Górniczej.

Niedługo później, wraz z współoskarżonymi opuściliśmy ekskluzywny pawilon „D”. Przeniesiono nas do „B” dla więźniów kryminalnych. Tutaj

warunki były znacznie gorsze. W dwuosobowych celach po pięciu osadzonych. Tłok niezgodny z jakimikolwiek normami cywilizowanego świata. Stosunki międzyludzkie też znacznie gorsze, aczkolwiek strażnicy bardziej liberalni, dyscyplina lżejsza. Bardzo szybko doszło do mojego konfliktu z więźniami kryminalnymi. Bezpośrednią przyczyną była odmowa „grypsowania" i dostosowania się do kanonów świata więziennego, dość trywialnych i idiotycznych. Uważałem się za więźnia politycznego, człowieka raczej kulturalnego o pewnych wartościach moralnych, stąd nie mogłem się zniżyć do poziomu rynsztoka. Pewnego dnia na swoje żądanie udałem się do kierownika działu penitencjarnego, gdzie zażądałem przeniesienia do innej celi, by siedzieć z ludźmi normalnymi, nie kryminalnym motłochem. Po tej interwencji z mojej celi sukcesywnie zabierano kryminalnych, podsyłając politycznych. Po kilku dniach było już całkiem znośnie. Przebywałem wówczas z chłopakiem od Podrzyckiego nazwiskiem Roman Strzałkowski oraz Marianem Marcinowem, działaczem z Gliwic. Złodzieje, będąc w mniejszości już się nie naprzykrzali i dziwnie stracili ortodoksję wyznawanych wcześniej zasad. W takim składzie dotrwaliśmy do 22 lipca. Wtedy dyktator państwa wspaniałomyślnie wydał dekret o amnestii. Dekret obejmował wszystkie nasze artykuły. Jego treść była wszystkim osadzonym znana, ponieważ więzienny radiowęzeł powtarzał go na okrągło. Wiedziałem już, że do rozprawy sądowej nie dojdzie, a ja w ciągu 30 dni znajdę się na wolności. Taki bowiem okres był narzucony na realizację wszystkich postanowień amnestyjnych. Kryminaliści byli bardzo zawiedzeni. Liczyli, że i oni na amnestii coś zyskają. Nie wiem jaka była tego przyczyna, ale wśród złodziei panowało przekonanie, że Jaruzelski jest fajnym facetem i chce złodziejom „kopsnąć amelę", ale mu polityczni nie pozwalają, organizując co jakiś czas zadymy. Stąd między innymi brał się znaczny dystans między obu grupami. Kiedy się zorientowali, że amnestia jest dla politycznych, a nie dla nich wpadli w złość. Długo w nocy wyzywano głowę państwa od najgorszych, aż bardziej krewcy usnęli zmożeni snem. Dla mnie i mnie podobnych rozpoczął się okres wyczekiwania.

27 lipca wszyscy czterej zostaliśmy zwolnieni. Spotkaliśmy się pierwszy raz po kilku miesiącach przy bramie więziennej, którą wspólnie przekraczaliśmy, tym razem w odwrotnym kierunku.

- Trzymajcie się chłopy, nie pchajcie się do kryminału ponownie, bo nie ma do czego! – rzucili strażnicy na odchodnym.

Znaleźliśmy się na oświetlonej słońcem ulicy. Za nami z łoskotem zamykała się stalowa brama. Więzienny epizod mieliśmy za sobą.

Rozdział VII
NOWA RZECZYWISTOŚĆ

Pierwsze zderzenia z wolnością były stosunkowo przyjemne. Znajomi i koledzy podejmowali mnie z szacunkiem, niemal jak bohatera narodowego. Długie rozmowy, wyjaśnienia, opowieści... Następnego dnia w gronie naszej czwórki odbyliśmy spotkanie w celu przedyskutowania aktualnego położenia oraz podjęcia prób wyjaśnienia mechanizmów, które doprowadziły do naszego przedwczesnego aresztowania. Nie byliśmy jednak w stanie dojść do niczego konstruktywnego. Wszelkie próby analizy wydarzeń nie doprowadzały do komplementarnych wyjaśnień. Czas w naszej pamięci zaczął z wolna zacierać drobne niuanse, które dla powyższej analizy miały znaczenie kluczowe. W efekcie, poza domysłami, nie byliśmy w stanie ustalić prawdy obiektywnej odnośnie szpicli, którzy nas wydali. Według moich ustaleń z okresu znacznie późniejszego, materiały SB odnośnie naszej działalności zostały na przełomie 1989/90 zniszczone. Udało mi się natrafić na nazwiska dwóch tajnych informatorów, którzy wokół nas funkcjonowali i mogli mieć jakiś związek ze sprawą. Jeden ulokowany był w Dąbrowie Górniczej, drugi w Gliwicach. Jaki jednak był ich konkretny udział w tym przypadku i czy byli to jedyni informatorzy – wobec faktu zniszczenia akt operacyjnych – prawdopodobnie już na zawsze pozostanie owiany tajemnicą.

W byłej szkole nastąpiły poważne przemiany. Kuratorium Oświaty, chcąc w jakiś sposób przegonić z jej murów diabła nieprawomyślności, postanowiło zainstalować w fotelu dyrektora przedstawiciela betonu partyjnego. Ponoć ściągnięto go z polskiej placówki dyplomatycznej w Moskwie. Nazywał się Tadeusz Pałys. Ten z kopyta wziął się do roboty. Na pierwszy ogień poszła zmiana nazwy placówki. Szkoła otrzymała nowego patrona, którym został Iwan Koniew, były dowódca I Frontu Ukraińskiego, którego wojska niegdyś wyzwalały te tereny. Miała to być namacalna oznaka trwałości przyjaźni polsko – radzieckiej i czytelny symbol właściwej orientacji politycznej. Ponadto na dziedzińcu szkolnym nowemu patronowi wystawiono pomnik popiersie. Ponoć odsłonięcie odbyło się z wielką pompą. Oprócz lokalnych władz partyjnych i oświatowych, osobiście uświetnił je ambasador radziecki z Warszawy w asyście kamer telewizyjnych. Było to i śmieszne i żałosne zarazem. Szkoła typowo techniczna, a lata osiemdziesiąte nie pięćdziesiąte. Diabła nieprawomyślności trzeba było jednak przegonić i odtrąbić powrót starego. Takie czasy.

Należało się zastanowić nad przyszłością, która wcale nie rysowała się w barwach kolorowych. Miałem 20 lat i dość zachlapane papiery, co w realiach państwa totalitarnego nie było najlepszą rekomendacją do startu w dorosłe życie. Dla władzy przestałem być jednym z kilkudziesięciu milionów zwykłych obywateli. Moje aresztowanie nastąpiło tuż po obronie pracy dyplomowej a

przed maturą. W warunkach szkoły technicznej oznaczało to, iż otrzymałem świadectwo ukończenia szkoły zwane dyplomem technika, uprawniające do podjęcia pracy w wyuczonym zawodzie. Z kolei brak świadectwa dojrzałości uniemożliwiał mi marzenia o wyższej uczelni. Jako wywrotowca szkoła dodatkowo ukarała mnie sprawowaniem nagannym. Było to dyktowane wyłącznie względami nadgorliwej dyspozycyjności, ponieważ w poprzednich czterech latach nauki zawsze miałem sprawowanie wyróżniające bądź dobre. Cóż, część nauczycieli zawsze była w awangardzie nadgorliwych zaprzańców. W dodatku z racji wieku groził mi najbliższy jesienny pobór do wojska.

Po kilkunastu dniach, otrzymałem pierwsze z serii kilku wezwanie na komendę milicji w celu – jak napisano – odbycia rozmowy. Podjął mnie ówczesny kapitan SB – Robert Kagan. Był stosunkowo miły. W rozmowie poruszaliśmy bieżącą problematykę polityczną, gdzie od razu zarysowały się między nami zasadnicze rozbieżności. On obstawał przy swojej wersji wyboru „mniejszego zła", rozumianego jako odsunięcie stanem wojennym militarnej interwencji wojsk Układu Warszawskiego. Dla mnie była to narodowa zdrada i przejaw politycznej głupoty. Imperium, które od kilku już lat było militarnie zaangażowane w Afganistanie, nie może sobie pozwolić na otwarcie drugiego, znacznie poważniejszego frontu w środku Europy. Przy polityce Ronalda Reagana, wywołałoby to nową falę zbrojeń na niespotykaną dotąd skalę, co w rezultacie musiałoby doprowadzić do nieodwracalnego załamania gospodarek demoludów jako mniej wydolnych ekonomicznie. W efekcie stałoby się katalizatorem upadku całego obozu. Tymi okolicznościami tłumaczyłem naciski na władze polskie ze strony ZSRR przy jednoczesnym braku zaangażowania militarnego. Ot, zwykłe strachy na lachy. To, co dla niego było fundamentem PRL-u – podporządkowanie aparatu partyjnego władzom państwowym – dla mnie było wyłącznie przejawem trywialnego serwilizmu i tchórzostwa. Ciekawostką może być fakt, że w ogóle nie podejmował prób uzasadnienia swoich tez względami ideologicznymi. Wówczas już nawet esbecy, wstydzili się mówić o socjalizmie. Pytał o zdrowie, kondycję psychiczną, plany na przyszłość. W końcu przeszedł do sedna, a mianowicie oferty pomocy w uzyskaniu świadectwa maturalnego i wyboru dowolnego kierunku studiów na uczelni województwa katowickiego. Oczywiście nie za darmo, lecz za pracę dla resortu w charakterze tajnego informatora. Twierdził, że właśnie teraz decydują się losy mojej przyszłości. Jeżeli nie skorzystam z jego oferty, to do końca życia będę już nikim. Obywatelem bez wykształcenia, pozycji społecznej. A szkoda, bym na progu dorosłego życia, ze względu na młodzieńcze ideały dobrowolnie roztrzaskał się o skały.
Odmówiłem w sposób zdecydowany. Wspomniałem coś o imponderabiliach, o wartościach, honorze. Na moją kontrargumentację lekko się uśmiechnął. Stwierdził, że częściowo mnie rozumie. Moją postawę tłumaczy młodym wiekiem i głową nabitą niepoprawnymi ideałami. Czas pokaże, który z nas ma

rację. Mimo odrzucenia z mojej strony oferty współpracy zadeklarował, że nikt z nas nie otrzymał „wilczego biletu". Uczyniono tak, by nam młodym idealistom dać szansę powrotu do normalnego życia. Jeżeli nie podejmę współpracy z resortem, będę zdany wyłącznie na własne siły, a życie jest brutalne i nie ma w nim wiele miejsca na młodzieńcze fantazje. Złożył również deklarację, że mimo mojej odmowy, SB nie będzie mnie i kolegom przeszkadzać w podjęciu pracy zawodowej, chyba, że zaczniemy ponownie udzielać się politycznie po niewłaściwej stronie. Na zakończenie dodał, że prawdopodobnie jeszcze kilkakrotnie powinniśmy się spotkać, ale na to mamy jeszcze nieco czasu. On z racji charakteru swojej pracy, będzie mnie dyskretnie obserwował.

Nie ukrywam, że informację o braku „wilczego biletu" przyjąłem z dużą dozą ulgi, gdyż otwierało to przede mną możliwość podjęcia normalnej pracy zawodowej.

Tak trafiłem do Huty Katowice. Z przyjęciem poszło stosunkowo gładko, gdyż z odsieczą przyszła moja ciotka. Była wówczas zatrudniona w tamtejszym ZOZ w charakterze pielęgniarki. Istotnym był fakt, że posiadała pewną komitywę z Alicją Strutyńską, pełniącą wówczas obowiązki zastępczyni kierownika Działu Kadr. Ciotka poprosiła ją o pomoc w załatwieniu mojego przyjęcia. Pani Strutyńska dokładnie mnie odpytała na okoliczność sprawy, koncentrując się na datach ukończenia szkoły i wyjścia z aresztu. Zadeklarowała, że sprawę popilotuje, ale pod jednym warunkiem. Nikt nie może poznać mojej prawdziwej przeszłości. Moim atutem był młody wiek. Nikt z kierownictwa poza regularnymi esbekami nie byłby w stanie skojarzyć mojej osoby z działalnością polityczną. Zakład był przecież pod stałą obserwacją Służby Bezpieczeństwa. Kiedy potwierdziłem fakt milczenia, wykonała telefon do kierownika Wydziału Elektrycznego, rekomendując moją osobę jako przyszłego pracownika, akcentując wyraźnie, że jest to jej osobista prośba. Podczas mojej rozmowy z kierownikiem, doszło do pewnego epizodu. Zainteresowało go sprawowanie naganne na moim świadectwie szkolnym. Zażądał wyjaśnień. W ułamku sekundy wymyśliłem bajeczkę, iż przydarzył mi się nieszczęśliwy wypadek. Żegnając kolegę odchodzącego do wojska, nieco przedawkowałem w spożyciu alkoholu i trafiłem do izby wytrzeźwień. Powiadomiona o tym fakcie szkoła, postanowiła mnie ukarać dając najgorszą z możliwych ocen ze sprawowania. Bacznie mnie zlustrował. Ponieważ jednak nie wyglądałem na pijaka, ani chuligana wyjaśnienie to przyjął ze zrozumieniem i nie zadawał więcej kłopotliwych pytań. Sam nawet się zdziwiłem, że ja – z reguły człowiek prawdomówny – potrafię na poczekaniu tak wiarygodnie oszukiwać. Kłamstwo to było jednak konieczne, ponieważ zachodziła poważna obawa, że gdybym wyznał prawdę nie zostałbym przyjęty. Wszak niedawno za nieprawomyślność polityczną zwolniono z tego zakładu dwa tysiące ludzi. Nie po to ich wyrzucono, by w ich miejsce przyjmować następnych. Ponadto świeżo

miałem w pamięci tchórzostwo i nadgorliwość nauczycieli. W tamtym okresie, praktycznie nikt nie chciał mieć do czynienia z człowiekiem, którym interesowała się policja polityczna. Przyjmując mnie, mógłby zostać posądzony o sympatię, co mogłoby mu zaszkodzić w dalszej karierze zawodowej. Dość, że wolałem skłamać niż poddać tego człowieka trudnej próbie moralnych wartości. Po pobycie w więzieniu wiedziałem już, że bohaterowie są wyłącznie postaciami książkowymi. Właściwie to skąd mógł podejrzewać, że ten dwudziestoletni młodzieniec, świeżo upieczony absolwent szkoły średniej jest zdeklarowanym ekstremistą i elementem antysocjalistycznym z więziennym epizodem. Ponieważ amnestia objęła mnie tuż przed rozprawą sądową, dlatego w kwestionariuszu osobowym mogłem zgodnie z prawdą wpisać, że jestem sądownie nie karany.

W taki sposób zostałem pracownikiem Huty Katowice. Pracowałem na Wydziale Remontów Elektrycznych E-69 zajmując się demontażem silników przeznaczonych do remontu. Praca dość podła, ale tym się nie przejmowałem, ponieważ będąc w wieku poborowym wiedziałem, że lada dzień zostanę powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Pracę tę traktowałem wyłącznie w kategoriach życiowej prowizorki.

Okresowe spotkania z kolegami przyniosły potwierdzenie, że z nimi również SB przeprowadzała rozmowy w celu pozyskania ich jako tajnych współpracowników. Według ich relacji – konsekwentnie odmawiali.

Kilka tygodni później, ponownie otrzymałem wezwanie na milicję. Ponownie pan Kagan podjął mnie w dość wyszukany sposób. Stwierdził, że otrzymał informację, że zostałem zatrudniony w Hucie Katowice, która na tym terenie jest zakładem newralgicznym i on musi mieć pewność, że w miejscu pracy nie będę prowadził działalności wywrotowej, ponieważ jest to jego teren operacyjny. Odpowiedziałem, że na razie ani mi to w głowie, ponieważ lada dzień powinienem zostać powołany do odbycia służby wojskowej. Żyję w okresie zawieszenia i nie zamierzam się przynajmniej na razie angażować politycznie. Tutaj wszedł w zdanie, że z tym wojskiem to jeszcze nic pewnego, ponieważ jego oferta w dalszym ciągu jest aktualna. Wszystko zależy wyłącznie od mojej decyzji. Ponownie odmówiłem. Interesowało go ponadto, czy nie miałem problemów z przyjęciem do pracy.

- Jak pan widzi, nie! – stwierdziłem kategorycznie, oczywiście zachowując w tajemnicy pomoc osób trzecich i mój podstęp. Trochę go to zaskoczyło. To mnie ostatecznie utwierdziło w przekonaniu, że moje kłamstwo miało jednak głębokie uzasadnienie, i że w tym przypadku dobrze zagrała wyczulona intuicja.

Z panem Robertem Kaganem spotkałem się jeszcze raz, jakieś dwa tygodnie później. Znowu pocztą otrzymałem wezwanie. Tym razem stwierdził,

że to już jest koniec naszej zabawy. Czas jaki przeznaczył na mój werbunek uległ wyczerpaniu. Tym razem nasza rozmowa jest ostateczna. Dał mi kilka tygodni na zastanowienie i dłużej nie ma już sensu tego ciągnąć. Przede mną jest alternatywa. Albo podejmę współpracę, warunki szczegółowe do uzgodnienia, albo pójdę do wojska. Teraz, w tej chwili muszę podjąć decyzję ostateczną, która będzie rzutowała na resztę mojego życia. Żarty się skończyły! Następnej szansy już nie otrzymam.
Według niego, kiedy wyjdę z wojska będę już zupełnie innym człowiekiem, a moje młodzieńcze ideały będą tylko stekiem szczeniackich fantazji. Wówczas sam będę żałował, że w porę nie skorzystałem z wyciągniętej przez niego ręki.
Odpowiedziałem tak jak poprzednio, że nie mam się nad czym zastanawiać. Sprzedawczykiem nie będę, ponieważ jest to poniżej mojej godności. Jeżeli tego nie rozumie, to nic na to nie poradzę.

- Więc armia! – stwierdził.

Tak zakończyła się nasza ostatnia rozmowa.

Muszę przyznać, że dotrzymał słowa. Tydzień później, w początkach września otrzymałem wezwanie na WKU w Będzinie, celem odbycia rozmowy. Z opowiadań starszych kolegów wiedziałem, że takie wezwanie równa się wręczeniu karty powołania.

Poszedłem z postanowieniem, że poproszę o odroczenie tylko i wyłącznie na jeden rok, aby zdać maturę i spróbować podjąć studia. Wszystko będzie zależało od oficera na którego trafię. Jeżeli będzie zwolennikiem demokracji i Solidarności (ponoć tacy też się w armii trafiają), to jest szansa. Jeżeli natrafię na partyjny beton to klapa. A chodzi tylko o to, by papiery z jednej kupki znalazły się na drugiej.

Zaraz po wejściu do budynku zorientowałem się, jak bardzo infantylny był mój tok rozumowania. Starszy wiekiem podpułkownik zapytał mnie o nazwisko. Gdy je wymieniłem, odszukał moją kartę wśród kilkudziesięciu innych rozrzuconych na biurku.

- A mamy was gagatku! Warcholiłeś! Ustrój wam się nie podobał! Już my was nauczymy szacunku dla władzy ludowej! Armia nie takich warchołów już wyprostowała! Jak dobrze dostaniesz w dupę, to od razu poglądy będziesz miał właściwe! – zagaił naszą rozmowę.

W lot zrozumiałem, że przy takim egzemplarzu moja prośba byłaby idiotyzmem. Marzenia o odroczeniu ze względu na chęć dokończenia nauki prysły. Postanowiłem milczeć.

- Są warchole przeciwwskazania do odbycia służby wojskowej!

- Nie! – padła moja odpowiedź.

- Czekać na kartę powołania!

Cała rozmowa z mądrym podpułkownikiem trwała może 30 sekund. Godzinę później, miałem już w ręku przydział do 113 Pułku Artylerii V

Pancernej Dywizji Saskiej, garnizon Kostrzyń nad Odrą. Przede mną jeszcze półtora miesiąca cywila, później dwa lata spędzone w wojskowym rygorze.

- I tak dobrze, że nie marynarka – rzucił młody chorąży, przechodzący właśnie korytarzem – bekałbyś trzy lata.

Tak wyglądał mój pierwszy kontakt z wojskiem polskim.

Rozdział VIII
W KAMASZACH

24 października 1983, zgodnie z kartą powołania wraz z kilkuset innymi wybrańcami stawiłem się w przydzielonej jednostce w Kostrzyniu nad Odrą. Przyjęcie poborowych osobiście nadzorował szef sztabu pułku mjr Stanisław Jodłowski. Ponieważ w dokumentach przesłanych z WKU musiała być stosowna adnotacja, postanowił osobiście przeprowadzić ze mną rozmowę, chcąc poznać tego gagatka, którego powierzono jego komendzie. Rozmowa pana majora była nieco utrudniona, ponieważ gagatek tak jak niemal wszyscy pozostali, miał problem z przekroczeniem bramy koszar na trzeźwo. Jodłowski chciał się przekonać czy będą ze mną problemy natury wychowawczej i czy będę stanowił zagrożenie dla wszechobecnej wojskowej dyscypliny. Prawdopodobnie sądził, że jestem jakimś pacyfistą lub anarchistą. A może kierowała nim zwykła ludzka ciekawość? W końcu dwudziestoletnie elementy antysocjalistyczne, nawet wówczas do armii nie trafiały codziennie. Od samego początku utkwiłem mu w pamięci. Z biegiem czasu na swój sposób nawet mnie polubił.

W wojsku panowały przedziwne anomalia. Mimo że 70% ludności mieszkało wówczas w miastach, to w armii proporcje te były dokładnie odwrotne. Wśród poborowych dominowali chłopcy z zapadłych wsi i małych miasteczek. Mechanizm był prosty. Młodzież miejska w zdecydowanej większości studiowała lub korzystała z możliwości odroczenia, bądź zastępczej służby wojskowej. W każdym razie, cywilna statystyka poważnie szwankowała. Żołnierze to byli przede wszystkim synowie chłopów z poziomem inteligencji oględnie mówiąc niezbyt wysokim. Jak mawiało przysłowie – mądrzy w wojsku nie służą. Tak rozpoczęła się moja dwuletnia poniewierka. Tutaj poznałem przedziwną zbitkę ludzkich namiętności: głupotę, podłość, władzę jednego człowieka nad drugim, dziwnie wymieszaną z przejawami koleżeństwa i przyjaźni.

Co się tyczyło polityki, to w 113 pułku artylerii specjalnej indoktrynacji raczej nie stwierdziłem. Był oczywiście pułkowy politruk, może nawet i częściowo jeszcze wierzący w te brednie, jakie przyszło mu wygłaszać, ale na nikim właściwie nie robił żadnego wrażenia. Nawet żołnierz, który u niego pracował, sam powszechnie głosił, że robi to wyłącznie z wygody osobistej (służba nieporównywalnie lżejsza), a nie z jakichkolwiek pobudek ideowych. Wówczas nawet w armii, ostoi wstecznictwa, ideologia komunistyczna praktycznie nie funkcjonowała. Kadra zawodowa pod tym względem dzieliła się na dwie kategorie. Oficerowie starsi stopniem, a zarazem wiekiem byli politycznie mniej wyrobieni od oficerów młodszych, chociaż trafiały się odstępstwa od tej reguły. Wszystko zależało od tego, kto w jakim okresie kończył szkołę i jaką sprawował funkcję. To decydowało o stopniu sprania

mózgu. Większość miała raczej zdrowe podejście do tego zagadnienia. Z trudem można było znaleźć chętnego, by z żołnierzami prowadził przewidziane regulaminem szkolenie polityczne. Prawie nikt przecież dobrowolnie nie chce robić z siebie idioty.

Muszę kategorycznie stwierdzić, że z racji swojej przeszłości żadnych szykan właściwie nie doznałem. Byłem traktowany na takich samych zasadach jak każdy inny żołnierz. Ani gorzej ani lepiej.

Dowódca mojej baterii porucznik Tadeusz Kosydar przyznał mi nawet pięciodniowy urlop okolicznościowy, bym mógł w maju 1984 jechać do rodzinnej Dąbrowy w celu zdawania egzaminu maturalnego. Postanowiłem bowiem, rzucić wyzwanie panu Kaganowi i próbować się kształcić bez jego pomocy. Język polski pisemny zdałem o własnych siłach, natomiast matematykę dzięki młodszym o rok kolegom. Piszę dzięki, ponieważ nawet za czasów szkolnych z matematyki byłem klasycznym nogą. Dodać do tego należy roczny pobyt w warunkach ekstremalnych, co znacznie pogłębiło stopień mojej niewiedzy. Otrzymanie klasycznej ściągi, w tym przypadku było jedyną deską ratunku. Na drugą część – język polski ustny i historię przyjechać nie mogłem, ponieważ w tym właśnie okresie mój pułk wyjeżdżał na poligon, i w związku z tym wszelkie urlopy zostały wstrzymane.

Ciekawym doświadczeniem było dla mnie uczestnictwo wojska w pierwszomajowych pochodach. Cały pułk w mundurach wyjściowych wyprowadzano do centrum miasta, gdzie żołnierze wmieszani w tłum cywili, uczestniczyli w okolicznościowej manifestacji. Wszyscy lubiliśmy te imprezy – chwile relaksu, uwolnienia od wojskowego drylu, później krótkie przepustki na piwo. Nikt nie bawił się w żadną dobrowolność. Rozkaz, to rozkaz! Ten jednak, chętnie wykonywaliśmy.

Zupełnie inaczej z kolei było przy głosowaniu. Tutaj o dziwo rozkaz nie obowiązywał. Prawdopodobnie, takie były zalecenia z góry. Świadomie piszę głosowaniu, ponieważ wówczas wybory się nie odbywały. Po specjalnie w tym dniu odświętnym śniadaniu, każdy mógł dobrowolnie bez przymusu iść głosować. Przymusu nie było z wyjątkiem apelu przełożonego, aby jednak lepiej głosować. Bo jak za jakiegoś „artystę", przełożeni dobiorą się do niego, to on dobierze się do nas. I tak chłopcy ze Śląska czy Opolszczyzny wrzucali kartki na towarzyszy z gorzowskiego, których nazwisk nawet nie znali. Ba, nawet nigdy nie mogli się z nimi zetknąć. Armia ma jednak swoją specyfikę. Dzięki „pełnej dobrowolności" frekwencja na głosowaniach zawsze była wysoka i oscylowała w granicach stu procent stanu osobowego. Każdy z nas wychodził z pragmatycznego założenia, że korzystniej jest nie pogarszać i tak już nie najszczęśliwszego położenia. Ostatecznie kilkugodzinna taktyka całej baterii czy plutonu, dlatego że ktoś nie poszedł wrzucić głupiej kartki wyborczej nie należała do rzeczy przyjemnych. To winno ostatecznie wyjaśnić przyczynę stuprocentowej frekwencji, mimo teoretycznej dobrowolności.

Pewnego dnia na terenie jednostki pojawiły się ulotki sygnowane przez podziemie. Zostały rozrzucone we wczesnych godzinach rannych z jednego z okien. Leżały tylko kilka minut, ponieważ zanim wojsko wyszło na zaprawę poranną zostały skrupulatnie wyzbierane przez wartowników. Jodłowski szalał. Taki numer w jego pułku, straszył szczegółowym śledztwem i prokuratorem. Skończyło się na straszeniu. Winnego nie znaleziono, a sprawie ukręcono łeb w zarodku, ponieważ w przypadku nadania sprawie biegu służbowego jednostka otrzymałaby punkty karne, co mogłoby w przyszłości dowódcy utrudnić drogę awansu. Prawdopodobnie była to robota któregoś z podchorążych, którzy w przeciwieństwie do żołnierzy dysponowali znacznie większą swobodą ruchów. Ot, jeszcze jeden epizod.

Któregoś dnia po koszarach gruchnęła wiadomość, że zastępca dowódcy do spraw politycznych Śląskiego Okręgu Wojskowego wybiera się do sztabu V Dywizji w Gubinie. A skoro tak, to może przypadkiem zahaczyć o Kostrzyń. Pojawiła się „panika". Zachodziło domniemanie, że jeżeli już by się pojawił, prawdopodobnie zechciałby się spotkać z pułkową organizacją ZSMP, której oczywiście nie było. Politruk wymyślił wówczas, że w razie czego skieruje go na Baterię Dowodzenia, gdzie ostatecznie służą żołnierze jeszcze najbardziej rozgarnięci. Problemem jednak był fakt, że żaden z nich nie był członkiem tej organizacji. A jeżeli zechce sprawdzić deklaracje członkowskie? Należało natychmiast naprawić to niedopatrzenie. Ochotniczo roli tej podjął się jeden z nielicznych „betonów" – porucznik Wojtkiewicz, z racji swojej rozlazłości zwany przez nas Mameją. Kora mózgowa tego pana, była wówczas stosunkowo słabo pofałdowana, o czym może zaświadczyć fakt, że w owym okresie był słuchaczem WUML-u (Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu Leninizmu). Było to o tyle dziwne, że posiadał całkiem dobrą profesję, był topografem. Tenże oficer za cel swojej misji postanowił sobie zmuszenie wszystkich żołnierzy naszej baterii do wypełnienia deklaracji członkowskich ZSMP. Liczył, że dzięki ewentualnemu sukcesowi na tym polu, może się wreszcie rzuci w oczy przełożonym i zmaże hańbę zagubienia niegdyś istotnych map topograficznych.

Na specjalnie zwołanej zbiórce, poinformował o przedmiocie zagadnienia i zapytał, kto dobrowolnie do tej organizacji zechce przystąpić. W odpowiedzi lekkie uśmiechy i drwiny. Okazało się, że chętnych brak. Na osiemdziesięciu szeregowych nikt nie wystąpił z szeregu. Zorientowawszy się, że w grupie niczego nie osiągnie, postanowił zmienić taktykę. Oświadczył, że udaje się do kancelarii dowódcy i tam oczekuje na chętnych. Po kilkunastu minutach, kiedy nikt się nie stawił, polecił podoficerowi dyżurnemu przysyłać pojedynczo po jednym żołnierzu według rozliczenia bojowego. I za zamkniętymi drzwiami kancelarii poddawał ich indywidualnej perswazji. Oczywiście nie chodziło tutaj o żadną ideologię, ale o złamanie charakteru człowieka. Zjawisko to przybrało u niego formę czysto ambicjonalną, czego nawet nie starał się skrywać. Przecież

nie może oficer, słuchacz WUML-u nie stworzyć organizacji ZSMP, i to na swoim pododdziale. Każdy, kto opuszczał kancelarię komunikował, że dla świętego spokoju podpisał. Kiedy przyszła moja kolej, oczywiście odmówiłem. Stwierdził, że teraz nie ma czasu na dyskusje ze mną, ponieważ musi łamać pozostałych, ale wezwie mnie później w odrębnym trybie. Po wstępnej obróbce zostało nas dwóch, którzy mu się oparli. Ja i nijaki kapral Gruca. Wtedy dowiedziałem się, że tamten z kolei studiował trzy lata na uniwersytecie. Będąc na trzecim roku, za działalność w NZS został relegowany i w celach „wychowawczych" wcielony do armii.

Mameja jednak nie dawał za wygraną i postawił sobie za punkt honoru złamać jeszcze nas dwóch. W końcu po kilkunastu minutach obróbki – Gruca pękł. Okazało się, że miał dziewczynę i zależało mu na urlopach. Wojtkiewicz zagroził, że jeśli nie podpisze, to do końca służby opuści koszary wyłącznie na urlop taryfowy. Na żaden inny, ani na przepustkę stałą nawet niech nie liczy. Tym go ostatecznie rozbroił. Ze mną niczego nie wskórał, nie miałem dziewczyny. Na urlopy poza taryfą i tak praktycznie nie jeździłem, gdyż wymagało to upokorzeń i trzaskania punktów, czym się brzydziłem. Kiedy zagroził mi bliżej nieokreślonymi konsekwencjami regulaminowymi stwierdziłem, że jestem tutaj dobrowolnie, ponieważ gdybym poszedł na współpracę z SB, to teraz nie byłbym jego podwładnym tylko studentem na uniwersytecie. To z kolei jego rozbroiło.

- Idź Frączek i niech cię więcej moje oczy nie widzą!

- Tak jest! - stuknąłem obcasami i w regulaminowy sposób opuściłem kancelarię.

W taki oto sposób zostałem jedynym żołnierzem Baterii Dowodzenia, z wyjątkiem tych co w tym dniu przebywali na urlopach, który nie podpisał świstka papieru o wstąpieniu do ZSMP. Od tego jednak momentu Mameja zaczął się mścić. Coraz częściej otrzymywałem najgorsze służby na Obiekcie Hodowlanym, gdzie trzeba było wykarmić i oporządzić kilkaset świń. Trudność polegała na fakcie, że w przeciwieństwie do chłopaków ze wsi nie miałem w tej materii najmniejszego doświadczenia. Ze względu na swoją uciążliwość, służba na OH była służbą karną. Kierowano tam wyłącznie żołnierzy podpadniętych, których należało nieco dotrzeć ciężką pracą fizyczną.

Prawdziwa zemsta przyszła dopiero kilka miesięcy później, kiedy potrzebowałem jechać na urlop w celu zdawania drugiej części egzaminu maturalnego. Było to w maju 1985.

Dowódca mojej baterii porucznik Tadeusz Kosydar – ten, który w poprzednim roku udzielił mi 5-dniowego urlopu okolicznościowego, przebywał aktualnie na WKDO (Wyższy Kurs Doskonalenia Oficerów) i zastępował go wspomniany Wojtkiewicz. Przeczuwając, że z urlopem będę miał problemy na wszelki wypadek trzymałem w rezerwie urlop taryfowy za drugi rok służby w wymiarze 10 dni, którego musiał mi udzielić. Problem jednak tkwił w tym, by było to we wskazanym przeze mnie terminie. Kiedy udałem się do niego w

powyższej kwestii, aż podskoczył z radości. Stwierdził z nieukrywaną radością, że nareszcie mnie ma. Pamięć podsuwa mu sytuację sprzed kilku miesięcy, kiedy to odmówiłem wstąpienia do ZSMP. Teraz w drodze rewanżu on odmawia mnie przyznania urlopu, akurat w tym właśnie terminie. Z chęcią to uczyni, ale dopiero za miesiąc. Oficjalnie – limity urlopów na ten właśnie okres zostały już przez pododdział wyczerpane.

Zrozumiałem, że wpadłem jak śliwka w kompot. Nie sądziłem, że będzie aż do tego stopnia mściwy. Na ogół kadra zawodowa starała się nie mieszać spraw cywilnych z postępowaniem w wojsku. Wszak są to dwa oddzielne światy.

Kiedy już pogodziłem się z losem stała się rzecz, która nawet by mi nigdy do głowy nie przyszła. Na wieść o postępowaniu Wojtkiewicza, koledzy z mojego plutonu łączności odmówili wyjścia na zajęcia do czasu pozytywnego rozwiązania mojej sprawy. Teraz z kolei Mameja wpadł w konsternację. Nie wiedział, co ma uczynić... Chcąc rozprawić się ze zbuntowanym plutonem musiałby sięgnąć po metody, których nie można byłoby ukryć przed przełożonymi. Jako bezpośredni sprawca zamieszania, znalazłby się na cenzurowanym. Brak znajomości i wyczucia psychiki wśród żołnierzy podrywał jego autorytet i wystawiał na szwank predyspozycje dowódcze. Dlatego nie był zainteresowany w nagłośnieniu incydentu. Problem jednak był. Całość plutonu zgodnie oświadczyła, że dopóki nie zostanie mi wystawiony rozkaz wyjazdu na zajęcia nie wyjdzie. Równocześnie dowódca mojej drużyny kapral Piotr Pilarz z ominięciem drogi służbowej udał się w mojej sprawie do pułkowego politruka. Po kilkunastu minutach zostałem wezwany przed jego oblicze. Był w stopniu majora. Nazwiska niestety nie pamiętam, nosił przydomek „Wieszak", ponieważ w trakcie inspekcji nic go szczególnie nie interesowało, prócz tego czy wieszaki są równo ułożone.

- W czym jest problem? – zagaił.

Przedstawiłem mu swoje położenie. Z racji pełnionej funkcji znał mój życiorys.

- Czy masz urlop?

- Tak! Specjalnie na tę okoliczność trzymałem urlop taryfowy.

- Czy byłeś dyscyplinarnie karany?

- Nie! – padła moja odpowiedź.

- To dlaczego Wojtkiewicz stwarza ci problemy?

Przedstawiłem mu nasz incydent z ZSMP sprzed kilku miesięcy. Po wysłuchaniu moich wyjaśnień, stwierdził, że jako oficer polityczny jest przeciwny jakimkolwiek szykanom z pobudek politycznych. W mojej obecności zadzwonił do Wojtkiewicza wydając stosowne polecenie.

- Idź teraz, przebierz się na wyjściowo, rozkaz wyjazdu będzie wypisany! Tylko do cholery zdaj w końcu tę maturę i nie przynieś nam wstydu! Odmaszerować!

Kiedy wróciłem na pododdział Mameję trafiał szlag. Ale cóż, rozkaz to

rozkaz. Musiał ustąpić. Kiedy poinformowałem kolegów o pozytywnym finale, dopiero wtedy zwlekli się z łóżek i wyszli na zbiórkę, by udać się na przewidzianą rozkładem dnia musztrę. Ja wyjeżdżałem na wymęczony urlop. Co to znaczy koleżeństwo, prawdziwi towarzysze broni...

Życie potrafi jednak płatać figle. Po ciężkich przejściach, udaję się w końcu do swojej byłej szkoły, by dokończyć to co rok wcześniej rozpocząłem. Język polski ustny zdaję na czwórkę. Zostaje ostatnie podejście, przedmiot dodatkowy – historia. Aż mnie zmroziło. Główną egzaminatorką była wspomniana wcześniej – Janina Zapart – miejscowy „beton". Muszę przyznać, że z przyczyn oczywistych stopień mojego przygotowania był stosunkowo niski. Było to naturalną konsekwencją półtorarocznego przebywania w warunkach ekstremalnych. Jak u każdego człowieka, wystąpił u mnie naturalny w takiej sytuacji stopień otępienia. Pamiętająca przeszłość pani Zapart żadnego współczynnika miłosierdzia nie uwzględniła. Podeszła do mnie tak, jakbym dopiero co opuścił ławę szkolną, z pewnym odchyleniem na dociekliwość. Efekt był oczywisty. Oblałem. W pewnym momencie nie wytrzymując jej psychicznej presji, wstałem i przerwałem egzamin opuszczając salę. I tak, będąc swego czasu jednym z najlepszych uczniów z historii, właśnie z tego przedmiotu zostałem teraz upokorzony. Czas czyni swoje. To, co kiedyś było niemożliwe, dzisiaj staje się faktem. Po półtorarocznym bieganiu, czołganiu, marszach i staniu na baczność, bez książek, literatury, gdzie jedyną rozrywką jest wypita ukradkiem butelka wódki, a wszystko w ciągłym stresie i prawie całkowitym podporządkowaniu drugiej jednostce, umysł mój uległ erozji. Wyparowały nawet te wiadomości, które niegdyś posiadałem. W tym momencie uświadomiłem sobie, jak bardzo świat poszedł do przodu. Coś, co kiedyś było moim żywiołem, pasją, dzisiaj jest elementem kompromitacji. Zmienne szczęście tym razem mnie opuściło. Czyżby Robert Kagan miał rację?

Przybity i upokorzony powracam do rzeczywistości kostrzyńskich koszar. Teraz wiem, że tam jest mój świat, świat kolegów, norm i nakazów. Dziwne, ale po raz pierwszy z ochotą powracałem z urlopu. Powracałem, by bez nerwowych już przejść dosłużyć do końca przewidzianych ustawowo dni. Powracałem, by dalej na poligonach walczyć z naszym odwiecznym przeciwnikiem – XXV Korpusem Pancernym niemieckiej Bundeswery.

Rozdział IX
W OKOWACH NORMALIZACJI

Jesienią 1985 powracam do życia cywilnego. W myśl obowiązujących przepisów, byłemu żołnierzowi po odbyciu służby wojskowej przysługiwało prawo zatrudnienia w dowolnie wybranym przedsiębiorstwie państwowym. Przywilej ten był wówczas powszechnie stosowany. Korzystając z niego, zrezygnowałem z dalszej pracy w Hucie Katowice, przenosząc się do będącej w stadium budowy Koksowni „Przyjaźń". Bezpośrednim powodem mojej decyzji była kwestia mieszkaniowa. Pracownikom koksowni przydzielano wówczas mieszkania, i to za darmo. Był to argument decydujący. Po drugie – nie chciałem już wracać do prymitywnego rozbierania silników.

W trakcie dwóch lat mojej nieobecności sytuacja społeczna uległa znacznym przewartościowaniom. Zgodnie z żargonem propagandy nastąpiło dalsze pogłębienie procesów normalizacyjnych. Temperatura polaryzacji między zwolennikami PZPR i Solidarności praktycznie opadła do zera. Ogół obywateli cechowały postawy raczej obojętne, apatyczne. To już nie było to samo społeczeństwo, które pamiętałem z okresu 1980-83. Wyczuwalny był podskórny strach przed wszechobecną bezpieką. Co ciekawe, policji politycznej najbardziej obawiali się ci, którzy nie mieli z nią nawet najmniejszej styczności. Krótko mówiąc, strach i bezsilność. Większość moich rozmówców uważała, że taki stan będzie funkcjonował, aż po ich grobową deskę. Nie mogąc się pogodzić z taką rzeczywistością, zacząłem uciekać w dobrze mi już znaną emigrację wewnętrzną. Chcąc nadrobić dwuletnie zacofanie, ponownie zacząłem dużo czytać. Pracowałem nad sobą, oczywiście wyłącznie w wymiarze teoretycznym wierząc, że już niedługo nadarzy się możliwość działania praktycznego. Najważniejsze to nadrobić stracony czas.

Należało jakoś ułożyć sobie życie. Wokół mnie zaczęło dominować zjawisko, którego wcześniej nie dostrzegałem – postawy konformistyczne. Były one szczególnie widoczne w realiach takiego przedsiębiorstwa jak koksownia. Stosunkowo młoda załoga, kompletowana w dość dziwny sposób. Kadra kierownicza rekrutowała się głównie z odpadów z Huty Katowice, natomiast siła robocza pochodziła z wolnego naboru, nakręcanego rozdawnictwem mieszkaniowym. Tamtejszy aparat partyjny dysponował skutecznym środkiem oddziaływania, a mianowicie przydziałem mieszkania. Na listach mieszkaniowych wprowadzono specjalną rubrykę „zaangażowanie społeczne i współpraca w kolektywie". Tę punktację przydzielał aparat partyjno – związkowy. W praktyce sprowadzało się to do tego, że kto wstąpił do OPZZ, ten dostawał dodatkowe punkty w stosunku do niezrzeszonego. Natomiast za przynależność do PZPR, dostawało się ich maksymalną ilość i pierwszeństwo w przydziale mieszkania. Efekt był taki, że w konsekwencji tych praktyk prawie 80 procent załogi przynależało do OPZZ, do partii znacznie mniej.

Szczególnie rażąco zjawisko powyższe występowało na moim Wydziale Elektrycznym. Było to możliwe, ponieważ jego szef – Marian Sosiński był osobą o miękkiej konstrukcji psychicznej i nie należał do osób z charakterem. Okazję tę wykorzystywało dwóch panów: Mieczysław Domagała i Stanisław Pędraś. Pierwszy był przewodniczącym wydziałowego OPZZ, drugi wydziałowym sekretarzem PZPR. Korzystając ze słabości kierownika i pewnej władzy w przedmiocie przydziału mieszkań, panowie ci bawili się w czerwone książątka.

Kiedy niemal każdy oczekujący na mieszkanie był zrzeszony i punktacja się zrównała należało się dodatkowo rzucić w oczy, by posiąść ich łaskę. Na ogół odbywało się to poprzez stawianie im wódki. Ponieważ w owym okresie, panowie ci nie mieli żadnych istotnych obowiązków zawodowych, częste picie gorzały stało się ich ulubionym zajęciem. Mnie praktyki takie nie dziwiły. Niejedno już widziałem, natomiast to, jak odrobina władzy działa na psychikę jednostki prymitywnej, miałem okazję ćwiczyć i to w znacznie ostrzejszej formie w wojsku. Z wolna zacząłem się zadamawiać i aklimatyzować w szarej rzeczywistości dnia codziennego drugiej połowy lat osiemdziesiątych. Awansowałem. Nie musiałem już jak w Hucie Katowice rozbierać silników, lecz zajmowałem się pomiarami elektrycznymi. Atmosfera wśród załogi była wyśmienita. W większości byli to ludzie młodzi; wspólne wycieczki, życie towarzyskie, imprezy... Wszystko jakoś stopniowo się układało, aż do momentu 1-Maja 1987.

Na dwa dni przed tym świętem zostałem wezwany do gabinetu swojego szefa. Był tam obecny człowiek, którego widziałem pierwszy raz w życiu. Szef oświadczył, że mam się przebrać, gdyż pojadę do Huty Katowice odebrać jakiś silnik. Było to o tyle dziwne, że takie zagadnienie dotąd nie leżało w moich obowiązkach, zajmował się tym zupełnie inny pracownik. Odruchowo wyjrzałem przed budynek. Stał tam ułaz z zakładowej straży przemysłowej. Kierowca leniwie wygrzewał się w pierwszych promieniach wiosennego słońca. W lot pojąłem, co jest grane. W związku z rocznicą 1-Maja przyjechali mnie zatrzymać na 48-godzin.

Kiedy wraz z nieznajomym wsiadałem do samochodu, przedstawił się jako oficer Służby Bezpieczeństwa – podporucznik Krzysztof Tomzik.

- Z tą hutą i silnikiem to oczywiście bujda, pojedziemy teraz na komendę nieco porozmawiać. Chcieliśmy pana zabrać bez rozgłosu.

Sytuacja była o tyle niecodzienna, że do tej pory SB zawsze przesyłała mi wezwania drogą pocztową. Tym razem młody oficer, chcąc zamanifestować temperament cowboya przyjechał po mnie osobiście. On i nijaki Czesław Lasik zajmowali się nadzorem nad koksownią. Do ich zadań należało czuwanie, by na terenie zakładu nic związanego z działalnością opozycyjną nie mogło zafunkcjonować. Ponieważ zbliżała się rocznica robotniczego święta, więc pan Tomzik postanowił sobie porozmawiać z jednym z pracowników, który w jego

kartotece posiadał stosowną adnotację. Chodziło w tym przypadku wyłącznie o rutynową rozmowę profilaktyczno – zastraszającą. Praktykowano to powszechnie, przed każdą tego typu rocznicą. Interesowało go, czy nie będę organizował „wichrzycielskich" wystąpień lub kolportował bibuły.

Odpowiedziałem, że byłoby dobrze, gdyby dał mi święty spokój, ponieważ obecnie jestem jednostką politycznie niegroźną. Otaczający mnie ludzie są typowymi robotnikami, których podstawowe pryncypia życiowe sprowadzają się do miski i mieszkania. Na dobrą sprawę nawet porozmawiać nie mam z kim. Są przekonani, że Jaruzelski będzie ich trzymał za mordę, dopóki będzie żył, a jeżeli nawet umrze, to dalej będzie to czynił ten, który przyjdzie na jego miejsce. Procesy polityczne i mechanika zmian ustrojowych są dla nich pojęciami całkowicie obcymi. Dlatego, mimo chęci rzucania reżimowi kłód pod nogi, nie jestem w stanie zrobić niczego, co by jego osobę odpowiedzialną za polityczne bezpieczeństwo tego zakładu mogło postawić w sytuacji niekorzystnej.

Taka odpowiedź całkowicie go zadowoliła. Stwierdził, że chodzi mu wyłącznie o to, by na terenie zakładu panował spokój. Po krótkiej naradzie z kimś z szefostwa stwierdził, że puszcza mnie wolno. Ostrzegając jednocześnie, że jeżeli będę coś organizował, to przełożeni dobiorą się do niego, a wówczas on uprzykrzy życie mnie. Myślałem, że zostanę prewencyjnie zatrzymany, ale nic z tego. Po półgodzinnej wymianie poglądów zostałem zwolniony.

Po tym, pozornym tylko epizodzie, wszystko wokół mnie było już inne. Do tej pory w miejscu pracy nikt praktycznie nie wiedział, kim jestem naprawdę. Nikt nie znał mojej przeszłości. Ot, młody człowiek zatrudniony prosto po wojsku jak setki innych. Teraz karty zostały odkryte. Zauważyłem, że Pędraś zaczyna mi się bacznie przyglądać i to podejrzliwym wzrokiem. Zrozumiałem, że straciłem to, co z czasem udało mi się misternie zbudować. Ponownie przestałem być jednym z tysiąca anonimowych ludzi, patrzono na mnie już inaczej. Jedni życzliwie, inni wrogo. Problem leżał w tym, że ci drudzy mieli nade mną pewną władzę.

W powyższych okolicznościach doszedłem do wniosku, że czas najwyższy przerwać milczenie i rozpocząć jakąś formę aktywności. Gwałtowny tryb mojego wezwania utwierdził mnie w przekonaniu, że coś istotnego musi się dziać na najbliższym terenie. Przecież inaczej po tylu latach nie zadawaliby sobie fatygi, by poświęcać mojej osobie jakąkolwiek uwagę.

Napisałem pismo do kierownika wydziału – Mariana Sosińskiego, aby udzielił mi odpowiedzi na pytanie, jakie są kryteria przydziału punktów na listach mieszkaniowych w rubryce „aktywność społeczna". W odpowiedzi wezwał mnie do siebie i wyjaśnił, że takie są zarządzenia. Pracownik, który nie należy do oficjalnych struktur związkowych lub PZPR jest uważany za jednostkę aspołeczną i dlatego jest gorzej traktowany. Punktację w tej rubryce prowadzi aparat partyjno – związkowy, i czyni to według własnego uznania.

Kiedy zażądałem, aby tę wiedzę, którą przekazał mi w formie ustnej przelał na papier, kategorycznie odmówił.

Postanowiłem iść za ciosem. Założyłem, że jeżeli uda mi się odpowiednio sprawę nagłośnić i zyskać poparcie załogi, musi to w rezultacie doprowadzić do zaniechania tych niechlubnych praktyk. Z codziennych rozmów wiedziałem, że ludzie ich nie akceptują, aczkolwiek z musu się im podporządkowują. Jeżeli uda mi się swoją postawą przełamać zmowę apatii i strachu, wprowadzając element ruchu, powinno to wywołać presję oddolną, zmuszając aparat do weryfikacji dotychczasowych praktyk. W konsekwencji musi to doprowadzić do anulowania obowiązującej procedury.

W panujących wówczas realiach jedyną możliwością było wystąpienie przed całą załogą, przekonanie jej do swoich racji i pozyskanie przychylnego stanowiska. Ponieważ pracownicy mojego wydziału byli rozproszeni po różnych budynkach na całym terenie zakładu, możliwość ich zebrania o jednej porze w jednym miejscu nie wchodziła w grę. Któregoś dnia dowiedziałem się, że w najbliższym czasie odbędzie się na naszym wydziale zebranie członkowskie OPZZ. Ponieważ do tej struktury, ze wspomnianych wcześniej względów należała większość załogi, dawało to praktyczną możliwość realizacji moich zamierzeń. Takiej szansy nie mogłem zmarnować. Jedyny problem leżał w tym, iż w zebraniu tym mogli uczestniczyć wyłącznie członkowie OPZZ. Nic bardziej prostszego. Udałem się do Mieczysława Domagały, informując go, że chcę wstąpić do jego organizacji związkowej. Był zaskoczony, ale odmówić nie mógł. Wypełniłem otrzymaną deklarację.

Na wspomnianym zebraniu rozpętałem prawdziwą burzę. Argumenty miałem miażdżące. Większość załogi zaczęła ze mną sympatyzować i brać moją stronę. Bariera strachu zaczęła się chwiać. Nic jednak prócz sprowokowania szykan mojej osoby z tego faktu nie wyniknęło. Kilka dni później zostałem przeniesiony do innej pracy na drugi koniec zakładu. Jak udało mi się ustalić, w tym przypadku zadziałał splot dwóch niezależnych od siebie okoliczności.

Pierwszy to moja przeszłość i podjęte próby deptania po piętach aparatowi związkowo – partyjnemu, a co za tym idzie wzrost sympatii załogi. Drugi to denuncjacja przez jakiegoś pracownika do straży przemysłowej owych dwóch panów, iż na terenie zakładu spożywają alkohol. Nie mogąc ustalić winnego, założyli, że za tym musi stać moja osoba – czołowego wichrzyciela. Stąd już tylko jeden wniosek, należy prewencyjnie się mnie pozbyć. Muszę tutaj z całą konsekwencją oświadczyć, że ze wspomnianą denuncjacją nie miałem nic wspólnego. Donoszenie, nawet na przeciwników politycznych, nie mieściło się w moich kanonach estetycznych. Poza tym, z racji czyichś imienin, sam nieraz spożywałem alkohol na terenie zakładu, oczywiście w nieznacznych ilościach.

Szybko się jednak okazało, że operacja z moim przeniesieniem nie była w pełni skuteczna, gdyż w dalszym ciągu kontaktowałem się z ludźmi, coraz śmielej artykułując swoje poglądy. Coraz więcej osób mnie poznawało i darzyło

sympatią. Aparat trafiał szlag. Postanowili mnie rzucić tak daleko, jak to tylko było możliwe. A było możliwe oddelegowanie mnie, aż na Sulno w Strzemieszycach do hoteli pracowniczych. Właśnie tam, zachodziła pilna potrzeba wzmocnienia tamtejszej grupy elektryków.

Przede mną otworzyła się prawdziwa laba, ale mój kontakt z załogą w praktyce ograniczał się tylko do comiesięcznych wizyt w zakładzie podczas pobierania pensji. Tak oto kolejny raz wichrzyciel został skutecznie zneutralizowany. Panowie odtrąbili swój sukces. Wyrwali chwasta!

Istotnym jest fakt, że powyższe roszady nie byłyby możliwe, gdyby nie podporządkowanie i dyspozycyjność kierownictwa wobec postulatów aparatu partyjno – związkowego. Kiedy zrozumiałem, że moja akcja spaliła na panewce i że nie będę mógł już niczego więcej wskórać, postanowiłem wystąpić z OPZZ, co też niezwłocznie uczyniłem ku radości obu panów.

Wiosną 1988 cały kraj obiegła elektryzująca wiadomość. Strajk w Nowej Hucie! Kluczowy postulat – legalizacja Solidarności. Kraj zamarł w oczekiwaniu. Znowu zaczęto słuchać Radia Wolna Europa. Nareszcie coś drgnęło. Ponoć do akcji strajkowej ma się przyłączyć Stocznia Gdańska.

Korzystając z pierwszej nadarzającej się okazji, udałem się do zakładu, gdzie od kolegi – Marka Zygmunta dowiedziałem się o chodzących pogłoskach. Wynikało z nich, że na terenie przedsiębiorstwa coś się organizuje. Ponoć na Wydziale Baterii Koksowniczych zawiązuje się Solidarność, słyszał o jakichś ulotkach. Poleciłem mu, aby rozpoznał sprawę i złapał stosowny kontakt. Po kilku dniach odpowiedział, że nie jest to niemożliwe, ponieważ wszystko jest głęboko utajnione. Ludzie, z którymi rozmawiał, nic konkretnego nie wiedzą, same plotki z trzeciej ręki. Trzeba dalej trwać w martwym wyczekiwaniu.

Rozdział X
PRZEŁOM

Korzystając z pewnej polaryzacji nastrojów wywołanych strajkiem w Nowej Hucie, śląska RKW postanowiła w popularne wówczas święto 1 Maja zorganizować w Dąbrowie Górniczej manifestację. Wybór padł na Dąbrowę ze względu na największy w województwie zakład produkcyjny – Hutę Katowice. Chodziło o rozbudzenie nastrojów, których uwieńczeniem miał być strajk solidarnościowy z Hutą Lenina. Pojawiły się ulotki. Służba Bezpieczeństwa przystąpiła do prewencyjnych zatrzymań. O mnie z racji pewnego oddalenia od zakładu praktycznie zapomniano.

Po porannym nabożeństwie przed dużym kościołem przy ulicy Czerwonych Sztandarów zgromadziło się około 200 osób. W tym samym czasie w centrum miasta kilka tysięcy zwolenników PZPR słuchało okolicznościowego przemówienia Wojciecha Jaruzelskiego, oczekując na przemarsz przed trybuną honorową. Solidarnościowego kontrpochodu, niestety, nie udało się sformować, ponieważ cywilni funkcjonariusze SB skutecznie udaremniali tę inicjatywę. Czoło formującej się kolumny ustawicznie prowadziło walkę z esbekami, starającymi się wyrwać transparent i wyszarpywać z tłumu pojedyncze osoby. Przepychanka trwała dobrych kilka minut. Nikt szczególnie nie ucierpiał. Zbity tłumek falował. Pojedyncze osoby wleczone w stronę samochodów momentalnie były odbijane przez pozostałych demonstrantów. Było to możliwe dzięki zasileniu tłumu grupą kilkudziesięciu zaprawionych w bojach aktywistów związkowych z całego województwa. W końcu po kilkuminutowych utarczkach zawarto nieformalne porozumienie. My nie ruszymy pochodem do centrum i ograniczymy się do wiecu na stopniach kościoła, oni nie będą interweniować. Wiec prowadził – Adam Giera, członek RKW. Mówił o społecznej solidarności, potrzebie legalizacji związku. Wznoszono okrzyki:

- Cała Polska z Nową Hutą!
- Jutro strajk!
- Solidarność, Solidarność!

Bezpieka rzeczywiście nie interweniowała, ograniczając się jedynie do filmowania zgromadzonych uczestników. Po przemówieniu, okrzykach i odśpiewaniu hymnu narodowego, wiec uległ rozwiązaniu. Nikogo nie zatrzymano. Jak się później okazało, SB chciała jedynie udaremnić pochód, by nie doszło do solidarnościowej kontrmanifestacji. Po naszym rozejściu się w ulicę wkroczył kilkutysięczny tłum piewców starego porządku.

Mimo tych prób – Tajna Komisja Zakładowa w Hucie Katowice była zbyt słaba organizacyjnie, by wywołać strajk. Nastroje społeczne też zresztą nie zostały rozbudzone. W efekcie, wbrew wcześniejszym deklaracjom – Huta Katowice nie stanęła. Za to kraj obiegła inna wiadomość. Drugiego maja do protestu przystąpiła Stocznia Gdańska. Powoli, po latach marazmu następowało przebudzenie.

Strajk w Nowej Hucie został złamany siłą, w stoczni zakończył się samorozwiązaniem. Jednak tych kilkanaście wiosennych dni znacznie ożywiło nastroje. Społeczeństwo w swej masie, co prawda dalej przejawiało bierność, ale ponownie zaczęły pojawiać się polityczne dysputy. Zacząłem sobie uświadamiać, że zorganizowanie czegoś szerszego w najbliższym czasie ze względu na wciąż dominującą apatię i zastraszenie nie jest możliwe. Jednak nieliczne jednostki zaczęły się uaktywniać...

W maju 1988 doszło w koksowni do pewnego wydarzenia. Z racji swojego oddalenia, dowiedziałem się o nim znacznie później. Dwóch pracowników – Janusz Ostrowski i Krzysztof Trzaska na znak poparcia dla strajkującej Huty Lenina i Stoczni Gdańskiej postanowiło na stołówce zakładowej zorganizować wiec poparcia. Wiec trwał krótko. Rozdano nieco ulotek, po czym obaj panowie zostali zatrzymani i dyscyplinarnie zwolnieni z pracy za szerzenie fermentu wśród załogi.

Kiedy się o tym dowiedziałem, postanowiłem spotkać się z Ostrowskim, by przedyskutować sytuację. On, przebywając już formalnie poza zakładem, skontaktował mnie z Januszem Kraśniewskim, kolporterem bibuły. Od niego otrzymywałem „Tygodnik Mazowsze", „KOS-a" i „Przegląd Wiadomości Agencyjnych", ładowałem to w torbę i raz na dwa tygodnie jechałem na teren zakładu, by prowadzić kolportaż na swoim wydziale. Mogłem to czynić na znaczną skalę, ponieważ ze względu na częste przenosiny miałem najszersze kontakty w różnych brygadach rozrzuconych po całym obszarze zakładu. Trzeba nadmienić, że gazetki te nie były rozrzucane, lecz sprzedawane. Łącznie w powyższym okresie kolportowaliśmy kilkaset sztuk różnego rodzaju bibuły. Robota zaczęła nabierać rumieńców. Teraz należało budować strukturę, choćby nawet wątłą i za jej pomocą sypać bibułę, sypać i jeszcze raz sypać. Tak też czyniliśmy.

Ponieważ u kierownictwa byłem podpadnięty, dlatego zawarłem umowę z moim brygadzistą na Sulnie – Jackiem Sasulskim, że zawsze, kiedy będę jechał z kolportażem, on będzie mi wypisywał dzień urlopu, by w razie czego być krytym. Tak w ramach swojego urlopu bawiłem się w rewolucjonistę. Sytuacja była częściowo podobna do tej z 1983. Tym razem jednak Służba Bezpieczeństwa nie interweniowała, ograniczając się jedynie do obserwacji.

W zakładzie sytuacja wyglądała następująco. Powstał Komitet Organizacyjny NSZZ Solidarność w składzie kilku osób, między innymi: Janusz Ostrowski, Władysław Bożek, Czesław Kwec, Andrzej Jurek, Adam Walasik, których nazwiska oficjalnie były umieszczone na kolportowanych przez nas ulotkach. Chodziło nam przede wszystkim o przełamanie wśród załogi bariery strachu i wykazanie, że tak naprawdę nie ma już czego się obawiać. Wszyscy oni byli już po rozmowach prewencyjno – zastraszających przeprowadzonych

przez lokalną SB. Ich zadaniem było wyłącznie stanowienie oficjalnej wizytówki i przyjęcie na siebie ewentualnej reakcji esbecji. Zwłaszcza inwigilacji, celem odciążenia pozostałych.

Równolegle funkcjonowała nieujawniona struktura, opierająca się na bazie kolporterów, między innymi: Janusza Kraśniewskiego, Piotra Jarosza, Jerzego Dobrowolskiego, Bogusława Szurygi i mnie. Naszym zadaniem było prowadzenie na terenie zakładu faktycznej roboty organizacyjnej, takiej jak zaciąganie ludzi, rozbudowa i prowadzenie kolportażu, zbiórka składek, agitacja. Obie struktury były ze sobą ściśle powiązane i stanowiły całość. Formalnie komitet tajny podlegał jawnemu. Naszym głównym celem było zbudowanie w istniejących warunkach półlegalnych wystarczająco mocnej struktury, by w sprzyjających warunkach móc zafunkcjonować jako zorganizowana siła. Jak już wspomniałem – Służba Bezpieczeństwa nie reagowała, ograniczając się jedynie do prowadzenia obserwacji. W szczególnych wypadkach przeprowadzano jedynie rozmowy zastraszające z ujawnionymi działaczami. Nie powodowały one zresztą żadnych konsekwencji dyscyplinarnych.

W takim składzie dotrwaliśmy do sierpnia 1988, czyli do kolejnej fali strajków solidarnościowych obejmujących swym zasięgiem Gdańsk i część śląskich kopalń. Dysponowaliśmy już pewnymi wpływami na trzech wydziałach: Baterii Koksowniczych, Wydziale Mechanicznym i Wydziale Elektrycznym, tj. wpływem na 30 procent załogi. Wokół nas funkcjonowało kilkanaście aktywnych jednostek. Należy dodać, że załoga składała się ze stosunkowo młodych osób podatnych na agitację. Według mnie, posiadany potencjał i okoliczności były wystarczające, by podjąć w sierpniu próbę akcji strajkowej. Jeżeli nawet nie objęłaby ona całego zakładu, to przynajmniej jego znaczną część. Dość powiedzieć, że gdybym wówczas był szefem, podjąłbym taką decyzję. Na moje monity ówczesny szef - Władysław Bożek odpowiedział, że sytuacja społeczna w firmie jest znacznie gorsza niż przypuszczam, a ja z racji pewnego oddalenia i sporadycznych kontaktów z załogą mam tylko wycinkowy jej obraz. Musiałem uznać jego argumenty, jednak coś już zaczęło mnie w jego postawie niepokoić. Zacząłem wyczuwać w jego postępowaniu politykę dystansu i głębokiej asekuracji. Fakt pozostał faktem. Mimo pewnego potencjału zgromadzonego dzięki naszej kilkumiesięcznej pracy koksownia w sierpniu 1988 nie stanęła, ba, nawet nie podjęto takiej próby.

Po strajkach sierpniowych nastąpiła dalsza ewolucja w pożądanym kierunku. Z wolna narastała aktywność społeczna, ostrze szykan uległo dalszemu stępieniu. W mediach zaczęły pojawiać się wątki o konieczności zawarcia porozumienia społecznego. To wszystko działało na plus.

Kilka dni później spotkała mnie miła niespodzianka. Otrzymałem wiadomość, że w związku z planowanym rozruchem zakładu (do tej pory w

stadium budowy) moja brygada wraz ze mną zostaje przeniesiona na teren przedsiębiorstwa. Tak trafiłem do brygady Remontów Terenowych. Było to o tyle istotne, że od tej pory już stale przebywałem na terenie zakładu, a charakter pracy umożliwiał mi całkowitą swobodę poruszania się po całym jego obszarze. To pchnęło mnie do jeszcze aktywniejszej pracy.

W tym miejscu konieczne staje się opisanie pewnego wydarzenia, które będąc pozornie nieistotnym wywarło jednak bardzo poważny wpływ na moje dalsze losy.

Pewnego dnia bawiąc w mieszkaniu Janusza Ostrowskiego, spotkałem tam człowieka, z którym niegdyś rozpoczynałem działalność polityczną, choć później ze względu na różnice polityczno – mentalne nasze drogi się rozeszły. Mam na myśli Daniela Podrzyckiego. Po spotkaniu wychodziliśmy razem, więc nadarzyła się okazja do odbycia dłuższej rozmowy po latach. Rozmowa rzeczywiście była długa, prawie czterogodzinna. Wymieniliśmy uwagi na temat aktualnej sytuacji w kraju. Byliśmy stosunkowo zgodni. Podrzycki, złożył mi ofertę współpracy. Stwierdził, że ma decydujący wpływ na 23 Komisje Zakładowe powstające w rejonie Zagłębia i zaproponował wspólną grę o Region.

W odpowiedzi stwierdziłem, że nie jest to możliwe, ponieważ poddaję w wątpliwość przedstawioną przez niego liczbę, a po drugie to za dużo o sobie wiemy, byśmy mogli mieć do siebie zaufanie. A bez zaufania jakakolwiek forma współpracy traci rację bytu. Uważam go za demagoga, człowieka nieuczciwego, pozbawionego skrupułów, który wszędzie, gdzie tylko się pojawi, prowadzi wyniszczającą grę ambicjonalną w imię jednego tylko celu – władzy. Rozmowa przedłużała się, ponieważ obaj zajadle przekonywaliśmy się do swoich racji i sztywno obstawaliśmy przy swoim zdaniu. Dzisiaj wiem, że był to mój pierwszy istotny błąd polityczny. Wiedząc, że Podrzycki jest wyjątkową kanalią, nie należało mu w sposób zdecydowany stawać okoniem, lecz przyjąć jego warunki, targując się jedynie o ich jakość, i tak ustawić realia, aby w dowolnym momencie, kiedy sytuacja będzie tego wymagała, móc się z ustaleń powyższych wycofać pod byle jakim pretekstem. Należało za wszelką cenę uśpić jego czujność, by nie prowokować mściwej reakcji. Niestety, postąpiłem dokładnie odwrotnie. W tym wypadku górę u mnie wzięła wyższość racji moralnych nad polityczną kalkulacją. W przyszłości okazało się to dla mnie zabójcze.

Nie mogąc osiągnąć trwałego porozumienia, zawarliśmy modus vivendi. Ja w koksowni będę robił to, co robię, a on u siebie swoje i nie będziemy sobie wchodzić w paradę, spalając się w wyniszczającej walce. Jakże byłem naiwny sądząc, że on dotrzyma danego mi słowa.

Po powrocie na teren zakładu postanowiłem rozpoznać naocznie panującą sytuację. Do tej pory funkcjonowałem w pewnym oddaleniu, co mogło mieć wpływ na pewne błędy natury analitycznej. Teraz byłem już w jądrze wydarzeń.

Kierownictwo mojego wydziału, jako zdeklarowanego opozycjonistę w zmieniającej się sytuacji zaczęło mnie traktować z dużą dozą tolerancji. Prawdopodobnie mieli wyrzuty sumienia za poprzednie szykany. Na Wydziale Elektrycznym jako pierwszy w całym zakładzie wprowadziłem w warunkach półlegalnych oficjalny kolportaż bibuły, bez ukrywania się. Jawnie, a nie jak do tej pory ukradkiem. Bez konspiracji również odbywała się agitacja. Po raz pierwszy w dziejach tego przedsiębiorstwa, właśnie na swoim wydziale w sposób oficjalny zorganizowałem pierwsze zebranie wydziałowej organizacji Solidarności w budynku Pogotowia Gazowego. Był to przypadek jak na tamte czasy bez precedensu. Na to jeszcze nikt się nie odważył. Przyszło ok. 30 osób.

Postanowiłem iść za ciosem i podjąć pewne usprawnienia odnośnie kolportażu prasy. Trzeba nadmienić, że bibuła organizowana przez Ostrowskiego, zanim do nas dotarła, przechodziła przez szereg różnych pośredników. W konsekwencji docierała do czytelnika z dużym opóźnieniem, dochodzącym niekiedy do miesiąca. To z kolei powodowało, że znaczna część zawartych w niej treści ulegała dezaktualizacji. Ludzie zaczęli grymasić. Postanowiłem zmienić ten stan rzeczy. Przez kolegę jeszcze z okresu ZMD – Jacka Bargła, który wówczas studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim podjąłem kontakt na Kraków, skąd otrzymywałem prasę z opóźnieniem nie większym niż tydzień. I siłą rzeczy na zasadzie wolnej gry rynkowej wyparłem kolportaż Ostrowskiego. Wówczas jeszcze nie wiedziałem, że ten nieznaczący epizod spowoduje między nami pewien stopień zadrażnień. W swojej naiwności sądziłem, że pobudki jakimi kierują się ludzie Solidarności są szlachetne, nakierowane wyłącznie na altruizm i dobro wspólne. Uważałem, że należy uczciwie iść do przodu. Jeżeli istnieje możliwość naprawienia czyichś niedociągnięć z pożytkiem dla ogółu, to należy to czynić. Nie brałem w ogóle pod uwagę ludzkich ambicji i tego, co mogą spowodować będąc urażone. Miałem obrany jeden kierunek. Naprzód marsz! Wszak w końcu nadchodził dzień na który tyle lat czekałem. Czyż mogłem postąpić inaczej? I tak, nie do końca świadom, brnąłem w nowe pola konfliktu.

Jesienią 1988 w skali kraju już gołym okiem widoczne były procesy sygnalizujące zmianę dotychczasowej polityki władz. Zaczęto otwarcie mówić o potrzebie Okrągłego Stołu. W terenie proces ten również był wyczuwalny. Jak już wspominałem, Służba Bezpieczeństwa nie podejmowała żadnych drastycznych reakcji, co utwierdziło mnie w przekonaniu o prawdziwości tych deklaracji. Przecież, gdyby chciano zdławić opozycję, to należało działać błyskawicznie, zwalniając z pracy uaktywniające się jednostki. Nic takiego nie czyniono, co dowodziło, że mają instrukcje – czekać! Ale na co? Aż opozycja się zorganizuje i okrzepnie w siłę? Czysty absurd! Proces otwarcia już się rozpoczął, byłem tego absolutnie pewien. Mimo tych czytelnych symptomów nie wszyscy w kierownictwie organizacji do końca podzielali moją opinię. W stosunku do komunistów dominował element nieufności, co zresztą po części

było zrozumiałe. Uważano, że może to być podpucha, abyśmy się wszyscy poujawniali, co później ułatwi aresztowania. Różnice zdań były diametralne. Trzeba pamiętać, że wówczas moimi partnerami byli robotnicy, których stopień politycznego wyrobienia i zdolności analityczne, oględnie mówiąc były niewielkie.

Ilustracją powyższego niech będzie fakt, że w przedsiębiorstwie mimo panującej powszechnie tolerancji sytuacja wcale nie wyglądała różowo. W warunkach półlegalnych posiadaliśmy jako tako zorganizowane struktury na czterech wydziałach: Baterii Koksowniczych, Suchym Gaszeniu, Mechanicznym i Elektrycznym. W sumie jakieś 180 osób. Większość załogi oczywiście z nami sympatyzowała, ale nadal obawiała się otwartych deklaracji.

Na gwiazdkę 1988, otrzymaliśmy kolejny prezent. Pod groźbą dymisji; Jaruzelski, Kiszczak i Rakowski przeforsowali w Biurze Politycznym PZPR uchwałę o potrzebie pluralizmu związkowego i politycznego, co praktycznie uruchamiało faktyczny już proces reform. Okrągły Stół stawał się faktem. Realny socjalizm samoczynnie się rozpadał.

Uważałem, że w świetle tak korzystnej koniunktury należy przejść do działań o charakterze bardziej ofensywnym. Kolportaż był już jako tako zorganizowany i żył własnym życiem. Ludzie płacili składki, istnieliśmy faktycznie, chociaż oficjalnie jeszcze nie byliśmy przez dyrekcję uznawani. Większość załogi z nami sympatyzowała, aczkolwiek przypływ nowych członków następował bardzo powoli. Zjawiska boomu nie odnotowywałem. Teraz nadszedł właściwy moment, aby wykonać zdecydowany ruch, który walnie przyczyniłby się do przechylenia szali na naszą stronę. Jak wcześniej wspominałem, dyrektor za sugestią SB w maju zwolnił za próbę wiecu na stołówce dwóch działaczy: Janusza Ostrowskiego i Krzysztofa Trzaskę. Uważałem, że teraz jest właściwy moment, aby zagrać tą właśnie kartą. Wszak nic tak nie oddziałuje na ludzkie emocje jak przypadek męczennika. Przecież, gdyby Chrystus nie został ukrzyżowany, nie byłoby chrześcijaństwa.

Na zebraniu w mieszkaniu Ostrowskiego przedstawiłem swój plan. Organizujemy wśród załogi akcję petycyjną, domagamy się przywrócenia do pracy obu zwolnionych. To spowoduje nagłośnienie całej sprawy i przekona ludzi do potrzeby udzielenia nam wsparcia. Po drugie, da chwilowe zajęcie powstałym strukturom, aby nie siedziały bezczynnie. Bezczynność bowiem, co wyniosłem z wojska zawsze działa destrukcyjnie na psychikę człowieka. Ponieważ istnieje znikome prawdopodobieństwo, aby dyrektor pod naporem naszej petycji ustąpił, da nam to kapitalny pretekst do zorganizowania wiecu w ich obronie. Legalizacja Związku to sprawa polityczna, która musi być rozwiązana na szczeblu centralnym, na co nasz wpływ jest żaden. Przywrócenie tych dwóch do pracy, to nasze lokalne zadanie całkowicie zależne od nas i dyrektora. Im silniejszy będzie nasz nacisk, tym dyrektor będzie bardziej

podatny na ustępstwa. A nam potrzebny jest spektakularny sukces. Musimy stworzyć fakt, który zamanifestuje naszą zwartość oraz przyciągnie niezdecydowaną część załogi. Wszak dyrektor będzie się liczył tylko z silnym, a sympatie ludzi zawsze są ulokowane po stronie pokrzywdzonego, a nie krzywdzącego. Nawet jeżeli wiec nie odniesie zamierzonego efektu, to i tak wzmocni naszą pozycję, przyczyniając się do rozrostu organizacji. Bezpośrednio po nim będziemy w stanie realnie zagrozić strajkiem. Moralna legitymacja jest po naszej stronie. Najważniejsza obecnie jest eskalacja napięcia. Słowem, musimy zrobić, co się da, aby tych dwóch przywrócono i perfekcyjnie rozgrywać tą kartą dla wzmocnienia własnych aktywów.

Wszyscy zebrani zgodzili się z moimi argumentami. Postanowiliśmy przystąpić do realizacji planu. Muszę przyznać, że chociaż nominalnie przewodniczącym był Władysław Bożek, to wówczas dzięki rzutkości i temperamentowi, stopniowo wysuwałem się na czoło na pozycję faktycznego lidera.

Tak, chcąc przyczynić się do wzrostu aktywów swojej organizacji i chcąc pomóc dwóm represjonowanym kolegom, nieświadomie brnąłem w kierunku kolejnego konfliktu. Tym razem nie z przeciwnikiem politycznym (który już de facto nie istniał), lecz z własnym otoczeniem i zapleczem. Komuniści już się nie liczyli. Rozpoczynała się podskórna gra o przyszłą władzę, która zaczynała – jak to przy każdym przełomie – chwilowo leżeć na ulicy. Wówczas, nawet by mi do głowy nie przyszło, że tym właśnie działaniem podpaliłem żagiew przyszłej wojny domowej. Tak bowiem już bywa, że ludzie posiadają pewne głęboko skrywane ciągotki ambicjonalne. Wszystko jest w normie, jeżeli są one dopasowane do otaczających realiów i idą w parze z honorem. Problem pojawia się wówczas, gdy realia je przerastają, a honor jest pojęciem względnym. Ja swoim działaniem znacznie podnosiłem polityczną poprzeczkę. Zyskiwałem poparcie, wyrastałem na naturalnego lidera, to fakt, ale nie wszystkim to musiało się podobać...

Rozdział XI
WZLOTY I UPADEK

Na przełomie 1988/89 rozpoczęliśmy zbiórkę podpisów pod petycją. Patrząc z perspektywy mojego wydziału, szła bardzo dobrze. Z nielicznymi wyjątkami podpisywał niemal każdy. Na Bateriach Koksowniczych też było podobnie. Gotowe listy z podpisami przekazałem Władysławowi Bożkowi, który jako upełnomocniony przywódca miał je złożyć u dyrektora. I na tym etapie sprawa ugrzęzła. Zaniepokojony przedłużającym się bezruchem udałem się do Bożka, domagając się drugiego ruchu, czyli wiecu. Zachowywał się dziwnie. Był nieswój, udzielał wymijających odpowiedzi. Jego postawa z sierpnia i obecna zaczęły budzić moje zaniepokojenie, które przerodziło się w podejrzenia. Tchnięty dziwnymi przeczuciami zacząłem sprawę badać, bliżej przyglądając się temu panu. Sukcesywnie zacząłem odkrywać to, co starał się przed otoczeniem skrupulatnie skrywać. Nagą prawdę o nim samym.

Władysław Bożek przed podjęciem pracy w koksowni pracował na analogicznym wydziale elektrycznym w Hucie Katowice. W latach 1980-81 w tamtejszej Solidarności pełnił rolę trzeciorzędną, aczkolwiek w tym właśnie okresie jego ambicje zostały rozbudzone. Korzystając z pewnych wyniesionych jeszcze stamtąd kontaktów i sprzyjającej koniunktury w 1988, postanowił wypłynąć. W taki jednak sposób, aby ewentualne ryzyko, które z tym faktem było nierozerwalnie związane ograniczyć do absolutnego minimum. Mówiąc krótko – działać, ale tak, by nadmiernie się nie wychylić. Po zawiązaniu Komitetu Organizacyjnego Solidarności w koksowni i podaniu tych kilku nazwisk do publicznej wiadomości, tak on jak i pozostali ujawnieni przeszli przez sito prewencyjno-zastraszających rozmów z bezpieką. Podczas nich byli straszeni, że w razie jakichkolwiek ekscesów pożegnają się z pracą. Z drugiej strony, koniunktura polityczna była sprzyjająca i racjonalizm wymagał funkcjonowania w tym właśnie nurcie, nurcie przyszłości. Tylko czynne uczestnictwo w tworzącej się powtórnie Solidarności mogło jemu, człowiekowi bez wykształcenia zapewnić ewentualną prestiżową odskocznię. Rozbudzona ambicja nie pozwalała mu jednak trwać na pozycji przeciętniaka czy też pośledniego działacza, lecz koniecznie przywódcy. Bycie przywódcą z kolei wymagało pewnych poświęceń i podejmowania co pewien czas ryzyka. Chcąc pogodzić te oczywiste sprzeczności, wymyślił taktykę pozornego działania bez działania. Podejrzewał, że taki wyskok jak wiec załogi może sprowokować akcję represyjną, a tego się panicznie obawiał. W analogicznej sytuacji byli przecież pozostali, a jednak mojej inicjatywy nie torpedowali. Wręcz przeciwnie, widoczny był u nich znaczny stopień aprobaty.

Był jeszcze jeden czynnik. Jako lider powstającego Związku winien był ten wiec prowadzić. Jak sam się przyznał był stosunkowo kiepskim mówcą i rola trybuna ludowego nie leżała w jego kwalifikacjach. Posiadał stosunkowo niskie horyzonty i opanował go strach, ale ze względów ambicjonalnych nie

mógł się zadowolić funkcją podrzędniejszą. Klasyczny przypadek chorej ambicji. Właśnie splot tych dwóch okoliczności spowodował, iż od pewnego momentu będąc przewodniczącym zaczął sabotować ustalone wcześniej zamierzenia. Nieco później eksplodowała bomba. Okazało się, że nawet nie był u dyrektora w sprawie tych zwolnionych. To już zakrawało na kpinę.

To drugie tłumaczę tym, że obawiał się powrotu Janusza Ostrowskiego. Ostrowski miał własne kontakty w RKW, był zwolniony za działalność związkową, co zyskiwało mu naturalną w takim przypadku sympatię załogi. W przypadku powrotu do zakładu, stawał się naturalnym konkurentem do fotela przewodniczącego. Coś z tym fantem trzeba było zrobić...

Któregoś dnia spotkałem Piotra Jarosza działacza z baterii koksowniczych. Zagaił, dlaczego nie realizujemy podjętych ustaleń i czym tłumaczę panujący stan marazmu. W odpowiedzi przekazałem mu swój stan wiedzy na ten temat. Postanowiliśmy wspólnie interweniować. Bożek, przeczuwając gromadzące się chmury, postanowił grać na zwłokę i nie chciał zwołać posiedzenia Komitetu Organizacyjnego. W tym miejscu zachodzi konieczność wyjaśnienia pewnych uwarunkowań.

Struktura Komitetu Organizacyjnego była dwuczłonowa. Górę stanowił ujawniony Komitet Jawny, dół – tylko teoretycznie tajni wydziałowi pełnomocnicy. Piszę teoretycznie, ponieważ wszyscy o nich wiedzieli, łącznie z bezpieką. Przecież to oni zajmowali się faktyczną robotą. Tajność polegała wyłącznie na tym, że na żadnej ulotce nie figurowały nasze nazwiska. Tak się złożyło, że w jawnym, czyli tej nadbudowie, byli ludzie starsi o niższym temperamencie, a co za tym idzie bardziej spolegliwi. Tajny i pełnomocnicy wydziałowi, czyli ci od faktycznej roboty, to ludzie na ogół młodzi o znacznie wyższych temperamentach. Wszyscy stanowili integralną całość, z tą tylko różnicą, że jawni jako ci, którzy swego czasu ujawnili swoje nazwiska byli traktowani przez pozostałych z należytą estymą. Przy zebraniu całości – Bożek – czego miał już dowód sprzed kilku tygodni, zostałby przegłosowany, dlatego zdecydował się na dokonanie swoistej nadinterpretacji. W jej myśl, jedynym organem stanowiącym, winien być wyłącznie Komitet Jawny. Pozostali są mu całkowicie podporządkowani. A to dlatego, że starszymi mógł w większym stopniu manipulować.

Niemniej jednak pod naporem i na skutek perswazji, zgodził się w końcu na zebranie obu struktur, ale oddzielnie. Na 16.00 zwołał w tej sprawie posiedzenie Komitetu Jawnego, a na 17.00 pozostałych. Z racji nieobecności, nie jestem w stanie stwierdzić, o czym radzono i w jaki sposób tamtych przekonał. Faktem jest, że kiedy o 17.00 zjawiłem się z pozostałymi, zakomunikował nam decyzję. Komitet przedyskutował zagadnienie i podjął uchwałę o odwołaniu planowanego wiecu. Argumentował, że nie jesteśmy do tego faktu należycie przygotowani. Załoga może nie dopisać i wówczas zamiast spektakularnego sukcesu poniesiemy sromotną klęskę. Zalecał dalsze

prowadzenie dotychczasowej strategii – mozolną budowę struktur, kolportaż prasy i oczekiwanie na dalszy rozwój wypadków.

Wobec tak głęboko posuniętej asekuracji, postanowiłem zagrać va banque i otwarcie zakwestionować jego linię. Stwierdziłem, że jego wypowiedź mija się z prawdą. Ja wyczuwam sympatię załogi – lada dzień wejdziemy w okrągły stół, represje praktycznie nie występują. Według mojej oceny zainteresowanie jest znaczne i będziemy głupcami, jeżeli nie skorzystamy z nadarzającej się okazji. Należy działać szybko i zdecydowanie. Teraz jest właściwy moment. Jak będziemy wyglądać, jeżeli bez naszego udziału dyrektor przywróci ich do pracy? Wykażemy, że nie jesteśmy zdolni do sensownego działania, a to na progu nowej rzeczywistości niczego dobrego nie wróży. Mamy idealny pretekst i właściwy moment! Czego nam więcej potrzeba, żeby zamanifestować swoją pozycję?! Naszą postawą musimy przełamać barierę bierności innych!

I stała się rzecz, której on nie przewidział. Zdecydowana większość zebranych poparła moją koncepcję, odrzucając jego. Pod naporem większości musiał poddać sporny wniosek pod ponowne głosowanie, tym razem z udziałem wszystkich. Wygrałem zdecydowaną większością głosów. Nawet ci starsi, którzy godzinę wcześniej stali po jego stronie, przeszli na moje pozycje. Triumfowałem. Jak wykazała przyszłość nie na długo. Najbardziej chyba z takiego obrotu sprawy zadowolony był Ostrowski. Wszak w sprawie jego powrotu, uczyniony został znaczący krok do przodu. Przystąpiliśmy do ustalania szczegółów organizacji masówki. Wówczas Bożek po raz pierwszy wyznał, że jest słabym mówcą, oczywiście jako przywódca wystąpi, ale będzie potrzebował wsparcia. Dodał, że jako tak zagorzały agitator powinienem pokazać, co potrafię i go wesprzeć. Przyjąłem propozycję.

Ponieważ zachodziła obawa, że Służba Bezpieczeństwa, chcąc udaremnić masówkę, może nas w tym dniu lub dzień wcześniej prewencyjnie zatrzymać na 48-godzin, ustaliliśmy co następuje:

- Wiec rozpocznie się o godzinie 14.05 na styku dwóch zmian, kiedy przepływ załogi jest największy.
- Odbędzie się na murku, naprzeciw szatni centralnej, w najruchliwszym w tym momencie miejscu w zakładzie.
- Aby do minimum skrócić czas dany bezpiece na ewentualną reakcję, ulotki informacyjne będą kolportowane dopiero w tym samym dniu, lecz nie wcześniej niż od godziny 9.00. Dopiero od tej pory będziemy prowadzili wśród załogi akcję informacyjną. Do tego momentu ma panować martwa cisza.
- W krytycznym dniu Bożek i ja, cały czas przebywamy na terenie zakładu wyłącznie wśród załogi, aby nie dać się zatrzymać. Nie wolno nam się nigdzie samodzielnie oddalać.
- Flagi i oprawę wizualną zapewniają chłopaki z Wydziału Baterii Koksowniczych, gdyż to ich rejon.

Reszta już tylko w naszej i Opatrzności rękach. Z zebrania wychodziłem zadowolony, wszak dopiąłem swego.

W krytycznym dniu (luty 1989) nerwówka, seria telefonów. Na razie cisza. Wszystko wskazuje, że SB jeszcze się niczego nie domyśla. Od 9.00 zgodnie z instrukcją rozpoczęło się powiadamianie załogi, ulotki poszły w ruch. Dalej brak reakcji. Później już tylko godziny wyczekiwania w napiętej atmosferze...

Kilka minut przed 14.00 w grupie kolegów udaję się na wyznaczone miejsce zbiórki. Zgromadził się już tłumek, jakieś 150 osób. Bożek na tle biało-czerwonej flagi rozpoczął przemówienie. Wiał dość przenikliwy wiatr, więc mało go było słychać. Nakreślał sytuację, w jakiej postanowiono powołać Solidarność. Odwoływał się do chlubnej karty przeszłości. Wspominał o oporze ze strony dyrekcji i potrzebie budowy autentycznej organizacji ludzi pracy. Rzeczywiście nie był najlepszym mówcą... W ferworze przygotowań i wzajemnych utarczek zapomnieliśmy o nagłośnieniu. Z upływem czasu tłum gęstnieje, by w szczytowym momencie dojść do 500 osób.

Teraz kolej na mnie. Oddaje mi głos. Wszystko, co sobie ułożyłem, w ułamku sekundy wylatuje mi z głowy. Widzę przed sobą jedynie setki ludzi. Improwizuję. Podniesionym głosem apeluję o ludzką solidarność. Podkreślam, że już niedługo rozpoczną się rozmowy władzy z opozycją. Lada dzień będziemy związkiem legalnym, ale Warszawa jest daleko. Tu, teraz jesteśmy zdani wyłącznie na własne siły. Im więcej ludzi nas poprze, tym więcej będziemy mogli osiągnąć. Czas ponownie udowodnić, że nie jesteśmy tylko śrubkami w maszynie, że jesteśmy obywatelami. Człowiek dopóty ma prawa, dopóki jest w stanie ich bronić. A żeby móc ich bronić, trzeba być zorganizowanym! Obecnie zależy to już wyłącznie od nas!

- Nie ufajmy władzy, która nas oszukuje! – Kilka miesięcy temu dyrekcja zwolniła z pracy dwóch naszych kolegów. Ich miejsce jest teraz tutaj, z nami! Odzyskamy ich, jeżeli nas poprzecie! A poprzecie?!

- Tak! - pada odpowiedź tłumu.

Mówię jeszcze coś, czego nie jestem w stanie sobie przypomnieć. Instynktownie wyczuwam, że tłum reaguje, podchwytuje moje myśli. Mówię coś o godności, o prawach człowieka. Najwyraźniej się rozkręcam. Nagle ktoś szepcze mi do ucha:

- Wznieś hasło SOLIDARNOŚĆ.

Intonuję. Po chwili, tłum skanduje wraz ze mną. Wzruszająca chwila. Chyba pierwszy i ostatni raz na terenie tego zakładu huczą te magiczne wówczas okrzyki, słowa – zaklęcia. Czekaliśmy na to osiem lat. W oknach biurowca kilkadziesiąt osób nieśmiało wygląda. Gapiów nigdy nie brakuje. Na zakończenie apeluję o spokojny powrót do domu i pamięć o tych, których tu nie ma, a być powinni. Rozchodzimy się bez incydentów.

Trzech strażników przemysłowych przysłuchuje się służbowo, nie interweniują. Zresztą interwencja przy rozgrzanym, kilkusetosobowym tłumie byłaby z ich strony szaleństwem. Przechodząc wraz z innymi przez bramę widzę

Tomzika, stoi przed dyżurką strażników. Mierzymy się wzrokiem. Chyba jednak nic nie wiedzieli...

Na drugi dzień reakcje. Wiec wypalił, wszystko poszło nad podziw dobrze. Moje rachuby okazały się słuszne. Co prawda dyrektor nie przywrócił do pracy Ostrowskiego i Trzaski, ale rozdzwoniły się telefony. Zgłaszają się nowi ludzie z wydziałów jeszcze niezorganizowanych: z kolejowego, gazowego, magazynów. Rozpoczyna się ruch w interesie. Widoczne są oznaki ożywienia wśród załogi. Ogólny sukces. Bożek również rozpromieniony. Twierdzi, że niepotrzebnie się obawiał. Wchodzimy z kolportażem w nowe obszary, struktura się rozrasta.

W owym okresie wraz z Kraśniewskim uruchamiamy pierwszy numer zakładowego pisemka KOKSIK. Kraśniewski drukuje je metodą ręcznego sitodruku. Pismo otwiera mój artykuł „Siedzenie na bagnecie", w którym poddaję krytyce politykę Jaruzelskiego od momentu wprowadzenia stanu wojennego do chwili obecnej. Politykę, która poza trupami i ludzkim cierpieniem niczego dobrego nie przyniosła. Jestem w swoim żywiole. W okresie działalności w koksowni jest to chyba apogeum mojej popularności.

Kilka dni później rozpoczyna się Okrągły Stół zwieńczony podpisaniem porozumień. Solidarność będzie reaktywowana. Odbędą się wolne wybory do senatu i częściowo wolne do sejmu. Cenzura zostanie zniesiona. Rodzi się demokracja. Wybucha wolność!

Podejmuję kontakt ze Zbigniewem Ciołkiem pracownikiem Budostalu-4. Przekazuję mu stosowne instrukcje i druki, by mógł przystąpić do założenia Solidarności we własnej firmie.

W koksowni legalizacja zastaje nas w sytuacji w miarę dobrze zorganizowanej struktury związkowej, obejmującej niemal wszystkie wydziały. Ludzie walą drzwiami i oknami, wszak odwaga staniała. Kończy się czas walki, rozpoczyna pracy. I właśnie teraz zaczynają się dziać koło mnie niecodzienne wydarzenia. Na własnej skórze zaczynam odczuwać procesy zmierzające do deprecjacji mojej osoby. Bożek, uważając mnie za potencjalnego rywala w walce o wpływy postanawia mnie izolować. Nie informuje mnie nawet o spotkaniach Komitetu Organizacyjnego. Nie chce dopuścić, abym poznał nowo zaciągniętych działaczy, którzy stanowią już większość. Nakłada nawet cenzurę na moje artykuły w KOKSIKU. To prowokuje serię zadrażnień, które z czasem przybierają na sile, by w końcu przerodzić się w otwartą wojnę domową.

Po mojej stronie staje większość mojego wydziału i Piotr Jarosz z Wydziału Pieców Koksowniczych. Za nim prawie nikt, z wyjątkiem kilku pracowników. Problem jednak istnieje i polega na fakcie, że większość działaczy, którzy obecnie wypłynęli to ludzie, którzy dołączyli do nas w ostatnim okresie, po wiecu w trakcie okrągłego stołu, i jak przystało na

nowicjuszy nie znają przyczyn ani genezy konfliktu. Bożek będąc formalnie przewodniczącym i mając z nimi bezpośredni kontakt z premedytacją wykorzystywał ten fakt, by metodą manipulacji szczuć ich na moją osobę. Chora do granic patologii ambicja każe mu niszczyć wszystko co napotka na drodze, a czego nie może sobie podporządkować. A moja osoba stanęła mu właśnie na drodze. W końcu po kilkutygodniowych przepychankach udaje nam się ostatecznie usunąć go ze stanowiska przewodniczącego. Odchodzi całkowicie skompromitowany, bez możliwości dalszego funkcjonowania. Urażona do bólu ambicja, każe mu zrezygnować z pracy w zakładzie i założyć własną firmę.

Ostatecznie konflikt mam z głowy jednak zwycięstwo jakie odnoszę ma wymiar pyrrusowy. Wychodzę z niego prestiżowo osłabiony. Każda walka wewnętrzna osłabia walczące strony. Moje otoczenie to ludzie raczej politycznie niewyrobieni, bez możliwości samodzielnego przeprowadzenia analizy zachodzących procesów. Takie jednostki są zawsze podatne na różnego rodzaju podszepty i intrygi. A te już się zaczęły. Wszak teraz gra toczy się już nie tylko o imponderabilia, lecz władzę i wszystko co z nią jest związane.

Na mocy zawartych porozumień – Janusz Ostrowski i Krzysztof Trzaska zostają przywróceni do pracy. Zaczynam wyczuwać wytwarzającą się wokół mnie próżnię, pewien stopień izolacji.

Zmęczony dotychczasowymi utarczkami postanawiam na jakiś czas przenieść ciężar swojej aktywności poza zakład. Trafiam do tworzącego się Komitetu Obywatelskiego. Jako jeden z nielicznych z tego grona zdawałem sobie sprawę, że rozpoczęty przez władzę proces przemian jest prowadzony na znacznie większą głębokość niż porozumienia sierpniowe z 1980. Zniesienie cenzury, wybory parlamentarne to całkowite odejście od dotychczasowej doktryny realnego socjalizmu. To faktyczne przełamanie monopolu partii komunistycznej we wszystkich przez nią do tej pory kontrolowanych dziedzinach. To otwierało nowe pole aktywności i stawiało przede mną nowe wyzwania. Zdawałem sobie sprawę, że do realizacji wytyczonych celów, choćby wyborów, potrzebna będzie organizacja, potrzebne będą rzesze ludzi o różnym społecznym przekroju, nie tylko robotników.

Regionalna Komisja Wykonawcza NSZZ Solidarność wyznaczyła kandydata na posła w naszym okręgu wyborczym. Został nim – Czesław Robakowski, inżynier zatrudniony w Zakładach Górniczo – Hutniczych „Bolesław", zamieszkały w Olkuszu. Jako wolontariusz zaczynam pracę w jego sztabie wyborczym.

Z wrodzoną sobie werwą rzuciłem się w wir rozkręcającej się kampanii: podpisy, plakaty, ulotki, ściągi..., pewna doza ludzkiego entuzjazmu i bezinteresowności już nigdy później nie spotykana. Wybory jak w reszcie kraju kończą się spektakularnym sukcesem. Robakowski zostaje wybrany posłem. Tak rozpoczynam nowy okres aktywności, tym razem na niwie czysto politycznej.

Tymczasem w zakładzie odbywają się wybory do Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność. Postanawiam wziąć w nich udział i kandyduję do prezydium. Nadmienić należy, że właściwie nigdy nie czułem się związkowcem. Nigdy nie walczyłem o pastę BHP, dostawy cebuli czy ziemniaków dla załogi. Nigdy też nie interesowało mnie wyciąganie drobnych pijaczków ze szponów straży przemysłowej. Do tej pory angażowałem się przede wszystkim z pobudek politycznych. Imponderabilia, demokracja, wolność, możliwość samorealizacji to były moje determinanty. Prawdę mówiąc, to w szeregach związku zawodowego, w warunkach wytworzonego pluralizmu politycznego nie miałem za wiele do zdziałania. Swoją przyszłość wiązałem raczej z polityką. Problem jednak leżał w tym, że w pierwszym okresie przemian poparcie struktury związkowej było bardzo istotne, zwłaszcza z prestiżowego punktu widzenia. Chcąc odegrać istotną rolę w Komitecie Obywatelskim musiałem być związkowym decydentem z poważnego przedsiębiorstwa. Gdybym zasiadał we władzach związku moja pozycja w KO byłaby znacznie poważniejsza, nawet kluczowa. Splot tych okoliczności zadecydował o mojej potrzebie ubiegania się o funkcję członka władz związkowych w Zakładach Koksowniczych „Przyjaźń". Posiadałem również opozycyjną przeszłość z więziennym epizodem i wspaniałą kartę czołowego aktywisty z ostatnich miesięcy. I tutaj spotkał mnie zimny prysznic. Na 75 delegatów, otrzymałem zaledwie 7 głosów.

Jak udało mi się ustalić, bezpośrednią przyczyną mojej masakry było zorganizowanie przez Janusza Kraśniewskiego bloku przeciwko mojej osobie. Za moimi plecami tak, że nie miałem żadnej możliwości obrony, rozkolportowano plotkę, że jestem politycznym konformistą. Z racji tegoż konformizmu należałem niegdyś do OPZZ, oraz byłem tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. Właśnie ową plotką tłumaczono fakt mojej aktywności w jeszcze nieformalnych strukturach: jawnego kolportażu prasy, wypożyczania książek wydawanych poza cenzurą, organizacji zebrań czy ostatniego wiecu. W przeciwieństwie do innych nie obawiałem się represji. Dlaczego? Ponieważ będąc w jednej bandzie z esbekami wiedziałem, że włos mi z głowy nie spadnie. Dzięki tak prostej zagrywce wszystkie moje dotychczasowe atuty zostały wykorzystane przeciwko mnie. Z tych błędnych przesłanek wyciągnięto logiczny wniosek. Należy mnie wyeliminować ze struktur związkowych, co też uczyniono. Powyższą robotę wykonał Janusz Kraśniewski, wówczas blisko związany z Januszem Ostrowskim. Tak z kolei Ostrowski odpłacił mi się za moje starania, aby mógł powrócić do zakładu. Ustaliłem ponadto, że głównym inspiratorem powyższej intrygi był – Daniel Podrzycki. Decyzję o moim utrąceniu podjął tuż po naszym ostatnim spotkaniu, kiedy to w sposób definitywny odmówiłem z nim jakiejkolwiek formy współpracy. Tak Podrzycki dotrzymywał słowa o nie wchodzeniu sobie w paradę. Wytworzoną sytuację wykorzystał Kraśniewski montując blok, którego

drożdżami były powyższe, dostarczone przez Podrzyckiego rewelacje. Eliminacja mojej osoby leżała wówczas w interesie dwóch rozgrywających: Janusza Ostrowskiego i Daniela Podrzyckiego. Po odejściu Bożka i utrąceniu Frączka, Ostrowski pozostawał głównym pretendentem do fotela przewodniczącego. Frączek co prawda nie pretendował do tej funkcji, ale gdyby został na przykład zastępcą, jako dynamiczniejszy, odgrywałby rolę pierwszoplanową. A tak, struktura bez żadnych ceregieli, z całym zasobem inwentarza przypadała Ostrowskiemu. Dlatego ten ostatni nie hamował Kraśniewskiego przed rozpowszechnianiem tych pomówień. Podrzycki z kolei wiedział, że Frączek we władzach Solidarności koksowni oznacza, że on nie będzie posiadał na tę strukturę żadnego wpływu. Z Ostrowskim, bez Frączka wszystko jest możliwe.

Mogłem walczyć, wyjaśniać kontrowersje, gdyby pojawiały się otwarcie. Wobec propagandy szeptanej, przekazywanej pokątnie byłem absolutnie bezradny, obrony nie było. To tłumaczy okres izolacji i próżni, który od pewnego czasu wokół siebie wyczuwałem. I tak ja dziecko Solidarności, człowiek który nie dał się złamać bezpiece, zostałem na progu rodzącej się wolności pokonany przez swoich. Gorzki smak prawdy tamtych czasów. Wszak rewolucja jest jak Saturn, pożera własne dzieci. Byłem tego wymownym przykładem. Muszę nadmienić, iż nawet ci, którzy tę intrygę uknuli i później ją urzeczywistnili, wiedzieli o jej fałszywych podstawach. Tym tłumaczę fakt, że w okresie późniejszym, plotka ta do mnie nie przylgnęła, ani też za mną nie wędrowała. Nie mniej jednak pewnym graczom była w tym okresie niezbędna, by utrącić jednego z rywali. Tym bardziej groźnego, że posiadającego w przeciwieństwie do pozostałych – życiorys polityczny i pewną wiedzę o mechanizmach władzy.

Zupełnie niepotrzebnie w konflikcie z Bożkiem, przedwcześnie ujawniłem swoje umiejętności. Każda metoda dobra, która prowadzi do celu. Wyrwali „chwasta”! Dość powiedzieć, że w tamtym okresie wspomniana intryga uniemożliwiła mi zajęcie kluczowej pozycji przy budowie rzeczywistości przełomu politycznego. Z perspektywy czasu muszę stwierdzić, że wyrządziła mi niepowetowane straty. Brak zajęcia właśnie w tym okresie, tej newralgicznej pozycji w strukturze Solidarności, skutecznie utrudnił mi w wymiarze publicznym dalszą działalność, i spowodował na odcinku lokalnym całkowicie chaotyczny jej rozwój. W okresie późniejszym miało to decydujące znaczenie w całkowicie przypadkowym i niekontrolowanym rozwoju wydarzeń.

Rozdział XII
W KOMITECIE OBYWATELSKIM

Doświadczenia ostatnich wydarzeń wywarły na mnie piętno, które nazwałem później „syndromem koksowni". Przestałem być jednostką łatwowierną, bezgranicznie ufającą innym. Zacząłem rozumieć, że w rzemiośle politycznym swoich sądów nie należy opierać wyłącznie na deklaracji partnera, lecz na sprawdzeniu jego intencji. Zaczęły mnie drażnić jednostki prymitywne, gdyż to właśnie one z braku możliwości rozwojowych i dotrzymania pola w drodze uczciwej konkurencji, zazwyczaj posługują się podstępem i chwytami poniżej pasa. Ambicję ma każdy, możliwości nie. Dlatego prymityw posługuje się metodą oszustwa, potwarzy i pomówienia. Wynika to z jego mentalności i kompleksu psychicznego. Ostatecznie zraziłem się do środowiska robotniczego. Tyle mu poświęciłem, a ono mnie odrzuciło i upokorzyło.

Załamaniu uległa młodzieńcza wiara w zbiorową mądrość narodu. Zacząłem rozumieć, że społeczeństwo to zbiór przypadkowych jednostek na ogół niewyrobionych politycznie, wiedzionych podszeptami, ambicjami i fobiami. Im bardziej prymitywna jednostka, tym bardziej podatna na demagogię i manipulację. Pierwszą nauką jaką wyciągnąłem z tej lekcji była konstatacja, że nie należy zbyt ostro wychodzić przed peleton. Peleton rządzi się swoimi prawami i utrąca każdego, kto odstaje od jego poziomu. Należy nauczyć się sztuki wyczekiwania. Czekanie w polityce jest niekiedy bardziej opłacalne od aktywnego działania. Zrozumiałem ponadto, że racja, która do tej pory była głównym wyznacznikiem mojego działania nie jest wartością samą w sobie, lecz musi być osadzona w sprzyjających warunkach koniunktury. Stąd lekcja druga. Rację należy mieć, ale we właściwym czasie. Cóż z tego, że dotychczas zawsze ją miałem. W koksowni byłem głównym strategiem i politycznym architektem, wszystkie moje dotychczasowe założenia były słuszne. I cóż z tego?

Swoją osobą zagrażałem interesom innych, więc wykorzystali intrygę Podrzyckiego, by mnie utrącić. Nie sam fakt porażki był straszny, lecz stosunek głosów jakim ją poniosłem. Spowodowało to również metamorfozę w sferze świadomości politycznej, powodując u mnie znaczne przesunięcie akcentów na prawo. Z młodzieńczej wizji socjaldemokracji, której do tej pory byłem wyznawcą zacząłem dryfować na pozycje zdecydowanie liberalne. Dają one należne miejsce aktywnej jednostce, a nie populistycznej masie. To jednostki są motorem napędowym każdej zmiany, one tworzą kierunki i tempo rozwoju społeczeństwa. Tłum jest tylko żywiołem, który w określonej sytuacji wchodzi na drogę wytyczoną i wskazaną. Może odegrać zarówno konstruktywną jak i destrukcyjną rolę. Wszystko zależy od jednostek, które nim kierują.

Do Komitetu Obywatelskiego trafiłem z tak już ukształtowaną psychiką, w początkowej fazie jego tworzenia. Rozpoczynała się właśnie kampania wyborcza do sejmu kontraktowego. Założycielem tej formacji był automatyk z

Huty Katowice – Marek Nowicki. Ściśle z nim współpracowali – Anna Chachołek i Arkadiusz Siński. Po zwycięskiej kampanii wystąpił głęboki stan marazmu. W owym okresie zgodnie z zaleceniami została przeprowadzona procedura legalizacyjna w formule prawnej stowarzyszenia. Siłami czysto społecznymi prowadziliśmy sprzedaż gazet i różnych wydawnictw bezdebitowych na ulicy 3-Maja. Oczywiście, działania te nie były w stanie zastąpić braku wizji i strategii rozwoju. To, że Komitet wówczas przetrwał, zawdzięczać należy raczej stosunkom czysto koleżeńskim, które w międzyczasie się wytworzyły, bo politycznego spojrzenia kierownictwo nie posiadało. Byłem absolutnie świadom takiego stanu rzeczy, jednak nauczony doświadczeniem „syndromu koksowni" postanowiłem nie wychodzić przed orkiestrę, występując raczej w roli defensywnej niż ofensywnej. Oczywiście tylko do czasu, ponieważ mój polityczny temperament nie pozwalał mi na zbyt długi okres bezczynności.

Któregoś dnia nie wytrzymałem. Odbyłem rozmowę z Czesławem Robakowskim (poseł OKP), według następującego założenia:

- Piastujesz funkcję publiczną, dzięki naszej społecznej pracy. Nadszedł czas, abyś przynajmniej po części spłacił zaciągnięty dług. Będąc posłem na sejm dla wszystkich tych ludzi jesteś czynnikiem autorytatywnym (w tamtym okresie autorytet posła stał wysoko). W przeciwieństwie do mnie, wszyscy liczą się z twoją opinią. Ja jestem młodym człowiekiem, zaszeregowanym jako młodzian do czarnej roboty. Zdajesz sobie sprawę, że teza wygłoszona przez autorytet, nawet gdyby była nie do końca przemyślana, zawsze zostanie dobrze przyjęta. Natomiast najbardziej górnolotna myśl rzucona przez młodziana musi przejść bez echa. Dlatego chcę cię użyć do przeprowadzenia pewnego planu.

A plan był następujący. Podstawową bazą na której możemy oprzeć swoją działalność są struktury Solidarności zrzeszone w Miejskiej Komisji Koordynacyjnej. Przedsiębiorstwem o największym potencjale ludzkim i organizacyjnym jest Huta Katowice. Struktura związkowa tego przedsiębiorstwa posiada dostęp do brakującej nam bazy poligraficznej. Musimy zawrzeć korzystne porozumienie dotyczące współpracy i rozpocząć działalność wydawniczą. Należy uruchomić własny organ prasowy kolportowany przez struktury związkowe, wyszukiwać aktywne jednostki i prowadzić intensywne szkolenie, celem przygotowania ich do przyszłej działalności politycznej.

Zasadniczo problem polegał na fakcie, że Nowicki był w głębokim antagonizmie do Zygmunta Cieślickiego, ówczesnego przewodniczącego Solidarności w Hucie Katowice. Obaj prowadzili rywalizację o wpływy. Nam potrzebny był dostęp do poligrafii i struktur związkowych, które to aktywa posiadał Cieślicki. On sam będąc jednostką aktywną, też z pewnością posiadał jakieś plany ambicjonalne. Należy wysondować jakie. Jeżeli będą do przyjęcia należy z nim wejść w układ. W Hucie Katowice niech się żrą, ich sprawa. My musimy ustawiać politykę z perspektywy miasta, a nie mniej lub bardziej

uzasadnionych ambicyjek zakładowych przywódców. W tamtym okresie tylko układ z Cieślickim gwarantował ruszenie tej bezwładnej maszyny. Ze strony KO osobą negocjującą i gwarantującą porozumienie, winien być Robakowski – jako poseł na sejm – a nie Nowicki, który działa na Cieślickiego jak czerwona płachta na byka. Robakowski w pełni zaakceptował mój plan i zadeklarował daleko posuniętą pomoc.

W takiej sytuacji doszło do najbliższego posiedzenia Komitetu Obywatelskiego. Zreferowałem zagadnienie według powyższych założeń. Robakowski, zgodnie z deklaracją udzielił im wsparcia. Patrząc na Nowickiego, odniosłem wrażenie, że za chwilę trafi go szlag, ale w ostateczności trafił mnie. Nowicki silnie wzburzony stwierdził, że moja koncepcja jest niedorzeczna. Nie wszedł ze mną w żadną polemikę na argumenty. Rzucił tylko do Robakowskiego:

- Czesiek, ty gówniarza słuchasz! Ty wiesz kim jest Cieślicki?!

Oczywiście nie wyjaśnił, kim jest.

- To czysta paranoja! Bądź poważniejszy!

Rozbawiona sala gruchnęła salwą śmiechu. Robakowski nie wiedząc, kim jest Cieślicki i dlaczego zebrani się śmieją, zaczął wycofywać się z wcześniej zajętej pozycji. Tak padła moja kolejna konstrukcja polityczna. A oni śmiali się tylko dlatego, że bawiło ich jak przewodniczący rozprawił się z najmłodszym z nich, tym, który ośmielił się wyrosnąć ponad ich poziom. Chciał pokazać, że ma jakieś plany, wizje, których oni nie rozumieją, chciał się bawić w politycznego stratega. Nie ubek, nie konformista jak w koksowni, lecz tylko zwykły gówniarz. To był zasadniczy asumpt do wybuchu ich salwy śmiechu. Faktem jest, że po odwrocie Robakowskiego mój do tej pory realistyczny plan stał się wirtualną mrzonką. Nikt za mną nie stanął. Zabawne nieprawdaż?

Po raz kolejny przegrałem. Zrozumiałem, że z takimi ludźmi sensownej polityki robić nie sposób. Jedni jak Nowicki, są zaślepieni nienawiścią do swoich rywali, i ta nienawiść determinuje ich postępowaniem (stosunek do Cieślickiego). Inni niczego nie rozumieją, a działalność polityczną traktują jak zabawę dzieci w piaskownicy. Smutne, ale prawdziwe. Ważne jest, że w świetle tak postawionego zagadnienia – Robakowski zgłupiał i dał pas, pozostawiając mnie osamotnionego na straconej pozycji. Ostatnia szansa ratowania Komitetu Obywatelskiego i pchnięcia go we właściwym czasie na właściwe tory legła w gruzach. Zrezygnowany wycofałem się z aktywnej formy działalności, uczestnicząc dalej raczej na gruncie towarzyskim, niż politycznym. A czas biegł nieubłaganie....

Kilka tygodni później, grupa osób z Arkadiuszem Sińskim na czele wystąpiła przeciwko Markowi Nowickiemu. Zgodnie ze stanem faktycznym zarzucili mu paraliż jakiegokolwiek działania, brak decyzji rozwojowych. W konsekwencji został odwołany z funkcji przewodniczącego. W tej rozgrywce w

ogóle nie uczestniczyłem. Nie chciałem się angażować w utarczki personalne, aby oprócz gówniarza, nie przylgnęła do mnie również etykietka warchoła. Tak oto mąż stanu – Marek Nowicki przeżył gówniarza zaledwie o kilka tygodni. Gdyby w odpowiednim czasie przyjął moje założenia, nadal byłby przewodniczącym. Gorzka satysfakcja. Problem jednak nie leżał w zmianie przewodniczącego, lecz w pozyskiwaniu nowych, kreatywnych jednostek z szerszymi horyzontami myślowymi. Jednostek, które mogłyby stać się motorem napędowym działalności publicznej. Do tego potrzebna była wizja i wola działania. A to już przerastało możliwości twórcze pozostałych. Polityka wymagała nowych kadr, a tych ciągle brakowało. Wbrew obiegowym opiniom nawet wówczas w końcówce 1989, ludzie wcale do nas nie walili drzwiami i oknami. Entuzjazm był stosunkowo umiarkowany. A jeżeli już ktoś nowy się zjawił, to z reguły musiał być dyletantem. Stąd wynikały długie zebrania i potrzeba udowadniania, że dwa dodać dwa jest cztery, chociaż nawet i to nie dla wszystkich było oczywiste.

Kilka tygodni później, doszło do wyborów związkowych w Hucie Katowice. Zgodnie z przewidywaniami frakcja Nowickiego starła się z frakcją Cieślickiego. W tym właśnie momencie zadziałała dobrze mi już znana z koksowni reguła – gdzie dwóch się bije, trzeci korzysta. Zgodnie z tą logiką, obaj antagoniści przepadli. Przewodniczącym został wybrany nikomu nieznany – Emil Wąsacz. Ponieważ miał studia wyższe, co w robotniczej Solidarności było raczej rzadkością, otworzyło mu to drzwi do dalszej kariery. U jej szczytu został ministrem Skarbu Państwa. I tak, mądry pan Nowicki, który nie chciał słuchać gówniarza, przegrał i to podwójnie – w Komitecie i swoim zakładzie. Obrażony na cały świat wycofał się na długie lata z działalności politycznej. Gorzka to dla mnie satysfakcja. Bezpowrotnie straconego czasu, nic już jednak nie było w stanie nadrobić. Podstawowa zasada polityki brzmi: właściwe decyzje muszą zapadać we właściwym czasie.

W omawianym okresie trzymałem się raczej na uboczu, zadawalając się rolą obserwatora. Byłem zdegustowany rzeczywistością. Na moich oczach zawalił się w gruzy dotychczasowy świat. W zakładach pracy brak zaplecza, w mieście analogicznie. Solidarność, przestała mi się jawić jako twórcza, konstruktywna siła, a raczej jako trywialna zgraja miotanych ambicyjkami przedstawicieli motłochu. Potrzebowałem nieco czasu, aby się wewnętrznie pozbierać. W końcu wymyśliłem wariant polegający na uczestnictwie w polityce przy jednoznacznym nie zrażaniu sobie otoczenia. Tak rozpocząłem działalność wśród młodzieży.

Zasadniczo mój problem leżał w braku praktycznego doświadczenia, które zdobywa się z czasem po dłuższym okresie funkcjonowania, czegoś co nazywamy wyczuciem. Do tej pory uważałem, że jeżeli racja jest po mojej stronie, to muszę uczynić wszystko, by to ona kierowała moim postępowaniem.

Niedostatecznie brałem pod uwagę dążenia innych, determinowane na ogół ambicją. Ta zasada, aczkolwiek efektowna, nie była jednak praktycznie użyteczna. Przez nie do końca przemyślany konflikt z Bożkiem, straciłem możliwość wpływów w Solidarności, i to w najbardziej odpowiednim, początkowym okresie. Właśnie wtedy, kiedy następowało rozdawanie politycznych kart. Bożka pobiłem to fakt, ale nóż w plecy wbił mi z kolei Ostrowski, którego ambicjom również zagrażałem. Przez próbę rozruszania Komitetu Obywatelskiego naraziłem się Nowickiemu, przez co zostałem zepchnięty na margines wydarzeń. Nowicki kilka tygodni później padł, ale ja dalej byłem w punkcie wyjścia. Wówczas przyswoiłem sobie kolejną regułę. Dostrzegłem generalnie występującą zasadę. Im bardziej prymitywna jednostka, tym bardziej posiada rozwinięty system ambicjonalny. Jednostka kulturalna i ułożona jest w stanie pójść na kompromis, a nawet uznać rację swojego rywala jeżeli takowa wystąpi. Prymityw nigdy. Największa miernota, w imię zwykłej żądzy ambicji czy dowartościowania jest gotowa przystąpić do zbawiania narodu, po trupach innych. I na moich oczach proces ten się odbywał.

Ponieważ zbliżały się wybory samorządowe 1990, pojawiło się ożywienie. Chętni zaczęli walić drzwiami i oknami, instynktownie wyczuwając łupy. W ciągu niespełna dwóch miesięcy Komitet z kilkunastu członków rozrósł się do prawie dwustu. Panował niesamowity harmider. Zebrania przekształciły się w permanentne bicie piany. Nad tym zbiorowiskiem już nie dało się zapanować. Żadna organizacja, bez uszczerbku dla reputacji nie jest w stanie wchłonąć takiej masy w tak krótkim czasie. To był początek końca. Polityka Marka Nowickiego zbierała żniwo. Widziałem to i nie mogłem się z tym faktem pogodzić. Powstrzymać tej fali nie byłem w stanie. Stąd silna potrzeba dystansu, ale tak wyważonego, aby nadal uczestniczyć w zasadniczej formie życia publicznego, oczekując lepszej koniunktury. Tak zrodził się pomysł działania wśród młodzieży. Byle jak najdalej od tej apolitycznej, rozwrzeszczanej tłuszczy, która zaczęła wypływać na powierzchnię.

Korzystając ze stosunków w Solidarności koksowni, wydrukowałem nieco ulotek i zacząłem kolportować wśród młodzieży szkół średnich. Młodzież zaczęła odpowiadać na apel i zaczęliśmy tworzyć Niezależny Związek Młodzieży. Były pogadanki i gazetka „Nasze Zdanie”. Muszę przyznać, że wśród tych kilkudziesięciu młodych osób, które się wówczas przewinęły, było kilka jednostek o dość wysokim poziomie intelektualnym. Gdyby chociaż takie proporcje występowały wśród dorosłej populacji, zupełnie inaczej potoczyłaby się nasza rzeczywistość. I tutaj kolejny cios. Po dwukrotnie przeprowadzonych akcjach informacyjnych liczba młodzieży chętnej do działania i posiadającej predyspozycje była dość nikła i stopniowo ulegała zmniejszaniu. Jak mnie informowano, gazetkę chętniej czytali nauczyciele niż rówieśnicy, do których była adresowana.

Wówczas jeszcze nie wiedziałem, że jest to początek powstawania społeczeństwa konsumpcyjnego. Proces ten jest ubocznym produktem rozwoju kapitalizmu. Społeczeństwa, w którym coraz silniej występuje żądza posiadania dóbr materialnych jako podstawowego wyznacznika pozycji jednostki. Ta żądza jest silniejsza niż aktywność dla dobra ogółu. Imponderabilia, honor, uczciwość zaczynają przegrywać rywalizację z nowymi bożkami: konsumpcją, posiadaniem, supremacją. To, co wcześniej zauważałem u dorosłych, zacząłem również dostrzegać wśród młodego pokolenia. Te kilkanaście wartościowych jednostek, które wyrwałem z tłumu, mimo szczerych chęci i młodzieńczego zapału nie było w stanie zmienić rzeczywistości, znaleźć poklasku wśród szerszej grupy swoich rówieśników. Bo czyż dyskusja o polityce może być atrakcyjniejsza od posiadania wieży stereofonicznej, którą można zaimponować dziewczynie? Efekt był taki, że kolportaż zaczął się kurczyć. A tam, gdzie niepowodzenia, pojawia się marazm. Dodatkowo popełniłem jeszcze błąd. Miast w momencie dostrzeżenia kryzysu, rozszerzyć akcję na ościenne miasta w celu pozyskania świeżych sił i zwiększenia pola oddziaływania, z uporem maniaka zawęziłem się wyłącznie do terenu Dąbrowy Górniczej. Efekt był taki, że stopniowo organizacja zaczęła zamierać, by w końcowej fazie umrzeć śmiercią naturalną.

Zaobserwowałem ponadto początkowo niezrozumiałe dla mnie zjawisko dysonansu między zachowaniem młodzieży i dorosłych. Młodzi uciekali w prywatność, dystansowali się od spraw publicznych. Dorośli wręcz odwrotnie, walili do polityki drzwiami i oknami. Dopiero znacznie później zrozumiałem tę subtelną różnicę. Młodzież działała wyłącznie z pobudek ideowych. Albo coś akceptowała i się z tym utożsamiała, albo odrzucała. Dorośli oprócz idei kierowali się również chęcią zysku, wyrachowaniem, zajęciem dogodnej pozycji w nowopowstającej rzeczywistości. A polityka zaczęła właśnie uchodzić za dobrą trampolinę w drodze do kariery. Umiejętności i kwalifikacje to rzecz drugoplanowa. Astronomem czy lekarzem nie może być każdy. Politykiem tak. Nawet elektryk, który publicznie twierdził, że nigdy w życiu nie przeczytał w całości żadnej książki. Nadciągające wybory lokalne i wysokie notowania Solidarności, były głównym motorem napędowym dla ludzi szukających drogi do łatwej kariery.

W Komitecie odbyły się kolejne wybory do władz statutowych. O jakości tego gremium niech zaświadczy fakt, że na przewodniczącego został wybrany, przyprowadzony po raz pierwszy przez Arkadiusza Sińskiego – Wiktor Kołodziejczyk, mężczyzna w wieku dojrzałym, o dość przyzwoitej aparycji. Niestety, żaden polityk.

Wiosną 1990, gabinet Tadeusza Mazowieckiego, chcąc przełamać panujące w terenie układy i powiązania rozpisał przedterminowe wybory samorządowe. Kontraktowy sejm przyjął ustawę o samorządzie gminnym.

Rozpoczynał się okres nowej kampanii wyborczej. Napływ nowych ludzi do Komitetu uległ dalszej eskalacji. Nie wprowadzono żadnych zabezpieczeń filtracyjnych. Wystarczyło przyjść i złożyć akces, by nabyć pełnię praw. Jak grzyby po deszczu powstawały komitety dzielnicowe. Ponieważ na funkcję radnych występował nadmiar chętnych, przeprowadzono wstępną selekcję wśród kandydatów. Komisją weryfikacyjną był zarząd Komitetu. I tak ja – stary działacz opozycyjny musiałem stanąć przed dziesięcioosobowym ciałem, składającym się w większości z ludzi „z nikąd" i musiałem ich przekonać, że jestem właściwą osobą do wystawienia na listę wyborczą. W tym wszystkim było coś tragikomicznego. Pieniędzy na kampanię dostarczyły struktury zakładowe Solidarności, oczywiście w miarę posiadanych środków. Największą pozycją była zawrotna na ówczesne czasy kwota 5 milionów starych złotych, przeznaczona przez Radę Pracowniczą Huty Katowice, oraz wypożyczony na czas kampanii sprzęt poligraficzny.

Kampania ruszyła pełną parą i zakończyła się przewidywanym sukcesem. Komitet Obywatelski na 45-osobową Radę Miejską, uzyskał 35 mandatów. Wśród zwycięzców, była również moja osoba. Miasto było nasze. Ulica wchodziła na salony władzy. Było lato 1990.

Rozdział XIII
NA SALONACH WŁADZY

Pierwszym zagadnieniem z jakim musiała się zmierzyć nowa ekipa były kwestie personalne. Przewodniczącym Rady Miejskiej wybrano ostatniego przewodniczącego Komitetu Obywatelskiego – Wiktora Kołodziejczyka. Przy wyborze prezydenta miasta sprawa nie była już tak oczywista. Chęć piastowania tej funkcji deklarowało aż trzech pretendentów: Waldemar Gładysz (prywatny przedsiębiorca), Adam Rokicki (prywatny przedsiębiorca) i Jerzy Talkowski (państwowy przedsiębiorca). W ostateczności zdecydowaliśmy się na Jerzego Talkowskiego. Przeważył fakt, że już w przeszłości pełnił tę funkcję i posiadał jak powszechnie sądzono odpowiednie kwalifikacje w dziedzinie zarządzania. Pozostali takim atutem nie dysponowali. Ukonstytuował się Klub Radnych DKO, którego przewodniczącym został Mirosław Wróbel (szef redakcji „Wolnego Związkowca"). W początkach funkcjonowania klubu wszystkie strategiczne decyzje były ustalane gremialnie i przenoszone na sesję rady w formie dyscypliny klubowej. Pierwsze iskrzenie wystąpiło przy wyborze zastępców prezydenta. W myśl dobrego obyczaju (ówczesne przepisy jeszcze tego nie precyzowały), kandydatów na te funkcje winien przedstawić wybrany już prezydent, natomiast klub zaaprobować je lub odrzucić. Jednak kandydatury zgłoszone przez Jerzego Talkowskiego były rodem z politycznego science fiction i akceptacji klubu nie uzyskały. Nastąpił impas. W efekcie zdecydowano się na Lecha Modelskiego i Henryka Zagułę. Przy Zagule wystąpiły poważne wątpliwości wywołane jego przynależnością do PZPR. By przełamać opór, działacz Solidarności z Huty Katowice – Eugeniusz Kowalski, udzielił za niego pełnego poręczenia. Dopiero to go przepchnęło. Ostatecznie zarząd miasta miał się składać z siedmiu osób: prezydent – Jerzy Talkowski, dwóch zastępców – Lech Modelski i Henryk Zaguła, oraz czterech nieetatowych członków – Jerzy Majchrzak, Jerzy Duś, Arkadiusz Siński i Zdzisław Bosak. Nadmienić należy, że tylko dwóch ostatnich funkcjonowało wcześniej w Komitecie. Pozostali zostali zwerbowani na fali powszechnej łapanki, bezpośrednio w trakcie kampanii wyborczej. Postanowiono, że dotychczasowe władze wykonawcze zostaną w całości wymienione. Wśród administracji Urzędu Miejskiego zapanowała typowa w takich wypadkach panika. Rozpoczął się proces czystki.

O ile przy wymianie zarządu miasta stanowisko radnych DKO było praktycznie jednoznaczne, o tyle później zaczęły się pęknięcia. Bezpośrednią tego przyczyną, była zbyt głęboka akcja represyjna, którą wśród administracji przeprowadził nowo wyłoniony zarząd. Poprzez ślepe zacietrzewienie zmuszono do odejścia pierwszą osobę urzędu – Eleonorę Rusek. Jedyny zarzut jaki jej postawiono, to przynależność do PZPR. Nie pomogło wstawiennictwo Oli Trzaski, byłej redaktorki „Wolnego Związkowca" z kilkuletnim wyrokiem skazującym, która pisemnie poręczyła za Ruskową. Ta ostatnia pomogła jej w

załatwieniu pracy, gdy po amnestii opuściła mury więzienne, nie mogąc ze swoimi papierami znaleźć zatrudnienia. Według Trzaski była osobą kompetentną, a jako człowiek wartościową. Dodatkowym jej atutem była znajomość prawa administracyjnego oraz twarda konstrukcja psychiczna predestynująca do pełnienia funkcji kierowniczych. Z panią Rusek miałem trudną rozmowę, gdy roztrzęsiona wpadła do naszego biura, twierdząc, że złożyła podanie o zwolnienie, gdyż w warunkach polowania na czarownice dłużej pracować nie może. Było mi bardzo niezręcznie. Z jednej strony należałem do tych, którzy dokonują egzekucji, z drugiej nie w pełni podzielałem ich poglądy. Fakt był bezsporny, mimo szczerych chęci nie byłem w stanie jej pomóc. Problem polegał na tym, że na siedmiu członków zarządu miasta, czterech w przeszłości należało do PZPR, bądź było z nią powiązanych (Zaguła, Duś, Majchrzak). Talkowski co prawda formalnie nie, ale cały czas operował w środowisku partyjnych aktywistów. Grupa ta była dotknięta normalnym w takim przypadku – kompleksem neofity. Zgodnie z nim, neofita na gruncie wyznawania nowej doktryny jest bardziej papieski od papieża. Motorem napędowym zmian kadrowych była osoba Arkadiusza Sińskiego, który w okresie PRL-u siedział cichutko jak mysz pod miotłą. Kiedy wybuchła wolność, by odreagować swój kompleks braku aktywności w tamtym okresie, przyjął postawę czołowego inkwizytora. Z tych właśnie powodów, obrona Ruskowej była bezcelowa. Słyszałem, że znacznie później proponowano jej powrót. Odmówiła. Jest to dowodem jej poczuciu honoru i własnej godności. O absurdzie tamtych decyzji niech zaświadczy fakt, że jednych członków partii wyrzucano, innych windowano w górę. Paradoksem jest, że utrącano niekiedy jednostki fachowe, w ich miejsce instalując miernoty. Przyczyny były oczywiste. Miernota woltowała, składając nowym panom hołdy wiernopoddańcze. Jednostka wartościowa, mając swój honor nie żebrała o łaskę. Na tle personalnym doszło do mojego pierwszego konfliktu z zarządem miasta. Przyczyną był wniosek o odwołanie radnej – Ewy Saltarskiej z funkcji kierownika Urzędu Stanu Cywilnego, i powołanie w to miejsce innej radnej – Elżbiety Szymkowskiej. Powód – przynależność do PZPR. Na posiedzeniu klubu zająłem stanowisko zdecydowanie negatywne. Kiedy doszło do sesji, która przeszła do historii jako dowód pierwszej hańby Rady Miejskiej, w dramatycznych okolicznościach wystąpiłem w obronie krzywdzonej.

Będąc działaczem opozycji demokratycznej z więziennym epizodem, uważałem za swój moralny obowiązek powstrzymanie tego patologicznego procederu. Poparł mnie tylko – Marek Kania. Obaj uważaliśmy, że takie posunięcie jest dla nas kompromitujące. Radnego chroni immunitet i nie może być zwolniony z powodów stricte politycznych. W przypadku Saltarskiej nie wykazano żadnych uchybień czy niekompetencji. Skrytykowałem Szymkowską za rozpychanie się łokciami w drodze do korytka. Kilku klakierów przerywało moje wystąpienie oklaskami. Głosowanie przegrałem, chyba trzema głosami. W omawianym przypadku chodziło wyłącznie o przechwycenie stołka, a nie

względy natury politycznej. Szowinizm był górą.

W tym samym czasie rozpoczęły się pierwsze procesy korupcyjne. Obowiązująca ustawa o samorządzie terytorialnym z dnia 8 marca 1990, wielu sytuacji nie przewidywała. Nieetatowy członek zarządu – Jerzy Duś otrzymał nominację swoich kolegów na dyrektora Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej łącząc w swoich rękach trzy istotne funkcje: uchwałodawczą (radny), wykonawczą (członek zarządu miasta) i dyrektora podległej sobie jednostki. W całej rozciągłości naruszało to monteskiuszowski trójpodział władzy. Wówczas jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że jest to dopiero początek drogi prowadzącej do paraliżu samorządu. Worek z nadaniami został rozwiązany. Inny radny – Zdzisław Wcisło otrzymał w dzierżawę targowisko miejskie przy ulicy Adamieckiego. Formalnie oczywiście wygrał przetarg, ale kto w to uwierzy...

Przypadki Szymkowskiej, Dusia i Wcisły jednoznacznie wskazywały, że już na starcie samorząd ulega korupcyjnej patologii. Ówczesne przepisy nie zabraniały jeszcze łączenia tych stanowisk. Ale przecież obok prawa są jeszcze elementarne podstawy ludzkiej przyzwoitości i kultury osobistej. Ciekawostką niech będzie fakt, że zdecydowana większość radnych niestosowności powyższego procederu nie dostrzegała, ba udzielała mu nawet całkowitego rozgrzeszenia. Wymownie to świadczy, o ich poziomie intelektualnym i o przygotowaniu do pełnienia funkcji publicznej.

W omawianym okresie byłem na etapie poszukiwania nowej formuły działalności politycznej. Będąc aktywnym członkiem Solidarności i Komitetu Obywatelskiego, dostrzegałem niedoskonałość tych formacji. Bezpośrednią przyczyną ich słabości był fakt, że mógł do nich należeć każdy i to prosto z ulicy. Powszechnie występowało zjawisko dyletanctwa i braku jakichkolwiek tendencji edukacyjnych. W świetle powyższego byłem do ich przyszłości nastawiony bardzo sceptycznie. Sprawowanie władzy to polityka, a polityki trzeba się uczyć. Zacząłem się rozglądać za nową formacją, w której mógłbym urzeczywistniać swoje zamierzenia. Tak trafiłem do Porozumienia Centrum. Wspólnie z Ryszardem Koniecznym postanowiliśmy w Dąbrowie założyć tę partię. Jesienią 1990, braliśmy czynny udział w prezydenckiej kampanii na rzecz elekcji – Lecha Wałęsy.

Kilka miesięcy później, gdy w PC rozpoczęły się walki frakcyjne, a Jarosław Kaczyński zaczął eliminować umiarkowane skrzydło, przeszedłem do Kongresu Liberalno-Demokratycznego, który wówczas był partią bardziej umiarkowaną o znacznie większej stabilności wewnętrznej.

Co się zaś tyczy samorządu terytorialnego, to traktowałem go jako praktyczną szkołę działalności publicznej. W pierwszym okresie ograniczałem się do roli obserwatora, bacznie śledząc bieg wydarzeń. Czasami w kwestiach

mnie bulwersujących zajmowałem zdecydowane stanowisko. A sprawy nie układały się najlepiej. Na łamach Biuletynu Informacyjnego (organ DKO) zamieściłem notatkę z sesji Rady Miejskiej, w której poddałem krytyce lansowany przez Jerzego Talkowskiego projekt rozbudowy urzędu miejskiego oraz wydatkowania znacznych kwot na stworzenie ujeżdżalni koni w Parku Zielona. Uważałem, że występują znacznie pilniejsze potrzeby, a elementy zbytku mogą poczekać. Konsekwencją tej notatki był początkowo niezrozumiały dla mnie konflikt z prawą ręką prezydenta – Arkadiuszem Sińskim. Arek posunął się do gróźb pod moim adresem, oraz zupełnie bezpodstawnie zarzucił mi przynależność do ZSMP. Konflikt nabrzmiewał. Kiedy nałożono na Biuletyn cenzurę, postanowiłem działać w sposób zdecydowany. Zainicjowałem złożenie wniosku o odwołanie mojego adwersarza z funkcji członka zarządu miasta. Większość radnych wniosek przyjęła. Nie mogąc się pogodzić z takim werdyktem, próbował żałosnych sztuczek prawniczych, bez powodzenia. Muszę przyznać, że nie umiał odchodzić w takim stylu, jak kilka miesięcy wcześniej jego ofiary.

Widząc pogarszającą się sytuację w samorządzie, marazm decyzyjny, uskutecznianie przez radnych czczego gadulstwa i naturalną śmierć Klubu Radnych DKO – postanowiłem przejąć inicjatywę programową. W listopadzie 1990 napisałem broszurkę, powieliłem w kilkudziesięciu egzemplarzach i rozkolportowałem wśród radnych. Z mojej inicjatywy doszło do posiedzenia klubu, na którym miała się odbyć dyskusja nad przedłożonymi przez mnie tezami. Było ich 12. Najistotniejsze to:
- Czy gmina może prowadzić komercyjną działalność gospodarczą?
- Czy zarząd miasta ma składać się siedmiu osób o bliżej niesprecyzowanych kompetencjach, czy z czterech na pełnych etatach, rozliczanych przez Radę,
- Kwestia wolności słowa i prawa do krytyki władzy wykonawczej,
- Czy radny w trakcie pełnienia kadencji może otrzymać nominację na kierownicze stanowisko w administracji samorządowej lub podległej gminie jednostce?

W ostatniej sekwencji pisałem:
„...Uważam, że wydarzenia dotychczasowe zaszły już tak daleko, iż należy im się przeciwstawić wszelkimi politycznymi metodami. Jeżeli tego nie uczynimy, to może dojść do sytuacji, że rada będzie już tylko i wyłącznie ciałem fikcyjnym, ponieważ do bezdyskusyjnej supremacji zarządu nad radą dojdzie jeszcze jeden element – przekupywanie radnych nadaniami stanowisk i funkcji. Proces ten już jest w toku, dlatego jeżeli chcemy go powstrzymać, to rozległ się właśnie ostatni dzwonek”.

Niestety, moja argumentacja nie trafiła radnym do przekonania. Na zebraniu panował niesamowity harmider. Produkowałem się sobie, a muzom. Radni za żadną cenę nie mogli pojąć, do czego zmierza moja argumentacja. Nie

mogli zrozumieć, dlaczego koszula jest bliższa ciału, że radny pełniący stanowisko zależne od zarządu, będzie się kierował przede wszystkim jego interesem, a nie kwestią publiczną. Tak naprawdę, nikogo ten problem nie interesował. Było to i smutne i żałosne. Podsumowałem to jednym zdaniem. Ulica wybrała ulicę, by w jej imieniu sprawowała władzę.

Po tak sromotnej porażce, po raz pierwszy w życiu popadłem w apatię. Straciłem wiarę w sens dalszego funkcjonowania na niwie publicznej. Miałem dość zbiorowości, w której poziom refleksji jest bliższy bazarowi niż parlamentowi. Postanowiłem złożyć mandat radnego. Kiedy ze stosownym wnioskiem zjawiłem się w gabinecie przewodniczącego – Wiktora Kołodziejczyka, ten zaskoczony zaczął mnie odwodzić od zamysłu. Twierdził, że moja obecność w samorządzie jest celowa, natomiast chwilowymi niepowodzeniami nie należy się, aż tak przejmować. W tym samym duchu wypowiadało się jeszcze kilka, przypadkowo napotkanych osób. W efekcie ich argumentacji, odstąpiłem od pierwotnego zamiaru. Mandat zachowałem.

Rozdział XIV
ZAGUŁA KONTRA TALKOWSKI

W omawianym okresie jeszcze nie w pełni zdawałem sobie sprawę z układu sił panującym wewnątrz zarządu miasta. Będąc radnym, obserwowałem chaos decyzyjny, pewne pęknięcia. Jak wykazały późniejsze doświadczenia, eliminując z tego grona – Arkadiusza Sińskiego, nieświadomie naruszyłem delikatną równowagę w tym gremium. Procedurę jego odwołania zainicjowałem, ponieważ będąc radnym miałem moralne i polityczne prawo zajmować stanowisko we wszystkich kwestiach związanych z władzą lokalną. Arek, chcąc mi zatkać usta nakłonił Talkowskiego do nałożenia cenzury na Biuletyn i bezpodstawnie pomówił mnie o rzekomą przynależność do ZSMP. Zaatakowany miałem z kolei prawo odpowiedzieć adekwatnie do zagrożenia. Doszedłem do wniosku, że jego dotychczasowe wygłupy biorą swoje źródło z nadmiaru wolnego czasu. Jeżeli powróci do pracy w kopalni, przestanie zajmować się banialukami. Dlatego musiał utracić prestiżowe stanowisko. Bezspornie w tamtym okresie – Arkadiusz Siński był prawą ręką Jerzego Talkowskiego. W przeciwieństwie do niego posiadał twardą konstrukcję psychiczną, czym trzymał pozostałych w ryzach. Całe dnie przebywał w jego otoczeniu, osobiście dopilnowując każdej decyzji tego ostatniego. Pełnił podobną rolę jak – Mieczysław Wachowski przy Lechu Wałęsie. Wraz z jego odejściem szala przechyliła się na niekorzyść tego ostatniego.

Zacząłem dostrzegać pierwsze objawy niepokojących zachowań. W gabinecie Zaguły coraz częściej gościły grupy radnych różnej konduity. Poklepywano się po ramieniu, krytykowano Talkowskiego, zwłaszcza za chaos decyzyjny i niekonsekwencję w działaniu. Muszę potwierdzić, że w znacznej mierze zarzuty powyższe miały potwierdzenie w faktach. Dla mnie wyczuwalna stawała się atmosfera pewnego podniecenia. Coś wisiało w powietrzu.

Z tego co ma się wydarzyć zdałem sobie sprawę dopiero, gdy Jerzy Duś na sesji rady, wystąpił przeciwko Talkowskiemu. Zarzucił mu między innymi arogancję i błędną politykę finansową. Ten ostatni stanowczo odrzucił zarzuty i złożył wniosek o powołanie specjalnej komisji do zbadania stawianych mu uchybień. Rada przychyliła się do tego wniosku. Powołano pięcioosobową komisję, w skład której weszli: Marek Kania, Tomasz Karwowski, Wojciech Madej, Mirosław Wróbel i ja. Powołaliśmy biegłego do zbadania spraw finansowych i rozpoczęliśmy pracę. Efekt był zaskakujący. Stawiane przez Dusia zarzuty nie znalazły potwierdzenia w faktach. Jako komisja zajęliśmy stanowisko, które można by określić mianem – nijakie. Sytuacja była nietypowa. Talkowskiemu co prawda nic nie udowodniliśmy, jednak powszechna była już świadomość, że trzeba ostatecznie rozwiązać problem jego prezydentury. Polaryzacja stanowisk zantagonizowanych frakcji zaszła bowiem

już tak daleko, że uniemożliwiała dalsze funkcjonowanie władzy wykonawczej. Jedno stawało się oczywiste. W tym stanie personalnym zarząd nie mógł już dłużej funkcjonować. Dylemat był następujący. Należało usunąć Talkowskiego, albo nowo zawiązaną frakcję Zaguły. W przypadku Talkowskiego w grę wchodziła egzekucja tylko jednej osoby. W przypadku frakcji Zaguły – kilku, co w praktyce ze względu na powiązania z innymi radnymi stawało się niewykonalne.

W czasie, gdy w zarysowanych realiach komisja pracowała – Talkowski zachowywał się jak człowiek, który spadł z księżyca i jest bardzo zdziwiony, że występuje przyciąganie ziemskie. Będąc przekonanym o swojej niewinności, zachowywał się absolutnie biernie. A druga strona nie próżnowała. Wokół Zaguły i Dusia funkcjonowała coraz większa grupa radnych. I z każdym dniem rosła w siłę. Odbywały się narady i konsultacje, nie zawsze na gruncie urzędowym. Jednym słowem – lobbing. W efekcie tych zabiegów jeszcze przed krytyczną sesją – Zaguła miał już większość radnych urobionych dla swojej koncepcji. W takich uwarunkowaniach i przy takim układzie sił doszło do zasadniczego starcia.

Na kolejnej sesji jako komisja doraźna odczytaliśmy nasze nijakie sprawozdanie. Nie było w nim, ani uznania Talkowskiego za niewinnego, ani uznania zarzutów Dusia za uzasadnione. Wówczas Talkowski, nieświadom realnego układu sił, pełen wiary w nieistniejący swój autorytet zażądał w drodze retorsji odwołania Jerzego Dusia za bezpodstawne pomówienia. I właśnie ten ruch był katalizatorem dynamizującym sytuację. W ferworze dyskusji, padł zgłoszony przez Janusza Rosołka wniosek o odwołanie z kolei Jerzego Talkowskiego. W tym samym momencie jego dotychczasowy zastępca – Henryk Zaguła stwierdził, że zarząd nie może już dłużej funkcjonować w takim składzie personalnym. W całej rozciągłości poparł zgłoszony wniosek o odwołanie Jerzego Talkowskiego – oświadczając, że jeżeli rada go nie przyjmie, to on poda się do dymisji. Zarzucił Talkowskiemu już nie arogancję i łamanie dyscypliny budżetowej, lecz brak predyspozycji do kierowania organizmem miejskim. W związku z dramatyzmem sytuacji również i ja nie mogłem zachować bierności. Moje wystąpienie szło w kierunku zdecydowanego i ostatecznego rozwiązania problemu. Argumentowałem, że Rada Miejska ma w swoich kompetencjach powoływanie i odwoływanie zarządu lub jego poszczególnych członków, nawet bez podania przyczyny. W związku z wytworzonym impasem należy podjąć decyzję z całą dozą konsekwencji. Najgorszym bowiem rozwiązaniem będzie jej brak, gdyż pogłębi to jeszcze bardziej istniejący już stan chaosu. Ze względów stricte politycznych (o czym później) nie wskazałem jednak wariantu rozwiązania. Odbyło się tajne głosowanie w trakcie którego – Duś zachował swoją dotychczasową funkcję, natomiast – Jerzy Talkowski został odwołany z funkcji prezydenta miasta.

Nie mogąc się pogodzić z takim werdyktem, były już prezydent zdecydował się na złożenie odwołania do Urzędu Wojewody. Ponieważ jednak głosowanie odbyło się zgodnie z literą prawa, wojewoda nie miał formalnych podstaw do jego unieważnienia. Podobny skutek przyniosło odwołanie do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Po wyczerpaniu możliwości prawnych, urażony Talkowski złożył mandat radnego i zawiązał komitet w swojej obronie. Kolportowano ulotki, prowadzono akcję petycyjną w celu odwołania całej Rady Miejskiej, oczywiście bezskutecznie. Nieco później grono powyższe zmieniło nazwę na Społeczny Komitet Obrony Praworządności. Próbował jeszcze startować w wyborach parlamentarnych w 1991, wszystko bezskutecznie. Z biegiem czasu twór ten umarł śmiercią naturalną.

Tyle faktów. Przejdźmy teraz do politycznej analizy powyższego zagadnienia. Ponieważ swego czasu lokalna prasa szeroko rozpisywała się na ten temat, nie zawsze obiektywnie, bardziej kierując się sensacją niż gruntowną znajomością przedmiotu, uważam za stosowne wyjaśnić kilka kontrowersyjnych kwestii.

Według mojej oceny – Jerzy Talkowski był postacią dziwną. Chciałbym powiedzieć, że był uczciwy i szlachetny, ale takie twierdzenie nie wytrzymuje konfrontacji z faktami. Za jego rządów, bez zmrużenia oka wyrzucano ludzi na bruk, uprawiając makiaweliczne roszady personalne. A wszystko z jego podpisem i akceptacją. Jest rzeczą naturalną, że każda formacja obejmująca władzę musi uporządkować personalia. Oznacza to upadek jednych, awanse drugich. Proces ten jest dla każdego zrozumiały i wręcz niezbędny, lecz tylko w jednym przypadku. Jeżeli przyczynia się do lepszego funkcjonowania podległych służb i wzrostu kompetencji administracji. Za rządów Talkowskiego dokonano czegoś zgoła odwrotnego. Konsekwencje tego absurdu były odczuwalne jeszcze szereg lat, a niektóre nawet do dnia dzisiejszego. A przecież prezydentem został tylko dlatego, że już w przeszłości pełnił tę funkcję i miał swoją wiedzą i doświadczeniem utrzymywać w ryzach nuworyszy, których wiatry przemian przypadkowo wepchnęły w salony władzy. Nie potrafił stworzyć żadnego sensownego zespołu. Kiedy padł, nie rozległ się w jego obronie, ani jeden wystrzał. Wręcz odwrotnie, niektórzy z tych, których wcześniej wyniósł „przyjacielsko” go dobijali. Od decydenta wymaga się przede wszystkim szybkiej i trafnej decyzji. Talkowski podejmował decyzje różne, często je zmieniając w zależności od tego, z kim w danym momencie rozmawiał. Konsekwencja nie była jego domeną. W jednym dniu za namową – Sińskiego nakładał cenzurę, w drugim wycofywał się pod naporem – Frączka. I wreszcie polityka. Prezydent ma rządzić. Dla niego polityka była pojęciem abstrakcyjnym, obcym. Nie rozumiał nic z tego, co wokół niego zachodziło. Dowodem niech będzie fakt, że zachowywał całkowitą bierność w sytuacji, gdy rywal przeprowadzał mobilizację wymierzoną w jego osobę. Przez polityczne dyletanctwo, doprowadził do starcia w czasie i klimacie absolutnie dla siebie

niekorzystnym. I wielkie zdziwienie, gdy poniósł sromotną porażkę. Później absurdalne odwołania, których nawet komentować nie wypada. Jedną wszak miał cechę na pewno pozytywną. Nie kradł i nie wykorzystywał stanowiska dla partykularnych interesów.

Jerzy Talkowski pełnił funkcję polityczną, chociaż nigdy nie był politykiem. Nie należał do żadnej partii, nie wyznawał żadnej ideologii, ani programu politycznego, nie miał za sobą żadnego zaplecza. Nie funkcjonował w strukturach opozycyjnych, ani w PZPR. Związany był luźno z nurtem komunistycznym. Kiedy już było wiadomym, że Komitet Obywatelski w drodze wyborów przejmie władzę, ubrany w granatowy garnitur podjął z nami kontakt. Twierdził, że jest fachowcem, ekonomistą, prakseologiem. Sprawiał wrażenie dobrotliwego, trochę zdziwaczałego wujaszka. Jego grzeczność, przesadna układność powodowały, że nie miał żadnych wrogów. Instrumentalnie manipulował faktami ze swojego życiorysu. Eksponował na przykład, że w okresie stanu wojennego został przez wojewodę – Romana Paszkowskiego odwołany z funkcji prezydenta miasta. Twierdził, że za brak przynależności do partii komunistycznej. Przemilczał jednak fakt, jakim to zrządzeniem losu właśnie w okresie stanu wojennego objął tę funkcję. Kto za nim stał i czyim był protegowanym? Jakież to mechanizmy sprawiły, że w 1982, w okresie największego terroru polityczno – policyjnego, właśnie jemu, dobrotliwemu wujaszkowi powierzono władzę nad 150-tysięcznym miastem? I wreszcie kolejny fakt przez niego skrywany. Jakim to zrządzeniem losu w 1990, był dyrektorem państwowego przedsiębiorstwa Naprawy Sprzętu Medycznego w Bytomiu? Przecież, aby w okresie realnego socjalizmu mógł objąć tę funkcję, potrzebował rekomendacji terytorialnego komitetu PZPR i braku przeciwwskazań ze strony MSW.

Zestawienie tych elementów powodowało, że Jerzy Talkowski na początku nowej dekady, postanowił nieco podrasować swój życiorys tak, by odpowiadał na nowe zapotrzebowanie. Dzieciarnia z Komitetu Obywatelskiego mogła się nabrać na jego sympatyczną aparycję. Ja stary kryminalista, nie! Dla mnie było oczywistym, że Jerzy Talkowski będąc formalnie bezpartyjnym, musiał posiadać możnego protektora w strukturze ówczesnej władzy. Tym bardziej odrażał mnie fakt, że przeszedł na drugą stronę i jak na neofitę przystało konsekwentnie eliminował swoich dotychczasowych sprzymierzeńców politycznych. A wszystko dlatego, by inni nie stawiali kłopotliwych pytań. Ja ze swoim życiorysem nie musiałem udowadniać, że jestem mężczyzną. On musiał! Cały czas podkreślał, jakim to jest doskonałym fachowcem, jak zna się na zarządzaniu i jakie to posiada kwalifikacje menedżerskie. Zastanawiający jednak był fakt, że nikt o nim tak się nie wypowiadał, oprócz niego samego.

Przedłożyłem wcześniej, że jakkolwiek w trakcie krytycznej sesji

zabierałem głos, to jednak nie zająłem jednoznacznego stanowiska. U podstaw mojej decyzji leżało przeświadczenie, że żadne z tych dwóch rozwiązań w procesie długofalowym nie będzie korzystne. Talkowski przy władzy oznaczał chaos i zamieszanie, Zaguła prywatę i serwilizm.

Muszę nadmienić, iż od momentu, kiedy Henryk Zaguła zaczął przejawiać aktywność (fraternizacja z radnymi), postanowiłem zebrać o nim nieco informacji. Poszedłem dwoma kanałami – solidarnościowym i wywiadem wśród kadry Wielkich Pieców w Hucie Katowice, gdzie był majstrem i kierownikiem zmiany. Dzięki tym informacjom poznałem jego mentalność i konstrukcję psychiczną. Obraz, który otrzymałem nie napawał optymizmem. Był on członkiem PZPR do samego końca, czyli do momentu rozwiązania w 1989. W środowisku zawodowym nie posiadał dobrej opinii. Był prymitywny, bez polotu, zaszeregowany jako muł do czarnej roboty. Z tych właśnie powodów, mimo posiadanych studiów wyższych, zawodowa droga awansu była przed nim zamknięta. Posiadał jednak również cechy pozytywne – był uparty i pracowity. Włodzimierz Klimczyk – ówczesny przewodniczący Solidarności Wydziału Wielkich Pieców, chcąc go wypchnąć z wydziału, zaproponował mu start w wyborach lokalnych z listy Solidarności, która wówczas w 80% gwarantowała mandat. Aby ze względu na życiorys nie spotkały go jakieś przykrości, miał go wziąć pod kuratelę inny działacz Solidarności – Eugeniusz Kowalski.

Z pozycji moralnych i politycznych – Zaguła, tak samo jak Talkowski był nuworyszem. Tak samo odpowiadał za egzekucje swoich dotychczasowych stronników tylko dlatego, by móc wykazać jakim to jest oddanym czekistą. On, który zeszmacił się przejściem na drugą stronę, miał czelność z nadgorliwością eliminować tych, którzy w przeciwieństwie do niego tego nie uczynili. Nie ma żadnego dokumentu ani naocznego świadka, który mógłby zaświadczyć, że w owym okresie – Henryk Zaguła brał w obronę zwalniane kompetentne jednostki, np. Eleonorę Rusek. Dla mnie, tak samo jak Talkowski był nuworyszem rodem z Kariery Nikodema Dyzmy. O tyle groźniejszym, że Talkowski jednak posiadał pewne poczucie estetyki – Zaguła żadnej. Stawało się oczywistym, że zaplecze, które go popiera to przyszły dwór polujący na ochłapy od stołu. Wszak poparcia w polityce nie udziela się charytatywnie. A to już oznaczało nie politykę, lecz prywatę i serwilizm.

Wiedza na temat jego osobowości legła u podstaw naszej dalszej współpracy i spowodowała, że praktycznie poza drobnymi okresami nigdy nie układała się ona owocnie. Należeliśmy bowiem do dwóch różnych kultur, dwóch różnych światów, rządzonych innymi regułami. Czyż w świetle powyższego mogłem go poprzeć? Z drugiej strony – czy mogłem poprzeć nieudolnego Talkowskiego? Sądzę, że to winno wyjaśnić moje niezdecydowanie

i brak jednoznacznego stanowiska w tej kwestii.

Z mojej optyki żaden z tych dwóch wariantów nie był korzystny. Ale decyzję trzeba było podjąć, wymagała tego sytuacja. Stąd w kwestii pojedynku dwóch politycznych nuworyszy przyjąłem pozycję neutralną. Dla całokształtu nie miało to żadnego znaczenia. Talkowski przepadł, arena należała do Zaguły.

Rozdział XV
UTARCZKI I POROZUMIENIA

Zgodnie z wolą większości radnych – Henryk Zaguła, dotychczasowy zastępca Talkowskiego – otrzymał nominację na funkcję prezydenta miasta. Rozumiał mechanizmy, które spowodowały upadek poprzednika i postanowił jego błędów nie powielać. Antidotum na powyższe miała być zmiana układu sił wewnątrz zarządu miasta. Skutecznie zarządzać można tylko wówczas, gdy posiada się niekwestionowaną większość w tym gremium. Poprzednik takim luksusem nie dysponował. Aby to osiągnąć, postanowił zwiększyć liczbę swoich zastępców z dwóch do trzech. Cztery osoby na siedem, powiązane wspólnymi interesami finansowymi i prestiżowymi to wystarczająca rękojmia.

Na swoich zastępców oprócz już urzędującego – Lecha Modelskiego postanowił powołać – Lesława Klimczyka (dotychczas, wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej) i Zdzisława Bosaka (dotychczas, nieetatowego członka zarządu). Aby powyższy zamysł mógł zostać zrealizowany należało wprowadzić zmiany w statucie miasta i schemacie organizacyjnym urzędu. Po raz pierwszy nowy prezydent przedstawił swoje zamierzenie na klubie radnych Komitetu Obywatelskiego. Wyczuwając opór, zwłaszcza ze strony tzw. familii zaczął się z niego wycofywać, chcąc zagrać na wyczekanie. W tym momencie postanowiłem go wesprzeć. Wyjaśniłem, że jakakolwiek zwłoka działa na jego niekorzyść, ponieważ konserwuje układ słabej władzy. Jeżeli chce swój zamysł przeprowadzić to musi działać z marszu, natychmiast. Czas nie pracuje bowiem na jego korzyść. Poszedł za moją radą. Na najbliższej sesji, poprawka do statutu i nowy schemat organizacyjny były już przegłosowane.

O moim poparciu zadecydował fakt, iż w pełni zdawałem sobie sprawę ze słabego merytorycznie przygotowania większości radnych. W takiej sytuacji, działanie prezydenta idące w kierunku wzmocnienia władzy wykonawczej, było logiczne i celowe. Uważałem ponadto, że wzmocniony prezydent będzie skuteczną przeciwwagą dla grupy radnych familiantów, wszelkimi metodami prącymi do opanowywania stanowisk w dziedzinie gospodarczej i administracyjnej, powodując elementy korupcyjne.

O prawdziwości moich sądów niech zaświadczy fakt, iż kandydat na trzeciego zastępcę – Lesław Klimczyk, człowiek politycznie niegroźny – głosami tego właśnie obozu został odrzucony. Przeszedł dopiero w drugim podejściu, bodajże jednym tylko głosem, i to po ciężkich przetargach. Polityka familii stawała się oczywista – werbalnie popierać Zagułę – faktycznie nie wzmacniać jego pozycji. Zbyt silna, mogłaby w przyszłości zagrozić ich strefie interesów. Po dokonaniu tych zmian rada na pewien okres okrzepła.

Po raz pierwszy z nową ekipą starłem się latem 1991 przy sprawie DOMATEXU. U schyłku lat osiemdziesiątych grupa lokalnych prominentów z ówczesnym prezydentem na czele zawiązała spółkę nomenklaturową o tej

nazwie. Spółka od samego początku była wielkim szwindlem. 20 procent udziałów posiadały osoby prywatne, natomiast gmina pozostałą część. Udziałowcy prywatni mieli jednak akcje uprzywilejowane. Ich wartość była pięciokrotnie wyższa od gminnych. W ten sposób, osoby prywatne wnosząc 20% kapitału, dysponowały takim samym wpływem na decyzje co miasto wnoszące 80%. Odkąd sprawa ujrzała światło dzienne, w kręgach solidarnościowych przeważała opinia o likwidacji tej poczwarki. Ja też podzielałem ten pogląd. Dodać należy, że spółka nie zajmowała się zaspokajaniem potrzeb ogólnospołecznych, lecz była nakierowana na zysk. Był to klasyczny przykład tego, jak byli prominentni notable wykorzystywali społeczny majątek i posiadaną pozycję, w celu osiągania dodatkowych korzyści materialnych.

Później okazało się, że kiedy pewni ludzie dzięki szyldowi Solidarności doszli do władzy, ich poglądy diametralnie się odmieniły. Postanowili wejść do rady nadzorczej DOMATEXU, oczywiście nie bez zainteresowania finansowego. Aby można było jednak zasiąść w radzie nadzorczej, czerpiąc z tego tytułu korzyści zachodziła potrzeba utrzymania zbędnej spółki. Henryk Zaguła patronował temu przedsięwzięciu. I w tym punkcie zarysowała się oś sporu.

Powyższa kwestia wypłynęła na sesji rady. Postanowiłem zdecydowanie wystąpić przeciwko tej patologii. Miałem kilka wystąpień nawet dość ekspresyjnych. W ich konsekwencji rada, większością głosów poparła mój punkt widzenia i przegłosowała likwidację zbędnego podmiotu.

W odwecie za moją postawę – Zaguła wydał polecenie Bosakowi, któremu podlegała gospodarka komunalna, by nie podpisywał ze mną przygotowanej wcześniej umowy najmu lokalu na działalność publiczną i wyjechał na urlop. Nadmienić muszę, że przed tym incydentem, będąc przewodniczącym Kongresu Liberalno-Demokratycznego w Dąbrowie, złożyłem wniosek o wynajem wolnego lokalu w budynku „Resursy”. Do momentu krytycznej sesji umowa była gotowa, pozostawała wyłącznie kwestia jej podpisania. Kiedy udałem się ją sfinalizować, spotkałem się z kategoryczną odmową. Nie mogąc się pogodzić z tak ewidentną szykaną, na najbliższej sesji poruszyłem ten temat. Większość radnych stanęła po mojej stronie. Niestety, dyrektywy szefa nikt z jego zastępców nie był w stanie zmienić. Dopiero po powrocie z urlopu, wobec groźby rebelii, decydent anulował swoją wcześniejszą dyrektywę. Dostałem wymęczony lokal.

Po tym incydencie, będąc w pewnym antagonizmie z władzami, postanowiłem nieco przełożyć dotychczasowe akcenty. Czasowo zawiesiłem aktywność na odcinku samorządowym, przesuwając jej główny ciężar na działalność polityczną. Nadchodziła kampania wyborcza do parlamentu 1991.

Występował wówczas niezwykle korzystny dla mnie zbieg okoliczności. Byłem przewodniczącym KLD w Dąbrowie Górniczej i równocześnie jedynym członkiem zarządu wojewódzkiego z terenu sosnowieckiego okręgu wyborczego. Dawało mi to komfort, ponieważ de facto dysponowałem decydującym głosem w przedmiocie obsadzenia listy wyborczej w tym okręgu oraz absolutnym wpływem na przebieg kampanii wyborczej. Postanowiłem nie zmarnować tak sprzyjającej koniunktury.

Z terenu Dąbrowy z listy KLD do fotela poselskiego pretendowały dwie osoby. Jedną był Henryk Zaguła, drugą jego zastępca – Zdzisław Bosak. Mając w pamięci sprawę DOMATEXU, Zagule od razu odmówiłem, argumentując, że musi zapłacić za przynależność do PZPR. Jest jeszcze za wcześnie, aby mógł startować z listy mojej partii. Dla przeciwwagi – Bosaka umieściłem na pozycji trzeciej, która nie dawała mu szans wyborczych. Uczyniłem tak, ponieważ żadnemu z nich nie dowierzałem. U obu panów nie dostrzegałem żadnych postaw pro społecznych. Według mojej oceny kierowała nimi wyłącznie chęć robienia dalszej kariery, najlepiej na barkach innych. Intensywnie poszukiwałem właściwego kandydata na funkcję parlamentarną. Musiał się odznaczać odpowiednimi walorami moralnymi, stosownym wiekiem oraz właściwą proweniencją polityczną. Sam kandydować nie chciałem, ponieważ zdawałem sobie sprawę z młodego wieku i słabości swojego image. Nawet gdybym został posłem, w parlamencie nie odegrałbym żadnej roli tylko przedwcześnie spaliłbym swoją osobę. Wówczas jeszcze na taki ruch było za wcześnie. W grę wchodziło dwóch kandydatów: Andrzej Hardy i Andrzej Węglarz. Pierwszy był szefem działu prawnego w Hucie Katowice. Miał stosowny wiek i dobrą opinię. Z wykształcenia i profesji był prawnikiem. Drugi, również prawnik pełnił funkcję prezydenta Jaworzna.

W myśl zasady bliższa koszula ciału, wybór mój padł na Hardego. Węglarz, aczkolwiek wyglądał przekonująco, operował jednak w znacznym ode mnie oddaleniu. Zadecydowała geopolityka. Lepszy ten, który jest pod ręką.

Moja koncepcja rysowała się następująco. Czynię Hardego posłem, później politykiem. Daję mu pozycję, splendor i życiową szansę. On z kolei swoją pozycją wzmacnia moją osobę na odcinku lokalnym. W ten sposób osiągam niezależność od układu miejskiego, uzyskuję zaplecze i zdolności operacyjne w wymiarze politycznym. Do realizacji tego zamierzenia zabrałem się z wielkim entuzjazmem. To miał być mój majstersztyk.

Kampania szła sprawnie, pieniędzy nie brakowało. Ludzie, zwłaszcza wcześniej zwerbowana młodzież, operowali z inicjatywą. Wynik był korzystny. Pierwszy etap planu został zakończony sukcesem. Hardy uzyskał mandat posła. Do realizacji etapu drugiego, niestety już nie doszło...

Wysuwając Andrzeja Hardego nie wziąłem pod uwagę kwestii zasadniczej. Nie sprawdziłem jego konstrukcji psychicznej i zdolności do

skutecznego uprawiania rzemiosła politycznego. Przyczyną tego niedopatrzenia była nie tyle niewiedza, co pewien zbieg okoliczności. Zadecydował fakt, iż wystawił mi go – Zbigniew Kucharski, ówczesny mój partner polityczny. Człowiek, z którym łączyły mnie wówczas stosunki koleżeńskie. Gdy przyjaciel ci kogoś rekomenduje – nie należy sprawdzać – tak w swojej naiwności wówczas sądziłem. Niedopatrzenie to, okazało się moim gwoździem do trumny. Hardy rzeczywiście był człowiekiem poczciwym, jednak bez polotu i tego co Francuzi nazywają espri de corps. Mógłby być dobrym nauczycielem, ale nie politykiem. Nie rozumiał subtelnych niuansów tej dziedziny, ani nie był zdolny do działań o charakterze ofensywnym. Jego psychika nie przyswajała sobie również postawy kreatywnej, w działaniu cechowała go pasywność i nadmierna układność. Ale o tym zorientowałem się dopiero po fakcie, kiedy mleko było już rozlane.

Pierwsze rozczarowanie przyszło tuż po elekcji. Hardy nie zdając sobie sprawy z mechanizmów swojej kariery i politycznej kuchni, uważał, że swój awans zawdzięcza wyłącznie wyborcom. Postanowił być niezależny. Pierwszym błędem jaki popełnił, było utworzenie dwóch biur poselskich: w Dąbrowie i w Sosnowcu. Doprowadziło to do rozproszenia środków finansowych, co w przyszłości uniemożliwiło poważniejszą działalność. Mimo moich protestów był nieugięty. Zaraz na początku nasze drogi zaczęły się rozchodzić. Kolejną kwestią sporną była wysokość uposażenia przeznaczonego na utrzymanie biura w Dąbrowie. Wychodziłem z założenia, że to dzięki organizacji dąbrowskiej jest posłem i główne środki tu muszą być skoncentrowane. Miało to znaczenie kluczowe, ponieważ chciałem, aby to Dąbrowa była centralnym ośrodkiem w Zagłębiu. Dotyczyło to zwłaszcza sprzętu poligraficznego i łączności, oraz środków na etat i pochodne. W tym punkcie, mimo początkowego oporu odniosłem pewien sukces. Ustąpił. Ponadto, wokół niego zaczęli funkcjonować jacyś znajomi, każdy oczywiście ze wspaniałymi radami. Wszystkie te nieporozumienia pogłębiały rozdźwięk między nami. Doszło nawet do tego, że będąc architektem i twórcą jego kariery, nie mogłem nawet zająć etatu, który sam stworzyłem. W takiej sytuacji postanowiłem zainstalować chociaż kogoś swojego, aby wszystkiego nie stracić. Wybór padł na Andrzeja Migalskiego. Tym razem bez sprzeciwu – Hardy kandydaturę tę zaakceptował. Emocje z wolna opadały, lecz realizacja moich zamierzeń stała pod dużym znakiem zapytania.

Po analizie doszedłem do wniosku, że być może nie wszystko jeszcze jest stracone. Jest nadzieja, że Hardy po pewnym okresie funkcjonowania w polityce zdobędzie w końcu doświadczenie i zrozumie mechanizmy jakie rządzą tym światem. Dlatego należy ułożyć sobie z nim jak najlepsze stosunki i czekać z myślą o nadejściu lepszych czasów. Tak też uczyniłem...

Sprawa Hardego to klasyczny przypadek strzelenia sobie gola

samobójczego. W swojej naiwności uwierzyłem zapewnieniom Kucharskiego na jego temat, nie poddając ich analizie. Zmarnowałem życiową szansę, tracąc czas i energię na chybioną inwestycję. Hardy jak przystało na dyletanta niczego nie rozumiał, będąc podatnym na różne podszepty. Żeby było ciekawiej, gdy już wykonałem swoje, ten sam Kucharski, który wcześniej był moim kolegą, zaczął mnie utrącać i podkładać świnie. Nie było już takiej siły, która mogła odwrócić niekorzystny dla mnie bieg wydarzeń. Zawiniłem osobiście brakiem wstępnego rozpoznania kandydata. Fakt pozostawał bezsporny. Zamiast planowanego majstersztyku odstawiłem groteskę. Aż do tej pory mi wstyd.

Początkiem 1992 wydarzył się incydent, który całkowicie zmienił bieg wydarzeń, wywracając jakiekolwiek moje wcześniejsze zamierzenia. Nie pamiętam już w jakim celu bawiłem w gabinecie Bosaka. Stwierdził on, że Zaguła w dalszym ciągu podtrzymuje chęć wstąpienia do KLD. Oświadczyłem, że w obecnie (po wyborach parlamentarnych) nic nie stoi na przeszkodzie, aby to urzeczywistnić. Rozumiałem przez to gotowość jego przyjęcia, lecz pod wcześniej wynegocjowanymi warunkami. Jakież było moje zdziwienie, gdy na najbliższym zebraniu organizacji – pojawili się obaj. Bosak formalnie go przedstawił, apelując o przyjęcie.

W swoim wystąpieniu potwierdziłem gotowość wykonania takiego zamierzenia jednak nie w tej chwili. Henryk Zaguła – argumentowałem – nie jest człowiekiem z ulicy, lecz prezydentem miasta. Na takim człowieku można wiele zyskać lub wiele stracić. Posiadanie w swoich szeregach prezydenta i zastępcy spowoduje, że KLD będzie postrzegane jako ugrupowanie rządzące. Partia będzie ponosiła odpowiedzialność za działania obu panów, nie mając de facto żadnego wpływu na ich decyzje. Dlatego apelowałem o oddalenie wniosku Bosaka do czasu wynegocjowania z zainteresowanym zasad i mechanizmów sprawowania władzy. Kilka osób w tym oczywiście Hardy, zakwestionowało moją linię, uważając naiwnie, że funkcja prezydenta jest już sama w sobie wystarczającą rękojmią wysokiego merytorycznie poziomu kandydata. Nie bez znaczenia był również fakt, że większość widziała go w swoich szeregach nawet bez jakichkolwiek warunków wstępnych, licząc po cichu na bliżej niesprecyzowane profity, które mogły się w przyszłości pojawić w związku z piastowaną przez niego funkcją. Po raz pierwszy moja linia została zakwestionowana. Odbyło się tajne głosowanie, w wyniku którego Zaguła – wbrew mojej woli – został członkiem partii, w której ja nadal jeszcze byłem przewodniczącym. Po tym wydarzeniu stwierdził, że jest gotów do rozmów ze mną na temat przedłożonych zagadnień. Ustaliliśmy datę i godzinę spotkania....

Do rozmów przystąpiłem z pozycji „zbitego psa". Do tej pory Zaguła był przekonany, że panuję nad organizacją i jestem człowiekiem, z którym jeżeli chce dalej robić karierę, winien się układać. Ostatnie wydarzenie z całą pewnością wcześniejszy jego sąd poddało zasadniczej rewizji. Siadając do stołu,

miałem pełną świadomość tego faktu. Dlatego też wystąpiłem z postulatami minimum. Uzgodniliśmy, że wszystkie strategiczne decyzje dotyczące funkcjonowania samorządu będą wspólnie uzgadniane. Zostanie zahamowany proces uwłaszczania radnych, poprzez ich mianowania na wysokopłatne stanowiska w administracji lub gminnych jednostkach organizacyjnych. Uzgodniona została lista pracowników szczebla kierowniczego, którzy ze względu na niską kompetencję są przewidziani do zwolnienia. Uzgodniliśmy utworzenie gazety o problematyce lokalnej na rozruch której miał zapewnić pieniądze, ja organizację i redakcję. Założenia były klarowne. On czyni wszystko, by podległe mu służby funkcjonowały jak najlepiej, ja z kolei nadaję temu przedsięwzięciu stosowną oprawę propagandową. Muszę przyznać, że wbrew pozorom klimat w owym okresie był stosunkowo sprzyjający. Mając w pamięci fiasko operacji z Hardym, poszukiwałem nowego człowieka z pozycją, którego można by lansować na lokalnego polityka. Mając jednak na uwadze wcześniejsze doświadczenia i wiedzę o jego mentalności, postanowiłem postępować niezwykle ostrożnie. Gdyby wówczas Zaguła stanął na wysokości zadania, prawdopodobnie zostalibyśmy politycznymi partnerami.

Prawdą jest również, że mu nie dowierzałem. Zdawałem sobie sprawę, że zawarty kontrakt, aczkolwiek dość atrakcyjny, ma jedną słabą stronę. Zbyt dużą dysproporcję sił między zawierającymi go stronami. W takim przypadku jego zerwanie stawało się wyłącznie kwestią czasu. Zawsze uczyni to strona silniejsza. Logika nakazywała, bym jak najszybciej podniósł swoje akcje w stosunku do jego osoby. Za wszelką cenę należało zmniejszyć ten dystans.

Doszedłem do wniosku, że mogę to uczynić i to bezboleśnie. Należy wykorzystać fakt, iż do tej pory rada nie powołała swojej komisji rewizyjnej. Obowiązująca wówczas ustawa samorządowa dawała taką możliwość, aczkolwiek obligatoryjnie jej nie narzucała. Postanowiłem chwycić się tej szansy. Powołanie takiej komisji i wejście w jej skład, dawałoby mi wgląd w dokumenty i problematykę funkcjonowania władzy, dostęp do tajemnic, które każda władza posiada. Gdybym ten cel osiągnął, Zaguła na zasadzie nolens volens musiałby się ze mną liczyć. Dopiero w takim przypadku istniała możliwość ułożenia wzajemnych stosunków na zasadzie partnerskiej.

W tym miejscu zachodzi konieczność naszkicowania układu sił, jaki w tamtym okresie występował wewnątrz rady miejskiej. Zasadniczo istniały trzy ośrodki pretendujące do wpływu na podejmowanie decyzji. Jeden to Zaguła i skupiony wokół niego zarząd, który de facto władzę sprawował. Drugi to wspomniany już wcześniej ośrodek familii, ludzie drugiego rzutu w większości radni uwłaszczeni na funkcjach administracyjnych lub gospodarczych. Ich celem była nie tyle władza sensu stricto, co raczej wpływ na nią i jej wykorzystywanie w celach partykularnych. Trzeci to przewodniczący rady – Wiktor Kołodziejczyk, który faktycznie żadnej władzy nie posiadał, zadawalając się jej pozorami.

Miałem pełną świadomość, iż poprzez układ z Zagułą wchodzę w gniazdo os. Układ Zaguła – Frączek, naruszał bowiem interesy tych dwóch ostatnich grup, powodował wzmocnienie władzy wykonawczej, wprowadzał twardą politykę antykorupcyjną. Dla tych ludzi oznaczał blokadę w realizacji ich ambicyjek. Dla Kołodziejczyka z kolei, był o tyle niewygodny, że pozbawiał go marzeń o wpływie na ośrodek decyzyjny, pozostawiając mu wąski margines na pozory. Wobec powyższego, moim zamierzeniem było wymanewrowanie tych dwóch ośrodków, z równoczesnym wzmocnieniem pozycji w stosunku do Zaguły.

Ponieważ układ Zaguła – Frączek, mógł pozostać chwilowo w tajemnicy, dlatego na pierwszy ogień powinna pójść komisja rewizyjna. A dopiero po zajęciu tej pozycji, realizacja koncepcji z gazetą. Gdyby kolejność była odwrotna, napotkałbym zdecydowany opór i intrygi ze strony tych dwóch ośrodków, co w rezultacie mogłoby storpedować przedsięwzięcie.

W takim klimacie w początkach 1992 rozpoczął się bój o komisję rewizyjną. Na najbliższej sesji wystąpiłem z wnioskiem o jej powołanie. Przez czysty zbieg okoliczności, prawdopodobnie ze względu na artykuł prasowy, analogiczny ruch wykonuje Arkadiusz Siński. Nasze działania są zupełnie niezależne i ze sobą nie powiązane. Zaguła zostaje uderzony w czuły punkt – informację. Argumentuje zupełnie bezsensownie, że komisja jest organem zbędnym. Posiada już tyle ośrodków kontrolnych, iż niedługo nie będzie mógł pracować, tylko będzie musiał przygotowywać się do nieustannych kontroli. Nadmieniam, iż wówczas samorząd nie posiadał żadnego ciała kontrolnego. Nawet Regionalna Izba Obrachunkowa nie była jeszcze powołana do życia.

W ferworze dyskusji należy odnotować bardzo rzeczowe wystąpienie Stanisława Sypniewskiego. Mimo słownych utarczek udaje mi się przegłosować wniosek o rozpoczęciu prac nad jej powołaniem. Mam opracować poprawki do statutu miasta i jej regulamin. I znów kłody pod nogi. Familia nie zgadza się na proponowany przeze mnie trzyosobowy skład komisji, postulując jej rozszerzenie do pięciu osób. Zaguła zgłasza wniosek, by członkowie komisji byli wybierani nie zwykłą większością głosów, lecz większością bezwzględną ustawowego składu rady. Doprowadza to do paradoksu. Próg wyboru członka komisji rewizyjnej jest taki sam, jak próg wyboru prezydenta miasta. Oba wnioski przechodzą.

Na kolejnej sesji wybory. Tak wysoki próg przechodzi tylko jeden kandydat – Mirosław Wróbel. Pozostali progu nie przekraczają. Na kolejnej, do Wróbla dołącza – Andrzej Migalski i moja osoba. Brakujących dwóch członków nie można już jednak wyłonić, gdyż żaden z pretendentów nie jest w stanie przekroczyć tak wysoko ustawionej poprzeczki. Nikt więcej ze składu rady nie jest w stanie uzyskać minimum 23 głosów. Dopiero teraz radni rozumieją, że próg należy obniżyć. Przechodzi wniosek o wyborach zwykłą większością

głosów, co od samego początku postulowałem.

Sytuacja jednak ulega dalszej komplikacji. Trzy osoby są wybrane według jednego klucza (bezwzględna większość ustawowego składu), dwie dalsze mają być dokooptowane według innego (zwykła większość). Jest to nielogiczne, ponieważ próg wyboru dla wszystkich członków musi być taki sam. W tym momencie nie wytrzymuję nerwowo, postanawiam przerwać tę farsę. Zgłaszam wniosek o anulowanie poprzednich wyborów i ponowną elekcję wszystkich według nowej uchwały. Sam rezygnuję z ponownego kandydowania i ponownego opracowania regulaminu. W tej sytuacji prace nad utworzeniem komisji umierają śmiercią naturalną na niemal rok, gdyż nikt z pozostałych pretendentów nie potrafi, lub nie chce tego uczynić. Komisja rewizyjna powołana zostaje dopiero w początkach 1993, w konsekwencji wejścia w życie noweli ustawy samorządowej nakładającej na radę obligatoryjny obowiązek powołania tego organu.

Kilka słów wyjaśnienia. Moja inicjatywa wymierzona była przede wszystkim w jeden ośrodek – Zagułę i zarząd – aczkolwiek w przypadku jej urzeczywistnienia dwa pozostałe również traciły. Wzmacniając swoją pozycję, poprzez utworzenie i opanowanie komisji rewizyjnej, kontrakt zawarty z Zagułą uległby utrwaleniu. To nie leżało w interesie dwóch pozostałych ośrodków. Zaguła będąc rządzącym, chciał posiadać tak daleko posunięty komfort sprawowania władzy, iż dążył do storpedowania tej inicjatywy. Po co rządzącemu kontrola? Jego wniosek o wprowadzenie, tak wysokiego progu wyboru obliczony był na pogrzebanie tej inicjatywy jeszcze przed jej narodzinami. Kołodziejczyk i familia, inicjatywy nie torpedowali, aczkolwiek chcieli do komisji wcisnąć swoich ludzi. Wszak wpływ na kontrolę chce mieć każdy, zwłaszcza jeżeli pretenduje do udziału we władzy. Stąd ich postulat o poszerzeniu jej składu do pięciu osób. W tym przypadku występowała tylko rywalizacja personalna.

Całość tych zabiegów rozgrywała się przez cztery miesiące. Tak długi okres napięcia powodował objawy zniechęcenia. Do tego dochodził jeszcze jeden czynnik stricte polityczny. Po zaciętości i emocjach jakie temu towarzyszyły zacząłem sobie uświadamiać, że przynajmniej fama o moim układzie z Zagułą przeniknęła do tych kręgów. Zacząłem rozumieć, że nie jestem w stanie jednocześnie osiągnąć obu zakładanych celów, powołania i wejścia w skład komisji rewizyjnej, a następnie utworzenia gazety w myśl zawartego porozumienia z Zagułą. Należało w takiej sytuacji skrócić front, czyli z jednego zrezygnować. Wpływy w komisji były obliczone na bieżącą politykę, gazeta na perspektywiczną. Poza tym występował jeszcze jeden element – funkcja czasu. Według moich szacunków utworzenie takiej gazety, o jakiej marzyłem, mogło zająć około dwóch lat. Mogłem więc nie zdążyć. Upływający czas był nożem na moim gardle. Dlatego w świetle tak poważnych perturbacji należało jak najszybciej zarzucić komisję rewizyjną i przejść do pracy

nakierowanej na perspektywę. Wybrałem więc gazetę i przyszłość, kosztem teraźniejszości, nie w pełni zdając sobie sprawę, że po oddaniu tego pola walkowerem dalsze przedsięwzięcie w takim kształcie jaki planowałem nie ma już racji bytu.

W początkach kwietnia rozpocząłem zabiegi związane z uruchomieniem gazety. Wyszedłem z założenia, że po pewnym okresie musi się ona sama utrzymać, a zatem swoim zasięgiem musi znacznie wychodzić poza teren Dąbrowy Górniczej. Rynek dąbrowski jest bowiem zbyt wąski. Na myśli miałem całe Zagłębie. Profil pisma miał być nakierowany na lokalne zagadnienia społeczno – gospodarcze. Aby przedsięwzięcie mogło się powieść, należało oprócz kwestii materialnych mieć zorganizowaną sieć terenowych korespondentów z własnymi kanałami informacyjnymi, i to gotowych do pracy za śmiesznie niskie wynagrodzenie. Utworzenie takiej struktury wymagało jednak czasu. Dlatego postanowiłem rozpocząć pracę takimi środkami, jakie wówczas były w dyspozycji z zamiarem systematycznej ewolucji. Działania podzieliłem na trzy etapy:

1/. Utworzenie gazetki traktującej przede wszystkim o kwestiach dąbrowskich, wychodzącej w rytmie miesięcznym, później dwutygodniowym, kolportowanej z dostarczaniem pod drzwi.

2/. Rozszerzenie problematyki na ościenne miasta Zagłębia, tworzenie zrębów rynku reklamowego. Kolportaż jak dotychczas, z rozszerzeniem o zaprzyjaźnione instytucje i organizacje związkowe.

3/. Przejście na rytm tygodniowy z własnym rynkiem reklamowym. Osiągnięcie niezależności, kolportaż poprzez RUCH.

Całość operacji winna być zakończona w przeciągu półtora roku. Przedsięwzięcie powyższe posiadało jednak delikatny kontekst. Każda władza wydatkując środki na organ prasowy, chce mieć wpływ na merytoryczną i polityczną zawartość publikacji. Doświadczenie uczy, że im głupszy radny, tym w bardziej w korzystniejszych barwach chce być przedstawiany. Gdybym od początku wyjaśnił całość swoich zamierzeń, czyli utworzenie niezależnej pod względem materialnym i programowym gazety, prawdopodobnie nigdy nie otrzymałbym z kasy miasta ani złotówki. Wobec powyższego postanowiłem panom z zarządu przedstawić tylko tyle informacji, ile uznam za stosowne, tzn. tylko zawartość pierwszego etapu. Na kwietniowym zarządzie przedstawiłem swój punkt widzenia, otrzymując pełną akceptację i przyznanie środków finansowych, takich jakie zażądałem. Było to dowodem, że Zaguła wykonał pierwszą część naszych uzgodnień. Z Zakładów Koksowniczych „Przyjaźń”, gdzie byłem zatrudniony, wziąłem do końca roku urlop bezpłatny, by móc w pełni poświęcić się rozkręceniu przedsięwzięcia.

Zgodnie z przewidywaniami już na początku wystąpiły pierwsze

problemy. Bezpośrednim powodem była osoba przewodniczącego rady – Wiktora Kołodziejczyka. Zaczął uskuteczniać propagandę wymierzoną w moją osobę, domagając się cofnięcia przez zarząd podjętej już w tej sprawie decyzji. Dotarło do niego, że między mną a Zagułą powstała nić porozumienia. Świadczyła o tym wyjątkowa zgodność członków zarządu w tej kwestii. Takie wydarzenie nie mogło przecież dojść do skutku, bez akceptacji i dobrej woli ze strony prezydenta. Uznał, że jego pozycja w wymiarze prestiżowym jest zagrożona. Chcąc rozładować kryzys i zyskać na czasie, postanowiłem dopieścić jego ego. Przeprowadziłem z nim wywiad na warunkach preferencyjnych, rezygnując z pytań drażliwych, przedstawiając go w barwach lokalnego przywódcy. Odniosło to pewien skutek, ale tylko na krótki dystans.

Po Kołodziejczyku do akcji weszła familia. Nadmienić należy, iż po wyborach parlamentarnych członkowie tej koterii, widząc sukces wyborczy KPN, zaczęli przenikać w jego struktury. Atakowano mnie, że świadomie upolityczniam gazetkę, że propaguję wyłącznie swoją linię polityczną. Zaczęły krążyć famy o moich niebotycznych zarobkach. Za swoją pracę pobierałem wynagrodzenie na zasadzie umowy zlecenia w wysokości przeciętnej diety radnego. Nadmienię, że w tym okresie dość znaczne grono radnych, nie wykonując żadnej użytecznej pracy, pobierało wynagrodzenie z tytułu diet o analogicznej wysokości, a nawet wyższe. Ja z diet zrezygnowałem, wycofując się ze wszystkich komisji do jakich należałem. Wykonując konkretną i wymierną pracę, pobierałem z kasy miejskiej kwotę zbliżoną do diety radnych, którzy niczego nie robili, a jedynie podpisywali listy obecności na różnego rodzaju komisjach. Należy również dodać, że ci, którzy mnie atakowali, wcześniej zaprzedali się władzy za znacznie wyższe kwoty w postaci stanowisk administracyjnych i innych synekur.

Chwytano się każdego pretekstu, który mógłby być użyty w walce z moją osobą. I go znaleziono. Prawdziwą burzę w szeregach moich przeciwników wywołał artykuł traktujący o początkach powstania Komitetu Obywatelskiego. Poddałem w nim krytyce tryb wyłaniania kandydatów na radnych pisząc, że w ostatnich wyborach (1990) „ulica wybrała ulicę, by w jej imieniu sprawowała władzę". Po tej publikacji ataki na moją osobę uległy nasileniu. Wychodziłem z założenia, że muszę dbać o swoją niezależność i nie mogę ulegać presji rozhisteryzowanej tłuszczy. Gazetka musi mieć swój koloryt – krytykować to, co negatywne, a nie spełniać rolę tuby propagandowej i laurki dla osób z mandatami. Do ataków przeciwników nie przywiązywałem większej wagi, wierząc w moc zawartej z Zagułą umowy. Postępowałem w myśl starej zasady – „pieski szczekają, karawana idzie dalej".

W czerwcu zaszło jednak wydarzenie, które diametralnie zmieniło moje położenie. Zaguła, wbrew naszym ustaleniom postanowił uwłaszczyć kolejne dwie osoby z grona radnych, mianując je na stanowiska naczelników wydziałów

w podległej sobie administracji. Ewę Saltarską na funkcję naczelnika Wydziału Spraw Obywatelskich i Elżbietę Pawłowską na funkcję naczelnika Wydziału Edukacji. Powyższymi nominacjami w bezpardonowy sposób złamał zawarty wcześniej między nami kontrakt polityczny. Zrozumiałem, że zawartej ze mną umowy nie traktuje w sposób poważny, lecz tylko i wyłącznie koniunkturalny. Dalsza nasza współpraca zawisła na włosku.

Przede mną stanęła alternatywa. Pogodzić się z istniejącym stanem faktycznym, kontynuować rozpoczętą pracę i sukcesywnie być spychanym na pozycję jego marionetki, albo wymówić umowę z całkowitymi tego znaczenia konsekwencjami, przechodząc do opozycji. Wybór nie był prosty. Każde z tych rozwiązań miało swoje słabe strony. Pierwsze zabierało mi niezależność, kwestionowało polityczną pozycję, przekreślało cały mój dotychczasowy dorobek. Drugie wpychało mnie w ostrą walkę polityczną ze znacznie silniejszym przeciwnikiem, uzbrojonym w dyspozycyjny aparat administracyjny, budżet 150-tysięcznego miasta i stanowiska do rozdysponowania. Czyż mogłem wytrzymać dwuletnią konfrontację? Jedno wydawało się pewne. Nie może dalej istnieć taki stan, w którym mój polityczny partner, kierując się chwilowymi chimerami, bezceremonialnie łamie zawarte ze mną wcześniej porozumienie. W dodatku wyprzedaje władzę publiczną, a ja mam powyższe wbrew woli jako przywódca polityczny firmować swoim nazwiskiem. Nie mogąc znaleźć idealnego rozwiązania, czując się oszukanym, przez kilka dni prowadziłem wewnętrzną walkę sam z sobą, które rozwiązanie wybrać. Ze względu na depresję psychiczną nie byłem w stanie przygotować kolejnego numeru. Dochodziło między nami do ostrych utarczek słownych. Klimat był podminowany.

Z jego inicjatywy doszło między nami do krótkiego spotkania, w trakcie którego po raz pierwszy, i jak do tej pory jedyny psychicznie się przede mną otworzył. Ponieważ była to rozmowa o charakterze dyskrecjonalnym jej treść winna pozostać tajemnicą. Nadmienię tylko, że w jej konsekwencji złożyłem mu deklarację, iż nie podejmę żadnych akcji zaczepnych wymierzonych w jego osobę, nakierowanych na lokalną społeczność (nosiłem się wcześniej z takim zamiarem). Rozstaliśmy się z niesmakiem. Obaj mieliśmy świadomość, że dalsza kontynuacja współpracy w dotychczasowej formule jest już niemożliwa.

Na najbliższym posiedzeniu zarządu miasta zapadła decyzja o wstrzymaniu środków finansowych na dalsze funkcjonowanie gazetki. Co Zaguła dał, miał prawo odebrać. Wszak „łaska pańska na pstrym koniu jeździ”. Przyjąłem to z godnością.

Przyczyny powyższych wydarzeń były oczywiste. Byłem zwykłym radnym, młodym człowiekiem, który bez niczyjej protekcji, własną pracą zaczął

funkcjonować na lokalnej scenie politycznej. Byłem przewodniczącym partii, której pan prezydent był członkiem. Nie ja przyszedłem do niego, tylko on do mnie. Nie mogłem dopuścić do takiej sytuacji, aby on w działalności publicznej postępował w trywialny, partykularny sposób, natomiast ja mam za jego decyzje płacić polityczny rachunek. Obaj zawarliśmy kontrakt, który on jednostronnie wymówił, łamiąc jedno z jego dotychczasowych postanowień jakim była polityka antykorupcyjna. Dotyczyła ona, uwłaszczania na stanowiskach administracyjnych, radnych umiejących się rozpychać łokciami. Radny, który zostaje urzędnikiem samorządowym, przestaje być przedstawicielem społeczeństwa, a zostaje ślepą maszynką do głosowania w rękach prezydenta, który stanowi o warunkach jego pracy i płacy. Na takie rozwiązanie przystać nie mogłem. Stąd moja nerwowa reakcja. W myśl etykiety politycznej, wymówienie przez jedną ze stron warunków umowy, powoduje wejście powyższej w okres prekluzyjny. Zerwanie umowy z kolei, powoduje anulowanie wszelkich postanowień, jakie zapadły na jej mocy. Stąd po kilkumiesięcznej współpracy wróciliśmy do punktu wyjścia. Z tą tylko różnicą, że w klimacie głębokiego antagonizmu i wrogości. Beneficjentami powyższego, były dwa ośrodki: Kołodziejczyk i familia.

Dopiero kilka lat później Sejm RP, rozumiejąc powagę sytuacji, uchwalił antykorupcyjną nowelę do ustawy samorządowej. Zabrania ona łączenia mandatu radnego z pracą w podległej administracji i z funkcją kierownika gminnej jednostki organizacyjnej. Ustawa ta uniemożliwia obecnie kupowanie radnego w tak trywialny i ordynarny sposób jak wówczas. Pozostawia jednak w dalszym ciągu furtkę dla jego pociotków, do tworzenia różnych abstrakcyjnych funkcji specjalistów, konsultantów, doradców i czego tylko dusza zapragnie. Proszę zwrócić uwagę, że będąc zwykłym radnym, wyprzedzałem w tym przedmiocie polski parlament o dobrych kilka lat. I tego, największy mój przeciwnik nie jest mi w stanie odebrać.

Rozdział XVI
W ROLI OSZOŁOMA

Kolejny rozdział mojej działalności uległ zamknięciu. Polityka związana z osobami – Hardego i Zaguły – poniosła fiasko. Musiałem się zastanowić, co czynić dalej w takiej sytuacji. Zdecydowałem podać się do dymisji. Na zwołanym przez siebie zebraniu złożyłem rezygnację z dalszego pełnienia funkcji przewodniczącego KLD w Dąbrowie. Stwierdziłem, że moja dotychczasowa strategia okazała się chybiona. Straciłem panowanie nad organizacją, gdyż zarówno – Hardy jak i Zaguła (poseł i prezydent) zupełnie inaczej niż ja postrzegają polityczną rzeczywistość, w dodatku są prestiżowo wyżej ode mnie ulokowani. Wpływ mojej osoby na funkcjonowanie organizacji jest znikomy, a gra pozorów mnie nie interesuje. Jako ustępujący przewodniczący zaproponowałem na swoje miejsce – Andrzeja Migalskiego. Większość zebranych propozycję zaakceptowała.

Musiałem także podjąć decyzję, co dalej czynić z własnym życiem. Dylemat był następujący – przerwać urlop bezpłatny i wrócić do pracy w koksowni, co wiązało się z częściowym przygaszeniem aktywności publicznej (względy czasowe), albo próbować dalej funkcjonować w obiegu w jakiejś zmienionej formule. Do zakończenia urlopu pozostały mi jeszcze cztery miesiące. Na wypracowanie nowej formuły potrzebowałem czasu. Priorytetem stała się dla mnie konieczność zapewnienia środków materialnych do dalszej egzystencji. Wspólnie z Migalskim ustaliłem, że na kilka miesięcy on wróci do pracy do biblioteki, natomiast ja zajmę jego miejsce w biurze poselskim. Z końcem roku kalendarzowego (wygaśnięcie urlopu bezpłatnego), podejmę ostateczną decyzję w sprawie swojej przyszłości. Hardy, choć z pewnymi oporami zgodę wyraził.

Moje położenie było żenujące. Formalnie byłem zatrudniony u posła, którego w dodatku sam stworzyłem, nie mając żadnej możliwości politycznych ruchów. Ze względu na mój temperament zabronił mi jakiejkolwiek samodzielności w działaniu. Bez jego akceptacji nie mogłem niczego uczynić. Był to warunek mojego zatrudnienia. Byłem członkiem tej samej partii co prezydent, choć dzielił nas znaczny antagonizm i wrogość. Czułem się jak ryba na piasku. Nic dziwnego, że gdy nadarzyła się pierwsza okazja odejścia, postanowiłem z niej skorzystać. Pętla bezruchu uwierała zbyt mocno.

Pod koniec 1993 – Aleksander Hall z grupą członków Unii Demokratycznej wystąpił z jej szeregów, zakładając Partię Konserwatywną. Doszlusowała do nich część osób z KLD z Andrzejem Rajem i Lechem Mażewskim na czele. Wszyscy moi polityczni przyjaciele przechodzili. Postanowiłem pójść z nimi. Pozostanie w KLD nie miało już najmniejszego sensu. Partia nie chcąc poszerzyć platformy ideowo – programowej dryfowała w

kierunku samozagłady. W swoim mieście mogłem spełniać wyłącznie rolę narzędzia do robienia karier innym, którzy swoją postawą na to nie zasługiwali. W tamtym okresie jak mi się wydawało było to jedyne sensowne rozwiązanie. Oświadczyłem, że odchodzę i rozliczyłem się z organizacją. Wtedy za mną podążyła tylko młodzież. Większość była nastawiona do tej decyzji sceptycznie. Omamił ich mit posiadania w swoich szeregach prezydenta miasta. Myśleli znacznie wolniej...

Splot okoliczności jakie wystąpiły w konsekwencji opisywanych wydarzeń, praktycznie wymanewrował mnie na margines samorządu. W tym okresie (połowa kadencji) ukształtował się zasadniczy model sprawowania władzy.

Głównym jego filarem, co oczywiste – był prezydent z zastępcami. W ich rękach spoczywały zasadnicze decyzje dotyczące lokalnej polityki i zagadnień gospodarczych. Do nich dołączyła większościowa grupa radnych, którzy wobec tych pierwszych manifestowali swoją dyspozycyjność, oczekując na ochłapy od stołu. A Zaguła – ludzkie panisko – czasami coś dawał. A to stołeczek komuś skapnął, a to radny przedsiębiorca „wygrał" przetarg na jakąś robotę, to znowu komuś wyświadczył przysługę. Wśród tej grupy uprzywilejowanych zapanował nastrój błogiej beztroski, połączonej z bezkarnością.

Wspomniana wcześniej – Elżbieta Szymkowska postanowiła, że musi swojej koleżance – Elżbiecie Pawłowskiej (też z resztą radnej) załatwić stanowisko naczelnika nowo utworzonego Wydziału Edukacji. I załatwiła. Oczywiście odbył się stosowny konkurs, a właściwie jego farsa, gdyż wynik był znany grubo przed faktem. Każdy uwłaszczony radny był Zagule wdzięczny i w rewanżu gotowy na sesji rady sprzedawać swój głos, choćby w najohydniejszy sposób. Zasady moralne, argumenty to czcze gadulstwo rodem z archaicznego świata. Tu obowiązywała jedna zasada: „głupi, kto nie korzysta z okazji". Na dobre zapanował model rządów, który całkowicie mieścił się w znamionach władzy oligarchicznej. Nie chcę ujawniać pełnej listy nazwisk i szwindli, jakie są mi znane. Większość tych ludzi zupełnie niepotrzebnie się zeszmaciła. Drobne przywileje jakie w zamian za dyspozycyjność kupili swego czasu już dawno utracili. Wszak po nich przyszły nowe ekipy, które też potrzebowały łupów. A łupy zawsze należą do zwycięzców. Aby nie czynić nadmiernej jatki dotknę tylko wierzchołka góry lodowej.

Bezspornie jest faktem, że potwierdziła się moja teza, iż nieprzygotowane do demokracji społeczeństwo wybrało dyletantów, by w jego imieniu sprawowali władzę. A dyletant może rządzić wyłącznie nieudolnie. Jedyną okolicznością łagodzącą dla tych ludzi może być fakt, że nie mieli wcześniej okazji zetknąć się w praktyce z mechanizmami władzy. W przeszłości większość z nich nie była w PZPR, więc droga do kariery w PRL była przed nimi zamknięta. Nie mieli za sobą poligonu na którym mogliby zdobyć polityczne ostrogi.

Ale czym wytłumaczyć towarzyszące temu chamstwo, cynizm i głupotę? To już kwestia kultury i wychowania. Za wychowanie w pierwszym rzędzie odpowiedzialni są rodzice. Wszystkie te praktyki były obserwowane przez wyższych urzędników, którym ten nastrój się udzielił. Wśród nich, też zaczęły się liczyć stosunki, układy i dojścia. Główną winę za wytworzony stan rzeczy ponoszą dwie osoby – Henryk Zaguła i Wiktor Kołodziejczyk.

Pierwszy wyszedł „z nikąd". Wcześniej pracował w Hucie Katowice jako inżynier na stanowisku stricte technicznym. Nie posiadał żadnego przygotowania, ani do działalności politycznej, ani administracyjnej. Brakowało mu elokwencji, był słabym mówcą. Wrodzona intuicja kazała mu skorzystać z nadarzającego się przełomu i skoczyć na głęboką wodę. Ale skoczyć to za mało, trzeba jeszcze umieć pływać. A tu prądy, różne mielizny, ludzkie ambicje i namiętności. Gdyby był organizatorem, retorem – słowem – politykiem, stanąłby do walki. Ale on nim nie był, a stołeczek całkiem przyjemny. Szybko zauważył, że dobrze jest piastować eksponowane stanowisko. Ludzie się w pas kłaniają, proszą o pomoc czy przysługę, są mili i układni. Każda forma władzy dowartościowuje jednostkę. Daje jej psychiczną supremację nad inną, stojącą niżej w hierarchii i oczywiście korzyści materialne. Występuje tylko jeden problem. Na stanowisku trzeba się utrzymać. Można to uzyskać tylko dwiema metodami – racjonalną polityką, albo przekupstwem. Na racjonalną politykę był za słaby, dlatego wybrał przekupstwo. Stąd rozsupłanie worka z nadaniami dla radnych. On nie walczył, nie organizował, nie kreował rzeczywistości. On kupował każdy dzień zasiadania na stołku.

Drugi to nieco inna postać. Najaktywniejszą część życia ma już za sobą. Teraz jest na emeryturze. Ale w jesieni życia chciałby jeszcze być kimś, też potrzebuje psychicznego dowartościowania. Jednak z racji wieku i charakteru pragnie przede wszystkim ciszy i spokoju. Ale przewodzenie radzie miejskiej nie jest funkcją honorową. Tutaj też trzeba pracować, gonić radnych do pracy, nakłaniać do pożądanych decyzji, argumentować, trzymać tę menażerię twardą ręką. Wszak bez pewnej ręki woźnicy, konie wierzgają i każdy ciągnie w swoją stronę. Jego konstrukcja psychiczna nie była w stanie temu podołać. Nie robił nic, zadawalając się pozorami władzy i okolicznościowymi pełnymi patosu przemówieniami. Czasem, gdy jego ego zostało nadto naruszone, potrafił podknuć, ale tylko troszeczkę. Bardziej dla zasady, niż z chęci jakichś korzyści.

Perfidny prezydent i słaby przewodniczący rady to główne przyczyny słabości tego samorządu. Wszystko pozostałe to tylko ich pochodne. Co ich skłoniło do porwania się na zadania przekraczające ich zdolności? Próżność, chęć społecznego awansu, chora ambicja, może poniżenia jakie zaznali we wcześniejszym okresie.

A tacy jak ja niepokorni – chcący kreować lepszą rzeczywistość, iść

naprzód w imię powszechnie uznawanych zasad – to oszołomy. Bardzo modne wówczas określenie. Niekiedy oszołom jest przydatny. Można go wypuścić, podjudzić, podrzucić niewygodny dokument, niech uderzy we władzę. Wszystko po to, by późniejszy beneficjant intrygi, mógł udać się do decydenta z ostentacyjną deklaracją poparcia. Może mnie zapamięta, może przy następnym rozdaniu nie zostanę pominięty i coś mi skapnie. To jedyna zasada jaką wyznaje ulica. Ponura rzeczywistość, ale rzeczywistość...

Gdzieś w połowie kadencji, taki model sprawowania władzy został powszechnie utrwalony. Przed sobą miał tylko jedną drogę. Twórczo się dalej rozwijać. Skoro jedni radni dostawali przywileje, to przecież pobudzało to apetyty pozostałych. Kto raz zaczął dawać, musi dawać stale, aż po kres swojego urzędowania. Ośmiornica oligarchii może tylko rosnąć.

W takim okresie, gdy wewnątrz rady wyraźnie zarysowała się linia podziału na radnych skorumpowanych i tych jeszcze nie, postanowiłem po raz kolejny wejść do akcji. Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli tej narastającej patologii nie postawi się tamy, stopniowo zaleje nas wszystkich. W takiej sytuacji zrodził się projekt uchwały o odwołaniu zarządu miasta w całości jego stanu osobowego. Było nas wtedy trzech oszołomów – ja, Janusz Rosołek i Arkadiusz Siński, który mimo awersji wynikającej z przeszłości, postanowił do nas dołączyć. Na najbliższej sesji, referowałem powyższy wniosek. Wynik tajnego głosowania był dla nas niekorzystny. Za odwołaniem – 15 głosów, przeciw – 20. Wśród oligarchii zapanowała euforia. Stołki zostały obronione...

Teraz wyczekiwaliśmy na ruch Zaguły. Przystąpi do pertraktacji czy nie? Nie wiem dlaczego, ale wówczas jeszcze sądziłem, że jest zdolny do pewnych zachowań o charakterze politycznym. Okazało się to czczą utopią. Wiedział, że posiada opozycję, której ignorować nie może i nie zignorował. W najbliższym okresie dla większego bezpieczeństwa, dokupił jeszcze kilka osób. Dotychczasowej polityki nie zmienił, ani jej zmienić nie zamierzał. Taka była jego odpowiedź.

W wyniku tych wydarzeń znalazłem się na przeciwstawnym biegunie w mniejszościowej grupie radnych, zwanej popaprańcami. Byli tam różni ludzie, bezinteresowni i jak się później okazało – kanalie. Odnotować tu należy kilka postaci o pewnych zasadach moralnych, którzy wytrwali do końca: Stanisław Sypniewski, Rajmund Kubisa. Obaj wywodzili się z kręgów katolickich.

Dla nas – popaprańców – drzwi do salonów były zamknięte. Część oligarchii patrzyła na nas z politowaniem, Zaguła z wściekłością, a urzędnicy bali się nawet rozmawiać na korytarzu. Taki jest los oszołoma, który znajduje się w mniejszości. W demokracji bowiem racja jest zawsze po stronie większości, która aktualnie sprawują władzę.

W opisywanym okresie nie miałem już żadnych złudzeń, co do osoby pana Zaguły. Ze względu na konflikt jaki rozgorzał, znalazłem się w grupie osób przez władzę izolowanych, co w praktyce uniemożliwiało mi skuteczne wypełnianie mandatu. Chcąc przełamać istniejący impas należało, albo rozpocząć z oligarchią otwartą wojnę z wyciąganiem brudów na zewnątrz (nagłaśniać społeczności istotę konfliktu), albo zachować bierność, oczekując lepszych czasów. Bierne czekanie nie leżało w mojej naturze, dlatego postanowiłem działać. Nie odważyłem się jednak na radykalny zwrot ze względu na uwarunkowania polityczne.

Zaguła i jego oligarchia piastowali stanowiska z mandatu sił solidarnościowych. Ich krytyka na zewnątrz, byłaby dla przeciętnego odbiorcy krytyką korupcji wywodzącej się z tego obozu. Na tak specyficznym jak nasz terenie, byłaby to woda na młyn dla rosnącego w siłę SLD, szykującego się już do skoku na władzę. A ich – z przyczyn obiektywnych – postrzegałem za większe zagrożenie. Według wszelkich analiz, przyszłe wybory winni wygrać – właśnie oni. Tak wynikało z rozkładu elektoratu w wyborach parlamentarnych 1993. W przypadku akcji propagandowej na zewnątrz, zostałbym w przyszłości uznany za tego, który utorował drogę do władzy – przeciwnikowi politycznemu. Byłbym postrzegany jako jednostka nieodpowiedzialna, natomiast Zaguła wyszedłby na męczennika i ofiarę niezrównoważonego psychicznie oszołoma. Wyłącznie z tych powodów nie ruszyła, częściowo już przez mnie przygotowana maszyna propagandowa. Opinia publiczna nigdy nie dowiedziała się prawdy o obozie wówczas rządzącym. Zaniechanie przeze mnie powyższego działania, umożliwiło z kolei Henrykowi Zagule, skuteczne utrzymywanie się w orbicie politycznej na stosunkowo lukratywnych stanowiskach.

W miejsce otwartej wojny, wymyśliłem koncepcję „gry w defensywie", polegającej na utarczkach wewnątrz samorządu. Polityka ta nie stanowiła dla niego istotnego zagrożenia, ponieważ większość radnych miał już kupionych i mógł moje argumenty całkowicie lekceważyć. Ogół obywateli natomiast nie zdawał sobie sprawy z rozbuchanych patologii. Innego wyjścia wtedy jednak nie miałem. Każde inne, w perspektywie długofalowej wydawało się jeszcze gorsze.

Rozdział XVII
OSTATNIA PRÓBA POROZUMIENIA

Wiedza o tym, że w moim otoczeniu funkcjonują zdrajcy docierała do mnie stopniowo i z początku nie zdawałem sobie sprawy ze skali tego zjawiska. Będąc przekonany o lojalności ówczesnych sojuszników, postanowiłem wykonać jeszcze jedną operację. O tym, że od początku była skazana na fiasko, gdyż za mną nie stały przysłowiowe „bagnety", wówczas nie miałem jeszcze najmniejszego pojęcia.

Doprowadziłem do spotkania naszej trójki (Frączek – Rosołek – Siński). Odbyło się na terenie Parku Zielona. Plan był następujący. Stopień skorumpowania radnych przekroczył już masę krytyczną i jest procesem nie do odwrócenia. Leży poza granicą naszych możliwości. Ludzie ci, poznali już smak profitów płynących ze sprawowania władzy i dobrowolnie ze swych przywilejów nie zrezygnują. My natomiast nie jesteśmy w stanie tego faktu zmienić. Dlatego musimy znaleźć wyjście z tej pozornej kwadratury koła. Według mojej oceny naszym priorytetem winno być pozytywne ułożenie stosunków z Zagułą, a nie abstrakcyjna już walka z oligarchią. Nie wiem dlaczego, ale wciąż jeszcze się łudziłem, że tego ostatniego stać jest na pewne zachowania o charakterze politycznym. Jego dotychczasową destrukcyjną postawę, tłumaczyłem wrodzonym tchórzostwem. Uważałem, że dotychczas jego priorytetem była chęć utrzymywania się przy władzy za wszelką cenę. Ponieważ politykiem był miernym, mógł to osiągać wyłącznie poprzez przekupywanie radnych przywilejami. Teraz, ze względu na końcówkę kadencji, priorytet ten winien ulec zmianie. Doszedłem do wniosku, że jeżeli zostanie mu zagwarantowany pakt o nieagresji, będzie w stanie przeorientować swoje postępowanie. Założyłem ad apriori, że z racji kilkuletniego sprawowania funkcji prezydenta, osiągnął pewien stopień wyrobienia i jest żywotnie zainteresowany dalszym uczestnictwem w świecie polityki. Przecież właśnie ten świat, pozwolił mu wybić się ponad przeciętność. Powyższą tezę podpierałem jego nieudaną próbą dostania się do parlamentu. Bez powodzenia ubiegał się o mandat senatora w wyborach 1993. Zaczął wykonywać umizgi w stronę Kościoła. Przy dwóch nowo wybudowanych kościołach w Gołonogu (jego okręg wyborczy), kładziono miejską kostkę brukową. Te elementy potwierdzały moje założenie o jego chęci reelekcji. Kadencja zbliżała się ku końcowi i to jest nasz atut. Właśnie w tym momencie, powinien stać się celem naszych zabiegów. Jeżeli nie przystąpi do rzetelnych układów, my jesteśmy w stanie te plany mu pokrzyżować. Oligarchia, czyli dwór była mu potrzebna do zasiadania w fotelu, by na bieżąco sprawować władzę. Im bliżej wyborów, tym wartość oligarchii będzie malała, natomiast nas – oszołomów rosła. Wszak dworem wyborów się nie wygrywa, natomiast poprzez konflikt z oszołomami można je definitywnie przegrać. Ten właśnie czynnik jest naszym kluczowym atutem. Dodatkowe

nasze aktywa, to wpływ Janusza Rosołka na komisję rewizyjną, co w praktyce oznacza możliwość dotarcia do każdego dokumentu oraz fakt, że dysponując trzema bagnetami jesteśmy w stanie wnieść pod obrady rady, każdy projekt uchwały, nawet najbardziej dla władzy niewygodny. Im bliżej wyborów, tym bardziej nasze akcje będą szły w górę. Trzeba tylko posiadane aktywa umiejętnie zdyskontować. Z tych przesłanek wyprowadziłem wniosek, że należy przystąpić do pertraktacji z Zagułą i proszę ich o udzielenie mi upoważnienia do ich przeprowadzenia. W zamian za pakt o nieagresji, winniśmy zażądać wpływu na dwóch obszarach – sekretarza miasta, co da nam wpływ na administrację, oraz redakcję lokalnej gazety, co z kolei da wpływ na propagandę. Koncentracja z kolei wszystkich posiadanych aktywów spowoduje, że będziemy siłą prawie równą oligarchii. Z tą tylko różnicą, że czas będzie pracował na naszą, a nie ich korzyść. Dzięki tej zagrywce przełamiemy fatalną passę izolacjonizmu i zaczniemy stopniowo władzę cywilizować. Co prawda w tej kadencji już niczego istotnego nie zwojujemy, natomiast zajmiemy dogodne pozycje na przyszłość, w której powinniśmy zagrać i to do słuchu. Za wszelką cenę należy przerwać, dotychczasową politykę działań szarpanych na rzecz długofalowego, perspektywicznego planowania. W owym okresie, całość zarysowanej konstrukcji była absolutnie wykonalna.

Miesiąc wcześniej na wniosek prezydenta, rada odwołała sekretarza miasta – Elżbietę Powerską – w dość zresztą niejasnych okolicznościach. Zaguła o niczym nie informując, udzielił jej miesięcznego urlopu, po czym w trakcie jego trwania na sesji rady wystąpił z wnioskiem o jej odwołanie. Zabieg ten miał na celu, przeprowadzenie procedury jej zwolnienia w trybie zaocznym. Przypadek bez precedensu, świadczący dobitnie o moralnym formacie wnioskodawcy. Jak było do przewidzenia, rada większością głosów wniosek przyjęła. Wszystko wskazuje na to, że Zaguła obawiał się publicznej z nią konfrontacji, dlatego zastosował manewr z urlopem. Prawdopodobnie bał się, że będąc rozżaloną, może coś istotnego zeznać na jego niekorzyść. Dodatkowym czynnikiem był fakt, że jego działanie było dyktowane wyłącznie impulsem. Kandydata na wakujące stanowisko nie posiadał i wakat utrzymywał się przez kilka miesięcy. My oszołomy – zaangażowaliśmy się w jej obronę, gdyż już sama forma odwołania była kompromitująca. Motywów swej decyzji nigdy nie przedstawił. Zresztą nie było to konieczne, gdyż dysponował na sali zdecydowaną większością dworzan. Proporcja głosów radnych oligarchii, do oszołomów wynosiła 3:1. W każdym razie fakt był faktem; stanowisko wakowało i byłoby z naszej strony błędem nie próbować go obsadzić kimś sensownym, miast kolejną jego marionetką.

Co się zaś tyczy gazety lokalnej, to od kilku miesięcy obowiązywała uchwała rady miejskiej o jej powołaniu, a w budżecie miasta były zarezerwowane dość znaczne kwoty na jej rozruch. Problem jednak leżał w fakcie, że powyższą kwestię pilotował zastępca prezydenta – Lesław Klimczyk,

człowiek o usposobieniu raczej flegmatycznym. Dlatego powyższa kwestia, ciągle była otwarta i nie weszła jeszcze w fazę realizacji. To było kolejną naszą szansą.

Propozycje obsad personalnych widziałem następująco. Sekretarz – Anna Stobińska – zatrudniona w urzędzie miejskim na stanowisku kierownika Wydziału Ewidencji Działalności Gospodarczej. Posiadała ogólną wiedzę o funkcjonowaniu administracji, a co najważniejsze nie była powiązana z obozem oligarchii. Jej staż pracy w administracji nie był duży, co dawało jej atut nie przesiąknięcia panującą w tym środowisku etykietą dworską i wszechobecną praktyką „odbijania niewygodnych tematów". Jest to powszechna choroba administracji. Znając jej konstrukcję psychiczną mogłem założyć, że aczkolwiek zachowa lojalność w stosunku do szefa, to jednak nie da się zepchnąć na pozycję ślepej marionetki. Przy wsparciu nas – czyli oszołomów – może odegrać dość istotną rolę w reformowaniu administracji, co wówczas stawało się koniecznością.

Redaktor naczelny gazety – Renata Bytomska – zatrudniona w Hucie Katowice na stanowisku rzecznika prasowego prezesa zarządu. Jej atutem był stosunkowo młody wiek oraz fakt, że dotychczas funkcjonowała w przemyśle, a nie administracji. Czyli również nie posiadała jeszcze nawyków dworskiej etykiety. Zaobserwowałem u niej szerokie horyzonty myślowe oraz bardzo realistyczne podejście do rzeczywistości. W „Panoramie Hutniczej" czytałem kilka jej artykułów i muszę stwierdzić, że były pisane z pewnym smakiem i kunsztem. Nie wychwyciłem w nich taniej, topornej propagandy. Funkcja rzecznika prezesa, była dla niej zadaniem mało ambitnym. Stać ją było na większe dokonania. Według mojej oceny mogła robić propagandę (nieodłączną w tego typu organie) z zachowaniem smaku i daleko posuniętych pozorów obiektywizmu. Całkowity obiektywizm był oczywiście fikcją, gdyż ten kto płaci stawia wymagania. A każdy, kto o płacącym napisze źle, będzie przez niego zniszczony. Podobny układ miała w „Panoramie Hutniczej" i całkiem dobrze sobie radziła.

Obie panie posiadały wyższe wykształcenie i co ważniejsze – nie były radnymi. Obie w rozmowie ze mną wyraziły gotowość objęcia wymienionych funkcji, gdy tylko zaistnieją sprzyjające ku temu okoliczności. Ponieważ zarys mojego planu był realistyczny, a nikt z pozostałych interlokutorów nie był w stanie przedłożyć lepszego, otrzymałem upoważnienie od Rosołka i Sińskiego na rozpoczęcie mediacji z Zagułą. Taki był plon naszych ustaleń w Parku Zielona.

Do rozmowy z Zagułą doszło na gruncie neutralnym, co zważywszy na całokształt naszych dotychczasowych stosunków było oczywiste. Stwierdziłem, że jesteśmy zainteresowani zawarciem porozumienia na zasadzie modus vivendi i definitywnym zakończeniem dotychczasowej szarpaniny. Jesteśmy gotowi udzielić mu wsparcia przy ugruntowaniu jego pozycji na lokalnej scenie

politycznej i przy reelekcji. Ponieważ dotychczasowy okres naszej współpracy nie był owocny i nie mamy do siebie zaufania, nasza oferta nie może być bezwarunkowa. Kategorycznie sprzeciwiamy się rozkręconej przez niego spirali uwłaszczania radnych i rządów oligarchicznych, aczkolwiek na zasadzie faktów dokonanych jesteśmy w stanie je tymczasowo uznać, będąc w pełni świadomi niemożności ich cofnięcia w obecnej kadencji. Nasza oferta jest nakierowana na przyszłość. Wszelkie kwestie sporne wywołujące zadrażnienia jesteśmy w stanie rozwiązywać w terminie późniejszym. Ponieważ w świetle dotychczasowych relacji nasze zaufanie oscyluje wokół zera wnosimy, by wykonał wobec nas pewien gest, który uwiarygodniłby jego intencje. Tu padły propozycje personalne przedstawione powyżej. Odniosłem wrażenie, że jest zainteresowany gazetą i Bytomską, natomiast szczególnie nie leży mu kwestia obsadzenia Stobińską funkcji sekretarza. Podkreśliłem, że obie propozycje muszą być traktowane łącznie i realizacja jednej kosztem drugiej jest nie do przyjęcia. Taki gest, uwiarygodniłby go jako potencjalnego partnera, stając się dobrym prognostykiem przyszłej współpracy.

Zaguła nie powiedział tak, ani nie powiedział nie. Dla mnie było oczywistym, iż nie może się pogodzić z objęciem funkcji sekretarza przez wskazaną osobę. Naszą rozmowę zakończyłem stwierdzeniem, że jeżeli nie pójdzie teraz na przedłożony układ, to straci wszystko do czego wyniósł go solidarnościowy przełom, my z kolei nie osiągniemy tego, czego oczekujemy.

Ostateczna odpowiedź długo nie następowała. Przyszła dopiero kilka tygodni później, podczas sesji rady miejskiej. Zaguła zgłosił wniosek o powołanie na wakujące stanowisko sekretarza – Mirosława Warskiego – człowieka o miękkiej konstrukcji psychicznej, bez najmniejszego przygotowania administracyjnego. Swoją postawą gwarantował mu jednak pełną dyspozycyjność. Było to dowodem, że oferta porozumienia na przedłożonych warunkach została przez niego ostatecznie odrzucona.

Kolejna próba wyjścia z klinczu spaliła na panewce. A sytuacja była rzeczywiście trudna. Udało mi się co prawda w obrębie rady stworzyć zalążki obozu, ale zdecydowanie mniejszościowego, bez żadnych wpływów, całkowicie wewnętrznie niespójnego o bardzo zróżnicowanym charakterze. Jedyne co łączyło tych ludzi to fakt, że nie posiadali jeszcze przyznanych stołków. Taką formacją nie wygrywa się wojny i bezsensem byłoby jakiekolwiek wychodzenie w pole. Miałem tego pełną świadomość. Przeciwko sobie miałem prezydenta, uzbrojonego w atrybuty władzy i stosunkowo liczną grupę jego dworzan, czyli radnych już uwłaszczonych. Układ sił niemożliwy do przezwyciężenia. Próba zawarcia ponownego z nim kontraktu nie wypaliła. Z dworem ze względów pragmatycznych nie wchodziła w grę. Wszak moje zamierzenia naruszały jego żywotne interesy. Familia nie była bowiem formacją polityczną, lecz wyłącznie dworską koterią obliczoną na realizowanie partykularnych interesów. W jej

skład wchodzili przedstawiciele różnych opcji. Spoiwem były wyłącznie stołki i pieniądz.

Naruszenie tego układu działaniami wewnątrz, było już wówczas niewykonalne. Jedynym rozwiązaniem, które mogło ten proceder zakończyć, było odwołanie się do społeczeństwa i ujawnienie całej patologicznej prawdy. To spowodowałoby zamieszanie w szeregach oligarchii i pobudziło ją do refleksji. Wszak nawet największa kanalia, publicznie chce uchodzić za aniołka. Na ten ruch nie mogłem jednak się zdecydować, wychodząc z przedstawionych wcześniej przesłanek. Nie odważyłem się na działanie, które torowałoby drogę do władzy postkomunistom. Wiedziałem bowiem, że ci ostatni na korupcję będą podatni jeszcze bardziej. Przyszłość po wyborach 1994 wykazała, że moje ówczesne obawy były w pełni uzasadnione.

W tej sytuacji jedynym rozwiązaniem było trwanie i wyczekiwanie na ewentualny konflikt interesów wewnątrz rządzącej koterii. Tak też uczyniłem. Z powyższych przyczyn moja działalność w samorządzie uległa przygaszeniu. Byłem przez rządzących całkowicie ignorowany. Widząc to, żaden wyższy urzędnik nawet nie chciał ze mną rozmawiać. Byłem banitą wyjętym spod prawa. Taki jest los oszołoma. Wśród dworu panuje bowiem zasada – ulegać silniejszemu – ignorować słabszego. Ja zaliczałem się do tych słabszych.

W takiej sytuacji zaszło pewne wydarzenie, które aczkolwiek niezwiązane bezpośrednio z moją osobą, wywarło jednak dość istotny wpływ na moje dalsze losy.

Rozdział XVIII
SZKOLNE INTRYGI

W początkach lat dziewięćdziesiątych z inicjatywy docent Iwony Nowakowskiej-Kempnej, doszło do utworzenia nowej szkoły średniej – V Liceum Ogólnokształcącego. W zamyśle miała to być szkoła rekrutująca młodzież raczej nietypową, uzdolnioną, poddaną nieschematycznej metodzie dydaktycznej. Słowem – szkoła elitarna o dość dużej renomie. Muszę przyznać, iż sam fakt jej powstania jest wyłącznie zasługą pani Kempnej. Od pierwszego spotkania w Komitecie Obywatelskim z tą osobą łączyły mnie stosunkowo ciepłe relacje i chyba pewna nić obopólnej sympatii. W wyniku konkursu, funkcję dyrektora placówki powierzono pani – Danucie Micur. Z początku wszystko szło modelowo. Nauczyciele zostali zwerbowani, młodzież zrekrutowana, stosunki międzyludzkie też układały się prawidłowo. Ale, jak uczy doświadczenie wszystko co dobre kiedyś musi się skończyć.

Pani Kempna, będąc matką chrzestną szkoły od samego początku rościła sobie pretensje do wywierania wpływu na funkcjonowanie tej placówki. Micurowa będąc na tym stanowisku osobą niedoświadczoną, z początku poddawała się jej przemożnemu wpływowi. Kiedyś jednak dziecko musi dorosnąć i stanąć na własne nogi. Kiedy to się stało, między obiema paniami z wolna zaczęło iskrzyć, aż w końcu doszło do otwartego konfliktu. Bezpośrednią przyczyną były różnice zdań w przedmiocie przeprowadzanego procesu dydaktycznego.

Pierwsze sygnały o konflikcie pochodziły od Andrzeja Migalskiego – zatrudnionego w tej placówce w charakterze nauczyciela historii. Zostały jednak przeze mnie zignorowane. Konfliktami w środowisku oświatowym nie chciałem się zajmować. Uważałem ponadto, że kolega nauczyciel grubo przesadza. Drugi sygnał, znacznie poważniejszy przyszedł od Janusza Rosołka. Pewnego dnia odwiedził go jeden z rodziców – twierdząc, że w szkole źle się dzieje. Nauczyciele miast uczyć, tracą czas na wzajemne podjazdy, a interes młodzieży schodzi na plan dalszy. Jako radnego, prosił go o interwencję i położenie temu kresu. Ponieważ z Rosołkiem łączył mnie wówczas pakt o wzajemnym współdziałaniu nie mogłem dłużej pozostać obojętny. Odpowiedziałem, że za pomocą swoich kontaktów w Kuratorium Oświaty – postaram się wysondować, o co w tym wszystkim chodzi. Do momentu wyjaśnienia prosiłem go, aby się wstrzymał z wszelkimi działaniami na tym polu.

Odpowiedź przyszła stosunkowo szybko. Ktoś w administracji oświatowej systematycznie psuje atmosferę wokół szkoły, ze szczególnym uwzględnieniem jej dyrektorki. Prowokowane są ustawiczne kontrole. Za tą operacją stoją osoby dla tej administracji dość autorytatywne. Nazwisk tych

osób podać nie mogę, ponieważ nie będę w stanie tego udowodnić. Informacja nosiła charakter dyskrecjonalny i była przeznaczona wyłącznie do mojej wiedzy, a nie publicznego wykorzystania. Sieć intrygi wskazywała jednoznacznie, że dni pani – Micur są praktycznie policzone, a jej odwołanie jest wyłącznie kwestią czasu. W powyższym zastanawiający był fakt, że wszystkie operacje prowadzone były zakulisowo i nosiły znamiona typowej intrygi. Przecież, jeżeli ktoś kwestionuje czyjeś kompetencje, to występuje przeciwko niemu wprost z otwartą przyłbicą. W tym przypadku było dokładnie odwrotnie. Donosy do kuratorium nosiły charakter nieoficjalny, oparty na klasycznej szeptance. Wydało mi się to podejrzane, gdyż podrywało wiarygodność donosicieli. Jedynym oficjalnym dokumentem w tej sprawie, było pismo złożone przez radnego – Marka Kanię. Smaczku dodawał fakt, że wspomniany radny nie miał z tą szkołą żadnych związków. Więc skąd ten donos? Dowodziło to, że intryganci dobrze znają mentalność oświatowej administracji. Sami się nie wychylając, próbują wyjąć kasztany z ognia cudzymi rękami. Kania przesłuchany na tę okoliczność nie wyjaśnił niczego. Stawało się jednak oczywiste, że został w sprawę wmanewrowany przez panią Kempną. Andrzej Migalski – twierdził z kolei, iż po szkole chodzi fama, że po usunięciu Micurowej w jej miejsce ma zostać zainstalowana nauczycielka z tej samej szkoły – Jolanta Nędzyńska-Fudalej. W owym okresie była osobą blisko związaną z panią Kempną i przynależała do lokalnego solidarnościowego lobby oświatowego.

Zebrawszy dostępne informacje, postanowiłem wspólnie z Rosołkiem przystąpić do działania. Bezpośrednim pretekstem było wcześniejsze zaangażowanie w sprawę – Marka Kani – w charakterze czynnika społecznego. Teraz samorząd, który już samym tym faktem został przez jedną ze stron wplątany w rozgrywkę, nie może dalej stać bezczynnie i udawać, że nic się nie dzieje. Postanowiliśmy na najbliższej sesji złożyć wniosek o powołanie doraźnej komisji, celem zbadania sensowności stawianych zarzutów, oraz pełnego wyświetlenia całej sieci intrygi. Rada, przychyliła się do tego wniosku.

Komisja, składająca się przede wszystkim z radnych nauczycieli – niczego oczywiście nie wykryła. Poszlaki jednak były mocne. W wyniku bezowocnych prac komisji – intryga, tak jak nagle się zaczęła, tak nagle umarła śmiercią naturalną. Po prostu zanikła. Według mojej oceny, pani Kempna wraz z pomagierami, uświadomiwszy sobie fakt, że została zdemaskowana odstąpiła od dalszych zagrywek.

Opisuję ten epizod, ponieważ w terminie późniejszym miał on dla mojej osoby pewne nieprzyjemne reperkusje.

W owym czasie, stanąłem przed koniecznością dokonania pewnego wyboru. Do chwili obecnej posiadałem status robotnika zatrudnionego w przedsiębiorstwie państwowym, co skutecznie utrudniało moje dalsze

funkcjonowanie w wymiarze publicznym. Większość spraw, którymi musiałem się zajmować wykonywałem w godzinach dopołudniowych, czyli w godzinach pracy. Powodowało to pewne perturbacje. Doszło do tego, że musiałem nagminnie korzystać z ustawowego urlopu wypoczynkowego. Efekt był taki, że od kilku lat praktycznie nie wykorzystywałem urlopu na wypoczynek, lecz na działalność społeczną. Poprzeczka stopniowo się podnosiła: narady, komisje, interwencje. Oczywiście, będąc radnym byłem zwalniany, ale tylko w przypadku oficjalnych posiedzeń, które byłem w stanie podeprzeć ostemplowanym dokumentem. Po początkowym rozluźnieniu dyscypliny pracy, związanym z przełomem ustrojowym stopniowo zaczął się kształtować kapitalistyczny porządek. Wystąpiło również drugie zjawisko, którego wcześniej nawet bym się nie spodziewał. U części moich kolegów, zacząłem budzić zazdrość. Regułą danego środowiska jest bowiem zasada, że jeżeli ktoś w znaczny sposób odstaje od przyjętych i praktykowanych w nim norm, ten jest postrzegany jako obcy i tak też traktowany. Funkcjonowałem w środowisku robotniczym, które raczej nie odznacza się wyszukanymi manierami. Ze strony kolegów pod moim adresem, stopniowo zaczęły być kierowane drwiny i głupawe docinki. Nie były co prawda zanadto złośliwe, ale występowały. Kropkę nad „i” postawił pewien incydent.

Któregoś dnia, adresowany do mnie telefon z urzędu odebrał kolega. Dzwoniła urzędniczka z powiadomieniem o zmianie terminu planowego posiedzenia komisji.

- Frączeeek! Dupczenie do ciebie! – ryknął na całe gardło, przekazując mi słuchawkę.

Myślałem, że spłonę ze wstydu. Rozmówczyni po drugiej stronie dyplomatycznie udała, że nic nie usłyszała. Mnie jednak nosiło. Taki kmiotek dla żartu, czy chwilowej fanaberii jest gotów zdyskredytować moją osobę. Wszak każdego człowieka, postrzega się przede wszystkim z perspektywy środowiska w którym przebywa. Postanowiłem definitywnie z tym skończyć. Podjąłem decyzję o odejściu. Robotnikiem zostałem, ponieważ swego czasu nie poszedłem na współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa. Było to honorowe i szlachetne, ale teraz, kiedy została już zainstalowana demokracja nie widziałem dalszego sensu grzęznąć w tym prymitywizmie. Należało iść naprzód, a nie stać w miejscu na dnie drabiny społecznej. Z dotychczasowym środowiskiem rozstałem się bez żalu. Ot, kolejny etap na mojej drodze uległ zamknięciu.

Wspomniałem wcześniej, że ze względu na swoją postawę jak i układ sił, w radzie miejskiej zostałem zepchnięty na margines. W konsekwencji przyjąłem taktykę wyczekującą. Oczywiście, czekanie z założonymi rękami nie leżało w mojej naturze, dlatego postanowiłem ciężar swojej aktywności przenieść na inny odcinek. Taki, który w perspektywie może przynieść pewne profity polityczne. Postanowiłem wrócić do praktykowanej niegdyś działalności wśród młodzieży. Teraz, kiedy posiadałem znacznie większe możliwości niż

niegdyś, mogłem podejść do tego zagadnienia ze znacznie większym rozmachem.

Przy Kuratorium Oświaty w Katowicach funkcjonował Punkt Obrony Praw i Godności Ucznia „WYSPA". Centrala mieściła się w Chorzowie. Postanowiłem skorzystać z okazji i pod jego przykryciem rozpocząć działalność na terenie Zagłębia. Chodziło mi zwłaszcza o wychwytywanie najbardziej aktywnej społecznie młodzieży i prowadzenie wśród niej działalności samokształceniowej, przede wszystkim w dziedzinie znajomości procesów politycznych, funkcjonowania demokracji, analizy procesów społecznych. W planie miałem przygotowanie najbardziej wartościowych jednostek do przyszłego funkcjonowania w życiu publicznym.

Kuratorium finansowało kilka etatów oraz zapewniało pewne środki pomocowe. Jeżeli chodzi o moje uposażenie, to było ono skromne, nieco niższe niż połowa moich dotychczasowych poborów w koksowni. Ale przecież nie o pieniądze mi chodziło. Przede mną stało nowe wyzwanie. Kiedy podejmowałem starania w tej dziedzinie jeszcze nie wiedziałem, że w Dąbrowie zalążek był już utworzony, i to na moje nieszczęście – przez wspomnianą wcześniej – Jolantę Nędzyńską-Fudalej. Jej przewaga polegała na fakcie, że była nauczycielką, co w administracji oświatowej ma znaczenie kluczowe. Uroda tego środowiska polega bowiem na fakcie, że jest ono stosunkowo hermetyczne i bardzo niechętnie akceptuje jednostki z poza swojej korporacji. Byłem jeszcze w trakcie załatwiania formalności, kiedy otrzymałem pierwszy niepokojący sygnał. U ówczesnego Kuratora Oświaty – Janiny Pillardy-Kozarzewskiej, były ze skargą na mnie dwie dąbrowskie nauczycielki: Iwona Nowakowska-Kempna (wykładowca akademicki, wówczas już profesor) i Anna Jędrzejkiewicz (emerytowana nauczycielka, dorabiająca w tej instytucji na pół etatu). Obie panie interweniowały, aby mnie nie przyjmowano. Przedstawiły mnie w barwach diabła wcielonego. W rozmowie ustnej przedłożyły zarzuty pod moim adresem, sprowadzające się do trzech elementów:

- brakuje mi wyższego wykształcenia, nie posiadam nawet zdanego egzaminu maturalnego i jest dużym dyshonorem dla tak szacownej instytucji, by zatrudniała takiego nieokrzesańca;
- nie jestem abstynentem, lubię się napić wódki i zachodzi poważne domniemanie, że mogę rozpijać młodzież lub przynajmniej ją demoralizować;
- posiadam jednoznaczne i ugruntowane poglądy polityczne, co spowoduje, że będę wykorzystywał młodzież do sobie tylko wiadomych celów politycznych.

Prawdopodobnie przez brak wyobraźni albo tchórzostwo nie zarzucono mi pedofilii, ani molestowania seksualnego. Jakość stawianych zarzutów (oczywiście wyłącznie w formie ustnej) już sama świadczyć może o poziomie moralnym osób je przedkładających. Problem jednak był. Leżał on nie tyle w ich jakości, co w pozycji społecznej osób je głoszących. Przeciwko mnie wystąpiła pani z naukowym tytułem profesora oraz emerytowana nauczycielka.

To w środowisku oświatowym ma znaczenie istotne. Ciekawostką może być fakt, że kiedy w 1990 działałem wśród młodzieży, jakoś to tym paniom nie przeszkadzało, a nawet dyskretnie mnie wspierały. Co się zatem wydarzyło? Ano, w międzyczasie był konflikt w V Liceum, podczas to którego dołożyłem swoje trzy grosze, aby pokrzyżować ich zakulisowe intrygi. Teraz nadarzyła się okazja do zemsty, więc odreagowały.

Pani kurator wykazała się jednak rozsądkiem i sprawa uległa rozmyciu. Nie na długo jednak, ponieważ teraz do akcji wkroczyła Nędzyńska, uskuteczniając szeptankę. Z racji niskiego umocowania nie miała dostępu do kuratora, ale na poziomie niższym mogła swobodnie czynić swoje. I czyniła. Atmosfera wokół mojej osoby stopniowo ulegała zagęszczeniu. Problem polegał na tym, że rozpoczynając działalność w Dąbrowie musiałbym wcześniej czy później wejść z nią w konflikt. A tego chciałem uniknąć. Aby jej przynajmniej chwilowo zatkać usta, przyczyniłem się do przyznania jej etatu, o który bezskutecznie od dłuższego czasu zabiegała. Liczyłem, że to definitywnie rozwiąże problem. Ruch ten okazał się jednak strzałem samobójczym, ponieważ teraz mogła częściej przebywać w tym środowisku, czyniąc dalej swoje i to w formie coraz bardziej zdeterminowanej. Jakiekolwiek porozumienie i ułożenie stosunków z racji jej zacietrzewienia przestało wchodzić w grę. Oczywiście, operowała wyłącznie jej znaną metodą szeptanki. Nic w formie pisemnej. Ze mną nigdy nie podjęła żadnej próby kontaktu, za to za plecami puszczała wodze swojej wyobraźni. Wszak kiedyś, pośrednio pokrzyżowałem jej dyrektorskie plany. Ja w przeciwieństwie do niej, doskonale wiedziałem co czynię i działałem w sposób oficjalny z otwartą przyłbicą. Jedynym wyjściem jakie zaczęło przychodzić mi do głowy, było wyczekiwanie, że czas uczyni swoje i ją po prostu zmęczy. Tak też uczyniłem. To z kolei dało jej do ręki kolejny argument, którym zaczęła szermować, że chociaż jestem formalnie zatrudniony, to faktycznie nie świadczę żadnej pracy. Praca zrodzi konflikt – jej brak również. Typowa sytuacja bez wyjścia.

Ponieważ ani wizyta „autorytetów”, ani szeptanka Nędzyńskiej nie przynosiły pożądanego efektu (mojego zwolnienia), wykonano kolejny ruch. Tym razem wprowadzono do gry ostatnią rezerwę w osobie – Jana Kurczka, formalnie działacza dąbrowskiej Solidarności Oświaty. Pewnego dnia zjawił się w kuratorium i po linii związkowej zaczął podknuwać. Muszę nadmienić, że z tym panem znałem się wyłącznie z widzenia, nigdy wcześniej nie zamieniliśmy z sobą ani jednego słowa. Wszystkie te działania odbywały się jedyną metodą, jaką preferuje to środowisko – zakulisowo, wyłącznie w formie propagandy szeptanej. Nikt z nich nie odważył się wystąpić otwarcie. Gdyby tak się stało, mógłbym się bronić, zbijać argumenty, udowadniać swoją niewinność. Przeciwko szeptance, tak jak niegdyś – byłem bezbronny. Cicha woda, brzegi rwie...

W tym przypadku wystąpił analogiczny scenariusz jak w V Liceum w akcji przeciwko Micurowej. Żeby było ciekawiej, to o działaniach tych formalnie nie miałem prawa wiedzieć. Jednak z racji pewnych uwarunkowań towarzysko – politycznych, informacje o powyższym przeciekały do mnie niemal natychmiast. Po akcji Kurczka, która podobnie jak poprzednie również została udaremniona zrozumiałem ostatecznie, że jakiekolwiek wyczekiwanie z nadzieją, że się opamiętają jest płonne. Należy definitywnie i to w formie ostatecznej rozwiązać problem. Albo doprowadzić do zwolnienia Nędzyńskiej, co to podszyte tchórzem środowisko, skutecznie ostudziłoby w swych zapałach, albo samemu się zwolnić. Zwolnienia Nędzyńskiej mi odmówiono – argumentując, że jest nauczycielką, działaczką Solidarności Oświaty i mogłoby to spowodować szereg niepotrzebnych perturbacji. W świetle powyższego postanowiłem zwolnić się samemu, przecinając ostatecznie ten węzeł gordyjski. Środowisko to nigdy nie mogło mi wybaczyć, że ja, w ich mniemaniu kmiotek, odważyłem się, i z powodzeniem udaremniłem kilka miesięcy wcześniej rozróbę personalną w szkole, którą uważali za swój prywatny folwark. Nie ukrywam, że po złożeniu wypowiedzenia odetchnąłem z ulgą. Okres styczności z tą menażerią miałem już za sobą. Niegdyś uważałem, że środowisko robotnicze jest prymitywne. Jednak od tego momentu diametralnie zmieniłem zdanie. Nauczycielskie jest jeszcze ohydniejsze. A młodzież, na której to interes ci ludzie zawsze się powołują dalej tuła się bezpańsko. Wiele wartościowych jednostek, którym nikt w porę nie podaje ręki, po skończeniu szkoły wtapia się w ponurą przeciętność, miast kształcić się na elitę przyszłego społeczeństwa. Efekty są aż nadto widoczne w postaci złej kadry zarządzającej i niewłaściwym merytorycznie doborze osób na stanowiska kierownicze. Ale dla tego typu nauczycieli, ważniejsze są utajnione intrygi i trywialne akty zemsty, niż działania konstruktywne do których póki co nie dorośli. Ot, nasza rzeczywistość...

Rozdział XIX
SKRACANIE UŁAMKA

Tymczasem w samorządzie drgnęło. Oczekiwanie na konflikt w obozie rządzącym zaczęło przynosić pierwsze rezultaty. Prognostykiem tego była podjęta przez Zagułę, próba ustanowienia pełnomocnika ds. gospodarczych. Osoba ta miała być uposażona w randze naczelnika wydziału, a zatem stosunkowo wysoko i posiadać bliżej niesprecyzowane kompetencje. Stawało się oczywistym, że prezydent wszedł w jakąś kolizję interesów ze swoim zastępcą – Zdzisławem Bosakiem, któremu podlegała gospodarka komunalna. Powyższy ruch wymierzony był przede wszystkim w interesy tego ostatniego. Nie chcąc ryzykować konfliktu z zastępcą, postanowił poprzez przemyślane posunięcie zmarginalizować jego pozycję decyzyjną w tym obszarze. To wytwarzało nową jakość. Drogę do zmiany niekorzystnego dla mnie status quo, mógł otworzyć wyłącznie wewnętrzny konflikt w obozie rządzącym.

Ze względu na słabe uzasadnienie oraz naruszenie interesów niektórych osób z własnego zaplecza – inicjatywa powyższa spaliła na panewce. Większość radnych nie wyraziła zgody na powołanie pełnomocnika. Stawało się jednak oczywiste, że coś iskrzy.

W tym samym okresie – Rosołek zażądał ode mnie i Sińskiego, abyśmy wspólnie wystąpili z wnioskiem o odwołanie Bosaka z funkcji zastępcy prezydenta. Argumentował, że komisja rewizyjna dysponuje materiałami, które w tym przypadku kwalifikują się pod prokuratora. Materiałów powyższych nigdy nam jednak nie przedłożył. Osobiście byłem jego sugestii przeciwny – uważając, że co prawda istnieje w radzie sprzyjający klimat, aby powyższa operacja zakończyła się sukcesem, ale to nie będzie nasz sukces. Do końca kadencji zostało osiem miesięcy i taki ruch w całokształcie niczego nie zmieni. Widoczne są oznaki konfliktu na linii Bosak – Zaguła. Tacy panowie kłócą się albo o kobietę, albo o pieniądze. Ponieważ o żadnej kobiecie nic nam nie jest wiadome, więc możemy założyć, że chodzi o to drugie. Odwołanie Bosaka leży w interesie Zaguły i wzmocni tylko jego pozycję decyzyjną. W jego miejsce zainstaluje marionetkę, którą szykował na pełnomocnika ds. gospodarczych, a mając pozyskaną familię jest to absolutnie przesądzone. Skoro Zaguła teraz nie chciał się z nami układać, naiwnością byłoby oczekiwać, że uczyni to wówczas, gdy jego pozycja ulegnie dalszemu wzmocnieniu. Pomaga się sojusznikowi, a nie przeciwnikowi. Na obecnym etapie – Henryk Zaguła jest naszym przeciwnikiem.

Arek Siński podzielił moją argumentację i Rosołek został odesłany z kwitkiem. Odszedł raczej z niesmakiem, chyba nie do końca przekonany do sensu wyłożonych mu racji. Wówczas po raz pierwszy zauważyłem bardzo dziwne zachowanie z jego strony. Z naszej decyzji był niezadowolony i parał

znacznym antagonizmem, powiązanym z zacietrzewieniem do swojej niedoszłej ofiary. Nie mogłem przewidzieć, bo i skąd, że odrzucony przez nas uda się do części familii – zwanej KPN, a tam zostanie przyjęty z pełnym zrozumieniem. KPN-wi – Bosak nie odpowiadał, ponieważ był dla tego środowiska niedostępny, przez co nie mogli z nim zrobić żadnego istotnego interesu.

Kilka dni później pojawił się wzburzony – Andrzej Migalski. Wrócił właśnie z posiedzenia komisji przetargowej w sprawie remontu pewnej szkoły podstawowej. Twierdził, że na jego oczach komisja pod przewodnictwem – Lesława Klimczyka, dokonała przewałki przetargu. O powyższe zlecenie ubiegały się dwie firmy. Wygrała ta, która przedstawiła ofertę mniej korzystną finansowo. Z innego źródła uzyskaliśmy ponadto informację, że przedstawiciel wspomnianej firmy, jeszcze przed przetargiem był absolutnie pewien jego rezultatu. Ponieważ w tej dziedzinie – Migalski nie mógł uchodzić za autorytet, należało dokonać gruntownego zbadania zagadnienia. Jedyną osobą, która mogła to uczynić był – Janusz Rosołek. Będąc przewodniczącym komisji rewizyjnej miał wgląd we wszystkie dokumenty. Skontaktowałem się z nim, prosząc o dokonanie kserokopii interesujących nas materiałów przetargowych i dostarczenie ich do mnie, celem przejrzenia przez znawców problematyki. Jeżeli w dokumentacji przetargowej, odczucia Migalskiego znajdą potwierdzenie, to podejmiemy działania zaczepne nakierowane na – Lesława Klimczyka. Ten ostatni, będąc zastępcą prezydenta był wówczas osobą całkowicie dyspozycyjną w jego rękach. Taki cios, byłby bardzo precyzyjnie wymierzony. Rosołek zgodę wyraził i podjął się dokonania powyższej operacji. Nigdy jej jednak nie zmaterializował.

Tymczasem wydarzenia biegły swoim torem. Do Zaguły wybrała się delegacja radnych familiantów z KPN – informując, że chcą na najbliższej sesji złożyć wniosek o odwołanie Zdzisława Bosaka. Przyszli, by zapoznać się z jego opinią w tym przedmiocie. Zaguła z początku lekko go bronił, bardziej z zasady niż z przekonania, by chwilę później bezceremonialnie rzucić lwom na pożarcie. Dał familii zielone światło w tym przedmiocie.

Na najbliższej sesji – KPN – złożył formalny wniosek o odwołanie Bosaka. Niczym go nie motywowali – twierdząc, że argumentację przedłoży przewodniczący komisji rewizyjnej. Problem jednak leżał w fakcie, iż aby komisja rewizyjna mogła zgodnie z procedurą ustosunkować się do zarzutów, wcześniej właśnie one muszą być przedłożone. Logika jednak nigdy nie była mocną stroną tych ludzi. Stawało się oczywistym, że niczym nie dysponują, skoro nie są w stanie czegokolwiek przedstawić, cedując wszystko na Rosołka. Ten z racji pełnionej funkcji, winien w tym przypadku być bardziej sędzią niż prokuratorem. Rola oskarżyciela w takim przypadku leży po stronie wnioskodawców. Dla mnie było to jednoznaczne, że mamy do czynienia z

klasycznym wybiegiem, a cała akcja jest odgórnie sterowana. Stoi za nią nie kto inny tylko – Henryk Zaguła. Chociaż chodziło o jego zastępcę, konsekwentnie milczał i zajmował w tym konflikcie pozycję neutralną, co było potwierdzeniem wcześniejszych sygnałów. Zgodnie z procedurą, głosowanie nad wnioskiem zostało przesunięte na następną sesję, aby komisja rewizyjna miała czas na ustosunkowanie się do zarzutów.

Do Bosaka dopiero teraz dotarło, co się wokół niego wyrabia. Zrozumiał, że Zaguła postanowił go odstrzelić – cudzymi rękami. Większość radnych nie darzyła go sympatią, co dawało daleko posuniętą pewność, że jego kariera jest już zakończona. Blady i podłamany opuścił salę obrad. Udał się do jeszcze swojego gabinetu, gdzie w zamyśleniu przez kilka godzin, palił papierosa za papierosem.

Tymczasem wydarzenia biegły swoim torem. Podczas przerwy w obradach podszedł do mnie Siński.

- Co robimy w sprawie Klimczyka?

Odpowiedziałem że nic, ponieważ Rosołek nie dostarczył dokumentacji przetargowej i nie wiemy na czym stoimy. Nie mając pewności, a tylko przypuszczenia możemy dokonać blamażu. Boję się takiego ryzyka.

- Musimy coś zrobić, bo KPN dogadał się z Zagułą. Ich macki będą jeszcze silniejsze. Jestem gotowy podjąć ryzyko i podpisać się pod wnioskiem o odwołanie – odparł .

Chwilę się zastanawiałem, by właściwie ocenić wszystkie aspekty sprawy. Migalski ponownie podtrzymał, iż jest gotów potwierdzić, że jako członek komisji przetargowej ma bardzo poważne zastrzeżenia do przebiegu nadzorowanego przez Klimczyka przetargu. Zresztą – swoje wątpliwości już złożył w formie pisemnej, w protokole przetargowym. Krótka analiza i decyzja. Wchodzimy! Spróbujemy skrócić ten ułamek przez dwa!

Przygotowaliśmy wniosek i zebrali wymaganą liczbę podpisów. Obrady leniwie toczyły się dalej, gdyż omawiane kwestie były stosunkowo mało istotne. W końcu ostatni punkt. Wolne wnioski.

Wchodzę na mównicę – by stwierdzić, że jako reprezentant grupy radnych składam wniosek o odwołanie z funkcji zastępcy prezydenta – Lesława Klimczyka. Mamy wobec niego poważny zarzut, dotyczący niewłaściwego nadzoru nad przetargiem w sprawie remontu szkoły i podjęcia wadliwej decyzji, przez co naraził skarb gminy na straty finansowe, a radę miejską na zarzut korupcji. Zarzut powyższy jest w stanie potwierdzić członek wspomnianej komisji przetargowej, radny – Andrzej Migalski. Migalski wstaje i potwierdza. Przekazuję pisemny wniosek na ręce prowadzącego obrady, by zgodnie z procedurą skierował go do rozpatrzenia przez komisję rewizyjną.

W tym momencie rybki zostają wprawione w ruch. Rozpoczyna się potworne zamieszanie. Wstaje do tej pory milczący Zaguła, i pełnym oburzenia głosem oznajmia, że dokonuje się tutaj swoisty zamach stanu, mający na celu sparaliżowanie funkcjonowania władzy wykonawczej miasta. Na początku sesji, grupa radnych składa wniosek o odwołanie jednego z jego zastępców, pod koniec – inna drugiego. Wnosi, aby nasz wniosek został od razu odrzucony, bez rozpatrywania.

Procedura jednak tego nie przewiduje. Złożony wniosek musi być rozpatrzony zgodnie z literą prawa. W świetle powyższego, całkowicie poirytowany oznajmia, że on jako prezydent na znak protestu podaje siebie wraz z całym zarządem do dymisji. Po nim kolejno wstają poszczególni jego członkowie i z pozorowanym oburzeniem składają swoje rezygnacje. Konsternacja...

Sztucznie wytworzony tłok potęguje wśród radnych panikę. Rozpoczyna się chaotyczna pyskówka. Praktycznie nikt już nie panuje nad sytuacją. Prowadzący obrady wnosi o kilkuminutową przerwę, celem zastanowienia się nad wytworzonym impasem. Podczas przerwy w kuluarach wrze. Jedni radni skaczą do oczu drugim.

Na salę obrad powraca – Zdzisław Bosak, instynktownie wyczuwając jakościową zmianę. Po przerwie – wznowienie obrad. Wnioskodawcy spod znaku KPN ku ogólnemu zdumieniu oświadczają, że wycofują złożony w godzinach rannych wniosek o odwołanie – Bosaka i domagają się, abyśmy to samo uczynili z wnioskiem w sprawie – Klimczyka. Ich oferta jest nie do przyjęcia, ponieważ w ten sposób dalibyśmy dowód, że działamy wyłącznie z pobudek koniunkturalnych, a nie z wewnętrznego przekonania. Postawilibyśmy się na takim samym poziomie jak oni. W całkowitej rozciągłości podtrzymujemy swoje stanowisko i domagamy się nadania mu przewidzianego procedurą biegu. W tym momencie – Janusz Rosołek – w imieniu komisji rewizyjnej wnioskuje, aby dymisje poszczególnych członków zarządu głosować w trybie indywidualnym, a nie grupowym. Większość radnych wyraża zgodę.

Burza wybucha ponownie przy ustalaniu terminu przyszłej sesji. Zaguła i prowadzący po wzajemnych konsultacjach chcą, aby następną sesję rozpocząć w tym samym dniu po dwugodzinnej przerwie. Taki okres jest potrzebny komisji rewizyjnej, aby zapoznała się z materiałami przetargowymi. Jest to o tyle dziwne, że komisja ta funkcjonująca od kilku miesięcy nie była w stanie zająć się jeszcze żadnym zagadnieniem. A tu nagle taki pośpiech i determinacja?! Staram się storpedować tę inicjatywę – argumentując, że potrzebny jest nam czas i spokój na wytrzeźwienie. Proponuję, aby następna sesja na której głosowane będą wnioski, odbyła się nie szybciej niż za 7 dni. Większość jest jednak odmiennego zdania. Zapada decyzja. Spotykamy się za dwie godziny na kolejnej sesji. Przerwa.

Kilka słów komentarza. Zdzisławowi Bosakowi podlegała gospodarka komunalna, Klimczykowi przede wszystkim szkolnictwo. Wnioskodawcy z KPN w resorcie Klimczyka byli stosunkowo mocno osadzeni za pośrednictwem radnej – Elżbiety Pawłowskiej, będącej naczelnikiem Wydziału Edukacji. Byli więc żywotnie zainteresowani w utrzymaniu Klimczyka, z którym mieli pewne układy. Do resortu Bosaka dostępu nie mieli i nie mogli w nim odegrać żadnej istotnej roli. Dlatego Bosak był wrogiem godnym odwołania, natomiast Klimczyk – sojusznikiem wartym utrzymania. Znamienny jest również fakt, że żadnych formalnych zarzutów Bosakowi nie przedstawiono. Kiedy w konsekwencji naszego wniosku losy Klimczyka zaczęły się ważyć, zagrożeni w swoich aktywach postanowili przystąpić do targu. Wycofali więc złożony wcześniej wniosek o odwołanie Bosaka, żądając abyśmy uczynili analogicznie z wnioskiem w sprawie Klimczyka. Taki ruch dobitnie świadczy o ich intencjach i podejściu do zagadnienia. Ktoś, kto składa wniosek o tak dużym ciężarze gatunkowym, bez żadnego uzasadnienia merytorycznego, a następnie bez wejścia jakichkolwiek nowych okoliczności w sprawie, wycofuje się z niego – jest wyłącznie koniunkturalistą i bardzo miernym graczem. W tym momencie puściły im nerwy, ponieważ ewentualna utrata Klimczyka znacznie zmniejszyłaby ich aktywa w przedmiocie władzy. Ponadto nie wiedzieli, co orzeknie komisja rewizyjna. A jak czasem się czegoś dopatrzy? Splot tych dwóch okoliczności spowodował nielogiczne zachowanie z ich strony.

My, oszołomy do powyższych targów nie przystąpiliśmy. Mieliśmy doniesienie od członka komisji przetargowej o nieprawidłowym przeprowadzeniu przetargu i domagaliśmy się zbadania sprawy przez komisję rewizyjną. Co jest kwestią chyba dla każdego oczywistą. Komisja rewizyjna z reguły żadnymi wnioskami radnych się nie zajmowała. Dlatego, aby ją zmitygować do zajęcia się powyższą kwestią należało uderzyć w donośniejsze dzwony. W tym konkretnym przypadku, złożyć wniosek o odwołanie konkretnej prominentnej osoby, której zarzut dotyczył. Tylko w takim przypadku, zgodnie z procedurą, komisja rewizyjna była zobligowana do rozpoznania stawianych zarzutów. Zaguła z kolei bronił Klimczyka jak lew, wykonując manewr z pozorowaną dymisją całego zarządu. Chciał wytworzyć atmosferę całkowitego załamania się władzy. Manewr ten obliczony był na wywołanie chaosu i paniki, co trzeba przyznać skutecznie mu się powiodło. Oczywiście, żaden z członków zarządu nie chciał rezygnować z piastowania lukratywnego stanowiska. Była to ewidentna gra na spotęgowanie chaosu, obliczona na psychologiczny odbiór radnych. Zwykła taktyczna zagrywka.

Po dwóch godzinach wznowienie obrad. Od początku wybucha burza. Arek Siński przynosi na salę kamerę wideo i rozpoczyna rejestrowanie obrad. Sesja formalnie jest otwarta i dostępna dla każdego, więc rejestrowanie jej przebiegu na taśmie magnetowidowej, czy magnetofonowej jest prawnie

dopuszczalne. Oligarchia protestuje, jak ognia bojąc się obiektywu. Oszołomy przeciwnie, chcą aby kamera pozostała na sali. Pyskówka i słowne przepychanki narastają. Na skutek niemożności wyproszenia Sińskiego (jest radnym), obrady ku ich niezadowoleniu muszą być kontynuowane przy włączonej kamerze. Z wolna temperatura opada.

Rosołek w imieniu komisji rewizyjnej raportuje, że komisja gruntownie zapoznała się z materiałami przetargowymi i nie stwierdziła żadnego uchybienia w procedurze jego przeprowadzenia. Apeluje o odrzucenie naszego wniosku jako bezpodstawnego. Później inspektor nadzoru – Bożena Dunaszewska przeprowadza matematyczny wywód uzasadniający powyższą tezę. Wynika z niego, że co prawda firma, która przetarg wygrała, przedstawiła nieco gorsze warunki finansowe, ale tylko nieznacznie. Na rzecz jej wyboru przeważyć miał fakt, że jest firmą już sprawdzoną i do tej pory bardzo rzetelnie wykonywała wszelkie roboty i władze mają do niej pełne zaufanie. Przegrana firma z kolei jest firmą nową, jeszcze nieznaną, a zatem mało wiarygodną. I ten właśnie element w jej opinii miał decydujące znaczenie przy wyborze wykonawcy. Zdaniem pani inspektor wszystko jest w porządku. Przetarg był przeprowadzony prawidłowo, a pan Lesław Klimczyk jest absolutnie niewinny.

Przekładając to na język konkretu. Pani inspektor stwierdziła – przetarg był czystą fikcją. Wymierne względy finansowe poszczególnych oferentów nie miały w nim istotnego znaczenia. Głównym czynnikiem decyzyjnym, była bowiem dłuższa znajomość członków komisji przetargowej z jednym z dwóch ubiegających się o zlecenie wykonawców. Jeden z członków komisji przetargowej, który się przeciwstawił powyższym praktykom jest po prostu oszołomem.

Teraz czytelnik może w pełni zrozumieć, dlaczego nasz informator jeszcze przed przetargiem twierdził, że jego wynik był ustalony z góry. Nikt z członków komisji przetargowej z jej przewodniczącym Lesławem Klimczykiem nawet nie zadbał o stworzenie pozorów obiektywizmu. Dla zarządu miasta z Henrykiem Zagułą na czele i dla komisji rewizyjnej z Januszem Rosołkiem jako przewodniczącym wszystko jest w porządku. Tak właśnie powinno być!

Odbywa się akt tajnego głosowania. Większość radnych przekonanych logiką wywodów komisji rewizyjnej i pani inspektor nadzoru, postanawia pozostawić – Lesława Klimczyka na dotychczas piastowanej funkcji. Głosowanie jest przez nas przegrane. Później jeszcze seria głosowań w sprawie poszczególnych członków zarządu, którzy na znak solidarności z kolegą – złożyli pozorowane dymisje. Zdecydowaną większością głosów wszyscy pozostają na dotychczasowych stanowiskach. Radni udzielają im absolutnego zaufania.

Kończy się dzień, kończą też obrady, atmosfera ulega uspokojeniu. U wszystkich widoczne są oznaki zmęczenia. Wszak to czternasta godzina obrad.

Zamierają słowne utarczki. Status quo wraca do normy. Jedynym beneficjentem całego zamieszania jest – Zdzisław Bosak, który będąc praktycznie już poza burtą, w konsekwencji zajścia pozostaje dalej na piastowanym stanowisku. Takie są meandry polityki.

Powyższe wydarzenia mają jednak swoje dalsze konsekwencje. Zasadniczo nie zmieniają co prawda układu sił, ale wprowadzają pewne korekty. Kluczem był splot dwóch różnych przesłanek w tym samym czasie. Pierwsza to refleksja przeprowadzona przez Zagułę. W końcu dotarło do niego, że brak porozumienia z oszołomami może go drogo kosztować. Oszołomy przyczyniły się do zablokowania marginalizacji pozycji Bosaka – poprzez powołanie pełnomocnika ds. gospodarczych, a kiedy ta inicjatywa spaliła na panewce, storpedowały misterną zagrywkę z jego odwołaniem rękami – Rosołka i KPN. Przy sprawie Klimczyka ujawniły publicznie, że procedury przetargowe przeprowadzane w kierowanym przez niego urzędzie są czystą farsą i to jeszcze ustami jego inspektora nadzoru. Gdyby nie wytworzenie sztucznego tłoku i odegranie całej komedii z pozorowanymi dymisjami, mogłyby nawet odwołać jego najbliższego współpracownika. Zaczął rozumieć, że trzeba temu przeciwdziałać. A przeciwdziałać mógł na dwa sposoby.

Pierwszy. Zawrzeć z oszołomami porozumienie polityczne. Wiązałoby się to ze zmianą dotychczas praktykowanego mechanizmu sprawowania władzy. Wywołałoby rebelię w szeregach jego dotychczasowych popleczników, czyli familii, której wpływy zostałyby tym faktem ograniczone. Drugi, to rozbicie trzonu obozu oszołomów. Trzonem było trzech komandosów: Janusz Rosołek, Arkadiusz Siński i piszący te słowa – Dariusz Frączek. W całej radzie miejskiej tylko nas trzech posiadało na tyle twardą konstrukcję psychiczną, że byliśmy w stanie wystąpić z każdym, nawet najbardziej radykalnym wnioskiem. W ówczesnej radzie inicjatywa uchwałodawcza należała do grupy trzech radnych. Nas trzech, działając wspólnie i w porozumieniu, mogło zgłosić pod obrady każdy, nawet najbardziej niewygodny dla władzy wniosek, zmuszając radę do dyskusji i zajęcia się przedłożoną kwestią. W dodatku Rosołek z racji przewodzenia komisji rewizyjnej miał dostęp do tego, czego nie miał nikt inny. Dostęp do poufnych dokumentów.

Byliśmy już blisko sukcesu. Ostatnie wydarzenia są tego wymiernym przykładem, ale moje plany pokrzyżowała zdrada. Pierwszy odszedł Rosołek. Przebieg wydarzeń wskazywał jednoznacznie, że przeszedł na stronę oligarchii. Zamiast nam pomóc, rzucał wyłącznie kłody pod nogi. Wykorzystał nas – oszołomów, by podnieść swoje aktywa – został przewodniczącym komisji rewizyjnej – tylko po to, by później korzystniej się sprzedać Zagule. Za co, tego do końca nie jestem pewien, ale prawdopodobnie chodziło o jakieś zlecenia dla Ireneusza Maksymowicza, u którego był wówczas zatrudniony. Jego utrata była dla mnie bardzo bolesna, zwłaszcza z racji dostępu do poufnych dokumentów,

które dla nas zwykłych radnych były poza zasięgiem.

Na następnej sesji eksplodowała bomba. Arkadiusz Siński otrzymał stołek w administracji samorządowej. Zaguła powołał go na fikcyjne stanowisko Pełnomocnika ds. Przeciwdziałania Bezrobociu, z uposażeniem naczelnika wydziału, przeciągając automatycznie na stronę oligarchii. Od momentu objęcia tego stanowiska bez najmniejszych skrupułów robi z siebie idiotę, piejąc peany na cześć swojego dotychczasowego antagonisty. Ręce opadają...

Tok rozumowania Zaguły był oczywisty. Tych trzech oszołomów stanowi dla niego potencjalne zagrożenie. Nie są w stanie, co prawda uzyskać w radzie większości, ale mogą napsuć dużo krwi stawiając go publicznie w sytuacjach kompromitujących (choćby sprawa przetargu). Dlatego postanowił rozbić naszą jedność, sięgając po wypróbowaną już metodę przekupstwa. Pierwszego wyłuskał – Rosołka, następnie – Sińskiego. Specjalnie dla niego utworzył fikcyjny wydział, powołując go na funkcję kierownika. Od momentu nominacji ten ostatni wykonał woltę o sto osiemdziesiąt stopni, przechodząc do obozu Zaguły i oligarchii. Jak przystało na neofitę, przy każdej nadarzającej się okazji nie omieszkał tego faktu ostentacyjnie manifestować. Było to i śmieszne i ohydne zarazem. Cóż, poczucie smaku u jednostki prymitywnej nie jest wartością nadrzędną, jeżeli w ogóle jest mu znaną. W ślad za nim podążył Janusz Rosołek. Dzięki związkom z oszołomami został wybrany na przewodniczącego nowo powołanej komisji rewizyjnej (nowela do ustawy samorządowej). Dawało mu to wgląd w dokumenty dla przeciętnego radnego niedostępne. Wiedział znacznie więcej. W całym tym galimatiasie mógł odegrać bardzo istotną pozytywną rolę. Nie ukrywam, że bardzo liczyłem na jego pomoc. I odegrał rolę, z tą tylko różnicą, że siejąc destrukcję w naszych szeregach. Postanowił skorzystać z okazji i przehandlować posiadane aktywa. Dość powiedzieć, że zaczął mu jeść z ręki, a kierowana przez niego komisja rewizyjna nie odegrała w całokształcie żadnej konstruktywnej roli. W owym okresie był zatrudniony u Ireneusza Maksymowicza, który zajmował się sportem i rekreacją, oczywiście za pieniądze gminy. O przyznawaniu tych środków, zwłaszcza na poszczególne roboty, decydował przede wszystkim prezydent. Mógł dać więcej ale nie musiał. Dziwnym zrządzeniem losu, kiedy tylko Rosołek przeszedł na pozycje oligarchii – Maksymowiczowi się polepszyło. Później zaczęły w formie szczątkowej wypływać pewne dokumenty. Prawdopodobnie, któremuś z urzędników puściły nerwy i postanowił uchylić rąbka tajemnicy, odnośnie kwestii finansowych w jego przedsięwzięciach. Empirycznie, dotrzeć do prawdy było jednak nie sposób, ponieważ już wówczas całkowicie szczelnie funkcjonowała blokada informacyjna. Oligarchia, czując się pewnie, nie musiała już dbać nawet o pozory legalizmu czy praworządności. Dość, że sprawa umarła śmiercią naturalną.

Ujawniam te nazwiska i fakty z pełną premedytacją, ponieważ osoby te w sposób absolutnie cyniczny wykorzystały mnie, by wejść w konflikt z oligarchią i podnieść swoje aktywa tylko po to, by następnie bardziej korzystniej się sprzedać. Ich czyny całkowicie mieszczą się w znamionach szeroko pojętej zdrady i zaprzaństwa. A dla zdrajców, którzy przechodzą na pozycje przeciwnika jest tylko jedna kara – powszechne napiętnowanie i potępienie. Rosołek nieco później dopuścił się jeszcze jednego ohydnego czynu, nagrania na taśmę magnetofonową pewnego spotkania, ale o tym później.

Zaguła tryumfuje. Posiada już zdecydowanie większościowy pakiet akcji, który słusznie można nazwać ślepymi bagnetami. Utrwala to jego zdobycze i podnosi ego. Postanawia iść za ciosem, nakładając generalną blokadę na wszelkie dokumenty przekazywane radnym. Namacalnie z powyższym faktem, stykam się zupełnie przypadkowo. Zaczynam zamieszczać artykuły w „Czasie Górnośląskim". Dla zdobycia pewnych informacji udaję się do jednego z biur urzędu miejskiego, prosząc o ksero protokołów z dwóch ostatnich posiedzeń zarządu miasta. Urzędniczka odpowiada mi, że ksera nie otrzymam, ponieważ otrzymała zakaz wydawania kserokopii jakichkolwiek dokumentów radnym. Co najwyżej mogę się z nimi zapoznać na miejscu, wyłącznie w formie wzrokowej. Jestem w pełni zaskoczony takim stanowiskiem. Pytam o autora dyrektywy. Wskazuje na sekretarza miasta. Ten z kolei tłumaczy, że mimo sympatii do mojej osoby nie może nic uczynić, ponieważ takie otrzymał instrukcje.

- Kto je wydał?

- Henryk Zaguła! – pada odpowiedź.

Zagułę spotykam kilka dni później.

- Na jakiej podstawie blokujesz radnym dostęp do informacji?!

- Bo taka jest moja wola!

Jestem zupełnie bezsilny. Każdy urzędnik się boi. Większość radnych, mając na względzie partykularne korzyści, aprobuje powyższe. Totalna bezsilność. W końcu dociera do mnie prawdziwy obraz wydarzeń.

Zaguła – poirytowany naszymi ostatnimi manewrami, które pokrzyżowały jego plany, postanowił wykonać pewien zwrot zaczepny. W formie ostatecznej, odrzucił jakikolwiek kurs na porozumienie. Postanowił rozbić obóz oszołomów, poprzez przekupienie Rosołka i Sińskiego. Za pomocą tego ruchu, oszołomy w formie zorganizowanej praktycznie przestały istnieć. Jeden Frączek niczego nie jest już w stanie zdziałać. Nie zgłosi przecież żadnego wniosku, bo zabrania mu tego prawo. Do tego tanga potrzebnych jest trzech. Reszta radnych, nawet, ci co mnie popierają, to zwykli tchórze, niezdolni do otwartego wyjścia w pole.

Teraz nadchodzi czas na pokazowe egzekucje. Czuje się absolutnie bezkarny, a jego arogancja sięga zenitu. Dochodzi do kolejnego incydentu, bardzo zresztą niesmacznego. Oligarchia postanawia sięgnąć po element

represji. Mnie osobiście niczego zarzucić nie mogą, ponieważ nie ma takiego obszaru na którym mogliby dobrać się do mojej skóry. Ofiarą pada – Igor Czabara. Zarząd miasta podejmuje decyzję o wystąpieniu do prokuratora z doniesieniem o popełnieniu przez niego przestępstwa, polegającego na sfałszowaniu podpisu pod protokołem z posiedzenia jednej z komisji. Fałszerstwo to miało skutkować zawłaszczeniem diety wysokości 200 tys. starych złotych (20 PLN) na rzecz innego radnego – Łukasza Padoła. Według relacji nieetatowego członka zarządu – Eugeniusza Kowalskiego, który ponoć był świadkiem tego zdarzenia – na posiedzeniu komisji, której przewodniczył Czabara, Padoł był nieobecny. W trakcie jej trwania nieobecny zadzwonił i odbył krótką rozmowę z Czabarą. Treść tej rozmowy jest nieznana. W jej konsekwencji, po posiedzeniu pod listą obecności widniał już podpis Padoła, chociaż go nie było. Listę obecności do Biura Rady odnosił – Igor Czabara. Z tego wyprowadzono wniosek, że to on złożył podpis za Padoła, gdyż ten prosił go o to w trakcie rozmowy telefonicznej. A chodziło o dietę w wysokości wspomnianej kwoty 20 PLN. Incydent zgoła żenujący. Z powodu takiej błahostki zarząd miasta w składzie: Henryk Zaguła, Lech Modelski, Lesław Klimczyk, Zdzisław Bosak, Jerzy Duś, Eugeniusz Kowalski, Jerzy Majchrzak wystąpił z wnioskiem do prokuratora o popełnieniu przestępstwa. Czabara nigdy nie przyznał się do winy. Nie będę tego faktu komentował. Jest to zbyt żenujące, ale uważam za stosowne odnotować ten incydent, by nakreślić jacy ludzie zasiadali wówczas we władzach. Prokurator złapał się za głowę (!). Jest oficjalne doniesienie, trzeba się sprawą zająć. Przesłuchał na tę okoliczność Czabarę. Ten się nie przyznał, więc umorzył postępowanie z powodu braku możliwości wykrycia sprawcy.

Co leżało u podstaw takiego działania? Chęć zemsty, terror czy zwykła głupota. Ci sami ludzie, dzierżąc instrumenty władzy, przekupywali radnych stanowiskami, zatrudnianiem pociotków, przetargami, utajniali zupełnie bezprawnie dostęp do informacji. I oto nagle postanowili zostać aniołkami, rygorystycznie przestrzegającymi prawa, aż do przesady? Skąd wniosek do prokuratora w powyższej kwestii? Przecież sporna kwota 20 zł nie podlegała jurysdykcji kodeksu karnego? Penalizowana jest dopiero malwersacja od 250zł wzwyż. Na dodatek, wówczas nie obowiązywał jeszcze przepis kodeksu karnego w dzisiejszym brzmieniu, penalizujący złożenie za kogoś podpisu jako przestępstwo, tylko jako wykroczenie. Czyste szaleństwo...

W tym samym okresie – Józef Waluda, który był dyrektorem szkoły podstawowej w Trzebiesławicach i przeszedł na stronę oszołomów, był szantażowany przez radną – Elżbietę Szymkowską (jedną z aktywistek familii), że jak się nie uspokoi, to może się pożegnać z dotychczasową pracą. Bez komentarza...

Rajmund Kubisa, pełniący funkcję wiceprzewodniczącego rady miejskiej na wniosek zarządu zostaje odwołany z tej funkcji tylko dlatego, że jest niepokorny i manifestuje swoje niezależne poglądy. Większość marionetek, jak na bagnety przystało, ślepo głosuje za wnioskiem. Byle rozprawić się z niepokornym. Do usunięcia Kubisy, walnie przyczynia się przewodniczący rady – Wiktor Kołodziejczyk, człowiek ponoszący całkowitą odpowiedzialność za funkcjonowanie samorządu. Kołodziejczyk na sesji otwarcie stwierdza, że Kubisa jest zbędny, jedynie psuje atmosferę. Żal, głupota, bezsilność... Chamstwo tryumfuje!

W takiej sytuacji, polaryzacja stanowisk obu obozów; oligarchii i oszołomów – jest praktycznie permanentna. Trwa ustawiczna wojna podjazdowa. Nikt już nie chce brać jeńców. O żadnej współpracy nie może już być mowy. Wschodnim obyczajem rozjuszonej dziczy – zniszczyć słabszego! Wszystkie chwyty dozwolone. W całej rozciągłości ujawnia się prawdziwe oblicze kierowanej przez Zagułę oligarchii.

Rozdział XX
KOMPROMITUJĄCE MATERIAŁY

Zimą 1993/94 kolejne starcie. Zarząd miasta postanawia odwołać radnego – Marka Sękiewicza z członka rady nadzorczej MPGK sp. zoo. Dopiero przy końcu kadencji dowiaduję się, że w takiej radzie zasiadał. Skład rad nadzorczych spółek gminnych był wówczas utajniony. Teraz rozumiem, dlaczego dotychczas siedział jak przysłowiowa mysz pod miotłą, głosując jak przykazała oligarchia. Motywy powyższej rozgrywki nie są mi znane. Istotnym jest, że Sękiewicz – mając urażone ambicje i ubytki w portfelu, odszczekuje się, że ich wykończy. Dysponuje wpływem na kilku radnych, do tej pory cichych stronników familii. Postanawiają zmienić front i przyłączyć się do oszołomów. Ten ruch diametralnie zmienia dotychczasowy układ sił. Do tej pory stosunek sił oligarchii do oszołomów wynosił 3:1. Dawało to tym pierwszym poczucie całkowitej bezkarności. Obecnie oscyluje wokół pół na pół. Teraz zaledwie jeden głos może przechylić szalę w jedną lub drugą stronę. Szykuje się kolejne starcie. Zaguła z oligarchią prą do niego, bo władza daje im poczucie bezwzględnej dominacji. Oszołomy, bo chcą zemsty za dotychczasowe upodlenie. Jeszcze inni pragną na wytworzonym zamieszaniu uszczknąć coś dla siebie. Konfrontacja jest nieunikniona. A wszystko na pięć miesięcy przed końcem kadencji. Tu już nie chodzi o władzę, nie o pieniądze ani stanowiska. Gra idzie o zwykłą ludzką ambicję. Oligarchia upaja się posiadaną władzą, chce dobić przeciwnika, wdeptać w ziemię. Wszak dla jednostek prymitywnych wdeptanie w bruk słabszego jest miernikiem prestiżu i wyższości. Oszołomy chcą znieść oligarchię, by podnieść mniemanie o sobie. W takich realiach jakiekolwiek porozumienie nie wchodzi w rachubę. To nie jest moja wojna. Nie ja ją rozpętałem, nie ja inspirowałem. Ale ze względu na splot pewnych okoliczności i swój polityczny temperament znalazłem się w samym oku cyklonu. Czyż po tylu upokorzeniach ze strony oligarchii mogłem pozostać bierny?!

Dowiaduję się, że Sękiewicz w porozumieniu z Markiem Drożyńskim organizują spotkanie. Skrzykują radnych, obliczają siły. Postanawiam rozpoznać sytuację, by zorientować się jak wygląda od strony kuchni. Wszystko wskazuje na to, że w swoim zamyśle są poważnie zdeterminowani. Chcą głowy Zaguły. Po kilku rozmowach wyrabiam sobie opinię. Sytuacja jest naprawdę poważna. Liczba radnych oscylujących wokół opozycjonistów waha się 18-20. Takiej potęgi do tej pory jeszcze nie było.

W klimacie podniecenia i euforii odbywa się spotkanie zorganizowane przez Marka Drożyńskiego. Ja ze swej strony zapraszam Janusza Rosołka. Wówczas jeszcze nie utraciłem do niego całkowitego zaufania. Uważam, że jeżeli teraz go nie wciągnę w bieg wydarzeń, to może definitywnie przejść na stronę przeciwną, wszak obserwuję u niego pierwsze objawy chwiejności.

Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że jest już za późno. On już przeszedł graniczny rubikon.

Spotkanie od samego początku jest dziwne. Główny organizator i dysponent lokalu – Marek Drożyński – nie pojawia się. Wpada na chwilę – tuż pod koniec – tłumacząc, że ma problem ze zdrowiem. Jedzie do lekarza, gdyż ma znacznie podwyższone ciśnienie. Gdybym przypadkiem nie posiadał kluczy od jego lokalu, obecni nie mieliby nawet gdzie się zebrać. Niespotykanym jest, aby organizator nie pojawił się na zwołanym przez siebie spotkaniu i to w swoim lokalu. Ale mam klucze i wydarzenia biegną dalszym torem. Zebrani nie mają żadnej koncepcji, prócz jednego. Tak dalej być nie może, trzeba ich (oligarchię) wykopać! Widząc, że nikt nie panuje nad sytuacją postanawiam przejąć inicjatywę, aby po raz kolejny para nie poszła w gwizdek. Torpeduję zgłoszoną inicjatywę odwołania – Bosaka, argumentując, że będzie to woda na młyn – Zaguły. Chcą odwołać Zagułę, ale z tym również jest problem, ponieważ nie ma go kim zastąpić. Jego zastępca – Lech Modelski, z którym sondowałem taką ewentualność – kategorycznie odmówił. Wybór nowego prezydenta spoza radnych, gdyż w tak skonfliktowanej radzie tylko taka opcja ma możliwość przejścia, też nie wchodzi w grę ze względu na końcówkę kadencji. Nikt przy zdrowych zmysłach nie podejmie się tej funkcji na okres pięciu miesięcy. Panuje impas. Padają różne propozycje z których żadna nie nadaje się do zaakceptowania.

W pewnym momencie siedzący w milczeniu – Siński – zabiera głos:

- Trzeba do statutu miasta wprowadzić zmianę, ograniczającą liczbę zastępców z trzech do dwóch. Niech sami zadecydują, kogo ze swojego grona odstrzelić..!

Wchodzę mu w zdanie. Twierdzę, że jest to propozycja ciekawa, ale nie rozwiązuje zasadniczego problemu. Problem bowiem brzmi – co zrobić, aby zmienić patologiczny system sprawowania władzy. Na zmianę prezydenta nie możemy sobie pozwolić, ponieważ jest już zbyt późno i możemy tylko spotęgować wytworzony chaos. Według mnie należy doprowadzić do zmiany układu sił w istniejącym zarządzie. Można to osiągnąć zmieniając parytet. Niech dalej liczy 7 osób, ale w odwrotnej proporcji. Prezydent i dwóch zastępców na etacie oraz czterech nieetatowych członków. Tak jak za prezydentury – Jerzego Talkowskiego. Ponieważ dotychczasowi nieetatowcy są silnie powiązani z władzą i grają w jednej drużynie, należy ich wymienić na innych – ze swojego obozu. Następnie widzę potrzebę zmiany na stanowisku przewodniczącego rady, ponieważ to, co wyrabia – Wiktor Kołodziejczyk (dokładnie nic) woła o pomstę do nieba. Problemów z odwołaniem tego ostatniego nie przewiduję, jest czystym figurantem, bez żadnego poparcia. Następnie należy wziąć się za komisję rewizyjną, żeby oprócz wyłudzania diet za posiedzenia, z których nic nie wynika, rozpoczęła w końcu konstruktywną pracę. Po zakończeniu całości operacji – Zaguła winien zostać oskrzydlony i zmuszony do pożegnania się z mrzonkami o gminnym dyktatorku. Nic tak bowiem, jak porządne lanie nie

wymusza dobrych obyczajów. I tak w spokoju, dotrwamy do brakujących nam jeszcze pięciu miesięcy kadencji. Zebrani moje propozycje przyjmują przez aklamację. Nikt nie był w stanie przedłożyć lepszych. Postanawiamy sporządzić wniosek o zwołanie sesji nadzwyczajnej i o dokonanie stosownych zmian w statucie miasta. Pod wnioskiem zbieramy ponad 14 podpisów. Reszta deklaruje, że z powodów swojego uwikłania w interesy z władzą nie może złożyć swojego podpisu, ale na sesji zagłosuje za przedłożonymi wnioskami. Ciekawostką jest, że w spotkaniu uczestniczy około dwudziestu radnych.

Na zwołanej w trybie nadzwyczajnym sesji – Zaguła był nieobecny, ponoć miał zaplanowany wcześniej wyjazd zagraniczny. Postulował przesunięcie jej terminu do czasu swojego powrotu. Nie wyraziliśmy zgody. Tyle razy nas poniewierał, że nie widzieliśmy żadnych okoliczności, aby pójść na ustępstwo. Na jego arogancję mogła być tylko jedna odpowiedź – twarda linia. Zresztą, on – Powerskiej nie dał również takiej szansy. Niech teraz na własnej skórze odczuje, jak chamskie metody obracają się przeciwko niemu. Jeszcze przed sesją w kuluarach krążyła plotka, że zarząd jest w posiadaniu jakiejś taśmy mającej kompromitować niektórych uczestników spotkania.

Obrady rozpoczęły się w klimacie podniecenia i nerwowości. Kiedy przyszło do debaty na temat wprowadzenia zmian do statutu miasta, redukującym liczbę zastępców z trzech do dwóch, namiętności się rozpaliły. Wszystko wskazywało na to, że nasz wniosek przejdzie. Tuż przed samym głosowaniem na mównicę wchodzi – Jerzy Duś i oświadcza, że jest w posiadaniu taśmy magnetofonowej, na której jest zawarty materiał kompromitujący niektórych radnych. Wynika z niego jednoznacznie, że niektórzy ze spiskowców co innego zeznają w gabinetach władzy, kiedy czegoś potrzebują, a o czym innym podstępnie knują po kątach. Jeżeli radni wyrażą taką wolę, to on jest gotów udostępnić powyższy materiał, ale dopiero na następnej sesji. Konsternacja...

W trakcie głosowania obserwowałem zachowanie niektórych radnych. Zauważyłem, że za wnioskiem nie głosowali ci spośród sygnatariuszy i uczestników zebrania, którzy prowadzili prywatne firmy i w przedmiocie zleceń wisieli na dobrej woli pana prezydenta. Praktycznie cały obóz Sękiewicza i Drożyńskiego oraz Janusz Rosołek i Arkadiusz Siński, chociaż wcześniej taką wolę deklarowali. W efekcie powyższego – nasz wniosek, nieznaczną ilością głosów przepadł. Okazało się, że w trakcie głosowania 30% radnych, którzy wcześniej byli jego zwolennikami, nagle zmieniło front. Jeszcze raz okazało się, że sprawa publiczna jest odległą, natomiast kasa znacznie bliższą ciału. Standardowy przejaw wiarołomstwa.

Marek Drożyński już wcześniej budził moje wątpliwości, kiedy nie stawił się na zwołane przez siebie zebranie. W efekcie wystąpienia – Dusia, wygrane wcześniej głosowanie, zostało przez nas przegrane i to sromotnie. Czysta dziecinada.

Duś, będąc członkiem zarządu i zaufanym prezydenta miał znaczny wgląd w materialne zainteresowania poszczególnych radnych. Wiedział, kto o jakie zlecenia zabiega i czego potrzebuje. Dał im jasno do zrozumienia, że jeżeli zachowają się nieprawomyślnie, to mogą o przywilejach zapomnieć. Wszak radni nie są ludźmi bezinteresownymi. Zaufanie władzy nadszarpnęli, biorąc udział w działaniach wymierzonych w jej żywotny interes. Tak oto część nieprawomyślnych błyskawicznie zrozumiała, że musi na powrót stać się marionetkami. Krótko, prosto ale skutecznie.

Na następnej sesji ciąg dalszy. Zgodnie z uchwałą – Duś ma ujawnić, będące w jego posiadaniu kompromitujące materiały. Publicznie przekazuje na ręce przewodniczącego taśmę magnetofonową i z kartki odczytuje tendencyjnie dobrane fragmenty zapisu. Ich treści nie jestem w stanie odtworzyć z pamięci, ale na pewno znalazły się tam stosunkowo pikantne określenia:

- Trzeba Rosołka wziąć za dupę, bo komisja rewizyjna ma pracować jak cholera...

Następuje konsternacja... Okazuje się, że są to moje słowa, które wypowiedziałem w kuluarach, przy papierosie do dwóch, może trzech osób w trakcie przerwy, podczas naszego spotkania w lokalu Drożyńskiego.

Musiałem zareagować. Silnie podenerwowany, gdyż zostałem uderzony poniżej pasa, poprosiłem o głos i miałem stosunkowo ekspresyjne wystąpienie, co zważywszy na okoliczności jest chyba zrozumiałe. Wyjaśniłem, że cytowane przez Dusia fragmenty są autentyczne. Są to tendencyjnie dobrane fragmenty mojej wypowiedzi z pamiętnego spotkania. Przedmiot sprawy wyglądał następująco. Kiedy po dwugodzinnych burzliwych obradach została w końcu ustalona jakaś linia działania, postanowiliśmy sporządzić pisemne wnioski o nadzwyczajne zwołanie sesji i o wprowadzenie zmian w statucie miasta. Trzeba było również pod nimi zebrać wymaganą liczbę podpisów. W tym czasie zapanowało chwilowe rozprężenie i przerwa w obradach. Radni zebrani w kilkuosobowe grupki dość zażarcie dyskutowali. Wokół mnie, stojącego pod ścianą zgromadziły się dwie, może trzy osoby. Prowadziliśmy luźną konwersację. Nie jestem w stanie w tej chwili odtworzyć, kto w danym momencie był obok mnie, gdyż radni się przemieszczali i podlegali ciągłym rotacjom, jak to bywa w kuluarach. W pewnym momencie ktoś ze stojących obok, prawdopodobnie Janusz Rosołek zadał mi pytanie.

- No dobrze, a co zrobimy później, kiedy już zmienimy statut, wymienimy nieetatowych członków zarządu i przewodniczącego rady?

Będąc rozluźniony, wszak mówię do dwóch zaprzyjaźnionych osób – zwracam się w kierunku Rosołka – stwierdzając:

- Wówczas weźmiemy Rosołka za dupę, bo komisja rewizyjna ma pracować jak cholera...

Była to wypowiedź czysto prywatna, wygłoszona w sytuacji absolutnie

kameralnej. Skąd mogłem wiedzieć, że obok mnie stoi kanalia z ukrytym dyktafonem. Nagranie zostało dokonane podstępem, ponieważ nikt z zebranych nie wyrażał na nie zgody, nikt o taką zgodę nie zabiegał, ani też nikt nie miał w widocznym miejscu dyktafonu. Takie działanie jest całkowicie pozaprawne i w świecie cywilizowanym absolutnie nie do przyjęcia! – perrorowałem podniesionym głosem.

- Jerzy Duś w mojej i waszej obecności nie raz rzucał znacznie cięższymi przekleństwami niż dupa Rosołka!

Nigdy wcześniej nie sądziłem, że Duś może być zdolny do dokonania takiej podłości. Ale cóż, czyn człowieka świadczy o jego formacie. Będąc w stanie poirytowania, posunąłem się nieco za daleko i w jednej chwili postanowiłem zdemaskować tego speca od nielegalnych nagrań. Na gorąco skojarzyłem dwa fakty: Sińskiego rejestrującego kiedyś sesję kamerą wideo i fakt, że na krytycznym zebraniu siedział blisko mnie w kurtce. W pomieszczeniu było stosunkowo ciepło i wszyscy z jego wyjątkiem mieli zdjęte ubrania wierzchnie.

- Dlaczego Siński siedział w kurtce..?! – ciągnąłem.

- Ponieważ, miał w kieszeni ukryty dyktafon! To jego robota..!

W tym momencie przez salę przeszedł przeciągły pomruk Uuuuuuuu..! Stałem na mównicy twarzą do zebranych, dzięki czemu mogłem zaobserwować, kto tak reaguje. Byli to członkowie zarządu i familianci. W lot pojąłem, że strzeliłem przysłowiową kulą w płot. Siński zaklinał się, że w tym przypadku nie ma nic wspólnego ze sprawą. Obrady zakończyły się wielkim niesmakiem. Oligarchia konsumowała kolejny swój sukces. Oszołomy były skonsternowane.

Od tego momentu, nawet jeżeli jeszcze mógł się trafić jakiś niedowiarek wierzący w szczere intencje rządzących, to po ostatnich wydarzeniach został z nich skutecznie wyleczony. Ci ludzie w obronie swoich wpływów nie cofają się przed niczym. Gotowi są na największą nawet podłość i chamstwo. Byli chamami, ale jednak z mandatami społecznymi. I to w ich rękach spoczywało kilkaset miliardów publicznego grosza i jakiś tam przecież wycinek władzy. Mogli straszyć, grozić i nagradzać.

Dlaczego do tego starcia doszło? Jak już wspomniałem, nieskorumpowanych oszołomów było wówczas w radzie 12-14 osób (na 45). Była to liczba zbyt mała, aby mogła drogą parlamentarną zmienić bieg wydarzeń. W demokracji bowiem zawsze decyduje większość. Sytuacja uległa diametralnej zmianie dopiero w momencie odwołania – Sękiewicza z członka rady nadzorczej MPGK. Wokół niego i Drożyńskiego było skupionych kilka osób, drobnych prywaciarzy, niezadowolonych z dotychczas uzyskiwanych profitów i parę osób zdezorientowanych sytuacją, ale czujących, że coś jednak trzeba zmienić. Sękiewicz – mając urażone ambicje, że będąc wiceprzewodniczącym rady miejskiej został przez rządzących tak okrutnie potraktowany, postanowił się zemścić. Dlatego wspólnie z Drożyńskim podjęli

odpowiednie zabiegi. Aby mogli jednak wystąpić, musieli wejść w kontakt z oszołomami, gdyż tylko taki układ dawał szansę w starciu z zarządem i familią. W krótkiej rozmowie z Drożyńskim – osiągnąłem wstępne porozumienie. Oczywiście, zdawałem sobie sprawę, że centrum Drożyńsko-Sękiewiczowskie to ludzie niepewni, że ich działanie nie wynika z wewnętrznego przekonania lecz pobudek koniunkturalnych. Poszedłem jednak na układy, ponieważ w ówczesnej sytuacji, tylko takie porozumienie mogło doprowadzić do zmiany patologicznego status quo. Wyszedłem z prostego założenia. Gdy się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. Wszak głos uczciwego i sprzedajnego radnego jest w demokracji wart tyle samo. Arytmetyka wyborcza jest nieubłagana. Był to doraźny alians, dyktowany wyłącznie względami pragmatyki wyborczej. Dla pewności, odbyłem jeszcze krótką rozmowę z Sękiewiczem. Stwierdziłem, że jestem gotów przyłączyć się do akcji sprzątania, ale muszę mieć pewność, że on nie wycofa się w ostatniej chwili. Po raz kolejny bowiem, nie chcę wychodzić na idiotę. Zaufanie do siebie mieliśmy raczej ograniczone. Odpowiedział, że ręka mu nie zadrży, nie ma już nic do stracenia. Później okazało się jednak, że poważnie się mylił. Miał jeszcze do stracenia dietę wiceprzewodniczącego rady miejskiej. A przecież kochał pieniądze, nawet te drobne. Powyższe jego wyznanie, w tym konkretnym momencie przechyliło jednak szalę mojej decyzji. Postanowiłem wejść do akcji. Była to ostatnia próba przynajmniej częściowego wyczyszczenia tej stajni Augiasza. Według naszych obliczeń, mogliśmy wówczas liczyć na 20-22 głosy. To wystarczało.

Oczywiście konsultacje i przygotowania związane z powyższą operacją nie mogły ujść uwadze strony przeciwnej. Wszak ludzi życzliwych nigdy nie brakuje, a zresztą jest rzeczą naturalną, że na stykach każdego obozu zawsze występują przeskoki informacji. W tym przypadku też tak było. Przecież przeciwnik też liczyć potrafił. A ponieważ poczuł się zagrożony, dynamicznym obrotem sprawy, postanowił przeciwdziałać. Stąd w czyjejś głowie zrodził się pomysł wysłania na nasze spotkanie człowieka z ukrytym dyktafonem, celem rejestracji jego przebiegu.

Czytelnik może zadać pytanie. Po co operacja z dyktafonem, przecież dla zwykłej infiltracji zamiarów przeciwnika, wystarczyłby zwykły agent bez sprzętu? Będąc uczestnikiem spotkania zdałby później relację komu trzeba? Otóż nie! Celem operacji z dyktafonem nie było bowiem zgromadzenie informacji, lecz zarejestrowanie na taśmie magnetofonowej wypowiedzi krytycznych w stosunku do rządzącej oligarchii, wygłaszanych przez osoby związane z Drożyńskim i Sękiewiczem. Jak już wspominałem, byli tam prywaciarze żebrzący u klamki prezydenta o zlecenia i roboty, o pracę dla siebie lub pociotka. Dysponując takim zapisem jako dowodem, można było takiego delikwenta postawić pod ścianą i stwierdzić:

- To u nas żebrzesz o korytko, a po kątach knujesz przeciwko nam ?! Mamy dowód..!

I to był zasadniczy cel tego zabiegu. Takim nagraniem można było każdego potencjalnego klienta władzy przyszpilić i zmusić do zmiany pierwotnego stanowiska. W konfrontacji uczciwości z pieniędzmi zawsze górę wezmą pieniądze. W krytycznym momencie, dokładnie taki manewr wykonał – Jerzy Duś. Wystąpił na sesji – szantażując tych ludzi magnetycznym zapisem, który miał ich kompromitować jako potencjalnych klientów władzy w zabiegach o nienależne im przywileje.

- Co innego mówią w gabinetach władzy, kiedy potrzebują profitów, a co innego czynią na pokątnych spiskach...

Dał im jednoznacznie do zrozumienia, że jeżeli nie wycofają się z obranego kursu, to w przypadku fiaska tej operacji, drzwi władzy będą przed nimi zamknięte. Mogą zapomnieć o jakichkolwiek dodatkowych synekurach. W lot to pojęli i ulegli presji. Dla ewentualnej asekuracji – Duś – stwierdził, że jeżeli rada miejska wyrazi taką wolę, to on ujawni kompromitujące materiały, ale dopiero na następnej sesji. Czyli już po akcie głosowania, kiedy bitwa będzie rozstrzygnięta. Musiał tak uczynić, ponieważ niczego kompromitującego nie posiadał. Tak naprawdę, szantażował ich wyłącznie blefem. Ale oni o tym fakcie, wówczas wiedzieć nie mogli. W tym momencie, ich jedyna myśl zdeterminowana była wyłącznie jedną przesłanką. Zamanifestować wobec oligarchii swoją dyspozycyjność, byle tylko nie zatrzasnęli przede mną klamki od korytka. Wszak głosowanie było jawne. Dlatego w krytycznym momencie, tuż po wystąpieniu Dusia – miast 20 głosów, mieliśmy tylko kilkanaście. Prawie cały obóz z Drożyńskim na czele wymiękł. Wymiękli również: Janusz Rosołek, Arkadiusz Siński, Mirosław Kukla i Jerzy Franus. Na placu boju pozostały wyłącznie same oszołomy. To wyjaśnia, dlaczego pierwotnie wygrane przez nas głosowanie zostało w ostateczności przegrane.

Problem jednak uległ dalszej komplikacji, ponieważ po porażce wyborczej zażądaliśmy uchwałą, aby Jerzy Duś – zgodnie z wcześniejszą deklaracją ujawnił te kompromitujące materiały, które są w jego posiadaniu. W tym właśnie miejscu chłopisko posiadało poważny zgryz. Na taśmie nie było bowiem nic kompromitującego tych, przeciwko którym szantaż był wymierzony. Owe materiały były bowiem czystą fikcją, wymysłem wyobraźni zagrożonego w swoim posiadaniu lokalnego kacyka. Ale od czego jest głowa? Udało się bowiem agentowi zarejestrować kuluarową wypowiedź Frączka – wygłoszoną do dwóch stojących obok osób, gdy będąc rozprężonym, użył nieparlamentarnego określenia „dupa Rosołka”. I biedny Duś, po znacznym wysiłku intelektualnym doszedł do wniosku, że tą wypowiedzią zamaskuje brak materiału dowodowego w przedmiotowej sprawie. Przecież nie mógł się publicznie przyznać, że blefował. Tak, oto „dupa Rosołka” stała się koronnym materiałem dowodowym, trafiającym pod obrady rady miejskiej w Dąbrowie Górniczej.

Kiedy później rozmawiałem w tej sprawie ze Zdzisławem Bosakiem, ten stwierdził:

- Faktem jest, że Duś zachował się po chamsku, ale jest również faktem, że jego działanie było skuteczne. Dzięki temu, ocaliliśmy swój stan posiadania. A jeżeli forma jest brzydsza od treści, tym gorzej dla formy.

Nic dodać, nic ująć.

Tak odpłacił mi się za to, że kilka miesięcy wcześniej ocaliłem jego głowę, gdy jego pryncypał postanowił odstrzelić go rękami Rosołka i KPN.

Rozdział XXI
DĄBROWSKA MAJORKA

Po tym wydarzeniu za punkt honoru postawiłem sobie wykrycie tego speca od utajnionych nagrań. Informacje jakie posiadałem były bardzo skąpe. Wiedziałem, że był to ktoś z uczestników zebrania, że na pewno nie był to Siński – ponieważ jak go publicznie oskarżyłem, to część sali zareagowała pomrukiem uuuuuuuu..! Wiedziałem ponadto kto tak reagował. Byli to członkowie zarządu i familianci. Z powyższego wyprowadziłem wniosek, że ich reakcja była powodowana faktem znania nazwiska właściwego sprawcy. Skąd inaczej mogliby wiedzieć, że się pomyliłem? Wyjście na Sińskiego było skojarzeniem przypadkowym, bardziej nakierowanym jego dotychczasową postawą, niż racjonalnymi przesłankami. Tym jękiem, przekazali mi jednak cenną informację, że znają nazwisko właściwego agenta. Łącznie, kilkanaście osób znało tę tajemnicę.
Stara maksyma dotycząca tajemnicy mówi: „..Tajemnica jest wtedy jak wie jedna osoba. Jak wiedzą dwie, wiadomo kto zdradził. Jak wiedzą trzy nie ma już tajemnicy..”
Przy kilkunastu wtajemniczonych osobach sprawa była stosunkowo prosta. Koniecznie jednak należało pozyskać dodatkowe informacje.
Po analizie doszedłem do wniosku, że najwłaściwszym informatorem w tej sprawie, wbrew pozorom może być właśnie – Jerzy Duś. Łączyły nas stosunki nietypowe. Byliśmy co prawda w przeciwstawnych obozach, nawzajem się zwalczających, ale o dziwo prywatnie nie paraliśmy do siebie antagonizmem. Niekiedy nawet pijaliśmy razem alkohol, co w naszej kulturze jest przejawem zażyłości. Swoje nadzieje pokładałem w pewnej sztuczce psychologicznej. Uważałem, że po tak haniebnym czynie, winien czuć jakieś wyrzuty sumienia i w jakiś sposób musi to odreagować. Na ogół bowiem, nikt nie schamia się do końca. I nie pomyliłem się.
Przyjął ofertę spotkania przy piwie. Przeprowadziliśmy dłuższą rozmowę, w trakcie której miałem tylko jeden cel. Wyciągnąć od niego jak najwięcej informacji w sprawie. Po ciężkich podejściach, potwierdził w końcu moje przypuszczenie, że jednak nie był to Siński – strzeliłem wtedy jak kulą w płot. Z całą pewnością była to osoba płci męskiej, której nawet bym o to nie podejrzewał. Swego czasu nawet się z nią przyjaźniłem. W krytycznym momencie w kuluarach, chcąc dokonać nagrania, świadomie mnie prowokowała do wynurzeń ukierunkowanymi pytaniami. Więcej ujawnić nie chciał – twierdząc, że dał słowo honoru, iż nigdy ta sprawa nie ujrzy światła dziennego. I musi dotrzymać danego słowa. Nic więcej w interesującym mnie zagadnieniu powiedzieć nie może, gdyż musiałby ujawnić nazwisko, a tego nie uczyni. Dodał również, że nigdy nie dowiem się prawdy.
Przyjąłem wyzwanie – oświadczając, że w ciągu 48-godzin zadzwonię do niego podając nazwisko tego artysty. Przyjął to z niedowierzaniem. To jest niemożliwe

– odrzekł.

Całą noc nie spałem. Umysł pracował na najwyższych obrotach. Wypisałem na kartce wszystkich uczestników spotkania i prowadziłem systematyczną eliminację. Wykreśliłem wszystkie kobiety, później osoby, których ze względu na dotychczasową postawę byłem absolutnie pewien. Lista zawęziła się do ośmiu nazwisk. Dalej utknąłem. Wiedziałem co prawda, że nagrywający musiał stać przy mnie w krytycznym momencie, ale tutaj pojawiła się kolejna trudność. W trakcie przerwy zawsze stały przy mnie 2 lub 3 osoby i w dodatku podlegały ciągłej rotacji. Jedne podchodziły, inne odchodziły. Kto stał w tym zasadniczym momencie? Pamięć szwankowała. Analiza utknęła. Zrozumiałem, że metodą stopniowej eliminacji dalej się już nie posunę.
Wiedziałem ponadto, że oprócz członków zarządu, wiedzę powyższą posiadają familianci. Ani od jednych, ani od drugich niczego co prawda bezpośrednio nie wycisnę, ale od czego jest prowokacja. Stawało się dla mnie oczywistym, że tak sensacyjna wiadomość musi w tym środowisku szybować lotem błyskawicy, a zatem musi gdzieś przeskoczyć na stykach. Zawsze tak bywa. Należało teraz wytypować właściwą osobę, operującą wokół familii, a ze mną w jakiś sposób zaprzyjaźnioną, która może znać tajemnicę i posłużyć się prowokacją.
Prowokacja miała polegać na blefie. Chodzi o to, aby u wytypowanego interlokutora wywołać wewnętrzne przeświadczenie, że ja już znam odpowiedź, po czym perswazją zmusić ją do potwierdzenia. Aby operacja wypaliła należało wytworzyć u rozmówcy przekonanie, że nie ujawnia żadnej tajemnicy, ponieważ ja ją już znam, chociaż w rzeczywistości jest dokładnie odwrotnie. Analogiczny schemat zastosował agent polskiego wywiadu – Marian Zacharski w słynnym już spotkaniu na Majorce z agentem wywiadu rosyjskiego – Władymirem Ałganowem. Wówczas chodziło o zdobycie potwierdzenia, że Olin to Józef Oleksy. Operacja zresztą zakończyła się powodzeniem.
Garść informacji, niezbędną do tej zagrywki już posiadałem. Problem leżał tylko we właściwym wyborze interlokutora. Po wstępnej analizie wytypowałem duszyczkę. Później już tylko przypadkowe spotkanie i właściwa „majorka".

Z wielkim podnieceniem stwierdziłem, że znam nazwisko tego gagatka, co mi tę świnię podłożył.

- Nigdy bym się tego nie spodziewał, że mój przyjaciel w którym pokładałem niegdyś takie nadzieje, okaże się kanalią.

- Jak to można się na ludziach pomylić...

- Świadomie, serią pytań prowokował mnie do wynurzeń, tylko po to, aby nagrać słowne potknięcie.

- Jak ten pies mógł mi to uczynić!

- Jaki byłem głupi, że mu ufałem...

- Na szczęście, starego Dusia ruszyło sumienie i go sypnął. Przed chwilą z nim piłem...

Kiedy już repertuar zanęcania był na wyczerpaniu, mój nieświadomy informator chwycił przynętę. Bez żadnej z mojej strony sugestii, stwierdził:

- Od samego początku wiedziałam, że to był – Rosołek...

Cały wysiłek woli skoncentrowałem, aby nie dać po sobie poznać jak jestem zszokowany. Prawdopodobnie, mój rozmówca do chwili obecnej nie jest świadom, że był właściwym źródłem informacji w tej sprawie. A więc go mam. Janusz Rosołek!

W jednym momencie wszystko stało się oczywiste. Wszystkie elementy łamigłówki pasowały do siebie jak przysłowiowa rama do obrazu. Człowiek z którym kiedyś współpracowałem. Sam przychodził do mojego biura – twierdząc, że trzeba się z tą bandą definitywnie rozprawić, raz na zawsze. To on nakłonił mnie do układu z Sińskim i podjęcia działań przeciwko Zagule. Dzięki współpracy ze mną i faktowi, że był oszołomem został wybrany przewodniczącym komisji rewizyjnej, mającej być batem na oligarchię. I nic w tej komisji nie zdziałał. Nie wywiązał się z żadnych ustaleń. Nie dostarczył ksera protokołu przetargowego w sprawie wspomnianej szkoły, kiedy Migalski zaklinał się, że była przewałka. Przez niego, będąc nieprzygotowanym przegrałem tamto starcie i wygrała firma „bardziej znana". Nie dostarczył mi żadnej istotnej informacji, chociaż miał do nich dostęp. Do chwili obecnej powyższe niedociągnięcia zrzucałem na karb nie tyle jego perfidii, co raczej głupoty. Sądziłem, że jest tak prymitywny, że nie może niczego powiązać w logiczną całość. Teraz uświadomiłem sobie, że jest inny Rosołek. Rosołek pazerny, Rosołek hiena. Rosołek, który wywindował się na pracy innych, tylko po to, by później sprzedać się korzystniej oligarchii. Rosołek agent. Żeby było ciekawiej to ja zaprosiłem go na krytyczne spotkanie w lokalu Drożyńskiego. Czując wówczas, że nasze drogi się rozchodzą, po raz kolejny wyciągnąłem do niego rękę, a on mi się odpłacił. Sam wypromowałem i wprowadziłem zdrajcę, renegata. Nie ukrywam, że mnie zabolało. Cios był piorunujący!
Przewodniczący komisji rewizyjnej na usługach tego kogo ma rewidować! Człowiek stojący na straży praworządności w roli tajnego agenta, dokonującego nielegalnego nagrania do wykorzystania przeciwko temu kto go wyniósł. Za dużo jak na jeden raz...

Wszystkie informacje jakie wyciągnąłem od Dusia uległy potwierdzeniu. Rosołek spełniał wszystkie wspomniane przez niego uwarunkowania. Żeby było ciekawiej, cały czas stał przy mnie.
Mówiąc – „Trzeba Rosołka wziąć za dupę, bo komisja rewizyjna ma pracować jak cholera.." – właśnie do niego kierowałem te słowa. Jak mogłem tego wcześniej nie dostrzec i nie skojarzyć. Po prostu go nie podejrzewałem. Teraz przypomniałem sobie, że podczas krytycznego spotkania, dwukrotnie wychodził do toalety. Teraz już wiem dlaczego, aby załączyć i wyłączyć ukryty pod

swetrem dyktafon. Człowiek, którego uważałem za sojusznika w sposób perfidny, działając z premedytacją zastawił na mnie pułapkę. Rzeczywiście zadawał wiele pytań. Po mojej mózgownicy kołatało się jedno pytanie. Dlaczego?
Chyba znalazłem na nie odpowiedź. Zawsze leży ona w psychice człowieka. Ot, prymitywny neofita chcący się wykazać przed swoimi nowymi panami.

Teraz należało tę informację jak najszybciej potwierdzić. Wykręcam numer telefonu do Dusia.

- Zgodnie z ustaleniami podaję nazwisko – Janusz Rosołek..!

Po drugiej stronie kilkusekundowa, dłuższa pauza. W końcu poważny głos oznajmia.

- Muszę zaprzeczyć...
- Wiem, że musisz, ale ja już wiem. To on..!

Koniec rozmowy.

Żeby Duś, chociaż parsknął śmiechem i rozbawiony oznajmił:

- Znów palnąłeś kulą w płot.

Ale nic takiego. Ton jego głosu był absolutnie poważny. Był zaskoczony wygłoszoną kwestią. W jego zachowaniu i barwie głosu wyczułem konsternację. Tym razem strzał był celny. Nikt nie jest dobrym aktorem, kiedy zostanie zaskoczony. W ten sposób, zdobyłem potwierdzenie podstępem zdobytej informacji. Uzyskałem dowód, że nareszcie odkryłem prawdę. Mam zdrajcę ... – Janusz Rosołek!

Kiedy w kuluarach najbliższej sesji – nazwałem go renegatem, przy trzydziestu świadkach rzucił się na mnie z pięściami. Puściły mu nerwy. Później odgrażał się, że jak nie zamknę mordy, to będę ją miał obitą. Jak do tej pory, słowa jeszcze nie dotrzymał.

Długo zastanawiałem się czy opisać powyższe wydarzenie. Po pewnych wahaniach doszedłem jednak do wniosku, że należy to uczynić ku przestrodze innych potencjalnych Rosołków. Za chwilę tryumfu, za nikczemne podlizanie się władzy w nadziei na ochłap niech płacą cenę. Cenę pogardy i wstydu, przez całą resztę swojego parszywego życia. Dla zdrajców i renegatów jest to jedyna odpowiedź. Kula w łeb!
Ujawniając powyższe fakty, dokonuję na nim swoistej egzekucji. Jako zdradzony mam do tego pełne prawo. Rachunki między nami, uważam za wyrównane.

Rozdział XXII
KU PRZYSZŁOŚCI

Wiosną 1994 wykonałem ostatnie posunięcie na niwie samorządowej. Po zaprzedaniu się Sińskiego i zdradzie Rosołka – oszołomy praktycznie już nie istniały. Wspólnie z Markiem Kanią, Rajmundem Kubisą i Józefem Waludą zawiązałem nieformalny klub. Wystąpiliśmy z wnioskiem o przeprowadzenie specjalnej sesji poświęconej mechanizmom sprawowania władzy. Miałem świadomość, że w obecnej kadencji niczego już nie uda się naprawić. Gdyby jednak przeprowadzić kilka uchwał cywilizujących dotychczas barbarzyńskie stosunki, byłaby to jakaś forma sukcesu, wieńcząca naszą kadencję pozytywnym akcentem. Dla ówczesnego samorządu nie miałoby to istotnego znaczenia, ale byłoby ciekawą spuścizną dla następców, aby już na wstępie nie powielali naszych błędów. Doświadczenie uczy, że tylko w początkach kadencji zanim wytworzą się układy i zależności można wprowadzić uregulowania o charakterze czyszczącym. Później staje się to niemożliwością, gdyż rządzący za pośrednictwem marionetek storpedują każdą inicjatywę zmierzającą w tym kierunku.

Przygotowałem pakiet dokumentów i rozkolportowałem wśród radnych. Wprowadziliśmy stosowny punkt pod obrady najbliższej sesji rady miejskiej.

W powyższych dokumentach odniosłem się do dziewięciu najbardziej bulwersujących kwestii, które były główną przyczyną korupcjogenną rodzącą oligarchiczny system rządów. Postulowałem między innymi, aby członków rad nadzorczych gminnych spółek, będących radnymi powoływała wyłącznie rada miejska, a nie zarząd. Również rada miałaby wyłączną kompetencję do ich odwoływania. Takie posunięcie miało na celu zmniejszenie liczby radnych – klientów zarządu. W celu przełamania wprowadzonej przez Zagułę blokady informacyjnej, domagałem się zadekretowanego prawa do korzystania przez radnego z każdego dokumentu będącego w zasobach urzędu, a nie objętego tajemnicą państwową. Postulowałem, aby każdy projekt uchwały zanim trafi pod obrady rady, posiadał stosowną opinię odpowiedniej komisji. Do tej pory było to rzadko praktykowane. Wnosiłem o zakaz zajmowania przez radnego stanowiska w administracji samorządowej i kierowniczych funkcji w komórkach będących w gestii gminy. Stanowiska w urzędzie i gminnych jednostkach organizacyjnych były bowiem głównym instrumentem pozyskiwania przez zarząd dyspozycyjności radnych. Wnosiłem również, iż aby rada mogła podjąć decyzję o przystąpieniu do spółki prawa handlowego lub związku międzygminnego musi wcześniej być zapoznana z jego statutem. Dotychczas nie zawsze było to praktykowane. Zdarzały się przypadki, że statut danego związku lub spółki był korzystny dla niej, a nie gminy jako udziałowca. Postulowałem, aby zarząd miasta na każdej sesji składał przed radą

sprawozdanie z podejmowanych w tym okresie decyzji wraz z uzasadnieniem. Dotychczas nigdy nie było to praktykowane. Członek zarządu, zwłaszcza prezydent był raczej Bogiem, a nie urzędnikiem na usługach społeczeństwa. Domagałem się, aby każdy urzędnik z prezydentem na czele musiał w przewidzianym przez KPA terminie, udzielić pisemnej odpowiedzi na każde zapytanie radnego. W tym przypadku domagałem się tego, co i tak prawo gwarantowało, ale przez rządzących było ono często ignorowane. Domagałem się obowiązku składania okresowych sprawozdań przez członków rad nadzorczych spółek gminnych, odnośnie podejmowanych decyzji i kondycji finansowej nadzorowanych przez nich firm. To samo miało dotyczyć kierowników gminnych jednostek organizacyjnych. Do tej pory w ogóle nie było to praktykowane. Radni, członkowie rad nadzorczych kasowali pieniądze z tego tytułu i na tym ich odpowiedzialność się kończyła. Nigdy nie przedkładali żadnego sprawozdania. W wielu przypadkach nawet na tym się nie znali. Rady nadzorcze to podstawowa synekura i wyłącznie w tych kategoriach były rozdawane. O kondycji gminnych przedsiębiorstw też radny nie miał pojęcia. Okresowo tylko domagano się od niego podniesienia ręki, celem zwiększenia dotacji z budżetu, gdy dana spółka popadała w tarapaty finansowe.
Generalnie, postulowałem przyjęcie przez radę stosownych zapisów i ich późniejsze przeniesienie do statutu miasta, poprzez wprowadzenie do już istniejącego stosownych korekt.

Do dyskusji nad powyższymi zagadnieniami jednak nie doszło, gdyż – Henryk Zaguła – oświadczył, że nie będzie łamał sobie głowy nad wymysłami jakiegoś – Frączka. Jeżeli Frączek chce polemizować z metodami sprawowania przez niego urzędu, to wcześniej musi dysponować na sali 23 głosami. Dopiero wówczas może być dla niego partnerem w jakiejkolwiek dyskusji (taka liczba była wymagana do zniesienia prezydenta z urzędu).
Pozostawię to bez komentarza....

Typowy przykład arogancji i chamstwa lokalnego kacyka. Był absolutnie pewien swego stanu posiadania. Dysponował wówczas 2/3 radnych kupionych publicznym groszem i nie musiał nawet zabiegać o pozory politycznej przyzwoitości. W konsekwencji jego postawy, wprowadzony już pod obrady punkt został natychmiast zdjęty z porządku. Większość marionetek tylko komicznie się uśmiechała, będąc rozbawiona stylem w jakim ich Heniek rozprawił się z oszołomem.

Z mojej strony była to ostatnia próba publicznego działania w trakcie trwania tej kadencji. Cała stawka należała do niego i jego oligarchii, która istniejący stan akceptowała, partycypując w podziale związanych z władzą dóbr i profitów.

W analogicznym okresie podjąłem pewną aktywność na odcinku gospodarczym. Od kilku lat byłem związany z Górnośląskim Towarzystwem

Gospodarczym z siedzibą w Katowicach. Właśnie tam dowiedziałem się, że w sejmowej komisji ds. Gospodarki trwają prace nad ustawą o Specjalnych Strefach Ekonomicznych. Należało się spodziewać stosunkowo szybkiego przyjęcia przez parlament regulującej to zagadnienie ustawy. Tworzyło to możliwość podjęcia pewnych działań mogących przyczynić się do rozkręcenia koniunktury gospodarczej. Nadmieniam, że Zagłębie było i jest bardziej zacofane ekonomicznie, niż część typowo śląska. Tutaj likwidacji ulegało więcej przedsiębiorstw państwowych i występowała wyższa stopa bezrobocia. Ustawa o Specjalnych Strefach Ekonomicznych miała wprowadzić na obszarach szczególnie zagrożonych pewne ulgi dla inwestorów, chcących w jej obrębie lokować swoje przedsięwzięcia. Ulgi te miałyby obowiązywać przez 10-20 lat i być magnesem do przyciągania zewnętrznego kapitału, co pozwoliłoby z kolei na ustanowienie nowych miejsc pracy.
Aby starać się o przyznanie klauzuli SSE, należało oddolnie utworzyć lobby naciskowe, które podjęłoby odpowiednie działania lobbystyczne. Każdy rząd liczy się wyłącznie ze stroną zorganizowaną. Za cel postawiłem sobie zorganizowanie takiego nacisku. Od Pawła Podsiadły – prezesa Górnośląskiej Agencji Przekształceń Przedsiębiorstw – pozyskałem nieco środków finansowych, które pozwalały na zorganizowanie pierwszego sygnalnego forum. W celu uzyskania lokalnego partnera zwróciłem się do Lecha Modelskiego – prezesa Zagłębiowskiej Izby Gospodarczej proponując mu rolę współorganizatora. Całość spraw organizacyjnych i finansowych wziąłem na siebie. On, jako lokalny partner miał dać wyłącznie szyld.

Wynająłem salę w Dąbrowskim Pałacu Kultury i przygotowałem kilkaset zaproszeń. Celem nagłośnienia przedsięwzięcia zadbałem również o pozyskanie mediów, zwłaszcza tych funkcjonujących w skali regionalnej. Z początkiem kwietnia 1994 do kilkuset dyrektorów przedsiębiorstw i firm oraz kręgów bankowych z terenu Zagłębia wystosowałem zaproszenia na pierwsze spotkanie poświęcone tej problematyce.

20 kwietnia odbyło się forum. Składało się z dwóch części. Pierwsza poświęcona była idei utworzenia SSE, druga dotyczyła funkcjonowania Agencji Rozwoju oraz Towarzystwa Ubezpieczeń Wzajemnych. Frekwencja była wyższa od przewidywanej. W pewnym momencie nie wszyscy mieścili się w wynajętej sali. Świadczy to o znacznym zainteresowaniu jak również skutecznej organizacji.

Zebrani na pierwszej części przedstawiciele środowiska bankowo-przemysłowego w zdecydowanej większości poparli przedłożoną ideę wystosowania do Premiera Rządu RP listu intencyjnego dotyczącego utworzenia na naszym terenie Specjalnej Strefy Ekonomicznej. Przygotowaliśmy projekt, jednak zebrani doszli do wniosku, że należy go przeredagować. Tę rolę wzięli na siebie przedstawiciele Zagłębiowskiej Izby Gospodarczej, podobnie jak poprowadzenia dalszej fazy działań lobbystycznych. Przez obie części forum

przewinęło się ponad 150 uczestników. Było to moje pierwsze, niestety pyrrusowe zwycięstwo na niwie polityki gospodarczej. Pyrrusowe dlatego, że nie byłem w stanie odpowiednio go zdyskontować. Moja pozycja jako działacza publicznego była bowiem zbyt niska, praktycznie żadna. Oczywiście mogłem organizować spotkania, nawet osiągać doraźne sukcesy, ale i tak właściwa konsumpcja należy do tych, którzy w hierarchii społecznego prestiżu stoją znacznie wyżej. Takie reguły rządzą światem polityki.

W ostatecznym rozrachunku głównym beneficjentem powyższego przedsięwzięcia został – Lech Modelski i jego Zagłębiowska Izba Gospodarcza. Ja mogłem wpaść na pomysł, stworzyć fakt w sensie organizacyjnym i medialnym. Oni jako istniejący podmiot gospodarczy mogli go dalej konsumować. Pierwsze w Zagłębiu forum, poświęcone polityce gospodarczej stało się faktem.

Jakież było moje zaskoczenie, kiedy ponad rok później w trakcie prac nad Kontraktem dla Śląska, wypłynęła i zaczęła być materializowana koncepcja SSE. A więc moje wysiłki nie poszły na marne, coś po nich pozostało. Byłem niewątpliwie prekursorem tego przedsięwzięcia, chociaż nie posiadałem ani pieniędzy, ani prestiżowego stanowiska.

W świetle wydarzeń w radzie miejskiej i doświadczeń sprawy Rosołka zrozumiałem, że w obecnych uwarunkowaniach nie mogę już niczego konstruktywnego zdziałać. Stopień zeszmacenia ludzi już dawno przekroczył jakiekolwiek granice względnej przyzwoitości. Należało jakoś przetrwać do końca kadencji, większe akcenty kładąc na pracę nakierowaną na przyszłość. Tylko nadchodzące wybory mogą zmienić ten niekorzystny trend.

Podjąłem pracę, celem zawiązania prawicowej koalicji wyborczej. Było nas mało. Trochę UPR-ców, kilku związanych z nurtami katolickimi (dość niepopularnymi na tym terenie), kilku ode mnie, garść z PC. Jakieś kilkanaście osób, prawie wszyscy dyletanci dla których mechanizmy władzy były wyłącznie abstrakcją. Ale, jak już pisałem, jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. Do gry przystępuje się z takimi kartami, jakie są, a nie jakie się chce posiadać. Więc przystąpiłem. Zarys strategii był następujący. Zbudować jak najszerszą koalicję, składającą się z różnych kanapowych sił, ale ludzi uczciwych. KPN nie akceptowałem, ponieważ zbudowany był na bazie ludzi cynicznych i obłudnych, w dodatku powiązanych z rządzącą oligarchią. To właśnie z KPN rekrutował się jeden z członów familii. Podpięli się pod tę partię po jej sukcesie w wyborach parlamentarnych 1991, upatrując w niej szansę ustawienia się w przyszłości. Ponieważ KPN-wi brakowało ludzi, więc brali cały ten złom z rady miejskiej, oczywiście głośno krzycząc o uczciwości. Hipokryci. Trzonem tworzonej koalicji była kierowana przeze mnie Partia Konserwatywna, Porozumienie Centrum i Unia Polityki Realnej. Teraz należało ją poszerzyć o NSZZ

Solidarność, Komitet Obywatelski i Unię Demokratyczną. Kilka słów o tej ostatniej.

Unię Demokratyczną stanowiło wówczas kilka osób z Tadeuszem Świąciem na czele. Poznałem go nieco wcześniej na rozmowach sondażowych, kiedy byłem w KLD. Świąć był starszym mężczyzną, stosunkowo poukładanym, robiącym wrażenie człowieka uczciwego z jedną jak na polityka istotną wadą. Brak mu było przenikliwości i refleksu. Jak przystało na unitę był bardzo powolny w działaniu. A czarne chmury już się nad jego głową gromadziły. Lesław Klimczyk (zastępca Zaguły) przezornie już wcześniej wstąpił do tej partii. Zaguła z Bosakiem formalnie jeszcze należeli do KLD, ale połączenie obu tych formacji było wyłącznie kwestią dni. Nie miałem żadnych złudzeń, że w najbliższym okresie – Świąć zostanie odstrzelony i grupa Zaguła-Klimczyk-Bosak przejmie kontrolę nad nowopowstałą Unią Wolności. Garść poczciwców nie jest bowiem w stanie wytrzymać konkurencji ze starymi, zahartowanymi w bojach weteranami, znającymi meandry władzy i profity z niej płynące. Ówczesna Unia Demokratyczna była łakomym kąskiem, ponieważ posiadała 10% stabilny elektorat inteligencki. Byli tam ludzie nie skompromitowani, gdyż nie mieli jeszcze okazji zasiadania we władzach. Weszli w politykę zbyt późno. Postanowiłem pomóc sobie i im, zawiązując wspólne porozumienie. Należało się spieszyć, ponieważ połączenie z liberałami było już wyłącznie kwestią czasu. A po tym fakcie – Świąć – utraci kontrolę nad partią na rzecz Zaguły i Klimczyka. Ten ostatni już uwijał się jak w ukropie. Za pomocą osobistych kontaktów prowadził werbunek w środowisku medycznym. Krystyna Stępień czyniła analogicznie w środowisku nauczycielskim. Stawało się oczywistym, że to właśnie oni zmajoryzują w przyszłości tę partię. Jak do tego w przyszłości dołączy Zaguła ze swoimi to już kompletna klapa.

W takich realiach spotkałem się z Tadeuszem Świąciem, przedstawiając mu swoją wizję nadchodzących wydarzeń. Podkreśliłem, że jesteśmy zainteresowani zawiązaniem koalicji z reprezentowaną przez niego partią. Nalegałem, aby póki jeszcze ma w partii głos decydujący doprowadził do podjęcia uchwały o przystąpieniu do koalicji, choćby na zasadzie modus vivendi, z późniejszym uregulowaniem szczegółów. Podkreślałem, że musi się spieszyć, gdyż po połączeniu UD z KLD, straci kontrolę nad sytuacją i odda 10% elektorat w ręce jednostek niepożądanych. Odniosłem wrażenie, że moja argumentacja została przez niego przyjęta. Rzeczywiście podjął pewne zabiegi, ale przegrał w swoim obozie. Zgodnie z przewidywaniami napotkał na opór ze strony Lesława Klimczyka i Krystyny Stępień. Ci ostatni dobrze wiedzieli, że jeżeli do takiego porozumienia dojdzie, stracą nad nim kontrolę, gdyż nie będą siłą dominującą. Oszołomów panicznie się obawiano, gdyż byli stosunkowo trudni do podporządkowania swym zamierzeniom.
W UD zarysowały się dwa nurty: Świącia, który chciał koalicji z nami i

Stępień-Klimczyk, przeciwnych porozumieniu. Oczywistym było, że połączenie z KLD tę dysproporcję jeszcze pogłębi na rzecz strony nam nieprzyjaznej.

Licząc, że uda się odwrócić niekorzystny trend postanowiłem wejść do gry. Odbyłem kolejne spotkanie z panem Świąciem na którym złożyłem mu propozycję nie do odrzucenia. Polegała ona na przyjęcia przez niego na krótki okres około 10 osób od nas, celem przegłosowania odrzuconego uprzednio wniosku. Nadmienić należy, że w tamtym okresie odbywał się bardzo dynamiczny nabór do tej struktury, prowadzony przez Klimczyka i Stępień. Powodowało to fakt, że Świąć, aczkolwiek formalnie jeszcze był przewodniczącym, to jednak już w tym gremium nie posiadał wpływu na bieg wydarzeń. Argumentowałem, że jest to jedyny sposób, by politycznie skompromitowanym jednostkom zastopować przyszłe wyniesienie na barkach elektoratu jego partii. Świąć jak przystało na niepoprawnego poczciwinę moją ofertę odrzucił. Stwierdził, że woli przegrać, niż posunąć się do proponowanych przeze mnie metod. Nie rozumiał do czego zdolna jest jego konkurencja. Przepowiedziałem mu, że wobec powyższego nie wróżę mu dłużej niż pół roku na stanowisku przewodniczącego. I tak w przyszłości się stało.

Po wyborach samorządowych 1994, układ Zaguła-Stępień-Klimczyk usunął go z tej funkcji, gdyż posiadał w powstałej Unii Wolności zdecydowaną przewagę liczebną. Świąć odszedł w polityczny niebyt. Zapłacił cenę politycznej eliminacji za to, że nie przyjął mojej propozycji. Przegrał pięknie to fakt, ale jak uczy doświadczenie, przyszłość zawsze należy do zwycięzców. Po odmowie Święcia jedno stawało się oczywiste. Unia jako potencjalny koalicjant wyborczy była dla nas bezpowrotnie stracona i to na długie lata.

Z DKO sprawy wyglądały nieco inaczej. Henryk Jasiak – przewodniczący tej struktury przyjął nasze zaproszenie, ale tylko po to, by zażądać pisemnego zaproszenia do rozmów. Wówczas jeszcze nie wiedziałem skąd się brały u niego takie zapędy biurokratyczne. Kiedy spełniliśmy ten wymóg – stwierdził z kolei, że nie posiada upoważnienia swojego zarządu do zawarcia koalicji, i może z nami wyłącznie prowadzić rozmowy dla samego ich faktu. Stawało się oczywistym, że facet uskutecznia swoistą grę na zwłokę polegającą na z jednej strony niepaleniu mostów, a z drugiej na nie zajmowaniu wiążącego stanowiska, z którego później trudno by mu było się wycofać. Na czym miała polegać ta taktyka wyczekiwania, tego nie rozumiałem. Faktem jest, że miała dla obu stron opłakane skutki. Dystans DKO do wiążących ustaleń skutkował brakiem wytworzenia się naturalnych więzi międzyludzkich, które siłą rzeczy wytwarzają się podczas bezpośrednich kontaktów. A cóż w polityce może bardziej zbliżać ludzi niż wspólne rozmowy i wypracowywanie w ich trakcie jednolitych stanowisk. Ze względu na błędny ruch Jasiaka tego elementu zabrakło. Między obu stronami utrwalił się pewien stopień wzajemnej nieufności. Jest to o tyle dziwne, że posiadaliśmy daleko posuniętą zbieżność

programową i podobnie ocenialiśmy dotychczasowe patologie. Między nami nie było żadnych różnic natury programowej, uniemożliwiających ewentualne porozumienie. Tym bardziej niewytłumaczalna stawała się realizowana przez niego taktyka wyczekiwania. Wyczekiwać można tylko wówczas, gdy istnieje możliwość, że w najbliższym okresie wejdą w życie nowe elementy, które mogą spowodować istotny wpływ na bieg wydarzeń. W owym czasie takich elementów nie dostrzegałem i rzeczywiście nie występowały. Dzisiaj wiem, że u podstaw powyższej decyzji leżały względy natury ambicjonalnej. W DKO – Jasiak był niekwestionowanym liderem, w koalicji byłby tylko jednym z kilku równoprawnych partnerów. I ten element miał dla niego znaczenie kluczowe. Obawiał się szerszej koalicji, aby nie stracić na swoim prestiżu. Wolał być szefem słabszego DKO, niż jednym z równoprawnych partnerów w ramach szerszej koalicji. Kalkulacje wyborcze w konfrontacji z jego ambicją nie miały większego znaczenia. Czas płynął, wybory zbliżały się milowymi krokami, a nasze relacje z DKO były ciągle w zawieszeniu. Ponieważ było już wiadomym, że Unia Wolności jest dla nas stracona, tym bardziej DKO było pożądane.

W końcu doszedłem do wniosku, że należy przerwać dotychczasowe gierki i rozstrzygnąć kwestię w sposób definitywny. Rozpoczęliśmy dyplomatyczną ofensywę na odcinku DKO. Polegała ona na systematycznym urabianiu poszczególnych jego członków, celem prowadzenia wspólnej polityki. W operacji tej, oprócz mojej osoby brali udział: Elżbieta Zwolińska i Rajmund Kubisa (posiadali kontakty z niektórymi członkami DKO). Jasiak mimo, że był przeciwny koalicji, nie mógł jednak oficjalnie wystąpić przeciwko większości swoich członków. Trzeba przyznać, że ofensywa przyniosła pewne rezultaty. Przez zarząd DKO zostaliśmy zaproszeni na spotkanie, celem przedyskutowania zagadnienia. Udałem się wspólnie z Elżbietą Zwolińską. Atmosfera była raczej przychylna. Przedstawiliśmy nasze tezy programowe, zaapelowaliśmy o wspólną koalicję i odpowiedzieliśmy na kilka pytań. Z tego co do mnie dotarło, po naszym wyjściu odbyła się w tym gremium sondażowa dyskusja. W jej wyniku, większość opowiedziała się za przystąpieniem do koalicji. W drodze rewanżu zaprosiliśmy ich na posiedzenie naszej Rady Koalicyjnej, celem ostatecznego dopracowania stanowisk i wstępnego ustalenia parytetów na listach wyborczych.

W powyższym spotkaniu nie mogłem jednak wziąć udziału, gdyż byłem pochłonięty organizowaniem Forum Gospodarczego. Byłem przeświadczony, że moja obecność nie jest konieczna. Sytuacja z DKO jest już wyprowadzona na właściwy tor, a drobne niuanse mogą zostać rozwiązane bez mojego udziału. Jakże się myliłem.... Gdybym wówczas był w stanie przewidzieć konsekwencje tej nieobecności, zmieniłbym swoje priorytety.

Zgodnie z ustaleniami na najbliższe posiedzenie Rady Koalicji stawiła się kilkuosobowa delegacja DKO i z miejsca została zaatakowana przez młodego

działacza UPR – kwestią stosunku do podatków. UPR-owiec (wówczas student) – Robert Sierociński – nie posiadający przygotowania politycznego, w sposób wręcz obsesyjny domagał się obniżenia podatków do granic bankructwa gminy. Nie będę się rozwodził nad jego teoriami. Czystym idiotyzmem ze strony UPR był fakt wystawienia do Rady Koalicji – młodego, ortodoksyjnego studenta, który o samorządzie lokalnym wiedział tyle, co ja o gramatyce języka chińskiego. Tupetu i zacietrzewienia to mu jednak nie brakowało. Zjawisko to dobitnie zaświadcza o politycznej odpowiedzialności tych ludzi. Młody, zacietrzewiony UPR-wiec z wrodzoną sobie pasją zaraz na wstępie zaatakował przybyłą delegację DKO. Doszło do ostrej wymiany zdań, w trakcie której nazwał ich socjalistami (wszystkich tak nazywał, łącznie ze mną). Efekt był piorunujący. Przedstawiciele DKO, którzy przyszli z nastawieniem na tak, kiedy już wychodzili byli zdeterminowani na nie. Gdy kilka dni później dotarła do mnie wiadomość o powyższym zajściu, podjąłem jeszcze jedną próbę odwrócenia biegu wydarzeń. Było już jednak za późno. DKO podjęło ostateczną decyzję. Idą do wyborów samodzielnie. Czas na układy się skończył. Tak oto w ciągu jednej godziny młody student skutecznie rozpruł konstrukcję, nad którą ja pracowałem miesiące. Tak bywa, gdy w polityce za swoich partnerów ma się jednostki nieodpowiedzialne.

Równolegle od kilku miesięcy prowadziłem zabiegi, celem pozyskania MKK NSZZ Solidarność. Ponieważ znałem ortodoksyjne w tym przedmiocie nastawienie UPR – nie wtajemniczałem ich w szczegóły, wychodząc z założenia, że takową konstrukcję z definicji będą chcieli rozpruć. Nawiązałem kontakt z ówczesnym przewodniczącym MKK – Kazimierzem Dąbrowskim. Odbyliśmy nawet kilka spotkań, ale i na tym odcinku sytuacja się nie klarowała. Mimo, że z Dąbrowskim osiągnąłem zbieżność stanowisk, to jednak pojawił się problem. Facet bał się samodzielnie podjąć decyzję – twierdząc, że przez związkowców mogłoby to być odebrane jako przejaw przekroczenia kompetencji. Ustaliliśmy, że w krótkim czasie doprowadzi do zebrania przewodniczących poszczególnych komisji zakładowych, gdzie dołoży wszelkich starań, by przeforsować korzystne dla nas stanowisko. Nigdy jednak do tego nie doszło, gdyż działacze związkowi nie przejawiali zainteresowania lokalną problematyką. Bardziej ich interesowały stołki w zakładach pracy, niż interes miasta w którym mieszkają. Włączenie się w proces wyborczy, uważali za fakt abstrakcyjny, ich nie dotyczący. Kropkę nad „i” postawiło niefortunne zarządzenie Zarządu Regionu – mówiące o polityce niezaangażowania struktur związkowych w bieżące wydarzenia polityczne. W świetle powyższego moje zabiegi na tym polu musiały się zakończyć totalną klapą.

Fiasko poniosłem również na osi stosunków z Jerzym Talkowskim. Od kilku miesięcy prowadziliśmy okresowe rozmowy, celem osiągnięcia pewnego zbliżenia. Talkowski po swoich porażkach założył Dąbrowskie Stowarzyszenie

Ekonomistów i deklarował chęć startu w wyborach lokalnych. Nasze rozmowy, aczkolwiek prowadzone z pewnym taktem i w atmosferze sympatii nie były jednak kompletne, ponieważ świadomie unikałem jakiejkolwiek deklaracji na temat jego politycznego umocowania. Zdawałem sobie sprawę, że w jego psychice głęboko jest zakorzeniona przemożna chęć ponownego objęcia funkcji prezydenta miasta. A na to z kolei, znając jego konstrukcję psychiczną i polityczny infantylizm nie mogłem przystać. Jedyne, co mogłem mu zaoferować, to rolę przewodniczącego rady miejskiej: funkcję płatną, aczkolwiek wyłącznie reprezentacyjną. Ale czy jego ego mogło to zaakceptować? Oczywiście, że nie! Wiedząc, że jest to temat drażliwy, dyskretnie unikałem jakichkolwiek odniesień do niego. On z kolei dyskretnie nie pytał. Łączyła nas pewna nić sympatii, determinacja w podjęciu działań antykorupcyjnych oraz krytyczne stanowisko w przedmiocie Zaguły i jego oligarchii. Dzieliły wiek, temperament polityczny i spojrzenie na otaczającą rzeczywistość. Rozmowy prowadziliśmy, jednak w dalszym ciągu brakowało pozytywnego finału.

Kiedy spotkaliśmy się na ostatniej rozmowie przed wyborami i ponowiłem deklarację jego przystąpienia do koalicji – odpowiedział, że jest to już niemożliwe. Dąbrowskie Stowarzyszenie Ekonomistów podjęło bowiem decyzję, że pójdzie do wyborów samodzielnie. Gdyby ta rozmowa nastąpiła miesiąc wcześniej, to on by optował zdecydowanie za. Obecnie nie może już tego zmienić, ponieważ wstępnie dokonali już przymiarek personalnych. Gdyby weszli w koalicję, iluś jego członków siłą rzeczy musiałoby wypaść z listy, co spowodowałoby animozje i tarcia personalne, a tego chce uniknąć.

Jego argumentacja nie trzymała się kupy. Rozmawialiśmy od kilku miesięcy. Znał moje stanowisko w przedmiocie budowy koalicji wyborczej i grał na wyczekanie. Bezpośrednią tego przyczyną był brak z mojej strony deklaracji, iż widzimy jego osobę jako przyszłego prezydenta. Ponieważ takiej deklaracji nie otrzymał, wolał startować ze śmiesznego komitetu, który był całkowicie w jego orbicie wpływów. Ale tego nie odważył się już powiedzieć. Zamiast prawdy, uraczył mnie czarującą bajeczką.

Moje zabiegi o utworzenie szerokiej koalicji, która mogłaby być siłą alternatywną w stosunku do SLD – spaliły na panewce. Unia Wolności odpadła, ponieważ przychylny Świąć, przegrał wewnętrzną rywalizację z obozem Zaguły. Chwiejne DKO, po ciężkich zabiegach zmolestowane, przepłoszył ortodoksyjny UPR-wiec. Solidarność przyjęła politykę niezaangażowania. Jerzy Talkowski z kolei, potrzebował obietnicy otrzymania w przyszłości fotela prezydenta miasta.

Już wówczas szacowałem notowania SLD w granicach 30-40% i miałem świadomość, że tylko szeroka koalicja mogłaby być przeciwwagą dla powstania w przyszłości nowej SLD-kiej oligarchii. Niestety, jak wykazałem powyżej nie wszyscy przejawiający ambicje polityczne myśleli takimi samymi kategoriami. Efektem ich zachowań mogła być wyłącznie klęska wyborcza. I tak też się stało.

Przed samym aktem głosowania łudziłem się jeszcze, że może gdzieniegdzie uda nam się urwać chociaż po jednym mandacie w okręgu. Ale nawet i te marzenia były przesadzone.

Po wyczerpaniu wszelkich możliwości poszerzenia sojuszu, usiedliśmy w gronie dotychczasowych koalicjantów, by ostatecznie ułożyć listę wyborczą. Nazwaliśmy ją Dąbrowskie Porozumienie Prawicy „Przymierze dla Dąbrowy". Wystawiliśmy kandydatów we wszystkich okręgach wyborczych w pełnej obsadzie. Kampania wyborcza ruszyła....

Rozdział XXIII
LEWA WOLNA

Tuż przed kampanią otrzymałem informację, że księża w gołonoskich kościołach uprawiają propagandę na rzecz wyboru Henryka Zaguły. Szczególnie wyróżniał się ksiądz z osiedla Morcinka. Oprócz wypowiedzi z ambony, wypisywał na jego cześć peany w parafialnej gazetce. Za jakiś czas sprawa się wyjaśniła. Któregoś dnia przechodząc wieczorową porą przez Gołonóg, znalazłem wyjaśnienie tego fenomenu. W świetle reflektorów służby miejskie, uwijając się jak w ukropie, kładły przed tamtejszymi kościołami kostkę brukową. Wszystko było jasne. Księża odpłacają się za ten ewidentny podarek. Nawet w Kościele kupczy się głosami wiernych. Co to znaczy, gdy jest się dysponentem publicznej kasy. Oprócz radnych można jeszcze pozyskać niektóre osoby duchowne. Bóg – Bogiem, a kostka brukowa – kostką. I tak konfrontację z Bogiem wygrała kostka brukowa. Wielki to wstyd dla Kościoła, dobitnie zaświadczający o moralnym obliczu tych, którzy ponoć mają być stróżami moralności.

Mimo fiaska szerokiej koalicji, liczyłem jeszcze na możliwość uzyskania jednego mandatu w okręgu. Nie była to już gra o władzę, ale o polityczne przetrwanie. Wyniki zaskoczyły nawet mnie. Nasza lista w żadnym okręgu nie przekroczyła nawet 5% głosów. To była prawdziwa masakra. Nastąpił fatalny zbieg okoliczności. Niska frekwencja rzędu 25% spowodowała, że do urn poszedł przede wszystkim bardziej zdecydowany elektorat lewicowy. Była to niemal połowa wszystkich, którzy w tym dniu pofatygowali się do urn wyborczych. W efekcie: SLD uzyskało - 20 mandatów, Unia Wolności - 11, DKO - 5, reszta przypadła bliżej nieokreślonym, ad hoc powołanym komitetom lokalnym. Drugą ciekawostką był fakt, że przeciętny wyborca nie miał świadomości na kogo oddaje swój głos. Przede wszystkim wybierano nauczycieli i lekarzy wyłącznie dlatego, że te dwa zawody uchodzą za prestiżowe i autorytatywne. Nie bez znaczenia pozostawał również fakt, że właśnie ci ludzie mają największy kontakt z szerokimi kręgami społecznymi. A że na ogół o mechanizmach władzy nie mają zielonego pojęcia, to już dla wyborcy mało istotny szczegół. Jest to dowód braku dojrzałej formy życia publicznego. To tłumaczy, dlaczego lokalna społeczność zachowuje się w tak irracjonalny sposób. Z jednej strony występuje brak dojrzałych form życia publicznego, z drugiej pranie mózgów uskuteczniane przez parafialnego księdza. Gdzieś w tle majaczy niechęć do oszołomów jako jednostek niezrównoważonych.

W ostatecznym obrachunku, lista wyborcza naszego komitetu przepadła z kretesem. W żadnym okręgu nie uzyskaliśmy mandatu. Muszę uczciwie przyznać, że skład personalny naszych kandydatów nie był co prawda najwyższych lotów, ale nawet i to nie tłumaczy tak niskich notowań.

Kandydowałem w okręgu gdzie mieszkam od 20 lat, gdzie chodziłem do szkoły, gdzie wielu ludzi mnie znało i otrzymałem 31 głosów. Dla porównania w 1990, mając 27 lat – otrzymałem na tym samym terenie – 350. Jest to ewidentny dowód, że lokalna społeczność dla prawicy zapaliła czerwone światło, dając zielone – SLD. Postawiono na lewicę i inteligentów z Unii Wolności. Od tej chwili to do nich należała arena. Przyjrzyjmy się nieco ich postępowaniu.

Dzięki elektoratowi Unii Wolności i propagandzie miejscowych księży – Henryk Zaguła – ponownie uzyskał mandat radnego. Stawało się oczywistym, że to on będzie rozgrywającym na politycznej szachownicy. Ze wszystkich nowo wyłonionych radnych, posiadał czteroletnie doświadczenie w sprawowaniu władzy wykonawczej. Znał istniejące realia i ludzkie słabości, zwłaszcza pęd do stołków i pieniędzy. Poza tym musiał walczyć o utrzymanie intratnego stanowiska prezydenta miasta, bez którego byłby – nikim. Teoretycznie był bez szans, ale tylko teoretycznie. Do reelekcji potrzebował 23 głosów radnych (rada 45 osobowa) przy obecności 2/3 ustawowego składu. Jego przewaga polegała na doświadczeniu, którego nowicjusze nie posiadali. SLD mając w radzie ewidentną przewagę rościło sobie pretensje do obsadzenia funkcji prezydenta, jednak jak na dyletantów przystało, przez tydzień nie potrafili wypracować konkretnego wskazania personalnego. Pretendentów do tej funkcji mieli aż trzech. Zwarli się w wewnętrznych podjazdach i utknęli na pozycjach wzajemnego zablokowania. A czas płynął i tylko jeden człowiek znał jego wartość, postanawiając wykorzystać koniunkturę jaką sprezentowali mu rywale. Był nim – Henryk Zaguła.

Wyszedł ze słusznego założenia, że wobec sztywnej opozycji ze strony SLD musi doprowadzić do skoncentrowania pod swoim przywództwem wszystkich pozostałych opcji. Nie było to szczególnie trudne, biorąc pod uwagę arogancję i głupotę postkomunistów. Cechowało ich jedno: rozumu za grosz, tupetu ponad stan. Przez pierwszy tydzień, będąc upojeni wyborczym sukcesem, wyłącznie pili gorzałę i odgrażali się, że teraz skoro wygrali wybory to wreszcie zaprowadzą w tym mieście swoje porządki. Ich tupet i arogancja rodziły niepokój u pozostałych. Obawiano się ich nadmiernej dominacji. Zaguła z kolei był nad wyraz miły, układny i przyjacielski, co zjednywało stronników. Na efekty nie trzeba było czekać. Zanim jeszcze postkomuniści wytrzeźwieli i uzgodnili kandydata na prezydenta, on posiadał wpływ na 25 pozostałych radnych. Rysująca się konfrontacja wypadała na jego korzyść, stosunkiem głosów 25:20. To, że SLD – dysponując miażdżącą przewagą dało się ograć może zawdzięczać wyłącznie własnej głupocie. Rzadko się zdarza, aby słabszy rywal pokonał silniejszego. W tym przypadku ze względu na perturbacje wewnątrz SLD, takie zjawisko wystąpiło. Zbyt wielu amatorów chciało zostać prezydentami. Zgodnie z maksymą, gdy swoi się biją zwycięża obcy, Zaguła osiągnął nad nimi przewagę taktyczną. Ponieważ jednak owe 25 głosów, które pozyskał nie było stabilne i postkomuniści mogli mu podkupić kilka osób,

postanowił być szybszy i scementować zawarty układ nadaniami. Wyszedł z logicznego założenia, że najbardziej stołków i prestiżowych funkcji pragną osoby, które są już drugą kadencję. Oni już mają rozbudzony system ambicjonalny, reszta to na razie świeże mięso armatnie i może poczekać. Zresztą mięso armatnie jest póki co w siódmym niebie, że w ogóle jak to niegdyś mawiano – znalazło się przy urzędzie. Najważniejsi są starzy. Tu miał pewien zgryz, gdyż ze starych, trafił mu się – Igor Czabara (przeciwko niemu skierował niegdyś wniosek do prokuratora) i Józef Waluda (DKO), który w poprzedniej kadencji był w opozycji do niego. Ale czegóż nie robi się dla utrzymania stanowiska?! Trzy miesiące wcześniej wdeptałby ich w ziemię, obecnie bez zmrużenia oka zaakceptował ich na stanowiskach nieetatowych członków zarządu. Im dawało to pewien wgląd w informację, prestiż i pieniądze, jemu gwarancję, że nie będą mu stawać okoniem. Później przyszła kolej na Marka Drożyńskiego (ten co zwołał zebranie przeciwko Zagule, a później pod pretekstem wysokiego ciśnienia nie stawił się). Drożyński wiedział, że to jest najlepszy moment żeby się sprzedać. Jego atutem była możliwość posiadania kontaktów zarówno na postkomunistów jak również na Zagułę. Mógł stosunkowo elastycznie przystać zarówno do jednych jak i drugich. Takich w polityce nazywa się obrotowymi. Czekał, kto więcej zaoferuje. Zaguła zaproponował mu przewodniczącego rady miejskiej. Postkomuniści nic. Przystał więc do Zaguły. Merytorycznej słabości i politycznemu dyletanctwu ludzi z SLD zawdzięczać należy fakt, że Zaguła zawarł i scementował koalicję składającą się z kilku podmiotów, natomiast oni nie potrafili pozyskać nawet jednego. Ciekawostką niech będzie również, iż będąc praktycznie w sytuacji przymusowej, aby tego dokonać nie musiał nawet sięgnąć do zasobów realnej władzy wykonawczej, czyli funkcji swoich zastępców.

Kiedy postkomuniści zorientowali się, że są na aucie, ściągnęli do pomocy jakiegoś posła; radzili, pertraktowali, ale było już za późno. Kości zostały rzucone. Zerwali sesję, by nie doprowadzić do jego ponownego wyboru (konieczność obecności 2/3 składu). Po prostu wstali i wyszli, by uniemożliwić ponowny wybór Zaguły. W końcu pogodzili się z porażką, zadawalając się funkcjami dwóch jego zastępców. Pierwszy etap formowania się nowej władzy został zakończony. Mimo początkowych antagonizmów, stosunkowo szybko osiągnięto względną stabilizację. Wszyscy zawarli układ z wszystkimi. Zaguła osiągnął zakładany cel, otrzymując ponownie fotel prezydenta. SLD podzieliło się władzą z Unią Wolności i Komitetem Obywatelskim. Bez wątpienia głównym beneficjentem był jednak – Zaguła. Mimo początkowych trudności udało mu się stworzyć pod swymi auspicjami koalicję, scementować ją stołkami i pobić silniejszego rywala – SLD. Fotel prezydenta został przez niego utrzymany.

Układ wszystkich z wszystkimi miał wszakże jedną zasadniczą wadę –

brak opozycji. A brak opozycji zawsze demoralizuje władzę. W tym przypadku także nie mogło być inaczej. Później zaczęła się zabawa nowych włodarzy. Oczywiście to co zaczęli wyrabiać nie miało nic wspólnego z wcześniejszymi deklaracjami. Ale któż przejmuje się takimi drobnostkami jak deklaracje wyborcze? Tłum potrzebny jest do momentu elekcji, później każdy już pilnuje swojego partykularnego interesu. I pilnowali.

Grzegorz Chojnacki (SLD) szybko załatwił sobie dobrze płatny stołeczek prezesa MPGK sp. zoo. Utworzono nawet zbędną komórkę pod nazwą Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji wyłącznie w jednym celu – zaspokojenia ambicji dwóch panów radnych: Stanisława Stokłosy i Zbigniewa Kałuży. Pierwszy został jego dyrektorem, drugi zastępcą. Pewien radny z zawodu lekarz – Zbigniew Podraza zapragnął zostać dyrektorem ZOZ i został. Oczywiście oficjalnie w drodze konkursu. Był jedynym kandydatem, ponieważ pozostali byli świadomi, że konkurs jest wyłącznie fikcją. Ten miał chociaż odrobinę honoru, ponieważ od momentu „wygrania konkursu" złożył mandat radnego. Jego zastępcą została z kolei radna – Beata Małecka-Libera (UW). Inna radna – Halina Koziak (UW) została naczelnikiem Wydziału Edukacji. Fajnie jest być przy korytku. Z tej karuzeli stanowisk postanowili również skorzystać KPN-cy, oficjalnie uchodzący za ludzi niezłomnych. Radny – Waldemar Śliwa (KPN) też szybko załatwił sobie stołeczek zastępcy prezesa MZUM. To, że w tym kierunku nie posiadał żadnych kwalifikacji, to już nieistotny szczegół, którego tylko oszołom może się czepiać. To co przedstawiłem, to tylko wierzchołek góry lodowej. Takie były owoce układu wszystkich z wszystkimi. Bezsporny jest jeden fakt. Nowi radni w ciągu niespełna pół roku osiągnęli stopień skorumpowania taki, jaki w poprzedniej kadencji wystąpił dopiero po trzech latach. Oczywiście przedstawione nadania nie byłyby możliwe bez woli i przyzwolenia Henryka Zaguły, piastującego funkcję decyzyjną. Ten wiedział, że każdy uwłaszczony pracuje na jego korzyść, ponieważ automatycznie staje się klientem podatnym na jego wpływy. Przecież Stanisław Stokłosa, dyrektor MOSiR wcześniej czy później przyjdzie do niego po dotację. To samo uczyni Podraza i Chojnacki. O prywatnych interesach nie wspomnę. I tak w ciągu półrocznej kadencji stworzono całkiem sprawną maszynkę do głosowania. Przecież każdy z uwłaszczonych wśród kolegów radnych posiadał kilka zaprzyjaźnionych osób. Później to już sama rozkosz – władza, władza i jeszcze raz władza, bez żadnych obciążeń i wszystko za publiczny grosz regularnie dostarczany przez Urząd Skarbowy.

Zaguła w poprzedniej kadencji ćwiczył te same mechanizmy i na jego rzecz nie mogą pracować żadne okoliczności łagodzące. Czynił to z pełną świadomością i premedytacją. Przekupstwo było jedynym mechanizmem władzy jaki on uznawał. Nie czynił tu niczego odkrywczego. Gdzież teraz są księża, którzy za kostkę brukową prali mózgi wiernym, by głosowali na tego męża opatrznościowego? Czy któryś z nich miał chociaż na tyle odwagi

cywilnej, by wystąpić z ambony i stwierdzić:

- Przepraszam, popełniłem błąd! – gdzież tam.

Gdzie podziali się naiwniacy, stadnie głosujący na postkomunistów licząc, że ci zgodnie ze swoją dewizą utworzą raj na ziemi. Utworzyli, ale dla siebie. Gdzież ta inteligencja: nauczyciele, lekarze, urzędnicy – głosujący na eleganckich państwo z Unii Wolności, jedynej tamie kładącej kres oszołomom. A ci co głosowali na niezłomnych KPN-ców, którzy błyskawicznie się uwłaszczyli?

Co stało się w czerwcu 1994? Według mojej oceny, niewyrobiona lokalna społeczność zagłosowała tak, jak zagłosować mogła. Nie na argumenty i realia, lecz na wyobrażenia i nadzieje. Nadzieje, które w konfrontacji z rzeczywistością prysły jak bańka mydlana. Jakąś też część odpowiedzialności ponosi piszący te słowa, który mimo iż 15 lat funkcjonował w polityce nie potrafił, chociaż takie próby podejmował, utworzyć skutecznej alternatywy wyborczej. Alternatywy opartej na programie, zasadach i ludziach mających je później wcielić w czyn. Chęci miałem dobre, sytuację też oceniałem w miarę realistycznie, ale zabrakło odrobiny szczęścia. Polityka wszakże nie ocenia się po chęciach, lecz skuteczności. A ta, jak wykazało doświadczenie była zerowa.

Odsunięty od działalności publicznej, odrzucony przez społeczeństwo widząc, co się wokół wyprawia postanowiłem przejść do pracy formacyjnej, sięgnąć do podstaw. Od Mirosława Wróbla – pełniącego wówczas funkcję dyrektora ds. Restrukturyzacji Huty Katowice uzyskałem nieco wsparcia i jak przystało na oszołoma, postanowiłem ruszyć z lokalnym wydawnictwem. Wychodziłem z założenia, że społeczeństwo nie jest złe samo w sobie tylko niedoinformowane. Gdyby znało prawdę, zachowywałoby się racjonalniej. Jak na rewolucjonistę przystało, przystąpiłem do jego uświadamiania. Tak powstał „Obserwator Regionalny”. Udało mi się zgromadzić kilka osób i ruszyliśmy. Pierwsze artykuły o dąbrowskim establiszmencie wywołały u rządzących istną furię. Urzędnicy Zaguły, zwłaszcza z pionu prawnego odgrażali się procesami sądowymi. Zacierałem ręce. Tego potrzebowałem. Nie mając środków na reklamę potrzebowałem reklamy bezpłatnej. A nic lepiej od procesu sądowego nie służy temu celowi. Identycznie zaczynał Piotr Wierzbicki z „Gazetą Polską”. Wszystkie regionalne media natychmiast by to podchwyciły. Przegranego procesu nie musiałem się obawiać, ponieważ chociaż pisałem ostro, to na wszystkie poruszane kwestie posiadałem podkładki. Oczywiście urzędnik o tym nie wiedział, ponieważ z definicji – myślenie nie jest najsilniejszą stroną tej profesji. Z niecierpliwością oczekiwałem na proces. Niestety, Zaguła nie zdecydował się na taki ruch. Byłem zrozpaczony. Sprzedaż szwankowała i nawet w 10% nie pokrywała kosztów druku. Próba zorganizowania dalszych środków spaliła na panewce ze względu na moją niską pozycję społeczną. Po wydaniu dwóch obiecujących numerów sytuacja zmusiła mnie do zawieszenia wydawnictwa. Być może kiedyś, kiedy odwróci się niekorzystny trend powrócę do niego. Jest to jedno z moich największych pragnień, jak do tej pory

niespełnionych.

W międzyczasie ruszyła kampania wyborcza na Urząd Prezydenta RP (1995). Znalazłem się w Komitecie Wyborczym Adama Strzembosza, a później Hanny Gronkiewicz-Waltz. Wałęsy nie trawiłem. Uważałem go za nieokrzesańca i największego ze znanych mi nieudaczników. Nie znam w historii drugiego takiego przypadku, aby jednostka posiadająca tak duży społeczny autorytet (1990), bez udziału czynników zewnętrznych, tylko na skutek własnej głupoty została jedną z najbardziej znienawidzonych osób w kraju. Dla niego każdy człowiek był wyłącznie zderzakiem, który należało utrącić, gdy tylko zaczął się wyróżniać z tłumu, aby czasem nie zagroził wodzowi. Wykończył kilkaset, całkiem wartościowych jednostek, otaczając się miernotami. I wreszcie problem lustracji, ściśle z tym związana teczka „Bolka", którą podstępnie wykradł i przetrzebił. Cóż za obłuda.

Angażowałem się jeszcze w referendum uwłaszczeniowe (1996) po stronie Solidarności. Utworzyliśmy w Katowicach wspólny Komitet Referendalny. Tutaj z kolei większość wyborców głosowała właściwie, ale frekwencja była zbyt niska. W Dąbrowie nie przekroczyła 25%, kolejne fiasko.

Wszystko wokół wskazywało, że historia zatoczyła koło. Zarówno na szczeblu krajowym jak i lokalnym przyszłość należała do tych, którzy już wcześniej rządzili i to z opłakanym skutkiem. Wszędzie SLD, SLD i jeszcze raz SLD, ani jednego oszołoma. Lewa wolna.

Rozdział XXIV
UPADEK ZAGUŁY

Objąwszy ponownie fotel prezydenta – Henryk Zaguła – był bardzo pewny siebie. Z upodobaniem przeprowadzał praktyki znane mu z poprzedniej kadencji. W jednej kwestii jednak się pomylił. Nie docenił zwartości i zdyscyplinowania ludzi SLD. Był przekonany, że przekupił ich już odpowiednią liczbę i że z tej flanki nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo. Ci ostatni od początku nie akceptowali jego osoby. Był dla nich zdrajcą, renegatem, który w okresie przełomu dla osiągnięcia partykularnych korzyści przeszedł na stronę przeciwną. Uznać go musieli, gdyż w początkowej fazie taki był układ sił. Ustępstwo to było tymczasowe, wymuszone przespaniem korzystnej początkowej koniunktury. Jego reelekcja była dla nich czymś w rodzaju obrazy majestatu. Cały czas była w ich mniemaniu plamą na honorze, którą jak najszybciej należało zmyć. Wszak SLD uzyskało największą liczbę mandatów. We wszystkich okolicznych miastach to ludzie tej formacji sprawowali władzę wykonawczą. W Dąbrowie musieli się zadowolić wyłącznie fotelami zastępców (Marek Dul, Ewa Gronkowska). Radni tej formacji otrzymali oczywiście stosowne nadania (spółki komunalne, rady nadzorcze), ale tego jak zawsze jest za mało. Pragnęli pełni władzy. Jego nie trawili, aczkolwiek tolerowali ze względu na istniejące realia.

W takiej sytuacji w 1996 doszło do przesilenia. Katalizatorem procesu była lansowana przez Zagułę, koncepcja utworzenia Centrum Oświaty. W jego zamyśle miała to być komórka dublująca kompetencje Wydziału Edukacji. Miała być pośrednikiem w przepływie finansów między urzędem a poszczególnymi szkołami, które miasto przejęło w ramach powiatowego programu pilotażowego. Komórka absolutnie zbędna i do niczego nie pasująca. Motyw podjęcia powyższej decyzji był prozaiczny. Ówczesna przewodnicząca Unii Wolności – Krystyna Stępień – widząc, że wszyscy co bardziej ambitniejsi załatwiają sobie posadki i tworzą drobne imperia, postanowiła również wykroić coś dla siebie. Ponieważ była dyrektorem jednej ze szkół podstawowych, problematyka oświatowa była jej najbliższa. Koncepcja Centrum Oświatowego była tworzona wyłącznie dla zaspokojenia jej dążeń ambicjonalnych. To ona miała szefować tej placówce zawiadując własnym lennem. Większość radnych o tym fakcie wiedziała i nie chciała go zaakceptować. Dla radnych Stokłosy i Kałuży wyrażono zgodę na utworzenie zbytecznej komórki (MOSiR), Stępniowej (chociaż nie była wówczas radną) tego prawa odmawiano. Głównym czynnikiem sympatii i antypatii były kwestie natury polityczno – towarzyskiej. Dwaj poprzedni byli członkami SLD, Stępniowa – Unii Wolności. Istotnym był jeden fakt. Zaguła, nieświadom nastrojów wśród radnych postanowił naciskać w tej sprawie. Przez zarząd przeprowadził stosowną uchwałę, ale ponieważ wymagała ona zmiany schematu organizacyjnego urzędu musiał uzyskać

akceptację rady. Tutaj spotkał go zimny prysznic. Większość radnych na projekcie nie pozostawiła suchej nitki, odrzucając go w całości. Próby mediacji nie przyniosły żadnych rezultatów. Przegrana ta, była dla niego poważną porażką prestiżową. Miast ustąpić, postanowił postawić na swoim. Na kolejnej sesji ponowił odrzucony wcześniej wniosek, domagając się reasumpcji głosowania. Aby przełamać opór radnych zagroził publicznie, że jeżeli rada nie przychyli się do jego woli, to on na znak protestu poda się do dymisji. Oczywiście powyższy „szantaż" był wyłącznie manewrem taktycznym, kilkakrotnie z powodzeniem praktykowanym w poprzedniej kadencji. Tym razem jednak zawistował w zupełnie odmiennych realiach. Rada groźby utraty męża opatrznościowego się nie ulękła i po raz drugi wniosek odrzuciła. By nie wyjść na totalnego idiotę na zasadzie nolesn volens musiał dymisję złożyć i to w formie pisemnej.

Z początku nie uświadamiał sobie grozy położenia. Był przekonany, że teraz rada musi przegłosować jego odwołanie. W myśl przepisów prezydenta można było odwołać 2/3 głosów ustawowego składu rady. W istniejących realiach do odwołania potrzebnych było 30 głosów. Taką siłą SLD wraz z kilkoma koalicjantami, których w międzyczasie pozyskano nie dysponował. Był więc przekonany, że się nie przeliczył, ponieważ opozycyjni wobec niego radni nie uzyskają wymaganej ustawą liczby głosów. I w tym punkcie otrzymał nokautujący cios.

Mirosław Liberski (SLD) na krytycznej sesji oświadczył, że w zaistniałej sytuacji, skoro prezydent sam złożył wniosek o dymisję, rada go już nie odwołuje, lecz wyłącznie przyjmuje ten fakt do wiadomości lub odrzuca. W związku z powyższym nie może być głosowany wniosek o odwołanie prezydenta (kwalifikowana większość 2/3), ale wyłącznie wniosek o przyjęcie lub odrzucenie jego rezygnacji (zwykła większość). Stwierdzenie powyższe dla całokształtu miało znaczenie fundamentalne. Zaguła z początku nie rozumiał, co się wydarzyło. Kiedy po zarządzonej przerwie wrócił z konsultacji z radcą prawnym, był blady jak ściana. Dopiero teraz dotarło do niego, że w swojej nieświadomości i bucie, sam na sobie dokonał egzekucji.

Problem polegał na fakcie, że SLD wraz z aliantami nie dysponował 2/3 głosów, ale zwykłą większość posiadał. Oznaczało to, że na najbliższej sesji Zaguła będzie musiał pożegnać się z funkcją pierwszego obywatela miasta.

Kiedy do jego świadomości dotarła realna ocena sytuacji zrozumiał, że przedobrzył. Jedyną możliwością utrzymania stanowiska było wytworzenie sytuacji, aby mógł wycofać pochopną dymisję. Wiem, że rozmawiał w tej sprawie z kilkoma wpływowymi radnymi z SLD. Złożył nawet deklarację, że jak pozwolą mu wycofać rezygnację, to przychyli się do zmiany swego zastępcy z Lesława Klimczyka (UW) na osobę wskazaną przez SLD. W zamian za uratowanie skóry, postanowił przehandlować swojego najwierniejszego

współpracownika, z którym łączyły go relacje towarzysko – polityczne. Cóż za ambiwalencja?! Od arogancji do poniżenia i podłości. Druga strona jednak okazała się niezłomna. W gremium decyzyjnym SLD w lot pojęto wagę sytuacji. Postanowiono nie układać się z politycznym bankrutem, lecz sięgnąć po pełną stawkę – fotel prezydenta miasta. Na najbliższej sesji, radni zwykłą większością głosów przyjęli jego dymisję.

Sytuacja uległa odwróceniu. SLD zawarło sojusz z DKO i radnymi niezależnymi. W jego konsekwencji nowym prezydentem został dotychczasowy zastępca – Marek Dul (SLD). Oczywiście na tej samej sesji – Lesław Klimczyk również został odwołany. Nowymi zastępcami Dula wybrano: Ewę Gronkowską (SLD), Józefa Waludę (DKO) i Tadeusza Cubera. Sześcioletnia epoka panowania Henryka Zaguły odeszła do lamusa.

Powyższe roszady nosiły wyłącznie charakter personalny, bez żadnego wpływu na jakość funkcjonowania władzy. Wymieniono wyłącznie osoby, nie zmieniając mechanizmów ani dotychczasowych praktyk. Poza tym jednym momentem cała kadencja 1994-1998 była raczej bezbarwna i przeciętna. Kto miał coś urwać dla siebie – urwał. Radni żyli własnym życiem. Jedyną barwniejszą postacią był wspomniany już – Mirosław Liberski. W końcu, uświadomił sobie stopień lokalnej korupcji i bezhołowia, próbując się temu przeciwstawiać. Nikt go jednak nie poparł, wszelkie jego zabiegi (tak jak niegdyś moje) były skazane na przegraną. Wiadomo – lewicowy oszołom..! W każdym razie, była to jedyna barwniejsza postać godna odnotowania. Reszta, to klasyczna mieszanka miernoty z przeciętnością.

Drugim epizodem wartym odnotowania była społeczna inicjatywa zorganizowania referendum o odwołanie rady miejskiej. Marek Dul – nowy prezydent – piastował swój urząd w sposób stosunkowo beztroski. Nie czytał wszystkich decyzji jakie podpisywał, ani też nie miał świadomości ich konsekwencji. W ogóle nie panował nad sytuacją. Namnożono zbędnych komórek, pozatrudniano pociotków, w tym oczywiście całą najbliższą rodzinę pana prezydenta. W owym okresie nie występowało żadne sensowne zarządzanie mieniem publicznym. Miastem rządzili wyżsi urzędnicy, uwłaszczeni radni, pan Mariusz Cebula – słowem, każdy tylko nie prezydent. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Rozbudowana machina biurokratyczno – administracyjna przy braku jakiejkolwiek koncepcji zarządzania spowodowała, że w kasie miejskiej zaczęło brakować pieniędzy i to nawet na bieżące wydatki. Efekt ten został spotęgowany przez znaczne zaległości w podatkach płaconych przez przedsiębiorstwa państwowe, zwłaszcza Hutę Katowice i Koksownię Przyjaźń. Jedyną drogę wyjścia z impasu upatrywano w podniesieniu opłat lokalnych. Tak też uczyniono. Jednocześnie znacznie podniesiono cenę wody pitnej i praktycznie wszystkich opłat. Spowodowało to przejaw społecznego

niezadowolenia i dezaprobaty.

Na bazie powyższego samoistnie zawiązał się ruch protestu. Inicjatorem tej akcji były dwie osoby: Ireneusz Gładysz i Kazimierz Jasionek. Utworzyli Komitet Samoobrony Mieszkańców i zebrali wymaganą ustawą liczbę podpisów, by uruchomić procedurę referendalną. Przeprowadzili stosunkowo widowiskową kampanię. Efekt był oszałamiający. Zdecydowana większość obywateli opowiedziała się za odwołaniem dotychczasowego samorządu. Dla prawnych konsekwencji (30% frekwencji) zabrakło dosłownie kilkuset głosów. Wpływy i diety radnych zostały uratowane. Ciekawostką jest fakt, że w powyższym referendum wzięło udział więcej uczestników niż w ostatnich wyborach lokalnych. Tym bardziej fakt powyższy jest godny odnotowania. Jest to jedyny znany mi przypadek w skali kraju, gdy w mieście na prawach powiatu o mały włos nie odwołano w drodze referendum lokalnej władzy.

Nie byłem radnym, tylko obserwatorem z zewnątrz, dlatego nieznane mi są kulisy wewnętrznych rozgrywek i podejmowania niektórych decyzji. Jedno wszak mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić. Mimo zmiany barw politycznych, kadencja 1994-98 wcale nie była lepsza od poprzedniej, a nawet pod pewnymi względami gorsza. Bardziej bezbarwna i bez polotu.

Zaguła po porażce wylądował stosunkowo miękko. Został przedstawicielem niemieckiej firmy ALBA na Polskę Południową. Ponieważ miał dobre kontakty z prezydentami miast aglomeracji śląskiej, dokonał kilku korzystnych dla firmy transakcji. Pracodawca docenił ten fakt i awansował go na szefa zarządu na cały kraj. Po politycznym fiasku zajął się gospodarką, oscylując jedynie w politycznym otoczeniu. Epizod realnej władzy politycznej miał już bezpowrotnie za sobą.

Rozdział XXV
NOWE NADZIEJE

W obliczu wszechwładnej dominacji SLD pod koniec 1996 liderzy prawicowych partyjek przyszli w końcu po rozum do głowy. Postanowili zawrzeć porozumienie i stworzyć wspólny blok do wyborów parlamentarnych. Tak powstała AWS. Dla mnie było to światełko w tunelu. Będąc na politycznym aucie, zacząłem w tej formacji upatrywać życiowej szansy. By móc zrozumieć dalsze wydarzenia, koniecznych jest kilka słów o strukturze AWS.

Marian Krzaklewski, mając świeżo w pamięci doświadczenia Konwentu św. Katarzyny (patronki inicjatyw upadłych) doszedł do wniosku, że aby zapanować nad wybujałymi ambicjami prawicowych liderów w tworzonym ugrupowaniu musi być jedna siła uprzywilejowana tak, aby w przypadku ewentualnych kryzysów mogła skutecznie przechylać szalę decyzyjną. Taką siłą w jego zamyśle miał być NSZZ Solidarność.

Pozostali koalicjanci przystali na powyższy postulat. Tak powstał skomplikowany system wewnętrznych udziałów. W sensie realnym AWS nie był formacją polityczną, a raczej spółką akcyjną. Ciałem decyzyjnym była Rada Krajowa, w skład której wchodzili przedstawiciele wszystkich układających się stron, jednak decyzje nie zapadały większością głosów, lecz udziałów. Udziały były arbitralnie ustalone przez Krzaklewskiego, jak twierdził w wyniku algorytmów. Na czym te algorytmy miały polegać, tego już nie był w stanie wyjaśnić. W praktyce były to wartości czysto abstrakcyjne, wzięte z sufitu produkty jego wyobraźni. I tak NSZZ Solidarność dysponował 50% udziałów, natomiast partie polityczne od kilku do kilkunastu procent. Do podjęcia zwykłych decyzji potrzebne było ponad 50%, czyli Solidarność plus dowolna partia polityczna. Do podjęcia decyzji personalnej lub strategicznej 75%, czyli Solidarność plus kilka partii. Układ był tak skonstruowany, że partie polityczne nawet gdyby jakimś cudem były w stanie się porozumieć, nie mogły przegłosować związku. Decyzja mogła powstać wyłącznie na osi związek i jedna lub kilka partii. We wstępnych deklaracjach miał to być twór tymczasowy, obliczony wyłącznie na skuteczne przeprowadzenie kampanii wyborczej do parlamentu w 1997. Później struktura miała ewoluować w kierunku jednorodnej partii politycznej. Ale jak uczy doświadczenie, nic bardziej trwalszego niż prowizorki. Powyższe zasady zostały później utrwalone i przeniesione w dół na szczebel regionalny i lokalny. W praktyce oznaczało to, że strukturą wojewódzką AWS zarządzał przewodniczący Zarządu Regionu NSZZ Solidarność, a strukturą lokalną powołana przez niego osoba, ale wyłącznie z aparatu związkowego. Kwalifikacje i doświadczenie polityczne nie miały żadnego znaczenia. Decydował wyłącznie fakt przynależności do aparatu związkowego i wewnętrzne układy w obrębie Zarządu Regionu. Biorąc pod uwagę brak przygotowania politycznego większości działaczy związkowych, ich

wcześniejszą izolację polityczną już na samym wstępie nie wróżyło to niczego dobrego.

W takich realiach w końcówce 1996 zostałem przez Krzysztofa Szydłowskiego (wówczas redaktora Wolnego Związkowca) skontaktowany ze Zbigniewem Górskim – przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność w Hucie Katowice. Górski oświadczył, że zgodnie z powszechnym trendem politycznego zaangażowania związku zamierza przystąpić do tej gry. Ponieważ Komisja Zakładowa Huty Katowice ze względu na swój potencjał ludzki jak też materialny posiada znaczne wpływy w Zarządzie Regionu jest niemal pewne, że to on będzie szefem AWS na szczeblu lokalnym. Komisja Zakładowa wystawi również swojego kandydata do sejmu w osobie – Bogdana Żurka, inżyniera zatrudnionego na jednym z wydziałów huty. Ponieważ Szydłowski wcześniej przygotował go do tej rozmowy, dlatego bez ogródek złożył mi propozycję współpracy. Jak sam stwierdził, nie posiada przygotowania politycznego, wcześniej na tej niwie nie funkcjonował. Mieszka w Sosnowcu, dlatego potrzebuje tutaj kogoś z doświadczeniem, kto zna lokalne uwarunkowania i pomoże w rozkręceniu przedsięwzięcia. Moja osoba w konsekwencji protekcji jest przez niego bardzo poważnie brana pod uwagę.

W lot uchwyciłem swoją szansę. Oto wchodzę na dogodnych warunkach w obręb nowotworzonej formacji, która według wszelkich sondaży za kilka miesięcy ma szansę wygrania wyborów parlamentarnych i przejęcia władzy w państwie. Mogę mieć za sobą zaprzyjaźnionego posła i potencjał Solidarności największego w okolicy przedsiębiorstwa. A za rok wybory lokalne, patrząc z mojej optyki – główna stawka w grze. Nareszcie otrzymuję to, czego od kilku lat mi brakowało, realne instrumenty do uprawiania polityki. Przyszłość nagle objawiła się w kolorach nadziei. Zawarty układ przypieczętowaliśmy tradycyjnym oparciem sprawy o bufet.

W konsekwencji naszej rozmowy kilka dni później zostałem zapoznany z Bogdanem Żurkiem, kandydatem na posła. Miałem do osiągnięcia dwa cele: poznać jego konstrukcję psychiczną i ocenić czy w rzemiośle polityka
będzie z niego pożytek oraz przedstawić warunki naszej współpracy – co jestem w stanie dać, a czego od niego oczekuję.

Rozmowa nie poszła najlepiej. Prawdopodobnie, gdyby nie wstawiennictwo Górskiego w ogóle spaliłaby na panewce. Żurek sam nie wiedział czego chce, oprócz przemożnej chęci posiadania immunitetu i poselskiej diety. Brak mu było zdecydowania i siły charakteru. Politycznie był niewyrobiony, bez wyobraźni i polotu. Na moje rutynowe pytanie. Dlaczego chce zostać posłem? Zareagował bardzo nerwowo. Odebrał to jako osobisty atak na swoją osobę. Nie był w stanie przedstawić żadnego uzasadnienia, prócz tego, że chce. Jego konstrukcja psychiczna jak również zachowanie jednoznacznie wskazywały, że nie można go wypuścić na ludzi (spotkania wyborcze), nie

mówił lecz dukał, lekko sepleniąc.

Jeżeli chodzi o moje warunki to wyglądały one następująco. Zorganizuję jego kampanię w skali okręgu i nią pokieruję. Ja dam wiedzę i organizację, pieniądze da Solidarność. W zamian, jeżeli zostanie posłem, utworzy tylko jedno biuro poselskie w Dąbrowie Górniczej. Ja zostanę jego szefem z odpowiednim wynagrodzeniem (jego wysokość do późniejszego ustalenia). Pieniądze, które dostanie z diety poselskiej są jego, ale te na biuro nie. Z nich będziemy finansować bieżące przedsięwzięcia polityczne i przygotowania do przyszłorocznych wyborów lokalnych. O celowości i zasadach wydatkowania kwot będziemy decydować wspólnie: Żurek, Górski i ja. Warunki zaakceptował.

Kiedy wyszedł i zostaliśmy sami, byłem skonsternowany.

- Ten facet nie nadaje się na posła. W przyszłości nie będzie z niego żadnego pożytku. Jest jeszcze trochę czasu, należy znaleźć inną osobę – zagaiłem.

- Chyba masz rację. Twoja ocena pokrywa się z moją, ale on musi być kandydatem i w dodatku posłem. Posłem dlatego, że Komisja Zakładowa musi mieć swojego parlamentarzystę, a kandydatem dlatego, że jak bym go odsunął, miałbym w związku wewnętrzną rebelię. A to jest ostatnia rzecz której pragnę. Ja też posiadam wewnątrzzwiązkową opozycję. Żurek jest politycznie neutralny, między moimi stronnikami, a frakcją – Mirosława Kaszy. Jeżeli go wyeliminuję, przejdzie do obozu mojego rywala i ten obóz zacznie mnie atakować. Ja chcę mieć w związku spokój, wojny mi nie potrzeba.

- W takim układzie ty startuj! – jeżeli zostaniesz posłem – nikt ci przecież nie podskoczy.

- To by było zbyt wiele – odparł Górski – dla mnie najważniejszy jest związek.

- W takim razie – jeżeli już ma być tym posłem – to są tylko dwie opcje. Albo pierwsza pozycja na liście okręgowej, albo wejściowa pozycja na liście krajowej. Innej możliwości nie widzę. Nie podejmuję się wprowadzenia go do sejmu w trakcie normalnej rywalizacji wyborczej (spotkania, agitacja). Jest bezbarwny, niemedialny i nie jest w stanie przekonać do siebie nikogo. Choćbyście nie wiem jakie pieniądze na ten cel wyłożyli.

- Będziemy robić co w naszej mocy – skwitował Górski.

Opisane wydarzenia miały miejsce w grudniu 1996. Wybory miały się odbyć dopiero za pół roku, w czerwcu 1997. W przygotowanej przez mnie strategii kampanii, aparat związkowy miał do spełnienia wyłącznie rolę drugoplanową, pomocniczą. Główną siłę uderzeniową miała stanowić młodzież szkół średnich, zwerbowana i opłacona. To za ich pomocą chciałem przeprowadzić akcję zebrania około 10-15 tysięcy podpisów. Później do tych osób zostałyby rozesłane druki propagandowe kandydata. W międzyczasie klasyczna zabawa ulotkami i plakatami. Spotkań wyborczych ze względów

przedłożonych wyżej nie przewidywałem. Górski twierdził, że pieniędzy nie powinno zabraknąć. To już jego broszka.

Rozpocząłem werbunek młodzieży. Aby wykonać tak ambitny plan, musiałem w każdym powiatowym mieście zwerbować 10-15 osób. Plan ten wykonałem w nadmiarze. Biorąc pod uwagę merytoryczną słabość kandydata, już na samym starcie planowałem osiągnięcie zdecydowanej przewagi nad innymi rywalami. Przewaga ta miała polegać na mnogości i ilości kolportowanych druków. Ich liczbą chciałem przyćmić pozostałych. W końcu przeciętny wyborca doszedłby do wniosku – coś w tym facecie musi być, skoro go tak promują od Dąbrowy po Zawiercie i Chrzanów.

Ordynacja proporcjonalna ma to do siebie, że stosunkowo łatwo można obliczyć rezultat. Wziąłem ogólnopolskie sondaże, przesunąłem elektorat o tzw. przelicznik zagłębiowski. 30% dodałem SLD i o tę samą wartość zmniejszyłem notowania AWS. Wyszło mi, że w okręgu sosnowieckim AWS powinien uzyskać 3-4 mandaty (okręg 10 mandatowy). To było pewne jak amen w pacierzu. Problem tylko leżał w tym, aby Żurek uzyskał jak najwięcej głosów, więcej niż ktokolwiek inny na tej samej liście. I właśnie ten efekt chciałem osiągnąć organizacją i pieniędzmi. Zwerbowana młodzież miała być decydującym atutem. Takim potencjałem nie dysponował nikt inny na tej liście. Struktura związkowa miała być tylko uzupełnieniem, nie dowierzałem ani jej mobilności, ani sprawności.

W tym samym czasie, kiedy werbowałem młodzież, Górski lobbował pozycję Żurka na liście wyborczej. Od Marka Kempskiego bardzo szybko otrzymał odpowiedź, że o pierwszej pozycji może definitywnie zapomnieć. O pozycje idzie taki bój, że niczego nie może zadeklarować. Otworzyło się jednak pewne pole w przedmiocie listy krajowej. Kempski obiecał Górskiemu, że chociaż Żurek w okręgu będzie nisko, to jednak zostanie umieszczony stosunkowo wysoko na liście krajowej. Najwyżej jak to będzie możliwe dla województwa katowickiego. To miało być zabezpieczenie w przypadku przewidywanego fiaska w okręgu.

Pracowałem ja, pracował Górski, jedyny który niczego nie czynił, to bezpośrednio zainteresowany – Bogdan Żurek. Uważał, że wszystko samo spadnie z nieba i że jemu się należy. Takie postępowanie dodatkowo mnie do niego zrażało. Obaj, nie czuliśmy do siebie sympatii. Rozumowałem jednak realistycznie. Jeżeli chcę się w przyszłości rozwinąć, to muszę teraz popracować w klasycznej roli kondotiera. Nie mogę sobie pozwolić na wybrzydzanie. Do Żurka uśmiechnął się ślepy los. Górski lobbował u Kempskiego, natomiast jego kolega – Mirosław Kasza (bliski współpracownik Krzaklewskiego) u swojego szefa. Miało to decydujące znaczenie. W efekcie tych dwóch zabiegów została dla niego wymęczona 23 pozycja na liście krajowej. Biorąc pod uwagę fakt, że przed nim są takie nazwiska, które powinny wchodzić w okręgach, dawało mu

to ok. 10 pozycję. Nie wejść z okręgu, lecz wyłącznie z listy krajowej to wstyd, ale poseł z okręgu czy krajówki ma takie same prawa i przywileje. Taka uroda ordynacji.

Przygotowania do wyborów szły pełnym trybem, rozpoczęły się regularne zebrania Rady Okręgowej AWS w Sosnowcu. Przewodniczył – Eberhard Pampuch. Zasiadałem w tym gremium, mając stosowny glejt jako przedstawiciel jednej z prawicowych kanap. Tam ponownie spotkałem się z Elżbietą Szymkowską. Reprezentowała jedną z mutacji KPN, nawet sama dobrze nie wiedziała którą. KPN bowiem, chcąc wśród partii politycznych uchodzić za hegemona, zgłosił do Rady AWS aż cztery podmioty: oprócz właściwego KPN, Kontrę, Związek Zachodni i jakichś Zielonych. Były to oczywiście fikcje, ale KPN-owcy lubują się w drobnych szwindelkach. Każdy z tych tworów miał bowiem swoje udziały. Łącznie KPN, dzięki powyższej operacji miał ich nieco ponad 20 i był drugą siłą po Solidarności.

Po jednym z zebrań, wracając razem ucinaliśmy sobie pogawędkę. Oboje nie darzyliśmy się sympatią. Znaliśmy się jak łyse konie. I oboje wiedzieliśmy, czego się możemy po sobie spodziewać. Okres wspólnych walk w radzie miejskiej mieliśmy jednak za sobą. Teraz była nowa sytuacja. Wyszedłem z założenia, że skoro już nasze drogi ponownie się skrzyżowały, to byłoby dobrze żebyśmy nie wchodzili sobie w paradę. Przyjaciółmi oczywiście nie będziemy, ale przynajmniej nie rzucajmy sobie kłód pod nogi. Niech każdy czyni, co do niego należy, nie depcząc drugiemu po piętach. W trakcie tej rozmowy, odpowiadając na jej pytania wyjaśniłem, jak wygląda sytuacja w Dąbrowie. Zawarłem już strategiczny układ z Górskim. Razem jesteśmy w stanie podjąć w obrębie AWS praktycznie każdą decyzję. Kandydatem na posła będzie Bogdan Żurek. Jeżeli nie będzie przeszkadzała, to ja też nie będę jej utrącał, dopóki oczywiście nie nastąpi mi na odcisk. Sama musi wybrać. Woli pokój czy wojnę? Na pokoju może zyskać, na wojnie straci wszystko. Mój błąd polegał na tym, że do KPN-ca podszedłem jak do normalnego człowieka. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Kilka dni później źródła wywiadowcze doniosły, że środowisko KPN dybie na moją skórę. Ruszyła szeptanka wymierzona w moją osobę. Ni stąd ni zowąd w ciągu niemal tygodnia wytworzyła się regularna linia frontu. Oś nagonki szła po linii kwestii osobistych. Pani Szymkowska wyszła z błędnego założenia, że Górski jako polityczny dyletant będzie podatny na jej wpływy. Problem leży tylko w tym, aby odseparować od niego Frączka. Należy rozbić duet Górski – Frączek i zastąpić go duetem Górski – Szymkowska. Nie wiedziała, że na taki ruch jest za późno. Do gry przystąpiłem wcześniej od niej, okopałem się na pozycji i splotłem ją nicią wzajemnych zależności. I właśnie w tę umocnioną pozycję – KPN wyprowadził natarcie. Szymkowska udała się do swojego przyjaciela – Tomasza Karwowskiego, by ten przyszedł z odsieczą. Karwowski co jak co, ale intrygi i podkładanie świń lubi jak kot mleko. Wspólnie z Krzysztofem Lagą (obaj byli posłami) udali się w tej sprawie do

Piotra Rojewskiego (zastępca Kempskiego). Ten, za ich sugestią zaaranżował spotkanie z Górskim. Obaj ostro mnie zaatakowali, domagając się od niego zerwania zawartych ze mną ustaleń. W sporze tym, Rojewski zajmował pozycję neutralną, natomiast Górski stanął w mojej obronie. Stwierdził, że jestem upełnomocnionym przedstawicielem jednej z partii politycznych i w takim charakterze zasiadam w radzie AWS. Relacje jego ze mną są naszymi relacjami i panom posłom, nawet jeżeli są z KPN, nic do tego. Ponieważ niczego nie uzyskali, postanowili uderzyć z innej flanki. Zadzwonili do mojego ówczesnego szefa – Adama Grzesicy z prośbą o spotkanie. W jego trakcie wyciągnęli tekturową teczkę, w której – jak podali – posiadają kompromitujące mnie materiały. Mają dowody mojego związku konkubinatu z pewną kobietą, jak również dowody, że w okresie kiedy była nauczycielką przyjęła łapówkę od jednego z uczniów (brata Karwowskiego). Ponieważ jesteśmy koalicjantami nie chcą z tego czynić publicznego użytku chyba, że zostaną zmuszeni. Proponują następujący układ. Zostanę wycofany z reprezentowania Koalicji Konserwatywnej, w zamian za co oni głęboko ukryją tę teczkę. Żeby było zabawniej, to w owym okresie – Krzysztof Laga, będąc podobnie jak ja kawalerem również przebywał z pewną kobietą w związku konkubinatu, Karwowski z kolei, będąc żonaty romansował z inną. Ot KPN-owska hipokryzja.

Zaraz po tym zadzwonił do mnie Grzesica, przedstawił przebieg rozmowy i pytanie. Co ma czynić?

- Mają ujawnić wszystko, co posiadają na mój temat! – odparłem.

Chwilę później taka odpowiedź została panom posłom zakomunikowana. Wówczas okazało się, że w teczce nic nie mają. Przynajmniej, nic takiego, co mogłoby być przeciwko mnie użyte. Klasyczny przykład trywialnego blefu, w jakich lubują się ludzie tego pokroju. Po miesiącu, tak jak szeptanka przeciwko mnie się zaczęła, tak nagle zamarła. Później dowiedziałem się, że – Ireneusz Gajos – szef Kontry w Hucie Katowice przekazał Szymkowskiej informację, że wszystko stracone, bo Frączek pije wódkę z Górskim. Pozycja jest nie do zdobycia. Jakiekolwiek naciski nie mają więc żadnego sensu. Odstąpili.

Problem Szymkowskiej jednak pozostał. Mimo moich wcześniejszych sugestii, że na pokoju zyska, na wojnie straci – wybrała wojnę. Musiała teraz ponieść zasłużoną karę. Postanowiliśmy z Górskim ją ignorować, tak jakby nie istniała. Zrozumiała powagę sytuacji i złożyła rezygnację z reprezentowania KPN. Jej miejsce zajął – Jarosław Wartak. Kiedy kilka miesięcy później wpadłem na Lagę – miałem do niego pretensje, za tak chamskie zagrywki. W żywe oczy wyparł się wszystkiego, bez najmniejszych skrupułów stwierdził, że to nieprawda. Ot, KPN-owska mentalność.

W owym okresie miałem bardzo ciekawe spotkanie z jednym z działaczy KPN nazwiskiem – Andrzej Snopek. Po jednym z zebrań, wracaliśmy razem do

domu. Czas zabijaliśmy wspólną rozmową. W jej trakcie, mój interlokutor stwierdził, że byłby zainteresowany dalszym podtrzymaniem naszej znajomości, ale musi wcześniej uzyskać akceptację swoich przełożonych. Zbaraniałem.

- Ty chyba żartujesz?! – odparłem.

- Nie! U nas w KPN jest taka zasada, że trzeba uzyskać aprobatę szefostwa odnośnie utrzymywania kontaktów o charakterze politycznym.

Zamurowało mnie, nie mogłem uwierzyć w tak potworny debilizm. Ktoś wydaje absurdalne instrukcje i inny jak ślepa marionetka bezkrytycznie im się podporządkowuje.

Dwa tygodnie później spotkałem go ponownie.

- I co, dostałeś zgodę? – zapytałem z rozbawieniem.

- Nie – padła odpowiedź.

- Kto ci zabronił?

- Krzysztof Laga.

Pozostawię tę kwestię bez komentarza.

Jarosław Wartak nowy przedstawiciel KPN, też bardzo szybko pokazał do czego jest zdolny. Pewnego dnia przed zebraniem Rady AWS, wykorzystując moją nieobecność zaczął na mnie nadawać, że jestem osobą politycznie niewiarygodną, ponieważ byłem członkiem ZSMP.

- Gdzie? – zapytał Górski.

- W wojsku! – padła odpowiedź.

Po raz kolejny okazało się, że KPN-cy lepiej znają mój życiorys ode mnie. Nadmienię, że w mojej obecności nigdy nie ośmielił się podnieść tej kwestii. Taka już uroda tej zarazy. Dzień bez intrygi to dla nich dzień stracony.

Układ z Górskim był rozwiązaniem optymalnym. Poza tym wytworzyły się między nami relacje osobiste, zostaliśmy kolegami. Razem z Szydłowskim uczestniczyłem w wielu rozmowach, często zakrapianych alkoholem. Stopniowo poznawałem jego mentalność i środowisko w którym funkcjonował. Wspólne starcie z KPN jeszcze nas wzmocniło, wytwarzając między nami relacje koleżeńskie. Dopiero z biegiem czasu w naszych bilateralnych stosunkach zaczęły się pojawiać pewne pęknięcia. Z początku nie wyglądały groźnie, ale czas nie pracował na naszą korzyść. Problem tkwił w zupełnie innym postrzeganiu otaczającej nas rzeczywistości. Górskiego co prawda polityka interesowała, ale jej nie czuł. Zachowywał się tak jakby w politykę został wmanewrowany pod przymusem. Jego priorytetem była organizacja związkowa i Bogdan Żurek. Moim – przyszłoroczne wybory samorządowe. Dla mnie Komisja Zakładowa była pojęciem wyłącznie abstrakcyjnym, Żurek był tylko epizodem. W przyszłych w relacjach z nim nie rokowałem nadziei. Mnie był potrzebny wyłącznie w charakterze zaprzyjaźnionego posła. Przede wszystkim chodziło o środki finansowe na biuro. Potrzebowałem ich, żeby się przygotować do zasadniczej rozgrywki o władzę lokalną. To była moja determinanta. Dla

mnie priorytetem było miasto, dla Górskiego związek w Hucie Katowice.

Pierwsza różnica zdań zarysowała się między nami dość szybko. Katowicki wywiad mojej partii przechwycił informację, która natychmiast została mi przekazana. Była ona istotna, ponieważ została przechwycona ze znacznym wyprzedzeniem czasowym. Marek Kempski w pewnym zaufanym gronie wyraził się, że Eberhard Pampuch zostanie w najbliższym czasie zdjęty z funkcji pełnomocnika okręgowego AWS. Tylko tyle, a zarazem aż tyle. Natychmiast udałem się do Górskiego. Stwierdziłem, że nie mogę podać źródła, ale jest ono absolutnie pewne. Skoro Pampuch zostanie zdjęty, to musi być kimś zastąpiony. Naciskałem na niego, aby podjął dyplomatyczne zabiegi w obrębie Zarządu Regionu, aby to właśnie jemu powierzono tę funkcję. Biorąc pod uwagę fakt, że jest przewodniczącym największej struktury związkowej na terenie okręgu, będzie to przysłowiowa bułka z masłem. Według mojego źródła – Pampuch zostanie zdjęty w przeciągu najbliższego miesiąca. Jeżeli Górski prześpi ten okres, temat przechwyci – Zbigniew Wilk, dotychczasowy zastępca Pampucha. Moja argumentacja była następująca. Funkcja szefa okręgowego AWS ma bardzo istotne znaczenie. Jest to funkcja polityczna, daje wpływ na kształt i przebieg kampanii w skali całego okręgu. Pełnomocnik okręgowy, oprócz kwestii organizacyjnych ma również wpływ na kwestie finansowe i strategię kampanii całego komitetu. Patrząc z naszej optyki, zajęcie tej pozycji jest bardzo pożądane. W najbliższym czasie będzie to możliwe, i to bez najmniejszego wysiłku. Głupotą byłoby nie skorzystać z okazji. Górski tego nie rozumiał.

Zgodnie z moim sygnałem, trzy tygodnie później na światło dzienne wypłynęła sprawa malwersacji finansowych w Zarządzie Regionu Solidarności. W sprawę zamieszany był – Eberhard Pampuch – pełniący funkcję skarbnika. W konsekwencji tego został zmuszony do złożenia dymisji ze wszystkich zajmowanych funkcji, tak związkowych, jak i politycznych. Ponieważ Górski nie wykonał sugerowanego przeze mnie lobbingu, schedę po Pampuchu przejął – Zbigniew Wilk. Okręg wyborczy został utracony poprzez zaniechanie.

Innym przykładem rozbieżności jakie zaczęły się pojawiać, była kwestia postrzegania AWS. Ja uważałem, że należy tworzyć jak najszerszą platformę wyborczą. Poza związkiem i rachitycznymi partiami należy się otworzyć na różnego rodzaju stowarzyszenia lokalne, w szczególności kupieckie. Chciałem budować jak najszersze społeczne zaplecze. Wszak moim priorytetem były przyszłoroczne wybory lokalne. Aby to móc uczynić, należało te organizacje w jakiś sposób upodmiotowić. Nikt przy zdrowych zmysłach nie przyłączy się do formacji, w której nie będzie miał nic do powiedzenia. Proponowałem utworzenie stosunkowo szerokiej Rady AWS i wprowadzenia pewnych procedur demokratycznych, aby ci ludzie poczuli się pełnoprawnymi uczestnikami.

Głosowanie udziałami należało zawiesić, trzymając je w odwodzie na wypadek, gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli i zagrażały nam czynniki anarchizujące. Górski nie chciał o tym słyszeć. Chciał sztywno trzymać się wytyczonych ram, gdyż dawały mu one pełnię kontroli. To, że odrzucały innych, nie miało dla niego istotnego znaczenia.

Zaprosiłem raz na posiedzenie Rady AWS przedstawicielkę Cechu Rzemiosł panią – Irenę Dzieciątkowską, która przejawiała zainteresowanie problematyką. Wyszła raczej zdegustowana. Nie kleiły się również rozmowy z DKO, które zainicjowałem. Twierdzili, że dopóki nie będą mieli wpływu na decyzje do AWS nie przystąpią. Chcąc ratować sytuację i stworzyć jak najszerszą koalicję, należało nieco poluzować wewnętrzne procedury, by wprowadzić nieco oddechu. Chodziło mi o stworzenie takiej platformy, aby zafunkcjonowały pewne procesy demokratyczne, upodmiotawiające strony, natomiast dyktat udziałowy został zawieszony. Górski o tym nawet nie chciał słyszeć. Twierdził, że nie zamierza się dzielić raz daną mu władzą. To, że trzymanie takiej linii uniemożliwia rozwój i tym samym stawia nas w niekorzystnej politycznie izolacji, nie miało dla niego znaczenia. Wybory lokalne miały dla niego takie znaczenie, jak dla mnie wybory w związku w Hucie Katowice.

Wytworzyła się sytuacja, która z początku wydawała się wręcz groteską. Przewodniczący AWS w sposób świadomy i z premedytacją działał na szkodę formacji, którą sam reprezentował. Z początku dostrzegałem w tym wyłącznie groteskę. Później dotarło do mnie, że to jest dramat. Z wolna zacząłem sobie uświadamiać, że oddanie dyktatorskiej władzy w AWS w ręce nieprzygotowanego politycznie aparatu związkowego musi doprowadzić do kompromitacji. Kilkakrotnie podjąłem próby wpłynięcia na Górskiego, celem zmiany jego stanowiska. Konsekwentnie i z uporem odmawiał. Sytuacja doprowadziła nas do prawdziwego kabaretu. Sensem naszego poznania i znajomości była polityka. Od pewnego czasu mogliśmy z sobą rozmawiać o wszystkim, tylko nie o niej. Każdy mój nawrót do tematu – kwitował, abym go nie pouczał i dał święty spokój. On uczyni, jak zechce. Jego rolą jest rozkazywać, a moją słuchać. Początkowa rysa w naszych stosunkach, z biegiem czasu zaczęła przypominać pęknięcie. Nie traciłem jednak nadziei. Sądziłem, że są to chwilowe fanaberie. Ot, taka zadyszka związana ze zbyt dużą niekontrolowaną władzą otrzymaną w prezencie. Funkcja czasu powinna wyprowadzić sytuację na pozycje pożądane. W dodatku w rezerwie był jeszcze – Krzysztof Szydłowski, który w razie czego mógł służyć pomocą w bilateralnych mediacjach.

W początkach znajomości uzgodniliśmy, że w celu stworzenia środowiska AWS i wzmocnienia oddziaływania propagandowego, będziemy wydawać gazetkę. Zakładowy „Wolny Związkowiec” nie wchodził w rachubę, gdyż związkowcy nie chcieli zaangażowania politycznego. Domagali się, aby w tym

organie były poruszane wyłącznie kwestie zakładowe. Mieliśmy utworzyć nowe wydawnictwo o charakterze stricte politycznym. Ja miałem zapewnić stronę redakcyjną, natomiast on wydawniczą. Mimo początkowej akceptacji, Górski nie przejawiał żadnej inicjatywy, aby ten zamysł zmaterializować. Moje wydawnicze plany sukcesywnie bojkotował. Nie mówił nie, ale ich realizację przesuwał na bliżej nieokreśloną przyszłość. A czas płynął nieubłaganie...

Mając w pamięci manewry – Henryka Jasiaka z wyborów 1994, tym razem postanowiłem się odpowiednio przygotować, by nie dać się zaskoczyć. Założyłem apriori, że będzie dążył do izolacjonizmu od koalicji z AWS i obierze kierunek na samodzielny start. Aby do tego nie dopuścić, sukcesywnie podrzucałem mu po jednej, dwie osoby, które on nieświadom sytuacji przyjmował w poczet członków DKO. Zadaniem tych ludzi było stworzenie jednorodnego obozu wewnątrz tego stowarzyszenia, celem wywarcia presji od wewnątrz za rzecz koalicji. Gdyby z kolei Jasiak dobrowolnie nie ustępował i konsekwentnie prowadził politykę seperatystyczną, wszczęcie i skuteczne przeprowadzenie procedury jego odwołania i powołania takiego przewodniczącego, który będzie rozumiał rację lokalną. Operacja ta była stosunkowo zaawansowana. Dość powiedzieć, że firmowany przeze mnie obóz wewnątrz DKO, miał większość wśród bazy członkowskiej.

Głównym przedmiotem mojej ówczesnej troski było spowodowanie zmiany nastawienia Górskiego na kwestie polityczne. Stosowałem taktykę szarpaną. Naciskałem, a kiedy napotykałem na opór – hamowałem. Odczekiwałem kilka dni i ponawiałem próbę. Efekty były mizerne, ale nie traciłem nadziei. Było jeszcze nieco czasu.

Rozdział XXVI
W ROLI SZTEUFENBERGA

Mimo starań na odcinku z Górskim nie odnotowywałem żadnych postępów. Wręcz przeciwnie, między nami następowało stopniowe ochłodzenie. Szydłowski proszony przeze mnie, aby się czynnie włączył w mediacje, po jakimś czasie oświadczył, że on na Górskiego nie ma już żadnego wpływu. Górski nie chce nikogo słuchać.

Czynnikiem, który przepełnił czarę goryczy była kwestia gazetki. Jak już wspomniałem – mimo początkowej akceptacji – Górski sabotował jej utworzenie. Oczywiście mogłem czekać, ale tylko do pewnego momentu. W końcu doszedłem do wniosku, że ten moment już nadszedł. Ponieważ nie chciał udostępnić będących w jego dyspozycji środków, postanowiłem rozpocząć własnymi siłami. Doszedłem do wniosku, że jeżeli przygotuję oraz wydam pierwszy numer i zostanie on przychylnie przyjęty, przełamie to jego opory. Własnym sumptem zdobyłem środki finansowe i wydrukowałem 2 000 egzemplarzy „Przeglądu Politycznego". Gazetka traktowała o kwestiach politycznych w ujęciu lokalnym. Część nakładu rozkolportowałem własnymi kanałami, część postanowiłem puścić kanałem związkowym w Hucie Katowice. I tutaj spotkała mnie przykra niespodzianka. Zdecydowana większość nakładu została arbitralną decyzją Górskiego wycofana z kolportażu i wylądowała na śmietniku. Wezwał mnie przed swoje oblicze i potraktował jak majster swojego uczniaka. Stwierdził, że ma dosyć moich fanaberii. Nie jestem od myślenia tylko od wykonywania jego poleceń. Od myślenia jest wyłącznie on. Akcję z gazetką traktuje jako przejaw woluntaryzmu i wychodzenia przed orkiestrę. Nie będzie dłużej tolerował mojej samowoli. Jeżeli mamy dalej współpracować, to muszę go przeprosić. Wyraził to dosadnie:

- Na kolana!

Do merytorycznej zawartości numeru nie wnosił uwag. Z jego optyki istotnym był fakt, że przeprowadziłem samowolną akcję, bez jego akceptacji. Bardzo wiernie sekundował mu jego ówczesny zastępca – Mirosław Starzyński, głupio się uśmiechając i docinając. We mnie wstąpił duch bojowy. O żadnych przeprosinach, ani elementach upokarzających nie mogło być mowy. Nie mogę faceta przepraszać za coś, co w moim odczuciu nie jest żadnym uchybieniem. To ja, będąc wówczas bezrobotnym, ciułam pieniądze i miast je pożytkować na cele prywatne – inwestuję w sprawę publiczną, która zresztą leży w naszym obopólnym interesie. A oni, którzy dysponują nieporównywalnymi środkami nie robią nic, zadawalając się jedynie konsumpcją danych im przywilejów. Obaj panowie dysponowali wówczas wpływem na całkiem pokaźną ilość pieniędzy, pochodzących przede wszystkim ze spółek związkowych. Spółki te wypracowywały dochód, gdyż nie były poddane procedurom przetargowym. Dla mnie wspomniane środki to był kawał grosza, dla nich była to nic nie

znacząca kropla w morzu ich możliwości. Nie mogłem im darować, że plon mojej pracy z powodu głupich ambicyjek wylądował w kontenerze ze śmieciami. Zrozumiałem, że obaj panowie nie są zainteresowani działalnością publiczną. Skorzystali z prezentu otrzymanego od swoich przełożonych i postanowili się oddawać błogiemu lenistwu. Jeżeli ustąpię i się im podporządkuję, to czeka mnie wraz z nimi niechybna kompromitacja. Napięcie między nami sięgnęło zenitu. To już nie była rysa, to była prawdziwa przepaść w naszych wzajemnych stosunkach. Zrozumiałem ostatecznie, że pić razem wódkę to my możemy, ale wspólnie robić polityki to już nie. Nasze drogi się rozeszły. Konsekwencją tego było wyeliminowanie mnie z kampanii Żurka i utrata profitów z niej wynikających. Nie będę prowadził kampanii i w przypadku jego sukcesu nie będę miał ani pracy, ani środków na dalszą działalność. Nie rozpaczałem po tym fakcie, gdyż byłem świadom, że przy Żurku ze względu na jego polityczne dyletanctwo również niczego bym nie osiągnął. Postanowiłem kontynuować swoje. Z ominięciem Górskiego wydałem jeszcze pięć numerów gazetki, po czym padłem z przyczyn finansowych. Między nami wytworzyła się sytuacja ni to wojny ni pokoju. Formalnie dalej byliśmy kolegami, aczkolwiek wszystko wskazywało, że w polityce nie zagramy już w jednej drużynie.

Po kilku tygodniach wyczekiwania podjąłem ostatnią próbę mediacji na rozsądnych warunkach. Wiedziałem, że Górski darzy estymą – Jacka Kiliana, którego zresztą sam zainstalował na funkcji prezesa związkowej firmy Maritex. Dla mnie istotna była okoliczność, że Kilian posiadał znaczny wpływ na jego psychikę, a właśnie w tym obszarze leżała się główna przyczyna naszych nieporozumień.

Moje spotkanie z Kilianem nie należało do owocnych. Odrzucił przedłożoną przeze mnie propozycję pomocy w mediacji z Górskim. Stwierdził, że jego priorytetem jest firma. Aby móc na tym polu swobodnie funkcjonować, nie będzie narażał swoich relacji na jakieś fanaberie. Dodał, że gdyby przychylił się do mojej sugestii, naraziłoby go to na retorsje ze strony tego ostatniego, a tego chce uniknąć. Nie zdawał sobie sprawy, że jeżeli nie pomoże w naprawieniu naszych stosunków to czeka nas starcie, które jego pryncypał musi przegrać. Zresztą, ta kwestia tak naprawdę wcale go nie interesowała.

W międzyczasie odbyły się wybory parlamentarne 1997. Zgodnie z wcześniejszymi przewidywaniami – Bogdan Żurek przepadł w okręgu, ale mandat poselski uzyskał dzięki liście krajowej. Krzysztof Szydłowski, który po moim odsunięciu przejął jego kampanię został szefem jego biura poselskiego. W Warszawie rozpoczęły się konsultacje, celem sformowania nowego rządu na osi AWS-UW.

Któregoś dnia miałem ciekawą rozmowę z jednym z przedstawicieli KPN,

niegdyś moim kolegą radnym – Zdzisławem Wcisłą. Po jednym z zebrań udaliśmy się na piwo, aby nieco podyskutować poza protokołem. Po omówieniu bieżących zagadnień, zeszliśmy na tematy związane z okresem, kiedy wspólnie pełniliśmy mandat społeczny. W trakcie wymiany zdań, mój rozmówca rzucił nagle:

- Heniek Zaguła nigdy nie został wybrany prezydentem.

- Jak to nie został! Co ty bredzisz, przecież sam byłeś w komisji skrutacyjnej?!

- No właśnie, byłem...

- Wyjaśnij to zagadnienie?

- Nie ciągnij mnie za język. Nic ci więcej nie powiem, i tak powiedziałem za dużo. Kończymy ten temat! – odparł stanowczo.

Ta niewinna zdawałoby się wymiana zdań, w okresie późniejszym miała bardzo poważne konsekwencje polityczne, ale o tym we właściwym momencie.

Mając świadomość, że moje plany związane z osobą Górskiego są już przedawnieniem, zacząłem szukać rozwiązania alternatywnego. Wiedziałem, że muszę znaleźć wpływowego sojusznika po linii związkowej, gdyż w AWS realna władza leżała w rękach wyłącznie tego czynnika. Wiedziałem ponadto, że Górski jest w głębokim antagonizmie do Mirosława Kaszy i wicewersa. Ten ostatni był niegdyś również przewodniczącym struktury związkowej w Hucie Katowice, obecnie jest członkiem Komisji Krajowej, bliskim współpracownikiem – Mariana Krzaklewskiego. Doszło do zaaranżowanej przeze mnie rozmowy, którą przygotowała nasza wspólna znajoma Maria Gucwa – Rosik. Pierwsze wrażenie było korzystne. Kasza stwierdził, że dotychczas nie angażował się w politykę na szczeblu lokalnym, gdyż nie miał odpowiedniego partnera, który mógłby to przedsięwzięcie poprowadzić. Posiada dojścia i odpowiednie kontakty na szczeblu krajowym i jest gotów pomóc. Oczywiście – Górskiemu jako swojemu antagoniście, mówi stanowcze nie. Był raczej sympatyczny. Pierwszy kontakt był owocny. Moim wiecznym problemem była mizeria finansowa. By wyjść z tego impasu stwierdziłem, że posiadam dobre stosunki z Lechem Modelskim – prezesem Zagłębiowskiej Izby Gospodarczej. Z jego pomocą jestem w stanie zaaranżować spotkanie przedstawicieli lokalnego biznesu z kimś wpływowym ze szczebla centralnego, funkcjonującym na niwie gospodarczej. Kasza miał pomóc w załatwieniu warszawskiego dostojnika, najlepiej ministra skarbu – Emila Wąsacza. Ustaliliśmy, że w ciągu trzech tygodni w porozumieniu z Modelskim przygotuję listę zaproszonych osób, on załatwi wizytę dygnitarza.

Rozmowa z Modelskim przebiegła prawidłowo, przejawiał duże zainteresowanie. Nawiasem mówiąc, był to dla niego prezent, gdyż sam poszukiwał politycznego przełożenia, celem rozruszania zamierającego własnego dziecka – Zagłębiowskiej Izby Gospodarczej. Oficjalnie gospodarzem miał być Modelski. Ja miałem wystąpić w charakterze lokalnego polityka,

współpracownika Mirosława Kaszy – akuszera i prawej ręki ministra skarbu. Później mieliśmy się zwrócić do uczestników spotkania z prośbą o drobne wsparcie finansowe (zebrane środki miały być przeznaczone na działalność związaną z przyszłorocznymi wyborami lokalnymi). Sam wówczas nie dysponowałem jeszcze własnym podmiotem mogącym spełniać taką rolę. Zacząłem sobie zdawać sprawę z tej luki i szybko rozpocząłem pracę nad powołaniem własnego podmiotu o nazwie Dąbrowskie Towarzystwo Gospodarczo-Samorządowe, które w przyszłości miało być partnerem Zagłębiowskiej Izby Gospodarczej w przedsięwzięciach o charakterze gospodarczo – politycznym.

Po kilku dniach – Modelski – poinformował mnie, że ma skompletowaną listę przedstawicieli biznesu mających wziąć udział w planowanym spotkaniu. Ja z kolei podjąłem kontakt z Kaszą. Początkowo nie rozumiałem, co się takiego wydarzyło. Kasza stwierdził, że obecnie nie ma czasu, ponieważ jest uwikłany w kwestie związane z tworzeniem rządu, prosił o zwłokę. Za tydzień ta sama śpiewka, za dwa również. Dotarło do mnie, że stosuje klasyczną technikę odbijania tematu, zwaną spychotechniką. Było to dla mnie niezrozumiałe. Przecież odbyliśmy rozmowę w stosunkowo życzliwej atmosferze. W jej trakcie, osiągnęliśmy zbieżność w kluczowych kwestiach. W dodatku sam, i to bez mojego nacisku zadeklarował pomoc dla lokalnego środowiska AWS, ze szczególnym uwzględnieniem kwestii finansowych. Ja miałem tylko przygotować odpowiedni grunt. Kiedy wykonałem swoje, nagle stosuje uniki?! O co chodzi? Postanowiłem sprawę wybadać. Udałem się z prośbą o sondaż do Gucwy, która spełniała rolę pośrednika w naszych wzajemnych relacjach. Na drugi dzień oddzwoniła.

- Ktoś ci uszył buty – odpowiedziała.
- Ale kto?
- Bogdan Żurek – padła odpowiedź.

Zamurowało mnie.

- Żurek...?! Ale dlaczego? Jaka motywacja?
- Tego nie wiem, szczegółów też nie znam, ale to bezspornie on. Fakt jest jeden, Kasza nie będzie już z tobą więcej rozmawiał.

W taki sposób jedyna szansa pozyskania środków niezbędnych do stworzenia formacji politycznej i późniejszego skutecznego przeprowadzenia wyborów umarła śmiercią naturalną. Przede mną był już tylko dobrze mi znany prowincjonalny marazm.

Ponieważ powyższa kwestia nazbyt mnie nurtowała, nie mogąc zrozumieć motywów postępowania Żurka i jego wrogości do mojej osoby, postanowiłem dalej drążyć zagadnienie, tylko od innej strony. Udałem się do Krzysztofa Szydłowskiego i zapytałem, czy coś wie o sprawie. Wiedział. Sytuacja

wyglądała następująco. Pewnego dnia Żurek zjawił się u Górskiego z pytaniem, co sądzi o Frączku, bo – Mirek Kasza prosił go o opinię.

- A po co Kaszy opinia o Frączku?

- Bo mają wspólnie robić jakąś imprezę i Mirek chce wiedzieć kto zacz.

Gdy Górki usłyszał, że oto jego były człowiek układa się i chce robić wspólne interesy z jego dotychczasowym wrogiem, o mało krew go nie zalała. Bluznął i to z całą stanowczością. Szydłowski nie chciał przedstawić mi szczegółów, ale stwierdził.

- Zostałeś do Żurka poważnie zapodany, oj poważnie...

Sprawa się wyjaśniła. Kiedy wykonałem pracę z Modelskim i zwróciłem się do Kaszy o realizację ustalonego scenariusza, ten postanowił się upewnić kim jestem. Zwrócił się więc do swojego kolegi, świeżo upieczonego posła – Bogdana Żurka. Ten nie był w stanie powiedzieć nic – prócz faktu, że mnie kiedyś przelotnie poznał, że miałem mu robić kampanię, ale do tego nie doszło, ponieważ popadłem w jakiś zatarg z Górskim. Ponieważ Kasza potrzebował więcej informacji, ten postanowił ją zdobyć. Na moje nieszczęście jako źródło informacji wybrał właśnie Górskiego. Tym z kolei kierowały dwie fobie. Pierwsza to fakt, że uważał mnie za swojego człowieka, żmiję wyhodowaną na własnej piersi, druga to autentyczna wrogość do Kaszy. Kiedy od Żurka dowiedział się, że jego żmija zawarła jakiś układ z jego największym wrogiem i mają wspólnie realizować projekt biznesowo – polityczny wpadł w wściekłość i postanowił go storpedować. Nagadał więc Żurkowi, co mu ślina przyniosła na język, by mnie zdyskredytować w jego oczach. Chwyt trywialny lecz skuteczny. Zakładany przez niego efekt został osiągnięty. Poseł przekazał swojemu koledze – Miłosławowi Kaszy – stos pomyj jaki na mnie został wylany, zatajając źródło ich pochodzenia. Podłożona świnia zadziałała. W konsekwencji powyższego – Kasza – zaczął w stosunku do mojej osoby uprawiać wspomnianą spychotechnikę.

Ciekawostką jest, że Żurek wiedział o głębokim antagonizmie Kaszy do Górskiego i wicewersa i powinien był założyć, że w zestawieniu mojej osoby z Kaszą, reakcja Górskiego będzie tendencyjna, a nawet wroga. Gdyby miał doświadczenie wiedziałby, że wiarygodność przedłożonej oceny jest żadna. Dlatego należało szukać potwierdzenia w innym źródle, niezależnym od tego środowiska. Ale Żurek nie znał kulisów politycznej kuchni. Jego reakcja była klasycznym przykładem dyletanctwa, aczkolwiek wykonanego w dobrej wierze. Nie zadał sobie również trudu w odpowiedzi na pytanie, dlaczego nagle między Frączkiem a Górskim zaiskrzyło. Przecież musiała być jakaś istotna przyczyna. I w niej należało szukać emocjonalnego, wręcz obsesyjnie wrogiego stosunku tego ostatniego.

Fakt pozostawał faktem. Przez dyletanctwo Żurka – Górski storpedował mój plan zdobycia aktywów niezbędnych do skutecznego uprawiania polityki. Finał zagrywki był następujący. Kasza uważał Frączka za warchoła i idiotę, z

którym nie należy się wiązać. Frączek – Żurka za infantylnego dyletanta, a Górskiego za perfidnego i pozbawionego skrupułów gracza. Górski z kolei Frączka za kanalię, układającą się za jego plecami z osobistym jego wrogiem.

W warstwie operacyjnej – Frączek – utracił, dopiero co nawiązany kontakt na Kaszę. Górski niczego nie zyskał poza rozbiciem ewentualnego układu Frączek – Kasza. Powyższe wydarzenia i ich korelacje miały kluczowe znaczenie dla dalszego biegu wydarzeń.

W 1997 po zwycięskich dla AWS wyborach parlamentarnych sytuacja w dąbrowskim piekiełku wyglądała następująco. Był poseł na sejm – Bogdan Żurek, człowiek bez wiedzy i wyobraźni politycznej, prywatnie fajny chłop, ale politycznie nieprzydatny, a nawet rzekłbym hamulcowy. Przewodniczącym lokalnej struktury AWS był dalej – Zbigniew Górski – szef Solidarności Huty Katowice, który uparcie chciał dalej być przewodniczącym, chociaż twierdził, że polityka go nie interesuje. Jego przewodnictwo polegało na błogim nicnierobieniu. Był Frączek, formalnie reprezentant jednej z licznych prawicowych kanap, który od momentu konfliktu z Górskim, utracił jakiekolwiek polityczne znaczenie. W dodatku po nieudanej operacji z Kaszą, był przez Górskiego uważany za wroga publicznego, którego należy zwalczać wszelkimi środkami. Był KPN w czterech postaciach, gdzie prym wiódł – Jarosław Wartak, który zastąpił skompromitowaną wcześniejszymi podjazdami – Elżbietę Szymkowską. Oprócz tego, należy odnotować jeszcze działaczy Solidarności: Jana Kurczka i Kazimierza Dąbrowskiego. Pozostali nie mieli żadnego znaczenia operacyjnego. Kryzys w tym gronie narastał, by w końcu wejść w fazę przesilenia. Problem władzy polegał na rozwiązaniu jednego dylematu. Aby Górski mógł dalej skutecznie funkcjonować w roli przewodniczącego, potrzebował pozyskać przynajmniej jednego sojusznika. W grę wchodziły dwie osoby. Frączek, albo Wartak. Inni ze względu na słabość charakteru nie mieli istotnego znaczenia. Dopóki miał układ z Frączkiem jego pozycja była niezagrożona. Dysponował wsparciem merytorycznym, doradztwem i rzetelną analizą sytuacji. Gdyby nawet trzeba było iść na bagnety, przewagą w polu. Dowodem było skuteczne starcie z Szymkowską, reprezentującą interesy KPN. Odsunięcie jednak Frączka, a nawet późniejsze jego zwalczanie zmieniło ten stan diametralnie. Górski utracił przewagę operacyjną. Utracił dotychczasowe wsparcie logistyczne. Lukę powyższą mógł załatać odwracając sojusze i zawierając układ z Wartakiem. Układ taki, nie dawał mu co prawda przewagi merytorycznej, ale dawał przewagę w polu, czyli głosach. Na to wszystko nakładał się jeszcze problem wewnętrzny Solidarności. Dwóch jej reprezentantów: Jan Kurczek i Kazimierz Dąbrowski spełniało wyłącznie rolę figurantów, bez wpływu na podejmowanie decyzji, które arbitralnie podejmował wyłącznie – on. Wywoływało to ich irytację i poczucie niedowartościowania. Wszak ambicje ma każdy. Reasumując. Po odstrzeleniu Frączka – Górski pozostawał na placu boju sam, otoczony zewsząd wrogami,

chcącymi pozbawić go pełnionej funkcji. Kurczek z Dąbrowskim wiedzieli, że przebicie się do decyzji wiedzie po trupie Górskiego. Inaczej jest to niemożliwe. Wartak wiedział to samo. Frączek – całkowicie odsunięty, a nawet zwalczany rozumiał, że tylko zmiana przewodniczącego może wyzwolić nową jakość decyzyjną.

W tym czasie niemal całkowicie zamarła działalność. Zebrania albo się nie odbywały, albo były bezprzedmiotowe. Marazm narastał, frustracja wzbierała. Wszyscy, oprócz – Górskiego rozumieli, że jego zmiana jest niezbędna. Do przesilenia doszło kilka miesięcy później. Zadzwonił do mnie Kazimierz Dąbrowski.

- Mam dla ciebie zaproszenie. Czesiek Kamiński (szef MKK NSZZ"S") organizuje spotkanie, poświęcone wyjściu z impasu w AWS. Jesteś zaproszony. Przyjdź!

W spotkaniu uczestniczyły cztery osoby: gospodarz – Czesław Kamiński, Jan Kurczek, Kazimierz Dąbrowski i ja. Kamiński zagaił, że źle się dzieje w AWS i trzeba jakoś uzdrowić chorą sytuację. Dąbrowski z Kurczkiem przyłączyli się do tej opinii, ale poza ogólnym narzekaniem niczego konstruktywnego nie wnieśli. Po chwili zabrałem głos.

- Wszyscy znamy Górskiego i wiemy, że dopóki będzie trzymał ster, żaden nowy impuls nie jest możliwy. Jest hermetyczny i odporny na argumenty. Ja nie mam na niego już żadnego wpływu. Zaczynam dostrzegać u niego cechy politycznej nieprzewidywalności. Jedyne wyjście z tej sytuacji, to jego odwołanie. Ale to już panowie wasza broszka, ponieważ jest to sprawa wewnątrzzwiązkowa. To od was jako związkowców zależy ruch w tym przedmiocie.

W myśl Karty AWS przewodniczącego lokalnej struktury powoływał i odwoływał przewodniczący Zarządu Regionu NSZZ Solidarność na wniosek lokalnych struktur związkowych. Czesław Kamiński był wyraźnie zadowolony z tak czytelnego postawienia kwestii. Wszedł w zdanie.

- Już rozmawiałem z Wackiem Marszewskim (przewodniczący Zarządu Regionu "S" po Kempskim) i Grzegorzem Opalą (przewodniczący Regionu RS) i wyjście jest następujące. Trzeba zwołać posiedzenie MKK (przedstawiciele wszystkich komisji zakładowych "S" z terenu miasta), naświetlić sprawę, postawić wniosek i przegłosować. Później podjętą uchwałę przedłożyć – Marszewskiemu, by na jej podstawie podjął decyzję.

Na moje pytanie, jak wygląda układ sił w MKK i czy wynik głosowania jest przewidywalny. Wszyscy odpowiedzieli zgodnie.

- Tak! Jego (Górskiego) nikt nie lubi, zostanie wycięty!

- Pozostaje więc jeszcze wybór następcy. Kto?

Kamiński spojrzał na Dąbrowskiego i Kurczka.

- Jeden z nich! Przewodniczącym może być wyłącznie działacz związkowy.

Widać było, że obaj pragną tej funkcji, ale hipokryzja nie pozwalała im postawić tej sprawy otwarcie. Ponieważ żaden nie był w stanie czytelnie się zdeklarować, ustaliliśmy, że ostatecznie następcę wskaże MKK, spośród ich dwóch.

Zaskoczyła mnie jednak inna kwestia, której wówczas nie rozumiałem. Wszyscy trzej usilnie zabiegali, abym się czynnie włączył w tę rozgrywkę. Chcieli, bym pozyskał przedstawicieli partii, aby wszyscy na posiedzeniu MKK zgodnie poparli wniosek o zmianę przewodniczącego. Kamiński, będąc przewodniczącym MKK wszystkich przedstawicieli partii – im gremio zaprosił. Nawet mnie to zastanowiło. Po cóż tak zabiegają o wsparcie, skoro zgodnie twierdzą, że wynik głosowania jest z góry przesądzony?! Sytuacja była zgoła nietypowa. Panowie związkowcy zgodnie twierdzą, że tylko oni mają monopol na przywództwo. Twierdzą ponadto, że wynik głosowania w aparacie związkowym mają już przesądzony na swoją korzyść, ale usilnie zabiegają o wsparcie partii, które przecież w myśl ich poglądów są drugoplanowe. Czysty nonsens! Wówczas zinterpretowałem to jako przejaw procesu demokratyzacji podejmowania decyzji, odejścia od dotychczasowego ducha dyktatury na rzecz kolegialności, o czym zresztą wszyscy solennie zapewniali. Po zmianie przewodniczącego, wszystko już miało się odbywać w nowym duchu. Przyszłość pokazała, że było inaczej...

Kiedy powracałem ze spotkania miałem o czym myśleć. Wziąłem udział w zawiązaniu spisku, którego celem było odsunięcie od władzy w AWS mojego byłego kolegi. Kolegi, z którym podejmowałem z początku udane działania i razem piłem wódkę. Kolegi, który obronił mnie przed atakami KPN. Ale również kolegi, który w pewnym momencie odsunął mnie od wpływu na decyzje, który torpedował moje działania zmierzające do poszerzenia zaplecza politycznego. Człowieka, który zabronił mi wydawania gazetki, uniemożliwiając agitację i rozwój. Później storpedował owocnie zapowiadające się relacje z Kaszą. I to w sytuacji, gdy tamten był bliskim współpracownikiem faktycznej głowy państwa. Od tego momentu traktował mnie jak wroga publicznego, którego należy niszczyć na każdym kroku. Na jednej szali stawiałem dawne wspomnienia, na drugiej bieżący interes. Gdybym chociaż miał jakieś pole manewru?! Nie miałem. Dla niego byłem żmiją wyhodowaną na własnej piersi, którą należy zadusić. Dawał mi to do zrozumienia przy każdej nadarzającej się okazji. Droga do mojej przyszłości wiodła przez jego egzekucję. Bezspornym był fakt, że nie ja go opuściłem. To on wyrzucając mnie wypowiedział nasz układ. A wojna wyklucza subtelności. Przypomniały mi się słowa Klausa von Szteuffenberga wypowiedziane 50-lat wcześniej: "Kiedy wódz głupieje, armia ma prawo wypowiedzieć mu posłuszeństwo". On pojechał z bombą do Wilczego Szańca pod Kętrzynem, by zabić Hitlera. Ja na ulicę Dojazdową do biura AWS, by wyeliminować – Zbigniewa Górskiego.

W krytycznym dniu zgodnie z ustaleniami odbywało się posiedzenie MKK. Przewodniczył – Czesław Kamiński – omawiają sprawy związkowe. My, przedstawiciele partii, krążymy po korytarzu i na zewnątrz. W pomieszczeniu obok przebywa – Górski ze świtą. Nie bierze udziału w obradach. Coś przeczuwa. Wyczuwalne jest napięcie. W pewnym momencie wychodzi do nas – Dąbrowski i zaprasza do środka. Salka konferencyjna wypełniona jest działaczami związkowymi z okolicznych przedsiębiorstw. Kamiński pobieżnie nas przedstawia. Stwierdza, iż doszły go słuchy, że w lokalnym AWS źle się dzieje i trzeba zająć się sprawą. W niczym nie przypomina tego Kamińskiego z ostatniego spotkania. Odgrywa rolę obiektywnego, niezainteresowanego sprawą mediatora. Prosi nas o zreferowanie sytuacji. Głównie wypowiadamy się ja i Jarosław Wartak. Nasze wypowiedzi, aczkolwiek nie uzgodnione są z sobą kompatybilne. Stwierdzamy, że problem AWS to problem przywództwa. Górski ze względu na swoje cechy charakteru uniemożliwia dalszą współpracę. Torpeduje słuszne inicjatywy, nie jest zainteresowany rozwojem, nie czuje politycznego klimatu. Działalność zamarła, zebrania się nie odbywają, realnie zagraża nam kompromitacja w nadchodzących wyborach. Zraził do siebie wszystkich. Wniosek – jego misja na tej funkcji została wyczerpana. Czas na zmiany! Część zebranych jest zaskoczona.

- A cóż nas obchodzi AWS, to sprawa Marszewskiego?!

Tu w sukurs przychodzi Kamiński. Cały czas występując w roli mediatora wyjaśnia, że MKK odgrywa istotną rolę, ponieważ opiniuje mianowanego przewodniczącego, ponadto w jej kompetencjach leży zajmowanie stanowiska również w kwestiach politycznych. Jaka będzie opinia czynnika lokalnego (MKK), takie stanowisko zajmie – Marszewski. Obserwuję zachowanie Kurczka i Dąbrowskiego. W ogóle nie zabierają głosu. Kurczek siedzi z rumieńcem na policzku, Dąbrowski dla przeciwwagi blady jak ściana. I ani be, ani me, ani kukuryku. Nie ci sami, co dwa tygodnie wcześniej w gabinecie Kamińskiego. No cóż, pole walki nie jest miejscem dla mięczaków. Intryga gabinetowa, buńczuczna wypowiedź w kameralnym gronie, to co innego. Ale tu jest front. Starcie postaw, charakterów i interesów. A wynik nieznany. Wszystko może się wydarzyć. Mamy i tak szczęście, że Górski nie uczestniczy w zebraniu, oczekując w salce obok. A gdyby był na sali, gdyby trzeba było patrzeć mu w oczy. Nie wiem, czy poza mną ktoś odważyłby się wystąpić. Z zachowania sali wcale nie wynika, że wynik jest przesądzony, jak wcześniej zapewniali. Odnoszę wrażenie, że jest zgoła inaczej. W pewnym momencie, ktoś to zauważa.

- Wy tu wygadujecie takie rzeczy na człowieka, a on nawet nie ma możliwości się bronić!

Kamiński wychodzi do salki obok, by wezwać Górskiego, by miał możliwość ustosunkowania się do przedłożonych zarzutów. Napięcie rośnie. Teraz dopiero się zacznie prawdziwy ogień. Pierś na pierś, stal na stal. I to bez brania jeńców.

W wyczekiwaniu mijają minuty. W końcu – Kamiński z pokraśniałym licem – powraca.

- Nie wiem jak mam to ująć, ale Górski powiedział używając eufemizmu, że MKK nie jest partnerem do dyskusji z nim na tematy polityczne.

Przez salę przechodzi pomruk niezadowolenia. W lot wychwytuję moment przesilenia. Podchodzę do Dąbrowskiego i szepczę mu do ucha.

- To jest właściwy moment! Teraz wstań, złóż wniosek o zamknięcie dyskusji i przystąpienie do głosowania!

Dąbrowski tak czyni. Chwilę później uchwała jest przegłosowana. MKK wnioskuje o odwołanie Zbigniewa Górskiego z funkcji przewodniczącego AWS w Dąbrowie Górniczej i powołanie na tę funkcję Kazimierza Dąbrowskiego. Teraz tylko dostarczyć stosowny dokument na biurko Marszewskiego, jego podpis i klamka zapadła.

Gdy opuszczam salę obrad uczucia mam mieszane. Z jednej strony sukces, ale nie odczuwam satysfakcji. Opuszczam lokal, który wspólnie z Górskim załatwiałem w MZBM, który remontowaliśmy, w którym razem piliśmy wódkę, w którym snuliśmy wizje wspólnej przyszłości. Obecnie mieści się tam biuro poselskie – Żurka. On kiedyś bronił mnie przed KPN, a teraz ja pod rękę z dawnym wrogiem wysadziłem go ze stołka. Parszywa wojenka! Trochę głupio... Jedno muszę przyznać, charakteru to mu nie brakuje, twardziel do samego końca. Niepokoiła mnie również inna kwestia. Przyczyniając się do eliminacji Górskiego, wypuszczałem na przestrzeń operacyjną moich odwiecznych wrogów z KPN, do tej chwili trzymanych pod podkutym butem. Z nimi jeszcze będzie nie jeden problem. I nie myliłem się...

Rozdział XXVII
Z DESZCZU POD RYNNĘ

Opisywałem już perypetie z DKO, a konkretnie z jego przewodniczącym – Henrykiem Jasiakiem w 1994. Wiedziałem, że Jasiak kieruje się niezbyt wyszukaną logiką. Brzmi ona następująco: lepiej być szefem struktury choćby i marnej, niż jednym z kilku zastępców w strukturze poważniejszej.

Reguła jest prosta. Im bardziej prymitywna jednostka stoi na czele grupy, tym bardziej stara się grupę izolować od innych, aby tylko zachować w niej swoją dominującą pozycję. Wprowadzenie DKO w szersze otoczenie może bowiem spowodować utratę dotychczasowej bezwzględnej supremacji nad swoim zapleczem. Wszak dominacja i supremacja są priorytetem każdej jednostki pozbawionej wyobraźni. To, że osiągnięcie zakładanych celów wymaga znacznie poważniejszego potencjału niż dotychczas posiada, ma w tym przypadku znaczenie marginalne. Dominacja i przywództwo, choćby nawet nad kalekami, ma w przypadku takiej jednostki znaczenie priorytetowe.

Uzbrojony w tę wiedzę, postanowiłem chwycić byka za rogi. Moja strategia zakładała grę o władzę realną, rozumianą jako władza wykonawcza w mieście. Radnym już byłem i doskonale zdawałem sobie sprawę z reguł rządzących tym zagadnieniem. Liczy się tylko władza wykonawcza, ponieważ tylko ona daje odpowiednie instrumentarium niezbędne do skutecznego rozwiązywania problemów zbiorowości. Reszta jest tylko przysłowiowym kwiatkiem do kożucha. Aby jednak osiągnąć powyższy cel, należało zdobyć większość w gremium uchwałodawczym (Rada Miasta). Przy ówczesnej ustawie to Rada Miasta powoływała i odwoływała organ wykonawczy. Ponadto, biorąc pod uwagę lokalną specyfikę, czyli ponadprzeciętne odchylenie elektoratu w lewo oraz meandry ordynacji wyborczej (proporcjonalna, system D`hondta), jedyna droga do powyższego celu wiodła przez zawiązanie jak najszerszej koalicji na osi AWS-DKO-UW. Tylko utworzenie tak szerokiego komitetu wyborczego dawało cień szansy na osiągnięcie tak ambitnego zamierzenia. Z rozkładu elektoratu wynikało, że jeżeli którykolwiek z tych podmiotów pójdzie do wyborów samodzielnie, większość w Radzie Miasta, a zatem władza wykonawcza przypadnie SLD.

W okresie, kiedy – Górski przewodniczył AWS, wielokrotnie ten temat dyskutowaliśmy. Górski podzielał moją argumentację, ale wyłącznie w warstwie werbalnej. Operacyjnie już nie. O ile akceptował DKO w AWS, o tyle nie widział wspólnej listy z Unią Wolności. DKO akceptował, ponieważ było to stowarzyszenie lokalne, bez jakiejkolwiek politycznej konotacji. Unia Wolności z kolei była ogólnokrajową partią kojarzoną z ustawodawstwem antyzwiązkowym, z Żydami, złodziejami i różnej maści inteligenckimi farbowańcami (Michnik, Balicki, Celiński, Piekarska...). Dodatkowym

problemem był brak w UW jakichkolwiek akcentów katolickich (dopuszczalność aborcji, brak pielgrzymek, brak poświęceń lokali, sztandarów i mszy z najprzeróżniejszych okazji). Twierdził jednoznacznie, że jakkolwiek z pozycji politycznych mam rację, to on i tak nie zgodzi się na wspólną listę z UW, ponieważ naraziłoby to na szwank jego relacje w Zarządzie Regionu Solidarności. Realna władza w mieście go nie interesowała. Jego interesowało wyłącznie piastowanie funkcji politycznej, którą uzyskał dzięki zajmowanej pozycji w strukturze związku zawodowego. Muszę jednak solennie nadmienić, że nie były to jego poglądy osobiste. Znał mentalność ludzi aparatu związkowego i po prostu na wyrost obawiał się jego reakcji na ewentualny alians ze zdemaskowanym antychrystem. Jak wykazało doświadczenie, jego reakcja była nadmiernie asekuracyjna. Marianowi Krzaklewskiemu (wielkiej maści katolik) złodzieje i Żydzi jakoś nie przeszkadzali i w ciągu jednej nocy zrobił z nimi rząd z wrogim związkowi – Leszkiem Balcerowiczem w randze wicepremiera i ministra finansów. Ot, arytmetyka wyborcza...

Ponieważ, jak już wspomniałem, powyższe oceny nie były jego poglądami osobistymi, a stanowisko nadmiernie dogmatyczne mogłem liczyć, że w przyszłości, wobec nieubłaganych realiów zmieni punkt widzenia. Dlatego szczegółowe rozwiązanie owego problemu przekładaliśmy na okres późniejszy. Tymczasem dostałem zielone światło do rozwiązania kwestii DKO.

Działając z jego umocowania, wystosowałem na ręce Henryka Jasiaka zaproszenie do rozmów, celem zawiązania wspólnego komitetu wyborczego. Pierwsze spotkanie było obiecujące. Jasiak podobnie jak cztery lata wcześniej temat rozmów podjął, ale jak zwykle coś mu nie pasowało. Chciał wiedzieć, jakie będzie jego umocowanie, i na jakie funkcje w przyszłości może liczyć. Co się tyczy umocowania, to były dwie możliwości. Albo DKO przystąpi do AWS na takich samych zasadach jak inne partie. Wówczas zostanie wkomponowane w układ udziałowy i straci podmiotowość decyzyjną na rzecz Solidarności. Albo nie wstąpi, lecz stowarzyszy się z nim w ramach wspólnego komitetu wyborczego. Wówczas zachowa swoją podmiotowość decyzyjną, a wszystkie strategiczne decyzje będą negocjowane w ramach wzajemnych uzgodnień. Wybór opcji zależał wyłącznie od Jasiaka. Ja na jego miejscu wybrałbym opcję drugą. On jednak zgodnie ze swoją mentalnością wybrał wariant trzeci, czyli pozorowane rozmowy i kurs na własny komitet wyborczy wyłącznie pod swoimi auspicjami. Tym razem jednak się przeliczył. Nie wiedział, że Frączek odrobił lekcję z przeszłości i przygotował się na taką ewentualność. Znając jego usposobienie, założyłem, że obecnie postąpi analogicznie jak w latach ubiegłych. Dlatego na przestrzeni ostatniego roku, działając z ukrycia, systematycznie wprowadzałem do kierowanego przez niego stowarzyszenia pojedyncze osoby. Ich zadaniem było przeprowadzanie lobbingu i wytworzenie sprzyjającego klimatu dla utworzenia wspólnej listy wyborczej. Jeżeli to by nie wystarczyło, to w sytuacji ostatecznej spowodowanie wyborów i wyłonienie

nowych władz o właściwej orientacji. W momencie kluczowym moich ludzi było około dwudziestu, z Kazimierzem Dąbrowskim (przewodniczący AWS) na czele. Globalnie było to ok. 50% stanu osobowego stowarzyszenia. Biorąc pod uwagę fakt, że część osób z grupy Jasiaka również popierała ideę wspólnej koalicji, dawało to wystarczającą większość nawet, gdyby trzeba było sięgnąć po rozwiązanie siłowe, czyli zmianę zarządu. Jasiak z początku nie orientował się w wytworzonej sytuacji, ale z biegiem czasu zaczęła do niego docierać prawda. Między nami zaczęło iskrzyć, by w końcu nasze relacje weszły w stadium otwartego konfliktu.

Sytuacja była niecodzienna. W owym okresie założenia mojej polityki miały poparcie większości członków DKO. Jasiak jednak w pełni kontrolował zarząd stowarzyszenia. Nie stanowiło to większego problemu, ponieważ w razie potrzeby, gdyby kierownictwo dalej parło w kierunku separatystycznym, dysponując większością – mogłem spowodować Walne Zgromadzenie Członków i zmienić skład personalny zarządu na osoby o właściwej orientacji.
Bardzo szybko zaczęły do mnie docierać sygnały odnośnie polityki Jasiaka, prącego w kierunku realizacji opcji separatystycznej. Tego nie mogłem tolerować. Postanowiłem wykonać ruch o charakterze propagandowym. A do propagandy najlepszy jest autorytet. Udałem się do Iwony Kempnej, posiadającej wówczas tytuł profesora, aby poprzez swoje relacje z Grzegorzem Opalą (też profesor, przewodniczący RS AWS w województwie śląskim) spowodowała, by napisał on odręczny list do członków DKO w Dąbrowie Górniczej. List miał nosić charakter grzecznościowy, w warstwie werbalnej dopieszczający i podkreślający potrzebę ścisłej współpracy z AWS w ramach rozwiązywania problemów miasta. Aby to jednak było możliwe, oba podmioty muszą wystawić w nadchodzących wyborach wspólną listę wyborczą. Kempna porozmawiała z Opalą jak profesor z profesorem i kilka dni później powyższy tekst został odczytany przez Krzysztofa Frączka na zebraniu ogólnym członków stowarzyszenia. Jasiaka i jego kompanów trafił szlag, ale zdecydowana większość zebranych jak było do przewidzenia przyjęła tekst ciepło i życzliwie. Mimo opozycji Jasiaka wywiązała się dyskusja zakończona sondażowym głosowaniem za jaką opcją opowiadają się członkowie. Zdecydowana większość opowiedziała się za sojuszem z AWS.

Powyższe wydarzenie musiało u niego wywołać poważniejszą refleksję. Będąc przewodniczącym, lansował kurs, którego nie akceptowała większość jego członków. W dodatku przegrał głosowanie sondażowe, którego wynik jednoznacznie podważał jego kurs polityczny, a co za tym idzie dalsze umocowanie na tej funkcji. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że Grzegorza Opali miasto Dąbrowa Górnicza nie mogło interesować. Miasto prowincjonalne, w skali województwa bez znaczenia strategicznego. A skoro się zaangażował, to musiał zostać przez kogoś nakłoniony. Przez kogo? Nie trudno było zgadnąć.

Napięcie między nami weszło w stadium otwartej wojny. Doszło do tego, że przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Po prostu nie było o czym. Wiedziałem do czego w ukryciu zmierza, on z kolei wiedział, że ja wiem.
Chcę z całą mocą podkreślić, że moje działania w owym okresie nie miały na celu odwołania go z funkcji przewodniczącego, lecz wywarcia presji celem utworzenia wspólnego komitetu wyborczego. Ruch o charakterze personalnym, rezerwowałem sobie jako ostateczność, gdyby zawiodła droga dyplomatycznych nacisków i perswazji.

Chcąc ratować przegraną sprawę, konkurent postanowił kontratakować. Wśród swoich członków zaczął kolportować treści, że owszem – Opala to fajny facet, ale nie z nim ma tutaj do czynienia, ale ze złym Górskim, z którym nie może osiągnąć porozumienia w kwestii koalicji. Górski nie widzi dla DKO żadnej roli, poza funkcją marionetki, na co on nie może wyrazić zgody. Była to prawda i fałsz zarazem.
W owym okresie Jasiak dobrze już zdawał sobie sprawę z dwóch elementów. Moich pozytywnych relacji z Górskim i mojej roli wewnątrz jego stowarzyszenia. Doszedł do logicznego wniosku, że jego głównym problemem jest moja osoba. Zdawał sobie sprawę ponadto, że Górski z braku doświadczenia i nieznajomości lokalnych realiów, bez Frączka będzie musiał się pogubić. Dlatego, wszystkie rozmowy jakie z nim odbywał ustawiał tak, abym w nich nie mógł uczestniczyć.
Wyglądało to mniej więcej tak. Na pytanie Jasiaka. Jak Górski widzi rolę DKO w AWS? Ten drugi odpowiadał zgodnie ze stanem faktycznym, że zgodnie z Ogólnokrajową Kartą AWS ośrodek decyzyjny spoczywa w rękach Solidarności, czyli personalnie niego. Stowarzyszenie dostanie kilkanaście udziałów, którymi będzie głosować. Z tej wypowiedzi wynikało jednoznacznie, że DKO wstępując do AWS straci podmiotowość decyzyjną na rzecz Solidarności. I to jest prawda. Ale jest też druga prawda mówiąca o tym, że naszym priorytetem nie była przynależność DKO do AWS, lecz wspólny komitet wyborczy. Skoro stowarzyszenie chce zachować niezależność (co jest zrozumiałe), to niech nie wstępuje, lecz jako suwerenny podmiot utworzy z nim wspólną listę wyborczą według wstępnych parytetów AWS-40%, DKO-30%, UW- 30% aktywów. Ale o tym, obaj panowie nigdy nie rozmawiali. Jasiak zadawalał się wcześniejszą wypowiedzią Górskiego, ponieważ pasowała ona do jego koncepcji samodzielnego startu. Przekazanie swoim członkom takiego stanowiska potencjalnego partnera musi przecież spowodować ich jednoznacznie negatywną reakcję. I właśnie ta reakcja, była głównym celem jego zabiegów.
Górski z kolei nie proponował kompromisowego rozwiązania, ponieważ traktowanie Jasiaka z góry, dawało mu poczucie dominacji nad nim, kosztem oczywiście wspólnej sprawy. Niuansami politycznymi nie zaprzątał sobie głowy. Od tego miał przecież mnie. Problem jednak leżał w tym, że nie każdy błąd szefa można naprawić. Fakt był bezsporny. Górski przez swoją niewiedzę i

megalomanię grał melodię, którą Jasiak chciał usłyszeć, ponieważ pasowała ona do jego wizji samodzielnego kursu. Frączek sytuacji nie mógł uratować, ponieważ Jasiak zawsze dbał o to, aby przy ich wzajemnych rozmowach był nieobecny.

W końcu front ustabilizował się na następujących rubieżach. Frączek, jako wpływowa postać AWS, posiadał wpływ na większość członków DKO, promując koncepcję wspólnej koalicji. Jasiak z kolei, posiadał większość w zarządzie, popierającą jego działania separatystyczne i skutecznie w swoim otoczeniu uprawiał politykę dyskredytacji Górskiego. W wyniku jego kontrataku wymierzonego w osobę Górskiego, przewaga, którą uzyskałem dzięki listowi Opali, stopniowo malała.

Zrozumiałem, że dalsze przeciąganie struny może spowodować jej pęknięcie i konsekwencje nie do naprawienia. Należało jak najszybciej wytrącić argumenty kompromitujące Górskiego z rąk Jasiaka. Można to było uczynić poprzez złożenie DKO korzystnej, kompromisowej oferty, według przedłożonego wcześniej założenia. Aby powyższe miało moc wiążącą, musiał to uczynić w formie oficjalnej przewodniczący AWS, czyli – Zbigniew Górski. I tu spotkał mnie zimny prysznic. Górski kategorycznie odmówił stwierdzając, że jest jeszcze za wcześnie na uznanie DKO za niezależnego partnera. Dostał do rąk władzę i nie zamierza jej oddawać. Albo DKO przyjmie jego warunki w ramach AWS, albo niech robią co chcą. O Unii Wolności jako potencjalnym partnerze, też nie chciał słyszeć. Mojej argumentacji, że takim działaniem oddaje władzę w mieście w ręce przeciwnika politycznego nie przyjmował do wiadomości. W końcu przyparty do muru serią argumentów nie do odbicia, stwierdził z rozbrajającą szczerością.

- Ja to pierdolę..!

Zamarłem... Zrozumiałem, że straciłem nad nim jakąkolwiek kontrolę. Z uporem maniaka dryfuje w kierunku politycznej kompromitacji. Na to nakładały się jeszcze nasze wewnętrzne perturbacje, jego konflikty praktycznie z wszystkimi koalicjantami. W końcu sytuacja dojrzała do tego, by go z tej funkcji usunąć. Musiał zostać odwołany, ponieważ utracił polityczną obliczalność. Fakt, że kiedyś pomógł mi w starciu z KPN to stanowczo za mało, bym wraz z nim grzebał przyszłość i szargał swoją polityczną reputację. Postanowiłem odegrać rolę Klausa von Stauffenberga i ratować z tego, co jeszcze się da. Kilka tygodni później Górski był już wyłącznie prywatną osobą, co opisałem wcześniej.

W okresie kiedy przesilenie z Górskim weszło w fazę kulminacyjną, Jasiak poczuł się na tyle silny, że postanowił wykonać ruch o charakterze zaczepnym. Wraz ze swoim przybocznym – Ryszardem Grzywną – wywarł presję na swój zarząd, aby ten podjął brzemienną w skutkach decyzję o zerwaniu współpracy z AWS i podjęciu działań celem utworzenia własnego

separatystycznego komitetu wyborczego zwanego Obywatelskim. Argumentował to brakiem możliwości osiągnięcia porozumienia z przewodniczącym AWS.
A więc stało się, zgodnie z moimi przewidywaniami odkrył ostatecznie karty, powielając manewr z 1994. Tym razem postanowiłem działać natychmiast w sposób zdecydowany. Uruchomiłem przygotowaną wcześniej inicjatywę zmian w zarządzie tego stowarzyszenia. Ruszyła procedura zbierania podpisów pod wnioskiem o zwołanie nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia Członków, celem odwołania z zarządu dwóch osób: Henryka Jasiaka i Ryszarda Grzywny. Reszta była wyłącznie nieszkodliwymi ich marionetkami. Andrzej Migalski pracował analogicznie na odcinku komisji rewizyjnej. W owym okresie na 35 członków stowarzyszenia, 25 podzielało moje poglądy. Dlatego wynik starcia, był z góry przesądzony na moją korzyść. Mając zebraną wystarczającą ilość podpisów chciałem postawić Jasiaka przed alternatywą: wspólna koalicja, albo będzie po nim i po Grzywnie.

Po usunięciu Górskiego i zainstalowaniu na funkcji przewodniczącego AWS – Kazimierza Dąbrowskiego sytuacja z początku wyglądała obiecująco. Dąbrowski znał mój punkt widzenia i w pełni go podzielał. Ba, brał nawet czynny udział w jego realizacji. Za moją sugestią wstąpił nawet do DKO, by wraz z innymi czuwać nad sprowadzaniem Jasiaka na właściwe tory. Dlatego miałem wszelkie podstawy sądzić, że przynajmniej na tym polu nie będzie niespodzianek. Podkreślam. Znał założenia mojej polityki i w pełni je akceptował! W zamian za co, walnie przyczyniłem się do faktu, aby właśnie to on objął funkcję przewodniczącego. On! Nie Kurczek, który również miał na to ochotę. Z Janem Kurczkiem nie miałem wówczas żadnych relacji. Poprzez złożenie kompromisowej oferty współpracy; takiej, której Jasiak z przyczyn wewnętrznych nie mógłby odrzucić, planowałem zamknąć sprawę DKO. Problem jednak leżał w tym, iż aby była to oferta wiążąca, musiał to uczynić wyłącznie przewodniczący AWS. Górski odmówił, Dąbrowski – nie. Po likwidacji frontu na odcinku DKO, planowałem ofensywę na kierunku UW. Chciałem to czynić stopniowo, by nie otwierać na raz dwóch ognisk zapalnych. Czasu na wyczekiwanie było coraz mniej. Wyborczy zegar tykał.

Wkrótce Jasiak zorientował się jaki jest faktyczny rozkład sił w jego stowarzyszeniu i, że powyższe starcie musi przegrać. Postanowił więc za wszelką cenę uniknąć niekorzystnej dla siebie konfrontacji. Wystosował zaproszenie do dwóch osób, reprezentujących AWS: Kazimierza Dąbrowskiego (przewodniczący) i Bogdana Żurka (poseł na sejm), celem przedyskutowania ewentualnych przyszłych relacji. Tak jak poprzednio miał tylko jeden warunek. W powyższym spotkaniu nie może brać udziału Dariusz Frączek.
Dzień przed zaplanowanym spotkaniem, odbyłem rozmowę z Dąbrowskim. Było dla nas oczywistym, że w związku ze zmianą kierownictwa AWS, zarząd

DKO chce się z nimi spotkać, by w nowym układzie personalnym przedyskutować możliwość współpracy. Przy Górskim ta współpraca była praktycznie niemożliwa, ale teraz rozpoczyna się nowe otwarcie. Ustaliliśmy jaką ma przyjąć taktykę. Ma powiedzieć jednoznacznie. Koniec zabawy w kotka i myszkę. Przedłożyć im kompromisowe warunki wspólnego komitetu wyborczego i postawić sprawę zdecydowanie. Albo je przyjmą, albo Frączek dostanie zielone światło, celem finalizacji Walnego Zgromadzenia Członków i korekt personalnych w zarządzie stowarzyszenia. Idą na kompromis, albo za miesiąc będą za burtą! Interes polityczny wymaga bowiem wspólnego komitetu wyborczego. Temu celowi podporządkowana jest polityka AWS. Kto z tym się nie zgadza, ten nasz wróg. I będzie potraktowany jak na wroga przystało! Czas na dalsze podjazdy już minął! Z Żurkiem nie rozmawiałem, ponieważ ten ostatni na wskutek denuncjacji Górskiego, uważał mnie za diabła w ludzkiej skórze. Zresztą nie zachodziła taka potrzeba. Politykę realizował przewodniczący, a nie poseł na sejm. Osoba Dąbrowskiego całkowicie mi wystarczała. Nieco tylko martwił mnie ich warunek. Pod żadnym pozorem nie mogę brać udziału w tym spotkaniu. To dawało podstawy do osądu, że Jasiak dalej prowadzi tę samą grę, co z Górskim i jednoznacznie wskazywało na jakiś ukryty fortel. Wówczas jednak interpretowałem to w odmienny sposób. Doszedłem do wniosku, że Jasiak panicznie obawia się mojej osoby i, że jest to wyłącznie kwestia natury ambicjonalnej.
Podkreślam z całą stanowczością! Kazimierz Dąbrowski na przestrzeni ostatniego roku na polu DKO ściśle ze mną współpracował. Został nawet jego członkiem, by w tym gremium realizować naszą politykę. Znał jej kompleksowy zarys i w pełni go akceptował. Bogdan Żurek jak na posła przystało, powyższymi kwestiami w ogóle się nie interesował. Polityka była dla niego zagadnieniem z pogranicza abstrakcji. Osobiście uważał mnie za diabła wcielonego, którego jedynym zajęciem jest uprzykrzanie życia innym spokojnym ludziom.

W takiej sytuacji obaj panowie udali się na zaaranżowane przez Henryka Jasiaka spotkanie. Tam istna ściana płaczu; jaki to Frączek jest nieludzki i tylko jedna kwestia. Prośba o wyrażenie zgody na odejście od AWS i zaakceptowanie decyzji stowarzyszenia o samodzielnym starcie w wyborach. Obaj panowie (Dąbrowski, Żurek) w przeciwieństwie do diabła Frączka jako ludzie prawi i wrażliwi na ludzką krzywdę zgodnie oświadczają, że skoro ze strony stowarzyszenia jest taka wola, to oni nie mają nic przeciwko temu. Nikogo, przecież nie będą siłą utrzymywać przy sobie. Nie widzą również w powyższej decyzji błędu politycznego jak również oczywistego faktu, że właśnie oddają władzę w swoim mieście – przeciwnikowi politycznemu. Krótko mówiąc, nie widzą żadnych przeciwwskazań.

Kiedy następnego dnia dociera do mnie relacja z wydarzeń, wpadam

najpierw w osłupienie, później w istną furię. Nie rozumiem jak do tego mogło dojść?! Przecież w moim posiadaniu jest wniosek o zwołanie Walnego Zgromadzenia Członków DKO, pod którym widnieje między innymi podpis Dąbrowskiego. Jak to możliwe, że w jeden dzień przewodniczący AWS popiera mnie przeciw Jasiakowi, a w drugi Jasiaka przeciwko mnie? O logice politycznej nie wspomnę, bo to może przerastać zdolność jego percepcji. Przecież dwa dni wcześniej odbyliśmy rozmowę i ustalenia były inne.
Proszę Krzysztofa Szydłowskiego o umówienie spotkania z Żurkiem. Do rozmowy dochodzi późnym popołudniem. Żurek jednoznacznie potwierdza przebieg spotkania jak również wnioski końcowe. Więc, to prawda...
Jest zaskoczony moją opozycją. Kiedy wyjaśniam mu całość zagadnienia otwiera usta ze zdziwienia. Dąbrowski o niczym go nie informował, przed spotkaniem nie ustalali, ani linii, ani strategii rozmowy. Przez cały czas inicjatywa od początku do końca spoczywała w rękach Jasiaka. Potwierdza ich warunek, abym był nieobecny przy rozmowie. Poseł na sejm, kolega szarej eminencji – Mirosława Kaszy i ministra skarbu Emila Wąsacza, dopiero ode mnie dowiaduje się, że właśnie na cztery kolejne lata zainstalował SLD przy władzy w swoim mieście. Na moje pytanie:

- Jak zinterpretował dwa fakty; warunek mojej nieobecności i swojej zgody na tworzenie przez DKO własnego komitetu wyborczego? Przecież DKO jest suwerennym podmiotem politycznym? Do czego Jasiakowi potrzebna była twoja zgoda?

Nie jest w stanie odpowiedzieć. Co się tyczy mojej osoby. Jestem znanym warchołem i rozbijaczem, którego nikt nie lubi. Natomiast, co się tyczy prośby o wyrażenie przez niego zgody na to, aby obcy, suwerenny podmiot polityczny brał udział w wyborach samodzielnie tłumaczy tym, że dobry obyczaj nakazuje, aby takie kwestie konsultować z posłem na sejm.
Patrząc na niego widzę czterdziestoletnią twarz, ale wiem, że mam przed sobą dziesięcioletniego chłopczyka...
Rozpacz, gniew, bezsilność... Biedny kraj przy takich posłach...

- Wiedz o tym – że ten – jak twierdzisz warchoł i rozbijacz ma w DKO -25 szabel, a ten z którym rozmawiałeś tylko 10. Wiedz również, że Jasiak swoją decyzję o zerwaniu współpracy podjął znacznie wcześniej jeszcze za przewodnictwa Górskiego. W odpowiedzi uruchomiłem procedurę jego odwołania. On dobrze wiedział, że za miesiąc byłby tylko osobą prywatną, bez jakiegokolwiek wpływu na sprawy publiczne. Nie mogąc wygrać rywalizacji w polu, dokonał podstępu. Sprowokował ciebie i Dąbrowskiego do zajęcia stanowiska przy świadkach, sprzecznego z moimi dążeniami. Tym samym odebrał mi legitymację do dokończenia operacji. Owe 25 duszyczek w DKO, to ma nie Frączek – osoba prywatna – lecz Frączek reprezentant AWS. AWS ustami swojego przewodniczącego i posła na sejm zajął już stanowisko. Stanowisko sprzeczne z logiką polityczną. W jego konsekwencji muszę teraz

przerwać rozpoczętą i rozwijającą się w kierunku pożądanym operację. Głowa Jasiaka ocaleje. I to ty ją ocaliłeś. Dlatego jego warunek, abym był nieobecny przy waszej rozmowie. Po to potrzebna mu była między innymi twoja zgoda. Gdybym był obecny, bieg wydarzeń byłby zgoła odmienny. Wiedz, że nikt więcej nie będzie ciebie prosił o zajęcie stanowiska w kwestiach, które ciebie nie dotyczą, chociaż posłem będziesz jeszcze trzy i pół roku.

Moja wypowiedź, aczkolwiek politycznie poprawna zawierała w sobie pewną nutę mentorstwa i wyższości. Wychwycił to. Jedyne na co się zdobył, to stwierdzenie, że gdyby wczoraj posiadał wiedzę z dnia dzisiejszego to jego stanowisko byłoby inne. Fakt jednak był już zmaterializowany. Moja roczna praca na polu koalicji posiadała wartość zeszłorocznego śniegu.

Na najbliższym zebraniu AWS wywołałem burzę. Naświetliłem wytworzoną sytuację i ostro zaatakowałem Dąbrowskiego, twierdząc, że powinien rozpatrzyć swoją rezygnację z funkcji przewodniczącego. Dąbrowski cały czas robił głupie minki; udając, że nic takiego się nie wydarzyło. Nie docierał do niego oczywisty fakt, że właśnie wysadził w powietrze kilka tysięcy głosów wyborców.

- To ja dla dobra sprawy prowadzę operację, mającą przywrócić zbłąkane owieczki, a ty wraz z posłem specjalnej troski, wbijasz mi nóż w plecy?! Toż to jawna zdrada, która winna być ukarana gardłem! Obecnie widzę tylko dwie możliwości. Albo Kazimierz Dąbrowski natychmiast złoży rezygnację z przewodniczącego, albo Rada AWS, wbrew jego i posła stanowisku podejmie uchwałę potępiającą ich deklarację w kwestii DKO i upoważni mnie do działań ofensywnych wewnątrz tego stowarzyszenia. A tych dwóch, niech wyjdzie na idiotów. Zresztą i tak nimi są!

I tu kolejny cyrk. Nikt z zebranych ze mną nie polemizował, ale kiedy przyszło do zajęcia stanowiska, zajęto dokładnie odwrotne od moich postulatów. I tak, Dąbrowski ma pozostać na pełnionej funkcji, bo jest dobrym człowiekiem, Rada AWS nie podejmie postulowanej przeze mnie uchwały, ponieważ nie może oficjalnie mieszać się w wewnętrzne sprawy suwerennego podmiotu. Jeżeli chcę, to mogę kończyć operację w DKO na własnych rachunek i pod własnym nazwiskiem. AWS od tej operacji oficjalnie się dystansuje. Trafia mnie przysłowiowy szlag.

- Nie panowie! Nie będzie tak, abyście kasztany z ognia wyjmowali cudzymi rękami! Albo dacie mi oficjalną legitymację do działania w waszym imieniu, albo zaniecham powyższego. Zaniechanie spowoduje, że marzenia o przyszłej władzy wchodzą w okres prekluzyjny. Nie dopuszczę do takiej sytuacji, aby Dąbrowski był postrzegany jako dobry wujek, a ja okropny skurwysyn, owładnięty chorobliwą manią niszczenia wszystkiego, co mu staje na drodze. Nie podejmę się roli renegata, który wbrew waszemu stanowisku

podejmuje działania zaczepne w waszym interesie. Żeligowski zajął Wilno, to fakt, ale działał na wyłączny rozkaz naczelnika państwa – Józefa Piłsudskiego! Albo dostanę oficjalną legitymację, albo popłyniemy wszyscy! Jeszcze raz podkreślam. Zaniecham rozpoczętą i rozwijającą się w kierunku pożądanym operację!

Podtrzymują wcześniejsze stanowisko. Ja również. Dotarło do mnie, że przegrałem. Moja znajomość zagadnień, roczna praca na polu DKO, zmiana przewodniczącego AWS, w ciągu kilku minut ulegają całkowitej dewaluacji. Czy warto było? Już wiem, że wpadłem z deszczu pod rynnę. Że też zawsze muszę trafić na kretynów. Sytuacja przypomina tę, która wytworzyła się na początku Powstania Listopadowego w 1830. Już wiem jak wtedy musiał się czuć Maurycy Mochnacki, otoczony zgrają politycznych karzełków. I sakramentalne stwierdzenie Ksawerego Lubeckiego:

- „...Niebezpieczno, panie Mochnacki, tak wysoko latać..."

Wściekłość, bezsilność, rozpacz...

Na dalszej części zebrania pozostaję już wyłącznie ciałem. Wyłączam się z jakiejkolwiek aktywności. Moją świadomość nurtuje tylko jedna myśl.

- Dlaczego..?

Dlaczego kilka osób, które odczuły potrzebę wpływania na losy innych, popełnia zbiorowe samobójstwo. W ich postępowaniu jest uderzający brak logiki. Rozumiałbym, gdyby proponowane przeze mnie rozwiązanie było kontrowersyjne. Gdyby występowały poważne argumenty przeciw. Ale jest dokładnie odwrotnie. Nikt mi nie zarzuca braku logiki, nikt nie kwestionuje mojego stanowiska, nie zbija argumentów kontrargumentami. Kiedy argumentuję panuje absolutna cisza. A decyzja jest dokładnie odwrotna od oczekiwanej. Patrzę na ich wzajemne umizgi, na uśmieszki Wartaka i Kurczka, głupawą minę Dąbrowskiego. Przegłosowując mnie czują się wyraźnie zadowoleni i dumni z własnych poczynań.

I nagle olśnienie. Już wiem! Oni są przytłoczeni moją osobowością. To Frączek, chociaż pełni funkcję podrzędną jest w tym gronie sprężyną każdego działania. To on odegrał główną rolę w obaleniu Górskiego, którego pozostali bali się jak ognia. To Frączek jest architektem całej strategii, to on tworzy i kreuje rzeczywistość. A dlaczego Frączek, a nie Wartak, Kurczek czy Dąbrowski? Lech Wałęsa mawiał: „masz gorączkę, stłucz termometr". Oni rozumują w ten sam sposób. Nie mogąc wytrzymać ze mną konkurencji na argumenty muszą mnie utrącać. Utrącenie moich zamierzeń daje im poczucie własnej wartości. To, że podcinają gałąź na której sami siedzą ma dla nich znaczenie drugorzędne. Priorytetem jest, aby się Frączek nadmiernie nie rozwinął. Na razie przeskoczyłem ich intelektualnie, ale jak pozwolą mi działać, to przeskoczę ich również realnie. Danie mi legitymacji do działania w obrębie DKO spowoduje, że szefem tego stowarzyszenia zostanie człowiek przeze mnie umocowany.

DKO w koalicji, to wzrost politycznych aktywów nie tylko AWS, ale również moich. Kontrolując DKO i mając wpływ w Radzie AWS wyrastam na naturalnego lidera. To dla nich jest nie do zniesienia. Frączek nie może zdobyć władzy, lepiej niech dalej rządzą komuniści. W ich mniemaniu sukces Frączka oznacza ich klęskę. Więc tłuką termometr. To nie logika kieruje ich postępowaniem, lecz trywialny prymitywny ambit, odwieczna choroba większości Polaków. Tak samo postępował Wałęsa. Obawiając się wzrostu aktywów kolegów z prawicy, utrącał ich i wspierał lewicę. Efekt. Utracił wpływy na prawicy i dostał kopa od lewicy. I tak samo będzie z nimi. Ale dopiero za jakiś czas. Teraz chcą zobaczyć Frączka pobitego i bezsilnego. Jacek Soplica strzela do stolnika nie dlatego by zwyciężyli Rosjanie, lecz dlatego, że nie może znieść jego tryumfu. Tryumfujący nad DKO Frączek jest dla nich nie do zniesienia. Trzeba go zabić. Lepiej niech zwyciężą Rosjanie...

Obalając dyktatora Górskiego otworzyłem puszkę pandory. Odsunąłem jednego megalomana to fakt, ale w jego miejsce zainstalowałem kilku nie mniej zaborczych megalomanów. Uwolniłem trzymane dotychczas pod butem żywioły chorej ambicji i absolutnego dyletanctwa.
Jednym słowem, trafiłem z deszczu pod rynnę i po raz pierwszy w życiu przegrałem wygraną bitwę.

Rozdział XXVIII
DEBIL NA GÓRZE, DEBIL NA DOLE

Po fiasku operacji z DKO opadły mi ręce. Po raz pierwszy w życiu przegrałem wygraną bitwę. Najważniejszy był fakt, o którym wspominałem wyżej – wystarczy, że któryś z tych trzech podmiotów pójdzie do wyborów oddzielnie, a większość w Radzie Miasta i cała władza wykonawcza przypadnie ponownie SLD. Moje marzenia o wpływie na bieg spraw publicznych prysły jak bańka mydlana. Po cóż brać udział w wyborach skoro z góry wiadomo, że wygrają je przeciwnicy?!

Takiego absurdu nie mogłem wybaczyć ani niekompetentnemu posłowi, ani dyletantowi przewodniczącemu. Różnica między nimi polegała na jednej okoliczności. O ile ten pierwszy był przykładem politycznego nuworysza, który spadł z księżyca i jest zdziwiony panującym na ziemi przyciąganiem; sądzącym, że legitymacja poselska wystarczy, by skutecznie funkcjonować w politycznej dżungli, o tyle ten drugi przecież znał całość zagadnienia. Został przeze mnie wprowadzony i sam bez najmniejszego przymusu, działając z własnej woli, brał udział w jego urzeczywistnieniu (członkostwo w DKO). Żurkiem kierowały niewiedza i dyletanctwo, Dąbrowskim przede wszystkim tchórzostwo, bo całościową wiedzę na powyższy temat posiadał. Wtedy nie byłem jeszcze świadom, że to dopiero początek całego szeregu kompromitacji chłopców spod znaku AWS.

Po kilku dniach frustracji i wyciszenia stanąłem przed dylematem: albo wycofać się z działalności publicznej, przynajmniej na czas tych wyborów, albo próbować ratować sytuację na tyle, na ile to jeszcze jest możliwe. Ponieważ jednak jestem jednostką stosunkowo zawziętą, dlatego po otrząśnięciu się z porażki wybrałem drugi wariant.

Na najbliższym posiedzeniu Rady AWS nie zostawiłem na tych dwóch maestrach suchej nitki. Żurka oczywiście nie było, natomiast Dąbrowski nawet się nie bronił, strojąc jedynie niewinne minki. Z odsieczą przyszedł mu kolega Kurczek – twierdząc, że pomimo deklaracji dwóch czołowych przedstawicieli, powinienem w DKO czynić swoje. Totalne wariactwo!

Dąbrowski z racji umocowania był dyktatorem AWS. Skoro dyktator przy akceptacji posła na sejm wyraził zgodę na oddzielny start stowarzyszenia i zrezygnował ze wspólnego komitetu wyborczego, to tym samym odebrał mojej inicjatywie jakąkolwiek polityczną legitymację. Od tego momentu nie mogłem już działać w imieniu AWS, lecz tylko i wyłącznie własnym. W takiej sytuacji działania zaczepne w obrębie DKO zostałyby przez wielu jego członków odebrane jako przejaw wichrzycielstwa i realizacji wyłącznie mojej ambicji. Zdecydowanie odmówiłem twierdząc, że skoro Dąbrowski gra rolę dobrego wujka, to ja nie podejmuję się roli tego złego. Zresztą rola żandarma, który

wbrew woli posła i przewodniczącego buntuje się przeciw ich decyzjom i wbrew ich stanowisku, prowadzi działania zaczepne w obszarze innej organizacji, nie leżała w mojej naturze. Skoro nawarzyli piwa, to muszą je teraz sami wypić. Mogę zmienić zdanie tylko w jednym przypadku, jeżeli Żurek z Dąbrowskim udadzą się ponownie do DKO i w sposób kategoryczny odwołają wcześniej złożoną deklarację w tej kwestii. Dopóki tego nie uczynią, ja w tym przedmiocie nawet palcem nie kiwnę.

Wybory, co prawda, były już przegrane, ale istniała jeszcze możliwość zminimalizowania skali porażki. O władzy wykonawczej można było zapomnieć, ale istniała jeszcze możliwość stworzenia w miarę wpływowej opozycji. Aby tego dokonać, należało zagospodarować trzeci trzon układanki – Unię Wolności. I w tym punkcie również spotkałem się z taką reakcją do jakiej to grono było jedynie zdolne. Przeciwko byli Jan Kurczek („S"), Jarosław Wartak (KPN), Rajmund Kubisa (ZChN) – reszta milczała. Nie będę tutaj przytaczał ich argumentacji, bo wstyd mi, że kiedykolwiek z ludźmi o takich parametrach intelektualnych miałem styczność. Dość, że ich stanowisko było na nie. Woleli oddać więcej władzy w ręce przeciwnika (SLD), niż ułożyć się z potencjalnym sojusznikiem, który nawiasem mówiąc był w analogicznym położeniu.

Wstałem, podszedłem do tablicy i zacząłem wypisywać w dwóch kolumnach parametry elektoratu z poprzednich wyborów (1994). W jednej były notowania czołowych partii w skali ogólnopolskiej, w drugiej w skali lokalnej. Na podstawie powyższego wykazałem, jakie istnieje u nas przesunięcie korzystne dla lewicy, a niekorzystne dla prawicy. Poniżej wypisałem obecne (1998) sondażowe notowania tych samych partii w skali ogólnokrajowej i przesunąłem je o wykazany poprzednio przelicznik zagłębiowski. Założyłem 30% frekwencję. Następnie zgodnie z literą ordynacji przeliczałem tak uzyskane głosy na mandaty. Z powyższego wynikało jednoznacznie, że jeżeli AWS pójdzie do wyborów samodzielnie, to może uzyskać jedynie po jednym mandacie w okręgu (9 w skali miasta). Dla przeciwwagi SLD w takim wariancie uzyskiwało po 3 mandaty w okręgu (27 w skali miasta). Do wyboru władzy wykonawczej niezbędne są 23 mandaty. SLD uzyskiwał je i to w nadmiarze. Sumując elektorat AWS i UW – wspólna lista wyborcza uzyskiwała po dwa mandaty w okręgu (18 w skali miasta), SLD dalej 27. Dopiero wspólny komitet AWS – UW – DKO dawał szansę na trzeci mandat i równoważył aktywa SLD. Ale o DKO dzięki ich mądrości możemy zapomnieć. Tłumaczyłem, że gra nie toczy się już o zwycięstwo, lecz o jak najmniejszą porażkę. Sojusz z UW stawał się niezbędny nie tyle dla faktu sukcesu wyborczego, ale dla zmniejszenia skali porażki. Swoją koncepcję nazwałem roboczo „ratujmy z tego co się da".

Nikt mi nie przerywał, wszyscy w milczeniu przyjmowali moje wyliczenia oraz ostateczną konkluzję. Kiedy jednak doszło do podjęcia decyzji w sprawie wspólnej listy z UW, padło zdecydowane „nie". Argumentacja

oponentów była praktycznie żadna, wynikała wyłącznie z kwestii ambicjonalnych. Głównymi przeciwnikami byli: Jan Kurczek, Jarosław Wartak i Rajmund Kubisa. Zastanawiałem się nad ich motywacją i doszedłem do wniosku, że główne źródło ich anormalnego zachowania i w tym przypadku było ulokowane w kwestii ich chorobliwej ambicji. Przypadek UW, był nieco inny niż DKO. O ile przyciągnięcie DKO wzmacniało moje aktywa w potencjalnej koalicji (przejęcie tej organizacji), o tyle przy pozyskaniu UW zyskiwała wyłącznie koalicja. Ja niczego dla siebie nie ugrywałem, ponieważ w szeregach UW nie posiadałem żadnych aktywów politycznych.
W tym przypadku problem polegał na tym, że zarówno Kurczek jak i Wartak wywodzili się ze środowiska oświatowego. W robotniczym AWS byli kimś, ale w konfrontacji z UW, gdzie dyrektorów szkół i nauczycieli jak psów, byliby wyłącznie kolejnymi grzybami w barszczu. Zgodnie z przedłożoną wcześniej logiką jednostki prymitywnej woleli stać na czele przegranej sprawy, niż być w szerszym układzie, ale na pozycji gorszej prestiżowo. Kubisą z kolei kierowały względy natury prymitywno – religijnej. Nie, bo to antychryści.
Koszmar!

Za tydzień kolejne zebranie, tłukę to samo. Apeluję o otrzeźwienie i stąpanie po realnym gruncie, a nie księżycu. Jak grochem o ścianę. Dalej to samo. Krew mnie zalewa....

Przełom następuje dopiero za trzecim podejściem. W końcu nie wytrzymali mojej presji i spuchli. Nie byli w stanie dłużej odpierać argumentów, nie dysponując kontrargumentami. Zapadły w końcu ustalenia: AWS podejmie rozmowy z UW, celem zawiązania koalicji, ale z rozmów zostaje wyeliminowana moja osoba jako dla ich przebiegu niepożądana. Sytuacja jest groteskowa. Człowiek, który wymyślił koncepcję, który z uporem maniaka, łamiąc przeszkody parł do jej realizacji, zostaje odsunięty od jej finalizowania. Tak zadecydowało grono: Dąbrowski, Kurczek, Wartak (80% udziałów). Po czym, to samo grono wyznaczyło siebie jako właściwych negocjatorów. Dotychczasowi oponenci porozumienia mają negocjować jego warunki. Od samego początku przeczuwałem podstęp i nie myliłem się...

Po upływie miesiąca mimo kilku spotkań z UW brak jakichkolwiek konkretów. Nie wytrzymuję i udaję się do Dąbrowskiego.

- Robimy to porozumienie czy nie!
- Robimy...
- To dlaczego brak postępów, przecież mamy nóż na gardle?
- A, bo jakoś nie wychodzi...

Ustalamy, że otrzymuję jego przyzwolenie na nawiązanie kontaktów z UW i poprowadzenie rozmów w celu pozytywnej ich finalizacji, według następujących parametrów: AWS i UW są partnerami równoprawnymi,

obsadzają po 50% miejsc na listach we wszystkich okręgach wyborczych, naprzemiennie. Jak w jednym okręgu pierwszy na liście będzie AWS, to druga pozycja przypadnie UW i tak dalej na przemian. W następnym pierwsza pozycja UW, druga AWS i tak dalej według powyższego schematu. Gdyby jakimś cudem – co jest niemożliwe – ale gdyby, w przyszłości była możliwość sformowania władzy wykonawczej to ten, kto będzie miał więcej radnych obsadza funkcję prezydenta, słabszy partner dostaje pierwszego zastępcę. Pozostałe funkcje z nadania politycznego do późniejszego ustalenia. Dąbrowski akceptuje powyższe rozwiązanie. Mam podjąć kontakt na Krystynę Stępień – przewodniczącą UW.

Ponieważ czasu było już niewiele postanowiłem nie tracić go na zbędną grę wstępną i od razu przystąpić do sedna. Zdecydowałem się na przełamanie frontu w jednym podejściu. Aby móc to urzeczywistnić, niezbędnym stawał się katalizator. Najlepiej do tej roli nadaje się alkohol. Ponieważ osobiście Krystyny Stępień nie znałem, poprosiłem Annę Stobińską o pośrednictwo w umówieniu spotkania. Jeden telefon i odpowiedź. W piątek o 17.00 w jej mieszkaniu.
Dąbrowskiemu termin nie pasował, ponieważ z racji fuchy związkowej, zawiadywał wówczas jakimś zakładowym ośrodkiem wypoczynkowym w górach. We wszystkie weekendy właśnie tam przebywał. Zaraz po pracy o 15.00 wyjeżdża. Trudno... będę negocjował sam. Bez Dąbrowskiego moje formalne umocowanie jest znacznie słabsze, ale całą nadzieję w przypadku problemów pokładam w alkoholu. O oznaczonej porze, z butelką wódki udaję się pod wskazany adres.

Stępniowa oczywiście nie znała wewnętrznych uwarunkowań AWS. Wiedziała jednak, że żadna decyzja nie może zapaść bez akceptacji Dąbrowskiego. Dlatego na wstępie oświadczyłem, że działam w porozumieniu z nim. Miał brać udział w spotkaniu, ale ze względu na weekend wyjechał w góry i jestem zdany na własne siły. Na moje pytanie, dlaczego mimo upływu miesiąca i kilku spotkań sprawa stoi w martwym punkcie, odpowiada, że według jej oceny, rozmowy z ramienia AWS są pozorowane. Owszem, odbyły się trzy spotkania, ale żadne rozstrzygnięcia nie zapadły. Kurczek z Wartakiem rozmawiają, ale od niechcenia, unikając konkretów. Dąbrowski z kolei cały czas milczy. Trudno powiedzieć, jaki ma pogląd na sprawę, ale ci dwaj pierwsi, zdecydowanie negatywny. W tym punkcie wyjaśniłem jej przyczynę takiego zachowania, a mianowicie fakt, że obaj wspomniani są przeciwni wspólnemu komitetowi wyborczemu z przyczyn ambicjonalnych. Nie jest to jednak przeszkoda nie do przejścia, ponieważ za moją koncepcją optuje Dąbrowski. A głos Dąbrowskiego i mój całkowicie wystarcza, aby powyższe przegłosować (większość udziałów). Przedyskutowaliśmy kwestię rozkładu elektoratu na naszym terenie, byliśmy zgodni. Przedłożyłem zarys porozumienia, według schematu ustalonego z Dąbrowskim. Stwierdziła, że propozycja jest wyważona i do przyjęcia. Nareszcie padł jakiś konkret. Dodała, że jeżeli takie będzie

stanowisko całego AWS, to porozumienie zostanie zawarte. Jeżeli nie, to UW będzie zmuszona pójść do wyborów samodzielnie. Ostatecznie uzgodniliśmy, że na najbliższym posiedzeniu AWS przeprowadzę z Dąbrowskim stosowną uchwałę. Ona z kolei zawróci UW z kursu na samodzielny start. Później oficjalne rozmowy obu zarządów, celem ostatecznej finalizacji porozumienia i dopracowania szczegółów. Sparzona przebiegiem dotychczasowych rozmów domaga się podkładki. Pisemnego oświadczenia Dąbrowskiego o woli zawarcia wspólnej koalicji. Zapewniam, że w ciągu trzech dni takowy dokument dotrze do jej rąk.

W poniedziałek, zaraz po weekendzie dzwonię do Dąbrowskiego, informując o przebiegu spotkania i podjętych ustaleniach. Jego zachowanie jest dwuznaczne. W głosie nie wyczuwam entuzjazmu, a raczej obojętność. Jest nieco zaskoczony powodzeniem mojej misji. Stwierdza, że powyższe musimy jeszcze przedyskutować na Radzie AWS.

- Co tu dyskutować – odpieram – trzeba tylko przegłosować według wstępnych ustaleń!

Przed najbliższym zebraniem AWS proszę Annę Stobińską, by ponownie przedzwoniła do Krystyny Stępień i poinformowała ją, że dzisiaj mamy zebranie i na nim zapadnie oczekiwana decyzja. Proszę o propozycję daty spotkania obu zarządów. Stępniowa odpowiada, że nie będzie już ze mną rozmawiać, ponieważ jestem niewiarygodny. W międzyczasie miała rozmowę z Jarosławem Wartakiem, który na wieść o naszych ustaleniach wpadł w gniew. Powiedział jej jednoznacznie, że żadnego porozumienia nie będzie. Frączek jest nieznaczącą postacią, która nie ma żadnego wpływu na bieg wydarzeń wewnątrz AWS. Nie jest nawet w grupie negocjacyjnej.

Przed zebraniem podchodzę do Wartaka i oświadczam:

- Wiem, że mnie nie trawisz. Wiem, że reprezentujesz wyłącznie prymitywną ambicję, ale nie możesz podcinać gałęzi na której wszyscy siedzimy...

- O co ci chodzi?! – odpowiada.

- O twoją wypowiedź do Krystyny Stępień, odnośnie mojej osoby!

W tym momencie pokraśniał na twarzy, nie mogąc znaleźć żadnego argumentu, wycedził przez zęby:

- Jak cię jebnę, to w locie zdechniesz!

Obaj doskoczyliśmy do siebie. Przed nami stał jedynie nieznaczny problem natury prawnej. Który kogo pierwszy uderzy. Z przyczyn oczywistych nie mogłem tego uczynić pierwszy. Z drugiej strony, to trzeba mieć sieczkę zamiast mózgu, aby człowieka, który przeszedł przez kryminał, służbę wojskową, nie zeszmacił się w obliczu władzy straszyć strzałem w twarz i to w obecności kilku naocznych świadków. On chyba myślał analogicznie, bo wbrew deklaracji

werbalnej nie wykonywał zapowiedzianej groźby. Staliśmy tak naprzeciw siebie, oczekując na ruch przeciwnika. W końcu sytuację załagodził Dąbrowski, który był najbliżej i słyszał przedmiot zajścia.

- Dajcie spokój chłopaki, siadajcie, rozpoczynamy zebranie!

Chwila oddechu, by uspokoić skołatane przez zajście z Wartakiem nerwy i referuję sytuację. Przedkładam treść i konkluzję swojej rozmowy ze Stępniową. Od razu jestem zaatakowany przez duet Kurczek – Wartak.

- Kto cię upoważnił do prowadzenia takich rozmów?!

- Widząc wasze dyletanctwo, sam się upoważniłem, aczkolwiek uczyniłem to za porozumieniem i wiedzą przewodniczącego.

Oczy wszystkich zwracają się na Dąbrowskiego. A on, miast powyższy fakt potwierdzić, zaczyna coś przebąkiwać, że taka rozmowa miała miejsce, ale bez uzgodnień z zarządem, dlatego nie może posiadać mocy wiążącej.

W sytuacji wcześniejszego zajścia z Wartakiem, obecne zachowanie Dąbrowskiego wyprowadza mnie z równowagi. Głos zaczyna mi się łamać z podniecenia.

- Przez cztery tygodnie, wbijałem w wasze łby potrzebę zawarcia koalicji, ponieważ bez niej start w wyborach mija się z jakimkolwiek sensem. Wy z uporem maniaka wbrew politycznej logice torpedujecie wszelkie moje działania tylko z jednego powodu, że są moje. Tego nie może znieść wasza chora ambicja. Skoro macie tak wysoko rozbudowane ego, to wykażcie się odrobiną wiedzy i czynu, a nie prymitywnym torpedowaniem wszystkiego, co jest pożyteczne, ale od was nie pochodzi! Wartak nienawidzi Unii, ale nie przeszkadza mu to, że jego żona – Irena jest członkiem zarządu tejże. Cóż za hipokryzja! Kurczek nienawidzi Unii, chociaż po linii zawodowej współpracuje z unitami. Nic mnie nie interesują wasze fobie i lęki. Polityka opiera się na faktach i układzie sił. A ten jest jednoznaczny. Po wysadzeniu w powietrze DKO – Unia jest nam niezbędna jak chłopu ziemia! I to winna być jedyna determinanta naszego postępowania! A może wy mózgu nie posiadacie?! Po czterech tygodniach moich perswazji, nie mając żadnego argumentu przeciw, zgadzacie się w końcu na rozmowy. Ale z tych rozmów eliminujecie człowieka, który jest ojcem całej koncepcji. Po co?! Po to, by je storpedować! Wiecie dobrze, że gdybym był w zespole negocjacyjnym, układ byłby zawarty! Dlatego mnie wyeliminowaliście! Dałem wam miesiąc, żebyście mogli ode mnie odpocząć, wykazać się jakąkolwiek przydatnością! A wy co? Po miesiącu rozmów jesteście w lesie! Puściłem was przodem, by was nie przytłaczać, byście mogli się wykazać! I wykazaliście się?! Czym! Chyba rozmowami o dupie Maryni! Widząc waszą nieprzydatność, postanawiam ratować sytuację. Spotykam się z Dąbrowskim, przedkładam rozwiązanie, uzyskuję jego akceptację, po czym w jednej rozmowie osiągam to, czego wy nie osiągnęliście w trzech. A wy jeszcze macie o to pretensje?! Kim wy jesteście! Teraz Dąbrowski wycofuje się z ustaleń i pali głupa, że były niewiążące! Jesteś przewodniczącym i dyktatorem AWS, nie

musisz z nimi niczego uzgadniać! Masz tylko podnieść rękę w odpowiednim momencie, kiedy będzie głosowanie wniosku nad zawarciem koalicji. Pamiętaj, że odpowiadasz za spieprzenie tematu DKO. Nie dokładaj do tego jeszcze Unii. Ja jestem za, twój głos i wniosek przeszedł! A komu się to nie podoba, to może iść precz! AWS bez Kurczka, Wartaka czy Gucwy niczego nie straci. Bez Unii straci nawet możliwość bycia opozycją! Co wam da paru radnych, którzy w ciągu pierwszego miesiąca sprzedadzą się SLD za byle nędzny ochłap!

W trakcie tej ekspresyjnej wypowiedzi panowała kompletna cisza, nikt mi nie przerywał. Argumenty były miażdżące. W końcu Dąbrowski przerwał milczenie.

- Bez uzgodnienia z Kurczkiem i Gucwą nie mogę wniosku przegłosować.

- Możesz! Tylko ty masz prawo głosu w imieniu Solidarności. Kurczek i Gucwa go nie mają. Masz dwa wyjścia. Albo sam przegłosujesz, albo konsultuj z nimi teraz, przecież siedzą obok – padła moja riposta.

- Bez nich tego nie przegłosuję. Rozmowy to raz, a decyzja to dwa...

- Więc konsultujcie teraz!

- Nie, teraz nie będziemy!

- Wiesz dobrze, tak samo jak ja, że Kurczek, Gucwa i Wartak są przeciwko koalicji z Unią i zdania nie zmienią. W takim przypadku tylko ty możesz uratować sytuację. Choć raz w życiu bądź mężczyzną. Teraz jest właśnie taki moment. Jeżeli, wbrew ich woli nie podniesiesz ręki, to będzie kanał.

- Więc niech będzie... – pada odpowiedź Dąbrowskiego.

W tym momencie nerwy ostatecznie odmówiły mi posłuszeństwa.

- Niech was wszystkich trafi szlag!

Trzaskam drzwiami i opuszczam zebranie. Nazajutrz, miast obiecanego przeze mnie pisemnego potwierdzenia zawartych ustaleń, Dąbrowski dzwoni do Krystyny Stępień z informacją, że nie posiadałem żadnych pełnomocnictw AWS do prowadzenia powyższych rozmów. W związku z czym nasza rozmowa nosiła wyłącznie charakter czysto towarzyski. Koalicji nie będzie.

Gniew, rozpacz, bezsilność... Debil na górze, debil na dole.

Rozdział XXIX
ROZPACZLIWA GRA W DEFENSYWIE

Cóż ma uczynić człowiek, którego koncepcje aczkolwiek słuszne – nie uzyskują akceptacji jego partnerów?
Może odejść lub uznać porażkę i grać dalej. Gdybym był samotną wyspą na Pacyfiku – prawdopodobnie bym odszedł. Ale nie byłem. Wokół mnie funkcjonowało kilkanaście osób, którzy jeszcze we mnie wierzyli i za los których czułem się odpowiedzialny. Byłem w podobnej sytuacji jak Henryk Sucharski w 48 godzin po rozpoczęciu działań wojennych. On również wiedział, że dalszy opór z militarnego punktu widzenia nie ma już sensu. Skoro do tej pory odsiecz nie nadeszła, to już nie nadejdzie. Stał przed wyborem: kapitulacja albo zagłada. A jednak mimo tego stanu świadomości jeszcze przez pięć kolejnych dni nie wydał w autorytatywnej formie rozkazu kapitulacji.

Na trzy miesiące przed wyborami 1998 ja też wiedziałem, że są one przegrane. I nie ma takiej siły, która mogłaby to zjawisko odwrócić. Nawet najlepiej przeprowadzona kampania nie jest w stanie zmienić układu sił powstałego w wyniku ewidentnych błędów politycznych. O większości w Radzie Miasta i władzy wykonawczej już dawno zapomniałem. Teraz stałem przed kolejnym dylematem. AWS może nie zrobić żadnego mandatu. Swoją konstatację opierałem na przesłance, że AWS składa się właściwie z dwóch dominujących środowisk: robotniczej Solidarności i robotniczego KPN. Obie formacje były do siebie bliźniaczo podobne. Obie reprezentowali ludzie o stosunkowo niskich lotach intelektualnych i niskiej pozycji społecznej. Cechował je brak jednostek o znaczniejszym ciężarze prestiżowym, niezbędnych do uzyskiwania choćby setki głosów każda. A to oznaczało, że wisi nad nami widmo nie porażki, lecz prawdziwej masakry. Miotały mną dwa sprzeczne ze sobą uczucia. Jedno mówiło – daj spokój, niech naród zmiecie tę zarazę. Drugie – jesteś odpowiedzialny za tych kilkanaście osób, które ci ufają i musisz zrobić wszystko, aby przynajmniej je ocalić z nadciągającej pożogi.

Po fiasku koalicji z DKO i UW było oczywistym, że AWS pójdzie do wyborów samodzielnie. Teoretycznie istniała jeszcze możliwość uzyskania jednego mandatu w okręgu, czyli dziewięciu w skali miasta. Eliminowało to tę formację z jakichkolwiek szans na udział we władzy, ale tym kilku osobom mogło zapewnić polityczne przetrwanie. Podjąłem decyzję, że muszę zrobić co tylko w mojej mocy, aby tych kilka osób przetrwało. Ostatecznie za cztery lata kolejne wybory. Gdybym był prymitywem, jak moi partnerzy, wybrałbym opcję pierwszą, ale chciałem być od nich lepszy, stąd wybór wariantu drugiego. Tak zrodziła się koncepcja ostatniej zagrywki w ramach AWS, którą roboczo nazwałem – rozpaczliwą grą w defensywie. W defensywie dlatego, że tym razem bój toczyłem nie o sukces, nie o awans, lecz o zwykły fakt politycznego

przetrwania.

Ze względu na słabość zaplecza politycznego należało otworzyć się na nowe środowiska tam, gdzie to jeszcze było możliwe. W grę wchodziły dwa: Unia Polityki Realnej i część dawnego Komitetu Samoobrony Mieszkańców. UPR to kilkuosobowe środowisko, niezdolne do samodzielnej egzystencji, dlatego musi się do kogoś przykleić. Dostałem informację, że prowadzi rozmowy z Unią Wolności. Postanowiłem ich przechwycić. Od 1994 znałem jednego z ich liderów – Roberta Sierocińskiego. Znając mentalność moich partnerów, aby nie spalić tematu, postanowiłem tym razem podejść dyplomatycznie.

Po ostatnich przejściach zerwałem wszelkie stosunki z Kazimierzem Dąbrowskim. Nie rozmawialiśmy z sobą. Uważałem go za człowieka bez charakteru i wyobraźni. Dwukrotnie, przy sprawie DKO i UW zdradziecko i kłamliwie wbił mi nóż w plecy. Dlatego na zebraniach całkowicie go ignorowałem, zwracając się bezpośrednio do jego mentora – Jana Kurczka. Sytuacja była o tyle groteskowa, że Dąbrowski był formalnie umocowanym przewodniczącym z uprawnieniami decyzyjnymi, Kurczek natomiast jego zastępcą, bez żadnych uprawnień i kompetencji. To Kurczek jednak decydował, ponieważ był od niego silniejszy psychicznie. Dąbrowski zadawalał się rolą jego marionetki.

Pojawiła się również sprzyjająca okoliczność. Rada Krajowa AWS za niesubordynację wykluczyła KPN ze swoich szeregów i poleciła, aby został usunięty ze wszystkich struktur w terenie. Oznaczało to, że Kurczek z Dąbrowskim stracili swoje dotychczasowe oparcie we wrogim mojej osobie – Wartaku. Równocześnie ubyło im ileś tam słabej co prawda jakości, ale jednak duszyczek z listy wyborczej. Wytworzoną lukę trzeba było na gwałt czymś zapełnić. W takich okolicznościach moja inicjatywa spadła im jak przysłowiowa manna z nieba.

Zwróciłem się więc bezpośrednio do Kurczka, aby to on nawiązał kontakt z UPR, podałem mu nazwisko i numer telefonu Sierocińskiego. Tym razem nie oponował. Z jego zachowania wynikało, że nie będzie inicjatywy torpedował i zadanie wykona. Ważne było, aby uczynił to on, a nie ja. Gdybym bowiem sam podjął kontakt, mógłby tę inicjatywę storpedować, podobnie jak poprzednie, tylko z jednego powodu – że jest moja. A tak był dowartościowany. Nie zmienia to faktu, że pomysł był mój – nie jego. Tym razem się przyłożył i tydzień później UPR był w koalicji.

Z Komitetem Samoobrony Mieszkańców postąpiłem analogicznie. Po wielkim sukcesie tej formacji, jakim było omal nie wygrane referendum o odwołanie rady miejskiej, doszło w nim do rozłamu. Jedna grupa na czele z Ireneuszem Gładyszem i Kazimierzem Jasionkiem odcięła się od AWS,

natomiast druga ze Zbigniewem Wróblewskim przejawiała zainteresowanie. Wróblewski wysyłał czytelne sygnały, jednak zarówno Kurczek, jak i Dąbrowski nie umieli podjąć decyzji. Problem bowiem dotyczył faktu, ile im przyznać udziałów i miejsc na listach.
Odbyłem z Wróblewskim rozmowę sondażową, aby się zorientować, jakie są jego oczekiwania. Były stosunkowo niewielkie. Cztery osoby na listę i dla niego pierwsza pozycja w okręgu – Centrum. Następnie postawiłem kwestię na Radzie AWS – podobnie jak w przypadku UPR – zwracając się bezpośrednio do Kurczka. Ustalono, że pertraktacje z Wróblewskim przeprowadzi duet Kurczek – Gucwa. Oczywiście przed Wróblewskim zataili fakt, że pracują na moich parametrach. Po raz pierwszy zaobserwowałem, że nawet oni sekują – Dąbrowskiego. Wszak oportunistycznej marionetki nikt nie docenia...

W tym samym okresie z nieznanych mi przyczyn zmarł nagle – Henryk Jasiak. Zwolniła się funkcja przewodniczącego DKO i zgodnie ze statutem należało zwołać Walne Zgromadzenie Członków, celem wyłonienia następcy. Takiej okazji nie mogłem zmarnować. Więc jednak jeszcze nie wszystko stracone...

Po solennym zapewnieniu dwóch decydentów, że AWS nie wnosi żadnych uwag, aby DKO poszedł samodzielnie do wyborów, sytuacja była tam skrajnie niekorzystna. Jasiak ze swoim przybocznym – Ryszardem Grzywną rozpoczęli zaawansowane działania w tym kierunku. Wraz ze śmiercią Jasiaka, rozpędzona machina uległa wyhamowaniu. Jeszcze istniała możliwość odwrócenia niekorzystnego trendu. Należało tylko zaangażować się w procedurę wyborczą i dokonać takich zmian personalnych w zarządzie stowarzyszenia, które gwarantowałyby jego powrót do koalicji z AWS. Uczepiłem się tej opcji jak tonący tratwy.

Odbyłem spotkanie z tymi członkami DKO, którzy podzielali mój punkt widzenia, i wspólnie ustaliliśmy plan działania. Ponieważ zarząd był nam wrogi, jedyną strukturą w ramach stowarzyszenia, którą kontrolowaliśmy była komisja rewizyjna. Przewodniczył jej – Andrzej Migalski i to ona miała formalnie wystąpić do członków z inicjatywą zwołania Walnego Zgromadzenia. Aby wzmocnić głos komisji rewizyjnej, zgodnie ze statutem równolegle rozpoczęliśmy akcję zbierania podpisów pod analogicznym wnioskiem (poprzednia wylądowała w koszu). W tym momencie pojawiła się pierwsza trudność. Otóż, po śmierci Jasiaka – Ryszard Grzywna – jednoosobowo przejął całą dokumentację stowarzyszenia i ją utajnił. Mimo rozpaczliwych monitów nie chciał jej udostępnić komisji rewizyjnej. Jego taktyka była czytelna. Zdając sobie sprawę z nieuchronnej porażki wyborczej, dążył do odroczenia wyborów w stowarzyszeniu na czas po wyborach samorządowych. Z formalnego punktu widzenia, opcja ta była zgodna z prawem, gdyż mimo braku przewodniczącego – zarząd nie utracił quorum przewidzianego statutem do podejmowania decyzji.

Grzywna zdawał sobie sprawę z realnego rozkładu sił i faktu, że jeżeli dopuści do wyborów, to je przegra. Stąd jego determinacja w torpedowaniu naszej inicjatywy. Błędnie sądził, że utajnienie listy członków uniemożliwi zwołanie Walnego. W świetle powyższego zwróciłem się do partnerów z DKO o odtworzenie z pamięci jak największej liczby osób, które na przestrzeni ostatniego roku przewijały się na zebraniach, a ja swoimi kanałami ustalę ich adresy zamieszkania. Tak też się stało. Po trzech dniach, lista około pięćdziesięciu osób wraz z adresami domowymi została przeze mnie przekazana przewodniczącemu komisji rewizyjnej – Andrzejowi Migalskiemu, celem rozesłania pisemnych zawiadomień o Walnym.
Grzywna był w desperacji. Statut stowarzyszenia dawał zarówno komisji rewizyjnej jak i określonej liczbie członków prawo zwołania Walnego Zgromadzenia. Zgodnie z literą prawa, mimo iż zastępował nieżyjącego przewodniczącego, poza utajnieniem listy członków nie mógł już zawrócić rozpoczętej procedury. Utajnienie, też na wiele się nie zdało, ponieważ powyższa lista została w większości odtworzona z pamięci.

W wyznaczonym terminie – członkowie DKO zebrali się w lokalu AWS, aby przeprowadzić Walne Zgromadzenie. Zabrakło Grzywny i kilku jego najbliższych współpracowników, ale przewidziane statutem quorum występowało. Oznaczało to, że obrady były wiążące. Kiedy wyszły na jaw jego machinacje związane z torpedowaniem procedury Walnego i działania na rzecz separatystycznej listy wyborczej, wśród zgromadzonych zawrzało. Odwołano cały dotychczasowy zarząd i powołano nowy z dotychczasowym przewodniczącym komisji rewizyjnej – Andrzejem Migalskim na czele.

Tuż po wyborze nowego zarządu w drzwiach sali obrad stanął – Grzywna ze swoim nowym współpracownikiem – Krzysztofem Bobrowskim. Obaj oznajmili, że obrady są nielegalne. Właściwe Walne Zgromadzenie Członków jest zwołane przez dotychczasowy zarząd i odbywa się w budynku Urzędu Miejskiego przy ulicy Kościuszki 25. Migalski – oświadczył, że nie jest to możliwe, ponieważ to tutaj w lokalu AWS jest 90% członków i jest quorum. A pod wskazanym adresem nie ma prawa przebywać więcej niż 5-6 osób, co nie jest liczbą reprezentatywną. Wszyscy zebrani (ok. 40 osób) zgodnie oświadczyli, że nie otrzymali żadnego zawiadomienia sygnowanego przez ustępujący zarząd odnośnie Walnego Zgromadzenia w Urzędzie Miejskim, tylko to podpisane przez komisję rewizyjną ze wskazaniem na lokal AWS. Tutaj zebrała się zdecydowana większość członków i wyłoniono już nowe władze. Zapanował impas. W obradach ogłoszono przerwę i wyłoniono emisariuszy, którzy udali się pod wskazany przez Grzywnę adres, aby sprawdzić, jakim to sposobem mogą tam przebywać członkowie i co to są za ludzie, skoro nie figurują w ewidencji stowarzyszenia. Emisariusze po powrocie potwierdzili, że w Urzędzie Miejskim rzeczywiście przebywa pewna grupa osób, ale poza kilkoma współpracownikami Grzywny – zdecydowana większość to ludzie

nieznani, którzy dotychczas nie byli członkami DKO.

W ciągu najbliższej godziny sprawa się wyjaśniła. Grzywna – mając świadomość nieuchronnej porażki wyborczej, starał się przełożyć termin Walnego na okres po wyborach samorządowych. Z jego optyki było to niezbędne, celem odegrania w nich kluczowej roli. Dlatego przejął po zmarłym Jasiaku ewidencję członków stowarzyszenia i ją przed pozostałymi utajnił, sądząc naiwnie, że ten fakt skutecznie uniemożliwi przeprowadzenie procedury wyborczej. Kiedy się okazało, że i ta przeszkoda została pokonana i procedura została wdrożona, nie był w stanie jej powstrzymać. Dlatego postanowił w tym samym terminie, ale w innym miejscu zwołać odrębne zebranie. Jedyny jego problem polegał na fakcie, skąd wziąć ludzi. Wszak na większość dotychczasowych członków liczyć nie mógł. Tu z odsieczą przyszła mu wschodząca gwiazda dąbrowskiej polityki, wspomniany już – Krzysztof Bobrowski, który do chwili obecnej nie był nawet członkiem stowarzyszenia. Bobrowski prowadził firmę budowlaną i ciągle wisiał na klamce Urzędu Miejskiego, załatwiając dla siebie zlecenia z tej branży. Istotnym również był fakt, że dysponował kilkunastoma pracownikami. Jest kwestią oczywistą, że w firmie prywatnej pracownik nie może sprzeciwić się woli szefa, ponieważ przestanie być jego pracownikiem. Dlatego Bobrowski wraz ze swoimi podwładnymi nagle znaleźli się w stowarzyszeniu. Z formalnego punktu widzenia było to możliwe, gdyż Grzywna kontrolował dotychczasowy zarząd. A tylko zarząd posiadał kompetencję przyjmowania członków. I z tej kompetencji skorzystał, przyjmując w ostatnim okresie w sposób utajniony kilkunastu ludzi od Bobrowskiego. Do tego dochodziła jeszcze grupa ich znajomych. I to właśnie te osoby widzieli wysłani emisariusze. Wszystko zostało zaaranżowane wyłącznie po to, aby Ryszard Grzywna dysponował na Walnym swoimi bagnetami. Mimo ewidentnego hochsztaplerstwa – Grzywna nie rozwiązał wszystkich swoich problemów, gdyby doszło do wspólnego zebrania dotychczasowych członków i skleconych na prędce figurantów – mistyfikacja zostałoby ujawniona, a wynik głosowania niepewny. W dalszym ciągu nie wiedział, jaką liczbę dotychczasowych członków udało się jego konkurentom odtworzyć i ilu z nich stawi się na Walnym. Wiedział czym dysponuje, ale nie wiedział czym dysponują rywale. Dlatego wraz z figurantami spotkał się w tym samym terminie, lecz w innym miejscu. W konsekwencji powyższego o tej samej porze doszło do dwóch Walnych Zgromadzeń Członków i dwóch niezależnych od siebie procedur wyborczych. W ich konsekwencji zostały wyłonione dwa oddzielne zarządy. Dopiero po ich ukonstytuowaniu udał się wraz z Bobrowskim do konkurencji z inicjatywą mediacji. Mediacji, która nie mogła się powieść z dwóch powodów. Biorąc pod uwagę powyższe była ona z gruntu fałszywa, również z uwagi na fakt, że dotychczasowi członkowie DKO nie mogli uznać spędzonych figurantów za uprawnionych statutowo członków. Powyższe zagrywki spowodowały wytworzenie nowej jakości. Istniały dwa

DKO, dwa oddzielne zarządy, dwie rozbieżne linie polityczne (jedna – samodzielny start w wyborach, druga – koalicja z AWS). Dodatkowym czynnikiem był antagonizm, jaki wytworzył się między obu grupami. Wewnętrzne porozumienie było niemożliwe. Jedynym rozwiązaniem była wyłącznie droga sądowa.

Następnego dnia przedstawiciele obu zwaśnionych stron stawili się w sądzie, aby zarejestrować zmiany w zarządach tego samego stowarzyszenia. I w tym momencie powstał impas prawny. Jedno stowarzyszenie nie może przecież posiadać dwóch oddzielnych zarządów. Sąd odmówił rejestracyjnej obu, nawołując do pojednania i wzajemnych uzgodnień. Problem prawny był nie do rozstrzygnięcia, polegał na fakcie, że dla sądu istnieje wyższość procedury prawnej nad względami moralno – etycznymi. Dla sądu priorytetem jest procedura, a nie szlachetność intencji. Hochsztaplerstwo Grzywny i Bobrowskiego z wprowadzeniem figurantów było oczywiste i w formie pisemnej sądowi przedłożone. Problem jednak leżał w drobnym niuansie. Oszustwo to, aczkolwiek naganne z pozycji moralnych, było zgodne z literą prawa. W myśl statutu – jedynym organem uprawnionym do przyjmowania członków był zarząd. Nawet bez przewodniczącego zarząd nie utracił statutowych możliwości działania, ponieważ pod kierownictwem Ryszarda Grzywny – dysponował quorum niezbędnym do podejmowania uchwał i mógł przyjąć nowych członków, co też uczynił (posiadał w nim marionetki przejęte po Jasiaku). To czy osoby, które zostały tuż przed Walnym – rzutem na taśmę przyjęte, kierowały się suwerenną wolą, czy były wyłącznie figurantami, nie miało dla sądu znaczenia. Liczył się fakt – czy zostali przyjęci zgodnie z prawem? Odpowiedź brzmi – tak! Czy na salę obrad stawili się dobrowolnie, czy pod groźbą siły lub szantażu? Odpowiedź brzmi – z własnej woli. Ukrycie przed pozostałymi listy członków stowarzyszenia jest niewątpliwie naganne i jednoznacznie wskazuje na format osoby, która takiego procederu się dopuszcza, ale prawnie nie jest zabronione.
Z drugiej strony, skoro zastępujący przewodniczącego – Grzywna – nie chce zwołać Walnego, to czy może to uczynić komisja rewizyjna i grupa członków? Odpowiedź brzmi – tak! Czy zebrani przez komisję rewizyjną członkowie mogli dokonać wyboru nowego zarządu? Tak! Wszak w momencie procedowania nie wiedzieli, że pięćset metrów dalej obradują figuranci przyjęci w poczet członków zgodnie z literą prawa w ciągu ostatnich dwóch tygodni.
O powyższym fakcie dowiedzieli się już po przeprowadzonej procedurze, w konsekwencji wizyty Grzywny i Bobrowskiego. Biorąc pod uwagę powyższe, sąd doszedł do następującej konstatacji. Sprawa z pozycji prawnych jest nie do rozstrzygnięcia, dlatego odmówił wpisania do rejestru stowarzyszenia zarówno jednego jak i drugiego zarządu, nawołując strony do pojednania i ponownych wyborów w duchu porozumienia. Pojednanie i kompromis z kolei w grę nie wchodziły, ponieważ poważny człowiek nie układa się z oszustem. Co niby

miałoby wyniknąć z takiego porozumienia?

Finał zamieszania był opłakany. Chwilowe zwycięstwo odniósł – Ryszard Grzywna, ponieważ odmowa wpisania do rejestru obu zantagonizowanych zarządów spowodowała powrót do staus quo ante, gdyż w takim przypadku czynności prawne utrzymał zarząd dotychczasowy, czyli ten, który on kontrolował (przejęty po Jasiaku). Członkowie DKO stanęli przed wyborem: własny komitet lub AWS. Część poszła za Grzywną, część przeszła do AWS. Ci, co poszli za Grzywną, nie mieli jednak do niego zaufania. Zresztą w większości nie byli to członkowie, tylko figuranci. Później, jak na jednostkę prymitywną przystało, narobił jeszcze kilku głupstw, by ostatecznie zejść ze sceny w samotności jako polityczny bankrut. Nie można bowiem na dłuższą metę funkcjonować bez kręgosłupa moralnego. Po dziewięciu latach istnienia – DKO uległo samozagładzie i przestało spełniać rolę czynnika politycznego.

Dla mnie był to kolejny cios. Podmiot, na który liczyłem i o który toczyłem tyle zabiegów był bezpowrotnie stracony. Słaby jakościowo i organizacyjnie AWS, pozostał na placu boju – sam. Nadchodził czas ostatniego akordu – ułożenia listy wyborczej formacji, która idzie do wyborów tylko po to, aby je przegrać. Czas przeznaczony na strategię gry w defensywie, też zbliżał się ku końcowi. Nadchodził czas zbierania plonów po złym zasiewie.

Rozdział XXX
WYŚCIG SZCZURÓW

Nadszedł moment wystawiania kandydatów w wyborach, które ze względu na postępowanie kierownictwa – AWS przegrał grubo przed faktem elekcji. Aby czytelnik mógł w pełni zrozumieć, co działo się za zamkniętymi drzwiami w momencie ustalania listy, niezbędnym staje się nakreślenie tła i klimatu wydarzeń.

Okres przewodniczenia – Dąbrowskiego, ze względu na jego predyspozycje psychiczne i intelektualne nosił znamiona cyrku. Po miesiącu względnej harmonii realny wpływ decyzyjny przeszedł w ręce trzech osób: Kazimierza Dąbrowskiego, Marii Gucwy-Rosik i Jana Kurczka. Układ ten posiłkował się wsparciem KPN, występującym pod postacią czterech fikcyjnych partii. Dawało im to ewidentną przewagę. Mogli podjąć każdą, nawet najbardziej absurdalną uchwałę. Udziałowy system podejmowania decyzji został utrzymany w dotychczasowej formie – mimo faktu, że w okresie wcześniejszym wszyscy wymienieni byli jego zdeklarowanymi przeciwnikami. Spoiwem układu był Jan Kurczek, posiadający prywatne relacje z Jarosławem Wartakiem. Dodatkowym elementem cementującym była niechęć do mojej osoby, przejawiana przez obu panów przemożną chęcią marginalizacji mojej osoby. To zadecydowało, że obrębie Rady AWS zostałem zepchnięty na margines. Kurczek szybko zorientował się, że Dąbrowski jest osobą psychicznie słabą i przejął przy jego boku rolę szarej eminencji. Z początku nie wyglądało to groźnie. Kiedy postanowiono powołać dodatkowe ciało o charakterze dekoracyjnym pod nazwą zarządu (nie był umocowany w Karcie AWS) przed wyborami do tego gremium, wezwałem ich do dobrowolnej rezygnacji z tej funkcji na rzecz przedstawicieli lokalnych organizacji wchodzących w skład AWS, a nie mających swojego przedstawicielstwa w strukturze wojewódzkiej. Partie niczego na tym nie traciły, natomiast podmioty lokalne zyskałyby pewne dowartościowanie. Miałem na myśli Komitet Samoobrony Mieszkańców i DKO. Sam tak uczyniłem. Liczyłem, że dam im przykład do naśladowania. Szybko jednak okazało się, że ludzka pazerność nie zna granic, nawet w przypadku funkcji dekoracyjnych. Nikt nie poszedł za moim przykładem. Wręcz przeciwnie, moja pozycja uległa dalszej deprecjacji. W efekcie powyższego zasadnicza rola decyzyjna przeszła w ręce duetu Kurczek – Wartak, z Dąbrowskim w roli ich marionetki. W tle, ale nieco niżej majaczyła Gucwa-Rosik. Podległość Dąbrowskiego pod Kurczka została scementowana w okresie przewodniczenia RS przez Marka Nowickiego. Ten ostatni nie znając realiów, kierując się wyłącznie pazernością zabiegał za pomocą Władysława Molęckiego (przewodniczący KZ"S" Huty Katowice), aby u Wacława Marszewskiego (przewodniczący ZR”S”) wyjednał odebranie nominacji Dąbrowskiemu i scedowanie jej na rzecz wspomnianego – Marka Nowickiego.

Bezpośrednie zagrożenie oddało Dąbrowskiego całkowicie w orbitę wpływów Kurczka, który stanął po jego stronie. Istotnym również był fakt, że układ decyzyjny Kurczek – Wartak z marionetką Dąbrowskim, przetrwał praktycznie aż do końca istotnych wydarzeń, tj. do momentu wykluczenia KPN-u przez Radę Krajową AWS. A nawet i po tym fakcie – Kurczek udawał, że nic się nie wydarzyło i dalej niezgodnie z prawem dążył do utrzymania go w obrębie struktury. Było to o tyle istotne, że tylko wówczas mogli mnie trzymać za gardło systemem udziałowym. W końcu Wartak został przez swoich zwierzchników zdyscyplinowany i zmuszony do wycofania się z AWS, w którym de jure już od miesiąca był nieobecny.

We wspomnianym okresie, będąc politycznie zmarginalizowany podjąłem się dalszej kontynuacji swojej opcji, licząc na odrobinę instynktu samozachowawczego u wspomnianych. Błędnie założyłem, że aczkolwiek w ich mniemaniu stanowię ambicjonalne zagrożenie, to jednak pozwolą mi realizować działania zmierzające do poszerzenia koalicji z korzyścią dla ogółu, również i ich samych. Kolejny błąd z mojej strony. Nie doceniłem drzemiącego w nich ładunku pazerności, połączonej z destrukcją wszystkiego, co jest od ich woli niezależne. Każda zgłoszona przeze mnie inicjatywa musiała być przez to grono odrzucona, tylko dlatego że była moja.

W takim klimacie zasiedliśmy do stołu obrad, by zgodnie z kalendarzem wyborczym ułożyć listę kandydatów na radnych z ramienia AWS. Obradom przewodniczył – Jan Kurczek. Dąbrowski – jak na marionetkę przystało siedział jak mysz pod miotłą. Muszę nadmienić, że podstawowym dążeniem niemal każdego kandydującego jest znaleźć się w swoim okręgu pierwszym na liście. Pierwszy ma bowiem przywilej polegający na fakcie, iż ok. 30% wyborców idzie do urny bez konkretnego wskazania personalnego, ale z określoną sympatią polityczną. Tacy wyborcy oddają swój głos na pierwszą osobę z tej listy, którą preferują. Jest to niezasłużona premia lidera, stawiająca go w uprzywilejowanej pozycji względem pozostałych. Kurczek w wyborach sam udziału brać nie mógł, gdyż zabraniała mu tego ordynacja. Był mieszkańcem Sosnowca.
Zaraz na wstępie oznajmił, że jego zdaniem liderami list w poszczególnych okręgach winni być przede wszystkim szefowie poszczególnych partii wchodzących w skład AWS. Ze wszystkich uczestników tylko ja założyłem protest. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Z okręgiem NR 1 (Mydlice) nie było większego problemu. Kurczek na lidera listy zgłosił – Annę Klimek, nauczycielkę w jednej ze szkół dąbrowskich, rekomendowaną przez "S". Impas powstał dopiero przy okręgu NR 2 (Centrum). W Radzie AWS zasiadały bowiem dwie osoby, które do tej roli aspirowały: Zbigniew Wróblewski (Samoobrona Mieszkańców) i Rajmund Kubisa (ZChN). Żaden ze wspomnianych nie chciał ustąpić palmy pierwszeństwa drugiemu, uważając, że

właśnie jemu należy się rola lidera. Wywiązała się dłuższa polemika momentami granicząca z pyskówką.
Wróblewski twierdził, że odbył zebranie ze swoim zapleczem i wspólnie uzgodnili, że z ich rekomendacji właśnie on winien być liderem listy we wspomnianym okręgu, natomiast pozostali z jego ludzi w innych okręgach mogą zostać umieszczeni na pozycjach dowolnych. Była to deklaracja bezprecedensowa, z jaką do tej pory nigdy się nie zetknąłem. Merytorycznie oznaczała – ja mam być pierwszy, w zamian sprzedaję wszystkich swoich. Deklaracja godna intelektu dzikusa Kalego, a nie Europejczyka. Kubisa z kolei twierdził, że palma pierwszeństwa należy się jemu i nie zamierza z niej rezygnować. Impas się pogłębiał. Ogłoszona przerwa, niczego w tym przedmiocie nie wniosła. Kurczek nie był w stanie arbitralnie rozstrzygnąć problemu. Wówczas, chcąc ratować sytuację, zwróciłem się do Kubisy – aby był mądrzejszy i ustąpił głupszemu, ponieważ inaczej nie pójdziemy do przodu. Zadałem mu pytanie, czego w zamian za swoje ustępstwo oczekuje? Niech będzie w tym okręgu drugi, natomiast w ramach rekompensaty niech wskaże osobę, którą proponuje na lidera listy w innym. Kubisa z początku nie chciał tego uczynić, ale w końcu pod presją pozostałych – ustąpił. W zamian za swoją rezygnację otrzymał rekompensatę w dwóch innych okręgach w postaci drugich pozycji dla ludzi z rekomendacji ZChN.

Istotny był również fakt, że zarówno Dąbrowski, jak Kurczek i Gucwa, którzy tak parli do różnych funkcji, nawet tych dekoracyjnych, w momentach kryzysowych byli bezradni jak dzieci. W takich okolicznościach, sytuację musiała ratować marginalizowana przez nich moja osoba. Właśnie tak było w tym przypadku. W okręgu NR 3 (Reden) – Kurczek, zgodnie ze swoją wizją na lidera listy zgłosił mnie. Stanowczo się temu sprzeciwiłem, stwierdzając:

- Jako przedstawiciel partii politycznej jestem odpowiedzialny również za inne osoby z mojego zaplecza. Jak ja spojrzę tym ludziom w oczy, jeżeli będę liderem listy, a oni daleko w tyle?! Wszyscy dojdą do wniosku, że ich przehandlowałem w zamian za swój interes. Dlatego wnoszę, abym w swoim okręgu był ostatni. Wówczas nikt nie będzie mógł mi postawić takowego zarzutu.

Moje oświadczenie zebrani przyjęli z niedowierzaniem. Stało ono w sprzeczności z podejściem wcześniej i później prezentowanym przez niemal wszystkich uczestników narady. Jednak ton wypowiadanych słów nie pozostawiał złudzeń. Tak ma być!

Jeszcze bardziej mnie znienawidzili, ponieważ moja postawa dobitniej podkreślała ich małostkowość. Pierwszym na liście został – Tomasz Osuszek z rekomendacji "S".

W okręgu NR 5 (Manthattan) liderem ma być Kazimierz Dąbrowski. Jest przewodniczącym AWS, dlatego to jemu się należy. Oczywiście Dąbrowski głosuje sam na siebie. Nie bierze przykładu z mojej postawy. Nic dodać, nic

ująć.

Z pozostałymi obsadami nie było już większego problemu, ponieważ wśród pozostałych członków Rady AWS nie było już kandydatów na radnych. Na zakończenie okazało się, że zgodnie z moimi przewidywaniami mamy bardzo znaczące wakaty. Dość wspomnieć, że zachodziła potrzeba wystawienia 90 osób rozrzuconych terytorialnie. W opisywanym momencie dysponowaliśmy gronem około pięćdziesięciu. Taki był finał zabawy w politykę tria Kurczek –Dąbrowski – Gucwa. Jedyne, co w takiej sytuacji można było jeszcze uczynić, to udzielić upoważnienia Kurczkowi, aby w zależności od posiadanych możliwości dobił listę jakimiś ludźmi, których uda się jeszcze nakłonić do wystąpienia w roli mięsa armatniego. Tak też uczyniliśmy. Zwerbowane przez niego duszyczki miały być dopisywane na kolejne wakujące miejsca.

Po skleceniu niepełnej listy ruszyła kampania. Dramat rysował się coraz wyraźniej, ponieważ oprócz stosunkowo słabej jakości większości kandydatów, przywódcom zabrakło również polotu w jej przeprowadzeniu. Środki na kampanię były dość znaczne i pochodziły z dwóch źródeł: wpłat własnych kandydatów i subwencji uczynionych przez największe w mieście Komisje Zakładowe "S".

Oczywiście szefem sztabu wyborczego mianował się Jan Kurczek. Zaraz na wstępie, większość pieniędzy utopił w gażę dla Jana Pietrzaka za występ w zakończonym klapą festynie w Parku Centrum. Szybko pozbył się pieniędzy i przestał w dalszej fazie kampanii odgrywać jakąkolwiek rolę, poza oczywiście reprezentacyjną. W owym okresie kilkudziesięciu kandydatów bez przywódcy, który wskazałby im drogę postępowania i organizował wsparcie organizacyjne, prowadziło na własną rękę namiastkę kampanii, całkowicie z sobą niezborną i chaotyczną. Jedyną zorganizowaną i kierowaną grupą pozostawała wyłącznie moja frakcja.

Realizowana przeze mnie taktyka przedstawiała się następująco. Kilka tygodni wcześniej otrzymałem informację, że Kurczek do pewnej osoby się zwierzył, że tak mnie upokorzy, iż będę miał możliwość wystawienia jedynie 4 – 5osób i ani jednej więcej. Nie da mi sposobności, abym nawet wystawił po jednej osobie w okręgu, czyli dziewięciu. Dzięki tej wiedzy oficjalnie przygotowałem jedynie cztery osoby, pozostałe pięć zakamuflowałem w puli przypadającej na inne ugrupowania. W efekcie tego kamuflażu dopiąłem swego i wszyscy zostali rozprowadzeni po wskazanych okręgach, aczkolwiek na stosunkowo niskich pozycjach. Ponieważ z rachunku prawdopodobieństwa wynikało, że AWS może uzyskać jedynie po jednym mandacie w okręgu, podjąłem się kierowania w sposób zorganizowany ich kampanią. Miała ona polegać na trzech elementach: trzech tysiącach ulotek reklamowych, 500 małych plakacikach formatu A-4 i 300 dużych plakatach formatu A-2 (dla każdego) oraz

spotkaniach wyborczych. Nadmieniam również, że nie dysponowaliśmy żadnymi środkami finansowymi oprócz swoich prywatnych pieniędzy. Ponadto udostępniłem im bazę potencjalnego elektoratu, którą systematycznie gromadziłem w okresie swojej aktywności politycznej. Drukarz Piotr Szybecki, szkolny kolega Andrzeja Migalskiego, podjął się za ustalone wcześniej wynagrodzenie wykonać usługę poligraficzną we wskazanym przez nas terminie. I tu spotkał mnie kolejny, nieprzewidziany cios. Chcąc przyciągnąć klienta – Szybecki – zaproponował kwotę atrakcyjniejszą od pozostałych drukarni, czym nas do siebie przekonał. Wydrukował ulotki i mały plakacik, natomiast ociągał się z drukiem dużego formatu. Mijał czas, a plakatu nie było. W końcu przyparty do muru oświadczył, że nie jest w stanie podołać zamówieniu ze względu na brak wielkoformatowego offsetu.

Przecież o tym, że nie ma stosownego sprzętu wiedział przed zawarciem umowy! Kolejny oszust, jakiego spotkałem na swojej drodze. Wiedział doskonale, że jak na wstępie wyjawi prawdę, to wybierzemy inną drukarnię, która zapewni nam tę usługę, a tak metodą blefu przyciągnął nas do siebie, zwodził jakiś czas, abyśmy uregulowali płatności za wcześniejsze druki i dopiero wtedy wyłożył karty na stół, wbijając nam nóż w plecy.

Okres był tak gorący, że kilka drukarni do których zwróciliśmy się z prośbą o ratunek, odmówiło nam ze względów czasowych. Byli nadmiernie obłożeni zleceniami. Wszak wybory to dla drukarzy prawdziwy okres żniw. Nie byli w stanie wykonać usługi, w interesującym nas terminie 48 godzin. W związku z powyższym plakat nie wyszedł. Prowadzonej przez nas kampanii zabrakło ostatniego akordu, akcentu, który miał przypieczętować wizualne przebicie się na tle pozostałych. W efekcie tej niedoróbki, moi kandydaci z reguły zajmowali drugą pozycję pod względem uzyskiwanych głosów. W dwóch przypadkach nawet pierwszą, ale akurat w tych okręgach AWS nie wziął mandatu, ze względu na niepełne obsady list, co było ewidentną konsekwencją błędnej polityki kierownictwa.

Finał był żałosny. AWS nie wziął nawet po jednym mandacie w każdym okręgu. Uzyskał ich jedynie sześć, miast przewidywanych dziewięciu. Mandaty uzyskali: Anna Klimek, Zbigniew Wróblewski, Stanisław Sokoliński, Kazimierz Dąbrowski, Czesław Zbroja, Ryszard Gawlik. Paradoksalnie te osoby, które w znacznym stopniu przyczyniły się do tak żenującego rezultatu (Kazimierz Dąbrowski, Zbigniew Wróblewski) zostały wybrane radnymi. Byli jednak radnymi bezradnymi, ponieważ zgodnie z wcześniejszymi przewidywaniami – SLD – uzyskał 27 mandatów, czym przejął pełnię władzy uchwałodawczej i wykonawczej. A rolą radnych bezradnych, o czym już wiedziałem jest bycie klientem nowej władzy. Znając mentalność nowych mandatariuszy nie miałem żadnych złudzeń co do ich przyszłego losu. Sprzedadzą się!

Unia Wolności, która w konsekwencji rozgrywek Dąbrowski – Kurczek –

Wartak poszła do wyborów również samodzielnie, osiągnęła wynik jeszcze słabszy, zamykający się trzema mandatami. DKO również samodzielnie uzyskało mandatów pięć.

Gdyby mnie posłuchano, byłoby ich razem 27... A to wytworzyłoby zupełnie inną jakość i zupełnie inny rozwój wydarzeń na lokalnej scenie.

Kampania 1998 okazała się wielką farsą. Bezpośrednią tego przyczyną były trzy elementy: brak wiedzy politycznej kierownictwa AWS, nie utworzenie postulowanej przeze mnie szerokiej koalicji, słaba jakość większości kandydatów na listach wyborczych.

Wszystkie te elementy razem spowodowały, że wybory zostały przegrane jeszcze przed samym faktem elekcji. Późniejsze roztrwonienie środków na chybione przedsięwzięcia, marazm i niezborność kampanii tylko pogłębiły skalę porażki.

Stało się tak, ponieważ priorytetem kierownictwa nie była realizacja planu politycznego, lecz skupianie się na utrącaniu moich koncepcji. Torpedowanie ich tylko dlatego, że są mojego autorstwa. Po to, abym czasami nadmiernie się nie rozwinął. Nie wiedzieli, że utrącając je i uniemożliwiając realizację postulowanych zamierzeń, podcinają równocześnie gałąź na której sami siedzą. Ot, prymitywna chłopska ambicja...

Kilka dni po wyborach eksplodowała bomba. Zaczęły napływać informacje o praktykowanym na stosunkowo szeroką skalę procederze skupowania głosów wyborców. Można było wyróżnić trzy szkoły oszustwa. Pierwsza polegała na wręczaniu butelki wódki w zamian za głos, druga analogicznie tylko zamiast wódki banknot 10 lub 20 złotowy, trzecia polegała na podwożeniu do lokali, zorganizowanych grup, celem gremialnego oddawania głosu na wskazaną osobę. Wszystkie trzy w swoich znamionach wyczerpywały wykroczenie naruszenia ciszy wyborczej nałożonej przez ordynację. Z poufnych informacji wynikało, że brali w nich udział pojedynczy kandydaci z niemal wszystkich komitetów wyborczych, aczkolwiek prym wiedli ci z SLD.

Ponieważ moja wiedza nie jest wiedzą procesową, gdyż informatorzy zarzekali się, że publicznie nigdy tego nie potwierdzą, mam pewną trudność w rzetelnym przedstawieniu powyższego zjawiska. Z uwagi na możliwość przegrania procesu sądowego, ograniczę się wyłącznie do zdawkowego szkicu. Niewątpliwie prym wiódł pewien pan oficjalnie startujący z listy DKO, później prominentny działacz SLD, który w szczytowym momencie swojej kariery został wiceprezydentem miasta. Wynajął grupę młodych naganiaczy, którzy w zamian za pieniądze, skupywali czyste karty wyborcze, operując w środowisku osiedlowych pijaczków na terenie dzielnicy Gołonóg. Inny operował na terenie dzielnicy biedoty w komunalnych familokach przy ulicy Robotniczej. W sumie napłynęło około sześciu sygnałów o nieprawidłowościach, dotyczących różnych osób. Jedni z nich kupili mandaty, innym się nie udało. Nawet AWS nie był

wolny od powyższych praktyk. W dzielnicy Ząbkowice kandydujący z jego listy – Ryszard Gawlik (restaurator) płacił butelką wódki za głos i mandat uzyskał. Nadmienię, że mimo powszechnej wiedzy o tym fakcie, nigdy nie spotkał się z ostracyzmem czy chociażby bojkotem towarzyskim.

Zjawisko kupowania głosów, było pierwszą tego typu patologią odnotowaną na terenie miasta. Proceder pojawił się nagle i od razu na stosunkowo szeroką skalę, co dowodzi, że musiało być w jakimś stopniu zorganizowane. Przecież jest niemożnością, aby kilka osób, między którymi nie zachodziły żadne relacje, mogło w tym samym momencie wpaść na identyczny pomysł. Idąc tym tropem, odkryłem prawdy ciąg dalszy. Ci ludzie znali się wcześniej. Będąc w większości prywatnymi przedsiębiorcami, kręcili się przy radzie miejskiej w okresie 1994-1998, próbując załatwiać różne geszefciki. Doszli do wspólnego wniosku, że korzystniej dla ich interesów byłoby być w ośrodku władzy, niż jak dotychczas funkcjonować na jego obrzeżach. W urzędzie miejskim się poznali, wymienili spostrzeżeniami i postanowili swoje refleksje przekuć w czyn. Taki był początek czegoś, co w okresie późniejszym zostało nazwane syndromem prywatnego miasta.

Ciekawostką niech będzie fakt, że żaden z czterdziestu pięciu nowo wyłonionych radnych (wiedza o patologii w tym środowisku była powszechna) nigdy nie przystąpił do walki z tym zjawiskiem, nikt oficjalnie go nawet nie napiętnował. Powyższe praktyki uznawano powszechnie nie za przejaw patologii życia publicznego, lecz element rzutkości i przedsiębiorczości. Jeden z oszustów został wybrany wiceprezydentem – głosami radnych, którzy doskonale wiedzieli, że jest oszustem wyborczym. Tym samym ówczesna rada, dała przyzwolenie i akceptację dla cwaniactwa i łamania elementarnych norm życia publicznego. Był to pierwszy prognostyk tego, co dopiero miało nastąpić w najbliższej przyszłości.

Ciekawostką jest również fakt, że nawet policja nie zajęła się tym zagadnieniem. Dyplomatycznie udano, że ujawniona patologia nigdy nie miała miejsca. Nie ma takiej możliwości, aby policyjna agentura nie była w stanie wychwycić kilkuset przypadków ewidentnego złamania ciszy wyborczej. Ktoś na szczeblu kierownictwa lokalnej policji, postanowił zatuszować tę sprawę i ten zamiar zrealizował. Prokurator rejonowy zachował się analogicznie. Zarówno radni jak i organy ścigania niezależnie od siebie, doszły do identycznego wniosku. Sprawy nie było.

Kadencji samorządu 1998-2002 nie chcę poświęcać zbyt wiele miejsca, ponieważ w nim nie uczestniczyłem. Jako osoba z zewnątrz odnotowałem jednak pewne spostrzeżenia.

Dobrze mi znany proceder pozyskiwania przychylności radnych

nadaniami stanowisk administracyjnych, nawet mimo obowiązywania noweli ustawy antykorupcyjnej został utrzymany, a nawet twórczo rozwinięty. Z tą tylko różnicą, że dosłownie nikt, tak jak procederu kupowania głosów, nie próbował tego wyświetlić i napiętnować. W czterdziestopięcioosobowej radzie nie pojawił się ani jeden oszołom, tylko sami układni pożyteczni idioci. Dla porównania w kadencji 1990-1994 oszołomem był – Frączek. Niczego co prawda nie zmienił, ale przynajmniej nagłaśniał występujące patologie, walnie przyczyniając się do ich ograniczania. W kadencji 1994-1998 w analogicznej roli występował – Mirosław Liberski. W kadencji 1998-2002 nie było nikogo. Z całkowitą odpowiedzialnością stwierdzam – w tej kadencji, ani jeden radny w swoim działaniu nie kierował się interesem publicznym, lecz wyłącznie wąsko pojmowanym partykularnym egoizmem.

Funkcjonowanie tej rady można podzielić na dwa okresy. Pierwszy to prezydentura – Marka Dula, drugi prezydentura – Marka Lipczyka. Pierwszy okres, zgodnie z wcześniejszymi praktykami cechował się słabą władzą wykonawczą, bałaganem wewnętrznym i chaosem. Marek Dul nie sprawował władzy, lecz wyłącznie piastował swój urząd. W momencie kiedy finanse gminy były zagrożone, doszło wewnątrz SLD do zmiany warty. Dul został obalony przez swojego konkurenta – Marka Lipczyka. Szczegóły tej operacji nie są mi znane. Dość, że później zaczęły dochodzić głosy, że miasto Dąbrowa Górnicza stało się miastem prywatnym.

Okres pierwszy charakteryzowały dwa powszechne zjawiska: nepotyzm i kumoterstwo. Dość powiedzieć, że Marek Dul w okresie pełnienia funkcji prezydenta zatrudnił niemal całą swoją rodzinę (pierwszy stopień pokrewieństwa) na funkcjach okołourzędowych. Okres drugi z kolei cechował się nadmiernymi, społecznie nieuzasadnionymi inwestycjami oraz zamknięciem się kręgu klienteli nowej władzy. Powszechnie chodziły plotki o ustawianych przetargach. Nie jestem w stanie określić rzetelności tych ocen, ale fakt pozostał bezsporny. Stały się one poglądem szeroko rozumianej ulicy i walnie przyczyniły się do politycznego upadku Marka Lipczyka w 2002 roku, w okresie szczytowych notowań SLD.

Obecnie cała ówczesna ekipa rządząca, wraz z kilku pożytecznymi idiotami jest oskarżona o nadużycia, oczywiście nie przez prokuraturę dąbrowską. Prawdopodobnie niedługo będziemy świadkami finału sądowego.

Jeżeli chodzi o aktywność radnych AWS, to Kazimierz Dąbrowski został wybrany przewodniczącym zbędnej komisji ds. rodziny, utworzonej wyłącznie dla faktu jakiegoś jego umocowania. Na tej funkcji niczym się nie wykazał. Stanisław Sokoliński – został przewodniczącym komisji rewizyjnej. Na tak istotnej funkcji wykazał się ignorancją, nieznajomością procesów decyzyjnych i oportunizmem. Był radnym ubezwłasnowolnionym, bez poglądów i charakteru. Służył wiernie – Dulowi, później – Lipczykowi. Kierowana przez niego

najważniejsza w radzie komisja nie spełniła żadnej istotnej roli. Pozostali również niczym się nie wykazali. Ot, oportunistyczne przeciętniaki, które dziwnym zrządzeniem losu, jakoś się załapały w tym typowym wyścigu szczurów do publicznej kasy.

Rozdział XXXI
PRZEGRUPOWANIE

Środowisko solidarnościowe zaczęło sobie w końcu uświadamiać kwestię od początku oczywistą – konsekwencję porażki wyborczej. Dlatego nikt nie orientował się na sprawy związane z samorządem lokalnym. Stało się oczywistym, że radni AWS są w ośrodku władzy osobami nieistotnymi, bez jakiegokolwiek wpływu na rzeczywistość. Z resztą nawet gdyby mogli, ze względu na predyspozycje psychiczne i intelektualne nie byli zdolni do odegrania nawet podrzędnej roli. Dlatego nikt od nich niczego nie oczekiwał i nie wymagał. Paru darmozjadów podczepiło się tylko pod różne komisje, by urwać parę groszy z publicznej kasy. I na tym sprawa została definitywnie zamknięta.

AWS nieubłaganie dryfował. Pojawiały się głosy o potrzebie reformy tej skostniałej struktury. Chodziło o wycofanie z bieżących działań związku zawodowego i zastąpienie go partią polityczną. Marian Krzaklewski werbalnie był za, faktycznie opóźniał ten proces, jak długo mógł. W końcu i on pod naporem dołów musiał ustąpić. Tak powstał Ruch Społeczny AWS. Była to partia, o której trudno cokolwiek napisać. Nie posiadała ani programu, ani ideologii, ani zasad. Miała być partią związkową, realizującą politykę związku zawodowego Solidarność, nacechowaną skrzyżowaniem nurtu syndykalistycznego i trywialnej katolickiej retoryki na potrzeby mas. Istotnym był fakt, że w AWS miała przejąć pulę udziałów po związku zawodowym, czyli stać się nowym hegemonem na prawicy. Istotny był również drugi element, w RS jak w każdej partii miały obowiązywać procedury demokratyczne.

Uświadomiłem sobie, że skoro już przebywam w tym środowisku, to korzystniej byłoby przynależeć do tego właśnie hegemona, niż jakiegokolwiek jego wasala. Wówczas jeszcze nie mogłem przewidzieć, że za trzy lata cały AWS będzie politycznym bankrutem. Dlatego postanowiłem wystąpić z Koalicji Konserwatywnej i złożyć swój akces do tego właśnie tworu.

Sprawa wcale nie była taka prosta. Chociaż na terenie miasta partia ta nie posiadała żadnej władzy, to przecież ludzkie ambicyjki jednak występowały. Część osób, które już tam były, panicznie obawiała się mojej osoby jako przysłowiowego „diabła". Formalnie do RS zostałem przyjęty dopiero w konsekwencji nacisku przeprowadzonego przez Krzysztofa Szydłowskiego, który wówczas zasiadał w jego władzach, będąc ponadto prawą ręką posła. Dopiero wywarta przez niego presja spowodowała zmianę stanowiska kierownictwa, odnośnie mojej osoby.

Postanowiłem, że będę postępował rozważnie, ograniczając się do rozpoznania sytuacji i pomocy w instalowaniu tam, gdzie to możliwe, osób mnie przychylnych. Na żadną funkcję partyjną w wyborach wewnętrznych nie

kandydowałem, aczkolwiek odgrywałem w nich dość istotną rolę. W pewnym momencie byłem nawet liderem jednej z dwóch istniejących frakcji.

Pierwsze wybory wewnętrzne zmiotły dotychczasowych szefów AWS. Nikt z nich nie został wybrany do nowego zarządu. Była to retorsja zarówno za nieudane i źle przeprowadzone wybory, jak i oportunistyczną postawę w nowej radzie miejskiej. W konsekwencji powyższego w partii zarysowały się dwie frakcje. Pierwsza na czele z Władysławem Molęckim i Markiem Nowickim reprezentowała interesy aparatu związkowego Huty Katowice. Obaj panowie uważali, że im jako przedstawicielom największego przedsiębiorstwa należy się przywództwo. Nie stały za tym żadne względy merytoryczne, a jedynie stary nawyk wyniesiony ze środowiska związkowego. W Solidarności potencjał danej organizacji zawsze był oceniany ilością odprowadzanych składek członkowskich. Druga – na czele ze mną i Szydłowskim – gromadziła ludzi, którym nie odpowiadała nadmierna hegemonia tych pierwszych. Były to osoby zatrudnione w mniejszych przedsiębiorstwach, których zawsze raziło imperialne podejście hutników. Do tego dochodziło kilka osób, którzy byli w opozycji do Molęckiego wewnątrz jego struktury zakładowej. Muszę podkreślić, że z mojej strony nie były podejmowane żadne kroki mogące sytuację antagonizować lub zaogniać. Ani ja, ani Szydłowski nie byliśmy stroną ofensywną. Wręcz przeciwnie, to my staliśmy się przedmiotem agresji. Panowie związkowcy nie mogli pojąć, że nie w pełni kontrolują partię i biuro poselskie. Do kontroli partii potrzebne było wygranie przez nich wewnętrznych wyborów, do kontroli biura decyzji posła. Dlatego do schorowanego na raka – Żurka zaczęli donosić na Szydłowskiego, by zmienił tę nominację. Żurek mimo postępującej choroby był jednak nieugięty. Sytuacja powyższa uległa pewnemu rozładowaniu dopiero po odejściu – Marka Nowickiego. Skonfliktowany z wszystkimi musiał ponownie wycofać się z działalności politycznej, by próbować kariery na odcinku zawodowym. Jak się później okazało, to on był główną osią intryg. Po jego odejściu sytuacja zaczęła stopniowo ulegać normalizacji. Nieco później wystąpiły dwa niezależne od siebie zjawiska, które całkowicie uzdrowiły sytuację. Bogdan Żurek zmarł na raka i biuro poselskie uległo likwidacji. To ostatecznie wyeliminowało wszelkie podjazdy wymierzone w osobę – Szydłowskiego. Po wtóre – AWS – zaczął tak dołować w notowaniach, że zaczynał być partią bankructwa, a nie przyszłości. Powoli przestawał być formacją, o której przejęcie należałoby kruszyć kopie. To siłą rzeczy korzystnie studziło zapały obu stron.

W takich realiach, odbyły się kolejne wybory do lokalnych władz RS. Praktycznie poza Zbigniewem Wróblewskim, nikt już nie kwapił się do objęcia funkcji przywódcy. Wróblewski twierdził, że objęcie szefostwa partii jest mu niezbędne, celem wzmocnienia swojej pozycji prestiżowej. Więc został wybrany.

Pewnego dnia przypadkową wizytę złożył mi – Eugeniusz Kowalski z młodym człowiekiem. Jak się okazało swoim zięciem. Gienek prowadził wówczas firmę elektryczną. Właśnie wykonywał zlecenie na zerowanie gniazdek w budynku, gdzie mieściło się moje biuro i rutynowo obchodził wszystkie pomieszczenia. Ponieważ nie widzieliśmy się od 1994 (koniec kadencji), pracą zajął się zięć, a my oddaliśmy się rozmowie o starych czasach. W jej trakcie zdradził mi dość istotną tajemnicę. W 1991 roku wchodził w skład komisji skrutacyjnej rady miejskiej, która obliczała głosy w dwóch głosowaniach – nad odwołaniem Jerzego Talkowskiego z funkcji prezydenta i powołaniem na tę funkcję – Henryka Zaguły. W świetle jego wypowiedzi – komisja dokonała matactwa. O ile przy odwołaniu Talkowskiego podano wynik prawdziwy, o tyle przy powołaniu Zaguły wynik fałszywy. Kandydat nie otrzymał wymaganych - 23 głosów, lecz zaledwie - 20. Zgodnie z procedurą komisja winna ogłosić stan faktyczny i oznajmić, iż kandydat nie uzyskał akceptacji rady miejskiej. W takiej sytuacji rada winna poszukiwać innego kandydata. Stało się jednak inaczej.
Członkowie komisji po chwili konsternacji, postanowili zataić stan faktyczny i podać do publicznej wiadomości wynik spreparowany, czyli owe - 23 głosy, które zapewniały jego wybór. Takie były kulisy zainstalowania – Henryka Zaguły na funkcji prezydenta miasta w 1991 roku.

O tym, że po latach zdecydował się ujawnić prawdę zadecydowały dwa czynniki. Pierwszy to fakt, że minęło już dziesięć lat i w świetle prawa sprawa jest przedawniona. Drugi to okoliczność, że Zaguła w pewnej kwestii potraktował go jak intruza i natręta, mimo iż między innymi jego osobie zawdzięczał swoją karierę. Dlatego korzysta z przysługującego mu prawa do odwetu. Stwierdził ponadto, że gdyby zachodziła potrzeba jest gotów dać stosowne oświadczenie w formie pisemnej, byle tylko utrzeć nosa temu zarozumiałemu megalomanowi.

Od początku wiedziałem, że mówi prawdę. Przypomniała mi się rozmowa z innym członkiem komisji skrutacyjnej – Zdzisławem Wcisłą, którą odbyłem dwa lata wcześniej. Oba zeznania były z sobą zbieżne i pasowały jak rama do obrazu. Nie ma takiej możliwości, aby dwóch członków komisji skrutacyjnej po latach konfabulowało w tej samej sprawie, w dodatku w kwestii, która ich poważnie obciążała.

Więc Zaguła nie został wybrany prezydentem tylko zainstalowany. W świetle obowiązujących norm jest politycznym hochsztaplerem, współczesnym – Nikodemem Dyzmą. Wreszcie zrozumiałem, dlaczego kiedyś miał do nich taką słabość. Wszak byli depozytariuszami jego tajemnicy. Tajemnicy, której ujawnienie dyskwalifikowałoby jego osobę od pełnienia jakichkolwiek funkcji publicznych.

Odczułem gorzki smak satysfakcji. Miałem jednak jakiś instynkt, który

kazał mi przez te wszystkie lata, trzymać się od niego na dystans. Gorzka to, ale jednak satysfakcja.

W 2001 zdając sobie sprawę z nieubłaganej zagłady AWS, postanowiłem szukać politycznej alternatywy. Na horyzoncie pojawiły się dwie możliwości: nowo powstające Prawo i Sprawiedliwość lub Platforma Obywatelska. Wahałem się, którą opcję wybrać.

Platforma powstawała jako chaotyczny ruch obywatelski. Coś, co przypominało dawne komitety obywatelskie. W PO funkcjonowało tylko jedno w miarę zorganizowane środowisko, wywodzące się z dawnego KLD. Poza nim, występowały wyłącznie jednostki przypadkowe nie stanowiące siły politycznej. Dlatego pełnomocnictwo na województwo śląskie otrzymał prezydent Gliwic – Zygmunt Frankiewicz (dawne KLD). Do kompetencji pełnomocnika wojewódzkiego należało powołanie pełnomocników okręgowych (okręgi wyborcze do sejmu), którzy na swoim terenie mieli powołać pełnomocników powiatowych i zorganizować wybory parlamentarne. W przypadku okręgu zagłębiowskiego, tylko dwie osoby posiadały wystarczające koneksje, aby ubiegać się o powyższe: Tytus Żurek i Henryk Zaguła. W owym okresie utrzymywałem kontakt z Tytusem Żurkiem i bacznie śledziłem bieg wydarzeń. Tytus nie posiadał bezpośredniego przełożenia na Frankiewicza, lecz wyłącznie pośrednie poprzez – Andrzeja Gałażewskiego (dawne KLD, były wicewojewoda śląski). Ten złożył mu deklarację, że spowoduje, iż właśnie jemu Frankiewicz udzieli pełnomocnictwa. Analogiczny ruch wykonał – Henryk Zaguła, z tą tylko różnicą, że on nie musiał korzystać z usług pośrednika, udając się bezpośrednio do decydenta, znali się z konwentu prezydentów aglomeracji śląskiej. A ponieważ kontakt bezpośredni ma przewagę nad pośrednim, dlatego powyższą rywalizację wygrał Zaguła. I to on otrzymał pełnomocnictwo do tworzenia PO na okręg zagłębiowski. Miało to dla mnie znaczenie o tyle istotne, że osoba Zaguły marginalizowała moją ewentualną pozycję w PO, dlatego kibicowałem Żurkowi. Gdyby pełnomocnictwo otrzymał Tytus, ja byłbym pełnomocnikiem na obszar Dąbrowy Górniczej. Stało się jednak inaczej. Po porażce – Tytus zrobił dobrą minę do złej gry i zadowolił się otrzymanym od Zaguły powiatem będzińskim. Pełnomocnictwo na teren Dąbrowy uzyskał dyspozycyjny wobec Zaguły – Stanisław Sokoliński.

W opisywanych wydarzeniach odgrywałem wyłącznie rolę obserwatora, ponieważ w okresie działalności w KLD nie byłem powiązany z ośrodkiem gliwickim, który aktualnie rozdawał karty. Dlatego nie posiadałem żadnych możliwości operacyjnych, ograniczając się jedynie do wywiadu i oceny.

Sytuacja wyglądała nieco groteskowo. Platforma z początku była wyłącznie luźnym ruchem społecznym, organizowanym przez pełnomocników poszczególnych szczebli. Każdy obywatel, któremu wpadła w ręce deklaracja

akcesu mógł ją wypełnić, nabywając tym samym określone prawa. Ciągnął, więc do niej ludek przeróżny. Trzon stanowili uciekinierzy z Unii Wolności oraz różnego autoramentu jednostki trudne do jakiegokolwiek zdefiniowania. Słabym punktem tej formacji, był brak deklaracji ideowej. To z kolei powodowało, że każdy widział w niej nie stan faktyczny lecz to, co sam chciał ujrzeć. Ponieważ od początku w rankingach opinii publicznej stała stosunkowo wysoko, dlatego była atrakcyjna dla ludzi wywodzących się z dwóch upadających partii: Unii Wolności i AWS. Muszę jednak nadmienić, że przyciągała przede wszystkim tych pierwszych. Zaguła w owym okresie nie przywiązywał żadnej wagi do jakości składu członkowskiego. Interesowała go wyłącznie funkcja posła na sejm, którą miał zamiar osiągnąć po linii koneksji (jak pełnomocnika okręgowego). Był przekonany, że kolejność na liście okręgowej będzie ustalał wspólnie z Frankiewiczem. W praktyce oznaczało to, że on jako lider listy zostanie przyszłym posłem. W powyższej ocenie był tak pewny siebie, że niemal natychmiast zraził do siebie wszystkich pozostałych pełnomocników powiatowych. Na jednym ze zwołanych przez siebie posiedzeń, oświadczył wprost, że nikt z nich w tej rozgrywce nie będzie się liczył. On jest szefem, liderem i przyszłym posłem. Byli tak zdegustowani jego postawą, że postanowili poprzeć każdego, byle nie jego. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Kilka tygodni później, trio Olechowski – Tusk – Płażyński podjęło decyzję. Kolejność na listach wyborczych będzie ustalana wyłącznie w drodze prawyborów. Prawo biernego i czynnego uczestnictwa przysługuje wszystkim tym osobom, które wypełniły i złożyły deklarację poparcia. Biorąc pod uwagę powyższe – Zaguła już na starcie był politycznym bankrutem. Nie mógł wygrać prawyborów, opierając się wyłącznie na ludziach z Dąbrowy, mając równocześnie w Będzinie, Jaworznie, Sosnowcu i Zawierciu zdeklarowanych przeciwników. Przeciwników gotowych poprzeć każdego, byle nie jego. Ale on w swej głupocie jeszcze nie uświadamiał sobie tego oczywistego faktu. W związku z prawyborami we wszystkich ośrodkach PO rozpoczął się dynamiczny nabór potencjalnych zwolenników. Wpisywano całe rodziny, byle tylko posiadać jak najwięcej przysłowiowych bagnetów. Wszak głos, tak jak pieniądz nie śmierdzi.

W przypadku Prawa i Sprawiedliwość sytuacja wyglądała odmiennie. Do PiS nie mógł wstąpić każdy, tylko ten kogo ośrodek decyzyjny przyjął. A przyjętym mógł być wyłącznie ten kandydat, który wypełnił deklarację członkowską, w której musiał ujawnić kilka intymnych kwestii. W szczególności: przeszłość polityczną, związki lub ich brak z PRL i swoją sytuację materialną. Ankieta członkowska składała się z dwudziestu kilku stron ze stosunkowo szczegółowymi pytaniami. Sam fakt poddania się powyższej procedurze był już wystarczającą rękojmią blokady elementów niepożądanych. Tak przynajmniej wówczas sądziłem. PiS tworzyły dwa rywalizujące ze sobą ośrodki. Jednym był PiS właściwy, któremu szefował pełnomocnik wojewódzki – Jędrzej Jędrych, drugim Przymierze Prawicy kierowane przez Jerzego

Polaczka. Zarówno z Polaczkiem jak i jego prawą ręką – Adamem Grzesicą znałem się osobiście. W przeszłości razem współpracowaliśmy. Przyjęli mnie z otwartymi rękami. Muszę nadmienić, że Przymierze Prawicy było partią wyłącznie na papierze, bez jakiejkolwiek struktury terenowej. Ponieważ w polityce z fikcją nikt się nie liczy, dlatego zachodziła potrzeba ukrycia przed swoim partnerem tego oczywistego mankamentu. W takich uwarunkowaniach moja osoba mogąca na terenie okręgu sosnowieckiego uskutecznić powyższą pozorację, była wprost nieoceniona. W tym okresie na terenie Zagłębia – Jerzy Polaczek mógł liczyć wyłącznie na dwie osoby: Czesława Żelichowskiego z Jaworzna i mnie. Żelichowski mógł przeprowadzić pozorację wyłącznie w Jaworznie, poza nim był bezradny. Ja z kolei z racji swoich kontaktów w środowisku młodzieżowym mogłem to uczynić na terenie pozostałych miast okręgu. Byłem więc w owym okresie stosunkowo atrakcyjnym kąskiem.

Fakt opuszczenia RS, stawał się dla mnie oczywisty. Czytałem gazety, rozmawiałem z ludźmi i doskonale zdawałem sobie sprawę, że jest to polityczny bankrut. W dodatku w RS nie było nic pociągającego. Ani programu, ani ciekawych ludzi, ani żadnych widoków na przyszłość. Muszę przyznać, że RS był jedyną partią w moim życiorysie, do której wstąpiłem nie z przekonania, lecz wyłącznie z chłodnej kalkulacji politycznej. Kierowałem się logiczną determinantą. Skoro już jestem w AWS, to lepiej przynależeć do jej najsilniejszego członu niż jego satelity.

Obecnie mój problem zasadzał się wyłącznie na kwestii wyboru. Platforma czy PiS? Miałem czterdzieści lat, z czego dwadzieścia poświęciłem polityce i w swoich decyzjach nie kierowałem się już abstrakcjami, lecz wyłącznie realną oceną rzeczywistości. A przez nią rozumiałem zbiór faktów i przesłanek, służących odegraniu jak największej roli w procesie politycznym.
Grzesica i Polaczek kusili mnie PiS-em, natomiast Tytus Żurek – Platformą. W owym okresie dla wszystkich byłem atrakcyjny. Różnice między obu opcjami były zasadnicze.

W obrębie PiS karty były w zasadzie rozdane. Kandydatem na posła miał być Czesław Żelichowski, dotychczasowy radny wojewódzki z ramienia AWS. Postać stosunkowo nieciekawa, nacechowana ambicją, silnymi ciągotkami egoistycznymi i pazernością na wszystko co z władzą jest związane. W okresie terminu w sejmiku wojewódzkim, zetknął się już z meandrami władzy i zaraził jej bakcylem. Nie miał za sobą żadnej przeszłości politycznej ani działań prospołecznych. Posiadał jednak ambicję i dostęp do znacznych środków finansowych niezbędnych do skutecznego prowadzenia kampanii wyborczej. W tym przypadku do moich zadań należałyby dwa zagadnienia. Pierwsze to stworzenie pozorów istnienia Przymierza Prawicy na terenie Zagłębia i pomoc w skompletowaniu listy kandydatów na posłów. Drugim było zebranie odpowiedniej liczby podpisów poparcia pod skompletowaną listą i prowadzenie

kampanii w taki sposób, aby Żelichowski jako uprzywilejowany został wybrany. W zamian za realizację powyższego postawiłem dwa warunki: ścisłą współpracę polityczną w przyszłości i przyznanie do mojej wyłącznej dyspozycji 30% środków finansowych przeznaczonych na prowadzenie biura poselskiego.

Jeżeli chodzi o PO, to na żadną konstruktywną współpracę z Zagułą liczyć nie mogłem. Nie miał szans na wygranie prawyborów i zajęcie na liście wyborczej mandatowej pozycji. W dodatku nasze relacje w okresie wcześniejszym nie były korzystne i nie napawały optymizmem. W grę wchodził jeszcze Tytus Żurek i na nim skupiłem swoją uwagę. Tytus twierdził, że jak tylko zostanie posłem, umocuje mnie najwyżej w PO jak to tylko będzie możliwe. Na pewno zostanę pełnomocnikiem na teren Dąbrowy i będę miał do swojej dyspozycji jego biuro poselskie wraz z całym uposażeniem. W zamian oprócz prowadzenia kampanii żądał jeszcze jednego. Realnej pomocy w wygraniu wewnętrznych prawyborów. Aby Tytus mógł je wygrać, musiałbym zorganizować stuosobową ekipę martwych dusz, która zagłosuje wyłącznie na niego, skreślając wszystkich pozostałych konkurentów. Muszę podkreślić, że w owym okresie, biorąc pod uwagę moje koneksje plus zorganizowaną młodzież, jak również możliwości Krzysztofa Szydłowskiego w obrębie Huty Katowice, zadanie to było do wykonania. Problem jednak tkwił w tym, że dodatkowe wprowadzenie takiej masy ludzi nie mogło ujść uwadze pozostałych. Zamaskowanie operacji na tak szeroką skalę nie wchodziło w rachubę. Prawybory byśmy wygrali, Żurek zostałby posłem na sejm, ale później uchodziłbym za politycznego awanturnika, który w drodze do kariery nie cofa się przed niczym, nawet szwindlem. Na to nie mogłem przystać. Taką operacją przekreśliłbym dotychczasowy swój stosunkowo chlubny życiorys. Dlatego odmówiłem.

W wyniku mojego niezaangażowania w sprawy PO – wewnętrzne prawybory wygrał biznesmen z Będzina – Grzegorz Dolniak. Wygrał, ponieważ na elekcję dowiózł autokarami znaczny kontyngent bagnetów i umiejętnie pozawierał sojusze z innymi kontrkandydatami.

Zaguła zgodnie z przewidywaniami zajął dopiero ósmą lokatę, która nie dawała mu szans wyborczych, sprowadzając jego osobę wyłącznie do roli mięsa armatniego. Nie mogąc się pogodzić z tym faktem, postanowił wycofać się z dalszego kandydowania.

Tytus Żurek z kolei, opierając się wyłącznie na własnych siłach, zajął lokatę porównywalną z Zagułą. Ten jednak w przeciwieństwie do pierwszego nie wycofał się, swoim zwyczajem robiąc dobrą minę do złej gry.

Z sondaży wynikało, że w okręgu sosnowieckim PO uzyska wyłącznie jeden mandat, dlatego stawało się oczywiste, że będzie nim Grzegorz Dolniak, występujący w uprzywilejowanym charakterze – lidera listy. Nie łączyły mnie z

nim żadne relacje. Mimo 41 lat, nigdy dotychczas nie uczestniczył w życiu publicznym, dlatego nasze drogi nie mogły się skrzyżować. Był klasycznym przykładem nowobogackiego, który mając już utrwalony status materialny, postanawia sięgnąć po nieco splendoru, jaki niewątpliwie daje funkcja parlamentarna. W świetle powyższego jego osoba była poza zasięgiem moich kontaktów. W dodatku nie ufałem temu człowiekowi. Z doświadczenia wiedziałem już, że jest niemożliwością, aby dojrzały mężczyzna w wieku 41 lat nagle odczuł powołanie do pełnienia funkcji publicznej. Nie odczuł go ani w okresie rewolucji 1980, ani w okresie przełomu 1989, ani kiedy tworzono demokratyczną rzeczywistość. Za to odczuł w 2001 i to od razu przywożąc autokary pełne stronników. Dla mnie sprawa była oczywista. Grzegorz Dolniak zorganizował sobie mandat parlamentarzysty. A człowiek, który mandat organizuje, a nie zdobywa, nie jest osobą do której można mieć zaufanie. Sam kilka tygodni wcześniej odmówiłem Tytusowi Żurkowi przeprowadzenia analogicznej operacji.

Wypadkowa tych dwóch przesłanek, legła u podstaw mojej decyzji o dystansie w stosunku do PO. Postanowiłem obrać kurs na PiS.

W PiS sytuacja kształtowała się podobnie. Sondaże wskazywały, że na terenie okręgu jest szansa na uzyskanie jednego mandatu poselskiego. Faworytem był wspomniany wcześniej – Czesław Żelichowski. Po raz pierwszy zetknąłem się z nim na terenie Jaworzna w 1991 w trakcie wyborów parlamentarnych. Byłem wówczas okręgowym szefem KLD, on pracował na rzecz kandydatury – Andrzeja Węglarza, ówczesnego prezydenta tego miasta. Ponoć operował w tamtejszym lokalnym środowisku. W 1998 został radnym wojewódzkim z listy AWS, obecnie zapragnął mandatu parlamentarnego. Postać mentalnie bardzo zbliżona do Grzegorza Dolniaka, bardziej biznesmen niż polityk. W jego zachowaniu nie wyczuwałem żadnych inklinacji prospołecznych, jedynie nagą ambicję połączoną z pazernością. Z mojego punktu widzenia nie była to postać ani interesująca, ani ciekawa.

Ponownie stanąłem w obliczu cytowanej już maksymy: jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. Mój życiorys jednoznacznie zaświadcza, że jestem jednostką homopoliticus. Chcąc funkcjonować na tym obszarze, musiałem się związać z jakimś nurtem, i to takim, przed którym rysowała się perspektywa. W grę wchodziły dwa: PO lub PiS. Po analizie – PO odrzuciłem, początkowo ze względu na osobę Zaguły, później brak jakiegokolwiek przełożenia na Dolniaka i jego zaplecze.

W owym okresie PiS był dla mnie formacją atrakcyjniejszą. Kandydat na posła – Czesław Żelichowski, podobnie jak Dolniak był postacią niezbyt atrakcyjną, ale bliższą. W dodatku miałem dobre relacje zarówno z Jerzym Polaczkiem, jak i jego prawą ręką – Adamem Grzesicą. A to gwarantowało znacznie lepszą pozycję wyjściową niż w PO. Będąc czterdziestoletnim mężczyzną, w swoim

postępowaniu nie mogłem kierować się iluzją, lecz realną oceną faktów. A one były jednoznaczne. PiS i Żelichowski albo polityczny niebyt.

Moja strategia była analogiczna jak w latach ubiegłych. Zbudować na odcinku lokalnym formację polityczną, w tym przypadku PiS. Uchwycić przełożenie parlamentarne i związane z tym środki finansowe, rozbudować zaplecze, stworzyć jak najszerszą koalicję i zagrać rok później o stawkę główną – wybory samorządowe.

Aby jednak plan powyższy mógł zostać urzeczywistniony należało w obrębie partii zająć dogodną pozycję. Pod tym pojęciem rozumiałem dwie wartości: ścisłą współpracę z przyszłym posłem oraz uzyskanie do wyłącznej dyspozycji 30% środków finansowych przeznaczonych na utrzymanie jego biura. W zamian za powyższe, deklarowałem zebranie wymaganej ilości podpisów i prowadzenie kampanii w skali całego okręgu. On miał dać z kolei środki. Tak widziałem oś naszego porozumienia.

Problem jednak leżał w tym, że on widział ją nieco inaczej. Nasze wzajemne relacje nie bardzo się układały. By ratować sytuację – Adam Grzesica stwierdził:

- Czyń co masz czynić, a ja biorę na siebie zawarcie kontraktu według przedłożonych przez ciebie parametrów.

Rozpocząłem w miastach leżących na terenie okręgu werbunek młodzieży niezbędnej w nadchodzącej kampanii wyborczej.

Jak wspomniałem – PiS składał się z dwóch środowisk. Partii właściwej związanej z braćmi Kaczyńskimi, której na Śląsku szefował – Jędrzej Jędrych oraz Przymierza Prawicy, któremu szefował – Jerzy Polaczek. Oba środowiska miały wystawić wspólną listę. Ponieważ Kaczyńscy byli wylansowanymi politykami i dysponentami szyldu, dlatego relacje między obu podmiotami nie były równoprawne. W rzeczywistości to ludzie Kaczyńskiego zajmowali pozycję uprzywilejowaną. Materializowało się to w następujących decyzjach: zajmowali pierwsze pozycje (mandatowe), obejmowali szefostwo kampanii w poszczególnych okręgach. Słabszy partner z reguły zajmował pozycje drugie i funkcje zastępcy szefa kampanii. W praktyce była to funkcja czysto dekoracyjna, bez kompetencji decyzyjnych. Stąd pierwotne założenia Polaczka i Żelichowskiego wzięły w łeb. Zgodnie krajowymi ustaleniami, pierwsza pozycja w okręgu sosnowieckim przypadła tym od Kaczyńskiego, a konkretnie Jędrzejowi Jędrychowi. Żelichowski musiał się zadowolić pozycją drugą. W poważny sposób osłabiało to jego szanse wyborcze. Nie ukrywam, że byłem zadowolony z takiego obrotu sprawy. Liczyłem na to, że Żelichowski będąc drugim na liście będzie bardziej podatny na współpracę i moje argumenty, niż gdyby był liderem. Wszak teraz moja osoba jest mu niezbędna, aby zwiększyć szanse wyboru.

Życie pokazało, że i w tym przypadku poważnie się myliłem. Żelichowski wobec moich żądań w dalszym ciągu był nieugięty. Nie mówił nie, ale nie mówił również tak. Grał na wyczekanie. Na liście wyborczej PiS w okręgu sosnowieckim naprawdę liczyły się tylko dwie osoby: Jędrzej Jędrych (lider) i Czesław Żelichowski. Pozostali spełniali wyłącznie rolę mięsa armatniego. Obaj musieli stoczyć między sobą rywalizację o ten jeden mandat, który był do uzyskania. Jędrych miał słabszą pozycję materialną i niekorzystną okoliczność, że nie był związany z tym terenem (mieszkaniec Katowic). Jego jedynym atutem była pozycja lidera, która zawsze daje ok. 30% głosów więcej od pozostałych. Żelichowski nie miał tego przywileju, ale był lepiej sytuowany materialnie i mógł w kampanię zaangażować poważniejsze od konkurenta środki, był również zakorzeniony, szczególnie na terenie Jaworzna.
W międzyczasie, by zwiększyć swoje możliwości, postanowił wykonać pewien manewr. Polegał on na wytworzeniu takiej sytuacji, aby to on był jedynym kandydatem z Jaworzna. Założył, że to miasto o bardziej prawicowym elektoracie od rdzennego Zagłębia, winno być jego naturalnym rezerwuarem głosów. Aby tego dokonać posunął się do matactwa, zgłaszając fikcyjnie dwie umocowane przez siebie osoby jako kontrkandydatów z tego miasta. Zadaniem tej operacji było uśpienie czujności rywala. Wyszedł z założenia, że jeżeli nie wystawi ludzi od siebie zależnych, to Jędrych znając znaczenie tego ośrodka uczyni to bez niego i wcale nie będą to osoby jemu podporządkowane. Jeżeli jednak uskuteczni pozorację to uśpi jego czujność. Jędrych zadowolony takim obrotem sprawy nie będzie więcej wnikał w zagadnienie. Po zarejestrowaniu listy w PKW wystawione przez niego marionetki pod przykrywką kwestii losowych złożą rezygnację z dalszego kandydowania. Jego rywal nie będzie już jednak posiadał pola manewru. Ordynacja, zabrania bowiem dopełniania wakujących miejsc po zarejestrowaniu listy. W ten sposób zrealizuje swój plan, aby być jedynym kandydatem z rodzinnego Jaworzna. I tak też się stało.

Mimo braku porozumienia z Żelichowskim, przystąpiłem do pierwszej fazy kampanii, zebrania podpisów pod listą poparcia. Do mnie należało zebranie 3 000 podpisów, drugie tyle mieli zebrać ludzie Jędrycha. Ordynacja wymagała bowiem 5000 podpisów popierających zgłoszenie kandydatów. Do wykonania powierzonego zadania całkowicie wystarczała młodzież zaciągnięta w Dąbrowie. Dla osób z pozostałych miast nie miałem zajęcia. Prowadzona akcja zakończyła się sukcesem rozumianym jako wykonanie narzuconego limitu.

Kiedy lista kandydatów została zarejestrowana w Okręgowej Komisji Wyborczej – Żelichowski – wycofał z niej dwie podstawione wcześniej przez siebie osoby z terenu Jaworzna. W efekcie powyższego stan kandydatów uległ uszczupleniu z 16 do 14. On dopiął swego, ale jak wykazała przyszłość, zapłacił za to cały komitet.

Działanie to motywowane wyłącznie egoizmem, spowodowało u mnie

reakcję ostrzegawczą. Zrozumiałem, że mam do czynienia z ambitnym, nie przebierającym w środkach graczem. Z człowiekiem, dla którego główną determinantą jest wyłącznie zysk, nawet kosztem ogółu. Ta konstatacja usztywniła moje postępowanie względem jego osoby. Zrozumiałem, że z taką jednostką nie można prowadzić miękkiej polityki. Stwierdziłem w sposób kategoryczny, jeżeli nie zostanie między nami zawarte pisemne porozumienie odnośnie przyszłych relacji, to w dalszej części kampanii nawet palcem nie kiwnę na rzecz jego elekcji.

Adam Grzesica, który wcześniej podjął się między nami mediacji, po kolejnej nieudanej próbie rozłożył ręce i stwierdził, że jest bezsilny. Za żadne skarby – Żelichowski nie chciał wyrazić zgody na filię biura w Dąbrowie i przeznaczenie na jego rzecz 30% środków przysługujących posłowi.
Bez takiej gwarancji, ja z kolei nie widziałem sensu dalszej pracy na rzecz jednostki kierującej się tak niskimi pobudkami. W świetle powyższego wycofałem się z dalszej pracy na jego rzecz.
Ponieważ byłem już na obrotach i miałem zorganizowanych w terenie ludzi, postanowiłem związać swoje losy z innym kandydatem – Jarosławem Czubem. W przeciwieństwie do poprzednika, przyjął moje warunki.

W kampanię zaangażowałem się wyłącznie w celu wyrobienia sobie kontaktów niezbędnych w przyszłorocznych wyborach samorządowych. Miałem świadomość, że aby mój zamysł mógł się spełnić, będzie mi potrzebny zaprzyjaźniony partner funkcjonujący pod szyldem Platformy Obywatelskiej. Na współpracę z Henrykiem Zagułą liczyć nie mogłem, dlatego byłem zainteresowany wsparciem innych osób, co do których mogłem liczyć na zrozumienie i życzliwe ułożenie przyszłych stosunków. W omawianym okresie w grę wchodziły dwie osoby: Tytus Żurek i Krzysztof Stachowicz. Z Tytusem relacje miałem poprawne, aczkolwiek nieco ochłodzone odmową dostarczenia na jego rzecz kontyngentu mięsa armatniego w prawyborach. Tytus ze względu na pewne cechy charakteru nie był jednostką zbyt przydatną – dużo mówił, mało robił, lubował się szczególnie w pozoracji. Stachowicz jako młodszy, wydawał mi się wówczas bardziej przydatnym. Liczyłem, że z racji młodego wieku nie jest jeszcze tak zmanierowany jak ten pierwszy. Wychwyciłem ponadto, że jemu się chciało działać, a nie tylko odcinać kupony od pracy innych. Znałem się, a nawet przyjaźniłem z jego ojcem – Zygmuntem Stachowiczem. Pomagałem mu jeszcze w czasach RS-u. Dzięki mnie został delegatem na zjazd regionalny i otrzymał dobry kontakt na strukturę młodzieżową. W początkach PO związał się z Krzysztofem Haładusem działaczem z Sosnowca. Po prawyborach w PO, kiedy było już wiadomo, że przyszłym posłem zostanie Grzegorz Dolniak, nakłoniłem go, aby podjął współpracę właśnie z nim. Poszedł za moją radą. Kilka dni później zjawił się u mnie z prośbą o pomoc. Był to gorący okres zbierania podpisów pod listami poparcia. Stwierdził, iż aby rzucić się w oczy Dolniakowi i wykazać predyspozycjami organizatorskimi musi zebrać znaczną

ilość podpisów, ale nie ma kim. Stąd jego prośba o wsparcie. Postanowiłem mu pomóc, przekazując do jego dyspozycji kilkadziesiąt osób zwerbowanych przeze mnie z terenu Będzina i Czeladzi. Tak zaczynała się przyszła kariera Krzysztofa Stachowicza.

Po ogłoszeniu wyników nastąpiła konsternacja. Zgodnie z przewidywaniami PO mandat uzyskała, i zgodnie z moimi prognozami uzyskał go Grzegorz Dolniak. PiS z kolei nie otrzymał mandatu. Przegrał rywalizację z Samoobroną. Bezpośrednią przyczyną, była wspomniana wyżej zagrywka przeprowadzona przez Czesława Żelichowskiego, związana z uszczupleniem liczby kandydatów. Żelichowski będąc drugim na liście, przeskoczył co prawda Jędrycha, ale liście zabrakło ok. 500 głosów, aby mandat uzyskać. Najsłabsza, nikomu nie znana osoba nawet jeżeli żadnej kampanii nie prowadziła, uzyskiwała ok. 400 głosów. Gdyby więc te dwie jego marionetki nie zostały wycofane – mandat zostałby uzyskany. Po raz kolejny życie wykazało, że nadmierna pazerność obraca się przeciwko temu, kto ją stosuje. Żelichowski wygrał to fakt, ale odniósł wyłącznie zwycięstwo pyrrusowe. Sam sobie strzelił samobójczą bramkę.
Nie mogąc pogodzić się z takim obrotem sprawy, jego wyobraźnia wymyśliła całkiem oryginalną paralelę. Stwierdził, że bezpośrednią przyczyną jego porażki była moja osoba, ponieważ odmówiłem pracy na jego rzecz, a w dodatku wspierałem potencjałem organizacyjnym jego konkurenta – Jarosława Czuba. Według jego wersji, miałem swojej młodzieży wydać polecenie, aby jego plakaty skutecznie zaklejała, co miało w myśl tej teorii zasadniczy wpływ na wynik wyborczy. Jest to oczywista nieprawda. Faktem jest, że poleciłem, aby częściowo go zaklejali, ale było to dyktowane nie chęcią utrącenia jego osoby, lecz wyłącznie wymogiem sytuacji. Wynajęta przez niego ekipa, całkowicie oklejała jego podobiznami wszelkie tablice i słupy ogłoszeniowe, wychodząc z założenia, że nie są to obiekty publiczne, lecz wyłącznie ich. Dlatego moi, chcąc nakleić swojego musieli uzyskać nieco przestrzeni. A tę można było zdobyć wyłącznie zaklejając częściowo jego. Sam wytworzył taką sytuację. W dodatku powyższe nie miało żadnego wpływu na wynik. Wszak pracowałem na rzecz innego kandydata z tej samej listy. Dla niego jednak był to element o tyle istotny, że pozwalał jego świadomości wytłumaczyć przyczyny swojego fiaska i zrzucić winę na innego. Stało się to bezpośrednią przyczyną naszego późniejszego trwałego antagonizmu.

Rozdział XXXII
WEJŚCIE NA RING

Wkrótce po wyborach parlamentarnych przystąpiłem do budowy zrębów komitetu do przyszłorocznych wyborów lokalnych. Aby mieć szansę na władzę wykonawczą, analogicznie do lat ubiegłych postanowiłem zawiązać jak najszerszą koalicję. Trzonem miało być porozumienie na osi PO-PiS-UW-RS. Występowałem w roli rzecznika PiS.

Rozmowy z UW i RS od samego początku wyglądały obiecująco. UW reprezentowała – Krystyna Stępień, RS – Zbigniew Wróblewski. Stępień twierdziła, że popiera moją inicjatywę, ale w najbliższym czasie odbędą się w jej partii wybory i ona nie będzie w nich kandydować. Mogę jednak liczyć na jej wsparcie, gdyby zaistniały jakiekolwiek problemy z nowym zarządem. Wróblewski z kolei sam nie wiedział, co ma uczynić. Formalnie był przewodniczącym partii, która już nie liczyła się na scenie politycznej. Twierdził, że rozpatruje możliwość przejścia do PO, która wówczas była czarnym koniem na prawicy. Odpowiedziałem mu, że będąc przewodniczącym, nie może zostawić ludzi, którzy kilka miesięcy wcześniej na jego wyraźne żądanie udzielili mu zaufania. To, że RS jest politycznym bankrutem to fakt, ale przegrupowanie musi przeprowadzić w sposób oficjalny i zorganizowany. Nie sam, lecz wraz z innymi chętnymi. Jest przewodniczącym, a to zobowiązuje. Wszak kapitan ostatni opuszcza tonący okręt. Nie posłuchał mnie. Kilka dni później dowiedziałem się, że przeszedł już do PO. Zachował się jak klasyczny dezerter, ratując wyłącznie własna skórę, pozostawił własnych ludzi na pastwę losu. Podręcznikowy przykład skrajnego egoisty.

Kilka słów o tym panu. Poznałem go w 1997, kiedy był aktywistą lokalnej inicjatywy Związku Samoobrony Mieszkańców organizującym referendum w sprawie odwołania władz miasta. Po przegranej powyższy twór zaczął umierać śmiercią naturalną, ponieważ został utworzony wyłącznie do tego jednego zadania. Wróblewski dokonał w tej organizacji rozłamu, wchodząc w konflikt z dotychczasowymi liderami: Kazimierzem Jasionkiem i Ireneuszem Gładyszem. Poszło za nim kilka osób i utworzyli Samoobronę Bis, oczywiście z Wróblewskim na czele. Zdając sobie sprawę z własnej słabości, szukał politycznego wsparcia, nawiązał kontakt z AWS.

Będąc przedstawicielem prawicy, poszukiwałem wówczas kontaktów na to gremium, ale Gładszysz i Jasionek odmówili współpracy, argumentując powyższe lewicowymi inklinacjami, tym bardziej Wróblewski ze swoimi był dla mnie atrakcyjny. Przygarnęliśmy go. To ja podsunąłem mu myśl, jak ma swoim wytłumaczyć konieczność rozłamu. Chęcią przystąpienia do AWS. Łamiąc opór duetu Kurczek – Dąbrowski, doprowadziłem do jego upodmiotowienia i przyznania pakietu udziałów. Rzucał się w oczy jako niesamowity gaduła. Znał

każde zagadnienie, mówił dużo i na ogół głupio, ale zawsze głośno. Stwarzał wrażenie, jakby wszystkim chciał zaimponować swoimi nie do końca przemyślanymi wynurzeniami. W trakcie opisywanego wcześniej posiedzenia Rady AWS, podczas którego ustalana była kolejność na liście wyborczej, w sposób bezceremonialny sprzedał wszystkich swoich w zamian za pierwszą pozycję dla siebie. Kiedy się o tym dowiedzieli, zerwali z nim stosunki. Mimo iż został politycznym outsaiderem, uzyskał jednak mandat radnego. Mając spalone mosty, przykleił się do RS i tam bezceremonialnie parł do objęcia funkcji przewodniczącego. Jak sam twierdził, było mu to potrzebne ze względów prestiżowych. Kiedy w końcu dopiął swego, ich również zdradził, rejterując samodzielnie do Platformy Obywatelskiej.

Jest to jedyny znany mi przypadek, aby przewodniczący partii oficjalnie oświadczył, iż musi być liderem na liście wyborczej, natomiast los pozostałych, których reprezentuje, nie ma dla niego znaczenia. Dla przeciwwagi piszący te słowa zażądał dla siebie ostatniej pozycji, aby nikt z jego zaplecza nie mógł postawić mu zarzutu, że kogokolwiek przehandlował w zamian za siebie. Nie jest więc prawdą, że wszyscy tak postępują.

Czarę goryczy przepełnił jego ostatni wybryk – rejterada z RS. Najpierw gotów był każdego oszkalować, aby tylko zostać przewodniczącym, a kiedy w końcu został wybrany, przy pierwszej nadarzającej się okazji wszystkich wystrychnął na dudka, samodzielnie bez uzgodnień z kimkolwiek rejterując do PO, ponieważ ta akurat wtedy zwyżkowała. Tym samym po raz kolejny dał przykład, że jest miernotą, niegodną piastowania jakiejkolwiek funkcji przedstawicielskiej.

Kiedy jakiś czas później odwiedził mnie w celach wyciągnięcia ode mnie informacji, potrzebnych mu w dalszym intryganctwie, wyprowadzony z równowagi jego wynurzeniami, w nerwach wykrzyczałem mu prosto w nos:

- Jesteś chujem, chujem i jeszcze raz chujem!

I nie cofam tych słów mimo tak znaczącego upływu czasu. Współczuję tylko tym naiwniakom, którzy oddali na niego swój głos. Będąc radnym, przez dwie kadencje pobierał pensję z publicznej kasy, zatrudniając przy okazji również za publiczny grosz swoich familiantów.

Po rejteradzie Wróblewskiego, przewodnictwo w RS objęła dotychczasowa jego zastępczyni – Jadwiga Szewczyk. Osoba ta wywodząca się z Solidarności Huty Katowice przejawiała pewne inklinacje prospołeczne, dlatego kontakt z nią miałem stosunkowo dobry. Mimo iż była mieszkanką Sławkowa i problematyka dąbrowska była jej odległą, relacje, jakie między nami się wytworzyły były poprawne. Rozumiała potrzebę utworzenia szerokiej koalicji i brała czynny udział w jej zawiązywaniu. Nie trwało to jednak długo, ponieważ RS będąc partią związkową zgodnie z przewidywaniami umarł śmiercią naturalną i ostatecznie zniknął w otchłani dziejów.

W tym okresie z mojej inicjatywy doszło do pierwszych spotkań

koalicyjnych. W nieformalny sposób występowałem jako rzecznik PiS. Miałem poparcie RS i Unii Wolności. Aby operacja mogła zakończyć się powodzeniem, potrzebne było pozyskanie do tej koncepcji – Platformy Obywatelskiej. I tu od początku zaczęły się schody. PO, podobnie jak PiS była w fazie organizacyjnej. Formalnie jej pełnomocnikiem na teren miasta był Stanisław Sokoliński. Faktycznym jednak przywódcą i politycznym mentorem – Henryk Zaguła. To on w tym środowisku był alfą i omegą. Po sromotnej porażce w wewnętrznych prawyborach, która w ostateczny sposób zamknęła mu drogę do parlamentu, postanowił spróbować swych sił w ubieganiu się na urząd prezydenta miasta.

Nowy parlament zmienił wreszcie ordynację wyborczą, wprowadzając wybory bezpośrednie na tę funkcję, znosząc dotychczasowe pośrednie – dokonywane przez radę miejską. Objęcie tego stanowiska było dla niego jedyną możliwością dalszego funkcjonowania w obrębie polityki.

Taktyka jaką od pierwszego spotkania zaprezentował Sokoliński, była wręcz absurdalna i nijak się miała do panujących realiów. Zasadzała się na dwóch przesłankach. PO potęgą jest i basta. Jest w stanie samodzielnie wygrać wybory samorządowe i zainstalować swojego kandydata na urzędzie prezydenta miasta. Owym kandydatem, a właściwie już prezydentem – jest oczywiście – Henryk Zaguła. W związku z powyższym nie widzi potrzeby układania się z innymi partnerami i pójdzie do wyborów samodzielnie. Kwestionował w dodatku moje umocowanie do reprezentowania PiS, ponieważ w świetle posiadanych przez niego informacji, pełnomocnikiem ma zostać inna osoba. Biorąc pod uwagę powyższe, dalsze rozmowy w tym przedmiocie uważa za bezzasadne.

Moja riposta była natychmiastowa. Stwierdziłem, że nie rozumiem na jakich przesłankach opiera swoje przekonanie o hegemonii politycznej PO. Wszak sondaże i dotychczasowa praktyka jednoznacznie wskazują, że taką funkcję spełnia na naszym terenie raczej SLD. SLD ma 50% poparcia, natomiast PO może co najwyżej liczyć na 15%. Niechaj spróbuje to przeliczyć na mandaty. Co się zaś tyczy Henryka Zaguły w kontekście przyszłego prezydenta, to pomijając jego dotychczasowe dokonania i przewiny, nie widzę takiej możliwości, aby bez szerokiej koalicji miał szansę na elekcję. W ostatnim tylko punkcie ma rację, ale nijak nie mogę zrozumieć politycznego sensu jego stanowiska. Prawdą jest, że nie jestem pełnomocnikiem PiS, ale przecież za takowego się nie podaję. Występuję tutaj wyłącznie w charakterze jego rzecznika. Upoważnia mnie do tego fakt, że do chwili obecnej jestem jedynym przedstawicielem tej formacji na terenie miasta. Kto w przyszłości zostanie pełnomocnikiem, tego oczywiście nie wiem, gdyż decyzja jeszcze nie zapadła. Nic zatem nie stoi na przeszkodzie, aby obecnie prowadził rozmowy ze mną, natomiast kiedy będzie ustanowiony oficjalny pełnomocnik, to on przejmie schedę po mnie. Gdybym poszedł tokiem jego rozumowania, to powinienem

odmówić dalszych rozmów z jego osobą, ponieważ w przedmiocie PO nie on jest politycznym decydentem, lecz wyłącznie Zaguła. Wszak rozmowy prowadzi się z osobą decyzyjną, a nie z jej marionetką. Ja w przeciwieństwie do niego, nie dość, że z nim rozmawiam, to jeszcze sam wystąpiłem z taką propozycją. Niech grzecznie weźmie ten fakt pod uwagę. Przecież na obecnym etapie nie ustalamy niczego wiążącego. Właściwie to wytwarzamy dopiero klimat pod przyszłe rokowania. Chyba ma świadomość, że jego postawa tego klimatu nie ociepla i nie jest dobrym prognostykiem na przyszłość. Apeluję do niego o weryfikację dotychczasowego stanowiska, aby umożliwić w przyszłości jakąkolwiek możliwość prowadzenia rozmów. Chyba ma świadomość, że to, co do tej pory zaprezentował, taką możliwość zamyka w sposób definitywny, przynajmniej jeżeli chodzi o jego osobę w rozumieniu odpowiedzialnego reprezentanta partii.
Partnerzy z RS i UW otwarcie opowiedzieli się po mojej stronie, co postawiło adwersarza w niezbyt zręcznej sytuacji. Lekko się zmieszał, gdyż nikt go nie poparł, ale stanowiska nie zmienił.

- Na dzień dzisiejszy, taka jest nasza polityka! – zakończył.

Koniec rozmowy.

Kiedy wyszedł zapanowała konsternacja. Patrzyliśmy po sobie zmieszani. Pierwsza ciszę przerwała – Krystyna Stępień.

- Darek, czy nie jesteś w stanie załatwić tego pełnomocnictwa dla siebie?

- Nawet gdyby, to nie ma to znaczenia. Przecież słyszałaś jego tyradę o hegemonii politycznej PO – odparłem.

- Mówił, co mu kazano! Nie przywiązuj do tego wagi. Najważniejsze, abyś miał pełnomocnictwo. To ich postawi pod ścianą!

Odpowiedziałem, że przemyślę zagadnienie.

Odnośnie osoby Stanisława Sokolińskiego czytelnikowi należy się kilka słów wyjaśnienia. Był podrzędnym pracownikiem zatrudnionym w Hucie Katowice. Do 1998 nie funkcjonował w życiu publicznym. Nie przejawiał zainteresowania w 1980 ani w 1989. Pracował wyłącznie zawodowo, w wolnych chwilach udzielając się jako katolik świecki w kościele przy ulicy Wojska Polskiego. Jego aktywność polegała na okresowym odczytywaniu fragmentów pisma świętego w zastępstwie leniwego księdza. Niektórzy księża z wygody, aby mniej pracować – wykorzystują takich wolontariuszy. Ten właśnie czynnik spowodował, że wśród mieszkańców Redenu był osobą stosunkowo znaną i identyfikowalną. W 1998 – Rajmund Kubisa (ZChN), prowadząc nabór na listy wyborcze w ramach AWS nakłonił go do kandydowania. Dzięki elektoratowi kościelnemu uzyskał na liście największe poparcie i mandat radnego.
Ponieważ władzę w mieście przejęło SLD, do dobrego obyczaju należało, aby kierownictwo komisji rewizyjnej oddać w ręce opozycji. Tak został jej przewodniczącym. Na tej istotnej funkcji wykazał się absolutnym dyletanctwem i służalczością. Kierowana przez niego, najistotniejsza komisja w radzie niczym

się nie wykazała. On sam cechował się przede wszystkim oportunizmem. Służył wiernie kolejnym prezydentom: Markowi Dulowi, a później Markowi Lipczykowi. Dbając przede wszystkim o to, aby nikomu z lokalnych prominentów nie nadepnąć przypadkiem na odcisk. Chociaż piastowana przez niego funkcja wymagała dokładnie odmiennego zachowania. Ponadto cechowała go stosunkowo miła aparycja i układność w relacjach z innymi. I właśnie te cechy legły u podstaw decyzji Henryka Zaguły. Jego dotychczasowa postawa była wystarczającą rękojmią, że w jego rękach będzie wyłącznie marionetką, niezdolną do samodzielnego myślenia. A ponieważ dyspozycyjność jest podstawowym wyznacznikiem awansu w polityce, dlatego właśnie jego uczynił pełnomocnikiem PO na teren Dąbrowy Górniczej.

Jedno wydawało się oczywiste. Stępniowa doskonale wiedziała, co mówi. Poglądy, które nam wyłożył nie były jego, lecz jego mentora. On przecież zawsze był sympatyczną, to fakt, ale jednak marionetką. Istotna również była druga okoliczność. Stawało się jasne, że w najbliższym czasie zarówno RS, jak i UW, nawet jeżeli nie rozpadowi, to przynajmniej ulegną marginalizacji. Przyszłość na prawicy należała do dwóch nowo powstających partii: Platformy Obywatelskiej i Prawa i Sprawiedliwości.

Zaguła już kontrolował PO. Jeżeli PiS znajdzie się w rękach dyletanta, to uzyska polityczną dominację. Biorąc pod uwagę dotychczasowe jego dokonania i aktualny punkt widzenia wyłożony przez jego marionetkę, wróży nam to polityczną katastrofę. Jedyną przeciwwagą dla jego supremacji może być wyłącznie moja osoba. Abym jednak mógł zbudować tę skuteczną przeciwwagę, muszę dysponować oficjalnym pełnomocnictwem do reprezentowania Prawa i Sprawiedliwości. Tylko w takim przypadku będę dla niego pełnoprawnym partnerem do zawierania układów.

Swoim stwierdzeniem – Krystyna Stępień dotknęła sedna sprawy.

Istotnym był jeszcze jeden czynnik. Sokoliński bardzo czytelnie stwierdził, że PO nie zamierza się układać z polityczną drobnicą (UW, RS). W przypadku PiS – zakwestionował wyłącznie moją osobę, jako jego reprezentanta. Tym samym dał do zrozumienia, że Zaguła prowadzi z kimś z PiS-u zakulisowe pertraktacje odnośnie tej nominacji. Użył dokładnie określenia:

- W świetle posiadanej przeze mnie wiedzy, pełnomocnikiem będzie inna niż ty osoba.

Skąd Sokoliński mógł posiadać taką wiedzę? Sam nie mógł jej uzyskać, ponieważ nie posiadał żadnego przełożenia na zewnątrz. Jeżeli przyjąć, że wygłaszał myśli Zaguły, to pytanie jest następujące. Z kim Zaguła mógł takie pertraktacje prowadzić? Tu odpowiedź była stosunkowo prosta. Tylko i wyłącznie z Czesławem Żelichowskim. Mentalnie byli do siebie zbliżeni, obaj znali się z sejmiku śląskiego i obaj z różnych co prawda pobudek, ale jednak

kierowali się do mnie antagonizmem.
Zrozumiałem, że zawisły nade mną ciemne chmury. Należało natychmiast przeciwdziałać. Natrafienie na ślad układów Zaguły z Żelichowskim, było bezpośrednią przyczyną wykonania przeze mnie manewru, który w terminologii militarnej określa się mianem zwrotu zaczepnego. Jedynym atutem jakim dysponowałem była znajomość wewnątrzpartyjnych niuansów.

Udałem się do szefa PiS na województwo śląskie – Jędrzeja Jędrycha. Poznałem go w trakcie kampanii parlamentarnej 2001. Kandydował z okręgu sosnowieckiego, prowadząc rywalizację z Żelichowskim. Wyszedłem z założenia, że sam fakt rywalizacji, jak również nieczystej gry ze strony tego drugiego, winien spowodować sprzyjający dla mnie klimat. Po drugie, w trakcie kampanii rzuciłem się w oczy jako jednostka samodzielna o pewnych predyspozycjach organizacyjnych. I nie myliłem się.

Rozmowa przebiegała w życzliwej atmosferze. Jędrych stwierdził, że właśnie zastanawia się kogo uczynić pełnomocnikiem w Dąbrowie Górniczej. W grę wchodzą trzy osoby, ale nie może się zdecydować na kogo postawić. Do mojej osoby jest ustosunkowany przychylnie, ale musi to skonsultować z innymi członkami zarządu wojewódzkiego z terenu Zagłębia. Jemu osobiście odpowiada człowiek samodzielny, którego nie trzeba prowadzić za rękę. Ja ze swej strony podniosłem kwestię, że tylko moja osoba jest w stanie być adekwatną przeciwwagą dla hegemonii Zaguły na terenie tego miasta. Każdy inny zostanie przez niego zdominowany.

Zapewnił mnie, że mogę liczyć na jego poparcie i dotrzymał słowa. Kilkanaście dni później, otrzymałem z jego rąk podpisane przez Jarosława Kaczyńskiego pełnomocnictwo na powiat dąbrowski.

Będąc już oficjalnym przedstawicielem PiS, musiałem ułożyć strategię przyszłej rozgrywki w kontekście wyborów samorządowych. Opierała się ona na następujących przesłankach. Niekwestionowanym hegemonem na lokalnej scenie było – SLD – mogące liczyć na niemal pięćdziesięcioprocentowe poparcie. Dlatego dla przeciwwagi należało utworzyć jak najszerszą koalicję. Jej trzonem winien być sojusz PO – PiS, plus wszystko co zechce się pod niego podczepić. Miałem pełną świadomość, że nawet taka koalicja najprawdopodobniej nie osiągnie w radzie wymaganej większości, przegrywając nieznacznie rywalizację. Problem jednak leżał w fakcie, że realny przedmiot władzy nie jest ulokowany we władzy uchwałodawczej, lecz wykonawczej. A tutaj sytuacja wyglądała stosunkowo ciekawie. Kandydatem SLD na urząd prezydenta w wyborach bezpośrednich miał być dotychczasowy prezydent – Marek Lipczyk. Osoba niezwykle kontrowersyjna, mająca w szeregach swojego stronnictwa znaczną ilość wrogów. Twierdzono, że jest złodziejem, że wykorzystuje dotychczasową funkcje dla osiągania partykularnych korzyści. Twierdzono, że stworzył układy mafijne, a Dąbrowa jest jego prywatnym

folwarkiem. Nie jest istotne jak było w rzeczywistości. Istotnym był fakt, że znaczna część członków SLD (kilkaset osób) tak twierdziła. Osoby te uruchomiły całkiem sprawną propagandę szeptaną, w efekcie której większość wyborców taki pogląd wyznawała jako swój. Wewnątrz SLD antagonizm na tym tle był tak silny, że wiele osób powiązanych politycznie z lewicą twierdziło, że odda swój głos na każdego, byle tylko wyrzucić tego złodzieja ze stołka.

Dawało mi to asumpt do założenia, że Lipczyk ze względu wysoki odsetek elektoratu negatywnego może przegrać wybory bezpośrednie. A zatem uzasadnionym jest domniemanie, że mimo zdecydowanej hegemonii politycznej SLD, realna władza w mieście przypadnie temu, kto wraz nim przejdzie do drugiej tury wyborów. A kto będzie w stanie nawiązać z nim równorzędny pojedynek? Jedynie kandydat wystawiony przez naszą, szeroką koalicję.

Po raz pierwszy w życiu splot różnych uwarunkowań spowodował, że mogłem na zasadach partnerstwa uczestniczyć w przyszłej grze o władzę, i to władzę wykonawczą, czyli realną.

Cztery lata wcześniej w AWS mogłem być wyłącznie strategicznym teoretykiem, ponieważ w moich rękach nie spoczywała możliwość decyzyjna. Obecnie miałem w rękach 50% aktywów decyzyjnych. Dysponowałem PiS-em o porównywalnym do PO elektoracie i byłem partnerem, z którym każdy poważny kontrkandydat Lipczyka, chcąc dojść do władzy, musiał się układać. I miałem tego świadomość. Tym razem postanowiłem zagrać, i to do słuchu. To miała być moja polityczna maestria.

Któż zatem miał być tym szczęśliwym kontrkandydatem Lipczyka? Miałem pełną świadomość, iż aby układ z PO mógł zostać zawarty, muszę zaakceptować Henryka Zagułę jako kandydata na prezydenta. Bez spełnienia tego wymogu o sojuszu nie mogło być mowy. Decyzja nie należała do prostych. Z Zagułą miałem przecież stare porachunki. W mojej ocenie był jednostką prymitywną. Występował u niego całkowity zanik myślenia strategicznego. W swoich działaniach kierował się wyłącznie ambicjonalnymi odruchami. W 1990, będąc komunistą, przeszedł na stronę zwycięskiej Solidarności, później z gorliwością neofity eliminował z urzędu tych komunistów, którzy mieli więcej od niego godności. Funkcję prezydenta objął w drodze oszustwa wyborczego, tylko po to, aby później kneblować usta opozycji. W rządzeniu, miast na inwencji i intelekcie opierał się wyłącznie na przekupionych publicznym groszem marionetkach. W konsekwencji w latach 1992-1994 stworzył oligarchiczny system rządów. System, który mimo pełni władzy niczego konstruktywnego nie osiągnął. Nie ściągnął do miasta żadnego inwestora. Nie stworzył żadnych mechanizmów rozwojowych. Jego działaniem kierowały wyłącznie względy partykularno-egoistyczne. Ponadto, cechowało go chorobliwe stadium własnej wyimaginowanej wielkości. W 1996 ze względu na tę przypadłość, nieświadom istniejących realiów sam odwołał siebie z funkcji prezydenta. Kiedy w końcu sobie ten fakt uświadomił, chcąc ratować własną

skórę, postanowił sprzedać swojego najwierniejszego współpracownika – Lesława Klimczyka. Ta sama przypadłość spowodowała, że wewnątrz powstającej PO, stworzył sobie poza Dąbrową samych wrogów. W efekcie tego, mając zdecydowaną przewagę w fazie początkowej został znokautowany w wewnętrznych prawyborach. Grzegorz Dolniak, werbując całe rodziny, by zdobyć upragnione bagnety – oszukiwał. Ale przecież Zaguła czynił dokładnie to samo. Rozgrywka między nimi to nie był pojedynek dobrego ze złym, tylko podjazdy dwóch jednostek pazernych na władzę i zaszczyty.

Ja w polityce wielokrotnie przegrywałem, ale nigdy nie przegrałem żadnego starcia, jeżeli dysponowałem siłą porównywalną z moim przeciwnikiem. On w swojej głupocie potrafił osiągać rzeczy niemożliwe. Przegrywać wygrane bitwy. A wszystko z powodu trywialnej, chorej ambicji i miernot, jakimi zawsze się otaczał. Miernota była jego podstawowym zapleczem, a to dlatego, że tylko na jej tle czuł się panem sytuacji. Nie znał podstawowej prawdy, że miernota może być dworzaninem, może prawić tanie komplementy, łechtać trywialne ego, ale miernota nie jest jednostką twórczą. Miernotą nikt nigdy niczego nie dokonał, prócz blamażu i kompromitacji.

I tego człowieka, będącego zaprzeczeniem wyznawanych przeze mnie wartości miałem uznać za swojego, poprzeć jego kandydaturę w wyborach i pracować na rzecz jego elekcji, ponosząc później polityczną odpowiedzialność za jego radosną twórczość. W jaki sposób będzie sprawował swój urząd, wiedziałem. Wszak miałem już okazję naocznie się temu przypatrywać. Na samą myśl powyższego dreszcz mnie przeszywał. Ale mus to mus. Doświadczenie dyktowało nieubłaganą logikę. Bez sojuszu z PO nawiązanie politycznej rywalizacji z SLD było niemożliwe. Aby z kolei do tego sojuszu mogło dojść, potrzebny był fakt uznania Zaguły.

Wybór był jednoznaczny: uznanie Zaguły lub rezygnacja z wyborów. Ponieważ lubiłem trudne wyzwania, postanowiłem i tym razem je podjąć. Poprzez uzyskanie szefostwa PiS podniosłem własne aktywa, a wszystko po to, by przystąpić z nim do równoprawnych pertraktacji. Wierzyłem, że poprzez dobrze zawartą umowę koalicyjną będę w stanie kontrolować jego przyszłe decyzje, eliminując z nich zjawiska niepożądane. Miało to być klasyczne małżeństwo z rozsądku. On potrzebny był mnie, ja z kolei jemu. Układ sił był jednoznaczny: on beze mnie nie mógł zostać prezydentem, ja z kolei bez niego mogłem dalej być wyłącznie – nikim.

Zarys strategii był następujący. Tworzymy jak najszerszą koalicję. Jej trzonem będzie PO-PiS, plus wszystko, co zechce się przyłączyć. Idziemy jak najszerzej. Tworzymy jeden komitet wyborczy i wystawiamy wspólną listę kandydatów na radnych. Komitet wystawia jednego kandydata na prezydenta w osobie Henryka Zaguły i pracuje solidarnie na rzecz jego elekcji. Spoiwem układu jest pisemna umowa koalicyjna, precyzująca w przyszłości personalne

szczegóły przyszłej władzy wykonawczej. Aby Zaguła nie mógł w przyszłości być ślepym dyktatorem, musiałem zdobyć realny wpływ na istotne decyzje w łonie przyszłego zarządu miasta. Chodziło o wytworzenie takiej sytuacji, aby bez akceptacji z mojej strony nie był w stanie podjąć żadnej decyzji o znaczeniu strategicznym. Postanowiłem dla siebie zażądać trzech stanowisk w zarządzie miasta: zastępcy prezydenta, skarbnika i sekretarza, z konkretnymi wskazaniami personalnymi. Zastępcą prezydenta miała być moja osoba, natomiast na dwie pozostałe funkcje miałem przygotowane kandydatury, spełniające wszelkie wymogi formalne. Wiedziałem jedno. Jeżeli nie zabezpieczę się odpowiednim traktatem, to w przyszłości, kiedy już osiągnie upragniony fotel, pozbędzie się mnie niemal natychmiast pod byle jakim pretekstem. Aby z kolei nie złamał zawartego porozumienia, oprócz nas miało być ono parafowane przez szefostwo obu partii szczebla wojewódzkiego i podane do wiadomości wszystkich zainteresowanych. Dopiero takie zabezpieczenie wydawało mi się wystarczające.

Używając terminologii sportowej – w początkach 2002, sytuacja w Dąbrowie wyglądała następująco. Na polityczny ring wszedł Frączek i ujrzał w przeciwległych narożnikach rozgrzewających się do walki: Zagułę i Lipczyka. Frączek zaproponował Zagule wspólną walkę z Lipczykiem. Szybko się jednak okazało, że aby do tego doszło, wcześniej sami między sobą muszą stoczyć walkę sparingową. Celem owego sparingu miało być wypracowanie strategii pokonania wspólnego przeciwnika i ustalenie form sprawowania władzy w przyszłości.

Niegdyś antykomunista Churchill był zmuszony zawrzeć pakt z komunistą Stalinem, aby wspólnie pokonać nazistę Hitlera. Musieli ustalić kwestię dostaw uzbrojenia, utworzenia drugiego frontu, Teheran i Jałtę. W dodatku obaj wiedzieli, że po zwycięskiej wojnie będzie decydował wyłącznie układ sił obu dotychczasowych sprzymierzeńców. A w tle, majaczyła przyszłość Europy. Jeżeli Churchill popełni błąd, to po klęsce Hitlera cała Europa wpadnie w bezwzględne łapy Stalina.

Jeden fakt był bezsporny. Wszedłem na polityczny ring.

Rozdział XXXIII
KAŻDY SWOJE

W międzyczasie weszły nowe okoliczności. RS umarł śmiercią naturalną. Po klęsce w wyborach parlamentarnych, partia uległa samoczynnemu zanikowi. Ubył mi jeden z sojuszników.
Co się zaś tyczy Unii Wolności, to zgodnie z zapowiedzią Krystyny Stępień odbyły się w niej wybory. Nowym przewodniczącym został – Artur Borowicz. Natychmiast nawiązałem z nim kontakt. Przedłożyłem zarys strategii i zaproponowałem współpracę. Przystał.

Poszukiwałem również kontaktu z tworzącą się Ligę Polskich Rodzin. Miałem z tym nieco trudności, ponieważ jak to wśród katolików bywa, toczyły się w tym środowisku zażarte podjazdy, o to do kogo ta partia ma należeć. W związku z tym zamieszaniem została mi wskazana niewłaściwa osoba.

Czas poświęcałem na rozwiązywanie dwóch zagadnień. Prowadzenie rozmów koalicyjnych i budowę własnej partii, czyli PiS.

Tymczasem na odcinku z PO panował kompletny zastój. Ani Sokoliński, ani Zaguła nie chcieli ze mną rozmawiać. Wywiad doniósł, że Zaguła publicznie się odgrażał, że dopóki Frączek będzie szefem PiS-u, to o żadnej koalicji nie może być mowy. Zamiast tego na mój telefon komórkowy zacząłem otrzymywać przedziwne esemesy. Były one nadawane via internet o następującej treści:

- Fraczek ty dupku
- Duuuupek
- Fraczek zostaniesz bez raczek
- Dupkiem byłes jestes i bedziesz naucz sie tego

Istotnym był fakt, że otrzymywałem je zawsze po jakimś wydarzeniu politycznym. Pojawiły się zaraz po uzyskaniu przeze mnie pełnomocnictwa. Początkowo nosiły cechy wyłącznie treści obraźliwych, co uniemożliwiało ustalenie nadawcy. Jeden fakt pozostawał bezsporny – miały ścisły związek z moją działalnością, o czym świadczyły zarówno okoliczności, jak i czas ich nadawania. Dopiero ostatni, noszący cechy prymitywnego mentorstwa zdemaskował nadawcę. Był nim – Henryk Zaguła. Było to jednak wyłącznie moje przypuszczenie oparte na dedukcji i znajomości jego psychiki. Należało uzyskać potwierdzenie. W tym celu sporządziłem notatkę, opisującą powyższy proceder. W piśmie tym scharakteryzowałem pokrótce sprawcę, jednak nie wymieniłem jego nazwiska i rozesłałem do dwudziestu znanych mi członków PO. Po tym fakcie, powyższe esemesy jak nagle się pojawiły, tak nagle ustały. Było to potwierdzeniem, że mój typ sprawcy był strzałem w dziesiątkę. Wiedząc, że został zdemaskowany, przerwał niecny proceder.

Powyższy fakt w sposób niezbity dowodzi zarówno jego konstrukcji psychicznej, jak i poziomu intelektualnego. W rozgrywce ze mną sięgnął po

metody godne dziesięcioletniego Jasia obrażonego na młodszego kolegę, z którym przegrał rywalizację o względy tej samej panienki. Nie mogąc go uderzyć, postanowił z ukrycia pluć mu do zupy. Poza kwestią natury estetycznej znacznie istotniejszy był jednak wątek polityczny. Polegał on na wypadkowej trzech ujawnionych elementów. Pierwszy to kategoryczne stwierdzenie Sokolińskiego, że w świetle posiadanej wiedzy pełnomocnikiem PiS-u ma być osoba inna niż moja, drugi to demonstracyjny bojkot mojej osoby, trzeci z kolei to zapowiedź, że już niedługo zostanę wyeliminowany z politycznej roli (Fraczek zostaniesz bez raczek). A kiedy to okazało się niemożliwe, dziesięcioletni Jasiu napisał (dupkiem byles jestes i bedziesz naucz się tego), co należy czytać: konfrontację ze mną i tak przegrasz, musisz uznać moją wyższość, o partnerstwie możesz zapomnieć. Postanowiłem uruchomić wywiad nakierowany na PO. Na następny dzień uzyskałem odpowiedź. Sokoliński, prowadzi rozmowy z pewną panienką nazwiskiem Aurelia Rożdżyńska. Została ona wystawiona przez Żelichowskiego i przedstawiona jako właściwy pełnomocnik PiS. Ja jestem i będę dalej bojkotowany. Wszystko złożyło się w logiczną całość. Zaguła mając świadomość, że pertraktacje z Frączkiem nie będą należały to łatwych i że jest mało prawdopodobne, aby mógł go sobie owinąć wokół palca, zwrócił się o pomoc do swojego kolegi – Czesława. Ten, parając do mnie antagonizmem, postanowił mu pomóc. Wykopał jakąś dziewczynę, która ponoć pracowała jako rzut administracyjny sejmiku śląskiego i przedstawił jako właściwego pełnomocnika, mnie z kolei – jako warchoła i oszusta. O jednym elemencie panowie intryganci jednak zapomnieli. W omawianym okresie – Czesław Żelichowski nie miał ani prawa, ani realnych możliwości zrealizowania przedłożonego zamysłu. Postanowiłem przerwać tę farsę. Ponownie napisałem list do członków PO, wyjaśniłem w nim sytuację i załączyłem ksero pełnomocnictwa wystawionego przez Kaczyńskiego.

To ostatecznie zadało kłam wszelkim intrygom i zakończyło pierwszy etap naszych zmagań. Potencjalny sojusznik na zasadzie nolens volens uznał w końcu oczywisty fakt. Chcąc zrobić koalicję, musi się ze mną układać.

Dlaczego doszło do tych podjazdów? Sprowokował je wyłącznie Henryk Zaguła. Tak jak ja znałem jego, tak i on znał mnie. Obaj wiedzieliśmy, że koalicja PO i PiS jest niezbędna, celem zwiększenia szans wyborczych. Problem jednak leżał w tym, że Frączek miał dwudziestoletnie doświadczenie polityczne i znał zarówno mechanikę, jak i niuanse władzy. Pertraktując z Frączkiem musiałby zapomnieć o tym, co mu się marzyło – władzy absolutnej. W pertraktacjach z Frączkiem mógł wynegocjować wyłącznie współudział we władzy. A przecież prymitywna jednostka nigdy nie pogodzi się z takim faktem. Prymitywna jednostka zawsze dąży do bezwzględnej supremacji i bezapelacyjnej dominacji. Jedynie dominacja nad innymi daje takiemu człowiekowi poczucie własnej wartości. Ten właśnie element odróżnia prymitywa od jednostki subtelniejszej.

Mieć za partnera w negocjacjach panienkę, bez wiedzy i doświadczenia politycznego, którą można owinąć wokół palca, to było to. Przecież od niej uzyskałby wszystko, czego zechce – w zamian za nic. Mieć słabego partnera, ale wnoszącego szyld PiS to było jego marzenie. Frączek w tym przypadku był istotną przeszkodą. Dlatego za swój priorytet postawił sobie wyeliminowanie mnie z zajmowanej funkcji. Ponieważ sam tego nie był w stanie uczynić, zwrócił się do swojego kolegi Czesława Żelichowskiego. Ten parając do mnie antagonizmem, przystał na powyższe. W konsekwencji, obaj odstawili całkiem niezły kabaret, ujawniający ich właściwe oblicze. Kompromitacja polegała na fakcie, iż Żelichowski w owym okresie deklarował mu przysłowiowe Niderlandy. O idiotycznych esemesach już nie wspomnę. Pozostawiam to indywidualnemu poczuciu estetyki każdego z czytelników. Fakt polityczny, jaki wyniknął z tego zamieszania był nieodwracalny. Jeżeli wcześniej mogłem mieć jakiekolwiek wątpliwości co do osoby Zaguły, to się z nich ostatecznie wyleczyłem. Mam do czynienia z jednostką prymitywną, chamską i usposobioną dyktatorsko. Pertraktować z nią należy wyłącznie z pozycji siły, z lufą wycelowaną w jego skroń i ręką cały czas trzymaną na spuście. Przyszłe ustalenia muszą być zawierane wyłącznie na papierze. I albo pod nimi pojawi się jego podpis, albo jego mózg.

Mając taki stan świadomości – zacieśniłem relacje z Unią Wolności. W tym przypadku sprawa była prosta. Wraz z powstaniem PO; formacja ta straciła rację bytu i też poszukiwała solidnego partnera. Sytuacja UW była jeszcze gorsza od mojej. O ile w moim przypadku – PO uznawało PiS, kontestując wyłącznie moją osobę jako szefa, to w przypadku UW, wychodząc z pozycji hegemonistycznych nie chciało w niej uznać nawet partnera. Odbyłem kilka spotkań z Arturem Borowiczem – nowym przewodniczącym UW. W ich trakcie, wypracowaliśmy jednolite stanowisko. Zamykało się ono w następujących ustaleniach:

- musimy wspólnie zawiązać koalicję wyborczą z PO,
- musimy poprzeć kandydata PO w osobie Henryka Zaguły na urząd prezydenta, ale wyłącznie w drodze wzajemnych uzgodnień związanych z realnym układem sił i partycypacją w przyszłej władzy wykonawczej,
- analogicznie widzimy kwestię ułożenia list w wyborach na radnych,
- ze względu na zacietrzewienie i zapędy dominacyjne ze strony potencjalnego partnera, z PO będziemy negocjować wspólnie im gremio,
- nikt z nas nie będzie prowadził z PO separatystycznych rozmów,
- on nie zdradzi mnie, ani ja jego.

Borowicz sprawiał wrażenie solidnego partnera. W lot łapał niuanse i rozumiał mechanikę władzy. Sprawiał wrażenie człowieka przyzwoitego.

Mając dobity układ z UW, postanowiłem ponownie rozpocząć pertraktacje z PO. Ponieważ w konsekwencji ostatnich podjazdów nie

utrzymywaliśmy stosunków dyplomatycznych, zostałem zmuszony do skorzystania z pomocy mediatora. Poprosiłem Tytusa Żurka o umówienie spotkania z Grzegorzem Dolniakiem (poseł) i wytworzenie korzystnego dla przebiegu rozmowy klimatu. Osobiście z Dolniakiem nigdy wcześniej się nie zetknąłem, ponieważ on nie funkcjonował w życiu publicznym. Tytus pracę wykonał. Naświetliłem posłowi sytuację, jaka panuje w Dąbrowie. Stwierdziłem, że ze względu na wytworzony antagonizm w chwili obecnej nie utrzymujemy żadnych stosunków dyplomatycznych. Dodatkową trudnością jest fakt, że PO składa się wyłącznie z jednostek politycznie niewyrobionych, a zatem całkowicie podatnych na różnego rodzaju manipulację i podszepty. Całym tym układem wedle własnego widzimisię trzęsie wyłącznie Henryk Zaguła, z którym od lat jestem w atagonizmie. Polityki jednak nie opiera się na sentymentach czy resentymentach, lecz na faktach. W ich świetle oświadczam, że jestem gotów uznać w jego osobie wspólnego kandydata na prezydenta, ale wyłącznie na zasadach partnerskich związanych z partycypacją w przyszłej władzy wykonawczej. O ewentualnej dyktaturze Zaguła musi zapomnieć. W związku z powyższym proszę go jako osobę publiczną, w jakimś sensie odpowiedzialną za sytuację na swoim terenie o interwencję, aby koledzy z PO w końcu zaczęli rzeczowo rozmawiać. Do tej pory nie przejawiają takiego zamiaru. Uważają, że są pępkiem świata i świat winien się kręcić wyłącznie wokół nich. Tu zacytowałem wypowiedź Sokolińskiego sprzed kilku miesięcy, odnośnie ich wizji samodzielnego startu w wyborach. Nadmieniłem, że nie mogę czekać zbyt długo. Zawarłem już układ z UW i muszę wiedzieć, czy PO będzie w koalicji czy też nie, gdyż muszę postanowić, jak mam prowadzić werbunek ludzi do własnych szeregów. Jeżeli PO będzie w koalicji muszę werbunek ograniczyć, jeżeli nie, muszę go maksymalnie rozwinąć. Jak najszybciej chcę wiedzieć, ilu osobom mogę złożyć deklarację startu w wyborach. Chcę bowiem uniknąć takiej sytuacji, że rozwinę się nadmiernie, później PO się przyłączy i będę zmuszony iluś ludzi skreślić z listy. Każdy skreślony z przyczyn ambicjonalnych stanie się moim wrogiem, czego chcę uniknąć. Reasumując. Wnoszę, aby czynnie włączył się w wytworzony impas i pomógł w jego zażegnaniu. Tytus obecny przy rozmowie w całej rozciągłości poparł moje stanowisko. Dolniak zadeklarował pomoc.

Wiem, że słowa dotrzymał, ponieważ niedługo potem doszło do pierwszego, długo przeze mnie oczekiwanego spotkania. W jego trakcie Sokoliński wyraził się, że byłem u Dolniaka ze skargą. Typowy przykład politycznego kretyństwa.

PiS miał wówczas ok. 15% poparcia społecznego, PO mniej więcej tyle samo. Dla przeciwwagi SLD – 50%. W takich uwarunkowaniach za kilka miesięcy mają się odbyć wybory. Rozsądek, nawet dziecka z piaskownicy podpowiada, że naczelnym priorytetem musi stać się zmniejszenie dystansu względem SLD. Można to uzyskać wyłącznie przez wspólną koalicję. Montuję

koalicję, wyciągam do PO rękę, którą oni odrzucają. Na przekór zdrowemu rozsądkowi stwierdzają, że pójdą do wyborów samodzielnie i je wygrają. Sondaże, analiza elektoratu są nieważne. Ważne jest stanowisko ich Boga – Henryka Zaguły – zamykające się w jednym zdaniu. Z Frączkiem rokowań nie będzie! Mieszają się w wewnętrzne sprawy PiS, w kwestii pełnomocnika (Aurelia Rożdżyńska), kiedy ponawiam ofertę uzyskuję odpowiedź. Nie! Chcąc wyjść z impasu, udaję się do ich posła z prośbą o mediację. Przeprowadzam rozmowę jak wyżej, a ten kretyn ma jeszcze czelność powiedzieć, że byłem ze skargą. Niech czytelnik sam oceni, co w kwestii, którą przedłożyłem Dolniakowi nosiło znamiona skargi. Czyste szaleństwo. Na dodatek wstaje Krzysztof Laga (reprezentant PO), facet który był kiedyś posłem na sejm i nawet przez jakiś czas wiceministrem spraw wewnętrznych i bezceremonialnie oświadcza, że on też jest za tym, aby PO do wyborów poszła samodzielnie, bo lepiej na tym wyjdzie. Ręce mi opadają... Idiotyzm, kretyństwo, rozpacz... żadnego normalnego człowieka w tym bagnie. Wymuszone przeze mnie spotkanie kończy się niczym. Obopólny antagonizm narasta...

Kilka dni później odbywam dwie rozmowy. Jedną z Krzysztofem Stachowiczem, drugą z Tytusem Żurkiem w tylko jednej kwestii.

- O co w tej PO chodzi? Rozumiem antagonizm Zaguły do mnie. Jest on zresztą obopólny. Ja w przeciwieństwie do niego jestem realistą i jestem gotów go poprzeć, ale oczywiście nie bezwarunkowo. Ale skąd się bierze takie podejście pozostałych? Przecież ja tam nie widzę żadnego normalnego człowieka?!

Tu przytaczam ostatnie wypowiedzi Sokolińskiego i Lagi. Toż to kompromitacja. W tym bagnie nawet były poseł i wiceminister jest specjalnej troski.

- O co chodzi?

Obaj zeznają podobnie. Wszystkim kręci Zaguła. Przez pozostałych jest uważany za Boga. Wmówił im, że jest tak znaną personą, że i tak wygra wybory prezydenckie, a jego majestat i społeczne uwielbienie spowodują, że PO będzie czarnym koniem wyborów.

- I nawet Laga jest zainfekowany?
- Oczywiście! I to całkiem poważnie.
- Czy jest tam ktoś normalny, z kim można rozmawiać?
- Nie!

Ręce mi opadły. Zrozumiałem, że znowu przegrałem. Bez szerokiej koalicji nie mam żadnych szans wyborczych. Na przemian targają mną gniew i rozpacz. Czy uwierzyłby ktoś, że w 150-tysięcznym mieście Platforma ma poziom intelektualny Samoobrony? Jak to się mogło stać, że szyld powszechnie uważanej za rozsądną partię znajduje się w rękach politycznych debili? Na kilkadziesiąt osób w tym środowisku nie ma ani jednej poukładanej jednostki. Moi rozmówcy w pełni się ze mną zgadzają, ale stwierdzają, że nie są w stanie

zmienić istniejącego stanu rzeczy. Dramat...

W tym stanie psychicznym jestem gotów nawet wycofać się z wyborów. Przecież nie mogę po raz kolejny brać udziału w farsie. Po prostu wstyd. PiS plus UW to stanowczo za mało, aby o czymkolwiek poważniejszym myśleć. Ewentualnie można jeszcze zostać radnym, bo na to szanse są. Ale po co? Radnym już byłem, niczego nowego na tej funkcji się nie nauczę? Nie jestem jeszcze tak mały, abym w swoim postępowaniu musiał się kierować tymi 2000zł miesięcznej pensji. Bez tego też mogę żyć. Nie mogę pojąć jednej kwestii. Lata płyną, przybywa doświadczeń, a co kadencja ta sama głupota. Niegdyś DKO i Jasiak, później AWS i Dąbrowski z Kurczkiem, teraz PO z Zagułą, Sokolińskim i Lagą. Przed oczami staje mi scena z pewnego filmu i cytat „debil na górze, debil na dole... debil na dole, debil na górze". Obłęd...

Prawdopodobnie rzuciłbym wszystko, ale pojawiła się trudność. Jak spojrzę w oczy tym ludziom, których już pozyskałem? Cóż mam im powiedzieć? Przepraszam, zaszła pomyłka, pasuję... Jak mam rozmawiać z Jędrzejem Jędrychem? Kilka miesięcy wcześniej sam się do niego udałem, prosząc o pełnomocnictwo. Złożyłem mu deklarację, że jestem jedyną osobą w tym mieście, której Zaguła sobie nie podporządkuje. On mi uwierzył, pomógł, dzięki niemu wszedłem na polityczny ring. Odbiliśmy kontratak Żelichowskiego z Rożdżyńską. I teraz mam powiedzieć pasuję?! Przecież gdym mu przekazał, co wygaduje jego kolega – Laga, nigdy by mi nie uwierzył?! W dodatku, co się stanie po moim ustąpieniu? Pełnomocnikiem zostanie panienka – Rożdżyńska, zawrze układ z PO, Zaguła zostanie prezydentem, a ja wyjdę na durnia. Zrozumiałem, że moje ustąpienie będzie wodą na młyn PO. Właśnie wtedy osiągną dokładnie to, o co im od początku chodziło – słabego partnera koalicyjnego. Nie mogę ustąpić! Muszę iść na tę wojenkę z przeświadczeniem przegranej, ale ustąpić nie mogę. Lepiej niech nas wszystkich trafi szlag! I mnie i ich! Ostatecznie za cztery lata znowu wybory. Ustąpić nie mogę, bo moim przeciwnikom sprawię niezasłużony prezent. Zacisnąłem zęby i postanowiłem grać dalej. Umówiłem się z Borowiczem na konsultacje.

Kilkanaście dni później przesilenie. Dzwoni do mnie Sokoliński, chce rozmawiać. Wyczuwam zmianę tonu w jego głosie. Bezpośrednim powodem jego aktywności jest zawarcie wspólnej koalicji PO-PiS na szczeblu centralnym. Jeszcze tydzień temu był zdeklarowanym przeciwnikiem, a teraz pogląd jak gdyby nigdy nic nagle mu się odmienił. Obecnie twierdzi, że koalicja jest niezbędna. Żadnego swojego zdania, żadnego charakteru, typowa chorągiewka na wietrze. Czyżby otrzeźwienie? Gdzie tam.

Bardzo szybko rysują się między nami rozbieżności. Jego propozycja jest następująca. W przedmiocie władzy wykonawczej muszę uznać kandydaturę Zaguły na funkcję prezydenta bezwarunkowo, bo to doskonały kandydat. W zamian PiS dostanie funkcję jednego zastępcy. Co się zaś tyczy listy radnych, to

widzi ją następująco: PO i PiS po cztery miejsca w każdym okręgu, po dwa obsadza Zaguła swoimi ludźmi (w okręgu można wystawić 10 kandydatów). Odpowiadam, że jego propozycja jest nie do przyjęcia. Jestem zainteresowany wyłącznie koalicją na warunkach partnerskich. Rozumiem przez to równomierną partycypację zarówno we władzy wykonawczej, jak i uchwałodawczej. W świetle tego co mi przedstawił to we władzy wykonawczej PO-100% aktywów, PiS-0%. Natomiast we władzy uchwałodawczej PO-60%, PiS-40%. Gdzie tu jest partnerstwo?

- Przecież dostajecie zastępcę prezydenta?! – ripostuje.

- Zastępca prezydenta nie jest żadnym partnerem wobec swojego szefa. Prezydent go powołuje i odwołuje według własnego uznania i widzimisię. Zastępca wobec swojego szefa jest nikim, zerem! – odpowiadam.

- Co się tyczy władzy wykonawczej, to muszę być partnerem dla przyszłego prezydenta, który posiada pełnię tej władzy. Aby ten warunek był spełniony muszę dostać trzy funkcje w jej obrębie: zastępcy prezydenta, sekretarza i skarbnika. Inaczej nie będę dla niego przeciwwagą. Co się zaś tyczy listy radnych, to Zaguła jest reprezentantem PO, a nie wyspą na Pacyfiku, dlatego nie może mieć żadnego prawa do wystawiania własnych ludzi na listy wyborcze, chyba, że z puli PO. Ale to już wasze wewnętrzne sprawy. Ja widzę to tak - PO-40%, PiS-40%, UW-20%. Co się zaś tyczy pierwszych pozycji to PO-2, PiS-2, UW-1.

Informuję go ponadto, że ze swoimi propozycjami bardzo poważnie się spóźnił. Ze względu na dotychczasową postawę PO zawarłem już układ z UW. Mówi on, że bez mojego partnera nie będę zawierał żadnych separatystycznych ustaleń. Oczywiście rozmowy o charakterze wstępnym, sondażowym prowadzić możemy, ale bez wiążących decyzji. Do ich zawarcia niezbędna jest obecność Borowicza. Jest zaskoczony tym stanowiskiem.

- Takie są konsekwencje waszych dotychczasowych wygłupów – dodaję.

Po wygłoszeniu tej kwestii wytwarza się impas. Aby z niego wyjść proponuję, abyśmy na razie pominęli kwestie władzy wykonawczej. Domyślam się, że nie posiada żadnych pełnomocnictw, aby móc je negocjować. Zresztą powyższe winniśmy omówić z Zagułą osobiście. Pośrednik nie jest tutaj wskazany. Zaproponowałem, abyśmy obecnie skoncentrowali się wyłącznie na liście radnych. Przystał. Ponownie położyłem nacisk na dwa zagadnienia: układ w pełni równoprawny i oficjalne umocowanie UW. Skrzywił się twierdząc, że PO tego nie zaakceptuje.

- Jak to nie zaakceptuje?! Widzę, że ty niczego nie rozumiesz. Ludzie PO zrobili do tej pory wszystko, abym ich znienawidził. Ty również masz w tym całkiem pokaźny udział. Jeżeli wy nie uznacie UW, to ja nie uznam was ani waszego Zaguły! Ten ostatni do tej pory robił wszystko, abym go odrzucił! Musisz sobie uświadomić fakt oczywisty. Poza PO Zaguła nie ma żadnego poparcia. To, czy wy uważacie go za Boga czy też nie, jest wyłącznie waszą sprawą. Dla mnie jest człowiekiem, z którym mogę zrobić polityczny interes, ale

nie muszę. I wiem, że jak źle zawrę koalicję, to będzie po mnie!

- Więc co proponujesz? - odparł.

- To, co już powiedziałem. Uznajecie UW za trzeci człon koalicji, dostaną własny szyld i parytety na listach. Szczegóły ustalimy z Borowiczem.

- Ale przecież umowa PO-PiS nie dotyczy UW? - zahaczył.

- W umowie na którą się powołujesz, jest punkt, który mówi, że do koalicji mogą za zgodą obu stron być dokooptowane inne podmioty. I o tym właśnie teraz rozmawiamy. Ponadto relacje PO-PiS mają się opierać na zasadach w pełni partnerskich.

Początkowo wyglądało, że spuchł. Zmienił ton na bardziej przyjacielski i z dużą dozą szczerości oświadczył:

- Ale jak ja to mam przeprowadzić?

- To już twoje zmartwienie...

- W centrum Wróblewski musi być liderem listy. Znasz go, wiesz, jaki jest pazerny. Ciasiowa też musi być pierwsza w Gołonogu, Zaguła na Mathattanie. Tego, czego oczekujesz, nie da się zrobić! Ciasiowej muszę iść na rękę, bo bez niej nie jestem w stanie niczego przeprowadzić przez zarząd.

- Więc dobrze – wszedłem w zdanie – skoro Ciasiowa jest niezbędna, to damy jej pierwszą pozycję, tam gdzie chce. Ja ze swej strony zrezygnuję z pierwszej pozycji na Redenie na twoją rzecz. Wróblewskiego spokojnie możesz odstrzelić. Ustalamy. PO pierwsze pozycje w okręgach II i IV, PiS w I i III, w V pierwszą pozycję oddajemy UW. Zresztą, co do Unii, to z nimi trzeba prowadzić pertraktacje. Może zrzekną się tej pierwszej pozycji w zamian za coś innego?!

- A Zaguła?! Przecież to kandydat na prezydenta, musi być pierwszy?

- Więc dobrze. Zaguła z Ciasiową będą liderami w Gołonogu, w zamian ty nie będziesz pierwszy na Redenie.

Przeprowadzona wymiana zdań do niczego nas nie przybliżyła, ale pozwoliła mi zrozumieć istotę problematyki stojącą przed moim rozmówcą. Polegała ona na fakcie, że trzy osoby: Zbigniew Wróblewski, Bogusława Ciaś i Henryk Zaguła w imię wyznawanej pazerności musiały być liderami list w swoich okręgach. On jako formalny szef też nie mógł być od nich gorszy. Jeżeli by tego nie otrzymali, gotowi byli zerwać rozmowy i iść do wyborów samodzielnie, byle tylko na czele list wyborczych.

- Więc rozpatrzmy inny wariant. PO dostaje pierwsze pozycje we wszystkich okręgach: Wróblewski, ty, Ciasiowa i Zaguła jesteście usatysfakcjonowani. Co w zamian jesteście gotowi oddać w przedmiocie władzy wykonawczej? Ja proponuję trzech zastępców prezydenta.

- Zaguła na to nigdy nie pójdzie!

- To, co ty sobie wyobrażasz?! Chcesz zjeść jabłko i mieć jabłko?!

Wytwarza się sytuacja z pogranicza groteski. Oto po kilku miesiącach

podjazdów siadamy do rozmów. Mój partner powołuje się na umowę warszawską, w której jak byk stoi, że układ koalicyjny ma być równoprawny. A tę równoprawność on rozumie jako pełnię władzy wykonawczej w swoich rękach. Mnie wspaniałomyślnie oddają fotel zastępcy, który po tygodniu stracę albo będę miał odebrane kompetencje. Domaga się również, abym w okręgach na jego rzecz zrzekł się pozycji prawie wszystkich liderów list, ponieważ on ma pazernych członków. Mam również ustąpić w parytetach na listach w proporcji 6:4, bo tak naciskają na niego doły partyjne. Na koniec mam zdradzić swojego sojusznika – UW, ponieważ PO teraz przyszło po rozum do głowy i w końcu chce ze mną rozmawiać. Toż to przypadek psychiatryczny. Czysty obłęd!

Aby wyjść z wytworzonego impasu, proponuję przerwać te dywagacje i przesunąć je na okres późniejszy. Akcentuję inny priorytet. Obecnie dla mnie najważniejszym zagadnieniem jest wykonanie ustaleń sojuszniczych z Borowiczem. Rozumiem przez to uznanie UW jako pełnoprawnego partnera. Na jakich zasadach, to ustalimy później w trójkę. Krzywi się, ale przystaje. Zaznacza jednak, że będzie z tym miał wielki problem. Odpowiadam, że jestem gotów go wesprzeć w tym dziele. Proponuję, abyśmy zorganizowali spotkanie w szerszym gronie. Po dziesięć osób od niego i tyle samo ode mnie. Gremialnie przedyskutujemy sprawę i podejmiemy decyzję. Przystaje. Na zakończenie podkreślam – UW musi być w koalicji, ponieważ takie już poczyniłem ustalenia. Określamy termin spotkania.

Kiedy wreszcie doszło do uzgodnionego spotkania, nastąpił dramatu ciąg dalszy. Zaraz na wstępie – Sokoliński – oświadczył, że przed chwilą odbyło się posiedzenie ich zarządu i większością głosów, przy jednym wstrzymującym, podjęli decyzję. Nie widzą Unii Wolności w koalicji. W sekundzie trafił we mnie piorun. Podnieconym głosem wychrypiałem:

- To po co żeście tutaj przyszli?! Przecież powiedziałem wyraźnie. Kwestia umocowania UW w koalicji jest dla mnie sprawą priorytetową! Ja widzę to tak. Albo UW jest w koalicji, albo was w niej nie ma! Skończyłem! A teraz żegnam! I wyszedłem do drugiego pomieszczenia, by drżącymi z nerwów rękami zapalić papierosa. Coś tam szemrali, coś dyskutowali, ale nie wychodzili. W końcu przyszła po mnie ich wysłanniczka – Irena Wartak.

- Darek, porozmawiajmy spokojnie. Wyjaśnisz, o co ci chodzi.

- Jestem tak wzburzony, że nie nadaję się do sensownego prowadzenia rozmowy. Wyprowadziliście mnie z równowagi...

- No choć, przecież musimy znaleźć jakieś rozwiązanie.

Miała rację. Wróciłem. Wyjaśniam, co następuje.

- Od sześciu miesięcy zabiegam o wspólną koalicję. Od samego początku są mi z waszej strony rzucane kłody. A to nie uznajecie mnie jako przedstawiciela PiS, a to znowu nie chcecie koalicji. W końcu po kilkumiesięcznych przepychankach dochodzi do mojej rozmowy z Sokolińskim. Jej treść jest wam znana z jego przekazu. W konsekwencji waszej wrogości w

międzyczasie zawarłem już umowę z UW odnośnie koalicji PiS-UW. Chcę z wami zawrzeć koalicję, ale jej postanowienia nie mogą naruszać tej zawartej już z Unią. Poinformowałem o tym waszego przedstawiciela – Stanisława Sokolińskiego. Stwierdził, że będzie miał problem z przeprowadzeniem tego przez wasz zarząd. Zadeklarowałem pomoc, stąd inicjatywa spotkania w szerszym gronie. Przekonywać to ja mogę niezdecydowanych. Ale wy jesteście już zdeklarowani. Godzinę wcześniej podjęliście decyzję odmowną. Stanowiska tego obecnie zmienić nie możecie, ponieważ wyszlibyście na debili. Dzisiejsze obrady miały dotyczyć tylko jednej kwestii – na jakich warunkach UW ma być w koalicji. A skoro waszym zdaniem ma jej nie być, w związku z powyższym nie ma już przedmiotu naszych obrad. To wszystko.
Ciszę przerwał Sokoliński.

- My chcemy rozmawiać wyłącznie o koalicji z PiS.

- Od naszej poprzedniej rozmowy wiesz dobrze, że bez UW jest to niemożliwe. A ponadto widzicie to w przedziwny sposób. Chcecie 80% liderów list dla siebie.

- Jak to?! Przecież deklarowałem dla ciebie dwa okręgi!

- Ja wiem tylko o jednym – strzemieszyckim. Wymień drugi.

Cisza...

Głos zabiera jakiś mężczyzna od nich w wieku dojrzałym.

- Panie Frączek. Byłem tym jedynym, który w tej kwestii się wstrzymał od głosu. Proszę mnie przekonać, dlaczego wspólna koalicja będzie dla nas korzystniejsza niż samodzielny start.
Ponownie skoczyła mi adrenalina. Poderwałem się na równe nogi.

- Jak to?! A Stachowicz! – ryknąłem.
Stachowicz w tym czasie zrobił minkę dziesięcioletniego chłopczyka przyłapanego na oszustwie.

- To ty! Tiutiasz mi, korzystasz z mojej pomocy i rad, deklarujesz współpracę, a za moimi plecami uskuteczniasz dywersję. Ty kanalio!
Zwracając się z kolei do pytającego.

- Skoro jest pan tutaj obecny to wnoszę, że jest pan członkiem zarządu.

- Tak! - potwierdził facet.

- Na tej funkcji nikt pana pod bagnetami nie instalował. Skoro pan się podjął tej roli, to oświadczył pan, że posiada należytą wiedzę, by wpływać na losy innych. Jak ja takiemu człowiekowi mam wyjaśnić, że dwa plus dwa jest cztery, a cztery jest większe od dwóch? Pan musi wrócić do szkoły i zająć się arytmetyką...?!
Facet pokraśniał na licu i odrzekł.

- Ja z panem chciałem po dobroci, ale z panem nie da się rozmawiać...

- Da się, tylko na odpowiednim poziomie! To z wami nie ma o czym rozmawiać! Jak nie kanalia to idiota.
Wstałem i udałem się do sąsiedniego pomieszczenia.

Dalszą dywagację o niczym prowadzili z nimi już tylko moi ludzie. Jakoś też im nie poszło, bo po kwadransie platfusy wyszły z niesmakiem. Kiedy zostaliśmy we własnym gronie, podsumowanie. Co robić dalej? Większość przychyliła się do mojej oceny. PO to zbieranina idiotów i kanalii. Na ewentualny sojusz z nimi liczyć już nie możemy. Należy tworzyć koalicję bez nich. Przeprowadzimy dodatkowy werbunek ludzi, aby zapełnić listy wyborcze o siłach PiS-UW. I tak by się stało, gdyby kilka dni później nie zadzwonił telefon.

- Cześć, tu Irena Wartak. Dzwonię w imieniu Heńka Zaguły. Czy zechcesz się z nim spotkać?

- Oczywiście. Czekam na ten telefon od kilku miesięcy.

Ustalamy szczegóły, spotkanie odbędzie się w biurze PO.

Rozdział XXXIV
POJEDYNEK Z BOGIEM

Na spotkanie z Zagułą idę z pewną dozą optymizmu. Jestem przekonany, że po kryzysie dotychczasowych stosunków, widząc ich fiasko – postanowił osobiście przejąć inicjatywę, by doprowadzić do ugody. Wszak od tego zależy jego dalsza kariera. Oprócz nas w rozmowie uczestniczy również Irena, spełniając rolę jego asystentki.

Obaj nie mamy do siebie zaufania. On wie, że ja wiem, że wraz z Żelichowskim mieszał mi w papierach w kwestii pełnomocnictwa, wie że znam kulisy jego oszustwa wyborczego sprzed lat, że zdemaskowałem go jako autora głupawych esemesów. Wie również, iż mam świadomość, że nasze spotkanie jest mu niemiłe, wymuszone wyłącznie okolicznościami. Wie ponadto, że mam pewność, że gdyby tylko mógł utopiłby mnie w łyżce wody. Ale cóż, skoro nie mógł mnie wyeliminować, musi teraz pertraktować. A mimo to już na wstępie zagrywa idiotycznie.

Stwierdza, że formalny jego status to kandydat na prezydenta, ale faktycznie to już tym prezydentem jest. Wybory będą wyłącznie formalnością. Właściwie to nie jestem mu do niczego potrzebny, ale dla zupełnej pewności wolałby, aby PiS poparł jego kandydaturę.

- Na jakich warunkach?

- Dostaniesz zastępcę prezydenta.

- I co jeszcze.

- To wszystko.

- Heniek?! Znamy się lata. Obaj mamy świadomość, że między nami jest mur antypatii i nieufności. Obaj wiemy, że kochać to my się nie będziemy. Ale możemy zawrzeć małżeństwo z rozsądku. Dlatego tu jestem. Ja kontrakt widzę tak. Dostaję nie tylko zastępcę, ale również sekretarza i skarbnika.

- Tyś chyba oszalał! Zastępca to mało?!

- Tak! Mało!

- Zdajesz sobie sprawę czego żądasz?

- Tak! Od pół roku, odkąd posiadłem wiedzę, że będziesz kandydował i że mimo buńczucznych zapowiedzi wcześniej czy później będziesz zmuszony przystąpić do rokowań.

- Tak?! A kto mnie do tego zmusił!

- Okoliczności.

- Jakie okoliczności?

- Takie, że bez mojego poparcia nie zostaniesz prezydentem.

- Ty jesteś szalony!

- To dopiero pokaże przyszłość, ale kiedy już to pokaże, nie będzie powrotu do sytuacji z dnia dzisiejszego.

- To ty mnie posłuchaj! Ja jestem kimś, mam pozycję, nazwisko,

pieniądze. Ty niczym takim nie dysponujesz. To ja robię dla ciebie prezent, dając stanowisko, za którym stoją pieniądze i prestiż. Masz czterdzieści lat, będziesz kimś, ludzie będą cię szanować. To ty beze mnie będziesz nikim!

- Jest między nami pewna różnica. Załóżmy, że się nie dogadamy. Ty pójdziesz swoją drogą, ja swoją. W efekcie obaj przegramy. Ale nasze porażki nie będą takie same. Jeśli ja przegram, dalej będę dłubał swoje, ale kiedy ty przegrasz, to wypadniesz z polityki, a wszystko do czego w życiu doszedłeś tylko jej zawdzięczasz.

- No dobrze, a do czego potrzebny ci skarbnik?

- Muszę mieć dostęp do informacji.

- Przecież jako mój zastępca, będziesz go miał?!

- Nie! Będę dostawał tylko takie informacje, jakie ty zechcesz mi przekazać. A ja potrzebuję informacji rzeczywistych.

- Jak chcesz to powołamy stanowisko, specjalna osoba będzie dla ciebie przygotowywała wyciągi...

- Heniek?! Jeden egzemplarz dla towarzysza Lenina?! To już w historii było ćwiczone.

- Jeżeli zastępca to dla ciebie mało, to może jakiś naczelnik wydziału, może kierownictwo jakiejś spółki?

- Nie! Dla mnie wartość przedstawia tylko zastępca, skarbnik i sekretarz razem wzięci.

- A sekretarz do czego?

- Chcę też mieć wpływ na obsady administracyjne.

- Czy ty nie masz świadomości, że żądasz zbyt wiele?!

- Wiele?! Przecież wiesz, że nie jestem karierowiczem, któremu zależy wyłącznie na stołku i pieniądzach. Jestem działaczem politycznym i jako działacz chcę władzy, chcę współdecydować. Bez tych stanowisk będę wyłącznie twoją marionetką.

- Bzdura... Będziesz moim zastępcą.

- Tak?! A jak długo? Tydzień, dwa, a może tylko do pierwszego przetargu!

Utknęliśmy w martwym punkcie. Obaj chcieliśmy tego samego – władzy. Miałem pełną świadomość, że mój rozmówca idzie po nią wyłącznie w celu jej konsumpcji dla partykularnych celów. Naocznym obserwatorem tego procederu byłem w latach 1991-1994. Dawał mi politycznie nieistotne stanowisko, które w każdym momencie wedle własnego uznania mógł odebrać. Ja jego nigdy. Dlatego proponowane przez niego rozwiązanie było nie do przyjęcia.

- Odłóżmy na razie kwestię władzy wykonawczej – zagaiłem. Jak widzisz ułożenie listy radnych? Może tutaj znajdziemy jakieś zbliżenie stanowisk.

- PO i PiS po cztery miejsca w każdym okręgu. A dla mnie po dwa.

- Jak to dla ciebie po dwa?!

- Jako kandydat na prezydenta prowadzę rozmowy z różnymi osobami, celem uzyskania ich poparcia. I za to poparcie muszę zapłacić miejscami na

listach. Ludzie ci byliby ulokowani gdzieś w środku.

- Toż to czysta kpina! Przecież ty jesteś oficjalnym przedstawicielem PO! Zgodnie z twoją logiką PO miałoby 6 miejsc, a PiS tylko 4. Ja mogę iść tylko na układ pół na pół. Jest jeszcze kwestia Unii Wolności. W związku z dotychczasową postawą twoją i twoich ludzi zawarłem już układ z Borowiczem. Układ ten mówi, że ani ja, ani on nie zawrzemy z PO żadnych separatystycznych ustaleń. W myśl tego postanowienia mogę z tobą prowadzić wyłącznie rokowania o charakterze wstępnym, sondażowym, ale bez wiążących ustaleń. Wiążące ustalenia mogą zapaść wyłącznie na osi Zaguła-Borowicz-Frączek. Moja propozycja brzmi następująco: robimy koalicję na osi PO-PiS-UW. PO i PiS po cztery miejsca w okręgu, UW po dwa.

W tym momencie do dyskusji włączyła się milcząca – Irena Wartak.

- Darek, co ty wiesz o Unii Wolności w naszym mieście?

- Przyznam, że niewiele. Nigdy nie byłem blisko związany z tym środowiskiem.

- A ja byłam. Jak ci wiadomo zasiadałam nawet w zarządzie i oświadczam, że Unia Wolności nie istnieje. Jest tylko nadmiernie ambitny Artur Borowicz i kilku jego niezbyt rozgarniętych kolegów. To wszystko. Stanowczo ich przeceniasz. Żądasz dla nich zbyt wiele.

- Mnie Borowicz informował, że ma trzydziestu kilku członków, regularnie opłacających składki.

- Jeżeli tak powiedział, to kłamał.

- Irena. Nie jestem w stanie ocenić, czy on kłamał czy teraz ty kłamiesz. Fakt jest taki, że od ponad pół roku zabiegam o rozmowy z wami. To ja wyciągałem do was rękę, a nie wy do mnie. I co mnie z waszej strony spotkało – odmowa, nieuznawanie, arogancja i taki zalew głupoty, że nawet nie chcę do tego wracać, o pazerności nie wspomnę. Na waszym tle – Borowicz jawi się jako jednostka rozumiejąca przedmiot i politycznie obliczalna. Z wami przez wiele miesięcy nie mogę znaleźć porozumienia, a z nim znalazłem w ciągu jednej godziny.

- Bo teraz to ty jesteś mu potrzebny, a nie on tobie. Jak się sytuacja odmieni, będzie pierwszym, który cię zdradzi. To typowy karierowicz, a jego żona taka sama.

- Trzeba było myśleć wcześniej i się ze mną ułożyć. Teraz nie ma to istotnego znaczenia. Traktat z Borowiczem już zawarłem. A ja dotrzymuję umów, nawet gdyby okazały się w przyszłości dla mnie niekorzystne.

- Więc jakie jest twoje ostateczne zdanie – włączył się Zaguła.

- Robimy koalicję trzech – PO-PiS-UW. Podział miejsc na listach: PO-4, PiS-4, UW-2. Analogicznie do tego podział pierwszych pozycji, dalej naprzemiennie. Co się zaś tyczy władzy wykonawczej, ty na prezydenta, ja na zastępcę, dwie wskazane przeze mnie osoby na skarbnika i sekretarza. Co do podziału innych stanowisk o charakterze politycznym nie wnoszę żadnych roszczeń, pozostawiając to wyłącznie twojej decyzji.

- Czyli koalicji nie będzie?!

- Będzie, ponieważ inaczej nie zostaniesz wybrany prezydentem. Wierzę, że mimo awersji i antagonizmu potrafisz kalkulować. Jako dowód przedstawiam fakt, że jeszcze pół roku temu twierdziłeś, że dopóki będę pełnomocnikiem PiS, to żadnych rozmów nie będzie. A jednak siedzimy i rozmawiamy, i tym razem z twojej, a nie mojej inicjatywy.

- Nikt mnie nie zmusi do koalicji na twoich warunkach! To czysty obłęd!

- Tak jak do rozmów, tak i do układu zmuszą cię okoliczności. Ja politycznie porażkę wyborczą przeżyję, ty nie.

Przekomarzaliśmy się jeszcze pół godziny, powielając stare argumenty. Ani on nie przekonał mnie, ani ja jego do swoich racji. Aby nie zamykać furtki na przyszłość, postanowiliśmy dać sobie nieco czasu na przemyślenie. On sądził, że z biegiem czasu zmiękną, ja z kolei, że on. Wszak dla niego jest to gra o życie, dla mnie jeden z kolejnych epizodów.

Kiedy wychodziłem z jego biura wyszła za mną Irena.

- Darek. Jak długo znasz Borowicza?

- Od trzech miesięcy, odkąd został przewodniczącym Unii.

- I nigdy wcześniej się z nim nie zetknąłeś?

- Nigdy.

- Popełniasz wielki błąd. To typowy karierowicz, bez żadnych zahamowań moralnych. Zdradzi cię przy pierwszej okazji. On jest niewart takiej obrony. Walczysz w złej sprawie.

Muszę przyznać, że słowa i forma w jakiej je wypowiadała zrobiły na mnie wrażenie. Była absolutnie przekonana do wygłaszanych racji, to nie była rutynowa intryga, jakie przytrafiają się w polityce. Irenę znałem od 1989 z Komitetu Obywatelskiego. W przeciwieństwie do męża – Jarosława, którego cechowała intryga i niespotykana wręcz pazerność, miałem o niej stosunkowo dobrą opinię. Postanowiłem sprawdzić jej rewelacje. Umówiłem się z Borowiczem.

- Powiedz mi, ilu wy macie członków?

- Już ci to mówiłem, nieco ponad trzydziestu.

- Na pewno?!

- Oczywiście.

- A czy z Ireną Wartak dzieli cię jakiś antagonizm?

- A o co chodzi?

- Najpierw odpowiedz na pytanie, a później ja wyjaśnię okoliczności.

- Miałem z nią zatarg. Odeszła z UW do PO. Któregoś dnia przyszła do mnie, abym jej wyświadczył pewną przysługę po linii medycznej. Odmówiłem i jako renegatkę nieco ją pogoniłem.

- I tylko tyle?

- Nic innego nie przychodzi mi do głowy...

- To dlaczego ona para do ciebie takim antagonizmem? Tu opowiedziałem przedmiot naszej wymiany zdań związanej z jego osobą.

- Eee... zachowuje się jak klasyczna baba, trochę ją rzeczywiście potraktowałem obcesowo, stąd jej zemsta.

Muszę przyznać, że odpowiedź Borowicza była logicznie spójna, aczkolwiek nie do końca przekonująca. Tłumaczyła, co prawda źródło ewentualnego antagonizmu, ale nie jego głębokość. Irena była absolutnie przekonana do wygłaszanych przez siebie racji. Czy zwykła odmowa wyświadczenia jakiejś przysługi mogła spowodować u niej tak emocjonalną reakcję? Na to pytanie nie mogłem znaleźć odpowiedzi, gdyż nie znałem jej konstrukcji psychicznej. Ponieważ jednak znałem jej męża jako wyjątkowego intryganta, dlatego przyjąłem interpretację, że skoro przebywają w związku małżeńskim, to przecież musi między nimi występować znaczne podobieństwo psychiczne. Dość, że przeszedłem nad tą kwestią do porządku dziennego.

Kolejne spotkanie z Sokolińskim niczego nie wniosło. Jedyne nowum to fakt, że wiedzieliśmy na jakich stoimy stanowiskach, czując wagę ich rozbieżności. Zasadniczy problem spoczywał w tym, że z Sokolińskim mogłem rozmawiać wyłącznie o kształcie listy kandydatów na radnych, z Zagułą o przedmiocie władzy wykonawczej. W obu przypadkach panował totalny impas i potworne rozbieżności. Zrozumiałem, że abyśmy mieli szansę na dopięcie koalicji, muszę mieć przed sobą z ich strony tylko jednego partnera. Ponieważ wiedziałem, że Zaguła nie da Sokolińskiemu pełnomocnictw na negocjacje władzy wykonawczej, dlatego byłoby korzystniej, aby to on przejął całość negocjacji w imieniu PO. Wówczas moglibyśmy ewentualne ustępstwa w kwestiach władzy wykonawczej rekompensować przywilejami władzy uchwałodawczej. Takie rozwiązanie zbliżyłoby nas do pozytywnego finału. Dlatego wystąpiłem do Zaguły z wnioskiem o przejęcie całości negocjacji w imieniu PO.

Ten pismo przyjął i na tym się skończyło. Później dowiedziałem się, że jego zaplecze zbuntowało się przeciwko takiemu rozwiązaniu. Obawiali się, że zostaną wymanewrowani. Dziwna to partia, gdzie jej członkowie nie mają zaufania do swojego lidera i kandydata na urząd prezydenta miasta.

Druga rozmowa z Zagułą była krótka, może pięciominutowa. Tym razem byliśmy sami już bez Ireny, prawdopodobnie nie chciał mieć naocznego świadka.

- Zmieniłeś zdanie? – zagaił.

- Nie! – moja odpowiedź.

- Posłuchaj! Mówię absolutnie szczerze i słowa dotrzymam. Za poparcie płacę stanowiskiem zastępcy prezydenta. I daję słowo, że tego dotrzymam. Jeżeli natomiast przyprzesz mnie do muru, to w końcu zgodzę się na wszystko, czego będziesz ode mnie oczekiwał, ale kiedy już będę wybrany zapomnę o

wszystkich obietnicach, jakie ci złożyłem! Bez ustępstw nie będziesz miał nic!

- Nie kolego! Porozumienie, które zawrzemy będzie bardzo precyzyjne, oprócz nas zostanie podpisane przez władze wojewódzkie obu partii i podane do wiadomości wszystkich zainteresowanych. Po wyborze możesz oczywiście zrobić, co chcesz, ale pamiętaj – jeżeli mnie oszukasz, to ja nagłośnię całą sprawę. W otoczeniu demokratycznym prezydent – kanalia będzie tylko i wyłącznie pożałowania godną miernotą zdaną na towarzystwo zależnych od siebie marionetek. Nawet kanalia musi dbać o własny wizerunek. Wolna twoja wola!

Koniec rozmowy.

Ta ekspresyjna wymiana zdań miała dla naszego porozumienia znaczenie grobowej deski. Zaguła dostał dwie istotne informacje: nie złamie mnie, nie przekupi i nie zastraszy swoim ewentualnym oszustwem. Pisemny, precyzyjnie sporządzony dokument jednoznacznie tę ewentualność wykluczał. Praktycznie miał tylko jedno wyjście – kapitulację. A jednak jego wola dyktatorskiej władzy i partykularnych profitów z niej wypływających była tak silna, że by ją zaspokoić, postanowił ułożyć się ponad moją głową.

Ja z kolei zacząłem rozumieć, że najprawdopodobniej go nie złamię i nie dojdzie do koabitacji na warunkach partnerskich. Po tej rozmowie obaj, niezależnie od siebie wykonaliśmy sekwencję pewnych ruchów. Ja przedstawiłem sytuację Borowiczowi i stwierdziłem, że w mojej ocenie szanse na wspólną koalicję maleją, dlatego musimy przygotować się do rozwiązania alternatywnego. Ponieważ nasze siły są zbyt szczupłe, on winien nawiązać kontakt z Wojciechem Błasiakiem i rozpocząć z nim rozmowy koalicyjne. Ponieważ jest jeszcze nieco czasu, ja poczekam na ostateczną reakcję PO. Jeżeli ich stanowisko nie ulegnie zmianie, przyłączę się do niego i Błasiaka. Na najbliższym zebraniu PiS powiadomiłem uczestników o planie alternatywnym.
Zaguła z kolei utartym kanałem uderzył do Żelichowskiego i Polaczka – twierdząc, że z oszołomem – Frączkiem nie jest w stanie dojść do porozumienia i oczekuje ich interwencji. Oni z kolei nie chcąc się przyznać, że nie są w stanie spowodować zmiany mojego stanowiska, co byłoby dowodem ich słabości, złożyli mu zgoła fałszywą deklarację. Postępuj z Frączkiem jak chcesz, my szyld PiS-u i tak ci damy.

Aby czytelnik mógł zrozumieć kwestię tego problemu, kilka słów wyjaśnienia. PiS był i jest do chwili obecnej partią częściowo tylko demokratyczną. Wybory odbywają się wyłącznie na szczeblu krajowym i wojewódzkim. Na szczeblu lokalnym, czyli powiatu nie występują. Władzę dyktatorską sprawują tam pełnomocnicy powiatowi, powoływani i odwoływani przez zarządy wojewódzkie. Ja byłem takim pełnomocnikiem. Wspomniana interwencja Zaguły u Polaczka, pozornie tylko była logiczna. Zaguła, występując z zewnątrz nie znał kulisów wewnętrznych układów w zarządzie

wojewódzkim PiS. A nikt z jego przyjaciół (Żelichowski, Polaczek) mu ich nie objaśnił. W rozmowie z nim odgrywali rolę wpływowych wszystkomogących jednostek, co było wyłącznie pozorowaną iluzją. Dyrektywa Jarosława Kaczyńskiego była jednoznaczna. Zmienić pełnomocnika mógł zarząd wojewódzki większością głosów tylko na wyłączny wniosek przewodniczącego (Jerzy Polaczek), przy równoczesnej akceptacji wiceprzewodniczącego (Jędrzej Jędrych). Brak tej akceptacji uniemożliwiał uruchomienie procedury. Frączek, człowiek Jędrycha był przez Polaczka zwalczany, to fakt, ale Polaczek bez zgody Jędrycha nie mógł go odwołać. A w owym okresie takiej zgody nie posiadał. Takie koteryjne układy występują zawsze tam, gdzie nie ma przejrzystych demokratycznych reguł wyboru. Ale o tym niuansie przyjaciele Zaguły nie powiadomili. Nie powiadomili go również o tym, że szyld partii w wyborach zawsze stoi przy osobie pełnomocnika. A zatem ich deklaracja, że Zaguła szyld PiS dostanie bez względu na relacje z pełnomocnikiem, była klasycznym darowaniem Niderlandów. Ale Zaguła o tym nie wiedział. Był przekonany, że przecież ani kolega (Żelichowski), ani poseł na sejm (Polaczek) nie będą go oszukiwali. W rzeczywistości było zgoła odmiennie. Stąd wyprowadził logiczny wniosek. Po co dzielić się władzą z oszołomem Frączkiem, jeżeli można ją dostać od swoich kolegów w wymiarze absolutnym i to za darmo. Powyższa konkluzja zdeterminowała jego dalsze postępowanie. Rozumował logicznie, ale na błędnych przesłankach.

Ja z kolei, mając wiedzę o zaistniałych okolicznościach zacząłem sobie uświadamiać, że koalicji nie będzie. Ustąpić Zagule nie mogłem, ponieważ będąc oszołomem, nie mogłem przystać na bizantyjski model sprawowania przez niego władzy: arogancję, podłość, przekupstwo i tupet. Moje postępowanie determinowała z kolei inna przesłanka. Albo go teraz chwycę za kark i przetrącę psychiczny kręgosłup, albo nie ma sensu jakakolwiek wspólna koabitacja. Jędrych w kwestii układu z Zagułą nie wywierał na mnie presji, aczkolwiek twierdził, że byłoby korzystniej, aby on był. W tej sprawie dostałem od niego wolną rękę. Jednego wszak byłem pewien. Dopóki Zaguła będzie przekonany, że pomijając mnie dostanie więcej niż układając się ze mną to stoję na z góry straconej pozycji. Należało zabić w nim to przeświadczenie. Ale jak to uczynić? Przecież nie mogłem iść i powiedzieć; przestań pajacować, Polaczek z Żelichowskim cię oszukują. Beze mnie brakującego ci szyldu nigdy nie otrzymasz. Ja byłem jego rywalem, niechcianą drzazgą w oku, miernotą według jego standardów. Polaczek był posłem na Sejm, osobą publiczną, autorytetem w dziedzinie polityki. Komu więc w razie rozbieżności zdań dałby wiarę? Oczywiście, że jemu. Ale występowała pewna możliwość zmuszenia Polaczka, by ujawnił mu całą prawdę i wycofał się z torpedowania mojej polityki. Mogłem to osiągnąć wyłącznie w jeden sposób.

Należało postawić Polaczka w takiej sytuacji, aby nie mógł dłużej

popierać Zaguły przeciwko mnie. Postanowiłem udać się do Eugeniusza Kowalskiego, wyjaśnić mu okoliczności i poprosić o odręczne napisanie oświadczenia przedstawiającego fałszerstwo komisji skrutacyjnej w 1991 roku, kiedy to komisja niezgodnie ze stanem faktycznym ogłosiła – Henryka Zagułę prezydentem miasta. To, czy Zaguła zaplanował fałszerstwo, czy dowiedział się o nim dopiero po fakcie, nie miało dla sprawy istotnego znaczenia. Kluczowa była okoliczność, że był beneficjentem oszustwa, że niezgodnie z prawem piastował urząd, wydawał decyzje, pobierał wynagrodzenie i że przejął władzę w konsekwencji matactwa, a nie przewidzianego prawem wolnego wyboru. Dla osoby ubiegającej się o funkcję publiczną jest to śmierć polityczna. Trafiony zatopiony!

Z notatką Gienka planowałem udać się do Polaczka i stwierdzić, że jeżeli nie odwoła bzdur, którymi karmi Zagułę to ja tę notatkę wraz z pismem przewodnim prześlę – Jarosławowi Kaczyńskiemu, aby zainterweniował osobiście. Ponieważ Polaczek mentalnie był jednostką tchórzliwą, jego właściwej reakcji byłem niemal pewien. Kiedy uświadomi Zagule, że bez porozumienia ze mną szyldu PiS nie otrzyma, a on dłużej ze względu na zaistniałe okoliczności popierać go już nie może, miałem ponownie złożyć zdruzgotanemu partnerowi propozycję. Bezwarunkowe przyjęcie moich postulatów lub jego śmierć polityczna. Ponieważ był radnym wojewódzkim, szefem istotnej komisji i wiceprzewodniczącym sejmiku, czyli osobą publiczną, prasa go rozszarpie. Platforma będzie zmuszona do cofnięcia danej mu rekomendacji i wykluczenia go z szeregów. Równocześnie jako beneficjentowi hochsztaplerstwa załamie to całą kampanię. Właściwie to nawet uniemożliwi start. Ale jeżeli przyjmie moje warunki może być inaczej. Ja posiadaną notatkę głęboko zachowam, aby była wyłącznie strażnikiem właściwych relacji między nami w przyszłości.

W życiu potocznym mój plan nazywa się szantażem, w polityce określa się to mianem uchwycenia właściwego argumentu negocjacyjnego.

Po zakończeniu operacji – Wielki Heniek – miał być mój. I tak by się stało, gdybym zakładaną czynność wykonał osobiście, ale na swoje nieszczęście wpadłem na żałosne w skutkach rozwiązanie. Ponieważ – Krzysztof Szydłowski był wówczas bezrobotnym, a ja widziałem go na funkcji rzecznika prasowego urzędu – doszedłem do wniosku, że byłoby korzystnie, gdyby i on przyłożył się do wspólnego dzieła. Ostatecznie na dobrą posadę trzeba zapracować. Ponieważ osobiście znał Gienka, po stosownych wyjaśnieniach powierzyłem mu wykonanie tego zadanie – zdobycia jego pisemnego oświadczenia. Przeważył jeszcze jeden czynnik. W świetle wyznawanych przeze mnie wartości przygotowywany szantaż był moralnie dwuznaczny. Z politycznego punktu widzenia było to jedyne rozwiązanie, z moralnego odczuwałem jednak pewien dyskomfort. A że brudną robotę każdy woli wykonać cudzymi rękami, więc postanowiłem wykorzystać – Szydłowskiego. Ostatecznie dobre posady z nieba nie spadają, a sprawa była tak prosta i oczywista, że wręcz niemożliwa do

spaprania. A jednak wszystko jest możliwe, gdy do gry wchodzi maestro.
I to był mój jedyny błąd w tej operacji.

Zgodnie z instrukcją – Szydłowski podjął kontakt na Eugeniusza Kowalskiego, zreferował sytuację i miast wyrwać od niego notatkę, zaczął go nakłaniać, aby ten ponownie udał się do Zaguły, tym razem z propozycją nie do odrzucenia. Jak nie załatwi intratnego zlecenia dla firmy Gienka, to on zrobi właściwy użytek z posiadanej wiedzy.

Obaj, Gienek i Szydłowski funkcjonowali wówczas w branży budowlanej. Gienek miał firmę elektryczną, którą prowadził wraz z zięciem, drugi na czarno dorabiał na budowach. Właśnie tam nabyli mentalność handlarzy bazarowych. A handlarz bazarowy woli mieć złotówkę od razu, niż w przyszłości zarobić setki. Gienek oczywiście poszedł za jego radą. Zaguła w lot pojął powagę sytuacji i nagle to, co kilkanaście miesięcy wcześniej było niemożliwe, stało się faktem. Aby zatkać mu usta zadeklarował, iż w ciągu dwóch tygodni załatwi intratny przetarg na wymianę sieci odgromowej Urzędu Wojewódzkiego. Oczywiście słowa dotrzymał. Odpowiedź, jaką z kolei ja uzyskałem od Gienka, kiedy zaniepokojony upływającym czasem zwróciłem się w końcu do niego osobiście, była druzgocąca.

- Zaguła wywiązał się z uzgodnień. Teraz ja muszę wywiązać się względem niego. Oświadczenia nie będzie!

W taki sposób, dzięki głupocie Szydłowskiego i przekupstwu Eugeniusza Kowalskiego – Zaguła wytrącił mi z ręki jedyny oręż jakim dysponowałem w tym pojedynku. Wobec braku oświadczenia podpisanego przez członka komisji skrutacyjnej nie mogłem ani zmusić Polaczka do zmiany polityki wymierzonej w moją osobę, ani wywrzeć należytej presji na Zagułę, celem zmiękczenia jego nieprzejednanego stanowiska. To była prawdziwa katastrofa. W tym momencie utraciłem jedyną możliwość uzyskania nad swoim partnerem przewagi strategicznej. W dodatku Zaguła był świadom, że o mały włos, a musiałby przede mną kapitulować i to na bardzo upokarzających warunkach. Musiałby podzielić się przyszłą władzą i być moim zakładnikiem po kres naszej politycznej symbiozy. Samo wspomnienie tego faktu napawało go odruchem wymiotnym.

W takiej sytuacji doszło do naszego trzeciego już spotkania. Było znacznie krótsze od poprzedniego, trwało może dwie minuty. Poszedłem na nie z Arturem Borowiczem. Zaczął od razu podniesionym głosem.

- Zmieniasz stanowisko!

- Nie! – moja odpowiedź.

- Co ty myślisz, że ja podzielę się z tobą władzą?! Ty wiesz, kim jest w firmie główny księgowy?!

- Tak! Wiem, dlatego przy nim obstaję...

- Skoro myślisz, że ci ustąpię, to podejdź do ściany i jebnij się w łeb!
Wstałem i opuściłem pomieszczenie.

Kilka minut później Borowicz przyszedł do mojego biura i stwierdził z nutką zażenowania.

- On rzeczywiście jest chory... Toż to facet psychiczny.

- A nie wiedziałeś?! Ja mam tego świadomość od dobrych paru lat. Szkoda, że nie widziałeś go w akcji, kiedy w swoich rękach miał instrumenty władzy. Teraz rozumiesz, dlaczego nie mogę mu ustąpić.

Ustaliliśmy, że dalsza opcja na PO i Zagułę nie ma już żadnych szans powodzenia. Należy zacieśnić stosunki z Błasiakiem i utworzyć koalicję na osi PiS-UW-Błasiak, z tym ostatnim jako kandydatem na prezydenta. Borowicz, który wypracował już pewne relacje w tym kierunku miał przejąć inicjatywę.

Pierwszy kontakt z Błasiakiem był obiecujący. Mieliśmy podobne spojrzenie na rzeczywistość i zbliżoną wizję rozwoju. Jedyna różnica, jaka między nami występowała związana była bezpośrednio z wykonywaną przez niego profesją – wykładowcy akademickiego. Z wykształcenia socjolog, miał nieodpartą chęć wcielania w życie teoretycznych treści. Przejawiało się to jego nieskrywaną awersją do partii politycznych. Twierdził, że w wyborach bezpośrednich na urząd prezydenta szyldy polityczne nie będą miały decydującego znaczenia. Podpierał to jakimiś badaniami przeprowadzonymi przez swoich studentów. Taka ocena stała w sprzeczności z moim dotychczasowym doświadczeniem. Nie był to jednak czynnik decydujący.

Ważne jest, że szybko osiągnęliśmy porozumienie w kwestiach zasadniczych. Deklarował przyznanie mi funkcji zastępcy oraz skarbnika miasta. Stwierdził, że nie zamierza kraść pieniędzy, dlatego stanowisko głównego księgowego budżetu jest gotów oddać, byle tylko merytorycznie kompetentnej osobie. Do ustalenia pozostała jeszcze funkcja sekretarza i kwestia finansowania kampanii oraz doszlifowanie personalnego składu kandydatów na radnych. Muszę przyznać, że klimat rozmów z Błasiakiem znacznie odbiegał od dotychczas mi znanego z Zagułą i Sokolińskim. Był życzliwy i konstruktywny. Zakładałem, że w ciągu najbliższych dwóch tygodni domkniemy wszelkie kwestie sporne. Ważne, że klimat był sprzyjający i wyczuwałem atmosferę bliską porozumieniu.

Obiektywnie rzecz biorąc, wobec fiaska rozmów z PO układ z Błasiakiem był jedynym logicznym rozwiązaniem. Był on korzystny dla obu stron. PiS i UW dawał poważnego kandydata na prezydenta, Błasiaka z kolei wprowadzał do pierwszej ligi kandydatów z szansami na elekcję.

Zadecydował jednak, jak często bywa – przypadek. Któregoś dnia, idąc ulicą spotkałem Krzysztofa Lagę, kiedyś KPN, obecnie PO. Zwyczajowo nawiązaliśmy konwersację na aktualne tematy. W jej trakcie w sposób

stanowczy oświadczyłem, że jestem w trakcie zaawansowanych rozmów z Błasiakiem i jeżeli Zaguła w ciągu najbliższych dwóch tygodni nie opanuje sytuacji w PO i nie zawrze adekwatnego do układu sił porozumienia, to do wyborów pójdę z Błasiakiem. Było to oświadczenie zgodne z moimi intencjami i stanem faktycznym. W momencie wypowiadania tej kwestii nie miałem jeszcze świadomości, jak bardzo brzemienne w skutkach będą konsekwencje tych słów.

Kilka dni później zadzwonił do mnie – Jędrzej Jędrych.

- Słyszałem, że planujesz koalicję z Błasiakiem?

- Tak! Nie mam innego wyjścia, ponieważ nie widzę szans na porozumienie z PO.

- Nie tak szybko, musisz rozmowy przerwać.

- Dlaczego?! Układ z Błasiakiem jest jedyną szansą ...

- Byli u mnie Laga z Zagułą i prosili, abym zawrócił cię z tej drogi. I ja im to obiecałem.

- Zrobiłeś poważny błąd.

- Błąd czy nie błąd, liczy się fakt. Już złożyłem wiążącą deklarację i postawiłbyś mnie w bardzo niekorzystnym świetle, gdybyś tego nie wykonał.

- Ale taki ruch wysadza mi w powietrze całą konstrukcję...

- Pamiętaj, że pełnomocnikiem jesteś wyłącznie dzięki mojej protekcji. Ty miałeś prośbę, ja ją spełniłem. Teraz ja do ciebie mam prośbę, a ty winien mi jesteś dług wdzięczności. Dałem słowo i ono musi być dotrzymane. Więc jak będzie?

- Jest to dla mnie niekorzystne, ale wykonam. Zerwę rozmowy.

- I o to chodzi. W zamian za to nie będę ingerował w twoje rozgrywki z Zagułą. Sprawa warunków układu z Zagułą jest tylko i wyłącznie waszą sprawą.

- Cześć.

Ten przypadek wskazuje, jak zwykła niepozorna uliczna rozmowa może pokrzyżować szyki. Postraszyłem Lagę układem z Błasiakiem, a ten wystraszony takim obrotem sprawy, bierze Zagułę i razem udają się do Jędrycha, z którym Laga posiadał prywatne relacje. Proszą go, aby będąc moim zwierzchnikiem, wywarł na mnie presję, abym układu z Błasiakiem zaniechał. Gdyby Jędrych był rasowym politykiem, wysłuchałby ich argumentacji, po czym wykonał telefon do mnie, celem wysondowania opinii drugiej strony. Mógł również odmówić jakiejkolwiek interwencji, stwierdzając, że nie posiada stosownych kompetencji. Polityka na szczeblu miasta leży wyłącznie w gestii pełnomocnika. On co najwyżej może rozmawiać na tematy wojewódzkie.
Ale Jędrych zachował się inaczej. Chcąc zaimponować koledze i podkreślić swoją władzę, bez konsultacji ze mną złożył im wiążącą deklarację. Deklarację wielce dla mnie niekorzystną. Później oczywiście wystąpił problem z jej realizacją. W ostateczności, widząc mój opór, odwołał się do kwestii lojalności.

Ponieważ politycznie byłem jego dłużnikiem (kwestia pełnomocnictwa), dlatego nie mam prawa przeciwstawić się jego życzeniu. I tym mnie ostatecznie zmolestował, wszak jestem człowiekiem, który ceni honor i lojalność.
Tak, przypadkowe spotkanie z Lagą i luźna wymiana zdań spowodowały nieodwracalny bieg wydarzeń. A w jego konsekwencji zupełnie inny, niepożądany dla mnie bieg spraw.

Poinformowałem Borowicza, że wycofuję się z dalszych pertraktacji z Błasiakiem. Stwierdził, że on uczyni analogicznie, ponieważ układ ten ma sens tylko wówczas, kiedy uczestniczy w nim PiS.

Kilka dni później dzwoni – Zaguła. Chce się spotkać na rozmowie ostatniej szansy. Przychodzi z Sokolińskim. Byłem przekonany, że mają jakieś propozycje kompromisowe, ale gdzie tam – stara śpiewka. Podsuwają mi do podpisu starą treść porozumienia, którą już dawno odrzuciłem, ponieważ było zbyt ogólnikowe. Jemu deklarowała poparcie PiS na urząd prezydenta, a mnie z kolei niewiążące, mgliste obietnice, z których zawsze mógłby się wycofać. Typowy negocjacyjny bełkot.

Kiedy po raz kolejny odmawiam, Zaguła oświadcza, że z jego strony jest to ostatnia propozycja skierowana pod moim adresem. Jeżeli teraz nie złożę swojego podpisu, to definitywnie wypadnę z gry. Jerzy Polaczek zadeklarował, że jeżeli ja odmówię, to on udzieli mu poparcia, aby w kampanii otrzymał prawo do używania szyldu PiS.

- To jest niemożliwe – oświadczam – szyld partii jest zawsze przy pełnomocniku. Póki co, na terenie tego miasta jest przy mnie.

- Zaryzykujesz?

- Zaryzykuję!

- A więc jesteś za burtą!

Pewni siebie opuszczają moje biuro. Jest to ostatnia wymiana zdań, jaką odbyłem z Henrykiem Zagułą, osobą uważająca siebie za Boga w ludzkiej postaci. Nasz pojedynek dobiegł końca. On nie złamał mnie, ani ja jego. Chciał wyprowadzić mnie w pole, ale się nie dałem. Jednego byłem pewien. Pojedynek z Bogiem mam już za sobą. Po okresie napięć, jakie towarzyszyły mi w konfrontacji z nim i jego zapleczem, wyraźnie odczułem wewnętrzną ulgę.

Rozdział XXXV
NA GRANICY ŻYCIA

Odkąd wymyśliłem strategię szerokiej koalicji, byłem absolutnie przekonany, iż mimo „trzaskania po szczękach" do sojuszu z PO ostatecznie dojdzie. Takie rozwiązanie dyktowały logika i obopólny interes. Dlatego pozyskując zwolenników do swojego obozu, postępowałem niezwykle ostrożnie. Chodziło o to, aby kadrowo nadmiernie się nie rozwinąć, ponieważ w przyszłości mogłoby to wywołać wewnętrzne perturbacje. Za wszelką cenę chciałem uniknąć takiej sytuacji, iż osobie, której wcześniej zadeklaruję ubieganie się o mandat radnego, będę musiał później odmówić, gdyż zabrakło miejsc. Można komuś oferty nie składać, ale po jej złożeniu musi być dotrzymana z żelazną konsekwencją. W przeciwnym wypadku wymanewrowana osoba zostanie moim śmiertelnym wrogiem. Chcąc uniknąć takiego blamażu postępowałem w sposób niezwykle asekurancki.

Do obsadzenia było 5 okręgów po 10 kandydatów każdy – razem 50 osób – rozrzuconych terytorialnie. Będąc przekonanym, że zawiążemy koalicję na osi PiS-PO-UW, byłem przygotowany do obsady - 4 miejsc w każdym okręgu, czyli w sumie - 20 osób. PO miało obsadzić tyle samo, UW połowę z tego. Takiemu rozwiązaniu podporządkowałem swoje postępowanie i do niego byłem w pełni przygotowany.

Dysponowałem oczywiście możliwością zwiększenia swoich aktywów, ale wymagało to czasu (2 miesiące). Posiadałem bowiem stosunkowo obszerną bazę potencjalnego elektoratu prawicowego, którą zgromadziłem w okresie mojej aktywności politycznej. Musiałbym do tych osób rozesłać listy o charakterze informacyjnym, prosząc zainteresowanych o kontakt zwrotny. Z tak wyselekcjonowaną grupą odbyć trzy, cztery spotkania, celem wyłuskania najwartościowszych jednostek. I dopiero im składać konkretne propozycje. Wymagało to czasu, zachodu i oczywiście pieniędzy. Dlatego powyższy ruch trzymałem w rezerwie jako ostateczność, gdyby pojawiły się istotne problemy kadrowe.

Artur Borowicz deklarował, że chce obsadzić po 2 miejsca w każdym okręgu, w sumie 10 osób i na to ma ludzi przygotowanych. Ale ponieważ ma w partii ponad trzydziestu członków, dlatego jeżeli zajdzie potrzeba, to jest w stanie uruchomić rezerwę na głębokość dodatkowej duszyczki w okręgu.

- Skąd zatem wziąć resztę na wypełnienie luki po PO?

Sytuację ratowałby komitet Błasiaka, ale z przyczyn już przedłożonych musiałem się wycofać ze współpracy z nim, aby Jędrych mógł dotrzymać słowa nieopatrznie danego – Krzysztofowi Ladze.

Na placu boju pozostawała jeszcze Liga Polskich Rodzin. Odkąd sięgam pamięcią, na naszym terenie nigdy nie wykrystalizowało się środowisko

narodowe. Niegdyś ZChN, obecnie LPR rekrutowała się przeważnie z osób funkcjonujących wokół środowisk kościelnych, świeckich aktywistów katolickich, katechetów itp. Spoiwem, które ich łączyło była nie tyle orientacja polityczna, co raczej sentymenty religijne. Wiara w to, że manifestując na ziemi przesłania religijne, zasłużą w zaświatach na zbawienie wieczne. Intelektualnie nigdy nie stali na wysokim poziomie. Nadmierne eksponowanie haseł religijnych skutecznie bowiem odrzucało od nich jednostki bardziej wyrobione politycznie. Na czele tego środowiska stał – Marek Kierkowski (świecki działacz katolicki). Od kilku miesięcy bezskutecznie zabiegałem o ich pozyskanie. Konsekwentnie odmawiali, twierdząc, że PiS to oni akceptują, ale nigdy nie wejdą w sojusz z PO i UW, bo to antychryści i złodzieje.

Patrząc z pozycji politycznej, PO i UW były dla mnie atrakcyjniejszym partnerem, dlatego ewentualność sojuszu z LPR traktowałem dotychczas wyłącznie w kategoriach politycznego folkloru.

Obecnie w momencie definitywnego odejścia PO, ich pozyskanie i przyciągnięcie do mojego obozu nabrało znaczenia priorytetowego.

Po jakimś czasie panowie z LPR uświadomili sobie, że są zbyt słabi, aby samodzielnie utworzyć własny komitet wyborczy, jak chcieli ich przełożeni. Stanęli przed dylematem: albo nie brać udziału w wyborach, albo podczepić się pod jakąś siłę polityczną. Do wyboru mieli dwie: PO lub PiS-UW.

Analogiczny problem do mojego posiadał również – Stanisław Sokoliński. Jemu również brakowało duszyczek do pełnego obsadzenia list wyborczych. Obaj w tym samym czasie rozpoczęliśmy zabiegi o pozyskanie LPR, który nagle stał się bardzo cennym partnerem. I na tym polu, to ja wygrałem rywalizację. Dysponowałem przewagą, ponieważ mogłem im zaproponować znacznie więcej.

PO w zamian za kontyngent duszyczek proponowała im funkcję zastępcy prezydenta. Osoba ewentualnego kandydata nawet ich nie interesowała, ponieważ zastępcę – prezydent zawsze może odwołać, wedle własnego uznania. Chcąc ich podkupić musiałem przebić ofertę PO, więc zaproponowałem im funkcję kandydata na prezydenta. W związku z powyższym, przebiłem ofertę rywala i w ostatniej chwili wyrwałem LPR z rąk PO.

Zarówno Zagula, jak i ja oferowaliśmy LPR Niderlandy. On dlatego, że nawet nie interesowała go osoba ewentualnego kandydata, co jednoznacznie dowodziło, że będzie on zastępcą wyłącznie wirtualnym (do momentu elekcji). Ja z kolei, ponieważ byłem w pełni świadomy, że nasz obóz nie jest w stanie wygrać wyborów prezydenckich. Ale oni tej świadomości nie mieli. Istotnym był fakt, że w ostateczności wybrali mnie, a nie Zagułę.

W przypadku LPR interesowała mnie tylko jedna kwestia – ilu kandydatów mają przygotowanych do wystawienia na listy wyborcze.

- Nie mniej niż trzech w każdym okręgu, a w niektórych czterech – padła odpowiedź Kierkowskiego.

Odetchnąłem z ulgą. Jesteśmy uratowany, nimi wypełnimy istniejące wakaty.

W konsekwencji oświadczeń jego i Borowicza, postanowiłem nie wykonywać dodatkowej operacji werbunkowej jako w tej sytuacji zbędnej. W świetle ich deklaracji, listy mieliśmy kompletne.

Moja strategia opierała się na następującej przesłance. Aby mieć szansę na władzę wykonawczą (prezydent miasta), należało być w koalicji albo z PO, albo z Wojciechem Błasiakiem.

Ponieważ Zaguła nie chciał uznać w mojej osobie pełnoprawnego partnera, a jego polityczne zaplecze (PO) nie chciało uznać mojego zaplecza (PiS) za partnera, koalicji nie mogliśmy zawrzeć. W takiej sytuacji logiczne z mojej strony było zbliżenie z Wojciechem Błasiakiem. Jego problem był nieco inny. Dysponował znikomymi aktywami, ale stosunkowo atrakcyjną swoją kandydaturą na urząd prezydenta. Docelowym rozwiązaniem było utworzenie koalicji na osi PiS-UW-LPR-Komitet Błasiaka – z nim jako kandydatem na urząd prezydenta. W świetle fiaska pertraktacji z PO w tym kierunku szły moje zamierzenia. Wiedziałem, że bez PO nie jesteśmy w stanie uchwycić władzy wykonawczej, dlatego tylko takie rozwiązanie miało jeszcze widoki na powodzenie. Ale przez swojego przełożonego (Jędrzej Jędrych) zostałem zmuszony do wycofania się z tego wariantu. W efekcie, tworzona przeze mnie koalicja nie posiadała istotnego kandydata na urząd prezydenta. Dlatego, w zamian za przyłączenie się LPR do mnie, a nie PO, mogłem płacić wirtualną walutą (kandydaturą na prezydenta).

Kandydat na prezydenta wystawiony przez LPR nazywał się – Krzysztof Holeczek i był nauczycielem. Nigdy wcześniej go nie poznałem, co było wymiernym dowodem jego dotychczasowego braku aktywności na niwie politycznej. Prywatnie był człowiekiem sympatycznym i stosunkowo skromnym. W każdym razie w jego postępowaniu nie wychwyciłem żadnych elementów pazerności cechujących ludzi polityki. Prywatnie nawet go polubiłem, co nie zmieniało faktu, że był w tym wyścigu bez szans. W końcu sam to zrozumiał i jak na człowieka skromnego przystało, po krótkim okresie wycofał się z dalszego uskuteczniania farsy.

Ponieważ LPR nie miał nikogo w zastępstwie, a kandydata na prezydenta trzeba było wystawić, w grę wchodziły tylko dwie osoby: moja lub Artura Borowicza. Ja kandydować nie chciałem, ponieważ byłem w pełni świadomy wyborczej przegranej, nie posiadałem odpowiednich aktywów finansowych,

żeby chociaż przegrać w przyzwoitym stylu. Byłem w pełni świadom, że kandydując okryję się niesławą i politycznie skompromituję swoją osobę.
Artur Borowicz z kolei – palił się do tej gry o pietruszkę. Z początku nie mogłem zrozumieć, dlaczego występuje u niego taki zapał do uczestnictwa w tym przegranym wyścigu. Kiedy w końcu zrozumiałem, było już za późno.

Nadszedł moment weryfikacji składanych wcześniej deklaracji, rozumiany jako wystawianie konkretnych osób na listy wyborcze. I tutaj po raz kolejny spadł na mnie cios. Okazało się, że koalicja PiS-UW-LPR nie jest w stanie obsadzić deklarowanych wcześniej miejsc. W poszczególnych okręgach wystąpiła spora liczba wakatów. A ci kandydaci, którzy się pojawili, w znacznej większości nie spełniali podstawowych norm jakościowych. Po dwóch zebraniach z całością – zrozumiałem, że sytuacja jest dramatyczna.

Główny problem stanowiła LPR. Okazało się, że panowie katolicy mimo werbalnych deklaracji o wyznawaniu nauk Jezusa, w praktyce z dekalogiem nie mieli wiele wspólnego. Ich wcześniejsze deklaracje, że obsadzą w każdym okręgu po trzy, a w niektórych po cztery miejsca można było między bajki włożyć. W ostateczności średnio wystawili po dwie osoby, i to z drobnymi wyjątkami bardzo słabej jakości. Problem leżał w tym, że formacja polityczna manifestująca w sposób ekspresyjny treści religijne nie jest w stanie przyciągnąć do siebie jednostek rozwiniętych intelektualnie. Bazuje na różnej maści katolikach świeckich, katechetach, jak również ludziach w wieku podeszłym. Dodatkowym elementem wyróżniającym była stosunkowo niska zawartość ich portfeli, co spowodowało na ich wyraźne żądanie zaniżenie wysokości obowiązkowych wpłat finansowych. To z kolei miało istotny wpływ na jakość i rozmach kampanii, która rysowała się nad wyraz skromnie.

- Dlaczego Marek Kierkowski od początku nie poinformował mnie, jak wygląda stan faktyczny?

Odpowiedź jest oczywista. Obawiał się, że kiedy ujawni prawdę – zostanie potraktowany na znacznie gorszych warunkach, niż jak przedstawi prawdę podbarwioną. Wszak pozycja negocjacyjna jest zawsze uzależniona od układu sił i wnoszonych aktywów. Chcąc uzyskać znacznie korzystniejszą pozycję negocjacyjną, posunął się więc do oszustwa. Dzięki tej zagrywce otrzymał znacznie lepsze warunki niż mu się należały, ale załamał kampanię.

Artur Borowicz z kolei, mimo że nie był osobą religijną, wykazał się nieco większą uczciwością, aczkolwiek też nie do końca. Dotrzymał co prawda słowa, że obsadzi po dwie osoby w każdym okręgu, ale przemilczał już fakt, że będą to jednostki stosunkowo słabe. Przez cały czas naszej znajomości utrzymywał mnie w przekonaniu, że dysponując trzydziestoma paroma członkami, w razie problemów jest w stanie wypełnić ewentualne wakaty. W końcówce okazało się, że jego deklaracje, podobnie jak Kierkowskiego były

blefem, obliczonym na uzyskanie lepszej pozycji przetargowej.

Finał całego zamieszania był opłakany. Na miesiąc przed rejestracją listy okazało się, że moi partnerzy nie są ludźmi wiarygodnymi. Średnio występowały po dwa, trzy wakaty w każdym okręgu, ponadto znaczna część wystawionych już osób była jednostkami trzeciorzędnymi, zdolnymi do uzyskiwania zaledwie kilkunastu głosów, wyłącznie swojej rodziny i najbliższych znajomych. Zrozumiałem, że po raz kolejny stoję na progu wyborczej masakry.

Chcąc ratować sytuację, przeprowadziłem totalną mobilizację swoich ludzi, celem pozyskania dodatkowych duszyczek mogących zapełnić wytworzone luki. Tą drogą pozyskałem trzy, ale była to kropla w morzu potrzeb. Ponadto, ze swojego komputera wydrukowałem listę osób, które z ramienia Unii Wolności kandydowały w wyborach 1998, i przekazałem ją – Mieczysławowi Szumiałowi (pełnomocnik wyborczy z ramienia UW) z zaleceniem, aby korzystając z niej, przeprowadził dodatkowy werbunek. Była to sytuacja wręcz groteskowa. Człowiek, który nigdy nie był członkiem UW, przekazuje członkowi zarządu tejże partii – wykaz osób, które z jej ramienia kandydowały w poprzednich wyborach, ponieważ on takowej nie posiada.

Mimo dramatyzmu sytuacji zarówno Kierkowski, jak i Borowicz zachowywali się nieracjonalnie. Marek Kierkowski (główny sprawca zamieszania) z wrodzonym sobie wdziękiem udawał, że nic takiego się nie wydarzyło, a w ogóle to wcale nie dostrzegał swojej winy. Miło się uśmiechał, przewracał oczami i na ogół milczał.

Borowicz z kolei jako bardziej inteligentny, zdawał sobie sprawę z położenia, ale je bagatelizował. Ostatecznie przecież dotrzymał słowa. Miał wystawić po dwóch kandydatów w okręgu i wystawił. To, że są to jednostki słabe i, że nie dysponuje rezerwami, chociaż wcześniej zapewniał, że je posiada to przecież drobny szczegół, który się jakoś naprawi. Problem jednak leżał w tym, że nic nie naprawi się samo.

Dodatkowo rzucił mi się w oczy dziwny fakt. Borowicza dopełnianie listy kandydatów na radnych niemal nie interesowało, priorytetem dla niego było kandydowanie na urząd prezydenta. Z początku nie rozumiałem, o co mu chodzi! Przecież jest inteligentny i zdaje sobie sprawę z nieuchronnego fiaska.

- Więc po co koniecznie chce kandydować?

W konsekwencji wytworzonej sytuacji między mną, Borowiczem i Kierkowskim zaczęło iskrzyć. Zacząłem wywierać na nich presję, aby stanęli na głowie i naprawili konsekwencje swojego oszustwa. Wobec braku właściwej reakcji z ich strony, posunąłem się do szantażu. Jeżeli nie przystąpią do naprawiania swoich błędów, nastąpi renegocjacja pozycji na listach i kandydata na urząd prezydenta. PiS wycofa poparcie dla Borowicza i wystawi moją kandydaturę. Zwołałem nadzwyczajne zebranie swojego środowiska i

uzyskałem akceptację takowego działania.

Faktem jest, że bardziej od Borowicza namieszał – Kierkowski. Ja jednak nigdy tego ostatniego nie traktowałem jako poważnego partnera. Z jego zachowania i dotychczasowej postawy jednoznacznie wynikało, że polityka nie jest jego domeną. Zresztą nigdy w niej nie funkcjonował, operując wyłącznie w środowisku ludzi związanych z Kościołem, czyli mało rozgarniętych.

Borowicz to zupełnie inne zagadnienie. Inteligentny, wykształcony, w lot pojmował problematykę. O ile Kierkowski był nieświadom sytuacji, o tyle on, pojmował ją w całej złożoności. Dodatkowo pełnił funkcję zastępcy Dyrektora Wydziału Zdrowia Urzędu Marszałkowskiego, gdzie za publiczne pieniądze ukończył kilka kursów, na których nauczono go podstawowych mechanizmów manipulacji i politycznej rozgrywki.

O ile zachowanie i postawę Kierkowskiego można wytłumaczyć głupotą, o tyle Borowicza wyłącznie świadomym działaniem. I te okoliczności powodowały, że za wytworzony impas bardziej obwiniałem Borowicza niż Kierkowskiego. Dziecku można darować występek, dojrzałemu mężczyźnie nie.

Pikanterii przyprawiało zdarzenie, że z Borowiczem współpracowałem już od pół roku. To ja przygarnąłem go pod swoje skrzydła, kiedy jego koledzy z dawnej Unii Wolności, obecnie Platformy Obywatelskiej nawet nie chcieli o nim słyszeć. Wtajemniczyłem go w zarys swojej polityki, traktowałem jak partnera. A on odpłacił mi się oszustwem. Przecież gdyby w odpowiednim momencie wyznał mi prawdę odnośnie posiadanych aktywów, to nic takiego by się nie wydarzyło. Ja miałbym czas na pozyskanie dodatkowych kandydatów (nie czterech, lecz sześciu) w każdym okręgu i sprawa byłaby załatwiona. Oczywiście, wówczas nie on, lecz ja byłbym kandydatem na prezydenta miasta. Ale uczciwe postępowanie, kłóciłoby się z taktyką, jakiej nauczono go na wspomnianych kursach dla państwowych menedżerów. Najważniejsze jest oszustwo i wykiwanie partnera. To, że na powyższym traci ogół, to już nieistotny szczegół.

Borowicz szybko uświadomił sobie, że przejrzałem jego grę. Mój szantaż odebrał bardzo poważnie zawierając taktyczny sojusz z Kierkowskim. Wszak obaj byli zagrożeni zmianą mojej postawy. A nic tak nie cementuje solidarności jak wspólne zagrożenie. W konsekwencji tego aliansu nie byłem w stanie przeprowadzić renegocjacji pozycji na listach, ani osoby kandydata na prezydenta.

W jednym wszakże punkcie mój straszak spełnił pozytywną rolę. Borowicz zakasał rękawy i zaczął werbować brakujące duszyczki. Oczywiście w ostatniej chwili, za pięć dwunasta, jedyne, co mógł uczynić to molestować swoich znajomych. W konsekwencji powyższego – listy zostały dobite, ale nie kandydatami, lecz martwymi duszami. W tym sensie martwymi, że ludzie byli autentyczni, ale na liście znaleźli się nie z własnej woli, lecz w wyniku molestu

psychicznego i jednoznacznie deklarowali, że żadnej kampanii to oni prowadzić nie będą, gdyż ta ich nie interesuje. Wyświadczają jednak przysługę, ponieważ użyczają swojego nazwiska.

W takich okolicznościach, w sytuacji poważnego antagonizmu doszło do naszego ostatniego spotkania koalicyjnego. Jego celem było ostateczne ukształtowanie list wyborczych. Pozycje poszczególnych ugrupowań były wcześniej ustalone, teraz należało pod nie podłożyć konkretne osoby. W ostatniej chwili, dzięki mojemu szantażowi udało się wypełnić wakaty, dobijając listy martwymi duszami. Formalnie wszystko się zgadzało, faktycznie nad naszym komitetem zawisła wizja klęski. Teoretycznie winniśmy uzyskać po jednym mandacie w okręgu, faktycznie ze względu na martwe dusze i to stało pod znakiem zapytania. Kandydat na prezydenta z góry skazany był na zagładę.

Kiedy ustaliliśmy ostateczny kształt list – Kierkowski wyszedł, ponieważ jak zwykle miał jakieś dodatkowe zajęcia. Zostaliśmy z Borowiczem sami. Przed nami był jeszcze jeden problem do rozwiązania. Jak mamy postępować wobec siebie i jak prowadzić kampanię wyborczą. W świetle ostatnich wydarzeń nasze wzajemne relacje były w opłakanym stanie. Obaj straciliśmy do siebie zaufanie.

Wiedziałem już, że Irena Wartak – wypowiadając się na jego temat – miała absolutną rację. On z kolei wiedział, że ja już wiem. Utracone zaufanie było nie do odzyskania, ale przecież trzeba było jakoś ułożyć wzajemne relacje. Wszak przed nami jeszcze kampania.

Aby wytworzyć lepszy klimat, zaproponowałem alkohol. Przystał.
Mimo znacznej jego ilości rozmowa nijak się nie kleiła. Wyrzucałem mu wzajemne żale, stwierdziłem, że popełniłem błąd, nadmiernie mu ufając i powiedziałem wprost, iż wiem, że zaraz po wyborach mnie zdradzi. Jego nadmierną pazerność, by kandydować na urząd prezydenta – tłumaczyłem zajęciem dogodnej pozycji przetargowej przed drugą turą. Biorąc pod uwagę jego dotychczasowe postępowanie byłem przekonany, że przed drugą turą, za moimi plecami porozumie się z Zagułą. Tłumaczyłem to faktem, że za dwa miesiące straci pracę w Urzędzie Marszałkowskim i będzie chciał się sprzedać za cokolwiek, byle tylko otrzymać pracę w administracji. Im więcej wypijaliśmy wódki, tym bardziej byłem rozżalony. Alkohol jedynie potęgował pogłębiający się stanu frustracji, aż w końcu rzeczywistość rozpłynęła się w pijanym widzie. W stanie upojenia późną nocą zostałem przez niego odwieziony pod swój blok. I tu zaszło pewne zdarzenie, którego wcześniej, ani później nigdy nie doświadczyłem. Nie mogłem wejść po schodach na trzecie piętro. Abstynentem nie jestem i nieraz przytrafiało mi się być w stanie upojenia alkoholowego, ale tym razem byłem pijany jakoś inaczej.
Odmienność polegała na tym, iż nogi kategorycznie odmawiały mi posłuszeństwa, uginały się w kolanach i nijak nie chciały utrzymać sztywności.

W rezultacie nie mogłem wykonać kroku, aby wspiąć się po schodach. Moja głowa zachowywała się analogicznie, cały czas uciekała do tyłu nie mogąc przyjąć na szyi pozycji pionowej. Świadomość otaczającej mnie rzeczywistości jednak zachowywałem. Ponieważ mogłem jeszcze chodzić po płaskim terenie, natomiast sforsowanie schodów było poza zasięgiem moich możliwości, postanowiłem udać się na pobliską ławkę, by tam odpocząć, licząc, że z biegiem czasu kryzys minie. Wszak muszę wytrzeźwieć.

I tutaj wystąpiło kolejne zjawisko, jakiego wcześniej nigdy nie doświadczyłem. W miarę upływu czasu – miast trzeźwieć, mój stan ciągle się pogarszał. Nad ranem nie mogłem już ustać na nogach, nawet na płaskim terenie. W miarę upływu czasu, stawałem się coraz bardziej pijany. W końcu przy kolejnej próbie powstania, upadłem obok ławki, a rzeczywistość rozpłynęła się w ciemnej pomroczności.

Świadomość odzyskałem dopiero na łóżku szpitalnym. Leżałem na wznak z kroplówką podpiętą do żyły. Kiedy odzyskałem zdolność postrzegania, okazało się, że w stanie kompletnej nieświadomości przebywałem cały następny dzień. Nie wiem, jak fachowo nazywa się to zjawisko, ale z tego co mi później objaśnił lekarz, był to stan, w który zapadają klasyczni alkoholicy, spożywający alkohol przez co najmniej miesiąc non stop. Kiedy mu powiedziałem, że wódki nie piłem od miesiąca i wypiłem tylko jeden raz w ilości około pół litra, nie chciał uwierzyć. Stwierdził, że to jest niemożliwe, musiałem pić co najmniej przez miesiąc. Stan ten polega na drastycznym obniżeniu poziomu cukru we krwi. Zbyt mała ilość cukru z kolei powoduje, że wprowadzony do układu krwionośnego alkohol nie jest w stanie ulec spaleniu, a zatem człowiek nie jest w stanie wytrzeźwieć. Jeżeli na czas delikwentowi nie zostanie udzielona pomoc medyczna w postaci wprowadzenia kroplówką glukozy, po około 48-godzinach przebywania w pomroczności – delikwent schodzi. Ponieważ przebywałem w tym stanie pół nocy i kolejny dzień, miałem przed sobą jeszcze tylko kilka godzin życia. Gdyby pomoc nadeszła kilka godzin później, ta książka nigdy by nie powstała.

Z pozycji medycznych lekarza zainteresował fakt, w jaki sposób mogłem swój organizm doprowadzić do takiego stanu, skoro zjawisko drastycznego obniżenia poziomu cukru we krwi wystąpiło po jednorazowym spożyciu alkoholu, a nie co najmniej miesięcznym ciągu.

Wyjaśniłem, że była to konsekwencja zbyt nerwowego trybu życia, jaki prowadziłem w ostatnim okresie. Przez ponad miesiąc, odkąd się zorientowałem, że moi polityczni partnerzy są oszustami, żyłem w ustawicznym stresie. Ponieważ jestem osobą stosunkowo nerwową, stres w moim przypadku objawia się niemożnością spożywania posiłków. Praktycznie przez ostatni miesiąc jadałem po dwie kromki chleba dziennie, wypijając jedynie znaczne ilości herbaty. Ukułem nawet powiedzenie, że ciepła herbata głód oszukuje. I

właśnie to zagłodzenie organizmu było bezpośrednią przyczyną obniżenia poziomu cukru. W tak zrujnowany organizm, wpompowałem jednorazowo pewną dawkę alkoholu i wystąpił właśnie wspomniany efekt.

Uwierzył dopiero pod sam koniec mojego pobytu, kiedy przeszedłem wszystkie badania, łącznie z tomografią mózgu. Okazało się, że z powyższej pomroczności wyszedłem bez jakiegokolwiek szwanku zdrowotnego.

Dopiero wówczas stwierdził, że rzeczywiście nie jestem alkoholikiem, ponieważ w przypadku alkoholika możliwe są wyłącznie dwie ewentualności: zgon albo przynajmniej częściowy paraliż mózgu. A ponieważ w moim przypadku nic takiego nie wystąpiło jest to dowodem, iż mój organizm nie był poddawany długotrwałemu działaniu alkoholu.

Stwierdził, że w jego ponad dwudziestoletniej praktyce lekarskiej jestem jedynym pacjentem, który trafił z tą dolegliwością i wyszedł z niej bez jakiegokolwiek uszczerbku na zdrowiu. W około dwudziestu analogicznych przypadkach, z jakimi się zetknął – część zmarła, część wyszła sparaliżowana.

Przebywając niemal tydzień w szpitalu miałem wystarczający czas, aby spokojnie przemyśleć dotychczasowe wydarzenia. Po kilkumiesięcznym życiu na obrotach, przepychankach z PO, z Zagułą, a później z moimi sojusznikami nagle znalazłem się w pasywnym bezruchu. Nie wiem, ale leżąc na szpitalnym łóżku, nie odczuwałem przemożnej chęci powrotu do pozostawionej rzeczywistości. Odbierałem ją jako pasmo głupoty, obłudy i blefu. Kłamią i oszukują wszyscy: wierzący i niewierzący, mądrzy i głupi, wykształceni i niewykształceni.

Wiedziałem, że najprawdopodobniej wybory zostaną przegrane (brak koalicji z PO lub Błasiakiem), a mój sojusznik – Artur Borowicz kandyduje wyłącznie w celu zafunkcjonowania politycznego, tylko po to, aby później korzystniejszej się sprzedać temu, kto zaoferuje więcej.

Posunął się nawet do klasycznego blefu, znacznie przeszacowując swoje aktywa, tylko po to, aby wywrzeć na mnie pożądane wrażenie. To, że tym samym pogrążył interes ogółu, nie ma dla niego żadnego znaczenia. Liczy się wyłącznie stołek, stołek i jeszcze raz stołek. Zresztą ci, którzy go otaczają nie mają nawet pełnej świadomości tego faktu. Katolik Kierkowski z kolei – swoim postępowaniem bardziej przypomina dziecko niż mężczyznę, drugi Talkowski.

Miałem pretensje do siebie, że dałem się ograć. Z Zagułą postępowałem prawidłowo, wręcz modelowo, natomiast Borowicza się nie ustrzegłem, chociaż byłem przed nim ostrzegany. Różnica polegała na tym, że Zagułę znałem wcześniej i doskonale wiedziałem, czego się mogę po nim spodziewać, Borowicza – nie. Popełniłem niewybaczalny błąd, bezkrytycznie ufając swojemu partnerowi. Zapomniałem o starej zasadzie “przede wszystkim sprawdzaj przyjaciół, bo z wrogami zawsze sobie poradzisz”. Byłem na siebie wściekły, wiedząc, że po raz kolejny – przegrałem. Wiedziałem, że Irena Wartak wypowiadając niegdyś swoje sądy o jego osobie mówiła prawdę.

Zorientowałem się jednak zbyt późno. Obecnie już niczego nie mogę zmienić. Mogę tylko zrobić dobrą minę i iść na dno z gracją.

Żeby tak można było cofnąć czas o trzy miesiące wstecz. Nie oglądałbym się na żadnych sojuszników, tylko prowadził ustawiczny werbunek pod szyldem PiS, przejął w koalicji 80 procent aktywów i podyktował im swoje warunki. A tak, po raz kolejny wyszedłem na idiotę. W dodatku powyższe problemy o mały włos nie przepłaciłem życiem lub trwałym kalectwem.

Nic dziwnego, że będąc w takim stanie psychicznym nie bardzo paliłem się to opuszczenia szpitalnego łóżka. Ale tam za murami czekały na mnie - 23 osoby kandydujące z puli partii, której ja przewodziłem. Musiałem wrócić, choćby po to, aby im pomóc w kampanii. Wycofać się nie mogłem, chociaż miałem na to ochotę. Jakby to wyglądało, gdybym w trakcie rozpoczynającej się kampanii – będąc szefem – nagle się wycofał, argumentując powyższe względami depresji.

Musiałem zrobić dobrą minę i grać dalej, aczkolwiek bez entuzjazmu.
Skoro Opatrzność zawróciła mnie niemal z tamtej strony, to muszę wypełnić swój obowiązek do końca. Ostatecznie, przegrać z honorem nie jest wstydem.
Z pogranicza życia i śmierci, powróciłem do życia.

Rozdział XXXVI
POBOJOWISKO

W trakcie pobytu w szpitalu minął termin rejestracji list wyborczych. Ustaliliśmy, że ja obsadzę swoim człowiekiem funkcję pełnomocnika finansowego, natomiast Borowicz swoim – pełnomocnika wyborczego. Listy, aczkolwiek z martwymi duszami zostały ostatecznie skompletowane, podpisy też były zebrane. Kwestia rejestracji, to już kompetencja pełnomocnika wyborczego – czyli Borowicza.
W okresie mojej niedyspozycji, z oporami – to fakt – ale zarejestrowano komitet wyborczy "Prawica-Razem".
Kiedy opuszczałem szpital rozpoczynała się właściwa część kampanii. Między mną a Borowiczem stale iskrzyło. Dotychczasowe zaufanie całkowicie zanikło, chociaż zachowywaliśmy relacje raczej poprawne. Jeżeli chodzi o Kierkowskiego, to od momentu skompletowania list nie utrzymywałem z nim żadnych stosunków.

Borowicz oznajmił, że ma człowieka nazwiskiem – Marceli Wilk – kandydata na radnego z puli UW, który jest właścicielem agencji reklamowej. Jego biuro mieściło się w przewiązce między blokami przy ulicy Korczaka. Zaproponował naszym ludziom, aby u niego zbiorczo wykonywali wszelkie druki propagandowe, ponieważ wyjdzie to taniej niż gdziekolwiek indziej. Znaczna część posłuchała tej sugestii i wyszła na tym jak Zabłocki na mydle. Ja z racji negatywnych z nim doświadczeń nie skorzystałem z tej "atrakcyjnej oferty".

Jest to sprawa tak dziwna, że do tej pory nie mogę jej objąć swoim umysłem. Facet rzeczywiście był właścicielem agencji reklamowej. Część naszych ludzi zamówiła u niego usługę, której realizacji nigdy się nie doczekali. Prawdopodobnie, chcąc przyciągnąć klientów zaproponował cenę zbyt niską i później nie był w stanie jej zrealizować w drukarni. W efekcie, ludzie bezowocnie oczekiwali na obiecane druki.
Kiedy w końcu szydło wyszło z worka zaleciłem, aby jak najszybciej wycofali się z tej oszukańczej transakcji i znaleźli inną drukarnię. Z tym z kolei był problem, ponieważ w trakcie kampanii drukarze są ponadnormatywnie obłożeni robotą i nie jest łatwo znaleźć dogodny termin. A czas naglił. W efekcie tego szwindelka, część naszych kandydatów w ogóle nie prowadziła kampanii, a część rozpoczęła ją dopiero w ostatniej chwili, na trzy dni przed elekcją.

Charakterystyczny również jest fakt, że Borowicz, który był twórcą zamieszania; polecił go i propagował, u niego nie realizował swojego zamówienia. Był to kolejny przyczynek do naszego wzajemnego antagonizmu. Ponadto, mimo że był głównym winowajcą paraliżu kampanii, w ogóle nie poczuwał się do winy. Najpierw blefował, nadmiernie przeszacowując swoje

aktywa, przez co nie przeprowadziłem dodatkowego werbunku, teraz ostatecznie rozkładał kampanię i nic sobie z tego nie robił. Chodził zadowolony jak gdyby nigdy nic. Ja między innymi przez jego wygłupy znalazłem się na pograniczu życia i śmierci, a on chodził uśmiechnięty. Z coraz większą nieufnością obserwowałem jego konstrukcję psychiczną, widząc ku swojej rozpaczy, jak na światło dzienne wychodzą starannie do tej pory skrywane ciągotki egoistyczne.

W ramach retorsji poleciłem swoim, aby nie umieszczali jego reklamy na swoich drukach, gdyż na to nie zasłużył. Nasz komitet był bodaj jedynym, w którym większość kandydatów na radnych nie promowała swojego wybrańca na urząd prezydenta, a później połowa elektoratu oddawała swój głos na innego kandydata niż własny, w tym i ja osobiście.

Niska jakość większości kandydatów, znaczna ilość martwych dusz, niezborna chaotyczna kampania spowodowana oszustwami, jak również wzajemnym antagonizmem, to główne przyczyny naszego fiaska wyborczego. Nasz komitet otrzymał 9% głosów i nie uzyskał żadnego mandatu.

Dwa tygodnie później miała się odbyć druga tura wyborów prezydenckich do której przeszedł – Marek Lipczyk (SLD) i Jerzy Talkowski (niezależny). Henryk Zaguła wypadł z wyborczej rywalizacji. Wówczas miał miejsce bardzo istotny incydent, który ostatecznie doprowadził do zerwania przeze mnie wszelkich stosunków z Borowiczem.

Zadzwonił do mnie Mieczysław Szumiał – pełnomocnik wyborczy – nominowany przez Borowicza.

- Przed chwilą dzwoniła do mnie – Anna Talkowska z propozycją spotkania, celem przedyskutowania poparcia przez nas jej męża w drugiej turze. Czy mam umawiać spotkanie?

- Tak umawiaj – padła moja odpowiedź.

- Jak tylko będzie znany termin i miejsce, przekażę tobie i Borowiczowi informację.

- Czekam.

Do dnia dzisiejszego nie doczekałem się tej informacji. Skonstatowałem, że Artur Borowicz właśnie wbił mi nóż w plecy. Anna Talkowska była osobą nie obeznaną w polityce. Chciała uzyskać dodatkowe poparcie dla swojego męża, by zwiększyć jego szanse w starciu z Lipczykiem. Dzwoniąc do pełnomocnika wyborczego, kierowała się rutynowym instynktem. Pech chciał, że ową osobą był człowiek od Borowicza, a nie ode mnie. Początkowo przekazał mnie i Borowiczowi informację wstępną, ale później na wyraźne żądanie tego drugiego, fakt powyższych rozmów utajnili przede mną. O ich przebiegu, prócz sygnalnego telefonu Szumiała, dowiedziałem się kilka dni później z prasy.

Opublikowano zdjęcie na którym widnieli przegrani już kandydaci na prezydenta i Marek Kierkowski. Tekst głosił, że wszyscy oni jednomyślnie popierają kandydaturę Talkowskiego.

W ten oto sposób, definitywnie zostałem zdradzony przez dwóch swoich koalicjantów: Artura Borowicza (UW, ateistę) i Marka Kierkowskiego (LPR, katolika).

Kalkulacja Borowicza była następująca. Gdybym wziął udział w tych rozmowach, byłbym głównym negocjatorem, ponieważ w naszej koalicji reprezentowałem najsilniejszy człon. Ponadto znałem się osobiście z Talkowskim – on nie. Wiedział również, że go rozszyfrowałem jako egoistę i dołożyłbym wszelkich starań, aby zablokować jego ewentualne ciągotki w kierunku przyszłego stołka. Dlatego podjął decyzję zabraniającą Szumiałowi informowania mnie o terminie pertraktacji. Szumiał, jak na ślepą marionetkę przystało, skrupulatnie wykonał polecenie, chociaż dobrze wiedział, że dokonuje podłości. Fakt był bowiem bezdyskusyjny. W wymiarze politycznym, to Borowicz był moim dłużnikiem, a nie ja jego.

Po raz kolejny muszę przyznać, że Irena Wartak miała rację, przestrzegając mnie przed egoistycznymi zapędami Artura Borowicza. Moja wina, że w porę jej nie posłuchałem.

Marek Kierkowski z kolei, jak na dyletanta przystało, nie stanowił dla jego ambicjonalnych planów żadnego zagrożenia. Dlatego do rozmów został dopuszczony.

W ostateczności o powyższym zdarzeniu zadecydował splot kilku niezależnych od siebie okoliczności. Nieznajomość politycznych realiów przez Annę Talkowską (telefon do Szumiała), fakt, że zgodziłem się, aby Borowicz obsadził swoim człowiekiem funkcję pełnomocnika wyborczego. Jak również to, że ostatecznie rozszyfrowałem jego egoistyczne zapędy. Dlatego słusznie skonstatował, że droga do jego kariery wiedzie po moim trupie.

Nie wiem, jak potoczyłyby się dalsze wydarzenia, gdybym wziął udział w tych rozmowach. Talkowskiego znałem osobiście i traktowałem nie jak mężczyznę, lecz zdziwaczałe dziecko. Z pewnością postawiłbym przed nim warunki podobne jak przed Zagułą, i od ich realizacji uzależniałbym kwestię ewentualnego poparcia. Byłby to bardzo trudny wybór, ponieważ byłem absolutnie świadom jego politycznego dziwactwa. Z drugiej strony – wizja wejścia w obręb władzy wykonawczej była nad wyraz kusząca. Jest to jednak dylemat czysto akademicki, ponieważ nigdy do takowego zdarzenia nie doszło.
W zdradzie Borowicza, był przysłowiowy palec Boży. Niechcący wyświadczył mi nieocenioną przysługę. Uwolnił mnie od rozwiązania poważnego dylematu. W zamian za jakąś przestrzeń władzy – poparcie zdziwaczałego, podstarzałego dziecka lub polityczny niebyt. Ja w przeciwieństwie do niego zachowałem

polityczną cnotę. Nikt nie może mi postawić zarzutu działania z pobudek koniunkturalnych.

Jak wykazały późniejsze wydarzenia – Artur Borowicz otrzymał funkcję Naczelnika Wydziału Zdrowia, następnie dyrektora Szpitala Miejskiego, Marek Dul – prezesa MZUM i zapewnienie, że nikt z jego rodziny ulokowany na stanowiskach okołourzędowych nie zostanie zwolniony (żona, synowa, matka synowej). Muszę przyznać, że Dul w nepotyzmie przebił wszystkich, nie tylko w skali miasta, ale chyba i województwa. Irena Strączkiewicz – politycznie nieistotna kandydatka – otrzymała stanowisko Naczelnika Wydziału Spraw Obywatelskich. Nawet Bogdan Kępka (Samoobrona) niskopłatną pracę w Sztygarce (brak wykształcenia). Z tych, którzy w drugiej turze poparli Talkowskiego, tylko Henryk Zaguła wyszedł na idiotę. Zawarł z Talkowskim indywidualny układ, że w zamian za poparcie otrzyma funkcję jego zastępcy. Na cel dalszej kampanii pożyczył mu również kwotę 10 tysięcy złotych.
Zaraz po elekcji – Talkowski z wrodzonym sobie wdziękiem oświadczył, że on nikomu niczego nie zawdzięcza. W zamian za swoje poparcie zapłacił stołkami wszystkim z wyjątkiem Zaguły. Nareszcie miał okazję zemścić się za feralny dla siebie rok 1991.

Daleki jestem od obrony interesów pokrzywdzonego, ale fakt pozostaje bezsporny. W przypadku Henryka Zakuły – Talkowski posunął się do oszustwa, polegającego na złamaniu danego słowa. Mniejsza o intencje i święte prawo do zemsty. Fakt jest bezdyskusyjny. Skoro tak bardzo go nienawidził za doznane niegdyś krzywdy, to nie powinien z nim wchodzić w konszachty, a skoro już wszedł, to winien zawarte porozumienie wykonać co do joty. Okazał się jednak małym człowieczkiem.

Dziwi mnie natomiast zachowanie Zaguły. Przecież wiedział doskonale, że Talkowski para do niego nienawiścią za rok 1991, wiedział ponadto, że ludzie w wieku podeszłym są znacznie bardziej mściwi niż młodsi. Wiedział również, że Jerzy Talkowski jest kandydatem na prezydenta bardziej z pogranicza kultu niż polityki. Przecież 15 lat wcześniej sam twierdził, że stosunkowo jeszcze wówczas młody (pięćdziesięciokilkulatek) jest osobą niezdolną do jakiegokolwiek sprawowania władzy. Sam inspirował i przeprowadził procedurę jego odwołania z tej funkcji.
Cóż zmieniło się przez kolejne piętnaście lat? Nic takiego, prócz zestarzenia i jeszcze większego zdziwaczenia człowieka. Nasuwa się nieodparte pytanie. Dlaczego mimo to Zaguła z własnej, nieprzymuszonej woli poparł obecnie jego kandydaturę? Poza chęcią wejścia w orbitę władzy, i to za wszelką cenę nie znajduję innej odpowiedzi.

Wierząc w majestat swojej osoby ze mną bił się o najdrobniejszy nawet obszar władzy, chcąc tak w przyszłości ułożyć nasze relacje, abym był zepchnięty wyłącznie do roli jego marionetki. Nawet na centymetr nie chciał ustąpić ze swej pozycji hegemona. Kiedy zorientował się, że to ja nie on miałem

lepszą ocenę politycznych realiów, w jedną noc zapomniał o swojej manii wielkości i dyktatorskich zapędach, zaprzedając się za chwiejną obietnicę Talkowskiemu. Jednego wszak nie przewidział, że ten ostatni nie ma najmniejszego zamiaru dotrzymania umowy. Po raz kolejny w życiu nadmierna pazerność na stołek wyszła mu bokiem, czyniąc z niego politycznego nieuka.

Z osób bezpośrednio zaangażowanych w działalność polityczną wyłącznie ja i Wojciech Błasiak nie udzieliliśmy przed drugą turą poparcia Talkowskiemu. Tak jak pozostali, doskonale wiedzieliśmy, co z sobą reprezentuje, ale w przeciwieństwie do innych nie kierowały nami względy koniunkturalne czy egoistyczne. Obaj byliśmy świadomi, że udzielenie mu poparcia oznacza dla nas kompromitację. Pozostali ze względu na wizję wymiernych profitów, kierowali się praktyczną zasadą prostytucji. Zaguła w ciągu jednej nocy przeszedł swoistą metamorfozę z dyktatora na służącego. Po zwycięskiej elekcji nowy pan nie przyjął go jednak na służbę.
Taki był finał naszego pojedynku.

Rozdział XXXVII
RĘKA RĘKĘ MYJE

W trakcie kampanii napisałem list do Józefa Zielińskiego (komendant policji). Opisałem w nim znane mi z poprzednich wyborów przypadki kupowania głosów na terenie miasta, przestrzegając przed powtórzeniem tej patologii w wyborach obecnych. Wezwałem podległe mu służby do wzmożonej czujności w dniu wyborów i wyłapania oszustów, celem późniejszego ich przykładnego osądzenia. Kopię powyższego listu przesłałem na ręce – Tomasza Małucha (prokurator rejonowy). Równocześnie zwołałem konferencję prasową, informując o zagadnieniu. Efekt był zastanawiający.

Policjant całkowicie mnie zignorował, udając, że nic się nie wydarzyło. Dziennikarze również. Większość z nich przemilczała podniesioną przeze mnie kwestię, podobnie jak policjant udając, że nic takiego nie miało miejsca. Odstępstwem od tej reguły, była postawa młodej redaktorki Dziennika Zachodniego nazwiskiem – Patrycja Strąk. Ta napisała i owszem, ale przedstawiła mnie w barwach lokalnego warchoła, którego miejsce miast w polityce winno być w szpitalu psychiatrycznym i to stosunkowo dobrze strzeżonym. Jak udało mi się później ustalić, była jedną z dyspozycyjnych redaktorek ówczesnej władzy. Zresztą jej tekst jest tego wymiernym dowodem. Wszak głównymi oszustami byli ludzie ze środowiska SLD, o czym w radzie miejskiej wiedza była powszechna. O tendencyjności i zacietrzewieniu tej osoby niech zaświadczy fakt, że kiedy w trakcie wyborów 2002, zgodnie z moimi przewidywaniami zjawisko korupcji politycznej wystąpiło powszechnie, swoim zasięgiem znacznie przewyższając to sprzed czterech lat, nie omieszkała nawet przyznać mi racji.
W dniu wyborów policja odnotowała ponad sto zgłoszeń o prowadzonym procederze, głosy kupowano za pieniądze, alkohol, a nawet narkotyki. I nawet wówczas mimo znajomości tych faktów na łamach swojej gazety nie wystąpiła z przeprosinami mojej osoby. A chyba by wypadało za oszkalowanie?!

Czegóż można wymagać od panienki, niezdolnej do samodzielnego bytu w realiach rynkowych. Taka osoba musi zawsze iść na pasku możniejszego protektora. A ten wszak stawia wymagania.

Prokurator okazał się przebieglejszy od komendanta. Podobnie jak policjant nie zadbał nawet o to, aby się ze mną spotkać, celem omówienia kwestii. A dotyczyła nie kradzieży przysłowiowej kury czy awantury rodzinnej, lecz zjawiska korupcji politycznej na terenie jego jurysdykcji i braku jakiejkolwiek reakcji ze strony tych, którzy mają takie kompetencje, ba biorą nawet za to, może nie najwyższe, ale stabilne pieniądze. Ponieważ jednak dostał pisemny monit musiał coś z nim zrobić. Wydelegował młodego, może trzydziestoletniego aplikanta w randze asesora nazwiskiem – Adrian Podsiadło i

ten wezwał mnie na przesłuchanie w charakterze świadka. Formalnie przesłuchano mnie w sprawie. Zaraz na wstępie uderzyły mnie zarówno wiek przesłuchującego, jak i jego niska ranga. Przesłuchanie w sprawie korupcji politycznej winien prowadzić człowiek w wieku dojrzałym w randze co najmniej prokuratora, a nie asesora. Dodatkowym faktem wywołującym moje zdziwienie, był protokół sporządzany przez niego odręcznie na zwykłym papierze maszynowym. Kiedy w 1983 stawałem przed prokuratorem oskarżony o próbę obalenia ustroju PRL, przesłuchiwał mnie prokurator, a protokół był sporządzany przez niego na specjalnych drukach w wersji maszynowej.

Zrozumiałem, że uczestniczę w najzwyklejszej mistyfikacji. Skoro formalnie wpłynęło zawiadomienie, to trzeba równie formalnie zająć się sprawą. Wydelegowano więc niskiego rangą współpracownika, celem uskutecznienia pozoracji. A ten wiedząc, że odgrywa przede mną farsę, podszedł do zagadnienia stosunkowo niechlujnie.

Złożyłem wyjaśnienia zgodnie z posiadaną przez siebie wiedzą i podałem kilka nazwisk osób, które w jakimś sensie będą mogły powyższe potwierdzić. Jedyny profit z powyższego przesłuchania to fakt, że w świetle ujawnionej ostatnio skali tej patologii (wybory 2002), wiedza o niej stała się już tak powszechna, że nie musiałem udowadniać, że jestem przy zdrowych zmysłach.

Po złożeniu zeznań powiedziałem mu to wprost.

- Pan tej sprawy nie poprowadzi!
- A to dlaczego?
- Ponieważ przełożeni panu nie pozwolą...
- To się jeszcze okaże – odparł.

I okazało się miesiąc później, kiedy otrzymałem podpisany przez niego dokument pod tytułem odmowa wszczęcia postępowania w przedmiotowej sprawie. Argumentował w nim, że złożone przeze mnie wyjaśnienia dotyczyły roku 1998, a wówczas ani kodeks karny, ani ordynacja wyborcza nie penalizowały ujawnionych zachowań jako przestępstwa. W związku z tym koniecznością staje się umorzenie postępowania.

Jest to sprawa o tyle istotna, że pokuszę się o kilka słów wyjaśnienia. W 1998 grupa osób wywodząca się ze smoll biznesu, a oscylująca wokół urzędu miejskiego, postanowiła zdobyć mandaty radnego, dochodząc do słusznego wniosku, że ich posiadanie wydatnie pomoże im w prowadzeniu tychże interesów. Ale ponieważ wybór społeczny na pstrym koniu jeździ, aby zwiększyć prawdopodobieństwo elekcji postanowili sięgnąć po ordynarną, aczkolwiek skuteczną metodę wyborczego przekupstwa. A ponieważ głupota ludzka i bieda są u nas na porządku dziennym, dlatego część obywateli posiadających prawa wyborcze jest w stanie sprzedać swój głos za głupie dwadzieścia złotych lub butelkę wódki. I z tej okazji skorzystano. Ponieważ ludzie ci znali się nawzajem i wymieniali doświadczeniami, tłumaczy to fakt, że

korupcja polityczna (1998) pojawiła się nagle na skalę ponadprzeciętną. Ja wychwyciłem około pięciu takich przypadków. Pięć różnych osób nie znających się nawzajem i nie wymieniających doświadczeniami nie mogło w tym samym czasie wpaść na identyczny pomysł.

Według moich szacunków skupiono wówczas ok. 800 głosów, co oznacza, że ok. 800 obywateli miasta dobrowolnie za drobną gratyfikację finansową lub butelkę wódki oddało swój głos na osobę, na którą w normalnych warunkach głosu by nie oddało. Cały ten proceder odbywał się w dniu wyborów w okresie panowania ustawowej ciszy wyborczej.

Powyższy proceder naganny z pozycji moralnych, łamał również artykuł ordynacji wyborczej mówiący o bezwzględnym przestrzeganiu ciszy wyborczej w dniu trwania wyborów i okresie na 24 godziny go poprzedzającym. Pod względem prawnym nie było to przestępstwo naruszenia kodeksu karnego, tylko wykroczenie przeciwko ordynacji wyborczej zagrożone karą grzywny. Formalnie rzecz biorąc, rzeczywiście nie było to zagadnienie dla prokuratora. Ale czy na pewno?

Istotnym również jest fakt, że na terenie jednego miasta w dniu wyborów wynajęte grupy naganiaczy, łamiąc ordynację wyborczą przekupiły ok. 800 osób, celem oddania głosu na wskazane osoby, a policja nawet nie wpadła na trop powyższego zjawiska. Policja, która na terenie tegoż miasta dysponuje 350 etatami funkcjonariuszy i analogiczną liczbą tajnych informatorów ulokowanych w środowiskach przestępczych i patologicznych. A właśnie biedota i środowiska patologiczne były szczególnie penetrowane przez naganiaczy. Dodać należy, że w dniu wyborów było co najmniej kilka zgłoszeń na policję od zbulwersowanych obywateli będących świadkami powyższego. Mundurowa policja rzeczywiście interweniowała, przyjeżdżając z daleka widocznym policyjnym pojazdem, łapiąc przysłowiową próżnię, na darmo jedynie spalając paliwo. Ale notatka po takowych zgłoszeniach winna być.

Przyjmijmy założenie, że policja została zaskoczona tym zjawiskiem, wszak wystąpiło na terenie miasta po raz pierwszy. Nie byli na takowy fakt przygotowani, toteż nikogo nie złapali in flagranti. Ale przecież po wyborach choćby od tajnych informatorów i swoich funkcjonariuszy pewną wiedzę posiąść musieli. W 1998 komendantem policji był – Florian Widera. I cóż uczynił z tą wiedzą?

Dokładnie nic! Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, że 350 policjantów i tyle samo tajnych informatorów nie było w stanie wpaść na trop zorganizowanej operacji, a jeden oszołom – Frączek wpadł. Oni za przestrzeganie prawa pobierają pieniądze, a Frączek nie.

Dla mnie odpowiedź jest tylko jedna. Ówczesne kierownictwo policji na trop nie chciało wpaść, błędnie oceniając, że gra nie warta jest świeczki. Część oszustów została przecież radnymi, a jeden nawet wiceprezydentem miasta. Więc po co z nimi zadzierać? Nie wiadomo, kto pod kogo jest przecież

podwieszony. A zresztą, jakie znaczenie dla życia publicznego ma fakt przekupienia kilkuset osób i nielegalne zdobycie mandatu? Wszak do policji podobnie jak władz miejskich, trafia się zazwyczaj w drodze przekupstwa lub kumoterstwa, a awans jest dyktowany wyłącznie podwieszeniem i piciem wódki z kim trzeba. Wszystkim, tylko nie osiągnięciami służbowymi.
Innego wytłumaczenia nie ma.

I oto mijają cztery lata, następuje zmiana na stanowisku komendanta. Floriana Widerę zastępuje – Józef Zieliński. Ten ostatni wręcz modelowo układa sobie współpracę z władzami miasta i nagle sielankę przerywa list jakiegoś oszołoma, który przedkłada w nim, co się wydarzyło cztery lata wcześniej za jego poprzednika. Twierdzi, że obecnie zjawisko to powtórzy się na znacznie większą skalę. Śmie nawet sugerować jemu, dyplomowanemu oficerowi po szkole oficerskiej co ma czynić. Ma w dniu wyborów zmobilizować swoich funkcjonariuszy, mają po cywilnemu patrolować osiedlowe knajpy i rejony w pobliżu lokali wyborczych. Ponadto ma postawić w stan pełnej gotowości całą agenturę nakierowaną na wychwycenie wynajętych naganiaczy.
Toż to regularne oszołomstwo! On dyplomowany funkcjonariusz nie może przecież temu ulec. I nie ulega. Chowa pismo w szufladzie i udaje, że nic się nie wydarzyło.

Jego odpowiednik w prokuraturze – Tomasz Małuch jest jednak mądrzejszy. Ten wie, że skoro jest oficjalny monit, to trzeba sprawą się zająć, ale w taki sposób, aby broń Boże nie wykryć sprawców. Wszak to ludzie z władz miasta. Wyznacza więc młodego, niedoświadczonego asesora, aby zgodnie z procedurą wszczął czynności. Ten wzywa Frączka i przesłuchuje w charakterze świadka tylko po to, aby potem rozpoczętą sprawę umorzyć, nie dopatrując się znamion czynu przestępczego. Nasuwa się pytanie. Po co w takim razie rozpoczynano tę sprawę? Przecież można było od razu oszołomowi odpisać, że prokuratura nie zajmie się powyższym zagadnieniem, ponieważ nie dysponuje stosownym paragrafem w kodeksie karnym!

Otóż nie! Doświadczony biurokrata zawsze dba o asekurację. W myśl tej zasady należy sprawę rozpocząć, a dopiero potem umorzyć. Wtedy wszystko jest lege artis i w razie czego facet jest kryty.

Teraz kwestia uzasadnienia decyzji o umorzeniu. Pod względem literalnego przestrzegania prawa jest ono w pełni zasadne. Prawdą jest, że w 1998 ani kodeks karny, ani ordynacja wyborcza nie przewidywały takiego czynu przestępczego jak płacenie za oddany głos ze wskazaniem. Nie oznacza to jednak, że przestępstwa nie było. Było! Polegało na złamaniu artykułu ordynacji, mówiącym o bezwzględnym przestrzeganiu ciszy wyborczej zarówno w dniu wyborów jak i w okresie 24 godzin go poprzedzającym. Wręczanie pieniędzy lub alkoholu w dniu wyborów w zamian za oddanie głosu na

wskazaną osobę całkowicie wyczerpywało znamiona tego artykułu. Ta kwestia jest bezdyskusyjna.

Nasuwa się więc pytanie. Skoro doszło do ewidentnego złamania prawa wynikającego z ustawy "ordynacja wyborcza", aczkolwiek nie penalizowanego w kodeksie karnym, to czy jest to sprawa dla policji i prokuratury, czy też nie?
Ja laik twierdzę, że jest. Dyplomowany prokurator – Małuch ręką swojego podwładnego twierdzi, że nie!

Aby czytelnik mógł w pełni zrozumieć tok mojego rozumowania, zilustruję powyższe abstrakcyjnym przykładem opartym na analogicznych przesłankach prawnych.

Dochodzi do przestępstwa kradzieży telefonu komórkowego wartego 240 zł. Kradzież penalizowana kodeksem karnym rozpoczyna się od utraty mienia o wartości 250 zł wzwyż. Poszkodowany zgłasza się do prokuratury, informując o zajściu. Czy prokurator może mu odpowiedzieć, że nie zajmie się sprawą, ponieważ nie jest to przestępstwo penalizowane artykułem kodeksu karnego, tylko wykroczenie. A od wykroczeń jest sąd grodzki. Przecież, żeby sprawa trafiła do tegoż sądu, musi ktoś przeprowadzić śledztwo, ustalić winnych i świadków, którzy potwierdzą fakt i przebieg zajścia, ustalić wysokość szkody. Sąd nie jest przecież od prowadzenia dochodzenia, lecz od orzekania o winie lub niewinności. A jeżeli o winie, to i o wysokości kary. Nie ważne czy pracuje na postawie kodeksu karnego, kodeksu wykroczeń czy jakiejkolwiek ustawy. Oczywiście, jeżeli sprawa jest drobna, prokurator może odmówić osobistego przeprowadzenia dochodzenia, cedując powyższe na policję. Ale nie może w wypadku złamania prawa przejść nad powyższym do porządku dziennego, oświadczając, że złamania nie było. A tak stało się w tym przypadku.
Podkreślić należy fakt, że w omawianym przypadku nie chodziło o drobne wykroczenie, tylko zorganizowane na szeroką skalę zjawisko korupcji politycznej, cechujące się znacznym stopniem szkodliwości społecznej czynu.
Ciekawostką jest fakt, iż w momencie mojego przesłuchania była już powszechna wiedza o znacznie szerszej skali tego zjawiska w wyborach 2002, ale ten fakt również prokuratora Małucha nie zainteresował. Dla niego powszechna wiedza wynikająca, choćby z lektury lokalnej prasy (którą notabene dostaje od państwa za darmo), nie jest żadną formą zawiadomienia o przestępstwie i nie zobowiązuje go do podjęcia przewidzianych prawem czynności.

Nie wiem, czym wytłumaczyć zachowanie prokuratora i komendanta policji: ignorancją czy złą wolą. Jednego jestem pewien. Nie powinni więcej piastować swych funkcji. Obaj panowie są głównymi winowajcami tej patologii rozpowszechnionej w naszym mieście. Sami nie potrafili wpaść na jej trop, a kiedy zostali o powyższym poinformowani nie podjęli skutecznych działań, aby

jej przeciwdziałać. Wręcz przeciwnie, prokurator w niejasnych prawnie uwarunkowaniach umorzył nawet wszczęte wcześniej postępowanie w tej sprawie. Wskazuje to jednoznacznie na działanie z premedytacją i jest przyczynkiem do podjęcia wobec niego działań nie tylko na drodze służbowej, ale również karnej (niedopełnienie obowiązków służbowych). Dla obu panów prywatne powiązania towarzyskie, były istotniejsze od wykonywania swoich obowiązków, chociaż państwo za te właśnie obowiązki płaciło im, może nie najwyższe, ale przecież pieniądze. Mam nadzieję, że kiedyś będzie możliwość wyegzekwowania wobec nich tej odpowiedzialności.

W efekcie takiego zaniechania wytworzyła się patologiczna praktyka. Część osób związanych z władzami dochodziła do swoich stanowisk w drodze przekupstwa, natomiast policja i prokuratura w imię dobrosąsiedzkich stosunków, poprzez niepodejmowanie przewidzianych prawem działań nie stawiała temu tamy. Nic zatem dziwnego, że obecnie inna już prokuratura (gliwicka) ma w związku z tym pełne ręce roboty, stawiając w stan oskarżenia kilkunastu lokalnych dygnitarzy.

Społecznie ważny jest fakt, że lokalne organy ustanowione do przestrzegania i egzekwowania prawa, to właśnie prawo miały za nic. Ręka rękę myje.

Rozdział XXXVIII
NA POCHYŁE DRZEWO...

W wyniku wyborów komitet wyborczy "Prawica – Razem" nie uzyskał żadnego mandatu. PO zdobyła 4 na ogólną liczbę - 25. W drugiej turze Jerzy Talkowski w sposób zdecydowany pokonał – Marka Lipczyka.
Prawie natychmiast między Talkowskim a Zagułą doszło do zwarcia. Nowo wybrany prezydent postanowił nie wywiązać się z wcześniejszych ustaleń. Kiedy ten ostatni uświadomił sobie, że został "wystawiony do wiatru", postanowił przejść do opozycji względem tego pierwszego. Wszak był radnym, przewodniczącym partii politycznej i szefem 4-osobowego klubu. Ponieważ Talkowski z dotychczasowego sojusznika został obecnie jego wrogiem, a walka z nim stanowiła nowe credo, wszedł w sojusz z SLD, z którym dotychczas miał na pieńku. Sytuacja była o tyle groteskowa, że w ciągu ostatnich 14 dni – Zaguła przeszedł ewolucję, której nie powstydziłby się nawet największy z kameleonów jakim, bez wątpienia był Talleyrand. Najpierw uważał, że musi być lokalnym Napoleonem, czyli prezydentem miasta. Marzyła mu się dyktatura i władza absolutna, dlatego nie chciał pójść ze mną na kompromisy. Kiedy okazało się, że wypadł z gry, postanowił zawrzeć sojusz ze swoim dotychczasowym antagonistą – Jerzym Talkowskim, który pozostawał w grze. Układ z Talkowskim wymierzony był przeciwko SLD i Markowi Lipczykowi. Kiedy po elekcji został przez swojego sojusznika wystawiony, postanowił wystąpić przeciwko niemu, wiążąc się z jego i swoimi dotychczasowymi oponentami – czyli SLD.

Dzięki takiej wolcie uzyskał poparcie radnych lewicy i za pomocą ich głosów wszedł do rady nadzorczej KZK GOP. Kij ma jednak dwa końce. Owym manewrem zdradził jednak Talkowskiemu, że nie puści płazem wcześniejszego wystawienia do wiatru i będzie mu rzucał kłody pod nogi, gdzie tylko będzie miał sposobność. Tym samym sprowokował tego pierwszego do zdecydowanej reakcji.

Kilka dni później doszło do spotkania Jerzego Talkowskiego z kierownictwem PO, ale bez Zaguły. Ten ostatni bawił właśnie w sanatorium. Osią rozmowy była następująca kwestia: platfusy chcieli sprzedać swoje poparcie na rzecz prezydenta w zamian za stołki (radni dla członków rodzin, nie radni dla siebie). Talkowski nie mający żadnego zaplecza w radzie na gwałt potrzebował każdego głosu. Te trzy szabelki, które posiadali, były wówczas na wagę złota. Dlatego stwierdził, że jest gotów wyjść naprzeciw ich oczekiwaniom, ale pod jednym warunkiem – Zaguła musi zostać usunięty z funkcji przewodniczącego partii. Kierownictwo PO wyraziło zgodę. Ostatecznie priorytetem są stołki, a nie wolty przewodniczącego, który dzięki swoim fanaberiom po raz kolejny został politycznym bankrutem. Układ między PO a Talkowskim został zawarty. Dotychczas niekwestionowany ich lider – Henryk Zaguła nie przedstawiał już żadnej wartości, a nawet był przysłowiowym

balastem, którego jak najszybciej należało się pozbyć.
Kiedy powrócił z sanatorium i zorientował się w rozwoju wydarzeń, zrozumiał skalę porażki. On, który jeszcze kilka tygodni wcześniej uważał się za niekwestionowanego Boga, nagle został nikim – zdradzonym przez najbliższe otoczenie, które w dodatku sam stworzył. Był to dla niego potworny cios. Postanowił unieść się honorem i złożył rezygnację z członkostwa w PO. Tym samym popełnił polityczne harakiri.

W chwili upadku Zaguły, w PO występowały dwa obozy. Pierwszy na czele ze Stanisławem Sokolińskim składał się z osób, które zwerbował Zaguła, drugi to częściowo fikcyjne koło utworzone z młodych ludzi, któremu szefował – Krzysztof Stachowicz. Oba obozy były ze sobą zantagonizowane, a ich przywódcy walczyli o schedę po poprzedniku. Realna przewaga leżała po stronie Sokolińskiego, ale Stachowicz podwieszony pod Grzegorza Dolniaka (poseł) szachował ich swoimi koneksjami. Aby nie doszło do bratobójczej walki, do akcji wkroczył – Dolniak i zadecydował. Stachowicz jako młodszy ma ustąpić pierwszeństwa Sokolińskiemu. Jako rekompensatę otrzyma stanowisko zastępcy i swoimi chłopcami obsadzi połowę zarządu powiatowego. W ten sposób Sokoliński będzie usatysfakcjonowany, a interesy Dolniaka, które reprezentował Stachowicz w pełni zabezpieczone. Wybory, które odbyły się kilka dni później, były już czystą fikcją, gdyż obaj kluczowi gracze zawarli porozumienie, a ich zaplecze poprzez podniesienie rąk wyłącznie zaakceptowało powyższe. Nikt nie odważył się go złamać, ponieważ patronował mu poseł na sejm i obaj się go obawiali. Muszę przyznać, że w tej rozgrywce zwycięzcą był – Stachowicz. Będąc znacznie słabszym od swojego rywala, w dodatku uwikłanym w werbunek martwych dusz (koło tzw. środowiskowe), doprowadził do tego, że fikcja została uznana za realia, w dodatku w gremium decyzyjnym otrzymał połowę aktywów. Ustąpił, co prawda pierwszeństwa Sokolińskiemu, ale został ponadto członkiem zarządu wojewódzkiego PO. Biorąc pod uwagę relacje z posłem, posiadał w swoich rękach więcej aktywów niż jego dotychczasowy rywal.

Nowe władze PO, przystąpiły do praktycznej konsumpcji wcześniej zawartego układu z Talkowskim. W zamian za bezkrytyczne popieranie jego poczynań, ówczesny przewodniczący PO – Stanisław Sokoliński – otrzymał radę nadzorczą w Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji, jego żona pracę w Miejskim Ośrodku Pomocy Społecznej, jego zastępca Krzysztof Stachowicz dostał radę nadzorczą w Miejskim Przedsiębiorstwie Ulic i Mostów, Beata Małecka – Libera posadę dyrektorem szpitala, Andrzej Wolski naczelnika Wydziału Zamówień Publicznych, Krzysztof Laga kierownika Referatu Funduszy Unijnych, Bogusława Ciaś (radna), której ustawa antykorupcyjna zabrania sprawowania kierowniczych funkcji w administracji samorządowej, zamieniła dotychczasowy fotel dyrektora Domu Starców, który otrzymała

jeszcze od Dula na fikcyjną, ale całkiem dobrze opłacaną funkcję Głównego Specjalisty w Domu Pomocy Społecznej. Niejako przy okazji ulokowała swojego męża w Miejskim Zarządzie Budynków Mieszkalnych. Tadeusz Jaworski otrzymał stanowisko zastępcy dyrektora w tymże MZBM. Praktycznie wszyscy radni PO (Bogusława Ciaś, Łukasz Padoł, Zbigniew Wróblewski) ulokowali swoich pociotków na różnych mniej istotnych funkcjach okołourzędowych. Późniejszy nabytek – Artur Borowicz został Naczelnikiem Wydziału Zdrowia, a po odejściu Małeckiej – Libery do parlamentu przejął po niej stanowisko dyrektora Szpitala Miejskiego.
Taką cenę zapłacił Jerzy Talkowski za trzy ślepe bagnety na sali sesyjnej, będące w jego dyspozycji. Podkreślam, że żadna z tych nominacji nie nosiła cech nominacji politycznej, co byłoby uzasadnione. Było to klasyczne kupowanie poparcia, płacone publicznymi środkami.

Tymczasem na moim podwórku sytuacja ulegała zagęszczeniu. Po wyborach w PiS-ie zarządzono weryfikację pracy pełnomocników powiatowych. Nie miałem się czym pochwalić. Utworzyłem co prawda, koalicję wyborczą na osi PiS-UW-LPR, której byłem liderem, ale ostateczny wynik był negatywny. Koalicja nie uzyskała żadnego mandatu. Ponadto zostałem w ostatniej fazie zdradzony przez swoich sojuszników (negocjacje Borowicza i Kierkowskiego z Talkowskim) z pominięciem mojej osoby. Powodu do chluby nie było. Nad moją głową gromadziły się chmury. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności przetrwałem jednak weryfikację. Jedyny zarzut, jaki można było mi przedstawić to brak koalicji z PO. Przy ówczesnym rozkładzie elektoratu nigdzie w województwie śląskim, poza podbeskidziem, bez sojuszu z PO zdobycie mandatu przez PiS było nieosiągalne. Prawdopodobnie uratował mnie fakt, że posiadałem wiedzę na temat intryg Polaczka i Żelichowskiego na rzecz Zaguły, a wymierzonych w moją osobę. W dodatku dysponowałem pisemnym zapisem negocjacji z PO, z którego jasno wynikało, że do sojuszu nie doszło z winy PO i Zaguły, a nie mojej. Dlatego postawienie mi takowego zarzutu było politycznie niewygodne. I prawdopodobnie te dwa elementy zadecydowały o moim przetrwaniu na funkcji pełnomocnika. Nie na długo jednak...

Jeżeli chodzi o PiS w Zagłębiu, to niekwestionowanym beneficjentem wyborów, był mój dotychczasowy antagonista – Czesław Żelichowski. Będąc członkiem zarządu wojewódzkiego, na mocy sojuszu PO-PiS został radnym sejmiku wojewódzkiego. Z pozycji politycznych była to funkcja, co prawda nieistotna, ale wystąpił poważniejszy problem. Operując na terenie Jaworzna, był akuszerem tamtejszej koalicji PO-PiS, która osiągnęła sukces wyborczy w postaci zainstalowania na funkcji prezydenta – Pawła Silberta, z którym był powiązany względami towarzyskimi i biznesowymi. Chodziła fama, że Silbert jest jego człowiekiem. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Chcąc wzmocnić

swoją pozycję wewnątrz zarządu wojewódzkiego – Żelichowski – postanowił przekupić dwóch jego członków, pochodzących z Zagłębia: Waldemara Andzela i Pawła Bednarka. Płacił oczywiście publicznym groszem z kasy miasta, do którego dostęp uzyskał za pośrednictwem – Silberta. I tak pierwszy otrzymał przewodnictwo rady nadzorczej Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji w Jaworznie, drugi został dyrektorem ds. ekonomicznych, a później prezesem Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej w Jaworznie. Problem polegał na fakcie, że obaj wymienieni dotychczas byli raczej moimi stronnikami i w jakimś sensie mogłem liczyć na ich przychylność. Obaj doskonale wiedzieli, w jak potwornych warunkach przyszło mi funkcjonować. Stałem przed dylematem: uznać dyktat Zaguły i PO, wnieść go do salonów władzy, by następnie zostać wyeliminowanym lub próbować walczyć o własnych siłach, licząc na łut szczęścia. Oni obaj przez źle zawarty układ z PO zostali wystawieni do wiatru na terenie Będzina. Dlatego doskonale rozumieli dramat mojego położenia.

Na wsparcie ze strony Andzela i Bednarka mogłem jednak liczyć wyłącznie w sytuacji, kiedy obaj byli niezależni od Żelichowskiego. W momencie utraty tej niezależności (stanowiska) zostawałem osamotniony. Wszak pan płaci, pan wymaga, a sługa musi.

Ponadto z racji wspólnego z Jędrzejem Jędrychem zasiadania w sejmiku wojewódzkim między nim a Żelichowskim, osobami dotychczas raczej niechętnymi, zaczęły się wytwarzać pewne pozytywne relacje i wspólne interesy.

Fakt pozostawał bezsporny. Kilka miesięcy po wyborach lokalnych, dzięki swoim wpływom w Urzędzie Miejskim w Jaworznie i polityce przekupstwa – Czesław Żelichowski – został na terenie Zagłębia szarą eminencją w PiS i wpływową osobą w zarządzie wojewódzkim, a to dla mnie nie wróżyło niczego dobrego.

Samobójczą bramkę strzeliłem sobie sam. Do moich obowiązków jako pełnomocnika powiatowego należało werbowanie członków w szeregi partii. Z kilkudziesięcioosobowego grona, jakie przy mnie funkcjonowało, dziesięć osób złożyło akces, dopełniając wszelkich formalności. Zgodnie z procedurą sporządziłem pismo przewodnie w formie rekomendacji (członka przyjmuje zarząd wojewódzki na wyłączny wniosek pełnomocnika) i stosowne wnioski złożyłem w biurze zarządu w Katowicach. Mijały miesiące i nic się nie działo. Ludzie słusznie zadawali mi pytania, o co w tym wszystkim chodzi? A ja nie byłem w stanie udzielić sensownej odpowiedzi. Osoby przeze mnie rekomendowane nie były przypadkowe. Znałem je co najmniej od roku – razem funkcjonowaliśmy, braliśmy udział w ostatnich wyborach. Orłami politycznymi to w większości nie byli, ale cechowała ich uczciwość i rzetelność. Bez najmniejszego naciągania, ze spokojnym sumieniem mogłem za nich poręczyć, co też uczyniłem. Dodatkową komplikacją stawał się fakt, że dopóki pierwszy

rzut nie zostanie przyjęty, nie mogłem werbować następnych, by nie wychodzić na idiotę. Dlatego postanowiłem w tej sprawie ostatecznie rozmówić się z Jerzym Polaczkiem. Ponieważ nie zostałem odwołany z funkcji pełnomocnika – wyciągnąłem, jak się później okazało – błędny wniosek, że jego antagonizm do mojej osoby już minął. Po prawdzie, to był on niczym nie uzasadniony. Patrząc z pozycji politycznych, to on był moim dłużnikiem, nie ja jego. Ostatecznie, biorąc pod uwagę nasze stosunki, to ja miałem jakiś tam udział, aby został kimś więcej niż zastępcą burmistrza prowincjonalnego miasta. On mnie zawdzięczał kawałek pracy na rzecz swojej kariery, ja jemu nic. Pewny więc swego zadzwoniłem do jego biura, aby się dowiedzieć, kiedy będę mógł z nim porozmawiać. Podano mi najbliższy termin. Gdy się stawiłem okazało się, że jego plany uległy zmianie i będzie nieobecny. Ten fakt wprowadził mnie w pewną irytację. Miast z Polaczkiem rozmowę odbyłem z młodym człowiekiem, jego asystentem. Nieco podenerwowany prosiłem, aby mu przekazał, by się dłużej nie wygłupiał i żeby na najbliższym zarządzie wojewódzkim przyjęto zgłoszone przeze mnie kandydatury, które oczekują już ponad pół roku. Jest to kompromitacja nie tylko moja, ale i jego. Osoby powyższe nie są żadnymi posłami, ani urzędnikami państwowymi nawykłymi do kłamstwa i intryg, dlatego należy je traktować z szacunkiem. Przez wygłupy Polaczka, omal nie straciłem wszystkich ludzi, których pozyskałem przez dotychczasowy okres działalności. Podjazdy to może stosować wobec swoich marionetek lub kolegów posłów, którzy za państwowe pieniądze lubią robić z siebie idiotów, a nie wobec ludzi w pełni niezależnych. Dlatego wnoszę, aby mu przekazał, by w końcu przestał w tej sprawie palić głupa, bo ja dłużej za niego świecić oczami nie zamierzam. Zauważyłem, że im dłużej wypowiadałem powyższą kwestię, tym młody człowiek stawał się coraz bardziej zdziwiony. Obiecał, że zgodnie z moim życzeniem wszystko wiernie przekaże.

Kiedy dwa tygodnie później ponownie zjawiłem się w biurze w Katowicach z dodatkowymi zgłoszeniami, dowiedziałem się, że nie jestem już pełnomocnikiem powiatowym i nie mam już kompetencji do udzielania rekomendacji komukolwiek.

- Od kiedy? - zapytałem.
- Od tygodnia, od ostatniego zarządu wojewódzkiego.
- Kto złożył wniosek o moje odwołanie?
- Jerzy Polaczek.

Jest to wydarzenie na tyle ciekawe, że należy mu poświecić nieco więcej miejsca. W sprawie pozbawienia mnie pełnomocnictwa, wniosek w trybie nagłym złożył osobiście – Jerzy Polaczek. Niczym go nie argumentował. Zresztą taka potrzeba nie zachodziła. Zarząd wojewódzki powołuje i odwołuje pełnomocnika według własnego uznania. Istotnym był fakt, że nastąpiło to w trybie nagłym, ni z gruszki ni z pietruszki.

Jędrzej Jędrych stwierdził, że sam był tym wnioskiem zaskoczony. Przecież weryfikacja powyborcza już się zakończyła. Aby PiS w Dąbrowie nie wpadł w ręce jednostki nieobliczalnej, np. Aurelii Rożdżyńskiej, Jędrych postanowił ulokować na tej funkcji swojego kolegę – Jacka Kościelniaka. Powyższy manewr dowodzi, że wbrew jego twierdzeniu kwestia mojego odwołania była jednak przedmiotem wzajemnych uzgodnień między Polaczkiem a nim.

Taką cenę zapłaciłem za niezależną postawę i próbę krytyki niepoważnych zachowań Jerzego Polaczka i zarządu wojewódzkiego w przedmiocie blokowania przyjęć nowych członków.

Moje relacje z nowym pełnomocnikiem układały się nie najgorzej. Za jego sugestią zwołałem zebranie osób dotychczas pozyskanych, zreferowałem sytuację i przekazałem ich listę. Mimo daleko posuniętej poprawności w naszych wzajemnych stosunkach wystąpił jednak pewien zgrzyt. Mimo werbalnej deklaracji kontynuowania przez niego mojej dotychczasowej polityki, zaobserwowałem podejmowanie działań mających na celu odcięcie się od mojej osoby. Wymiernym tego przykładem była kwestia lokalowa. Wolał wynająć ruderę, niż korzystać z mojego dotychczasowego biura, które oddałem do dyspozycji. Ponadto występował jeszcze problem natury ambicjonalnej. Ja byłem działaczem z dwudziestoletnim stażem, on w tej dziedzinie nowicjuszem. Nigdy wcześniej nie funkcjonował na niwie politycznej, zadawalając się wyłącznie pracą zawodową. W szczytowym momencie pełnił funkcję kierownika Wydziału Finansów Urzędu Wojewódzkiego. Była to jednak funkcja ściśle administracyjna, a nie polityczna. Powyższą nominację zawdzięczał nie tyle własnym predyspozycjom, co wstawiennictwu Jędrzeja Jędrycha w okresie kiedy Marek Kempski piastował Urząd Wojewody.

Ta różnica proweniencji dawała o sobie znać na kolejnych zebraniach. Dochodziło do niezdrowej sytuacji, kiedy w kwestiach zasadniczych szeregowy członek partii, czyli ja, miał więcej do powiedzenia niż jego szef. Było to niezdrowe i politycznie niewskazane, dlatego mimo daleko posuniętej układności, w naszych wzajemnych relacjach dryfowaliśmy na ambicjonalnie przeciwstawne bieguny.

Ostatnią operacją, jaką przeprowadziłem na forum PiS, było doprowadzenie do spotkania integracyjnego z Platformą. Dotychczasowe stosunki między PiS a PO były złe, by nie rzec wrogie. Bezpośrednią przyczyną była arogancka i pełna buty postawa Zaguły oraz nadmierna pazerność co niektórych jego stronników. Teraz, kiedy tego ostatniego już w PO nie było, doszedłem do wniosku, że jest to właściwa okazja, aby nasze wrogie relacje polepszyć. Wszak sojusz PO-PiS był jedyną rękojmią przejęcia w przyszłości władzy. Skontaktowałem się z Krzysztofem Stachowiczem i zaproponowałem spotkanie w gronie dziesięcioosobowym po każdej ze stron, i to przy alkoholu.

Ponieważ w Błędowie, gdzie mieszka jest pod lasem domek myśliwski zaproponowałem, aby to w nim urządzić imprezę. Stachowicz wyraził akceptację i zadeklarował, że umówi z właścicielem dogodny dla nas termin. Kilka dni później otrzymałem z Katowic informację, która mnie ścięła z nóg. Ponieważ Stachowicz parę dni wcześniej został członkiem zarządu wojewódzkiego PO, zaczął bywać w tym mieście. Pewnego dnia trafił na Adama Grzesicę, mojego kolegę i partnera politycznego, z którym nawiązał konwersację. Kiedy Grzesica zorientował się, że pochodzi z Dąbrowy, zadał mu pytanie odnośnie mojej osoby i perspektyw ewentualnej współpracy między nami. Wcześniej informowałem go o takiej ewentualności i twierdziłem, że jest ona na dobrej drodze. W odpowiedzi usłyszał drwiący, szyderczy ton, wykpiwający mnie.

- A kto to jest Frączek?! Nikt!

Wypowiedź Stachowicza była szczera, ponieważ w momencie rozmowy nic nie wiedział o powiązaniach swojego interlokutora z moją osobą. Informacja ta tak zszokowała Grzesicę, że postanowił niezwłocznie mi ją przekazać. Było to o tyle istotne, że doskonale wiedział o moich planach związanych z osobą Stachowicza. Tą informacją wylał na mnie kubeł zimnej wody. Otrzymałem niepodważalny dowód, że Stachowicz jest klasycznym przykładem politycznej kanalii. Do tej pory mogłem się tego domyślać, obecnie miałem pewność.

Z dotychczasowych relacji ze Stachowiczem jednoznacznie wynikało, że jest on moim dłużnikiem. To ja w trakcie kampanii 1998 przyjąłem go do swojego obozu, udostępniłem bazę potencjalnego elektoratu, prowadziłem za rączkę jak ojciec syna. Dzięki tej pomocy, mimo że był najmłodszym kandydatem (23 lata), uzyskał największą ilość głosów. Radnym nie został, ponieważ lista AWS nie wzięła mandatu w tym okręgu. Biorąc pod uwagę wynik i wiek, kampania ta była jego sukcesem. Później w RS pomogłem mu w trakcie wyborów wewnątrz partii, aby został delegatem na zjazd wojewódzki, by mógł zafunkcjonować na wyższym szczeblu. Sam nie był w stanie tego osiągnąć, ponieważ nie był w stanie nikogo przekonać do własnej osoby. Następnie skontaktowałem go z Tomaszem Huzarewiczem, działaczem szczebla wojewódzkiego, by wziął go pod swoją kuratelę. Efektem powyższego, była dla niego rada nadzorcza jednej z placówek medycznych na Śląsku. Po upadku AWS ja związałem się z PiS, on z PO. Początkowo współpracował z Krzysztofem Haładusem – działaczem z Sosnowca, którego poznał po linii kupieckiej. W owym okresie, kiedy miał problem jako starszy i bardziej doświadczony służyłem mu radą. Odradziłem, aby nie szedł za owczym pędem i nie wiązał się z Zagułą, ponieważ postać ta nie jest ciekawa, a ponadto nigdy nie uzna w nim partnera. Kiedy prawybory w PO (2001) wygrał Grzegorz Dolniak, doradziłem, aby się z nim związał, gdyż to on zostanie w przyszłości posłem. Dzięki mojej znajomości przedmiotu, został pierwszym członkiem PO w Dąbrowie, który nawiązał z nim stosunki. Aby mógł się przed nim wykazać

rzutkością i organizacją, udostępniłem listę kilkudziesięciu młodych ludzi zwerbowanych przeze mnie na terenie Będzina i Czeladzi do kampanii wyborczej, w szczególności do zbierania podpisów. Dzięki mej wiedzy i organizacji wykazał się rzutkością. Oczywiście wszystkie te fakty zataił przed Dolniakiem, przypisując je wyłącznie sobie. Ponieważ, jak się później okazało obaj z Dolniakiem posiadali zbliżoną konstrukcję psychiczną nacechowaną ambicją i pazernością na pieniądz, bardzo szybko przypadli sobie do gustu, zostając partnerami nie tylko w polityce, ale i biznesie.

W polityce Stachowicz – reprezentował interesy – Dolniaka na obszarze Dąbrowy. Stworzył w PO drugie, w znacznej mierze fikcyjne koło, składające się z młodych, aczkolwiek pełnoletnich osób. Dolniak mając świadomość fikcji w pełni ją legitymizował, gdyż leżało to w jego interesie. Dzięki powyższemu mógł negocjować z Sokolińskim swoją pozycję w dąbrowskiej PO. Został zastępcą przewodniczącego z połową swoich chłopców w zarządzie powiatowym. Faktycznie to pod auspicjami Dolniaka przejął kontrolę nad tą organizacją.

Po związaniu się PO z Talkowskim – Stachowicz dzięki poręce Dolniaka został członkiem rady konsultacyjnej, a następnie rady nadzorczej gminnej spółki MZUM. Główne eldorado to jednak Będzin. W wyborach 2002 Dolniak jest tam akuszerem koalicji POPiS, w ramach której prezydentem zostaje – Radosław Baran. Później prezydent spłaca swój dług, oddając w ich orbitę wpływów INTERPROMEX, spółkę z jednoosobowym udziałem skarbu gminy powstałą z przekształcenia dawnego Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Ponieważ w zakresie swej działalności na rynku będzińskim spółka jest niemal monopolistą – żyć nie umierać. Interesów Dolniaka ma tam pilnować – Krzysztof Stachowicz. Ze względu na brak doświadczenia zostaje tylko wiceprezesem.

Później dochodzi do układu Dolniak (PO) – Żelichowski (PiS). Wszak obaj panowie poszli w politykę wyłącznie dla pieniędzy. Obaj kontrolują po jednym mieście. Pierwszy poprzez Radosława Barana (Będzin), drugi poprzez Pawła Silberta (Jaworzno). W konsekwencji tego układu znów wypływa osoba Krzysztofa Stachowicza jako sekretarza rady nadzorczej PKM Jaworzno. W międzyczasie na mocy koalicji POPiS zostaje radnym sejmiku śląskiego. Trzeba przyznać, że jak na trzydziestoletniego chłopaka kariera nienajgorsza.

Nigdy by jednak do tego nie doszło, gdyby nie polityczny kapitał początkowy jaki otrzymał ode mnie. Gdyby nie moja znajomość przedmiotu, dalej byłby handlarzem bazarowym z bezrobotną żoną na utrzymaniu.
On zawdzięcza mnie karierę, ja jemu nic. W całokształcie jego postępowania nie ma nic autentycznego, same oszustwa, intrygi, podjazdy. I w takiej sytuacji ma czelność powiedzieć:

- Kto to jest ten Frączek?! Nikt!

Natychmiast złapałem za telefon i odbyłem z nim krótką, bardzo ekspresyjną wymianę zdań. Oczywiście zgodnie ze swoim szelmowskich charakterem poszedł w zaparte.

- To nie jest prawda!

Stało się oczywiste, że nasza współpraca jest już zakończona.

Ponieważ w świetle tych wydarzeń – Stachowicz przestał być moim partnerem po stronie PO, postanowiłem bliżej się związać ze Stanisławem Sokolińskim. Ten sprawiał wrażenie jednostki pasywniejszej, aczkolwiek bardziej uczciwej. Jak się później okazało, też nie do końca. Faktem jest, że to z nim, a nie ze Stachowiczem – jak pierwotnie planowałem, omówiłem szczegóły spotkania integracyjnego, dwóch do tej pory zantagonizowanych środowisk. Miast w dworku myśliwskim w Błędowie odbyło się ono na działkach w Antoniowie. I tu otrzymałem kolejny prysznic. W świetle ustaleń w imprezie miało uczestniczyć po dziesięć decyzyjnych osób z każdej strony. Byłem przekonany, że będzie to ich zarząd powiatowy. Tymczasem ujrzałem cztery osoby: Stanisława Sokolińskiego, związanego z nim wówczas byłego zastępcę prezydenta – Marka Cygronia (który nawet nie był członkiem PO), Krzysztofa Stachowicza i jednego z jego “bagnetów”, może dwudziestoletniego chłopaka. Sokoliński stwierdził, że tak postanowili, ponieważ jest to grono z ich strony w pełni reprezentatywne. Nie rozwijał jednak twórczo tej myśli, widząc wygląd mojej twarzy. W lot pojąłem, jaki numer mi wykręcili.

Istotą spotkania nie było napicie się wódki ani rozmowa z Sokolińskim czy Stachowiczem, tylko nieoficjalna konwersacja z ich zarządem. W jej trakcie chciałem wyjaśnić przyczyny dotychczasowych nieporozumień oraz wyjaśnić mechanizmy, jakie doprowadziły do braku koalicji, ze szczególnym uwzględnieniem roli – Henryka Zaguły i pazerności części ich aktywistów. Z informacji jakie do mnie docierały wiedziałem ponadto, że większość z nich była oszukiwana i świadomie wprowadzana w błąd przez swoje kierownictwo. Przeinaczano fakty i całą winę, niezgodnie ze stanem faktycznym przerzucano na moją osobę. Aby w trakcie powyższego nie doszło do drastycznych spięć jak niegdyś, alkohol i nieoficjalna forma konwersacji miały spełniać rolę czynnika tonującego.

Oni również o tym wiedzieli, dlatego zataili przed swoimi istotę mojej propozycji, wystawiając wyłącznie siebie i nieistotne z ich optyki dwie dodatkowe duszyczki. W świadomości tych osób, ujawniona przeze mnie prawda nie była w stanie spowodować żadnych przewartościowań, ani zmiany dotychczasowego osądu. W lot pojąłem ich chytre intencje, ale by nie powodować dalszych zadrażnień, przeszedłem nad tym do porządku dziennego. Ze względu na brak po stronie PO, właściwego audytorium mój plan integracyjny spalił na panewce. Ci, co byli obecni, prawdę znali i świadomie nią manipulowali. Ku pokrzepieniu ducha pozostał wyłącznie alkohol.

Jakiś czas później otrzymałem kolejny cios, tym razem niespodziewany. Jarosław Kaczyński doszedł do wniosku, że w szeregi jego partii wkradło się zbyt wiele elementu niepożądanego i zarządził czystkę. Ową czystkę miały przeprowadzić zarządy wojewódzkie. Miano usuwać ludzi, którzy byli na bakier z prawem, szkodzili wizerunkowi partii lub nie uczestniczyli w jej pracach.
Jakież było moje zdziwienie, gdy znalazłem się na liście owych elementów niepożądanych z zarzutem psucia wizerunku partii. Owo psucie miało polegać na fakcie, iż od kilku lat bez ślubu kościelnego przebywam w związku z pewną kobietą. Dość powiedzieć, że takie było uzasadnienie mojego wykluczenia. Jeszcze dziwniejszym był fakt, że osiemnastu Torquemadów na dwudziestu obecnych podniosło ręce za takim wnioskiem. Sprzeciwili się jedynie Maria Nowak i Maciej Wojciechowski. Jako element niepożądany zostałem usunięty z partii Prawo i Sprawiedliwość.

Powyższy wniosek zgłosił przewodniczący – Jerzy Polaczek, człowiek żonaty i dzieciaty, członek katolickiej organizacji Opus Dei. Jest oczywistym faktem, że nie konkubinat był powodem mojego wykluczenia. Bezpośrednią przyczyną była nieracjonalna chęć zemsty, jaką dyszał do mnie od pewnego czasu.

Poznałem go w połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy był wiceprezydentem Piekar Śląskich. Był postacią stosunkowo pasywną o sympatycznym wyglądzie poczciwego chłopczyka. Odkrył go – Adam Grzesica i postanowił wylansować, tak trafił do SKL. Dzięki inwencji i organizacji Grzesicy został przewodniczącym tej partii na Śląsku.
We wstępnej fazie kampanii prezydenckiej 1995 roku popierał Adama Strzembosza. Właśnie wówczas w trakcie dorocznej pielgrzymki do Piekar Śląskich to ja angażowałem swoją konkubinę z samochodem, aby w nocy jeździć i rozklejać plakaty informujące o jego spotkaniu wyborczym, ponieważ Jerzy Polaczek (wiceprezydent) nie był w stanie tego na swoim terenie zorganizować. Jakoś wówczas konkubinat mu nie przeszkadzał.

W 1998 jako postać zupełnie nieznana został posłem na sejm z listy AWS. Ze względu na brak polotu bez pracy i organizacji Grzesicy nigdy by tego nie osiągnął. W Warszawie poznał Kazimierza Ujazdowskiego, pod którego się podczepił, zostając jego człowiekiem. Wraz z rozpadem AWS rozpadł się również SKL. SKL właściwy z Janem Rokitą i Bronisławem Komorowskim wszedł w skład nowo powstałej Platformy Obywatelskiej. Kazimierz Ujazdowski wraz z niedobitkami ZChN (Kazimierz Marcinkiewicz, Marek Jurek, Marian Piłka) utworzyli Przymierze Prawicy. W 2001, kiedy powstawał PiS, Przymierze Prawicy się z nim stowarzyszyło. W owym okresie, będąc współpracownikiem Grzesicy, brałem już udział w politycznych manewrach. Dzięki różnym zabiegom socjotechnicznym udało się wyrąbać w ramach Przymierza Prawicy (które nawiasem mówiąc było partią wirtualną) pozycję

przywódcy na Śląsku dla Polaczka, by następnie z politycznej fikcji stworzyć pozory realnie istniejącej siły. Otrzymałem od Polaczka pisemne pełnomocnictwo do reprezentowania tej partii na obszarze zarówno Dąbrowy Górniczej jak i całego Zagłębia. Jakoś wówczas mój konkubinat mu nie przeszkadzał. Nie przeszkadzał mu również, kiedy z jego umocowania prowadziłem akcję zbierania podpisów pod listami poparcia do sejmu i prowadziłem kampanię wyborczą. Nie przeszkadzał kiedy występowałem w jego imieniu jako strona wobec partnerów z PiS właściwego. Przez cały ten okres nasze wzajemne relacje były poprawne, rzekłbym nawet koleżeńskie. Trwało to dobrych kilka lat. Aż do momentu, kiedy na fali rozrachunków powyborczych doszło między nim a jego dotychczasowym promotorem – Adamem Grzesicą do konfliktu. Bezpośrednim powodem były wzajemne rozliczenia finansowe. Kwestie stosunkowo drażliwe, ponieważ lwia część wydatków szła poza oficjalnymi rozliczeniami. Polaczek nie chciał spłacić wcześniej zaciągniętych zobowiązań. W tym konflikcie stanąłem po stronie Grzesicy, uważając, że każdy winien płacić za swoje zobowiązania, a zresztą byłoby dobrze, gdyby Jerzy Polaczek przestał odgrywać rolę chwasta, wiecznie żerującego na intelektualnej i fizycznej pracy innych. Wszak jako poseł drugiej już kadencji jest osobą stosunkowo majętną.

Muszę nadmienić, że nigdy nie wyrządziłem mu krzywdy. Kiedy oświadczył, że jego długi z kampanii są długami wirtualnymi, obaj z Grzesicą podziękowaliśmy za dotychczasową współpracę i odeszliśmy.
Grzesica poprzez – Jacka Matusiewicza – związał się z PO, ja udałem się do – Jędrzeja Jędrycha, celem dalszej działalności w ramach PiS.

I tylko tyle. Dzięki naszej pracy, zwłaszcza Grzesicy z roli samorządowca prowincjonalnego miasta wszedł na warszawskie salony. Z pozycji politycznych, kto wobec kogo miał zobowiązania? O pieniądzach nie wspomnę.

Kilka miesięcy później w ramach uzgodnień między Jarosławem Kaczyńskim a Kazimierzem Ujazdowskim doszło do politycznej integracji PP i PiS w ramach Prawa i Sprawiedliwość. Na szesnaście istniejących województw PiS dostał przewodnictwo - 11, natomiast PP - 5. Na moje nieszczęście wśród tych pięciu było akurat śląskie. I tak – Jerzy Polaczek na mocy warszawskich uzgodnień został przewodniczącym PiS na Śląsku. Od tego momentu rozpoczęła się moja gehenna. Nie ma nic gorszego niż nieporadne dziecko uzbrojone w atrybuty władzy, funkcjonujące w niedemokratycznym otoczeniu.

Od początku objęcia tej funkcji zaczął mnie zwalczać z całą zaciętością. Grzesica będąc w PO, był poza zasięgiem jego możliwości, ja natomiast nie. Bardzo szybko wraz z Czesławem Żelichowskim uknuli przeciwko mnie spisek mający pozbawić mnie pełnomocnictwa na obszar Dąbrowy Górniczej. Na zarządzie wojewódzkim przeprowadzono nawet stosowne głosowanie, w wyniku którego kilka osób, w tym oczywiście ja, zostało pozbawionych pełnionej funkcji. Sytuację uratował wówczas – Jędrych, odwołując się do

najwyższej instancji, czyli Jarosława Kaczyńskiego. Ten arbitralną decyzją przywrócił poprzednie status quo.

Fakt był bezdyskusyjny: Jerzy Polaczek i Czesław Żelichowski na pół roku przed zbliżającymi się wyborami lokalnymi (2002) postanowili odwołać swojego byłego współpracownika z funkcji szefa PiS w Dąbrowie, by zastąpić go nijaką – Aurelią Rożdżyńską. Była to panienka bez przygotowania politycznego, a zatem całkowita dyletantka w tej dziedzinie. Jedynym jej atutem był fakt, że była znajomą Żelichowskiego. I większość składu zarządu wojewódzkiego ten wniosek przegłosowała. Z pozycji politycznych powyższa decyzja oddawała dąbrowski PiS całkowicie w orbitę wpływów Zaguły i PO.
Dopiero osobista ingerencja Kaczyńskiego anulowała powyższy absurd.
W okresie samorządowej kampanii wyborczej obaj za moimi plecami składali zapewnienia Henrykowi Zagule, że bez względu na moje stanowisko poparcie PiS i tak otrzyma, czym de facto uniemożliwili mi zawarcie z nim koalicji na warunkach partnerskich. Czynili to nie po to, aby jemu pomóc, lecz by mnie zaszkodzić.

Dopięli swego kilka miesięcy później, kiedy Żelichowski za pomocą posiadanych aktywów na terenie Jaworzna (Paweł Silbert) był w stanie przekupić stołkami kilku członków zarządu wojewódzkiego, którzy mnie znali. Wówczas już nikt nie był w stanie stanąć w mojej obronie. Ale i tego było im mało, gdyż kilka miesięcy później na fali proklamowanej przez Kaczyńskiego czystki, usunęli mnie nawet z członkostwa w partii. Mnie, byłego działacza opozycji demokratycznej z więziennym epizodem, aktywistę politycznego z ponad dwudziestoletnim stażem, usunięto po raz pierwszy w życiu z członkostwa w partii politycznej, tylko z jednego powodu: byłem osobą niezależną, która nie chciała spełniać roli ich marionetki.
Tym razem w mojej obronie nie padł ani jeden wystrzał. Na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą.

Rozdział XXXIX
OSZOŁOM I ALKOHOLIK

Wyrzucenie mnie z PiS wywołało w mojej psychice kolejne przewartościowania dotychczasowych poglądów. Definitywnie utraciłem ufność w drugiego człowieka. Do mojej świadomości dotarła również kolejna prawda – występowanie całkowitego zaniku norm moralnych w polityce. Odwołanie mnie z funkcji pełnomocnika przyjąłem z godnością. W zarządzie wojewódzkim zmienił się układ sił na dla mnie nieprzychylny, a to ciało miało wyłączną kompetencję powoływania i odwoływania swoich przedstawicieli. Ale wyrzucenie mnie z partii pod absurdalnym zarzutem przebywania w związku konkubinatu, było wyłącznie przejawem groteski. Pikanterii temu zdarzeniu dodawał fakt, że zdecydowana większość członków zarządu za takim wnioskiem głosowała, co już zakrawało na kpinę. Jest to wymierny dowód moralnej jakości tych osób. Zrozumiałem, że Kaczyński – działając zapewne w dobrej wierze stworzył jednak potwora.

Problem leżał w braku w partii procedur demokratycznych. Wybory odbywały się wyłącznie na szczeblu centralnym, na szczeblu wojewódzkim były już sterowane. Członkowie partii mieli co prawda prawo wybierania członków zarządu wojewódzkiego, ale tylko i wyłącznie spośród osób zaakceptowanych przez Jarosława Kaczyńskiego. Tak jak w PRL. Na szczeblu lokalnym z kolei nie występowały żadne procedury wyborcze. Szeregowy członek nie miał tutaj żadnego prawa. Władza decyzyjna leżała wyłącznie w gestii powoływanego i odwoływanego przez zarząd wojewódzki – pełnomocnika. A ponieważ od szczebla wojewódzkiego w dół nie istniał żaden cywilizowany system selekcji (wybory), został on zastąpiony praktyką dworską – klientelizmem. Identyczny mechanizm występował niegdyś w PZPR, gdzie również nie obowiązywały normy demokratyczne, lecz procedura centralizmu. W PZPR wyższa instancja zawsze decydowała o obsadzie personalnej organów niższej instancji. A podstawowym kryterium był aktualny układ sił rywalizujących o władzę wewnątrzpartyjnych koterii. Ten powszechnie funkcjonujący w PRL mechanizm po raz pierwszy zakwestionowała Solidarność w 1980 roku, wprowadzając wybory na wszystkich swoich szczeblach. Pod względem budowy struktury wewnętrznej PiS był PZPR-em.

Gdyby bowiem w PiS tak jak w partiach przestrzegających norm demokratycznych przedstawiciel każdego szczebla musiał uzyskać mandat swojego bezpośredniego zaplecza, wyższa instancja nie mogłaby dowolnie tym faktem manipulować. W tym przypadku mogła. Wszak łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Wystarczy paru chwiejnych członków zarządu wojewódzkiego przekupić stołkami (np. radami nadzorczymi) i już przestają być ludźmi, zostając klientami określonej koterii. Tak było w moim przypadku. Będą się szmacić, robić z siebie dworaków, byle tylko nie utracić danego im przywileju i

nie wypaść poza istniejący system klientelistyczny, bez którego byliby bankrutami. Bezpośrednią przyczyną usunięcia mnie z partii była niezależna postawa. Przy podejmowaniu decyzji kierowałem się wyłącznie interesem swoim i swojego zaplecza, a nie partyjnych koterii szczebla wojewódzkiego. Wbrew naciskom Żelichowskiego i Polaczka nie zawarłem niekorzystnego układu z Zagułą. Później stałem na drodze ewentualnego układu Żelichowski – Dolniak. Jeden kontrolował Jaworzno, drugi Będzin. W Dąbrowie – Dolniak kontrolował PO – Żelichowski natomiast nie miał wpływu na PiS. To stawiało go w położeniu gorszym od partnera. Był zatem żywotnie zainteresowany w dokonaniu zmiany. Dlatego pozbawiono mnie pełnomocnictwa. Szybko jednak się okazało, że nawet nie pełniąc tej funkcji i tak wywieram decydujący wpływ na lokalną politykę, większy od następcy – Jacka Kościelniaka. Aby temu zaradzić, skorzystano z okazji czystki i pod jej przykryciem usunięto mnie z partii. W ten sposób w ich mniemaniu wyrwano niepokornego chwasta.

Nic zatem dziwnego, że po takim doświadczeniu nie miałem najmniejszego powodu, aby dalej parać do PiS-u jakimkolwiek sentymentem. Ten rozdział w swojej karierze miałem już za sobą. Chcąc dalej funkcjonować w orbicie politycznej postanowiłem związać się z PO, która pod względem politycznym była mi formacją najbliższą.

W owym okresie w dąbrowskiej PO decydowały w zasadzie dwie osoby: Stanisław Sokoliński (przewodniczący) i Krzysztof Stachowicz (zastępca). Do tego momentu – Sokolińskiego – uważałem za człowieka uczciwego, aczkolwiek słabego charakteru, niezdolnego do samodzielności. O Stachowiczu już wiedziałem, że jest miernotą pozbawioną jakichkolwiek zasad, chorym ambicjonalnie młodzikiem, odznaczającym się niesamowitą wprost pazernością na dobra materialne. Taką ocenę obu panów, miałem nie na podstawie czyichś plotek czy doniesień, lecz własnego oglądu sytuacji popartego praktyką naszych dotychczasowych relacji. Instynktownie wyczuwałem, że większy opór przed przyjęciem mojej osoby wystąpi ze strony Stachowicza (który zawdzięcza mi bardzo wiele), niż ze strony Sokolińskiego (który niczego, prócz zepsucia nieco nerwów nie był mi dłużny). Aby mieć pewność postanowiłem użyć podstępu. Ponieważ konstrukcja psychiczna Stachowicza była analogiczna do konstrukcji Tytusa Żurka, tego ostatniego postanowiłem użyć w charakterze wywiadowcy. Poinformowałem Tytusa, że zamierzam wstąpić do PO. Był zachwycony, stwierdził, że on również takowy ruch planuje. Poprosiłem go, aby odbył poufną rozmowę ze Stachowiczem w kontekście przyjęcia mojej osoby. Argumentowałem, że mam uzasadnione obawy, by sądzić, że jak zwrócę się do niego osobiście to będzie mnie zwodził i oszukiwał. A ja potrzebuję rzetelnej i obiektywnej oceny – przyjmie mnie – czy swoim złodziejskim sprytem, będzie powyższe torpedował i sprawa będzie wiecznie w toku.
Przy mnie Tytus wykonał do niego telefon, umawiając się na rozmowę. Dwa dni

później otrzymałem relację.

Stachowicz jest zdecydowanie przeciwny mojemu przyjęciu i będzie powyższe torpedował. Tytusa jednak przyjmie, ale nie samego tylko wraz z trzydziestoma martwymi duszami (pracownikami jego firmy), taka bowiem liczba duszyczek jest mu niezbędna, celem pełnej kontroli lokalnej struktury. Tytus jego warunki zaakceptował. A więc kanalia nie z tej ziemi!

Dwa dni później odbyłem rozmowę z Sokolińskim. Ten swoim obyczajem przyjął mnie stosunkowo ciepło, twierdząc, że osobiście nie widzi żadnych przeciwwskazań do mojej osoby. Opór wystąpi ze strony dwóch członków zarządu: Bogusławy Ciaś i Zbigniewa Wróblewskiego, ale zostaną przegłosowani.

Odpowiedziałem, że sytuacja jest znacznie poważniejsza. Posiadam informację, że Stachowicz jest również przeciwny. A ponieważ poprzez swoje młodociane marionetki kontroluje połowę zarządu – oznacza to, że moja kandydatura nie uzyska większości.

Sokoliński był zaskoczony tym faktem.

- Stachowicz jest przeciwny?! Nie wierzę...?
- To nie jest problem wiary, lecz wiedzy.
- A skąd posiadasz taką wiedzę?
- Od Tytusa Żurka.
- Ale przecież wy się kolegujecie, jego ojciec jest również twoim kolegą?!
- Stachowicz nie ma kolegów, on uznaje wyłącznie interesy. A mnie z przyczyn politycznych bardzo się obawia. Wszak jego pozycja, oparta jest na dwóch przesłankach: relacjach z posłem i oszustwach związanych z wprowadzaniem na listy martwych dusz.
- To prawda, połowa członków jego koła to figuranci.
- Więc wie, że jak będę w PO, to ten proceder się zakończy, a bez tego oszustwa nie jest w stanie wytrzymać politycznej konkurencji.
- A jak widzisz swoją rolę w PO?
- Nie zamierzam wprowadzać żadnych martwych dusz, ani się nimi podpierać. Z PiS przejdzie ze mną około dziesięciu osób i to wszystko. Koło Stachowicza należy poddać weryfikacji, wykreślić figurantów, a jego ostatecznie napiętnować, aby nikt więcej nie sięgał po takie metody. Potem należy scalić oba koła (wówczas w PO były dwa koła), wyłonić jeden zarząd i jednego przewodniczącego. Taka jest moja polityka, taką będę lansował, a reszta w rękach większości członków.
- To jest niemożliwe... Obecnie mamy dwa koła, a większość chce utworzenia następnych czterech, by odpowiadały okręgom wyborczym. Już jestem atakowany, że torpeduję uzyskanie w tej kwestii zgody zarządu wojewódzkiego.
- To idiotyzm, wbrew logice. Jeżeli partia ma być siłą polityczną to musi posiadać wyłącznie jedno koło, jeden zarząd i jednego przewodniczącego.

- Ale u nas jest wielu członków?!

- Mam odmienne informacje. Koło Stachowicza to albo fikcja, albo dzieciarnia nie mająca zielonego pojęcia o zagadnieniach przedmiotu. W kole waszym z kolei też występują figuranci, aczkolwiek na mniejszą skalę. Pozapisywane są całe rodziny. Jak się to wszystko wyczyści to zostanie jakieś 30 osób. W sam raz na jedno koło.

Muszę przyznać, że przez cały czas trwania rozmowy – Sokoliński zachowywał się taktownie, aczkolwiek z wyczuwalną nutą dystansu. Ten dystans został przełamany dopiero, kiedy mu oświadczyłem, że mam pełną świadomość, że nie zostanę przyjęty przez strukturę lokalną. Wejdę tylnymi drzwiami przez zarząd wojewódzki. Celem naszej rozmowy nie jest przekonywanie go do moich racji, lecz wysondowanie, jaki jest jego stosunek do mojej osoby. Podkreśliłem, że traktuję go wyżej niż Stachowicza, czego dowodem jest fakt, że prowadzę z nim rozmowę osobiście, a nie przez podstawionego człowieka. To ostatecznie przełamało lody. Dopiero od tego momentu rozmowa zaczęła się kleić. Stwierdził, że w moim przypadku nie widzi przeciwwskazań i mogę liczyć na poparcie jego i jego zwolenników, oczywiście za marionetki Stachowicza odpowiedzialności nie bierze. Co do przyjęcia wraz ze mną dziesięciu osób z PiS, to też nie widzi przeciwwskazań.

Mając już pełny obraz sytuacji, zwróciłem się do Adama Grzesicy, który miał przeprowadzić procedurę mojego przyjęcia z ominięciem struktury dąbrowskiej, która ze względu na lokalny układ interesów była dla mnie zamknięta. Ponieważ statut PO nie precyzował, do jakiego koła ma należeć członek, wystarczy, że przyjmie mnie jakiekolwiek, a następnie złożę pisemne oświadczenie, że z racji zamieszkania chcę należeć do koła dąbrowskiego i zostanę automatycznie przepisany. Struktura lokalna może bowiem kogoś w poczet członków nie przyjąć, ale nie może odmówić przyjęcia już przyjętego. Z niewyjaśnionych przyczyn – Grzesica zwodził mnie kilka miesięcy – twierdząc, że sprawa jest w toku, mimo że była w powijakach. W końcu zdenerwowany postanowiłem przejąć inicjatywę w swoje ręce. Spotkałem się z Jackiem Matusiewiczem pełniącym funkcję wiceprzewodniczącego zarządu wojewódzkiego i będącego w przyjaźni z Tomaszem Tomczykiewiczem (przewodniczącym). Poinformowałem go o wytworzonej sytuacji i poprosiłem o pomoc. Stwierdził, że temat załatwi. Kilka dni później zostałem członkiem PO w Siemianowicach Śląskich.

Burza wyniknęła dwa tygodnie później, kiedy zgodnie z założonym planem moje pisemne oświadczenie o chęci przepisania się do koła w Dąbrowie, kanałami służbowymi znalazło się w rękach – Stanisława Sokolińskiego.

Początkowo oponował wyłącznie – Stachowicz (członek zarządu wojewódzkiego), wygadując na mój temat bzdury, których nawet cytować nie

uchodzi. Widząc, że nie jest w stanie samodzielnie mnie wyeliminować, wciągnął w intrygę swojego mentora – Grzegorza Dolniaka (poseł). Ten mając świadomość, że interesy jego człowieka są zagrożone (fikcja z martwymi duszami, pozwalająca mu kontrolować strukturę) natarł z impetem. I o dziwo niczego nie wskórał. Dostałem jednak ostrzeżenie, że ponieważ Dolniak jest posłem jego negatywne stanowisko jest poważną przeszkodą. Dlatego w moim interesie leży wyłączenie go z tej rozgrywki. Sygnał był precyzyjny. Jeżeli wyłączę – Dolniaka z akcji, osiągnę zakładany cel. Jeżeli tego nie uczynię będzie klapa.
W takiej sytuacji postanowiłem napisać do niego list. Był on utrzymany w pojednawczym tonie. Wyłuszczyłem w nim moje dotychczasowe relacje z jego człowiekiem – Krzysztofem Stachowiczem (sam go określał takim mianem). Podkreśliłem, że jest moim dłużnikiem, ponieważ de facto to ja prowadziłem jego kampanię za pośrednictwem Stachowicza (kwestia oddelegowania młodzieży do zbierania na jego rzecz podpisów pod listą poparcia w 2001), wyjaśniłem dlaczego jego człowiek mnie zwalcza. Ponieważ swoją pozycję zbudował na oszustwie (martwe dusze) i obawia się, że moja obecność w partii spowoduje dekonspirację jego metod działania. Zaproponowałem spotkanie, celem przedyskutowania naszych wzajemnych relacji. Stwierdziłem, że jestem gotów się z nim ułożyć tak, aby jego ewentualne interesy nie ucierpiały.

List był tak zredagowany, że tylko jednostka o mentalności kanalii mogła przejść koło niego obojętnie. Wszystko teraz zależało od jego psychiki. Jeżeli będzie uczciwy, zakładany cel osiągnę. Jeżeli nie, nic nie wskóram.

Do dnia dzisiejszego nie otrzymałem odpowiedzi. Pan Dolniak – poseł na sejm, uchodzący za osobę zaufania publicznego okazał się jednak małym człowieczkiem. Miast rozmowy uraczył mnie świeżą porcją ataków. Na tyle zdesperowanych, że moi dotychczasowi sprzymierzeńcy w PO postanowili wycofać się z udzielania mi dalszej pomocy, twierdząc, że opór materii jest tak silny, że gra nie jest warta świeczki.

W międzyczasie odbyłem kolejne spotkanie z Sokolińskim. Tym razem atmosfera była zupełnie inna od poprzedniej. Przez cały czas jej trwania wyczuwalny był dzielący nas dystans. Podtrzymał, co prawda swoją wcześniejszą deklarację, że osobiście do mnie nic nie ma, ale pomocy mi nie udzieli, ponieważ nie uczyni niczego, co naraziłoby na szwank jego relacje z duetem Dolniak – Stachowicz.
Wypowiedź ta nie była w pełni szczera, ponieważ już wówczas posiadałem wiedzę, że na forum zarządu wojewódzkiego PO, wraz ze Stachowiczem jednak szyje mi buty. Jego zachowanie i klimat rozmowy, całkowicie potwierdzały te informacje.

Otrzymałem również sygnały, że kwestia mojego członkostwa na dwa

miesiące zdominowała problematykę lokalnych zebrań PO. Wywołało to istny armagedon. Frączek w Platformie, toż to koniec świata.
Sytuacja była niecodzienna. Moi wrogowie aktywnie mnie atakowali, aczkolwiek nie przedstawiali żadnego merytorycznego zarzutu wobec mojej osoby. Wytworzyła się taka psychoza, że nawet ci mądrzejsi, którzy mieli pełną świadomość sytuacji, nawet nie próbowali mnie bronić w obawie o przyklejenie łatki idioty i oszołoma.

Ilustracją tego niech będzie fakt, że któregoś dnia chciałem się spotkać z pewną osobą z PO. Stwierdziła, że chętnie się spotka, ale na peryferiach, żeby nas nikt nie zobaczył. Istne szaleństwo.

Główne uderzenie nadeszło kilka dni później. W siedzibie zarządu wojewódzkiego PO pojawiło się trzech panów: Krzysztof Stachowicz, Stanisław Sokoliński i Tytus Żurek. Wspólnie i w porozumieniu bez zmrużenia oka wygłosili następującą kwestię:

- Frączek nie może być członkiem PO, ponieważ jest oszołomem i alkoholikiem. Na czym moje oszołomstwo ma polegać, nie byli w stanie wyjaśnić. Mój rzekomy alkoholizm uzasadnili faktem pobytu w szpitalu w okresie poprzedzającym kampanię wyborczą.

Byłem bezradny. Jestem atakowany zarówno na odcinku lokalnym, jak i wojewódzkim i to w sytuacji, gdy nie mogę się bronić, ponieważ w tych gremiach jestem nieobecny. Z ich absurdalnymi zarzutami rozprawiłbym się w pięć minut, gdybym tylko miał ku temu okazję, ale jej nie mam. Do dwóch dotychczasowych antagonistów dołączył trzeci – Tytus Żurek. To, że Tytus jest karierowiczem, jednostką pazerną na dobra materialne, to oczywiście wiedziałem. Ale nigdy nie przypuszczałem, że jest w stanie posunąć się do tak niewyobrażalnej podłości. Wszak nawet gangster ma jakieś hamulce.

Nigdy nie spotkałem się z faktem, aby oprych zaatakował i pobił kobietę lub dziecko, ponieważ wie, że jest to czyn poniżej jego godności. Jak wykazało doświadczenie – Żurek na swojej drodze do pieniądza, takich dylematów nie przeżywał. Dzięki przyłączeniu się do obozu Dolniak – Stachowicz i przyłożeniu ręki do mojego pogrążenia, otrzymał przewodnictwo rady nadzorczej dąbrowskiego AQUAPARKU. Jego filozofia życiowa zasadza się na prostej maksymie: garść banknotów i śmierć frajerom.

Problem Tytusa był; raz, że bolesny, dwa, że niezwykle groźny. O ile Stachowicz z Sokolińskim uchodzili za moich antagonistów, ludzi znacznie ode mnie politycznie słabszych, kierujących się w tym przypadku lękiem przed zagrożeniem własnych aspiracji, a zatem ludzi niezbyt wiarygodnych w oczernianiu rywala, o tyle Żurek uchodził za osobę poważną, mężczyznę w wieku dojrzałym, z pewną pozycją społeczną (prezes firmy), w dodatku znał mnie od piętnastu lat. Jego poparcie dla tych bredni było poważnym ciosem, który nie mógł przejść bez echa. Jeżeli sądził, że nigdy o tym fakcie się nie

dowiem, to był w błędzie. Niech teraz do końca żywota trwa w hańbie i poniżeniu.

Garść banknotów i śmierć frajerom, oto jego dewiza. Klasyczny przykład moralnego degenerata.

Stanisławowi Sokolińskiemu – świeckiemu katolikowi z sympatyczną aparycją, człowiekowi, który w miejscu swojego zamieszkania uchodzi za dobrotliwego wujka, nawet powieka nie drgnęła, kiedy wystawiał bliźniemu fałszywe świadectwo. Ten z kolei całe życie był nikim, nigdy nie posiadał swojego osądu. Wiecznie musiał komuś służyć i służył. Jako przewodniczący komisji rewizyjnej rady miejskiej szedł na pasku – Marka Dula, później – Marka Lipczyka, następnie związał się z Henrykiem Zagułą, by ostatecznie poprzeć – Jerzego Talkowskiego, a później służyć Dolniakowi i Stachowiczowi. Mimo że ich polityka stała w pewnej sprzeczności, on wszystkim im bezgranicznie służył i za swą służbę zawsze coś dostawał. Od jednego pracę dla żony, od drugiego mieszkanie dla syna, od innego radę nadzorczą dla siebie. By w końcu za swą służbę stanąć przed prokuratorem oskarżony o korupcję. Jakoś dekalog na jego katolickiej drodze życia nigdy nie stanowił trwałego punktu odniesienia.

Na tym tle paradoksalnie najbardziej uczciwie prezentował się – Stachowicz. Ten nigdy nie krył, że w życiu liczą się wyłącznie pieniądz i władza. Mniejsza z tym jaką metodą zdobyte. W takich wartościach został wychowany. Oszustwo, krętactwo i podstęp są zawsze dobre, jeżeli prowadzą do korzystnego dla niego finału. W przeciwieństwie do Sokolińskiego – nigdy też nie podpierał się względami religijnymi. Mentalnie zbliżony do Żurka i Dolniaka.

Byłem zdesperowany. Rozumiałem, że grunt osuwa mi się spod nóg. Zaczęła do mnie docierać znana wszystkim maksyma “I Herkules dupa, kiedy wrogów kupa”.

W takiej sytuacji postanowiłem wykonać ostatni zwrot zaczepny. Przejrzałem będącą w moim posiadaniu dąbrowską bazę członków PO i przeprowadziłem selekcję. Odrzuciłem całą młodzież z koła Stachowicza oraz członków rodzin pierwszego stopnia pokrewieństwa z koła Sokolińskiego, by do pozostałych wystosować pisemne zaproszenie na spotkanie. Zapowiedziałem, że jest to moment rozstrzygający, ponieważ zamierzam na nim wyłożyć przypadki patologii w ich organizacji oraz przedłożyć propozycję wyjścia z wytworzonego impasu. Teraz albo nigdy. Listy rozesłałem do około czterdziestu osób.

Efekt był porażający – nikt nie przyszedł. Tym samym zostałem zmuszony do złożenia broni i zakończenia farsy z dalszym szturmem na Platformę.

Skoro mnie nie chcą, to ich wola. Mam swój honor i wyznaję starą zasadę, nie pcham się tam, gdzie nie jestem mile widziany.

Tak zostałem oszołomem i alkoholikiem, którego cała dąbrowska PO, z posłem na sejm Grzegorzem Dolniakiem panicznie się obawiała. Moja osoba niesie z sobą takie zagrożenia, że mądrzy i całkowicie alkoholowo zdrowi ludzie pana posła – uznają, że gdyby tylko pojawiła się na ich podwórku, spowodowałaby istny kataklizm.

W artykułowanej przez siebie głupocie nie zadbali nawet o elementarne zasady logiki. Któż przy zdrowych zmysłach obawia się idioty i alkoholika? Ba, uważa nawet ten wrak człowieka za źródło swego zagrożenia?!

Z idioty i alkoholika można się śmiać, a nie się go obawiać. Dlaczego więc tak panicznie się mnie lękali?

Logika nigdy nie była mocną stroną żadnej miernoty.

Rozdział XXXX
W CHARAKTERZE PRZESTĘPCY

W 2000 roku po kilkuletnim okresie przebywania na bezrobociu, postanowiłem rozpocząć prywatną działalność gospodarczą. Ponieważ dysponowałem lokalem biurowym, uruchomiłem biuro rachunkowe i rozpocząłem świadczenie usług księgowych dla drobnego biznesu. Nie posiadałem co prawda uprawnień do usługowego prowadzenia ksiąg rachunkowych, ale ówczesne prawodawstwo takiego obowiązku nie nakładało. W świetle ustawy o rachunkowości był on przypisany wyłącznie do prowadzenia pełnej księgowości (spółki prawa handlowego), w przypadku księgowości uproszczonej (książka przychodów i rozchodów) nie był wymagany. Nadmieniam, że dla small – biznesu prowadzi się wyłącznie księgowość uproszczoną. Prawa więc nie złamałem.

Po pięciu latach funkcjonowania, 8 grudnia 2005 złożyły mi wizytę trzy panie z urzędu skarbowego; dwie młode dwudziestokilkuletnie dziewczyny i jedna starsza, nazwiskiem – Grażyna Liberska. Oświadczyły, że przyszły dokonać kontroli. Udostępniłem wymagane dokumenty jak również złożyłem stosowne wyjaśnienia. Kontrola przebiegała w miłej, życzliwej atmosferze i nawet przez myśl mi nie przeszło, jak wielkie zawisło nade mną niebezpieczeństwo.

Z początkiem marca 2006, otrzymałem wezwanie na komendę policji, wystawione przez Sekcję do Walki z Przestępczością Gospodarczą. Dotyczyło wezwania mnie na przesłuchanie w charakterze podejrzanego o złamanie art. 81 Ustawy (nie napisano jednak jakiej). Przesłuchujący mnie funkcjonariusz nazwiskiem – Robert Luboń – oświadczył, że do prokuratury wpłynęło doniesienie z urzędu skarbowego podpisane przez wspomnianą Grażynę Liberską, informujące, że prowadząc działalność księgową bez stosownych uprawnień, naruszyłem artykuł 81 ustawy o doradztwie podatkowym tj. czyn karalny zagrożony grzywną wysokości 50 000 zł.

Złożyłem wyjaśnienia, że owszem prowadzę wspomnianą działalność, ale legalnie w oparciu o wpis do ewidencji działalności gospodarczej, jestem zgłoszony w urzędzie skarbowym i regularnie odprowadzam stosowne podatki. Moja działalność polega na prowadzeniu usługi księgowej i nie ma nic wspólnego z doradztwem podatkowym. Aby taka czynność mogła zaistnieć, musiałbym mieć wpływ na decyzje swojego klienta przed zaistnieniem zdarzenia gospodarczego, a ja takiej możliwości nie posiadam. Jestem nieobecny przy tych zdarzeniach. Wszelkie decyzje mój klient podejmuje samodzielnie, dopiero po ich dokonaniu dostarcza mi pakiet faktur, celem ich zaksięgowania i rozliczenia z urzędem skarbowym. Moja działalność nie ma zatem żadnego związku z doradztwem podatkowym, dlatego nie rozumiem z

jakiej racji jestem oskarżony o złamanie ustawy, która mojej działalności nie dotyczy. Powyższe wykonuję już od pięciu lat i jak do tej pory nie było żadnego zarzutu, co do jakichkolwiek nieprawidłowości.

Funkcjonariusz skrupulatnie odnotował moje wyjaśnienia. Oświadczył ponadto, że ponieważ postępowanie jest prowadzone w trybie Kodeksu Postępowania Karnego, a ja w nim występuję jako podejrzany, zachodzi konieczność pobrania ode mnie odcisków palców i wykonania zdjęć do kartoteki policyjnej.

Na moją uwagę, że tego rodzaju czynności, mogą być wykonywane dopiero po uzyskaniu nakazu prokuratorskiego, oświadczył, że prokurator już decyzję podjął, cedując wykonanie powyższych czynności na policję.

W 1983 przechodziłem analogiczną procedurę, ale wówczas byłem oskarżony o naruszenie Kodeksu Karnego i próbę obalenia ustroju państwa, obecnie o naruszenie jakiejś ustawy. Czyn niewspółmierny, a biurokracja znacznie poważniejsza. Kiedyś odciski palców pobierano mi tylko raz, obecnie czterokrotnie z obu dłoni, analogicznie czterokrotnie odciski kciuków i całych dłoni. Na moją uwagę, że to przesada, funkcjonariusz wyjaśnił, że taka jest procedura. Obecnie odciski wprowadzane są do komputera policyjnego, a dlatego są pobierane czterokrotnie, że któryś może być niewyraźny, dlatego muszą występować duplikaty.

Uderzyła mnie również bardzo szczegółowa ankieta, jaka została przez niego wykonana. Interesowała go grupa mojej krwi, wzrost, waga, znaki szczególne, rozmiar buta, kolor włosów, oczu, czy posiadam kolczyki i tatuaże. Kiedyś, procedura była znacznie łagodniejsza. Niegdyś akta mojej sprawy były objętości książki, obecnie składały się z pięciu kartek: donosu z urzędu skarbowego, protokołu z przesłuchania w charakterze świadka pani Grażyny Liberskiej, kopii zaświadczeń mojej firmy i protokołu z mojego przesłuchania. Oczekiwano jeszcze na wyciąg z Krajowego Rejestru Sądowego odnośnie mojej karalności.

Policjant traktował mnie dość uprzejmie, nie jak klasycznego przestępcę, ale to nie zmienia faktu, że zostałem sfotografowany, zdaktyloskopowany i opisany w dość szczegółowy sposób. Przestępca pełną gębą.

Kilka dni później prokurator – Sławomir Zaniewski podbił swoją pieczątką, akt oskarżenia sporządzony przez policję. Tym prostym zabiegiem, zmieniłem status z podejrzanego na oskarżonego i akta sprawy trafiły do IX Wydziału Grodzkiego Sądu Rejonowego w Dąbrowie Górniczej. Pozostało mi już tylko oczekiwanie na termin rozprawy sądowej.

Postanowiłem nie brać adwokata, ponieważ z opowieści ludzi, którzy mieli do czynienia z palestrą wiedziałem, że adwokat w niczym nie pomoże, a jedynie zaszkodzi. Nasi adwokaci z reguły interesują się wyłącznie kieszenią

swoich klientów, a nie ich interesami. Nie czytają akt sprawy i nie są w stanie ich skutecznie bronić. Biorą jednak od nich pełnomocnictwa do ich reprezentacji, przez co uniemożliwiają oskarżonemu jakąkolwiek sensowną obronę. Oni ich nie bronią, a oskarżony sam bronić się nie może, ponieważ scedował to prawo właśnie na adwokata.
Zacząłem pilnie analizować przepisy prawne, których dotyczył akt oskarżenia. Ze zgrozą uświadomiłem sobie, że moje położenie jest z góry na straconej pozycji. Okazało się, że rzeczywiście złamałem prawo. Uczyniłem to w sposób nieświadomy, ale jednak uczyniłem.

Rzeczywiście w 2000 roku, kiedy rozpoczynałem działalność, byłem na prawie, ale w 2004 weszła kolejna nowela do ustawy o doradztwie podatkowym, która de facto każdą czynność księgową wrzuciła w poczet czynności doradztwa podatkowego, a ich wykonywanie bez posiadania uprawnień, spenalizowała owym art. 81.

Bezpośrednią przyczyną takiego stanu rzeczy był nieustający lobbing doradców podatkowych w parlamencie. A ponieważ w Polsce ustawy piszą urzędnicy i bezpośrednio zainteresowani (posłowie na ogół ograniczają się wyłącznie do podnoszenia rąk), nadając ich żądaniom sankcję prawną, dlatego tak jak w tym przypadku często mamy do czynienia z bublami legislacyjnymi.
Problem zasadza się na prostej kwestii. Powyższa ustawa spenalizowała nie fakt prowadzenia doradztwa podatkowego bez wymaganego zezwolenia, lecz wykonywanie samych czynności doradztwa podatkowego. Definicja owych czynności z kolei została tak skonstruowana, że wrzucono w nią każdą czynność księgową. I tak, wydrukowanie komuś deklaracji VAT jest już czynnością owego doradztwa. Jest to nielogiczne, ale jest.

Do tej pory żyłem w błogiej nieświadomości, że doradcą podatkowym jest człowiek, który w imieniu swojego klienta wykonuje czynności, aby ten zgodnie z prawem zapłacił jak najmniejsze podatki. Studiuje prawo gospodarcze, wychwytuje luki, doradza w co i jak inwestować, jak i od czego uciekać. Aby mógł to skutecznie realizować, posiada pełnomocnictwo do działania w imieniu i na rzecz swojego klienta, i to przed dokonaniem zdarzenia gospodarczego. Przecież doradztwo występuje przed faktem, a nie po zaistniałym fakcie. Po fakcie już nie ma doradztwa tylko zwykła księgowość. Byłem przekonany, że doradcy podatkowi pracują w biurach konsultingowych, doradzają bankom, korporacjom, dużym firmom.

Obecnie wiem, że byłem naiwny, zapatrzony w sceny z filmów amerykańskich. W Polsce doradcą podatkowym jest ten, kto księguje zaistniałe już i dokonane zdarzenia w budce warzywnej, barze piwnym czy sklepie spożywczym. A wszystko dlatego, aby wielotysięczna armia radców prawnych, którzy nie są w stanie poradzić sobie w firmach doradczych, miała wyłączność na zamknięty przed konkurencją rynek drobnego biznesu. Jest to komiczne i

tragiczne.
Teraz czytelnik wie, dlaczego mając takie prawo, Polska długo nie będzie Ameryką.

Skonsultowałem kwestię z zaprzyjaźnionym radcą prawnym – Janem Gocylą. Ten stwierdził, że nie widzi żadnych szans, abym w świetle zapisów takiej ustawy, wyszedł z procesu obronną ręką. Mając proces z góry przegrany, postanowiłem przyznać się do zarzucanego mi czynu i wnioskować o warunkowe umorzenie sprawy. Argumenty posiadałem: byłem osobą nie karaną, czyn popełniłem w stanie nieświadomości (nowela weszła dopiero w 2004), swoją działalnością nikomu nie wyrządziłem szkody, nikt w konsekwencji mojego działania nie poniósł uszczerbku.

W ogóle, to powyższa sprawa jest o tyle absurdalna, że w tym przypadku nie wystąpiła żadna szkoda, krzywda, ani strata, a było przestępstwo i przestępca. Sam ten fakt, jest już wystarczającym dowodem absurdalnego ustawodawstwa.
Wyrok jest wyłącznie w gestii sądu. Wszystko zależy, na jakiego sędziego trafię. Podzieli moje racje albo odrzuci. Może uczynić i tak, i tak, w zależności od własnego uznania.

Do rozprawy doszło już w kwietniu. Ze względu na niską rangę sprawy procedura odbywała się w trybie uproszczonym. Na sali posiedzeń nie było nawet oskarżającego mnie prokuratora. Sędzia – Halina Wójcicka, kobieta w wieku dojrzałym podeszła do zagadnienia stosunkowo wyrozumiale. W swoich wyjaśnieniach położyłem nacisk, iż byłem nieświadom faktu popełnienia czynu prawnie zabronionego. Wykazałem ponadto, że w wyniku mojej działalności nikt nie poniósł żadnej straty, ani szkody.
Sprawa była o tyle dziwna, iż w analogicznych przypadkach, gdy sprawca w sposób nieświadomy dopuszcza się złamania litery prawa, ale swoim czynem nikomu nie wyrządza szkody, zwyczajowo stosuje się formę pouczenia, a nie donosu do prokuratury. Ten wątek na tyle nurtował sąd, że postanowił go rozwikłać w trakcie przesłuchania jedynego świadka i zarazem donosiciela, czyli pani – Grażyny Liberskiej.

Pani świadek została przez sąd zmuszona do wyjawienia posiadanego wykształcenia. Zeznała, że posiada wykształcenie wyższe, ma ukończony licencjat, ale przymierza się do zrobienia magistra. Jest zatrudniona w charakterze urzędnika państwowego w urzędzie skarbowym na funkcji starszego komisarza skarbowego. Następnie zgodnie ze stanem faktycznym przedstawiła przebieg kontroli w mojej firmie.

Na pytanie sądu, jakie nieprawidłowości wykryła, stwierdziła, że to jedno – brak wymaganego zezwolenia. Nadmieniam, że była to osoba 44-letnia.
Pytania sądu i odpowiedzi świadka układał się w logiczną całość. Kobieta w wieku już dojrzałym postanowiła piąć się po szczeblach awansu zawodowego,

stąd zaoczne studia licencjackie. Musiała je ukończyć stosunkowo niedawno, ponieważ w okresie, kiedy zdawała maturę, taki profil jeszcze nie występował. Czując na sobie oddech uciekającego czasu, chce za wszelką cenę awansować w hierarchii zawodowej. Ponieważ pracuje w komórce kontroli, jedyną metodą, jaką może się posłużyć jest wykazanie przed przełożonymi swojej sumienności. Dlatego jest zainteresowana składaniem jak największej ilości wniosków o ukaranie kontrolowanych. Im więcej skieruje skarg i wniosków, tym lepiej będzie oceniona przez przełożonych. I taki był motyw jej działania. Stwierdziła ponadto, zgodnie ze stanem faktycznym, że jestem jej osobą obcą, z którą nigdy wcześniej się nie zetknęła. Na zakończenie przesłuchania sąd dyplomatycznie wyprosił ją z sali, stwierdzając, że świadek jest wolny i może już opuścić salę obrad.

Faktyczny stan sprawy sąd ustalił zaraz na wstępie w wyniku przesłuchania mnie w charakterze oskarżonego. W wyniku przesłuchania świadka ustalił, jakie były motywy jego działania w przedmiocie doniesienia do prokuratury. Przewód został zakończony. W przysługującym mi ostatnim słowie przyznałem się do popełnienia zarzucanego mi czynu i wniosłem o warunkowe umorzenie postępowania, argumentując to żadną społecznie szkodliwością czynu jak i swoją dotychczasowa niekaralnością.

Sąd podzielił moje racje, przychylając się do złożonego wniosku i w orzeczeniu umorzył warunkowo postępowanie karne, wyznaczając okres próby w wymiarze jednego roku. Abym jednak w przyszłości baczniej śledził akty prawne, związane z wykonywaną przez siebie działalnością, nałożył mi nawiązkę na cel charytatywny wysokości 1000 zł plus koszty sądowe.

Po werdykcie sędzi – Haliny Wójcickiej – odzyskałem utraconą w wyniku działania urzędnika skarbowego i prokuratora wiarę w człowieka. Więc są jeszcze normalni ludzie. Nawiasem mówiąc, bardzo ciekawy to urząd skarbowy, który miast kontrolować dochody podatników i sprawdzać czy względem państwa płacą należne podatki, traci czas i energię na pierdoły w ogóle z tym zagadnieniem nie związane. Przecież gdybym zlikwidował firmę i poszedł na bezrobocie, skarb państwa straciłby na tej operacji. Ale czy urzędnika, chcącego piąć się po szczeblach kariery, takie dywagacje interesują?
Czubek własnego nosa i nic więcej!

Formalny bilans sprawy rysował się następująco. W policyjnej bazie danych, figuruję jako przestępca; sfotografowany, zdaktyloskopowany i opisany. W Centralnym Rejestrze Skazanych, figuruję jako sądownie nie karany. Moje dane są uwzględnione nie w rubryce skazań, lecz warunkowych umorzeń. Oczywiście firmę przekształciłem i dostosowałem do obowiązujących norm prawnych. Analogicznie bym postąpił, gdyby urzędnik skarbowy miast doniesienia do prokuratury, zastosował rutynową w takim przypadku procedurę

pouczenia. Uniknąłby co prawda pewnych upokorzeń na sali sądowej, ale u swojego przełożonego nie zyskałby dodatkowego punktu. A dla karierowicza dzień bez punktu to dzień stracony.
Muszę przyznać, że zarówno przesłuchujący mnie policjant, jak i sądząca sędzia nie traktowali mnie jak przestępcy. Klimat przesłuchań był stosunkowo życzliwy jak na takie okoliczności. O prokuratorze nic wspomnieć nie mogę, ponieważ nie miałem z nim żadnego kontaktu.

W 1983 roku byłem oskarżony z kodeksu karnego o próbę obalenia ustroju PRL, śledztwo w mojej sprawie prowadziła ówczesna Służba Bezpieczeństwa, która w organach ścigania należała do elity. Mój status brzmiał wówczas – przestępca polityczny. W szerokich kręgach społecznych mogłem uchodzić nawet za bohatera.

W 2006 zostałem oskarżony o złamanie ustawy o doradztwie podatkowym, sprawę prowadziła Sekcja Przestępstw Gospodarczych Komendy Miejskiej Policji – ranga znacznie niższa. W odbiorze społecznym nie mogę już uchodzić za bohatera, a co najwyżej za pechowca.

W powyższym epizodzie, z którego ostatecznie wyszedłem obronną ręką jedno tylko było pocieszające. Trafiłem na całkiem poukładaną i sensowną sędzię, która do zagadnienia podeszła wyrozumiale, czym przywróciła mi wiarę w człowieka. O urzędniku skarbowym i prokuratorze powiedzieć tego nie mogę. Strach pomyśleć, co by było, gdybym trafił na młodszą.

I jeszcze jedna refleksja. Chciałbym kiedyś szefowi dąbrowskiej prokuratury w formie publicznej zadać pytanie.

- Na czym polega wyższość ustawy o doradztwie podatkowym nad ustawą ordynacja wyborcza? Dlaczego w pierwszym przypadku prokurator skierował akt oskarżenia do sądu, a w drugim umorzył wszczęte postępowanie?

W świetle mojej oceny jako laika, szkodliwość społeczna obu czynów jest nieporównywalna. W przypadku pierwszym praktycznie żadna, w drugim znaczna. Za akceptacją i przyzwoleniem organów ścigania Dąbrowa Górnicza od kilku lat dryfuje w kierunku miasta prywatnego.
Dlaczego ocena laika tak różni się od oceny profesjonalisty? Chyba, że w tamtym przypadku ktoś wpływowy nacisnął na odpowiedniego prokuratora, a w tym nie. Tylko takie wytłumaczenie jest logiczne i przekonujące.

Rozdział XXXXI
OSTATNI OSZOŁOM

Po ponad dwudziestu latach aktywności po raz pierwszy w życiu znalazłem się na marginesie wydarzeń politycznych. Przez całe dorosłe życie związany byłem z nurtem prawicowym. Obecnie dwie główne partie tego obozu w sposób zdecydowany odrzuciły moją osobę. Jedna w ordynarny i groteskowy sposób wykluczyła mnie ze swoich szeregów, druga w sposób nerwowy, graniczący z histerią, odmówiła mojego przyjęcia. Formalnie nie przedłożono mi żadnego zarzutu. Wszystkie działania wymierzone w moją osobę prowadzone były podstępnie i zakulisowo. Nikt z moich wrogów otwarcie przeciwko mnie nie wystąpił, ponieważ nie dysponował żadnym argumentem merytorycznym. Nadmieniam, że w swoim życiu nikogo nie oszukałem. W sposób świadomy nie wystawiłem fałszywego świadectwa, bez istotnego powodu nie podjąłem wobec nikogo działań o charakterze zaczepnym. W okresie pełnienia funkcji publicznej nie kradłem ani nie tolerowałem dyletanctwa, korupcji i nepotyzmu. A jednak przez cały ten okres wobec mnie podstępnie knuto i intrygowano. Zaczęło mnie dręczyć uporczywe pytanie.

- Dlaczego?!

Nieco później otrzymałem informację, że inicjatywa wykluczenia mnie z szeregów PiS wyszła oddolnie z Dąbrowy Górniczej, a nie z Katowic od Jerzego Polaczka – jak pierwotnie zakładałem. Jej bezpośrednim inspiratorem był mój następca na funkcji pełnomocnika (obecnie poseł na sejm) – Jacek Kościelniak. Formalnie rzecz ujmując – będąc szeregowym członkiem partii, nie miałem żadnego wpływu decyzyjnego. Cała władza w partii na szczeblu powiatu leżała w wyłącznej kompetencji pełnomocnika. Na moim członkostwie niczego nie tracił, a wręcz zyskiwał. Za współpracownika miał człowieka obeznanego z rzemiosłem, zdolnego do samodzielnego prowadzenia działań, zarówno w wymiarze teoretycznym jak i praktycznym. Jednostkę, która z biegiem czasu pod jego formalnym przywództwem mogła utworzyć prężny lokalnie obóz polityczny. Nigdy nie zakwestionował żadnego mojego poglądu ani rozwiązania. A jednak mimo tego i faktu, że przez cały czas postępował wobec mnie taktownie, to jednak za moimi plecami podstępnie intrygował, by ostatecznie mnie wyeliminować.

- Dlaczego tak postąpił, co nim powodowało?

Jest tylko jedna odpowiedź. Wyłącznie chora, prymitywna ambicja. Wiem z doświadczenia, że postępowaniem człowieka kierują przede wszystkim dwie okoliczności: zysk i konstrukcja psychiczna. Zysk może być materialny lub ambicjonalny. W tym przypadku chodziło o kwestię ambicjonalną. Przez cały okres naszej kilkumiesięcznej współpracy, mimo że formalnie to on był szefem, faktycznie przebywał jednak w moim cieniu. Posiadałem nad nim przewagę

wieku, życiorysu i doświadczenia. Mimo że on był pełnomocnikiem, to jednak na spotkaniach z zapleczem politycznym to ja odgrywałem pierwszoplanową rolę. Przeciwstawić się nie mógł, ponieważ po mojej stronie stały argumenty. Powyższe czynniki musiały nieźle go frustrować, aczkolwiek doskonale się maskował. Nigdy nie dał mi do zrozumienia, że jestem dla niego zbyt groźnym rywalem, którego musi wyeliminować przy pierwszej nadarzającej się okazji. Sprawa maskowania to już kwestia jego konstrukcji psychicznej. Konstrukcji człowieka zamkniętego w sobie, podstępnego, brak predyspozycji przywódczych i zdolności organizacyjnych rekompensującego intrygą.

Jacek Kościelniak w konfrontacji ze mną był postacią raczej bezbarwną. Tak naprawdę to mimo zaliczenia czterdziestu lat był nikim. Politycznie wcześniej się nie angażował ani w latach osiemdziesiątych, ani później w wolnej już Polsce. Dzięki swej bezbarwności, w przeciwieństwie do mnie, ukończył studia wyższe o kierunku ekonomicznym, zdobywając specjalizację księgowego. Ponieważ kolegował się z Jędrzejem Jędrychem, był przez niego ciągnięty. Jędrych – będąc niegdyś rzecznikiem Marka Kempskiego, załatwił mu posadę dyrektora Wydziału Finansowego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach. Ponieważ nominacja była po linii protekcji, kiedy zmieniła się ekipa rządząca, utracił to stanowisko. Ponownie z odsieczą przyszedł mu Jędrych instalując go w SKOK-u, któremu szefował na Śląsku. Jedynym epizodem politycznym w jego życiorysie był, bardzo zresztą nieudolny, start w wyborach lokalnych 1998 z listy AWS. Kiedy Jerzy Polaczek postanowił mnie odwołać z funkcji pełnomocnika, ponownie z odsieczą przyszedł mu Jędrych, instalując go na tej funkcji. Pozbywając się mnie z partii, został de facto jej dyktatorem na terenie miasta, co zaowocowało uzyskaniem przez niego mandatu posła w wyborach 2005. Posłem oczywiście nie został dzięki własnej rzutkości i organizacji, co raczej pozycji na liście, w której uzyskaniu pomógł mu oczywiście kolega. Taki jest mechanizm ordynacji proporcjonalnej. Mając do dyspozycji środki poselskie, do tej pory niczym się nie wyróżnił. Partii w zasadzie nie buduje, otoczył się ludźmi młodymi, nad którymi dysponuje niekwestionowaną przewagą. Dysponując szyldem politycznym wycenianym na 30% poparcia i mandatem posła ma również poważny problem z pozyskaniem do swojego obozu ludzi mądrzejszych, bardziej ułożonych i politycznie wyrobionych. W świetle posiadanych przeze mnie informacji poziom intelektualny funkcjonujących wokół niego osób nie odbiega poziomowi LPR, który zawsze był niski i bazował wyłącznie na ludziach prostych, pobudzanych fanatyzmem religijnym.

Jak widać z powyższego zestawienia nie jest raczej jednostką rzutką, dynamiczną, zdolną do kreowania rzeczywistości w pożądanym kierunku. Wszystko do czego doszedł zawdzięcza nie tyle własnej pracy i predyspozycjom, co relacjom ze swoim kolegą. Nie jest typem działacza, a raczej dworzanina. Jego postępowaniem kieruje iście dworska mentalność:

ulegać silniejszym od siebie, psychicznie rekompensować tę ujmę deptaniem słabszych, oczywiście podstępnie i w tajemnicy. Otaczać się zawsze słabszymi, by móc na ich tle dominować.

Nigdy w życiu nie dysponowałem takimi jak on instrumentami. Nigdy nie byłem dyktatorem partii wycenianej na 30% poparcia, posiadającej swój rząd i równocześnie funkcję posła na sejm. Z takim instrumentarium to dopiero można zagrać i to do słuchu.

Teraz czytelnik winien zrozumieć, dlaczego musiałem zostać wyeliminowany. Nieświadomie stałem na drodze jego wyimaginowanej ambicji. Eliminując mnie, odzyskał komfort bycia lokalnym przywódcą. Dopóki ja byłem przy nim, mógł być pełnomocnikiem, ale nigdy nie przywódcą. Byłby posłem na sejm to fakt, ale bez estymy i splendoru. A tak, wobec znacznie mniejszych od siebie, może bezapelacyjnie brylować. Już nie ma w jego zapleczu człowieka, który sprowadziłby go do właściwego wymiaru, który zachowywałby się wobec niego jak partner, a nie petent.

Po zrażeniu się PiS-em, kwestia mojego przejścia do PO była ruchem naturalnym i w pełni logicznym. Dyktowała go zarówno moja proweniencja polityczna (dawne KLD) jak i temperament. Wszak jako zwierzę polityczne nie mogłem pozostać bezczynny. Platforma wydawała mi się wówczas tworem znacznie atrakcyjniejszym, ponieważ w przeciwieństwie do PiS posiadała procedury demokratyczne na wszystkich szczeblach. Oznaczało to, że w tej partii nie będę jak w poprzedniczce wyłącznie pionkiem na szachownicy. Pionkiem, którego w dowolnym momencie możniejsi tego świata mogą wyrzucić na śmietnik, wedle własnego kaprysu czy widzimisię.

Platforma w Dąbrowie powstawała w sposób dziwaczny. Jej organizator – Henryk Zaguła nie przywiązywał żadnej wagi do kwestii personalnych. Wychodził z założenia, że gdy obejmie funkcję prezydenta nad wszystkim i tak zapanuje, ponieważ pozostali będą jego klientami. Nie przewidział jednak, że może zakładanego celu nie osiągnąć. Ponieważ PO nie stawiała przed swoimi członkami żadnych wymagań natury ideowej czy moralnej, a od samego początku była dobrze notowana na politycznej giełdzie, ciągnął do niej cały lokalny złom polityczny. Oszustwo w tej partii występowało już od samego początku. Najpierw w konsekwencji nieprzemyślanej procedury prawyborów, sztucznie pompowano listę całymi rodzinami co bardziej krewkich działaczy. Ci, co mieli zapisaną najliczniejsza rodzinę, później wchodzili w skład zarządu. Nowe objawienie tej partii – Krzysztof Stachowicz – założył nawet swoje, w znacznej mierze fikcyjne koło, w czym wydatnej pomocy udzielił mu poseł na sejm – Grzegorz Dolniak. Dzięki tej operacji pozycja Stachowicza w partii stała się kluczowa. Nie dzięki wiedzy czy kwalifikacjom, lecz wyłącznie oszustwu. Widząc to, inni krewcy postanowili małpować tę metodę i wprowadzać własne

marionetki. Stąd postulat utworzenia dodatkowych kół dzielnicowych, odpowiadających granicom okręgów wyborczych do rady gminy. Tak, aby co ambitniejsza jednostka mogła być przewodniczącym własnego koła z własnym dworem. Mechanizm ten powodował całą lawinę negatywnych zjawisk. Do partii w charakterze martwych dusz byli zapisywani ludzie autentycznie żyjący, których polityka jednak nie interesowała, przez co stawali się bezwolnymi marionetkami potrzebnymi jedynie krewkim raz na cztery lata w procedurze wyborów wewnętrznych. Ludzie ci przy podejmowaniu jakichkolwiek decyzji nie kierowali się względami politycznymi, ponieważ ich nie znali i nie rozumieli. Ponieważ w partii nie obowiązywały żadne normy etyczne, jedynym kryterium jakie uznawali był niepohamowany pęd do stanowisk związanych z władzą, mniejsza o kwalifikacje i predyspozycje. Ponieważ prezydent miasta, mówiąc oględnie, był osobą o analogicznym usposobieniu, co jakiś czas rzucał im stołeczki dla bieżącej konsumpcji. W efekcie doprowadziło to do tego, że o pozycji wewnątrz partii – nie decydowały żadne względy merytoryczne, lecz wyłącznie stołek związany z władzą lokalną, i liczba martwych dusz stojąca za krewkim. Poza tym było to zbiorowisko ludzi całkowicie politycznie niesterowalnych, nie poddających się jakimkolwiek normom cywilizowanego świata.

I wtedy pojawia się moja osoba. Stwierdzam, że tak dalej być nie może i zapowiadam zrobienie porządku z tą stajnią Augiasza. Zapowiadam przeprowadzenie weryfikacji członków i wyeliminowanie martwych dusz, które stanowią dla partii analogiczne zagrożenie jak „szlachta gołota" dla rządów I Rzeczypospolitej. Będąc szeregowym członkiem i głosząc konsekwentnie takie hasła, w ciągu kilku miesięcy wyrósłbym na naturalnego lidera. Toż to prawdziwa rewolucja. Dotychczasowi krewcy straciliby swoje marionetki, a w konsekwencji wpływ na władzę wewnątrz partii. Rywalizacji na argumenty, wygrać nie są w stanie. Jedyne co mogą uczynić, to nie wpuścić lisa do kurnika.
Opór, jaki wystąpił względem mojej osoby, miał wyłącznie uzasadnienie polityczne. Wszak do partii nie chciał przystąpić statystyczny Jan Kowalski (takich przyjmowano) tylko człowiek niezależnie myślący, obdarzony twardą konstrukcją psychiczną, wiedzący czego chce i jak to osiągnąć. Człowiek, który w wieku dziewiętnastu lat porwał się na partię rządzącą, później odmówił współpracy z policją polityczną. Mając wybór: wyższa uczelnia lub służba wojskowa, wybrał służbę wojskową. W wieku 26 lat był w warunkach półlegalnych współorganizatorem Solidarności w zakładzie państwowym. Kiedy większość sądziła, że Jaruzelski ponownie wprowadzi stan wojenny, on twierdził, że tego nie uczyni, ponieważ drugi raz nie wchodzi się do tej samej rzeki. W wieku 27 lat został radnym. Pełniąc mandat nie sprzedał się jak większość jego kolegów za byle ochłap. Przeciwstawiał się korupcji i nepotyzmowi. Brał czynny udział w kilku kampaniach wyborczych, znał mechanizmy rządzące polityką. Naocznie widzieli, że Henryk Zaguła –

człowiek, którego oni uważali za Boga – został przez niego sprowadzony do parteru. Nie sprzedał się nawet za dziesięć tysięcy złotych miesięcznej pensji (tyle warta była oferowana funkcja wiceprezydenta). Nie kieruje się chęcią zysku, lecz władzy, wie, że tylko ona jest instrumentem do rozwiązywania problemów naszej rzeczywistości. Jako jedyny obywatel miasta miał odwagę złożyć do prokuratora wniosek o ściganie oszustw wyborczych (pozostali, łącznie z władzami, ten proceder tolerowali). W dodatku twierdził, że przychodzi do PO, aby w niej posprzątać, bo jest co. Tego dla nich było już za wiele. Czuli potworny kompleks swojej niższości. Trzeba pamiętać o podstawowej zasadzie kierującej postępowaniem miernoty. Musi ona przebywać wyłącznie wśród takich samych miernot. Tylko w takim otoczeniu czuje się pewna i dowartościowana. W otoczeniu innym staje się nikim, a do polityki idą ludzie ambitni i nikt z nich nie chce przebywać na marginesie.
Ponieważ w walce ze mną nie mogli wyjawić prawdziwego motywu swojego postępowania (miernota nigdy nie przyzna, że jest miernotą), dlatego wymyślili wariant zastępczy, szkalując mnie mianem oszołoma i alkoholika.

Jacek Kościelniak – wychodząc z analogicznych przesłanek, usuwając mnie z partii, by jako lider mógł swobodnie w niej błyszczeć, postawił mi zarzut idiotyczny, aczkolwiek prawdziwy – fakt, że nie przebywam w związku małżeńskim lecz konkubinatu.

Krewcy z PO – kierując się analogicznymi przesłankami, aby utrzymać wewnętrzne status quo – wymyślili absurdalny i niezgodny z prawdą zarzut, iż jestem oszołomem i alkoholikiem.
Powyższa intryga była na tyle idiotyczna, że nie wytrzymywała nawet najprostszego sprawdzenia.

- Skoro przyjmowali do partii całe rodziny, martwe dusze, politycznych dyletantów, to skąd tak paniczny lęk przed jednym oszołomem i alkoholikiem?

- Przecież oszołom i alkoholik nie jest w stanie nikogo do siebie przyciągnąć ani przekonać do swoich racji! Któż się liczy z idiotą i pijakiem?!

- Skąd zatem ten paniczny lęk?

Średnio inteligentny czytelnik będzie w stanie z powyższego zestawienia wyciągnąć właściwe wnioski.

Z perspektywy dłuższego uczestnictwa w życiu politycznym pokuszę się o znacznie szerszą refleksję. W połowie lat dziewięćdziesiątych zacząłem obserwować proces dobrze mi znany z lat osiemdziesiątych – zanik jakichkolwiek norm moralnych w polityce. Wówczas dotyczył on wyłącznie osób z otoczenia aparatu partyjno – państwowego. Skoro kompromitacji uległa ideologia, a Bóg nie istnieje, to jedynym czynnikiem kierującym postępowaniem aparatu był niepohamowany pęd do własnej kariery. Nie dla

zaspokajania potrzeb zbiorowości, lecz wyłącznie ego. Materializowało się to chęcią posiadania lepszego mieszkania, talonu na samochód czy dobra konsumpcyjnego na rynku niedostępnego, czy też awansu w firmie państwowej. I tylko dzięki tej ciągotce mógł ten system trwać. Rozwijać się ani reformować nie mógł, ponieważ do tego potrzebna już była głębsza refleksja, do czego karierowicze nie są zdolni. Choćby – Wojciech Jaruzelski uruchomił jeszcze dziesięć etapów reformy gospodarczej, to i tak niczego nie był w stanie osiągnąć zdemoralizowanym aparatem. Ludzie ci poza dwulicowością, intrygą i ego nie wyznawali żadnej wartości. A gdy nie ma wartości i idei, pozostaje wyłącznie ego i chęć dominacji nad innymi. Kariera za wszelką cenę i wszelkimi metodami. Dyskusję i polityczną refleksję zastępuje intryga. Skończyło się to w 1989, kiedy głowa państwa dojrzała do wniosku, że nie ma najmniejszego powodu dalej męczyć narodu i dała nam wolność.

Po kilku latach względnej normalności, kiedy do władzy doszli dawni opozycjoniści nieskażeni chorobą aparatu, ponownie wróciło stare. W połowie lat dziewięćdziesiątych, analogicznie do lat osiemdziesiątych zauważyłem proces stopniowego zaniku moralności w polityce. Analogicznie do okresu poprzedniego wystąpiło zjawisko negatywnego doboru kadr. Im większa miernota kierująca się wyłącznie chęcią kariery, tym wyżej zachodzi w strukturach władzy. Miernota, kiedy obejmuje jakąkolwiek funkcję, nie chce wdrażać nowych rozwiązań, naprawiać, reformować. Raz, że nie wie, jak tego dokonać, dwa, iż wie, że jakakolwiek reforma powoduje negatywne perturbacje. Działanie i wdrażanie nowego, narusza bowiem interesy beneficjantów starego – powodując opór i przeciwdziałanie. Aby go przełamać potrzeba klarownego przedłożenia swej wizji i mobilizacji zaplecza społecznego. A tego żaden karierowicz nie jest w stanie dokonać. Chce tylko jak najdłużej trwać na swoim stołeczku i czerpać z niego ambicjonalne i materialne profity. Po co miernocie problemy?!

Dlatego poupadała większość przedsiębiorstw państwowych, gdyż kierujący nimi karierowicze nie byli w stanie dostosować się do reguł rynku. Przez szesnaście lat demokracji żadne ministerstwo nie funkcjonuje normalnie. Wszystkim brakuje pieniędzy (oczywiście na cele publiczne, nie prywatne), chociaż fiskus pobiera, jak na normy europejskie, stosunkowo wysokie podatki. Nie mamy ani wojska, ani policji z prawdziwego zdarzenia, nikt nie jest w stanie rozwiązać problemów służby zdrowia. Nawet autostrad nie jesteśmy w stanie wybudować, choć jest to przedsięwzięcie na poziomie wiedzy dziecka ze szkoły podstawowej. Jak rozruszać gospodarkę i zmniejszyć bezrobocie, tego też nikt nie wie. Ale, jak nie mając kompetencji, zdobyć stołek – wie każdy. Niemal każdy minister, każdy poseł, każdy dygnitarz partyjny wie, jak po kadencji ulokować siebie w spółeczce, agendzie rządowej lub instytucji państwowej.

Współczesne życie polityczne toczy taka sama gangrena jak ta, która toczyła aparat partyjno – państwowy w latach osiemdziesiątych. Wówczas też niczego nie udawało się zrealizować. Osiem lat dyktatury po stanie wojennym, trzy etapy reformy gospodarczej i jedyny sukces jaki udało się rządzącym osiągnąć, to na półkach sklepowych częściowo przykryć ocet innymi towarami.
Stwierdzam z całą konsekwencją, że poziom intelektualny i moralny obecnej elity władzy jest taki sam. Jedyna różnica polega na tym, że wówczas mieliśmy dyktaturę zainstalowaną i utrzymywaną przekupstwem i groźbą interwencji obcego mocarstwa, dzisiaj w dobie wolności sami ją tolerujemy.
Wówczas byli jeszcze brodaci faceci, którzy może nie do końca wiedzieli jak, ale przynajmniej starali się temu przeciwstawiać. Dzisiaj jest bierne społeczeństwo i gdzieniegdzie pojawi się jakiś odszczepieniec, którego i tak nikt nie słucha. Zresztą odszczepieńca i tak zwalczą miernoty, ponieważ ich jest więcej i są bezwzględniejsi.

Rak, który toczy nasze życie, swój początek bierze z idiotycznej proporcjonalnej ordynacji wyborczej. Żeby nie zanudzać, stwierdzę tylko tyle, że najwyżej rozwinięte kraje: Stany Zjednoczone, Kanada, Wielka Brytania czy Japonia mają ordynację większościową i okręgi jednomandatowe. Dlatego że ordynacja proporcjonalna premiuje miernotę (aparatczyka partyjnego), a ordynacja większościowa rzutką, dynamiczną jednostkę. Dlatego w ich parlamentach zawsze znajdzie się chociażby kilkadziesiąt sensownych jednostek, prących do konstruktywnych rozwiązań, korzystnych dla większości. U nas nie ma praktycznie żadnej.

Proszę wskazać choćby jednego posła, który wylobbował korzystne dla ogółu rozwiązanie prawne w formie ustawy.

- Nie ma takiego!

To że Jerzy Jaskiernia wylobbował ustawę o automatach do gier hazardowych w barach piwnych, gdzie mafia pierze pieniądze – wie każdy. To, że inni lobowali korzystną dla siebie ustawę medialną i jeszcze żądali za to łapówki, to też wie każdy. Ale niech ktoś wskaże nazwisko choćby jednego posła, który wypromował ustawę, w konsekwencji której w ciągu trzech lat kraj pokryje sieć autostrad.

- Nie ma takiego!

Niech ktoś wskaże nazwisko choćby jednego posła czy ministra, który stworzył i przeprowadził przez parlament ustawę, w konsekwencji której normalny obywatel będzie miał zabezpieczoną pełną ochronę zdrowotną na poziomie europejskim.

- Nie ma takiego!

Dlaczego inni potrafią, a Polacy nie? Inni mają system polityczny, dzięki któremu do parlamentu zawsze wejdą jednostki wartościowe – my takie odrzucamy. My w parlamencie wolimy wyłącznie partie, ze swoimi

aparatczykami, bezimienną magmę, niezdolną do konstruktywnego działania. Ludzi znających tylko dwie kwestie: jak się znaleźć pierwszym na liście partii biorącej mandaty i jak później wygłaszać bezprzedmiotowe tyrady w studiu telewizyjnym. A i tego nie są w stanie osiągnąć własną pracą, tylko intrygą.

Ustawa o finansowaniu partii politycznych, która miała uzdrowić nasze życie publiczne, jeszcze bardziej je pogrążyła. Obecnie partie posiadają środki finansowe, przywódców i klientów tych przywódców. W Polsce posłowie nie są reprezentantami obywateli, tylko klientami swoich ośrodków decyzyjnych, gotowymi za otrzymany przywilej robić z siebie pajaców, i to w wymiarze publicznym.

Niech mi ktoś wskaże posła, który w konsekwencji głupiej wypowiedzi lub postawy swojego lidera publicznie się od niego zdystansował.

- Nie ma takiego!

Nikt się nie odważy, ponieważ popadając w niełaskę u swojego przywódcy, już więcej posłem nie zostanie. Jeżeli natomiast będzie dworzaninem, to zawsze może liczyć na przysłowiowa łaskę pańską. Wszak od wieków w polityce decydują nie kwalifikacje i umiejętności, lecz odwieczna zasada: mierny ale wierny. Te normy, które wyszły z centralnych szczebli władzy zostały z biegiem czasu sprowadzone na sam dół. Dlatego, jeżeli ktoś komuś zagraża ambicjonalnie, to należy go wyeliminować lub nie wpuścić. Władza na wszystkich szczeblach musi się składać wyłącznie z decydentów i ich klientów. Samodzielnie myślący i niezależni precz!

Kiedyś obserwowałem zachowanie struktury młodzieżowej pewnej partii. Ludzie młodzi, dwudziestoletni, których winna jeszcze cechować ideowość, zachowywali się nie lepiej od przeciętnych gangsterów. Ich jedyny problem nie polegał na fakcie wykreowania pozytywnego rozwiązania, koncentracji myśli i środków do rozwiązania problemu, lecz na doborze metody jak najskuteczniej utrącić rywala.

Skoro taki jest tok rozumowania młodego człowieka, to czego można oczekiwać od czterdziesto – czy pięćdziesięciolatka. Wszak ci z biegiem wieku ulegają jeszcze głębszej demoralizacji.

Podkreślam z całą mocą! Przy obecnym ustawodawstwie (ordynacja wyborcza, ustawa o partiach politycznych) partie są sprowadzone nie do roli sił przeznaczonych do rozwiązywania problemów ogólnospołecznych, lecz do roli klik walczących o jak najszersze wpływy wyłącznie dla siebie i swoich klientów. Pod względem moralnym polityk jest nawet gorszy od gangstera. Ten ostatni chociaż czymś ryzykuje (śmierć ze strony innego gangstera lub więzienie), a polityk niczym. Może do woli łgać przed kamerą, byle tylko był dyspozycyjny wobec swojego szefa, a nic złego go nie spotka. Dotyczy to wszystkich partii bez wyjątku, tak z lewicy jak prawicy czy tych, których

jedynym politycznym credo jest bazowanie na sentymentach czy resentymentach religijnych.

Amerykanie już dawno znaleźli rozwiązanie tego problemu. Wybory większościowe, okręgi jednomandatowe i instytucja prawyborów. Tak drogi czytelniku, w USA o tym, kto będzie kandydował do kongresu czy senatu nie decyduje aparat partyjny, nie lider partii, tylko zwykły obywatel w procedurze prawyborów. Większości nie sposób przekupić. Teraz wiesz, dlaczego do nich należy połowa świata, dlaczego tam nie ma bezrobocia ani problemów z autostradami czy opieką zdrowotną. Na dodatek rząd na wszystko ma pieniądze, chociaż fiskus znacznie łagodniejszy.

Uważnie śledzę życie publiczne przez ostatnich szesnaście lat. Mieliśmy już z tego terenu kilkunastu posłów różnych opcji. I o żadnym nie jestem w stanie powiedzieć ani jednego ciepłego słowa. Niczego nie dokonali, chociaż pieniądze wzięli, życiowo się poustawiali, domy pobudowali. Analogicznie prezydenci miast, radni również, tylko na mniejszą skalę. Same miernoty, ale gdy pojawia się człowiek z wizją i charakterem, to wszyscy solidarnie chcą go wdeptać w ziemię, gdyż wszystkim on przeszkadza. Nazywają go oszołomem. Oszołomem – dlatego, że chce iść po władzę nie tylko dla pieniędzy i ego jak oni, ale przede wszystkim, aby po jego śmierci coś konstruktywnego pozostało.

Paradoksem jest, że oszołom nie boi się miernot, chociaż to one są w przewadze. Miernoty natomiast panicznie boją się oszołoma i będą go zwalczać za wszelką cenę, używając podstępu, dwulicowości czy pomówienia. Oszołom szermuje wizją i rozwiązaniem – miernota intrygą i podkładaniem świni.

Przez pierwszych osiem lat dorosłego życia realizować swych wizji nie pozwalała mi Służba Bezpieczeństwa, ponieważ stały one w sprzeczności z obowiązującą doktryną. Później w wolnej już Polsce toczyłem ustawiczne boje już tylko ze swoimi. Im dalej zachodziłem, tym zacieklej byłem zwalczany. Do chwili obecnej zawsze ulegałem ich przewadze.

Jestem człowiekiem ubogim. W ostatnim okresie udało mi się wygospodarować nieco pieniędzy i miast jak każdy wydatkować je na zakup samochodu czy lepszego mieszkania, wydaję je na powyższą publikację.

Wszak jestem oszołomem, ponoć już ostatnim w promieniu wielu kilometrów.

S P I S T R E Ś C I

Rozdział I
NARODZINY KONTESTACJI .....str. 4

Rozdział II
REWOLUCJI ROZDZIAŁ PIERWSZY .....str. 6

Rozdział III
OKRES BURZY I NAPORU .....str. 13

Rozdział IV
POD KOMITET .....str. 20

Rozdział V
GRA NERWÓW .....str. 24

Rozdział VI
PO TAMTEJ STRONIE .....str. 30

Rozdział VII
NOWA RZECZYWISTOŚĆ .....str. 39

Rozdział VIII
W KAMASZACH .....str. 45

Rozdział IX
W OKOWACH NORMALIZACJI .....str. 51

Rozdział X
PRZEŁOM .....str. 56

Rozdział XI
WZLOTY I UPADEK .....str. 63

Rozdział XII
W KOMITECIE OBYWATELSKIM .....str. 71

Rozdział XIII
NA SALONACH WŁADZY .....str. 78

Rozdział XIV
ZAGUŁA KONTRA TALKOWSKI .....str. 83

Rozdział XV
UTARCZKI I POROZUMIENIA.....str. 89

Rozdział XVI
W ROLI OSZOŁOMA .....str. 101

Rozdział XVII
OSTATNIA PRÓBA POROZUMIENIA .....str. 106

Rozdział XVIII
SZKOLNE INTRYGI .....str. 111

Rozdział XIX
SKRACANIE UŁAMKA .....str. 117

Rozdział XX
KOMPROMITUJĄCE MATERIAŁY .....str. 128

Rozdział XXI
DĄBROWSKA MAJORKA .....str. 136

Rozdział XXII
KU PRZYSZŁOŚCI .....str. 140

Rozdział XXIII
LEWA WOLNA.....str. 150

Rozdział XXIV
UPADEK ZAGUŁY .....str. 156

Rozdział XXV
NOWE NADZIEJE .....str. 160

Rozdział XXVI
W ROLI SZTEUFFENBERGA .....str. 170

Rozdział XXVII
Z DESZCZU POD RYNNĘ.....str. 180

Rozdział XXVIII
DEBIL NA GÓRZE, DEBIL NA DOLE .....str. 191

Rozdział XXIX
ROZPACZLIWA GRA W DEFENSYWIE ....str. 198

Rozdział XXX
WYŚCIG SZCZURÓW .....str. 205

Rozdział XXXI
PRZEGRUPOWANIE .....str. 214

Rozdział XXXII
WEJŚCIE NA RING .....str. 226

Rozdział XXXIII
KAŻDY SWOJE .....str. 235

Rozdział XXXIV
POJEDYNEK Z BOGIEM .....str. 246

Rozdział XXXV
NA GRANICY ŻYCIA .....str. 258

Rozdział XXXVI
POBOJOWISKO .....str. 268

Rozdział XXXVII
RĘKA, RĘKĘ MYJE .....str. 273

Rozdział XXXVIII
NA POCHYŁE DRZEWO.....str. 279

Rozdział XXXIX
OSZOŁOM I ALKOHOLIK .....str. 291

Rozdział XXXX
W CHARAKTERZE PRZESTĘPCY .....str. 299

Rozdział XXXXI
OSTATNI OSZOŁOM .....str. 305